



CHARLES DICKENS
**WIELKIE
NADZIEJE**



Karol Dickens

WIELKIE NADZIEJE

MKS

ROZDZIAŁ 1

Nazwisko mojego ojca brzmiało Pirrip, a mnie dano imię Filip. Mój dziecinny język nie potrafił oddać wyraźnie tych dwu dźwięków i stapiał je w krótkie miano Pip. Nazwałem więc sam siebie Pipem i wszyscy zaczęli tak mnie nazywać.

Podaję, że mój ojciec nosił nazwisko Pirrip na odpowiedzialność napisu na nagrobku oraz siostry mojej, żony kowala Joego Gargeryego. Ponieważ nigdy nie widziałem ojca ani matki, ani żadnej ich podobizny (w owych czasach nie wiedziano jeszcze nic o fotografii), moje pierwsze wyobrażenie o rodzicach, i o ich wyglądzie wiązało się, nie wiadomo czemu, z ich nagrobkami. Kształt liter na kamieniu nagrobnym mego ojca nasunął mi dziwną myśl, że był to krępy, kwadratowy mężczyzna o ciemnych wijących się włosach. Z rodzaju i charakteru liter napisu: „A także Georgiana, małżonka powyższego” wyciągnąłem dziecinny wniosek, że matka moja musiała być piegowata i słabowita. Pięciu kamiennym tabliczkom, umieszczonym równym rzędkiem na grobie (każda z nich miała około półtorej stopy długości i poświęcone były pamięci moich pięciu braciszków, którzy zbyt wcześnie zrezygnowali z walki o życie), zawdzięczani niemal religijną wiarę, że urodzili się oni leżąc na grzbiecie z rękami w kieszeniach spodenek i nigdy nie zmieniali pozycji.

Nasza okolica była bagnista i rozciągała się wzdłuż wijącej się rzeki, o dwadzieścia mil od morza. Moje najwcześniejsze wyraźne wspomnienie tyczy się pewnego późnego pochmurnego popołudnia.

Zdałem sobie wówczas w całej pełni sprawę, że zarośnięta pokrzywami posępna przestrzeń to cmentarz, że Filip Pirrip, nieboszczyk z tej parafii, a także Georgiana, małżonka powyższego, zmarli i zostali pochowani, że Aleksander, Bartłomiej, Abraham, Tobiasz i Roger, ich synowie, również nie żyją i spoczęli w grobie. Że ciemne, płaskie pustkowie za cmentarzem, poprzecinane groblami, kopcami i zagrodami, gdzie pasło się bydło, to bagniska. Że ciemna smuga na horyzoncie to rzeka, że odległy, dziki żywioł, od którego wieje porywisty wiatr, to morze, i że mały, drżący ze strachu tłumoczek, który nagle wybuchnął płaczem, to Pip.

- Cicho bądź! - wrzasnął straszliwy głos i spomiędzy grobów koło kościoła wyskoczył nagle mężczyzna. - Cicho, ty mały diable, bo poderżnę ci gardło!

Straszny człowiek w szarym ubraniu z grubego sukna, z łańcuchem brzęczącym mu u nogi. Człowiek bez kapelusza, z głową owiązaną szmatą, w podartych butach na nogach.

Człowiek ociekający wodą, zabłocony, poraniony kamieniami, podrapany żwirem, poparzony pokrzywami, pokłuty cierniami. Człowiek kulejący, drżący, który rzucał wokół siebie przerażone spojrzenia i miotał przekleństwa. Człowiek, którego zęby szczękały głośno, gdy chwycił mnie pod brodę.

- O, niechże mi pan nie podrzyna gardła - błagałem zalękniony - proszę, niech pan tego nie czyni, panie!

- Jak się nazywasz, gadaj! - powiedział człowiek - prędko!

- Pip, panie.

- Jeszcze raz - powtórzyl wpatrując się we mnie - gadaj, gadaj.

- Pip, Pip, panie.

- Pokaż, gdzie mieszkasz. Pokaż palcem to miejsce. Wskazałem miejsce, gdzie znajdowała się nasza wioska, na płaskim brzegu rzeki, wśród olch i żywopłotów, o milę lub więcej od kościoła.

Teraz nieznajomy odwrócił mnie i wypróżnił mi kieszenie. Nie było w nich nic prócz kawałka chleba. Gdy kościół wrócił do swej pozycji - gdyż przez chwilę ten człowiek, taki silny i okropny, przekręcił kościół tak, że widziałem dzwonnice u swoich stóp - więc gdy kościół wrócił do zwykłej pozycji, okazało się, że siedzę na nagrobku, cały drżący, a mój oprawca zajada żarłocznie chleb.

- Ty szczeniaku - zapytał mężczyzna oblizując wargi - skąd masz takie tłuste policzki?

Rzeczywiście miałem wówczas okrągłe policzki, mimo że na mój wiek byłem nieduży i raczej słaby.

- Do diabła, zjadłbym je chętnie - zauważył potrząsając groźnie głową. - Mam na nie wielką ochotę.

Poważnie wyraziłem nadzieję, że tego nie uczyni, i coraz mocniej tuliłem się do nagrobka, na którym siedziałem, po to, by nie spaść, i po to, by powstrzymać się od płaczu.

- Więc słuchaj - odezwał się nieznajomy. - Gdzie jest twoja matka?

- Tutaj, panie - odparłem.

Skoczył gwałtownie w tył i obejrzał się przez ramię.

- Tutaj, panie - powtórzyłem nieśmiało - „A także Georgiana to moja matka.

- O - zawołał cofając się o krok - a czy to twój ojciec, ten obok niej?

- Tak, panie.- odparłem - to on „nieboszczyk z tej parafii”.

- Ha - Mr.uknął i zaczął się zastanawiać. - Więc u kogo mieszkasz i dokąd się udasz, o ile naturalnie pozwolę ci jeszcze żyć, a to niezdecydowana sprawa...

- U siostry, panie, u pani Gargery, żony Joego Gargeryego, kowala, panie.

- Kowala? tak? - powtórzył patrząc na swą nogę.

Rzucił jeszcze parę ponurych spojrzeń na nogę, potem na mnie. Wreszcie podszedł blisko do grobowej płyty, na której siedziałem, wziął mnie za oba ramiona i przechylił w tył tak daleko, jak tylko pozwalała na to długość jego rąk. Oczy jego utkwione były władczo w moich, a moje, pełne strachu, w jego źrenicach.

- A teraz słuchaj, od tego zależy twoje życie. Wiesz, co to pilnik?

- Tak, panie.

- A wiesz, co to żywność?

- Tak, panie.

Po każdym pytaniu przeginał mnie mocniej w tył po to, bym czuł się bardziej bezradny i przerażony.

- Przyniesiesz mi pilnik - potrząsnął mną znowu - i przyniesiesz mi żywność - znów mnie przechylił - przyniesiesz mi tutaj jedno i drugie - szarpnął mną - inaczej wyrwę ci serce i wątrobę. - Potrząsnął mną raz jeszcze.

Byłem okropnie przerażony i kręciło mi się w głowie tak bardzo, że uczepiłem się kurczowo jego ręki. Prosiłem:

- Jeżeli pan będzie tak łaskaw i puści mnie, to może przestanie mnie mdlić i będę mógł lepiej słyszeć, co pan mówi.

Przegiął mnie i zawinął mną młynka tak, aż kościół fiknął kozła i zakręcił się wokół własnego kurka na wieży. Potem ten okropny człowiek postawił mnie pionowo na płycie grobowej i wygłosił następujące straszne słowa:

- Przyniesiesz mi jutro rano pilnik i żywność, dużo żywności. Będę czekał na ciebie tam, przy tej starej forteczce. Zrobisz to i nie piśniesz o niczym ani jednego słowa. Nie okażesz Mr.ugnięciem oka, żeś widział osobę podobną do mnie. Tylko pod tym warunkiem będziesz żył. Jeżeli jednak nie posłuchasz mnie, choćby w najmniejszym drobiazgu, wyrwę ci serce i wątrobę, upiekę i zjem. Nie myśl, że jestem tutaj sam. Niedaleko ukrywa się jeden młody człowiek, w porównaniu z którym ja jestem aniołem. Ten młody człowiek słyszy to, co ja teraz mówię. Mą on szczególny, tajemniczy, jemu tylko wiadomy sposób wrywania chłopcom wątroby i serca. Chłopiec może zaryglować drzwi, położyć się do ciepłego łóżka, otulić się kołdrą, naciągnąć ją na głowę, może być przekonany, że jest bezpiecznie schowany, ale ów młody człowiek wśliźnie się i tak bez szelestu do niego, otworzy mu brzuch. Na razie powstrzymuję tego młodego człowieka od robienia ci krzywdy, ale przychodzi mi to z trudnością. No, co ty na to?

Odpowiedziałem, że wezmę pilnik i co zdołam zebrać z zapasów, i przyniosę mu to raniutko do forteczki.

- Powiedz: „Niech Bóg pokarze mnie śmiercią, jeżeli tego nie zrobię” - rozkazał mi mężczyzna.

Powiedziałem to i wówczas postawił mnie na ziemi.

- A teraz - upominał - pamiętaj, co obiecałeś, pamiętaj o owym młodym człowieku i idź do domu.

- Doobranooc panu - wyjąkałem.

- Jak tu okropnie - odparł patrząc na wilgotną i wietrzną równinę - chciałbym być żabą albo węgorzem.

To mówiąc przycisnął do drżącego ciała ramiona, jakby dla rozgrzewki, i kulejąc szedł ku murowi kościelnemu. Patrzyłem za nim, jak torował sobie drogę wśród pokrzyw i głógów zarastających cmentarz, i przez chwilę zdawało się mym oczom, że ogania się w ten sposób przed rękami umarłych, które wyciągają się ku niemu z grobów, by schwytać go za łydki i wciągnąć pod ziemię. Doszedłszy do muru kościelnego przesadził go jak ktoś o zdrętwiałych i sztywnych nogach i wówczas raz jeszcze obejrzał się na mnie. Kiedy to zobaczyłem, odwróciłem twarz w stronę domu i jak najszybciej zrobiłem użytek z nóg. Ale zerkając przez ramię widziałem, jak szedł ku rzece, wciąż tuląc do siebie ramiona i wyszukując obolałymi nogami kamienie, położone na bagnisku dla umożliwienia przejścia podczas rześzystych deszczów lub przypływu.

Gdy zatrzymałem się po chwili, by raz jeszcze się za nim obejrzeć, bagniska wydały mi się ciemną poziomą linią, a rzeka jeszcze jedną poziomą kresą, choć mniejszą i mniej od tamtej wyraźną. Niebo przedstawiało mi się jak przestrzeń poorana krwawymi i ciemnymi pręgami. Na brzegu rzeki rozróżniałem już teraz tylko dwa ciemne przedmioty. Jednym z nich była latarnia morska przypominająca beczkę o rozluźnionych obręczach, umieszczona na słupie i z bliska ogromnie niezdarna i brzydka. Drugi stanowiła stara szubienica ze zwisającymi łańcuchami, na której powieszono niegdyś pirata. Mężczyzna kulejąc szedł ku niej, jak gdyby był wskrzeszonym owym piratem i chciał się ponownie sam powiesić. Ta myśl przeraziła mnie okropnie i patrząc na pasące się bydło, które podnosiło ku niemu głowy, zastanawiałem się, czy i ono tak myśli. Rozejrzałem się, czy nie zobaczę gdzie owego okropnego młodego człowieka, którym straszyl mnie nieznajomy. Ale mimo że nie widziałem go w pobliżu, przeraziłem się tak bardzo na samą myśl, że pobiegłem pędem do domu.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Siostra moja, żona Joego Gargeryego, była ode mnie starsza o lat przeszło dwadzieścia i słynęła wśród sąsiadów z tego, że wychowała mnie „własnoręcznie”. Zastanawiając się wówczas, co mogłoby to znaczyć, i wiedząc, że siostra moja ma bardzo ciężką rękę zarówno w stosunku do mnie jak i do swego męża, doszedłem do wniosku, że musiała nas obu wychować „własnoręcznie”.

Siostra moja nie była ładną kobietą i miałem wrażenie, że „własnoręcznie” zmusiła Joego, by się z nią ożenił. Joe, przystojny mężczyzna, miał jasne kędziory okalające łagodną twarz i oczy, w których niezdecydowany błękit mieszał się z barwą białek. Był to łagodny, cierpliwy, dobry i łatwy w obejściu prostak, coś w rodzaju Herkulesa, zarówno w sile jak i słabości.

Siostra moja miała czarne oczy i włosy i tak czerwoną skórę policzków, że nieraz zastanawiałem się, czy też nie używa tarki zamiast mydła. Wielka i koścista, nie rozstawała się prawie nigdy z grubym fartuchem, który zawiązywała z tyłu na dwie kokardy i którego groźny kwadrat na piersiach jeżył się szpilkami i igłami. Nieustanne noszenie tego fartucha poczytywała sobie za wielką zasługę, a Joemu robiła gorzkie wyrzuty, że skazuje żonę na taki strój. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego uważała, że musi chodzić w tym fartuchu i dlaczego nie zdejmowała go, kiedy jej się podobało.

Kuźnia Joego graniczyła z naszym domkiem zbudowanym z drzewa, jak większość ówczesnych domów mieszkalnych w kraju. Gdy wróciłem pędem z cmentarza, zastałem kuźnię już zamkniętą i Joego siedzącego samotnie w kuchni. Joe i ja byliśmy towarzyszami niedoli i nieustannymi spiskowcami, toteż nie zdążyłem jeszcze zamknąć drzwi, gdy zwierzył mi się z czegoś w tajemnicy.

- Twoja siostra - powiedział nie wstając ze swego miejsca przy kominku - szukała cię i wybiegała już dwanaście razy na dwór, a teraz wyszła po raz trzynasty, Pip.

- Doprawdy?

- Tak, Pip, i co gorsza zabrała ze sobą Łaskota.

Na tę okropną wieść zacisnąłem palce na jedynym guziku kurtki i kręciłem nim w przerażeniu, patrząc w ogień z rozpaczą. Łaskot był to kij Joego, o lśniącym końcu, wygładzonym od łaskotania mojej osoby.

- Tak - mówił Joe - najpierw usiadła, potem zerwała się, chwyciła Łaskota i wściekła wybiegła na dwór. Wyleciała wściekła, Pip. Wypadła jak bomba - zakończył rozgarniając płonące polana pogrzebaczem.

- Czy dawno wybiegła, Joe? - spytałem takim tonem, jakim mówi się do dziecka. Nigdy nie traktowałem Joego inaczej niż jak mego rówieśnika.

Joe rzucił okiem na holenderski zegar i powiedział:

- No, ostatnim razem wyleciała jakie pięć minut temu, Pip. Ale właśnie nadchodzi. Schowaj się za drzwi, prędko, zakryj się ręcznikiem.

Usłuchałem go. Moja siostra wbiegając otworzyła szeroko drzwi, a poczuwszy za nimi jakąś przeszkodę domyśliła się natychmiast prawdy i zaaplikowała mi Łaskota. Potem schwyciła mnie i jak to często czyniła, cisnęła niby paczkę do Joego. Kowal złapał mnie w locie i ukrył za kominkiem, odgradzając od żony swą długą nogą.

- Gdzie byłeś, ty małpizonie - krzyczała siostra tupiąc nogą - gadaj mi zaraz, gdzieś się włóczył, podczas kiedy ja psułam sobie krew z niepokoju. Gadaj, bo cię wyciągnę z tego kąta, choćby na twoim miejscu znalazło się pięćdziesięciu Pipów chronionych przez pięciuset Gargerych.

- Byłem tylko na cmentarzu - wyznałem szlochając i rozcierając sobie ciało.

- Na cmentarzu - krzyknęła - od dawna spoczywałbyś na cmentarzu, gdyby mnie nie było na tym świecie. Kto cię własnoręcznie wychował, kto? gadaj!

- Tyś mnie wychowała - jęknąłem.

- A dlaczego to zrobiłam, chciałam wiedzieć?

- Nie wiem - zaskomliłem.

- I ja także tego nie wiem! - krzyczała. - Wiem tylko, że od chwili twego przyjścia na świat nie zdjęłam z siebie tego fartucha. I wiem także, jak okropnie być żoną kowala (i w dodatku Gargeryego), nawet gdy się nie jest twoją matką!

Myśli moje nagle oderwały się od tej sprawy, gdy spoglądałem smutnie w ogień. Z żarzących się węgli wypłynął ku mnie uciekinier na bagnisku, jego noga okuta w łańcuchy, tajemniczy młody człowiek, pilnik, żywność, straszliwe zobowiązanie i zmora przestępstwa, które miałem popełnić pod tym gościnnym dachem.

- Ha! - wrzasnęła moja siostra odstawiając wreszcie kij na miejsce - cmentarz! - Możecie gadać o cmentarzu, wy dwaj! - Jeden z nas co prawda nie wspominał nawet o cmentarzu. - Wiem, że to mnie odprowadzicie wkrótce na cmentarz! Piękna z was zostanie para po mojej śmierci!

Podczas gdy siostra przygotowywała teraz herbatę, Joe rzucił na mnie ponad swą wyciągniętą nogą badawcze spojrzenie, jak gdyby chciał sprawdzić, jaką to parę będziemy stanowili w owych oplakanych okolicznościach. Potem pogładził się po jasnych kędziorach i lnianych faworytach i wodził niebieskimi oczyma za żoną. Czynił to zawsze podczas burzliwych zajęć.

Moja siostra miała szczególny, jej właściwy sposób krajania dla nas chleba. Przyciskała lewą ręką bochenek do piersi, przy czym niekiedy pozostawała w chlebie szpilka lub igła, którą znajdowaliśmy w czasie jedzenia. Potem brała na koniec noża niewielką ilość masła i smarowała całą powierzchnię bochenka takim ruchem, jakim aptekarz smaruje plastry. Używała przy tym bardzo zręcznie obu stron ostrza, zeszkrobując i wygładzając masło na skórce. Następnie potężnym ciosem krajała duży kawał z bochna i przedzieliwszy go nożem na połowy, wręczała Joemu i mnie.

Mimo że chciało mi się ogromnie jeść, nie byłem pewien, czy mam prawo spożyć ten chleb. Czułem, że muszę zostawić coś dla mego okropnego znajomego i jego jeszcze okropniejszego towarzysza. Wiedziałem, że moja siostra jest skrzętną gospodynią i że nie uda mi się nic zwędzić ze spiżarni. Toteż postanowiłem wsunąć sobie kromkę w nogawkę spodni.

Wykonanie tego postanowienia kosztowało mnie bardzo wiele. Było to tak, jak gdybym się zdecydował skoczyć z dachu wysokiego domu albo dać nurka w głęboką wodę. Sprawę pogarszała jeszcze nieświadomość Joego. Jako oddani sobie towarzysze niedoli - szwagier był mi dobrym kolegą - mieliśmy zwyczaj porównywać postępy czynione przez obu przy zjadaniu chleba. Od czasu do czasu wyciągaliśmy wzajemnie ku sobie nadgryzione kromki i podziwialiśmy jeden drugiego, co dodawało nam bodźca do dalszych zabiegów. Tego wieczoru Joe kilkakrotnie zapraszał mnie do zwykłego przyjacielskiego współzawodnictwa pokazując, jak szybko znika jego porcja chleba, lecz za każdym razem widział, że na jednym kolanie trzymam żółty kubek z herbatą, a na drugim - nietkniętą kromkę chleba z masłem. Wreszcie doszedłem do rozpaczliwego wniosku, że muszę wykonać powzięte postanowienie, i to tak zręcznie, jak wymagały tego okoliczności. Wybrałem chwilę zaraz po spojrzeniu Joego, rzuconym w moją stronę, i wsunąłem chleb w nogawkę.

Joe był najwyraźniej zdziwiony moim brakiem apetytu i w zamyśleniu odgryzł kawałek chleba, który najwidoczniej mu nie smakował. Trzymał go potem przez czas dłuższy w ustach, zastanawiając się nad nim głęboko, żuł powoli i nagle przełknął jak pigułkę. Właśnie zabierał się do odgryzienia następnego kęsa i przechylił głowę na bok, jak gdyby lepiej się do tego rozpędzając, gdy wzrok jego padł na mnie i wtedy ze zdumieniem zobaczył, że mój kawałek zniknął.

Oszłupienie, z jakim mi się przyglądał, było tak widoczne, że nie mogło ująć uwagi mej siostry.

- Co tam znowu? - spytała uszczypliwie, stawiając filiżankę.

- No, wiecie - zaMr.uczał Joe kręcąc nade mną głową ze smutkiem. - Pip, staruszk, jeszcze sobie zaszkodzisz. To niezdrowo, na pewno utkwi ci gdzieś. Nie mogłeś go pogryźć?

- Nie rozumiem, o co chodzi - powtórzyła tym razem ostrzej moja siostra.

- Jeżeli uda ci się wypluć jeszcze choćby kawałek, Pip, to zrób to, proszę cię. Dobre maniere swoją drogą, ale zdrowie jest ważniejsze.

Siostra straciła cierpliwość. Zerwała się, chwyciła Joego za bokobrody i zaczęła walić jego głową o ścianę, podczas gdy ja siedziałem w kącie i patrzyłem na to w poczuciu winy.

- Teraz może powiesz wreszcie, o co chodzi - zawołała siostra ledwie dysząc z wysiłku - zamiast wytrzeszczać na mnie oczy, ty nadęta świni.

Joe spojrzał na nią przestraszony, ugryzł kęs chleba i z wypchanym policzkiem zwrócił się do mnie takim, tonem, jak gdybyśmy byli tylko we dwóch w pokoju.

- Ty wiesz, Pip - powiedział - że zawsze trzymam z tobą, i że ostatni bym. na ciebie naskarżył, ale... tak łykać!

Tu odsunął krzesło, spojrzał na kawałek podłogi między nami i znów podniósł oczy na mnie.

- Co? - krzyknęła moja siostra - więc znowu łykał jak zwierzę?

Joe nie patrząc na nią, tylko na mnie, ciągnął uroczyście:

- I ja także, kiedy byłem w twoim wieku, łykałem jedzenie bez żucia, widywałem też wielu podobnych żarłoków, ale czegoś podobnego nie widziałem. To łaska boska, żeś się nie udławił na śmierć.

Siostra skoczyła ku mnie, schwyciła mnie za włosy i rzuciła złowrogie słowa:

- Pójdiesz ze mną i dam ci lekarstwo.

Jakiś potworny lekarz ogłosił w tym czasie wodę z dziegiem jako uniwersalne lekarstwo na wszystkie choroby i siostra moja miała zawsze mały zapas tego specjału w filiżance w kuchni, wierząc święcie, że skuteczność jego jest równa jego obrzydliwemu smakowi.

Niekiedy otrzymywałem taką ilość tego pokrzepiającego środka, że miałem uczucie, jakoby pachniał niczym świeżo wysmołowany płot. Tego wieczoru siostra zaaplikowała mi ten płyn wlewając go w gardło, podczas gdy trzymała głowę moją pod pachą, jak but do czyszczenia. Joe musiał wypić kwaterkę. Uczynił to z przykrością, odrywając się od powolnego przeżuwania i dumania przed kominkiem, a siostra twierdziła, że mąż musi zażyć

lekarstwo, bo „nim trzęsie”. Ja raczej miałem wrażenie, że dopiero gdyby odmówił wypicia, trzęsłoby nim porządnie.

Wyrzuty sumienia są straszne, czy dręczą dorosłego, czy małego chłopca. Ale gdy u dziecka do tego tajemnego ciężaru dołącza się jeszcze tajemny ciężar w nogawce spodni, to (mogę to zaświadczyć) straszliwa męka.

Okropne poczucie winy związane z myślą, że oto będę musiał obrabować siostrę (nigdy nie przychodziło mi na myśl, że obrabuję Joego, bo nie uważałem go za właściciela gospodarstwa), a w dodatku nieustanne przytrzymywanie ręką chleba z masłem w nogawce spodni, kiedy siadałem lub ilekroć posyłano mnie po coś do kuchni - wszystko to przyprawiało mnie o szaleństwo.

Chwilami gdy wicher wiejący od bagniska rozżarzał węgle w kominku, zdawało mi się, że słyszę ze dworu głos człowieka z łańcuchem na nodze, głos, który zaklina mnie o dochowanie tajemnicy i woła, że nieznajomy nie będzie zdychał z głodu do jutra, ale że muszę mu natychmiast przynieść, com obiecał. Chwilami znowu zastanawiałem się, co będzie, jeżeli ów okropny młody człowiek, którego z takim trudem wstrzymywano od rzucenia się na mnie, straci nagle cierpliwość lub pomyli postawione mi terminy i zabierze się dziś w nocy do mej wątroby i serca. Jeżeli to możliwe, żeby włosy stawały dęba na głowie ze strachu, to moim przydarzyło się to tego wieczoru. Ale być może włosy ludzkie tego nie potrafią!

Nazajutrz wypadały święta Bożego Narodzenia i siostra kazała mi mieszać miedzianą łyżką dodatki do puddingu. Miałem to robić od siódmej do ósmej według holenderskiego zegara. Usiłowałem wykonywać to z brzemieniem na nodze, co przypominało mi o człowieku, który również dźwigał brzemień u nogi. Wreszcie, korzystając z pierwszej okazji, pobiegłem do siebie na poddasze i tam złożyłem tę cząstkę mego nieczystego sumienia.

- Słuchaj - zwróciłem się do Joego, gdy skończywszy robotę z puddingiem grzałem się przy kominku w oczekiwaniu chwili, kiedy poślą mnie do łóżka - czy to strzelono z armaty?

- Ach - odparł Joe - widocznie znowu jakiś skazaniec zwiął.

- Co to znaczy, Joe? - spytałem.

Moja siostra, która zawsze na siebie brała obowiązek odpowiadania na pytania, powiedziała burkliwie:

- Uciekł, uciekł!

I objaśnienie to zaaplikowała mi niczym wodę z dziegiem.

Gdy po chwili siostra opuściła głowę nad robotą, zadałem Joemu samym ruchem ust pytanie: „Co to znaczy skazaniec?” Joe odpowiedział mi w ten sam sposób, ale tak, że zrozumiał tylko ostatni wyraz „Pip”.

- Zeszłej nocy zwiął jeden skazaniec zaraz po wieczornym wystrzale armatnim - ciągnął Joe - i wtedy wypalili dla ostrzeżenia. A teraz chyba zawiadamiają o ucieczce drugiego i dlatego wystrzelili.

- Kto wystrzelił? - dopytywałem się.

- Do diabła z tym chłopakiem - przerwała moja siostra spoglądając na mnie i marszcząc brwi - co to za nudziarz. Nie nudź pytaniami, to nie dowiesz się kłamstw.

Pomyślałem, że nie jest zbyt uprzejma wobec samej siebie, skoro przyznaje, że w odpowiedzi na moje pytania raczy mnie kłamstwami. Ale moja siostra nigdy nie była uprzejma, chyba przy gościach.

W tej chwili Joe podniecił moją ciekawość przez to, że kunsztownie otworzywszy usta wymówił bezgłośnie jakiś wyraz, który, zdawało mi się, brzmiał: „Gdera”.

Odpowiedziałem mu w tenże sposób, wskazując jego żonę: „Ona?”, ale jego długiej odpowiedzi na ten temat już nie pojąłem.

- Chciałbym wiedzieć - zwróciłem się z ostatnią próbą wprost do siostry - jeżeli się na mnie nie rozgniewasz, chciałbym wiedzieć, kto to strzelał?

- Boże, błogosław to dziecko! - krzyknęła moja siostra takim tonem, jak gdyby pragnęła czegoś wręcz odwrotnego. - To strzelali na galerach.

- Och - powiedziałem patrząc na Joego - na galerach! Joe chrząknął z wyrzutem, jak gdyby chciał dać mi do zrozumienia, że on mówił to samo.

- Proszę, co to znaczy galery?

- Zawsze to samo z tym chłopakiem - krzyknęła siostra wskazując na mnie igłą z nitką. Odpowiedz mu na jedno pytanie, zada ci jeszcze tuzin. Galery to są statkiwięzienia, zaraz na wprost naszych bagnisk.

- Nie wiem, kogo wsadzają na te statkiwięzienia i za co tam się ludzie dostają - badałem ogólnikowo z cichą rozpaczą w głosie.

Tego już było za wiele mojej siostrze. Zerwała się z miejsca.

- Wiesz, co ci powiem, szczeniaku, nie po to wychowałam cię własnoręcznie, abyś mordował ludzi pytaniami. Gdybym cię po to wychowała, zasłużyłabym sobie na naganę, a nie na nagrodę. Ludzi wsadzają na galery za to, że popełniają zbrodnie, rabują, oszukują i robią różne złe rzeczy. I zawsze zaczynają od zadawania pytań. A teraz marsz do łóżka!

Nie dawano mi nigdy świecy, gdy szedłem spać, i idąc na górę w ciemnościach z bolącą głową, gdyż siostra wybiła mi na ciemieniu palcem uzbrojonym w napastrzek akompaniament do ostatnich wyrazów, czułem doskonale, że galery gotowe są już, by mnie przyjąć, i że prosto do nich zmierzam. Zadawałem pytania, a teraz zamyslałem okraść moją siostrę.

Często od tamtej odległej chwili rozważałem, jak mało ludzie wiedzą o tym, że dzieci potrafią utrzymać największą tajemnicę pod wpływem strachu. Owładnął mną wówczas okropny lęk przed młodym człowiekiem czyhającym na moje serce i wątrobę, okropny lęk przed więźniem z zakutą nogą, okropny lęk przed samym sobą z powodu obietnicy, jaką ode mnie wydarto. Nie łączyłem żadnych nadziei z osobą siostry, która mnie zawsze od siebie odpychała. Przerazała mnie teraz myśl, do czego wówczas byłem zdolny pod wpływem strachu.

Jeśli tej nocy zasnęłam, to chyba po to tylko, by znaleźć się we śnie na brzegu wezbranej wiosenną powodzią rzeki i iść w stronę galer. Jakiś upiorny rozbójnik przemawiał do mnie przez trąbę nawołując mnie, gdy przechodził obok szubienicy, bym lepiej sam się natychmiast powiesił. Lękałem się zasnąć twardo, bo wiedziałem, że muszę o pierwszym brzasku zerwać się i obrabować spiżarnię. Nie mogłem nawet marzyć, by zrobić to w nocy, bo nie miałem światła, a po to, by wykrzesać iskrę z krzesiwa, musiałbym narobić hałasu podobnego do brzęku kajdan u nogi galernika.

Toteż kiedy tylko ujrzałem przez okienko, że aksamitna, czarna zasłona nocy szarzeje, zerwałem się i zeszedłem po schodach. Każda deska stopnia i każde skrzypnięcie zdawało się mówić: „Łapać złodzieja!” lub „Wstawaj, pani Gargery!”.

W spiżarni, znacznie obficiejszej zaopatrzonej z powodu świąt niż zwykle, przeraziłem się zającą zawieszoną za nogi, gdyż wydawało mi się, że Mr. ugnął ku mnie porozumiewawczo. Nie miałem jednak czasu tego sprawdzać, nie miałem czasu wybierać ani szukać, nie mogłem stracić ani minuty. Zabrałem bochenek chleba, skórkę sera, pół słoja nadzienia do pasztetu, które zawinąłem razem z wczorajszą kromką w chustkę do nosa, trochę wódki, którą odlałem z kamiennego gąsiora do szklanej buteleczki przyniesionej z mego pokoiku (potajemnie używałem jej do wyrobu napoju wyskokowego z lukrecji), jakąś kość z resztkami pieczonego mięsa i wspaniały, okrągły, świetnie wypieczony pasztet wieprzowy. Już wychodziłem, zresztą bez pasztetu, kiedy skusiłem się, by zobaczyć, co też stoi oddzielnie na górnej półce w kamiennej misie. Kiedy zobaczyłem pasztet, zdecydowałem go zabrać w nadziei, że nie jest przeznaczony na rychłe zjedzenie, a więc brak jego nieprędko się okaże.

Z kuchni prowadziły drzwi wprost do kuźni. Wszedłem tam i zabrałem Joemu pilnik, który wyszukałem w pudle z narzędziami. Potem otworzyłem drzwi, przez które wróciłem poprzedniego wieczoru do domu, i zamknąwszy je za sobą starannie, wybiegłem ku zamglonemu bagnisku.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Ranek był zimny i bardzo wilgotny. Wi działem wilgoć na szybie mego okienka; wyglądało tak, jak gdyby to jakiś chochlik płakał pod oknem przez całą noc i używał szybek zamiast chusteczki do nosa. Teraz kropelki wody rozpostarte na nagim żywopłocie i rzadkiej trawie robiły wrażenie grubej pajęczyny rozwieszanej na gałązkach i źdźbłach. Perliły się na każdym płocie i każdej bramie, a mgła była tak gęsta, że nie mogłem rozróżnić drewnianego drogowskazu pokazującego drogę do naszej wioski, drogę, którą nikt nigdy zresztą nie chadzał. Gdy znalazłem się tuż pod drogowskazem i podniosłem oczy na ociekający wodą słup, wyrzuty sumienia nasunęły mi okropne wrażenie, że to upiór pokazuje mi drogę na galery.

Mgła jeszcze bardziej zgęstniała, gdy wyszedłem na równinę i zdawało mi się teraz, że to nie ja zbliżam się ku przedmiotom, ale one biegną mi naprzeciw. Było to bardzo przykre uczucie dla kogoś o nieczystym sumieniu. Płoty, groble i brzegi rzeki pędziły ku mnie wychylając się z gęstej mgły i zdawały się krzyczeć co siłą: „Chłopiec z cudzym paszтетem wieprzowym! Zatrzymać go!” Równie nagle wynurzyło się przede mną stado bydła. Wytrzeszczało na mnie oczy i prychało: „Ty złodziejaszku!” Pewien czarny z białym krawatem wół, który memu pobudzonemu sumieniu wydał się nawet podobny do duchownego - tak uporczywie patrzył mi w oczy i tak gniewnie odwrócił potężny łeb, że wymamrotałem: „Nie mogłem inaczej, to nie moja wina, nie dla siebie wziąłem!” Na te słowa spuścił łeb, z nozdrzy buchnęła mu chmura pary i oddalił się pędem, wyrzucając w górę tylne nogi i machając ogonem.

Przez cały ten czas zbliżałem się do rzeki, ale mimo iż poruszałem się szybko, nie byłem w stanie rozgrzać stóp, do których zimno i wilgoć przywarły tak, jak łańcuch do nogi tego, komu biegłem na spotkanie.

Znałem drogę do forteczki, byłem tam kiedyś w niedzielę z Joem. Wtedy to Joe, siedząc na armacie, powiedział mi, że kiedy zostanę jego czeladnikiem, będziemy tu częściej przychodzili wypoczywać. Mimo to zwiedzony mgłą poszedłem za daleko na prawo i musiałem wracać brzegiem rzeki, idąc po wystających z błota kamieniach wzdłuż kołków wbitych tu dla zakreślenia zasięgu przyplwy.

Podążałem z wielkim pośpiechem, przeskoczyłem rów, o którym wiedziałem, że ciągnie się tuż przy forteczce, gdy ujrzałem siedzącego przede mną człowieka. Był

odwrócony do mnie plecami, ramiona miał skrzyżowane i pochylał się ociężale ku przodowi, zmożony snem.

Pomyślałem, że przyjemnie mu będzie, jeśli zrobię mu niespodziankę śniadaniem. Podkraǳłem się więc cichutko i dotknąłem jego ramienia. Natychmiast skoczył na równe nogi i wtedy ujrzałem, że to nie był ten sam człowiek.

Ubrany jak tamten w szare ubranie, miał jak tamten łańcuch u nogi, był kulawy, schrypnięty, zziębnięty jak tamten, ale twarz miał inną, a na głowie płaski filcowy kapelusz o szerokich skrzydłach.

Wszystko to ujrzałem w jednej chwili, gdyż tylko przez chwilę mogłem mu się przyglądać. Nieznajomy rzucił pod moim adresem przekleństwo i zamierzył się na mnie pięścią, był to jednak słaby, miękki cios, który mnie nie dosięgnął. Mężczyzna zachwiał się i sam omal nie upadł. Potem uciekł we mgłę, potknął się dwa razy i zniknął mi z oczu.

- To ten młody człowiek - pomyślałem ze zgrozą i poczułem wyraźny ból w sercu. Poczuliśmy go i w wątrobie, gdybym wiedział, gdzie się ona znajduje.

Ale oto dotarłem już do forteczki i zaraz ujrzałem człowieka, którego szukałem. Biegał tam i z powrotem, waląc się ramionami dla rozgrzewki, zupełnie tak jak wówczas, gdy go opuścił. Wydawało się, że przez całą noc, czekając na mnie, nic innego nie robił.

Musiało mu być okropnie zimno. Po prostu miałem wrażenie, że padnie martwy z zimna u moich stóp. Oczy jego wyrażały tak straszliwy głód, że kiedy wręczyłem mu pilnik, myślałem, że go połknie, ale zobaczył w ręku mój paczkę i rzucił narzędzie na trawę. Tym razem nie przewrócił mnie głową na dół, ile pozwolił stać na własnych nogach, podczas gdy otwierałem węzełek i opróżniałem kieszenie.

- Co jest w tej butelce, chłopcze? - spytał.

- Wódka.

Pochłaniał właśnie nadzienie do pasztetu w bardzo dziwaczny sposób, wrzucając je sobie do gardła, raczej jak człowiek, który coś chowa w pośpiechu, niż jak ktoś, kto je, ale przerwał na chwilę, by wypić trochę wódki. Drżał tak silnie, że z trudem utrzymywał między zębami szyjkę butelki nie gryząc jej.

- Zdaje się, że pan ma malarię - zauważyłem.

- I ja tak myślę, chłopcze - odparł.

- To niezdrowa okolica - ciągnąłem - pan nocował na malarycznym bagnisku. Można tu złapać i reumatyzm.

- Zjem śniadanie, zanim mnie śmierć zabierze - powiedział - jadłbym nawet wtedy, gdyby zaraz mieli mnie powiesić na tej szubienicy. I zobaczysz, chłopcze, jak mi to jedzenie pomoże.

Jednocześnie pochłaniał nadzienie, ogryzał mięso z kości, łykał chleb, ser i pasztet wieprzowy, wszystko na raz. Chwilami przerywał, rozglądał się wokół po mglistej okolicy i nasłuchiwał; tylko wtedy szczęki jego nieruchomiały. Każdy najdrobniejszy, prawdziwy czy urojony dźwięk na równinie, szelest wiatru, westchnienie pasącego się bydła sprawiały, że gotował się do skoku. Nagle zapytał:

- Nie jesteś zdrajcą, mały? Nie przyprowadziłeś nikogo ze sobą?

- Nie, panie! Nie!

- Nikomu nie powiedziałaś, by tu potem przyszedł?

- Nie!

- Dobrze, wierzę ci. Niezły byłby z ciebie gagatek, gdybyś w twoim wieku pomagał w polowaniu na tak nędzną istotę, tak zepsutą i tak bliską śmierci jak ja.

Coś zadzwięczało mu w gardle, jak gdyby miał tam zegar, który gotował się do wybicia godziny. Łachmanami rękawa przeciągnął po oczach.

Ogarnęło mnie współczucie dla jego rozpacz i gdy znowu rzucił się na pasztet, ośmieliłem się powiedzieć:

- Cieszę się, że panu smakuje.

- Co takiego?

- Mówiłem, że cieszę się, że panu smakuje.

- Dziękuję ci, chłopcze, tak, smakuje mi.

Często przyglądałem się naszemu dużemu psu, gdy jadł, i teraz dostrzegłem wyraźnie podobieństwo pomiędzy jego sposobem jedzenia a zachowaniem się człowieka. Nieznajomy, tak jak pies, odgryzał szybko duży kęs jadła, potem jak pies łykał go szybko, zbyt szybko, i rozglądał się całkiem jak pies, bojaźliwie wokoło, czy nikt mu nie zabiera zdobyczy. Był zbyt niespokojny, aby mógł rozkoszować się jedzeniem, i niewątpliwie pogryzłby każdego, kto by usiłował mu cokolwiek wydrzeć. W jednym i w drugim przypominał psa.

- Obawiam się, że pan nic nie zostawi dla tamtego - oświadczyłem po długim ociąganiu się, niepewny, czy uwaga moja jest dość uprzejma. - Tam, skąd przyniosłem jedzenie, nie mogę już nic zabrać. (Ta właśnie okoliczność zmusiła mnie do mówienia).

- Zostawić dla tamtego? Dla kogo? - spytał zdumiony mężczyzna przestając na chwilę chrupać skórkę od pasztetu.

- Dla młodego człowieka, o którym pan mówił. Dla tego, który się ukrywał razem z panem.

- Ach, dla tego - powtórzył mężczyzna z dźwiękiem podobnym do cierpkiego śmiechu - dla niego? Nie, on nie potrzebuje jedzenia.

- Wyglądał tak, jak gdyby bardzo potrzebował - zauważyłem.

Nieznajomy znowu przerwał jedzenie i spojrzał na mnie badawczo z prawdziwym zdumieniem.

- Tak wyglądał? Kiedy?

- Przed chwilą.

- Gdzie?

- Tam - odparłem wskazując palcem kierunek - tam, gdzie znalazłem go drzemiącego. Myślałem, że to pan.

Schwycił mnie za kołnierz i patrzył na mnie tak, jak gdyby na nowo w nim ożył pomysł zarżnięcia mnie.

- Ubrany jest tak jak pan tylko ma kapelusz - mówiłem drżąc - i... i... - nie wiedziałem, jak to najdelikatniej powiedzieć - i... ma te same powody do pożyczania pilnika, co pan. Czy słyszał pan wystrzał armatni w nocy?

- Ach, więc to był jednak wystrzał - Mr.uknął sam do siebie.

- To dziwne, że pan o tym wątpił - zauważyłem - słyszeliśmy go w domu wyraźnie, a do nas jest dalej. I nie byliśmy przecież na dworze.

- Posłuchaj mnie dobrze, chłopcze. Jeżeli ktoś jest na tym samym bagnisku, z pustą głową i z pustym żołądkiem, i ginie z zimna i głodu, przez całą noc słyszy wystrzały i nawoływania. Słyszy? Widzi żołnierzy w czerwonych mundurach, oświetlonych pochodniami, widzi, jak krąg wojska zamyka się wokół niego. Słyszy, jak wywołują jego numer, jak nakazują mu poddać się, jak wymierzają ku niemu broń. Słyszy słowa komendy: „Uwaga! Gotowe? Na ramię broń! Otoczyć go!” Czuje ręce, które go łapią, i... wtedy wszystko niknie. Widziałem tej nocy patrol, który mnie wytropił, widziałem dziesiątki żołnierzy idących ku mnie. Słyszałem ich miarowe kroki. Widziałem ich setki! A wystrzał armatni? Widziałem wyraźnie, jak ogień armatni ciągle rozpraszał mgłę i tak aż do świtu... Ale ten człowiek, o którym wspomniałeś - wrócił do poprzedniego tematu - czyś spostrzegł w nim coś szczególnego?

- Miał twarz całą w bliznach - powiedziałem, gdyż to przypominałem sobie mgliście.

- Czy w tym miejscu? - zawołał mężczyzna przeciągając dłońią po lewym policzku.

- Tak, właśnie tam.

- Gdzie on jest? - dopytywał się wpychając z pośpiechem resztki jedzenia za pazuchę szarej kurty - pójdę i zatłukę go jak psa. Ach, ten przeklęty łańcuch! Rani mi nogę. Daj pilnik, chłopcze!

Ukazałem kierunek, w którym mgła pochłonęła tamtego człowieka, a zbieg przez chwilę spoglądał w tę stronę. Potem usiadł na bujnej, mokrej trawie i zaczął gwałtownymi ruchami piłować łańcuch nie zważając na mnie ani na swoją nogę. Robił wrażenie szaleńca. Noga krwawiła, otarta i zraniona łańcuchem, a mężczyzna traktował ją tak, jak gdyby nie była wrażliwsza niż pilnik. Ogarnął mnie znowu lęk przed tym szaleńcem i przed jego furiackim pośpiechem. Bałem się też pozostawać tak długo poza domem. Powiedziałem mu, że muszę już odejść, a ponieważ nie zwrócił na to żadnej uwagi, zdecydowałem, że najlepiej będzie, jeżeli się stąd wymknę. Ostatnie spojrzenie, jakim na niego rzucił, ukazało mi go z głową nisko pochyloną nad kolanem, pracującego w milczeniu nad przepiłowaniem żelaza. Mruczał przekleństwa skierowane to do kajdanów, to do własnej nogi. Gdy się już oddaliłem tak, że mgła mi go zasłoniła, słyszałem jeszcze odgłos pracującego pilnika.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Byłem głęboko przekonany, że po powrocie do domu zastanę w kuchni czekającego na mnie żandarma. Ale nie zobaczyłem żandarma, a nawet nie odkryto jeszcze mojej kradzieży.

Siostra była na szczęście pochłonięta przygotowaniami świątecznymi, a Joe został wyprawiony za drzwi kuchni, aby nie następował na szufelkę pełną śmieci, co mu się często zdarzało wtedy, gdy siostra sprzątała i gdy podłogi lśniły.

- Gdzieżeś ty sterczał, u diabła? - powitała mnie siostra w ten świąteczny ranek Bożego Narodzenia, gdy wraz z moim sumieniem zjawiliśmy się przed jej obliczem.

Odpowiedziałem, że byłem w kościele na kolędach.

- Ach, tak - zauważyła - mogło być gorzej.

- Ma rację - pomyślałem.

- Może gdybym nie była żoną kowala i (co na jedno wychodzi) niewolnicą nie rozstającą się z fartuchem, to i ja mogłabym pójść w święto na nabożeństwo - powiedziała siostra - lubię nabożeństwa i pewnie dlatego nie mogę się nigdy wybrać do kościoła.

Joe, który odważył się wejść ze mną do kuchni i trzymał się jak najdalej od szufelki ze śmieciami, z niewinną miną otarł nos grzbietem dłoni, ale gdy tylko żona odwróciła się od niego, złożył dwa palce na krzyż i wyciągnął je ku mnie. Był to nasz umówiony znak, że siostra moja jest w złym humorze. Ponieważ ten prawie nigdy się nie zmieniał, więc właściwie palce nasze powinny były zawsze wyglądać jak skrzyżowane nogi ogromnych pajaków.

Obiad świąteczny miał być wspaniały. Marynowane nóżki wieprzowe i pieczone kurczęta z jarzynami i farszem. Jeszcze poprzedniego ranka upieczono pyszny pasztet (dlatego nie spostrzeżono dotychczas zniknięcia nadzienia). Pudding był już w piecu. Wobec tak wspaniałego obiadu nie dostaliśmy tego dnia wcale śniadania.

- Nie chcecie chyba pęknąć z przejedzenia - oświadczyła siostra - a poza tym nie będę zajmowała się zmywaniem po śniadaniu, kiedy zajęta jestem takim obiadem. Tego możecie być pewni.

Wyrzucono nas na dwór, byśmy tam zjedli po kawałku chleba z masłem, tak jak gdybyśmy byli całym pułkiem żołnierzy w pochodzie, a nie jednym mężczyzną i jednym dzieckiem we własnym domu. Popiliśmy chleb kilkoma łykami mleka i wody z dzbanka stojącego na kredensie, robiąc przy tym gesty przeproszające.

Siostra zawiesiła teraz czyste białe firanki na oknach, a zasłonki przy kominku zastąpiła nowymi w kwiatki. Otworzyła też szeroko drzwi od korytarzyka do małego saloniku, który przez resztę roku był zamknięty i wydawał się spowity w mgłę wraz ze swymi srebrnymi tapetami na ścianach i czterema pieskami z białego fajansu, które stały symetrycznie na gzymsie kominka, trzymały w zębach koszyczki z kwiatami i miały czarne noski.

Moja siostra była gospodynią bardzo czystą, ale ta czystość dzięki jej przedziwnemu talentowi dokuczwała nam bardziej niż brud. Czystość przypomina pobożność i są ludzie, którzy podobnie obrzydzą religię.

Siostra miała tyle roboty, że chodziła do kościoła niejako przez prokurę, to znaczy, że posyłała tam Joego i mnie.

Joe w roboczym ubraniu miał charakterystyczny wygląd dobrze zbudowanego kowala. Kiedy jednak ubierał się odświętnie, wyglądał jak zamożne straszidło. Nic z tego, co na siebie wkładał, nie pasowało na niego, a nawet wydawało się, że wystroił się w cudze piórka i że wszystko mu zawadza. Na dźwięk dzwonów kościelnych wychylił się tego ranka ze swego pokoju, jak obraz nędzy i rozpaczy, w pełnej gali skazańca niedzielnego. Co do mnie, to mam wrażenie, że siostra widziała we mnie młodego przestępcę wręczonego jej w dniu mego przyjścia na świat przez akuszera policyjnego z poleceniem, by traktować mnie jak przystało na tego, co popełnił obrazę majestatu prawa. Istotnie, traktowano mnie stale tak, jak gdybym ośmielił się przyjść na świat wbrew rozsądkowi, religii, moralności i wbrew perswazji najlepszych przyjaciół. Nawet wówczas gdy sprawiano mi nowe ubranie, polecano krawcowi, by szył je jak mundurek z domu poprawy i tak, bym nie mógł swobodnie się w nim poruszać.

Joe i ja, idąc do kościoła, musieliśmy dla życzliwych dusz przedstawiać obraz prawdziwie wzruszający. Te cierpienia były jednak niczym wobec moich udręk w domu. Okropny strach, ilekroć siostra moja zbliżała się do spiżarni lub tylko opuszczała pokoje mógł się równać tylko z wyrzutami sumienia, jakie dręczyły mnie, gdym wspomniał, co uczyniłem. Uginając się pod ciężarem okropnej tajemnicy, zastanawiałem się nad tym, czy też Kościół mógłby ochronić mnie przed strasznym młodym człowiekiem, gdybym wyznał moje grzechy. Powziąłem myśl, by skorzystać z chwili, gdy ksiądz ogłosi zapowiedzi i zakończy słowami: „Kto z zebranych zna jakieś przeszkody, niech mi je wyzna”, wstać i poprosić duchownego o rozmowę w zakrystii na osobności. Zdawałem sobie sprawę z tego, jakie zdumienie wywołam wśród naszych parafian, zwłaszcza że było to święto Bożego Narodzenia, a nie zwykła niedziela.

Na obiedzie mieli być u nas Mr. Wopsle, nasz kościelny, kołodziej Mr. Hubble z żoną i wuj Pumblehook (był to wuj Joego, ale siostra moja przywłaszczyła go sobie), bardzo zamożny handlarz nasion w pobliskim miasteczku; miał własny powozik.

Obiad był przewidziany na wpół do drugiej. Gdy powróciliśmy z Joem do domu, zastaliśmy stół nakryty, moją siostrę ubraną, a drzwi wejściowe otwarte (co się normalnie nigdy nie zdarzało), aby goście mogli łatwiej wejść. O kradzieży nie było mowy.

Czas mijał nie przynosząc mi żadnej ulgi i goście nadeszli. Mr Wopsle łączył z olbrzymim rzymskim nosem wielką łysinę i głęboki głos, z którego był ogromnie dumny. Jego wszyscy znajomi wiedzieli, że gdyby mógł czytać w kościele psalmy, zapędziłby w kozi róg pastora. Mr Wopsle twierdził, że gdyby Kościół był „szeroko otwarty dla wszystkich, zwłaszcza dla konkurencji, to on pokazałby, co potrafi”. Ponieważ jednak Kościół nie był „szeroko otwarty”, więc Mr. Wopsle pozostał tylko kościelnym. Odgrywał się za to na słowie „Amen”, a kiedy zapowiadał psalm całym werselem, rozglądał się po zebranych parafianach, jak gdyby chciał powiedzieć:

- Słyszeliście mego przyjaciela tam w górze? Co powiecie teraz o innym sposobie recytowania?

Otworzyłem drzwi zaproszonym gościom (udając, że często dzieje się to u nas w domu), najpierw panu Wopsle, potem państwu Hubble, a na końcu wujowi Pumblehookowi. Nota bene, nie wolno mi było nazywać go wujem pod groźbą srogich kar.

- Mrs Joe - powiedział wuj Pumblehook, tłusty, zadyszany mężczyzna w średnim wieku, z tępych spojrzeniem i rybimi ustami oraz sterczącymi włosami koloru piasku. Wyglądał zawsze tak, jak gdyby się dusił i dopiero przed chwilą odzyskał przytomność. - Przyniosłem pani z życzeniami świąt butelkę wina sherry, proszę pani, i butelkę wina porto, proszę pani.

Co roku na Boże Narodzenie zjawiał się z tymi samymi słowami i takimi samymi butelkami pod pachą. I co roku moja siostra mówiła tym samym tonem:

- O, wuju Pumblehook! Jak to miło! I co roku wuj odpowiadał niezmiennie:

- Pani zasługuje na coś lepszego. A jak tam zdrowie? I jak się miewa nasz Grosik?

Tak zawsze mnie nazywał.

Obiad jedliśmy w kuchni, a na spożywanie pomarańczy, orzechów i jabłek przechodziliśmy do bawialni. Była to zmiana podobna do przebierania się Joego z roboczego ubrania w niedzielne. Moja siostra zdradzała niezwykle ożywienie; przypominam sobie, że okazywała wiele względów Mrs Hubble. Pamiętam Mrs Hubble jako malutką, kędzierzawą osobę ubraną od stóp do głów na niebiesko. Wszyscy traktowali ją, niby na podstawie

umowy, jak młodą osobę tylko dlatego, że przed laty wyszła za mąż za dużo starszego od niej Mr. Hubble'a. Pamiętam Mr. Hubble'a, wysokiego, zgarbionego człowieka, pachnącego trocinami i rozstawiającego szeroko nogi, tak szeroko, że kiedy widziałem go nadchodzącego z daleka, mogłem pomiędzy jego nogami zobaczyć duży szmat łąki.

W tym towarzystwie czułbym się obco i źle nawet wówczas, gdybym nie okradł spiżarni. Nie dlatego, że wepchnięto mnie na róg stołu, który sięgał mi pod brodę, i że oprócz tego miałem łokieć wuja Pumblehook w oku, nie dlatego, że częstowano mnie ochłapami kurczęcia i takimi częściami wieprzowiny, z których wieprz i za życia nie miał powodu być dumny. Nie, to wszystko byłoby nieważne, gdyby mnie zostawili w spokoju. Ale nie chcieli mnie zostawić w spokoju. Umówili się, by przeszywać mnie strzałami uwag, jak gdybym był byczkiem na hiszpańskiej arenie. Prześcigali się w ciskaniu we mnie morałami.

Zaczął się to w chwili, gdy zasiedliśmy do stołu. Mr Wopsle zmówił modlitwę przed jedzeniem takim teatralnym głosem, jak gdyby dla celów religijnych połączył rolę Ducha z „Hamleta” z rolą Ryszarda III, po czym wyraził nadzieję, że potrafimy mu być za to wdzięczni. Wtedy to siostra moja spojrzała na mnie surowo i spytała tonem pełnym wyrzutu:

- Słyszysz? Bądź wdzięczny.

- A zwłaszcza, mój chłopcze - wtrącił wuj Pumblehook - trzeba być wdzięcznym tym, co wychowali cię własnoręcznie.

Mrs Hubble pokiwała głową i patrząc na mnie z żalobnym przecuciem, że nic dobrego ze mnie nie wyrośnie, spytała:

- Czemu to młodzież nigdy nie potrafi być wdzięczna?

Ta zagadka moralna zdawała się przerastać możliwości całego towarzystwa, dopóki Mr. Hubble nie rozwiązał jej gładko:

- Wrodzona występność.

Całe towarzystwo zgodziło się, że to prawda, i wszyscy patrzyli na mnie w sposób szczególnie przykry i natarczywy.

Położenie i wpływy Joego były przy gościach jeszcze słabsze (jeżeli to możliwe) niż w ich nieobecności. Mimo to zawsze znajdował on jakiś sposób, by mnie pocieszyć, ciągle dolewał mi sosu na talerz. Ponieważ tym razem podano do stołu dużo sosu, więc nalał mi chyba z pół kwarty.

Następnie Mr. Wopsle skrytykował ostro dzisiejsze kazanie i dał do zrozumienia, jakie on by wygłosił, gdyby Kościół był

„szeroko otwarty”. Wreszcie, zachęcony zgodą zebranych oświadczył, że uważa temat dzisiejszego kazania za nieodpowiedni, zwłaszcza że wątki do nauk leżą po prostu na ulicy.

- I znowu racja! - zawołał wuj Pumblechook - tematy leżą po prostu na ulicy, trzeba tylko umieć posypać im soli na ogon. Oto, co trzeba umieć. Nie ma się co uganiać daleko za tematami, jeżeli się ma zawsze w pogotowiu solniczkę.

Po krótkim namyśle wuj Pumblechook powiedział:

- Spójrzcie chociażby na prosię. Oto temat. Jeżeli trzeba wam tematu, prosię go dostarczy!

- Racja, proszę pana - zgodził się Mr. Wopsle - ile tu okazji do morałów dla młodych.

Tu spojrzął na mnie, a siostra moja surowo mi poleciła:

- Słuchaj uważnie. Joe dołał mi sosu.

- Świnie - ciągnął Mr. Wopsle najgrubszym swoim głosem, wskazując widelcem moje rumieniące się policzki, jak gdyby wymawiał moje imię - świnie to towarzyszki marnotrawców, żarłoczność świni daje przykład młodym (pomyślałem, że to nieładnie z jego strony tak mówić, gdyż niedawno chwalił kruchość i tłustość wieprzowiny). To, co jest wstrętne w świni, jest również wstrętne w chłopcu.

- Lub w dziewczynce - podsunął Mr. Hubble.

- Słusznie, lub w dziewczynce - zgodził się Mr. Wopsle, ale z pewną irytacją, i dodał:

- Ale tu nie ma dziewczynki.

- A przede wszystkim - zwrócił się Mr. Pumblechook już wprost do mnie - zastanów się, jaki powinieś być wdzięczny. Pomyśl, co by to było, gdybyś się urodził jako kwiczący zwierzak.

- O, mogę zapewnić, że dość się nakwiczał... - wtrąciła moja siostra uroczyście.

Joe dołał mi sosu.

- No tak, tak, ale ja mam na myśli czworonożnego kwiczącego zwierzaka - mówił Mr. Pumblechook - gdybyś się czymś takim urodził, nie byłoby cię w tej chwili wśród nas.

- Chyba, że w takiej oto postaci - dodał Mr. Wopsle wskazując półmisek.

- Nie miałem na myśli takiej postaci - zaproponował zniecierpliwiony Pumblechook, zły, że mu przerywają - chciałem powiedzieć, że wówczas nie miałyby okazji przebywać w towarzystwie starszych i mądrzejszych od niego osób, brać udziału w ich rozmowach, tarzać się w zbytku. Czy miałyby ku temu okazję? Z pewnością nie. I jakież byłby wówczas twój los? Sprzedano by cię na targu za cenę zależną od chwili i rzeźnik Dunstable przyszedłby po ciebie leżącego na słomie. Schwyciłby cię lewą ręką, prawą sięgnąłby, odwinąwszy fartuch, po nóż w kieszeni kamizelki i zarznąłby cię na miejscu. Zapewniam cię! Nie byłoby mowy o wychowywaniu ciebie.

Joe dołał mi znowu sosu, którego nie śmiałem tknąć.

- Musiała pani mieć z nim wiele zmartwień - zwróciła się Mrs Hubble współczująco do mojej siostry.

- Zmartwień? - powtórzyła siostra - zmartwień? - I tu rozpoczęła wyliczanie katalogu chorób, którymi zawiniłem, nocy, które odważyłem się spędzić w bezsenności, wyliczała wszystkie wysoko położone miejsca, z których spadałem, wszystkie dziury, w jakie wpadałem, wszystkie guzy, które sobie nabiłem, dodając, że za każdym razem wołała już widzieć mnie w grobie, ale że ja się upierałem i nie chciałem spocząć w ziemi.

Zdaje mi się, że Rzymianie musieli się wzajemnie ogromnie drażnić swymi nosami. Może to był powód ich ruchliwości. Tak czy inaczej nos Mr. Wopsle drażnił mnie tak okropnie w czasie opowiadania siostry o moich przygodach, że siłą wstrzymywałem się, by nie wytargać gościa za tę część ciała tak, żeby aż zaryczał.

Ale wszystko, co zniósłem do tego czasu, było niczym wobec strasznego uczucia, jakie ogarnęło mnie, gdy siostra skończyła opowiadanie i gdy w ciszy, jaka teraz nastąpiła, wszyscy patrzyli na mnie (czułem się pełen winy) z obrzydzeniem i wyrzutem.

- A mimo to - ciągnął teraz Mr. Pumblechook starając się skierować temat rozmowy znowu na świnię - prosię smacznie przyrządzone jest wcale dobrą rzeczą. Czyż nieprawda?

- Trochę wódeczki, wuju - zaproponowała moja siostra.

O Boże, fatalna chwila nadeszła! Wuj zauważył, że wódka jest słaba, powie to i... zginąłem. Kurczowo chwyciłem pod obrusem obiema dłońmi nogę od stołu i czekałem, aż spełni się przeznaczenie.

Siostra poszła po kamienną butelkę, przyniosła ją i naląła wódki. Tylko wuj zgodził się pić. Przeklęty ten człowiek bawił się kieliszkiem, podnosił go pod światło i znów odstawiał przedłużając moją mękę. Przez ten czas Joe i moja siostra szybko sprząтали ze stołu, by zrobić miejsce na pudding.

Nie mogłem oderwać oczu od wuja Pumblechooka. Wciąż uczepony rękami i nogami nogi od stołu widziałem, jak ten nędznik zapukał z lekka palcem w szkło kieliszka, uśmiechnął się, przechylił głowę i połknął wódkę jednym łykiem. W chwilę potem, ku zdumieniu towarzystwa, zerwał się z miejsca, zakręcił w kółko w jakimś spazmatycznym tańcu i, pokaszując w dziwny sposób, rzucił się ku drzwiom. Niebawem można go było zobaczyć, jak krztusił się, pluł i robił tak okropne grymasy, jak gdyby stracił rozum. Siedziałem nieporuszony, gdy siostra moja i Joe wybiegli za nim na podwórze. Nie widziałem, w jaki sposób, ale byłem pewien, że go zamordowałem. W moim okropnym położeniu było ulgą to, że powrócił do pokoju wprowadzony przez gospodarzy, spojrzął

bacznie na zebranych, jak gdyby karcąc ich za to, że mu nie współczują, i padając na krzesło rzucił tylko jedno słowo: Dziegieć.

To ja dołałem do butelki z wódką wody dziegiowej sądząc, że leję zwykłą. Wiedziałem, że wujowi będzie z chwili na chwilę gorzej.

Uczepiony niewidocznie mebla poruszałem stołem niby nowoczesne medium.

- Dziegieć? - zdumiała się moja siostra - skąd się tam wziął?

Ale wuj Pumblehook, który był władcą w tej kuchni, nie raczył usłyszeć tego zdania. Jednym ruchem ręki oddalił od siebie ten temat i zażądał jałowcówki i gorącej wody.

Siostra moja, która już zaczynała niebezpieczne dla mnie dociekania, zajęła się teraz przyrządzaniem grogu z jałowcówki, gorącej wody, cukru i cytryny. Na krótką chwilę byłem uratowany. Wciąż jeszcze ścisnąłem nogę od stołu, ale teraz przez wdzięczność.

Z czasem uspokoiłem się już na tyle, że zwolniłem nogę z uścisku i mogłem zabrać się do spożywania puddingu. Pan Pumblehook także nabrał porcję leguminy i wszyscy wzięli sobie po kawałku. Gdy deser się skończył, pan Pumblehook pod dobroczynnym wpływem grogu rozpromienił się. Już myślałem, że do końca dnia nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo, gdy nagle siostra moja powiedziała do Joego:

- Czyste talerze... zimne!

Znowu schwyliłem nogę od stołu i przyciskałem ją do piersi, jak gdyby była towarzyszką mojej młodości i przyjaciółką od serca. Przeczuwałem, co teraz nastąpi, i uważałem się za bezpowrotnie zgubionego.

Na zakończenie siostra moja zwróciła się z najmiłym uśmiechem do gości:

- Skosztujecie państwo wspaniałego, przesmacznego daru wuja Pumblehooka. „Doprawdy? Niech jak najszybciej porzucą nadzieję skosztowania” - Trzeba wiedzieć - ciągnęła siostra wstając - że darem tym jest soczysty, świetnie wypieczony pasztet wieprzowy.

Towarzystwo zaszemrało wyrażając zadowolenie, a Pumblehook rad, że sprawił przyjemność gościom, oświadczył uprzejmie:

- Doskonale, Mrs Joe, zrobimy, co do nas należy! Podzielimy pasztecik!

Siostra moja wyszła po pasztet. Słyszałem jej kroki zmierzające do spiżarni. Wiedziałem, jak Pumblehook kołysze trzymanym w ręku nożem, jak nozdrza Mr. Wopsle'a rozszerza pożądanie pasztetu, słyszałem, jak Mr. Hubble powiedział:

- Kawałek smacznego pasztetu wieprzowego można zjeść i nigdy nie zaszkodzi.

Słyszałem szept Joego.

- Dostaniesz kawałek, Pip.

Nigdy już się nie dowiem, czy krzyk rozpaczony wydarł mi się; tylko w głębi ducha, czy też usłyszało go całe towarzystwo. Poczulem tylko, że dłużej już nie wytrzymam i że muszę uciekać. Puściłem więc nogę od stołu i rzuciłem się do ucieczki.

Ale dobiegłem tylko do drzwi domu, bo w progu natknąłem się pochyloną głową na oddział uzbrojonych w muszkiety żołnierzy. Jeden z nich wyciągnął ku mnie parę kajdanów i zawołał:

- A, jesteś? Prędko, ruszaj!

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Na widok oddziału żołnierzy, którzy stukali kolbami muszkietów o próg naszego mieszkania, zebrani zerwali się od stołu w popłochu, a siostra moja, która wracała do kuchni z pustymi rękoma, biadając: „Boże mój, Boże, co się stało z pasztetem?” urwała w pół słowa.

Wchodząc do kuchni zastała tam sierżanta i mnie i zmierzyła nas obu zdumionym spojrzeniem. Na ten widok odzyskałem nieco przytomność, a sierżant, wciąż trzymając rękę na moim lewym ramieniu, wyciągnął ku zebranym zachęcająco dłoń z kajdanami.

- Wybaczcie mi, państwo - powiedział - ale jak to już wspomniałem w progu temu oto smykowi (nic mi nie wspominał), jesteśmy w pogoni za przestępcą w imię jego królewskiej mości i potrzebujemy pilnie kowala.

- A czego to chcecie od niego? - spytała siostra, gotowa mieć pretensję, że w ogóle ktoś może potrzebować jej męża.

- Pani - odparł z galanterią żandarm - gdybym mówił we własnym imieniu, powiedziałbym, że chcemy, by nas zapoznał ze swą śliczną żoną. Ale w imieniu króla muszę oznajmić, że potrzebny nam jest do wykonania pewnej małej roboty.

Przemówienie sierżanta zostało przyjęte nader przychylnie, a Mr. Pumblechook zawołał nawet głośno:

- Doskonale!

- Widzi pan, panie kowalu - ciągnął sierżant, który już wyłowił Joego spośród zebranych - jedna para kajdanek popsuła się, zamek nie jest szczelny, a ponieważ potrzebne nam będą natychmiast, więc trzeba, by pan rzucił na nie okiem.

Joe rzucił okiem i oświadczył, że musi rozpalić ogień w kuchni i że naprawa potrwa ze dwie godziny.

- Rzeczywiście? - zdziwił się sierżant - to niech pan zabiera się natychmiast do roboty. To, rozumie pan, służba dla jego królewskiej mości. A gdyby ludzie moi mogli panu w czym być pomocni, niech pan się nimi posłuży.

Zaraz też zawołał swych ludzi, którzy weszli całą gromadką do kuchni i ustawili broń w kącie. Potem, jak to żołnierze, kiedy uwolnią się od broni, albo krzyżowali ręce na piersi, albo poprawiali pas czy mieszek z prochem, albo naprężali kolana czy ramiona, albo też, otworzywszy drzwi na dwór, pluli z wysokości sztywnych kołnierzy na podwórk.

Wszystko to widziałem, nie zdając sobie sprawy z tego, co oglądam, w takim byłym strachu i takiej panice. Powoli jednak zaczynałem pojmować, że kajdany nie są przeznaczone

dla mnie i że wtargnięcie żołnierzy pograżyło w niepamięć pasztet, odzyskiwałem więc przytomność.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, która godzina? - zwrócił się sierżant do Pumblehooka, który wyglądał na człowieka obeznanego z czasem.

- Punktualnie wpół do trzeciej.

- To nienajgorzej jeszcze - orzekł sierżant - nawet gdyby nam przyszło czekać dwie godziny, zdążymy jeszcze na czas. Jak daleko stąd do bagniska? Więcej niż mila?

- Akurat mila - odpowiedziała siostra.

- To właśnie dobrze. Będziemy przy nich przed zmrokiem. Mam rozkaz schwytania ich, zanim noc zapadnie. Da się zrobić!

- Galernicy? - spytał Mr. Wopsle swobodnym tonem.

- Tak - odparł sierżant. - Dwóch. Jestem pewien, że są jeszcze na bagnisku i nie odważą się uciec przed nocą. Może kto z państwa widział tych bandytów?

Wszyscy, prócz mnie, żywo zaprzeczyli. Na mnie nikt nie zwracał uwagi.

- Znajdą się prędzej, niż przypuszczają, w pułapce - powiedział sierżant. - No, kowalu, czy pan gotów? Bo to służba jego królewskiej mości.

Joe zdjął surdut, kamizelkę i krawat, włożył skórzany fartuch i przeszedł do kuźni. Jeden z żołnierzy otworzył drewniane okiennice, drugi rozpałił ogień, trzeci dał w miech, a reszta zgromadziła się wokół ognia, który zaczął już huczeć.

Teraz Joe kuł młotem z brzękiem i hukiem, a wszyscy się mu przyglądali.

Niezwykły wypadek pogoni za więźniami nie tylko obudził zainteresowanie zebranych, ale podziałał łagodząco na moją siostrę. Poczęstowała żołnierzy piwem z beczułki, a potem zaproponowała sierżantowi wódkę.

- Lepiej niech pani mu da wina - doradził Mr. Pumblehook - pewniejsze, że nie będzie z dziegiem.

Sierżant oświadczył, że woli wino bez dziegiu, jeżeli gospodyni nie ma nic przeciwko temu. Gdy otrzymał trunek, wypił jednym haustem zdrowie jego królewskiej mości, potem złożył życzenia świąteczne i cmoknął wargami.

- Dobre winko, co, sierżancie? - spytał Mr. Pumblehook.

- Coś panu powiem - odparł sierżant - zdaje mi się, że to pański podarunek, co?

Mr Pumblehook z grubym śmiechem zagadnął:

- Ho, ho, a czemu to?

- Bo - i tu sierżant poklepał go po ramieniu - pan mi wygląda na człowieka, który zna się na rzeczy.

- Tak pan uważa? - badał Mr. Pumblechook z tym samym śmiechem - no, to jeszcze kieliszeczek?

- Z panem - oświadczył sierżant - jeśli wolno mi się trącić. Górny brzeg mojego kieliszka trąci o podstawkę pańskiego, a górny brzeg pańskiej podstawki o brzeg mojego. O, tak! Czy jest piękniejsza szklana muzyka? Na zdrowie! Życzę panu, by nigdy nie był gorszym znawcą dobrego trunku niż teraz i by pan żył tysiąc lat!

Sierżant wypił drugi kieliszeczek i nie odmówiłby trzeciego. Spostrzegłem, że Mr. Pumblechook zapomniał całkiem, iż zrobił z tego wina prezent, i traktował butelkę, jak gdyby była jego własnością i jak gdyby miał prawo z niej częstować. I mnie też. się coś niecoś dostało. Był tak swobodny, że po wypróżnieniu jednej zażądał drugiej butelki i rozlewał ją równie hojnie.

Przyglądając się tej wesoło zabawiającej się w kuźni kompanii, myślałem, że mój przyjaciel zbieg tam na bagnisku jest dla nich czymś w rodzaju przyprawy do uczyty. Rozmowa o tym, jak ta schwytają tych „dwu nędzników”, podniecała i rozweselała jeszcze bardziej towarzystwo. Zdawało mi się, że ogień płonie w kuźni na ich zgubę, że na ich zgubę sapia miechy, że dym unosi się w ślad za nimi, że dla nich Joe wali młotem i że w miarę jak młot spada i płomień wystrzela w górę, groźne cienie, tańczące na ścianach, im właśnie grożą, iskierki, wyskakujące z paleniska, dla nich umierają, a nawet światło dnia przybladło na dworze z ich powodu.

Tak się zdawało mojej dziecięcej wyobraźni, gdy myślałem o tamtych dwu biedakach.

Wreszcie Joe skończył pracę i ustał huk i brzęk żelastwa. Gdy kowal włożył znowu surdut, zdobył się na odwagę zapytać, czy ktoś z nas mógłby towarzyszyć żołnierzom i przyjrzeć się pościgowi. Panowie Pumblechook i Hubble odmówili, przekładając fajeczkę i towarzystwo pań, ale Mr. Wopsle oświadczył, że jeżeli Joe pójdzie, to i on także, a kowal zaproponował, że zabierze mnie ze sobą, o ile żona nie będzie miała nic przeciwko temu. Siostra moja nigdy nie pozwoliłaby na to, gdyby nie ciekawość i chęć dowiedzenia się od nas, jak się wszystko skończy. Powiedziała więc:

- Idźcie, ale jak chłopiec wróci z głową rozwaloną od wystrzału, to ja mu jej nie skleję.

Sierżant uprzejmie pożegnał się z paniami; a z Mr. Pumblechookiem rozstał się jak z kompanem. Sądzę, że nie doceniłby do tego stopnia jego zalet towarzyskich, gdyby znajomości tej nie podlał dobrym winem.

Żołnierze wzięli broń na ramię i ustawili się w szeregu. Mr Wopsle, Joe i ja otrzymaliśmy rozkaz maszerowania z tyłu i zakaz rozmawiania na bagnisku.

Gdyśmy tak szli przed siebie, szepnąłem zdradziecko do Joego:

- Mam nadzieję, że ich nie znajdziemy. A Joe odpowiedział szeptem:

- Dałbym szylinga, by udało im się uciec, Pip.

Nikt z przechodniów nie przyłączył się do nas po drodze, gdyż pogoda była zimna i wietrzna, droga trudna i bagnista; zapadał zmierzch i ludzie woleli świętować w ciepłych domach przy ogniu kominka. Kilka twarzy pokazało się w oknach za szybami, ale nikt za nami nie wyszedł na ulicę.

Minęliśmy słup drogowskazu i szliśmy wprost ku cmentarzowi. Tam zatrzymaliśmy się na znak dany nam przez sierżanta, a jego ludzie rozproszyli się pomiędzy grobami i docierali nawet do kościoła. Powrócili z niczym, wobec czego wyszliśmy przez główną bramę cmentarza na bagnistą równinę. Uderzył w nas mroźny wiatr kłujący igielkami lodu i Joe wziął mnie na barana.

Teraz dopiero, gdy przebiegaliśmy te same posępne pustkowia, w których przed ośmioma czy dziewięcioma godzinami widziałem obu zbiegów, przeszła mnie przerażeniem myśl, że galernik widząc mnie tutaj pomyśli, iż to ja sprowadziłem na niego żołnierzy. Pytał mnie przecież, czy go nie zdradziłem, a potem mówił, że byłbym dobrym gagatkiem, gdybym ściągnął na niego pościg. Czy teraz będzie przekonany, że jestem zdrajcą i gagatkiem?

Ale na nic się już nie zdały te rozmyślenia. Siedziałem na grzbiecie Joego, który przesadzając zrećźnie rowy jednocześnie ostrzegał Mr. Wopsle'a, by nie upadł na swój rzymski nos lub nie zabłądził. Żołnierze idący przed nami rozwinęli się w tyralierkę, zostawiając wiele miejsca pomiędzy sobą. Posuwaliśmy się tą samą drogą, którą szedłem rankiem i na której zabłąkałem się we mgle. Mgła jeszcze się nie podniosła, ale wiatr już ją nieco rozproszył. W rudym blasku zachodzącego słońca latarnia morska, szubienica i mury forteczki na przeciwległym brzegu rzeki rysowały się wyraźnie i miały ołowianą barwę.

Z sercem bijącym jak młot kowalski patrzyłem z wysokości ramion Joego, czy nie ujrzę gdzieś galerników. Ale nie widziałem ani nie słyszałem nic. Mr Wopsle przerażał mnie co chwilę sapaniem i stękaniem, ale powoli nauczyłem się odróżniać te odgłosy od głosów pościgu. W pewnej chwili ogarnął mnie okropny lęk, bo zdawało mi się, że słyszę dźwięk pilnika, ale już po chwili zrozumiałem, że to głos dzwonka pasającej się owcy. Owce przestawały się pożywiać, gdyśmy przechodzili, i patrzyły na nas nieśmiało, a krowy, które odwracały głowy, by uniknąć wichru i lodowatej śnieżycy, spoglądały na nas ze złością, jak gdyby nas czyniąc odpowiedzialnymi za te obie przykrości.

Poza tym jednak i lekkim drżeniem traw wobec nadciągającego wieczoru, nic nie mąciło przeraźliwej ciszy, jaka wokół panowała.

Żołnierze posuwali się w kierunku starej forteczki, a my za nimi, gdy nagle zatrzymaliśmy się wszyscy. Bo oto na skrzydłach wichru i ulewy doleciał nas jakiś krzyk. Po chwili powtórzył się wyraźnie w stronie zachodniej. Było to potężne i straszne wołanie, a właściwie trzy następujące po sobie okrzyki, o ile mogliśmy sądzić po tych zmieszanych odgłosach. Gdy Joe ze mną dogonił sierżanta i żołnierzy, zastaliśmy ich naradzających się szeptem. Po ich wysłuchaniu Joe (który umiał trafnie ocenić sytuację) i Mr. Wopsle (który nie posiadał tej zdolności) zgodzili się, że to ktoś woła, a sierżant postanowił nie odpowiadać na wezwanie, tylko po cichu posuwać się w tym kierunku. Ruszyliśmy więc na prawo, to jest w kierunku zachodnim, a Joe tak pogalopował, że musiałem się mocno go trzymać, aby nie stracić równowagi.

Biegliśmy teraz jak szaleni. - Prawdziwy wyścig - powiedział Joe. Były to zresztą jedyne słowa, jakie wymówił. Braliśmy przeszkody, przesadzaliśmy płoty, wskakiwaliśmy do rowów i wyskakiwaliśmy z nich, rozpryskiwaliśmy pod stopami kałuże nie zważając na nie po drodze.

Gdyśmy się przybliżyli, można już było wyraźnie rozróżnić, że hałas podnosi nie jeden głos. Chwilami wrzawa milkła i wtedy żołnierze zatrzymywali się. Gdy wybuchała na nowo, puszczali się znowu w bieg jeszcze szybszy, a my za nimi. Wreszcie znaleźliśmy się już tak blisko, że mogliśmy rozróżnić słowa:

- Mordują! I inny głos:

- Galernicy! Więźniowie! Na pomoc! Straż! Tędy, tędy, za zbiegłymi galernikami!

Przez chwilę głosy stłumiło coś jak hałas bójki, a gdy zabrzmiały znowu, żołnierze puścili się biegiem jak jelenie, a Joe za nimi.

Na przedzie biegł sierżant, a zaraz za nim dwu żołnierzy z bronią gotową do strzału.

- Tu są! Tu są obaj! - krzyknął po chwili sierżant gdzieś z dna rowu. - Poddajcie się! Natychmiast! Wy, dzikie zwierzaki! Rozdzielcie się!

Wśród bulgotania wody w rowie, bryzgów błota, przekleństw i odgłosu ciosów żołnierze wskoczyli do rowu na pomoc dowódcy i po chwili wyciągnęli stamtąd po kolei obu pokrwawionych i obłoconych galerników. Dyszeli ciężko, przeklinali i wydzierali się z rąk żołnierzy. Poznałem ich natychmiast.

- Zapamiętajcie sobie - powiedział mój galernik ocierając łachmanami rękawa krew z twarzy i wytrząsając spomiędzy palców kępki włosów z cierniami - to ja go schwytałem. Ja go wam wydałem. Zapamiętajcie!

- To ci niewiele pomoże - odparł sierżant - jesteś przecież w tym samym położeniu co on. Kajdany!

- Wcale nie chcę żądać zmniejszenia kary - odpowiedział galernik - i tak mi to wystarczy. Chcę tylko, by on wiedział, że go wydał.

I zaśmiał się złym śmiechem.

Drugi więzień był siny. Oprócz blizn na lewym policzku przybyły mu rany na całej twarzy, włosy miał pełne ciemi. Nie odzyskał tchu na tyle, aby mówić, aż do chwili gdy nałożono mu kajdanki, i musiał się oprzeć o jednego z żołnierzy, by ustać na nogach.

- Sierzancie, proszę pamiętać. On chciał mnie zamordować - brzmiały pierwsze jego słowa.

- Chciałem go zamordować? I nie zamordowałem? - powtórzył tamten pogardliwie. - Po prostu przeszkodziłem mu w ucieczce. Wlokłem go po błocie aż do tego miejsca, żeby go wam wydać. To pan, jeżeli chcecie wiedzieć. I ten pan wróci na galery. Po co miałbym go zabijać, skoro szykuję mu gorszy los. Wydaję go.

Tamten powtarzał tylko ciągle dysząc:

- Chciał... chciał mnie zamordować... panowie będą świadkami...

- Słuchajcie! - wołał mój galernik - uciekłem sam z galer, mogłem uciec i z tych błot, bo... - wskazał na nogę - pozbyłem się łańcucha. Ale nie chciałem na to pozwolić, by i on uciekł. By raz jeszcze ze mnie skorzystał. Jeszcze raz miałem mu pomagać? Jeszcze raz być jego narzędziem? Nie, nie, nie! I gdybym nawet zdechł tutaj na dnie rowu - tu dramatycznym gestem wyciągnął zakute dłonie - nie wypuściłbym go i znaleźlibyście go w moich szponach.

Drugi zbieg, który najwyraźniej bał się śmiertelnie pierwszego, powtarzał tylko:

- Chciał... mnie zamordować... Byłbym trupem, gdybyście nie nadeszli...

- Kłamie - zaprzeczył z godnością mój galernik - urodził się kłamcą i umrze kłamcą. Spójrzcie mu w twarz. Czyż nie wygląda na kłamcę? Niech się ośmieli popatrzeć ml w oczy.

Tamten usiłował wywołać na usta pogardliwy uśmiech, ale nie udawało mu się przemóc nerwowego drgania warg. Spojrzał na żołnierzy, na bagniska dokoła, na niebo, ale nie rzucił spojrzenia na tego, który mówił.

- Widzicie go? - krzyczał galernik - widzicie tego szubrawca? Te błędzące niepewne oczy? On nigdy nie spojrzy mi w twarz. I tak było zawsze.

Tamten wciąż nerwowo przygryzając wyschnięte wargi błędził niespokojnie wzrokiem wokół siebie, ale wreszcie popatrzył przez chwilę nieco szyderczo na swego towarzysza i oświadczył:

- I ty nie wyglądasz zbyt przyjemnie.

Tu wymownie spojrzał na jego zakute ręce. Na te słowa galernika ogarnął szal.

- Słyszeliście? Słyszeliście? - ryczał - on chce mnie zamordować! Czy wam tego nie mówiłem?

Na wargi jego wystąpiła biała piana, podobna do dziwnych płatków śniegu.

- Dość już będzie tej gadaniny - przerwał ostro sierżant - zapalić pochodnie!

Podczas gdy jeden z żołnierzy, który zamiast broni niósł w rękę koszyk, przykląkł na jedno kolano, by go otworzyć, mój galernik rozglądał się wokoło i wtedy po raz pierwszy spojrzenie jego padło na mnie. Zeszedłem już z grzbietu Joego i przysiadłem na brzegu rowu nie ruszając się z miejsca. Kiedy poczułem na sobie jego wzrok, nie odwróciłem oczu, tylko rozłożywszy dłonie potrząsnąłem przecząco głową. W ten sposób chciałem go zapewnić, że go nie zdradziłem. Nie wiedziałem, czy mnie zrozumiał i czy mi uwierzył, bo rzucił mi niepojęte spojrzenie, a wszystko to trwało zaledwie mgnienie oka. Gdyby jednak nawet trwało godzinę lub dobę i tak nie zapamiętałbym lepiej wyrazu jego twarzy.

Żołnierz z koszykiem wydobył z niego kilka pochodni, zapalił je, jedną wziął sam do ręki, inne rozdał kolegom. Już przedtem było ciemno, ale teraz wydało mi się, że ciemności rosą z każdą chwilą. Zanim wyruszyliśmy w drogę, czterech żołnierze ustawieni pierścieniem wystrzelili dwukrotnie w powietrze. Natychmiast w kilku miejscach bagnistej równiny i na drugim brzegu rzeki zapłonęły ognie pochodni.

- W porządku - powiedział sierżant - naprzód, marsz! Nie uszliśmy daleko, gdy rozległy się trzy potężne wystrzały armatnie, od których omal mi nie popękały bębenki w uszach.

- Oczekują cię na pokładzie galer - zwrócił się sierżant do mego galernika - wiedzą, że przybywasz. Nie masz co się bronić. Ściśnijcie tam rzędy, chłopcy.

Każdego z więźniów prowadzono oddzielnie pod inną strażą. Trzymałem za rękę Joego, który niósł pochodnię. Mr Wopsle miał ochotę wracać do domu, ale Joe postanowił pozostać do końca, więc szliśmy za żołnierzami.

Droga poprawiła się teraz nieco, wiodła wzdłuż rzeczki wijąc się w kilku miejscach. Mijaliśmy groble, małe wiatraki i zabłocone śluzy. Rozglądając się wokoło widziałem, że inne pochodnie również nam towarzyszą. Sypały one po drodze iskry i żarzące się węgle, które dymiły i rzucały czerwone blaski na ziemię. Naokoło nas panował nieprzenikniony Mr.ok. Nasze światła rozgrzewały powietrze dokoła smolistym płomieniem; dwaj ludzie prowadzeni wśród muszkietów zdawali się być z tego zadowoleni. Posuwaliśmy się z ich powodu bardzo powoli, a i to trzeba było się kilka razy zatrzymywać, by dać im odetchnąć.

Po przeszło godzinie takiej wędrówki dotarliśmy do zagrody, w której stała drewniana chałupa. Był to posterunek wojskowy. Sierżant odpowiedział na hasło, po czym weszliśmy do

wnętrza chaty, gdzie pachniało tytoniem, wapnem i gdzie palił się ogień na kominie. Była tam lampa, muszkiety pod ścianą, bęben i drewniana prycza, niska i podobna do olbrzymiego magła bez przyrządów; mogło się tam przespać jednocześnie z tuzin żołnierzy. Trzech czy czterech odpoczywających na tym tapczanie wojaków nie zwróciło na nas specjalnej uwagi. Podnieśli na chwilę głowy, gdyśmy weszli, i położyli się zaraz znowu spać. Sierżant złożył rodzaj raportu, zapisał coś do książki, po czym strażnicy odprowadzili najpierw „tego drugiego”, jak go w myśli nazywałem.

Mój galernik od tamtej chwili, o której już wspominałem, nie spojrzał na mnie ani razu. Od momentu gdyśmy weszli do chaty, stał przed kominkiem i grzał się przy ogniu nie odrywając od niego oczu. Chwilami wysuwał jedną stopę ku płomieniom i patrzył na nią, jak gdyby jej żałował, że musiała przejść tak przykre wypadki.

Nagle zwrócił się do sierżanta i powiedział:

- Chciałbym oświadczyć coś w związku z moją ucieczką. Może moje słowa uchronią innych od podejrzeń.

- Możesz sobie potem oświadczać, co ci się podoba - odpowiedział sierżant patrząc na niego chłodno i krzyżując ramiona na piersiach - teraz nie czas po temu. Jeszcze dość będziesz musiał na ten temat rozmawiać. Zapewniam cię.

- Wiem o tym - odparł galernik - ale chcę mówić o czymś innym. Człowiek nie może umierać z głodu. Przynajmniej ja nie mogę. Więc musiałem zabrać sobie trochę zapasów z domu na, wsi, tam za bagniskiem, gdzie kościół stoi prawie na moczarach.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, żeś je ukradł? - zapytał: sierżant.

- Tak i powiem wam u kogo. U kowala.

- Ho ho - zauważył sierżant patrząc na Joego.

- Ho ho, Pip - dodał Joe patrząc na mnie.

- Były tam resztki jedzenia, trochę wódki i pasztet.

- Czy spostrzeżliście, że zginął wam pasztet, kowalu? - badał dobrodusznie sierżant Joego.

- Żona moja spostrzegła to w chwili, gdy panowie do nas wchodzili. Prawda, Pip? - odparł Joe.

- Ach, tak - powiedział galernik zwracając ożywione spojrzenie na Joego (na mnie nawet nie spojrzał) - to pan jest kowalem? Bardzo mi przykro, ale zjadłem pański pasztet.

- Bóg widzi, że panu to wybaczam, jeżeli o mnie chodzi, całkowicie - oznajmił Joe, któremu przed oczyma mignęło wspomnienie żony. - Nie chcielibyśmy, aby pan zmarł z głodu. Prawda, Pip, że nie chcielibyśmy tego?

W krtani Joego coś zadrgało. Już raz słyszałem ten dźwięk.. Joe odwrócił się. W tejże chwili łódź, która odwiozła więźnia na galery, powróciła po mojego galernika. Odprowadziliśmy go aż na brzeg do wbitych na przystani pali i wielkich kamieni i widzieliśmy, jak wsiada do łodzi, w której stali wiosłarze, tacy sami jak on galernicy, żaden z nich nie zdawał się być zdziwiony jego widokiem, żaden się nie ucieszył ani go nie przywitał, żaden nie okazywał zmartwienia z powodu niepowodzenia ucieczki. Jakiś głos. w łodzi wrzasnął tylko jak na psy:

- No, dalej, jazda, wy tam! Był to sygnał do wiosłowania.

W blasku pochodni ujrzeliśmy leżące na wodzie nie opodal brzegu czarne galery jak straszliwą arkę Noego. Przytwierdzony łańcuchami, okuty w żelazo ponton zdawał się moim dziecięcym oczom równie uwięziony jak zakuci w kajdany galernicy. Widzieliśmy, jak łódź dobiła do galer, jak więzień wysiadł i zniknął nam z oczu. Potem głównie pochodni zanurzone w wodzie zasyczały i wówczas zdawało mi się, że wszystko raz na zawsze z nim się skończyło.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Uczucie, jakiego doświadczałem, gdy tak nieoczekiwanie zostałem uwolniony od ciężaru popełnionej kradzieży, nie nastrajało mnie wcale do szczerego przyznania się do winy; wydawało mi się jednak, że nie wypływało to z pobudek do gruntu złych.

Nie przypominam sobie, abym odczuwał jakiegokolwiek wyrzuty sumienia w stosunku do mojej siostry, z chwilą gdy przestałem się lękać, że wina moja zostanie odkryta. Ale kochałem Joego - chociażby z tego powodu, że w tym czasie ów drogi przyjaciel pozwalał mi się kochać - i w stosunku do niego czułem coś w rodzaju wewnętrznego niepokoju. Nie przestawałem myśleć (zwłaszcza kiedy widziałem, jak szuka pilnika), że powinienem mu wyznać całą prawdę. A jednak nie uczyniłem tego obawiając się, że będzie mnie uważał za jeszcze gorszego niż w rzeczywistości. Obawa, że stracę zaufanie Joego i że odtąd będę siadywał wieczorami w kącie przy kominku i patrzył ze smutkiem na utraconego na zawsze towarzysza i przyjaciela, zamykała mi usta. Wyobrażałem sobie ponuro, że gdyby Joe wiedział całą prawdę, nie mógłbym już nigdy patrzeć, jak przygląda przed ogniem kominka fawoxyty, gdyż musiałbym myśleć wciąż o tym, że zastanawia się nad moją niegodziwością. Że gdyby Joe wiedział o wszystkim, nigdy bym już nie mógł na niego patrzeć, nawet wtedy gdy rzuca obojętne spojrzenie na wczorajszy pudding i mięso na stole - wciąż miałbym wrażenie, że szwagier zastanawia się, czy plądrowałem już w spiżarni. Krew uderzała mi do policzków na samą myśl, iż Joe któregoś dnia w ciągu naszego wspólnego domowego pożycia zauważywszy, że jego piwo jest zbyt gęste lub niesmaczne, mógłby mnie podejrzewać o dolanie do napoju dziegciu. Słowem, byłem zbyt wielkim tchórzem, aby czynić to, co uważałem za słuszne, i zanadto tchórzyłem, aby uniknąć złych postępów. Nie miałem jeszcze wtedy żadnego kontaktu ze światem i nie wiedziałem, że w ten sposób postępuje większa część jego mieszkańców. Sam w genialny sposób odkryłem dla siebie linię postępowania.

Nie oddaliliśmy się jeszcze bardzo od pontonu, kiedy padałem już z senności i Joe wziął mnie znowu na barana, aby mnie zanieść do domu. Musiała to być dla niego bardzo męcząca droga, gdyż Mr. Wopsle wpadł w tak straszny humor, że gdyby kościół „był otwarty”, pewnie nasz towarzysz rzuciłby klątwę na całą naszą wyprawę, poczynawszy od Joego i ode mnie. Był na tyle lekkomyślny, że siedział długo w wilgotnym powietrzu i gdy zdjął kurtkę, aby ją wysuszyć przy ogniu w kuchni, stan jego spodni stanowiłby

wystarczający powód, aby go skazać na powieszenie, gdyby tego rodzaju lekkomyślność uważano za poważne przestępstwo.

Tymczasem ja zataczałem się jak mały pijak po podłodze kuchennej; gdy Joe postawił mnie na nogi, spałem z zaciśniętymi pięściami i teraz obudziłem się w ciepłe, światło i wśród gwaru głosów. Kiedy ocknąłem się (przy pomocy porządnego kuksańca wymierzonego mi między łopatki i przeraźliwego okrzyku mojej siostry: „Widział kto kiedy takiego chłopaka!”, usłyszałem, jak Joe opowiadał im o zeznaniu galernika i jak wszyscy goście starali się na tysiące sposobów wyjaśnić, w jaki sposób zbieg mógł się dostać do spiżarni. Mr Pumblechook zdecydował po starannym zbadaniu wszystkich miejsc, że galernik najpierw wspiął się na dach kuchni, stamtąd na dach domu, potem ześliznął się przez komin kuchni przy pomocy sznura uplecionego z podartych prześcieradeł; a ponieważ Mr. Pumblechook był bardzo stanowczy i sam powoził, kiedy jechał bryczką - wszyscy zgodzili się, że tak musiało być rzeczywiście. Mr Wopsle uważał wprawdzie za stosowne wołać zaciekle „nie” złościąc się niezbyt gwałtownie ze względu na zmęczenie - ale nie posiadał ani własnego zdania, ani marynarki, więc nikt nie zwrócił na to uwagi, tym bardziej że z tylnej części jego ciała unosiła się gęsta para, gdyż odwrócony tyłem do ognia suszył sobie spodnie), co nie wzbudzało do niego bynajmniej zaufania.

Tyle usłyszałem tego wieczoru, gdyż siostra moja schwyciła mnie i aby zaoszczędzić gościom uwłaczającego widoku mojej osoby pogrążonej we śnie, zaciągnęła mnie do łóżka tak silną ręką, że zdawało mi się, iż mam na nogach pięćdziesiąt par butów, które przy każdym kroku uderzały o stopnie schodów.

Uczucia owej nocy przeżywałem ponownie nazajutrz rano, zanim wstałem z łóżka, i długo potem, nawet wówczas gdy cała ta sprawa poszła w zapomnienie i powracano do niej już tylko w wyjątkowych wypadkach.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

W czasach, kiedy odczytywałem na cmentarzu napisy na nagrobkach rodziny, potrafiłem je zaledwie sylabizować. Wytworzyłem sobie też z nich własne, nie zawsze zgodne z prawdą wyobrażenia: określenie „małżonka powyższego” stanowiło dla mnie coś w rodzaju pochlebnej opinii o moim ojcu na tamtym świecie i gdybym przy którymś nazwisku moich krewnych nieboszczyków przeczytał epitet „poniższego”, wyrobiłbym sobie najgorsze zdanie o tym członku rodziny. Jeżeli chodzi o moje wiadomości teologiczne, których źródłem był katechizm, to i one nie krystalizowały się całkiem jasno. Przypominam sobie, że słowa „kroczyć tą samą ścieżką każdego dnia mego żywota” rozumiałem w ten sposób, że muszę chodzić przez miasteczko zawsze tą samą drogą i nie zbaczać w stronę młyna ani w stronę domu kołodzieja.

Była mowa, że Joe będzie mnie uczył rzemiosła, kiedy podrosnę. Ale zanim miałem dostąpić tego zaszczytu, siostra moja uważała, że nie należy mnie zbyt rozpieszczać, jak zwykle mówiła. Nie tylko więc pomagałem w kuźni, ale gdy któryś z sąsiadów potrzebował chłopaka do rozpędzania ptactwa, zbierania kamieni lub innej czynności w tym rodzaju, obdarzano mnie łaskawie tą funkcją. Jednocześnie, nie chcąc narażać na kompromitację naszej pozycji towarzyskiej, umieszczone w kuchni na kominku skarbonkę, do której (o czym się miało zwyczaj oznajmiać publicznie) składano wszystko, co zarabiałem. Oszczędności te były przeznaczone chyba na spłacanie Pożyczki Narodowej, gdyż nie miałem najmniejszej nadziei, aby choć cząstkę tego skarbu otrzymać na własność.

Cioteczna babka Mr. Wopsle’a prowadziła w miasteczku wieczorną szkółkę. Ta stara, zabawna kobieta o mocno ograniczonych środkach utrzymania i nieograniczonym upośledzeniu umysłu miała zwyczaj zasypiać co wieczór od godz. do w towarzystwie uczniów, z których każdy płacił jej co tydzień dwa pensy za tę „naukę”. Odnajmowała mały domek, w którym Mr. Wopsle zajmował pokój na górze. Słyszeliśmy, jak uroczystym i strasznym głosem czytał, a od czasu do czasu pukał w nasz sufit. Mr Wopsle raz na kwartał miał „egzaminować” uczniów. Była to dla niego okazja do odwijania mankietów, odrzucania w tył włosów i recytowania mowy Marka Antoniusza nad zwłokami Cezara. Potem następowała „Oda do namiętności” Collinsa. Podziwiałem specjalnie Mr. Wopsle’a, gdy wyobrażał Zemstę. Rzucił zakrwawionym mieczem i grzmiał wielkim głosem, obwieszczając wojnę. Później, gdy zapoznałem się bliżej z „namiętnościami”, zmieniłem zdanie o Collinsie i o Wopsle’u, raczej na niekorzyść tych dwóch panów.

Cioteczna babka Mr. Wopsle'a, niezależnie od zakładu wychowawczego, miała w tym samym pokoju... mały sklepik. Nie znała się zupełnie na handlu i nie miała pojęcia o cenach, ale w szufladzie trzymała, zatłuszczony zeszytek, który służył jej za cennik. Wyrocznią przy załatwianiu wszelkich transakcji handlowych była Biddy, wnuczka ciotecznej babki Mr. Wopsle'a. Była jak ja sierotą i jak ja została wychowana „własnoręcznie”. Najbardziej zastanawiały mnie w niej charakterystyczne dla niej kontrasty: w dzień powszedni chodziła rozczochrana, zawsze z brudnymi rękami, a pięty wyłaziły jej stale z podartych bucików. W niedzielę jednak szła do kościoła odświętnie wystrojona.

Częściowo sam, częściowo przy pomocy Biddy, o wiele skuteczniejszej od pomocy ciotecznej babki Mr. Wopsle'a, przedzierałem się przez alfabet jak przez gąszcz pełen cierni, gdzie każda litera stawała się przedmiotem udręki. Zaraz potem rzuciło się na mnie, niczem dziewięciu łotrzyków, dziewięć cyfr, które co wieczór dawały mi nowe zagadki i przybierały nowe postacie. Ale ostatecznie nauczyłem się czytać, pisać i rachować posuwając się jak ślepiec po szczeblach drabiny.

Pewnego wieczoru usiadłem w kącie przy kominku z tabliczką w rękę, usiłując z największym wysiłkiem ułożyć list do Joego. Musiało to być przynajmniej w rok po naszym pościgu wśród bagnisk, gdyż na świecie panowała znowu zima i Mr.óz. U stóp położyłem sobie abecadło i zaglądałem do niego od czasu do czasu, a po upływie jednej lub dwu godzin nagryzmoliłem następujący list:

„mój Drogi Jo Mam nadzieję, że zrujesz się ty dobrze i że niedługo będę mógł ciebie uczyć Jo. Ftedy obaj będziemy tacy zadowoleni, Jo. A potem zostanę twoim czeladnikiem. Pozdrawiam cię PiP”.

Nie zachodziła żadna konieczność, abym się musiał porozumiewać z Joem listownie, gdyż siedział tuż obok mnie i byliśmy sami, ale wręczyłem mu ten list na tabliczce, wypisany przeze mnie własnoręcznie, i Joe uważał go za cud wykształcenia.

- Pip, mój staruchu! - zawołał otwierając niebieskie oczy - ależ z ciebie uczony!

- Chciałbym być uczonym - powiedziałem rzucając spojrzenia na tabliczkę, gdyż podejrzewałem, iż pisownia moja nie jest poprawna.

- Oto J - chwalił Joe - i takie piękne O! Tak, Pip, J i O, a J i O to razem Joe!

Nigdy nie słyszałem, by Joe czytał na głos coś innego prócz tej sylaby, a w kościele podczas nabożeństwa zauważyłem, że trzymał książkę do nabożeństwa do góry nogami. Chciałem przy tej okazji dowiedzieć się, czy ucząc Joego musiałbym zaczynać naukę od samego początku.

Odezwałem się:

- Przeczytaj do końca, Joe.

- Do końca, Pip? - pytał Joe rzucając przeciągłe spojrzenie - jeden, dwa, trzy, tak, jest tam trzy J i trzy O. W twoim liście jest trzech Joe, Pip.

Pochyliłem się nad Joem i, posuwając wskazującym palcem, przeczytałem głośno cały list.

- To zdumiewające - oświadczył Joe, kiedy skończyłem - jesteś prawdziwym uczniem.

- Jak piszesz twoje nazwisko Gargery, Joe? - Spytałem go z protekcjonalną skromnością.

- W ogóle nie piszę - odparł Joe.

- Ale przypuśćmy, że napisałbyś.

- Przypuszczenie do niczego nie prowadzi - bronił się Joe - ale mimo to ogromnie lubię czytać.

- Doprawdy, Joe?

- Ogromnie - powtórzył Joe.

- Dajcie mi dobrą książkę lub dobrą gazetę i pozwólcie zasiąść przy dobrym ogniu, a niczego nie potrzeba mi więcej do szczęścia. Mój Boże - mówił Joe potarłszy sobie kolano. - Kiedy natrafia się na J lub na O i mówi się JO to otrzymuje się Joe. Wtedy czytanie staje się naprawdę interesujące.

Z tej ostatniej uwagi wywnioskowałem, że wykształcenie Joego jest w tej chwili jeszcze w okresie niemowlęctwa, podobnie jak wynalazek pary. Nie porzucając więc przedmiotu mych zapytań ciągnąłem:

- Czy chodziłeś do szkoły, kiedy byłeś taki mały jak ja?

- Nie, Pip.

- A dlaczego nie chodziłeś do szkoły, kiedy byłeś taki mały jak ja?

- Widzisz, Pip - tłumaczył Joe poprawiając ogień pogrzebaczem poprzez kraty kominka, co oznaczało u niego zawsze zamyślenie.- Widzisz, Pip, mój ojciec pił, a gdy był pijany, walił bez litości moją matkę. Były to jedyne chwile, kiedy on, kowal, walił jak młotem, chyba że walił we mnie. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że z większą siłą walił we mnie niż w kowadło. Czy słuchasz i rozumiesz mnie, Pip?

- Tak, Joe.

- Zdarzało się więc mojej matce i mnie, że uciekaliśmy od ojca. Matka chodziła wówczas do pracy i mówiła: „Joe, dziękuj Bogu, że możesz się kształcić”, i posyłała mnie do szkoły, ale mój ojciec miał takie czułe serce, że nie mógł się bez nas obejść. Przychodził z

całą gromadą kompanów pod drzwi mieszkania, gdzieśmy się znajdowali, i robił tyle hałasu, że nie chcieli nas tam już dłużej trzymać i odsyłali co prędzej z powrotem do niego. Wtedy zabierał nas do domu i walił. Wszystko to, widzisz, Pip - mówił Joe grzebiąc w zamyśleniu w ogniu i patrząc na, mnie spod oka - nie posuwało zbytnio mego wykształcenia.

- Oczywiście, mój biedny Joe.

- A jednak Pip - wywodził Joe - trzeba każdemu przyznać to, co mu się należy: mój ojciec miał, jak widzisz, w gruncie rzeczy dobre serce.

Nie widziałem tego, ale mu się z tym nie zwierzyłem.

- Ale - ciągnął Joe - ktoś musi pilnować garnka, aby się w nim gotowało, bo widzisz, samo się nic nie zagotuje.

Zgodziłem się i na to.

- Więc ojciec mój nie widział nic w tym złego, abym zaczął zarabiać. Zacząłem pracować w moim zawodzie, który był także i jego zawodem, i harowałem ciężko, wierz mi, Pip. Wkrótce mogłem już utrzymać ojca i utrzymywałem, dopóki nie skończył na atak apopleksji. Miałem zamiar wyryć na jego nagrobku taki napis: „Pamiętaj czytelniku, że mimo słabości miał serce”.

Joe wygłosił tę sentencję z taką dumą i tak starannie wymawiając poszczególne wyrazy, że spytałem go, czy sam to zdanie wymyślił.

- Tak, sam je wymyśliłem - odpowiedział - i to tak od razu, jak gdybym wykuł podkowę końską jednym ciosem. Sam byłem zdumiony tym, co się stało. Po prostu nie wierzyłem, że zrodziło się to w mojej głowie. Chciałem, jak ci to wspomniałem, wyryć te słowa na jego nagrobku, ale wyrycie wierszy drogo kosztuje, bez względu na to, czy dużymi czy małymi literami. Nic więc z tego nie wyszło. Całe zaoszczędzone pieniądze, oczywiście po opłaceniu pogrzebu, oddałem matce. Jej zdrowie także pozostawiało wiele do życzenia. Była bardzo słaba. I ona wkrótce po ojcu odnalazła całkowity spokój.

Niebieskie oczy Joego załzawiły się. Otarł najpierw jedno oko, potem drugie w najniewygodniejszy sposób, bo przy pomocy gałki, którą zakończona była rączka pogrzebacza.

- Bardzo mi było potem samotnie i pusto i wtedy właśnie zapoznałem się z twoją siostrą. I wiesz - tutaj Joe wpatrzył się we mnie baczniej, jakby przeczuwał, że nie zgodzę się z jego zdaniem. - Twoja siostra to piękna kobieta.

Nie mogłem się powstrzymać, aby nie patrzeć w ogień z wyrazem twarzy pełnym wątpliwości.

- Jakakolwiek jest w tym względzie opinia rodziny i cokolwiek o tym myśli świat, Pip, twoja siostra jest - i tu Joe wybijał rytm słów pogrzebaczem o kratę kominka - jest piękną kobietą!

Nie pozostało mi nic innego, jak powiedzieć:

- Cieszę się, że tak uważasz, Joe.

- I ja także - oświadczył Joe - i ja także jestem szczęśliwy, że tak uważam. Bo cóż? Że trochę czerwona na twarzy, czy że tu lub tam sterczą jej zbyt kości? Cóż mi to może ostatecznie szkodzić?

Zauważyłem nie bez pewnej bystrości, że skoro jemu to nie szkodzi, to dlaczego miałoby szkodzić innym?

- Oczywiście - zgodził się Joe skwapliwie - masz zupełną słuszość, mój staruchu. Kiedy poznałem twoją siostrę, wszyscy opowiadali mi, jak ona ciebie sama chowa, sztucznie karmiąc, i wszyscy ogromnie ją za to chwalili. I ja uważałem, że to bardzo ładnie z jej strony, a ty - tu Joe zrobił taką minę, jak gdyby ujrzał coś obrzydliwego - a ty, mój chłopcze, gdybyś siebie wówczas widział, jaki byłeś szkaradny, słabiutki, mały, miałbyś o sobie samym bardzo nieszczególną opinię.

Nie bardzo mi się to podobało i poprosiłem krótko:

- Nie zajmuj się moją osobą, Joe.

- Ależ musiałem się wtedy zająć twoją osobą, Pip - tłumaczył Joe ze wzruszającą prostotą. - Kiedy twoja siostra zgodziła się wziąć ze mną w kościele ślub i kiedy miała sprowadzić się do mnie do kuźni, zaproponowałem jej: „Zabierz ze sobą maleństwo. Niech Bóg ma je w swej opiece, biedactwo. Znajdzie się dla niego - mówiłem - miejsce w kuźni”. Tak powiedziałem twojej siostrze.

Wybuchnąłem płaczem i rzuciłem się Joemu na szyję, a on, żeby mnie uściskać, odstawił pogrzebacz i tuląc mnie perswadował:

- Czyż nie jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, Pip? Nie płacz, stary.

Kiedy minęła ta mała dygresja, Joe ciągnął:

- I oto dochodzimy do sedna sprawy. Teraz, kiedy będziesz mnie uczył (a uprzedzam cię, że jestem tępy aż strach!), twoja siostra nie powinna o tym nic wiedzieć. Musimy się sprytnie kryć. A dlaczego się kryć, to zaraz powiem, Pip.

Znowu wziął do ręki pogrzebacz. Sądzę, że bez niego nie potrafiłby niczego dowieść.

- Twoja siostra kocha się we władzy.

- Kocha się we władzy? Co to znaczy? - spytałem zdumiony, gdyż obawiałem się (a raczej, prawdę mówiąc, miałem nieśmiałą nadzieję), że siostra moja rozwodzi się z Joem dla jakiegoś ministra marynarki czy skarbu.

- Chcę przez to powiedzieć, że twoja siostra lubi rządzić mną i tobą - wyjaśnił Joe.

- Aha!

- Wobec tego nie życzę sobie mieć w domu uczonych, a szczególnie nie chce, abym. ja był uczonym, bo lęka się, bym się nie zbuntował.

- Ale dlaczego... - zacząłem, by wyjaśnić pewną sprawę, ale Joe przerwał mi:

- Poczekaj chwilę, Pip. Wiem, o co chcesz pytać. Poczekaj. Przyznaję, że siostra twoja napada na nas zniecka nie wiadomo o co. Nie przeczę, że robi wtedy okropne skandale, szczerść zmusza mnie do przyznania, że kiedy twoja siostra wyrusza na wojnę z nami, to jest okropną megierrrrą...

Joe wymówił ten wyraz, jak gdyby zawierał on co najmniej tuzin „r”.

- Czemu więc się nie buntuję? O to chciałeś spytać, Pip?

- Tak, Joe.

- Bo widzisz - i tu Joe przełożył pogrzebac z prawej ręki do lewej, by móc prawą pogłaskać się po faworytach. A ile razy wykonywał ten gest pełen spokoju, wiedziałem, że ustępuje siostrze - twoja siostra to kobieta z nie lada głową. Z nie lada głową.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytałem sądząc, że w ten sposób przerwę zapał Joego, ale nic nie mogło go już powstrzymać. Potrząsając głową oznajmił z podziwem:

- Ona.

I zaraz potem dodał, jakby dla wyjaśnienia:

- Ja, widzisz, nie jestem człowiekiem z głową. Ale jest jeszcze coś ważniejszego, Pip, co każe mi tak postępować. Powiem ci to. Oto nie wychodzi mi z pamięci moja biedna matka. Taka zahukana, zamęczona, nieszczęśliwa, moja matka, która miała zawsze zadreżone serce i nigdy spokoju w tym życiu. I jak sobie ją przypominę, to tak się boję, by kobiecie nie robić krzywdy, i już z dwojga złego wolę przesadzić w pobłażliwości niż w krzywdzie, już wolę sam trochę pocierpieć. Ja wiem, Pip, że i z tobą nie jest dobrze, wierz mi, wolałbym, żeby nie było dla ciebie tego przebrzydłego Łaskota, wolałbym czasem brać za ciebie w skórę. Teraz, kiedy już wiesz, co o tym myślę, to może lżej będzie ci znosić te drobne przykrości, Pip.

Byłem wówczas bardzo mały, ale mam wrażenie, że od tego wieczoru zaczęło we mnie dojrzewać całkiem nowe uczucie dla Joego. Nadal pozostaliśmy sobie równi, ale odtąd zamknąłem go na zawsze w moim sercu.

- W każdym razie - powiedział Joe podsyciwszy ogień w kominie - zegar holenderski wybije zaraz ósmą, a jej wciąż nie ma. Spodziewam się, że klacz wuja Pumblehooka nie pośliznęła się przednią podkową na lodzie i nie przewaliła się na drodze.

Siostra moja w dni targowe jeździła niekiedy z wujem Pumblehookiem po zakupy, które wymagały kobiecej ręki. Wuj bowiem był starym kawalerem i nie miał zaufania do swej służącej. Dzisiaj przypadał właśnie dzień targowy i siostra pojechała do miasta.

Joe poprawił jeszcze ogień, wymiół przed kominkiem i wyszliśmy przed dom, by nasłuchiwać turkotu bryczki. Noc była mroźna, wichur dął gwałtownie, a świat spowiła białość. Człowiek, który by nocował na bagnisku, musiałby zamarznąć na śmierć. Pomyślałem o tym i gdy patrzyłem na gwiazdy, wyobraziłem sobie jeszcze, jak okropnie byłoby mu umierać pod takim wygwieżdżonym niebem czując, że znikąd nie przyjdzie do niego pomoc w tym zimnym roziskrzonym świecie.

- Idzie kobyła - zauważył Joe - dźwięczy jak dzwonek. Podkowy dzwoniły rzeczywiście metalicznie na zamrażniętej drodze, nadjeżdżano pośpiesznie. Wynieśliśmy z domu krzesło, by siostra mogła na nie wygodnie wysiąść. Joe podsycił ogień tak, by z daleka widać było oświetlone okno, rzuciliśmy jeszcze ostatnie spojrzenie na kuchnię, by sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu. Gdy te przygotowania zostały skończone, podróżni zjawili się opatuleni po dziurki od nosa. Zeskoczyli z bryczki, wuj Pumblehook rzucił derkę na klacz i weszliśmy wszyscy do kuchni wnosząc ze sobą tyle zimna, że zdawało się pochłaniać ciepło bijące od kominka.

- No - powiedziała moja siostra rozbierając się pośpiesznie i odrzucając na plecy przywiązany pod brodą czepiec tak, że zwisał zabawnie - jeżeli ten chłopak nie będzie mi teraz wdzięczny, to chyba nigdy.

Spojrzałem na nią z wyrazem takiej wdzięczności, na jaką może zdobyć się chłopiec, który nie domyśla się, za co ma być wdzięczny.

- Spodziewam się, że nie będzie zbyt rozpieszczony - ciągnęła moja siostra - obawiam się tego.

- To nie leży w jej zwyczaju - odpowiedział Pumblehook - ona już dobrze wie, co ma robić, proszę pani.

- Ona? - spojrzałem zdumiony na Joego poruszając na znak zdziwienia brwiami i wargami. - Ona? - Joe rzucił mi również porozumiewawcze spojrzenie poruszając brwiami i wargami. Ale gdy moja siostra spojrzała na niego, w tej chwili zasłonił twarz ręką, pocierając nos z właściwą sobie grzeczną, ugodową miną i popatrzył na żonę.

- No i co się stało? - burknęła do niego siostra - co się tak gapisz? Dom się pali czy co?

- Ona? - badał niepewnie Joe, nie ośmielając się wprost spytać, o kogo chodzi.

- Ona to ona - odparła siostra - chyba nie powiesz „on” o miss Havisham? Nawet ty nie posunąłbyś się chyba tak daleko?

- O miss Havisham? - powtórzył Joe - o tej z miasta? z góry?

- A czyż jest jakaś jeszcze miss Havisham w mieście na dole? - odparła siostra. - Właśnie ona. Chce, by chłopak przychodził do niej się bawić. I chłopiec będzie chodził tam się bawić. Niechby spróbował nie iść. Ja mu pokażę.

I ja słyszałem o miss Havisham z górnej części miasta. Znano ją w obrębie kilku mil. Była to ogromnie bogata i ponura pani, mieszkająca w olbrzymim domu stale zabarykadowanym w obawie przed złodziejami. Opowiadano, że prowadzi samotne życie.

- No, dobrze! - zawołał zdumiony Joe - ale skąd ona zna Pipa?

- Ty, głupcze - zgromiła go siostra - kto ci powiedział, że go zna?

- Skoro ta osoba chce, by przychodził się bawić u niej? - tłumaczył się uprzejmie Joe.

- A nie mogła spytać wuja Pumblechooka, czy nie wie o jakimś chłopcu, który by przychodził się bawić do niej? Czy nie dopuszczasz możliwości, że wuj jest jej dzierżawcą i od czasu do czasu - by nie powiedzieć raz na kwartał, bo to byłoby dla ciebie zbyt trudne do zrozumienia - przychodzi do niej płacić dzierżawę? I czy wtedy gdy ją odwiedził, nie mogła spytać o chłopca, który by przychodził się bawić? I czy nie mógł wuj Pumblehook, który jest zawsze pełen względów dla nas, mimo że nie zawsze chcesz to wiedzieć, Józefie (to ostatnie powiedziane było tonem pełnym wymówki pod adresem niedobrego siostrzeńca), czy nie mógł wuj wskazać tego oto chłopaka, który stoi tam i puszy się (nie robiłem nic podobnego), tego chłopaka, którego jestem od lat niewolnicą?

- Doskonale! - pochwalił wuj Pumblehook - świetnie to wyłożone. Już teraz wiesz, o co chodzi, Józefie.

- Nie, Józefie - zaprotestowała siostra tonem tak pełnym wyrzutu, że Joe znowu gestem obronnym pogładził się po nosie. - Nie, nie wiesz wcale, o co chodzi, chociaż ci się tak pewnie wydaje. Nie wiesz, że wuj Pumblehook w swojej dobroci uważając, że wizyty tego chłopaka u miss Havisham mogą być początkiem jego fortuny, ofiarował się zabrać go bryczką jeszcze dziś wieczorem do miasta, przenocować u siebie i rano zaprowadzić i oddać w własne ręce miss Havisham. O Boże! - wrzasnęła nagle zrozpaczona i zdarła z siebie czepek - ja tu stoję i gadam do tych idiotów, a kobyła marznie na dworze, wuj Pumblehook czeka, a ten chłopak jest od stóp do głów pokryty brudem.

W tej chwili rzuciła się na mnie, niczym orzeł na jagnię, zanurzyła mi głowę w cebrzyku, podstawiała go pod kran, z którego lały się potoki wody, mydliła mnie, szorowała, skrobała, płukała, ugniatała, wycierała, grzmociła, szczypała tak, że ledwie mogłem wytrzymać (chciałbym tu zauważyć, że lepiej niż ktokolwiek na świecie znam teraz uczucie, jakie ma człowiek, któremu po gołym ciele jeździ obrączka ślubna).

Gdy skończyło się szorowanie, zostałem obleczony w czyste płótno najsztynniejszego gatunku, niczym młody grzesznik w wór pokutny, a potem wtłoczony w najciaśniejsze i najbardziej znienawidzone ubranie.

Następnie wręczono mnie wujowi Pumblechook, który przyjął mnie niczym szeryf i obdarzył krótkim przemówieniem, gdyż nawet na łożu śmierci musiałby przemawiać. Powiedział:

- Chłopcze, bądź wdzięczny wszystkim przyjaciołom, ale najbardziej tym, którzy cię wykarmili własnoręcznie.

- Do widzenia, Joe.

- Niech Bóg cię błogosławi, mój stary.

Nigdy przedtem się z nim nie rozstawałem i nie wiem, czy to wrażenie, czy też woda z mydłem w oczach sprawiły, że zrazu, wsiadłszy na bryczkę, nie widział gwiazd.

Ale po chwili już ku mnie mrugały, nie rzucając jednak światła na sprawę, czemu to właściwie miałem się bawić u miss Havisham i o jaką chodziło zabawę.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Sklep Mr. Pumblehooka na ulicy Głównej w targowej dzielnicy miasta miał charakter zapieprzony i zamączony, jak przystoi na sklep handlarza ziarnem i nasionami. Zdawało mi się, że musi to być bardzo szczęśliwy człowiek, skoro posiada na własność tyle małych szufladek. Zaglądając do dolnych szuflad, gdzie leżały brunatne, owinięte w papier paczuszki, zastanawiałem się, czy te wszystkie nasiona i cebulki nie chciałyby wyrwać się na wolność, by prędzej zakwitnąć.

Rozmyślaniami tym oddawałem się wczesnym rankiem nazajutrz po przybyciu do wuja. Poprzedniego bowiem wieczoru posłano mnie prosto do łóżka, do pokoiku na poddaszu. Dach tego pokoju był tak pochyły, że w jednym z kątów niemal dotykał ziemi i leżąc w łóżku myślałem, iż zaledwie stopa dzieli moją skroń od belek pod sufitem. Tegoż ranka odkryłem dziwaczne pokrewieństwo pomiędzy nasionami a welwetem w prążki. Wuj Pumblehook i jego pomocnik w sklepie ubrani byli w welwetowe garnitury i w mojej wyobraźni nasiona miały ten sam zapach, co ów materiał, tak że nie wiedziałem, co tak pachnie w sklepie: nasiona czy welwet. Wówczas również zauważyłem, że wuj Pumfolehook zdawał się prowadzić swój interes w ten sposób, iż patrzył przez okno wystawy na sklep siodlarza z przeciwka, ów siodlarz spozierał tymczasem na swego sąsiada, właściciela składu karet, a ten z kolei zarabiał na życie trzymając ręce w kieszeniach i nie spuszczać z oka piekarza. Piekarz ze skrzyżowanymi ramionami przyglądał się kupcowi, który, ziewając na progu swego sklepu spożywczego, obserwował aptekarza. Zegarmistrz wiecznie pochylony nad małym pulpitem, z lupą tkwiącą w oku, obserwowany przez stłoczonych za szybą wystawową wyrostków w fartuchach, zdawał się być jedynym na ulicy Głównej właścicielem sklepu, oddającym się naprawę pracy.

Wuj Pumblehook jadł ze mną o ósmej rano śniadanie w pokoju za sklepem, gdy jego pomocnik pochłaniał gorącą herbatę i górę kawałków chleba z masłem na worku z grochem w sklepie.

Uważałem, że wuj Pumblehook jest bardzo przykrym dla mnie towarzyszem. Przede wszystkim dlatego, że podobnie jak moja siostra uważał mój jadłospis za jakieś karne ćwiczenie i smarował mi chleb możliwie najcieniej masłem, a do mleka dolewał tyle gorącej wody, że lepiej by już wcale nie lał mleka.

Poza tym z takiej przyczyny, że rozmowa jego ze mną miała charakter wyłącznie arytmetyczny. Gdy uprzejmie przywitałem go „dzień dobry!” odparł:

- Siedem razy dziewięć, chłopcze?

Jakże mogłem na to od razu odpowiedzieć, zaskoczony w obcym miejscu i na czczo?

Chciało mi się jeść, ale zanim przełknąłem pierwszy kęs, rozpoczął serię rachunków, która trwała przez całe śniadanie.

- Siedem!

- I cztery?

- I osiem?

- I sześć?

- I dwa?

- I dziesięć?

I tak dalej. Zaledwie wymówiłem jedną liczbę, nie zdążyłem przełknąć kęsa lub łyku, gdy następowało drugie pytanie. On zaś, wygodnie rozparty, nie musiał dręczyć się żadnymi obliczeniami i opychał się boczkiem i grzankami w sposób (proszę mi wybaczyć wyrażenie) żarłoczny.

Toteż byłem szczęśliwy, gdy wybiła dziesiąta i wybraliśmy się w drogę do miss Havisham, mimo że nie rozstrzygnąłem jeszcze wątpliwości, jak mamusię zachować pod dachem tej pani. Po kwadransie drogi dotarliśmy do domu miss Havisham. Był zbudowany ze starych cegieł i otoczony żelaznymi sztachetami, niektóre okna miał zamurowane. Spośród tych, które funkcjonowały, parterowe zaopatrzone w żelazne pręty mocno zardzewiały. Brama wiodąca na podwórze przed domem była zamknięta i pociągnąwszy za dzwonek musieliśmy długo wyczekiwać na otwarcie. Gdyśmy czekali, rzuciłem spojrzenie na podwórze (wuj Pumblechook spytał co prawda „I czternaście?”, ale udawałem, że nie słyszę) i ujrzałem, że na uboczu wznosi się na dziedzińcu budynek browaru, od dawna chyba nieczynnego.

Otworzyło się okno i jakiś czysty głos spytał:

- Jak pańskie nazwisko?

- Pumblechook - oznajmił mój opiekun. Głos odpowiedział:

- W porządku.

Przez podwórze szła teraz jakaś młoda osoba z kluczem w ręku.

- To jest Pip - objaśnił wuj Pumblechook.

- Ach, to jest Pip? - powtórzyła młoda dziewczyna, która wydała mi się bardzo ładna i bardzo dumna - wejdź, Pip.

Wuj Pumblechook chciał przejść przez bramę, ale go zatrzymała.

- O - zagadnęła - czy pan chce się widzieć z miss Havisham?

- Jeżeli miss Havisham chce mnie zobaczyć - odparł wuj zmieszany.

- Kiedy, widzi pan, właśnie, że nie chce - oświadczyła dziewczyna.

Powiedziała to tak stanowczo i bezapelacyjnie, że wuj Pumblechook, mimo że nie stracił godności, wycofał się. Spojrzał przy tym na mnie z takim wyrzutem, jak gdybym to ja wobec niego zawinił, i oddalił się ze słowami:

- Pamiętaj, chłopcze, zachowaj się tak, byś nie zrobił wstydu tym, którzy cię wychowali „własnoręcznie”.

Nie byłem pewien do ostatniej chwili, czy jeszcze zza sztachet nie rzuci mi pytania „I szesnaście?” Ale nie uczynił tego.

Moja młoda przewodniczka zamknęła bramę i poprowadziła mnie przez podwórze. Było czyste i wybrukowane, ale w szczelinach kamieni rosła trawa. Do porzuconego browaru wiodła wąska uliczka widoczna za otwartą, drewnianą furtką, którą poruszał wiatr, tak że wydawała głuchy odgłos. Budynek browaru stał otworem, pusty i opuszczony. Ostre podmuchy wydawały się jeszcze zimniejsze tutaj niż za bramą i gwizdały po browarze bijąc o jego ściany, jak wichry na otwartym morzu uderza o statek.

Podążyła za moim spojrzeniem i zauważyła:

- Mógłbyś śmiało wypić całe to mocne piwo, jakie tutaj teraz warzą, chłopcze.

- Tak to wygląda, proszę pani - odparłem nieśmiało.

- Ale zdaje się lepiej, że nie robią tu już piwa, bo mogłoby skwaśnieć - dodała jeszcze dziewczyna.

- I mnie się tak zdaje, proszę pani - przytaknąłem.

- Prawdę mówiąc, nikt nie próbuje tu teraz wyrabiać piwa - ciągnęła. - Myślę, że ten budynek będzie stał bezczynnie, dopóki się nie rozpadnie w gruzy. A jeśli chodzi o piwo, to mamy w piwnicy zapasy, które starczyłyby na zatopienie Dworu.

- Czy to nazwa tego domu? - spytałem.

- Tak, jedna z jego nazw, chłopcze.

- Więc ma więcej niż jedną nazwę, proszę pani?

- Tak. Nazywał się też „Satis”, to po grecku, po łacinie czy też po hebrajsku, czy też we wszystkich trzech językach, mnie to obojętne. Wiem tylko, że to znaczy „Dosyć”.

- Dom „Dosyć?” To dziwna nazwa, prawda? - spytałem.

- Tak - zgodziła się - ale myślę, że nazwali go tak kiedyś dlatego, żeby podkreślić, że kto ma ten dom, nie pragnie niczego więcej. Musieli się być czym zadowalać w owych czasach. Ale nie zatrzymuj się tu, chłopcze.

Mimo że tak często i tak niedbale nazywała mnie chłopcem, nie była wiele ode mnie starsza. Wyglądała tylko poważniej jako dziewczyna, w dodatku piękna i bardzo pewna siebie. Traktowała mnie tak wyniośle, jak gdyby miała dwadzieścia jeden lat i była królową.

Weszliśmy do domu bocznym wejściem, gdyż główne drzwi opatrzone z zewnątrz dwoma łańcuchami. Spostrzegłem, że korytarze są ciemne i że dziewczyna wzięła pozostawioną tam w lichtarzu zapaloną świecę i niosła przed sobą. Szliśmy długo korytarzami, potem w górę po schodach i znowu korytarzem, a wciąż tylko świeca oświetlała nam drogę.

Wreszcie przed drzwiami jakiegoś pokoju dziewczyna powiedziała:

- Wejdz.

Odparłem bardziej przez nieśmiałość niż przez uprzejmość:

- Po pani? Zaprotestowała:

- Nie bądź śmieszny. Ja tam nie wchodzę.

I oddaliła się wyniośle, ale co gorsza zabrała płonąca świecę zostawiając mnie w ciemnościach.

Było to bardzo przykre i pozostawało mi tylko zapukać do drzwi. Zapukałem. Odpowiedziano mi, bym wszedł. Wszedłem i znalazłem się w obszernym pokoju jasno oświetlonym woskowymi świecami. Ani jeden promyk dziennego światła nie wdzierał się do tego pomieszczenia. Sądząc po umeblowaniu, był to buduar kobiecy, chociaż znajdowało się tu wiele sprzętów, których przeznaczenia nie znałem. Na głównym miejscu widniał pokryty draperiami stół z olbrzymim lustrem w złożonych ramach. Na pierwszy rzut oka poznałem, że to gotownia wielkiej damy.

Jak to odgadłem, skoro przed lustrem nie było żadnej damy, nie wiem. Wiem tylko, że po chwili ujrzałem siedzącą w fotelu, z łokciem opartym o stół i głową wspartą na dłoni, najdziwniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek widziałem i miałem zobaczyć.

Ubrana była w kosztowne materiały, atlas, jedwab i koronki, wszystko białe. Na nogach miała białe pantofle, na włosach welon ślubny przypięty kwiatem mirtowym, ale włosy te były siwe. Kilka klejnotów błyszczało na jej szyi i na palcach, a kilka mieniło się na stole. Naokoło widniały rozpostarte suknie mniej strojne od tej, którą dziwna pani miała na sobie, zwieszały się też z na pół zapakowanych kufrów... Nie była jeszcze całkiem ubrana, gdyż włożyła dopiero jeden pantofelek; drugi stał przy niej na stole. Welon został upięty tylko do połowy, zegarek z łańcuszkiem spoczywał na stole, kawałek koronki, przeznaczony do ozdoby stanika, leżał obok chusteczki do nosa i rękawiczek wraz z książką do nabożeństwa i jakimiś kwiatami, przed lustrem. Wszystko to ujrzałem nie od razu, chociaż od pierwszej

chwili spostrzegłem więcej, niż można się było spodziewać. Zauważyłem, że to, co miało być białe, nie lśniło już bielą, że przygasło, zwiędłe i pożółkłe, że panna młoda zwiędła i pożółkła jak jej suknia ślubna i jak jej kwiaty, i że jedyny jej blask stanowił ponury połysk zapadłych oczu. Spostrzegłem, że suknia ślubna, szyta zapewne na pełniejszą młodszą postać, obwisła teraz na ciele, z którego pozostały tylko skóra i kości. Kiedyś pokazywano mi na jarmarku upiorną figurę woskową, przedstawiającą nie wiem już czyją leżącą postać. Kiedy indziej widziałem w jednym z naszych kościołów na bagniskach szkielet w zetlałych na proch bogatych szatach, odnaleziony w krypcie podziemnej świątyni. I oto teraz ta woskowa lalka, ten szkielet spoglądał na mnie czarnymi oczyma. Miałem ochotę się rozplakać, ale nie mogłem.

- Kto tu? - spytała dama przy stole.

- Pip, proszę pani.

- Pip?

- Tak, chłopiec Mr. Pumblechooka, proszę pani. Przyszedłem się... bawić.

- Chodź tu bliżej. Niech ci się przyjrzę. Bliżej.

Zbliżywszy się do niej unikałem jej wzroku, obrzuciłem spojrzeniem przedmioty wokoło i spostrzegłem, że zegarek jej stał wskazując za dwadzieścia dziewięć, a duży zegar, wiszący w pokoju, zatrzymał się na tej samej godzinie.

- Spójrz na mnie - powiedziała miss Havisham - czy nie boisz się kobiety, która nie widziała słońca od czasu, gdyś przyszedł na świat?

Bardzo mi przykro, ale wcale nie lękałem się powiedzieć wielkiego kłamstwa, jakim było słowo: „Nie”.

- Czy wiesz, czego w tej chwili dotykam? - spytała krzyżując obie ręce na swym lewym boku.

- Tak, proszę pani (pomyślałem w tej chwili o młodym człowieku).

- Więc czego dotykam?

- Serca, proszę pani.

- Złamane.

Wypowiedziała ten wyraz namiętnie, z patosem i z dziwnym, niepozbawionym dumy uśmiechem. Chwilę przyciskała serce obiema rękami, potem opuściła je, jak gdyby jej bardzo ciążyły.

- Jestem znużona - oświadczyła - skończyłam już z mężczyznami i kobietami, pragnę jakiejś odmiany. Baw się.

Najmniej nawet wyrozumiały czytelnik zgodzi się, że rozkaz ten był trudny do wykonania dla nieszczęśliwego chłopca, jeżeli wziąć pod uwagę okoliczności, jakie towarzyszyły poleceniu.

- Nawiedzają mnie niekiedy chorobliwe zachcianki - oznajmiła - i jedną z nich jest chęć przyglądania się czyjejsz zabawie. Prędkiej, prędkiej! - poruszyła niecierpliwie palcami prawej dłoni: - Baw się, baw się, baw się!

W pierwszej chwili, lękając się mojej siostry, której obraz nie opuszczał mnie ani na chwilę, miałem rozpaczliwy zamiar okrążyć galopem pokój, niczym bryczka wuja Pumblechooka, ale poczułem, że nie zdołam tego zrobić, i stałem nieruchomo przed miss Havisham z miną, którą wzięła zapewne za krnąbrną, gdyż spytała:

- Czyżbyś był niegrzeczny i uparty?

- Nie, proszę pani - odparłem - bardzo mi przykro i żałuję, że nie mogę się bawić. Jeżeli pani się na mnie poskarży mojej siostrze, będę miał przykrości z jej strony. Bardzo chciałbym móc się tu bawić, ale tu wszystko jest takie niespodziewane, takie nowe, takie dziwne i iakie smutne...

Urwałem bojąc się, czym zbyt dużo nie powiedział, i patrzyliśmy na siebie wzajemnie.

Zanim mi odpowiedziała, spojrzała na swoją suknię, na gotowalnię, wreszcie na swe odbicie w lustrze.

- Takie nowe dla niego, a takie stare dla mnie - szepnęła - takie dziwne dla niego, takie powszednie dla mnie. Takie smutne dla nas obojga... Zawołaj Estellę!

Ponieważ wciąż jeszcze patrzyła w lustro, sądziłem, że mówi sama do siebie, i nie poruszyłem się z miejsca.

- Zawołaj Estellę - powtórzyła patrząc teraz na mnie - zawołaj Estellę. Przez drzwi.

Stać na ciemnym korytarzu obcego domu i wołać na całe gardło imię wyniosłej i pełnej pogardy dziewczyny było dla mnie niemal równie nieprzyjemnym zajęciem jak zabawa na rozkaz. Wreszcie Estella odezwała się i szła teraz ku mnie, a zapalona świeca zbliżała się jak gwiazda.

Miss Havisham kazała dziewczynie podejść do siebie, wzięła ze stołu klejnot, przyłożyła do jej ciemnych włosów, potem do stanika i zauważyła:

- Kiedyś to wszystko będzie twoje, wiesz o tym i dobrze tego użyjesz. A teraz niech się przyjrzę, jak będziesz grała w karty z tym chłopcem.

- Z tym chłopcem? Ależ to zwykły chłopak od robotników. Zdawało mi się, że się chyba przesłyszała. Bo miss Havisham powiedziała:

- No, więc co? Będziesz mu mogła złamać serce!

- W co potrafisz grać, chłopcze? - spytała Estella z najwyższą pogardą.

- Tylko w „durnia”, panienko - odparłem.

- A więc zrób z niego durnia - zachęciła ją miss Havisham i zasiedliśmy do gry w karty.

W tej właśnie chwili pojąłem, że wszystko w tym pokoju zatrzymało się w pewnej chwili w miejscu jak oba zegary. Spostrzegłem, że miss Havisham odłożyła klejnot dokładnie w to samo miejsce, z którego go wzięła. Podczas gdy Estella rozdawała karty, rzuciłem spojrzenie na gotowalnię i wyraźnie poznałem, że leżący tam pantofel, niegdyś biały, obecnie żółty, nigdy nie był, noszony. Spojrzałem z kolei na stopę, na której należało się go spodziewać, i ujrzałem, że jedwabna pończocha, jaka ją oblekała, podarta była w strzępy i również z białej stała się żółta. Gdyby nie to, że czas jak gdyby zatrzymał się tu w biegu, owe znieruchomiałe, wyblakłe przedmioty, przywiedły strój weselny, suknia bardziej podobna teraz do śmiertelnej niż ślubnej szaty i welon przypominający całun, nie byłyby tak bardzo okropne.

A teraz miss Havisham siedziała jak trup nieruchomo, spoglądając na naszą grę w karty, a koronki i falbanki jej ślubnej sukni wyglądały jak zrobione z przybrukanego papieru. Nie wiedziałem jeszcze wówczas nic o mumiach, które rozpadają się w proch za dotknięciem dłoni ludzkiej, ale często potem musiałem myśleć, że stara dama wyglądała w tej chwili jak owe śmiertelne szczątki, które wystawione na światło dnia muszą się rozlecieć w pył.

- On nazywa walety „chłopakami” - rzuciła Estella wzgardliwie, zanim jeszcze skończyliśmy pierwszą partię - i jakie szorstkie ma ręce, jakie ordynarne, grube obuwie!

Nigdy dotychczas nie przychodziło mi do głowy, że mógłbym się wstydić własnych rąk, ale od tej chwili patrzyłem na nie jako na coś mi obcego. Jej pogarda była tak wielka, że aż się udzielała. Zaraziłem się nią.

Przegrałem tę partię i teraz ja rozdawałem karty. Ale czując, jak dziewczyna czyha na moją pomyłkę, oczywiście popełniłem błąd przy rozdawaniu. Estella nazwała mnie za to głupim, niezdarnym, robotniczym chłopakiem.

- Nic o niej nie mówisz - zauważyła nagle miss Havisham - ona wymyśla ci brzydkimi słowami, a tyś dotychczas nie powiedział, co też o niej myślisz.

- Nie mam ochoty tego powiedzieć - wyjąkałem.

- Szepnij mi na ucho - zaproponowała miss Havjsham pochylając się ku mnie.

- Zdaje mi się, że jest bardzo dumna - wyszeptalem.

- X nic więcej?

- Myślę, że jest bardzo ładna.

- I co jeszcze?

- Myślę, że jest bardzo bezczelna (patrzyła na mnie w tej chwili z prawdziwą odrazą).

. - I co jeszcze?

- Myślę, że chciałbym wrócić do domu.

- I nigdy jej więcej nie zobaczyć, mimo że taka ładna?

- Nie jestem pewien, czy nie chciałbym jej widzieć, ale jestem pewien, że teraz chcę iść do domu.

- Pójdiesz wkrótce - obiecała miss Havisham - a teraz dograj partię.

Gdybym na własne oczy nie ujrzał dziwnego uśmiechu na twarzy miss Havisham, byłbym przysiągł, że nie potrafi się ona uśmiechać. Bo oto nagle twarz jej znowu znieruchomiała, pierś zapadła, plecy się przygarbiły, nawet głos stał się ledwo dosłyszalny. Wyglądała teraz tak, jak gdyby nagle ugięła się pod jakimś niewidzialnym ciosem.

Skończyłem partię z Estellą, która znowu wygrała. Wygrane karty cisnęła na stół takim gestem, jak gdyby chciała pokazać, że nie dba o wygraną ode mnie.

- Kiedy znowu przyjdiesz? - spytała miss Havisham - czekaj, niech się namyślę.

Gdy przypomniałem jej, że dzisiaj mamy środę, zrobiła szybki, niecierpliwy gest palcami prawej dłoni i powiedziała:

- Dość tego, nie znam dni tygodnia, nie znam miesięcy w roku. Przychodź od dzisiaj za sześć dni. Słyszysz?

- Tak, proszę pani.

- Estella, sprowadź go na dół, niech mu dadzą coś do zjedzenia. Niech w czasie jedzenia przejdzie się trochę i rozejrzy, a ty bądź przy tym. Idź, Pip.

Poszedłem za płomykiem świecy, tak jak tu przybyłem, aż znalazłem się przy wyjściu z domu. Byłem pewien, że na dworze jest już noc, i jasny blask dnia, który we mnie zniecka uderzył, sprawił, że omal nie upadł.

- Masz tu czekać, chłopcze - poleciła Estella i znów zniknęła za drzwiami.

Skorzystałem z chwili, gdy się znalazł sam na podwórzu, by spojrzeć na moje szorstkie dłonie i grube obuwie. Moje zdanie o nich nie wypadło pochlebnie. Dawniej nie zastanawiałem się nad tym, ale teraz zaczęły mi ciążyć, wydawały mi się ordynarne. Chciałem też jak najprędzej spytać Joego, czemu nauczył mnie nazywać te karty „chłopakami”, gdy należało je nazywać waletami. Pomyślałem, że gdyby Joe był lepiej wychowany, ja stałbym się także wykwińnięjszy.

Powróciła z chlebem, mięsem i kubkiem piwa. Postawiła piwo na kamieniu dziedzińca i podała mi chleb z mięsem nie patrząc na mnie, jak gdybym był psem w niełasce. Poczulem

się tak ponizony, obrażony, sponiewierany, zraniony, rozgniewany i zmartwiony (nie umiem znaleźć odpowiedniego określenia dla mego bólu, Bóg jeden wie jak go nazwać), że łzy stanęły mi w oczach. W chwili gdy dziewczyna je ujrzała, na twarzy jej odmalowało się zadowolenie, że to ona jest ich przyczyną. To dodało mi natychmiast sił do powstrzymania płaczu. Spojrzałem na nią śmiało. Wtedy rzuciła mi pełne pogardy spojrzenie, ale nie było w nim już pewności, czy to przez nią cierpię, i odeszła.

Ale gdy się już oddaliła, zacząłem się rozglądać za miejscem, gdzie mógłbym się natychmiast wyplakać; pobiegłem za płot otaczający opuszczony browar i oparłszy czoło o rękaw, a rękaw o deski płotu, rozplakałem się gorzko. Uderzałem przy tym nogą z wściekłością o płot i rwałem sobie włosy z głowy.

Mój ból był tak pełen goryczy, moja rozpacz tak straszna, że musiałem się w ten sposób wyładować.

Wychowanie mojej siostry czyniło mnie wrażliwym na krzywdy. W małym świecie dziecięcym, bez względu na to, kto dziecko wychowuje, istnieje największa wrażliwość na niesprawiedliwość. Niesprawiedliwość może być nawet niewielka, ale przecież świat dziecka jest niewielki i jego koń na biegunach nie przewyższa rozmiarami dużego psa myśliwskiego. Co do mnie, od najwcześniejszego dzieciństwa odczuwałem krzywdę niesprawiedliwości. Od chwili gdy się nauczyłem mówić, wiedziałem, że siostra moja ze swą despotyczną i kapryśną naturą jest wobec mnie niesprawiedliwa, i czułem, że wychowując mnie sama nie ma jednak prawa czynić tego przy pomocy szturchańców. Wszystkie kary, jakich mi udzielała, posty, bicie, awantury, jeszcze umacniały we mnie to przekonanie i temu zawdzięczałem chyba fakt, iż czując się samotny i bezbronny, byłem nieśmiały i wrażliwy.

W tej chwili dałem upust zranionym uczuciom kopiąc ogrodzenie browaru i wichrząc sobie włosy, po czym wytarłem twarz rękawem i wyszedłem zza płotu. Chleb i mięso smakowały mi, a piwo mnie rozgrzało, toteż wkrótce miałem ochotę rozejrzeć się nieco po świecie.

Bez wątplenia było to bardzo opuszczone miejsce. Gołąbnik na podwórku przed porzuconym browarem kołysał się na palu, jak gdyby znajdował się na morzu lub jak gdyby gołębie należało kołysać do snu. Ale w gołąbniku tym nie było gołębi, tak jak w stajni nie było koni ani w chlewie świń, ani w magazynie słoju, ani zapachu ziarna w stodole, ani piwa w składach. Wszystkie wonie browaru musiały się ulotnić już dawno wraz z ostatnim kłębem dymu z wygasłego komina. Na podwórzu leżały rozrzucone stare beczki, z których ulatniała się gorzka woń jak wspomnienia lepszych czasów, ale zapach ten był zbyt gorzki, by mógł być jeszcze wonią piwa. Za dziedzińcem rozpościerał się stary, zapuszczony ogród otoczony

zwietrzałym murem. Wdrapałem się na ten niezbyt wysoki mur i z góry stwierdziłem, że ogród należy do domu, że jest cały zarośnięty wysokimi chwastami. Na jednej z zarosłych ścieżek ujrzałem Estellę, która oddalała się ode mnie. Wydawało mi się zresztą, że Estella jest wszędzie. Bo kiedy ulegając pokusie wdrapałem się z kolei na beczki i spacerowałem po nich, dostrzegłem na drugim końcu podwórza również skaczącą po beczkach Estellę. Jej ciemne włosy rozsypane były na ramionach, odwracała się do mnie plecami i patrzyła daleko przed siebie. Kiedym wszedł do browaru, do wielkiej wyłożonej płytami sali i spacerowałem pośród opuszczonych maszyn, widziałem ją znowu: lekko biegła w Mr.oku koło zagaszonych pieców, wspinała się na żelazne schody, szła coraz wyżej na galerię i jeszcze wyżej, jak gdyby miała zniknąć wysoko w niebie.

W tym to miejscu i w tej chwili uległem złudzeniu, które wówczas od razu wydało mi się dziwne i po dziś dzień jest dla mnie czymś bardzo niezwykłym. Kiedy zwróciłem oczy, nieprzyzwyczajone jeszcze do mroku sali, w głąb browaru, ujrzałem na jednej z poprzecznych belek pod sufitem okropne zjawisko. Kształt przybrany w poźółkłe, niegdyś białe szaty, w jednym tylko pantoflu z poźółkłego atlasu. I kształt ten wisiał w ten sposób, że mógł wyraźnie odróżnić koronki i falbanki, niczym zbrukany papier ozdabiające suknię, i poznać twarz miss Havisham, która zdawała się mnie wzywać. Przejęty grozą na ten widok i przerażeniem na myśl, że jeszcze przed chwilą jej tu nie było, rzuciłem się do ucieczki. Ale strwożyłem się jeszcze bardziej, gdy po chwili zobaczyłem, jak zniknęła.

Dopiero jasny blask mroźnego ranka, widok ludzi, przechodzących za sztachetami podwórza na ulicy, oraz resztki chleba, mięsa i piwa, jakie mi pozostały, sprawiły, że oprzytomniałem zupełnie. Ujrzałem Estellę zbliżającą się ku mnie z kluczem od bramy w rękę. Dopiero patrzyłaby na mnie z pogardą, gdyby odgadła moje przerażenie! Ta myśl pomogła mi się opanować.

Estella rzuciła pełne pogardy spojrzenie na moje szorstkie dłonie i na grube buty, otworzyła mi bramę i stała przytrzymując ją ręką. Przeszedłem nie patrząc na dziewczynę, ale dotknęła mnie szyderczo.

- Czemu to nie płaczesz? - spytała.

- Bo mi się nie chce.

- Owszem, płakałeś aż do oślepienia i teraz też masz ochotę.

Roześmiała się, wypchnęła mnie na ulicę i zaryglowała bramę. Poszedłem wprost do wuja Pumblechooka i bardzo byłem rad, że go nie zastał w domu. Powiedziałem więc pomocnikowi w sklepie, którego dnia kazano mi przyjść znowu do miss Havisham, i wyruszyłem w czteromilową drogę do kuźni. W drodze rozmyślałem o wszystkim, com

widział i słyszał. Żałowałem, że jestem pospolitym chłopakiem robotniczym, że moje ręce są szorstkie a buty grube, że mam brzydki zwyczaj nazywać waletów „chłopakami”, że o wiele mniej umiem, niż sądziłem jeszcze wczoraj wieczorem, i że w ogóle prowadziłem przyziemne i pospolite życie.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Gdy wróciłem do domu, moja siostra zasypała mnie pytaniami dotyczącymi się miss Havisham, była ciekawa wszystkiego. Toteż wkrótce otrzymałem kilka potężnych kuksańców w kark i grzbiet i w sposób hańbiący stałem twarzą do ściany kuchennej za to, że nie dość szczegółowo odpowiadał na pytania. Nie wiem, czy wszystkie dzieci tak się lękają, by ich czasem źle nie zrozumiano, jak ja' się wówczas bałem (myślę, że tak, bo nie mam powodu uważać, iż byłem, wyrodkiem), ale w tym właśnie widzę klucz do zrozumienia mojego milczenia. Lękałem się, że jeżeli opiszę dom miss Havisham tak, jakim go widziałem na własne oczy, nikt mi nie uwierzy. Co gorsza, wydawało mi się, że nawet samej miss Havisham nikt by nie zrozumiał. Chociaż i ja nie bardzo pojmowałem to, co widział, miałem wrażenie, że popełniłbym coś w rodzaju zdrady czy okadzał brak taktu, gdybym odsłaniał jej tajemnice (nie mówiąc już o Estelli) przed moją siostrą. W rezultacie powiedziałem możliwie najmniej i stałem z twarzą odwróconą do kuchennej ściany

Najgorsze było to, że ten stary despota Pumblehook przyjechał w porze podwieczorku bryczką, pożerany ciekawością, co też widziałem i słyszałem, i zażądał ode mnie najdrobniejszych szczegółów mojej wizyty.

Sam widok tego kata z rybimi oczkami i otwartymi ustami, z 'piaskowymi włosami i kamizelką, którą rytmicznie podnosił jego arytmetyczny oddech, sprawił, że się zaciąłem w występny uporze.

- Więc, mój chłopcze - zaczął Pumblehook rozsiadając się wygodnie w fotelu przy kominku - w jaki sposób wydostałeś się stamtąd do miasta?

- Bardzo dobrze, proszę pana - odpowiedziałem, a siostra pogroziła mi pięścią.

- Bardzo dobrze, chłopcze? - powtórzył Pumblehook - bardzo dobrze to żadna odpowiedź. Powiedz nam, co masz na myśli mówiąc „bardzo dobrze”.

Być może wapno przyklepione do czoła sprawia, że człowiek kamienieje w uporze. Ja w każdym razie, mając na czole wapno ze ściany kuchennej, zaciąłem się. Namyslałem się przez chwilę, a potem z miną, jak gdybym wreszcie wpadł na odpowiedź, powtórzyłem:

- Mam na myśli, że bardzo dobrze, proszę pana.

Siostra rzuciła się ku mnie gwałtownie (nie miałem żadnej nadziei na obronę, bo Joe był właśnie w kuźni), gdy Pumblehook zatrzymał ją ruchem ręki.

- Zaraz, zaraz, niech pani się nie gniewa. Niech pani zostawi tego chłopca mnie, niech go pani mnie zostawi.

Potem odwrócił mnie ku sobie, zupełnie takim ruchem, jak gdyby chciał mi ostrzyć włosy, i zapytał:

- Najpierw (dla uporządkowania myśli), ile to wynosi czterdzieści trzy pensy?

Namyślałem się, co teżby się stało, gdybym oświadczył „czterysta funtów”, ale czując wuja Pumblehooka zbyt blisko siebie, odpowiedziałem dokładnie, pomyliwszy się tylko o osiem pensów.

Wtedy wuj Pumblehook wyegzaminował mnie ze wszystkich możliwych kombinacji z pensami od „dwanaście pensów równa się jednemu szylingowi” aż do „czterdzieści pensów to trzy szylingi, cztery pensy” po to, by zakończyć triumfalnie:

- A teraz, powiedz, ile to czterdzieści trzy pensy? Po krótkim namyśle oznajmiłem:

- Nie wiem.

Byłem przy tym tak zdenerwowany, że istotnie mogłem nic nie wiedzieć.

Wuj Pumblehook pokręcił głową jak korkociągiem, którym chciał ze mnie coś wyciągnąć, i spytał:

- Czy czterdzieści trzy pensy to czasami nie siedem szylingów sześć pensów i trzy szelągi?

- Tak - odpowiedziałem i mimo że moja siostra przez cały czas targała mnie za uszy, nie mogłem ukryć radości widząc, do jakiego stopnia moja odpowiedź popsuła mu humor i sprawiła, że umilkł zaskoczony.

- Chłopcze - odezwał się po chwili, krzyżując ramiona na piersiach i znowu stosując korkociąg - jak wygląda miss Havisham?

- Bardzo wysoka i czarna - odpowiedziałem.

- Czy rzeczywiście, wuju? - zwróciła się moja siostra do Pumblehooka.

Kiwnął potwierdzająco głową, czym dowiódł, że nigdy nie widział miss Havisham, która bynajmniej tak nie wyglądała.

- Doskonale - powiedział Pumblehook takim tonem, jak gdyby chciał zauważyć: „Ot, jak trzeba z nim postępować. Zabraliśmy się do sprawy z właściwego końca. Prawda, proszę pani?”

- Tak, wuju, teraz widzę, że wuj potrafi się do niego wziąć. Chciałabym, by to wuj go wychowywał.

- No, chłopcze - ciągnął Pumblehook - co robiła, kiedyś dziś do niej wszedł?

- Siedziała - odparłem - w czarnej wybitej aksamitem karcie.

Wuj Pumblehook i moja siostra spojrzeli po sobie zdumieni. Mieli czemu się dziwić i spytali chórem:

- W karecie? Wybitej czarnym aksamitem?

- Tak - potwierdziłem - i panna Estella, zdaje się jej siostrzenica, podawała jej przez okno karety wino i ciasto na złotym talerzu. I my wszyscy jedliśmy ciasto ze złotych talerzy i piliśmy wino. A ja poszedłem zjeść za karete, bo tak mi kazała.

- Czy był tam jeszcze ktoś? - badał Pumblehook.

- Cztery psy - odparłem.

- Duże czy małe?

- Olbrzymie - odpowiedziałem - i biły się o cielece kotlety, które przyniesiono im w srebrnym koszyku.

Wuj i moja siostra zamienili znowu zdumione spojrzenia, a ja wpadłem w szal, jak świadek, którego torturują i który mówi byle co.

- Gdzież, na miłość Boską, była ta kareta? - spytała moja siostra.

- W pokoju miss Havisham - wyjaśniłem. Widząc jednak' coraz bardziej zdumione spojrzenia obojga dodałem przezornie:

- Ale nie była zaprzężona.

W ten sposób odrzuciłem pokusę zaopatrzenia karety w cztery wspaniałe rumaki w pełnym rynsztunku.

- Czy to możliwe, wuju? - pytała moja siostra - co ten chłopiec mówi?

- Wydaje mi się, proszę pani - odparł Pumblehook - że chłopiec musiał ją widzieć w lektyce. To osoba pełna fantazji, pełna wielkiej fantazji, tak wielkiej, że może przesiadywać w lektyce nawet w pokoju.

- Czy wuj ją tak kiedy widział? - dopytywała się moja siostra.

- Jakże mogłem ją tak widzieć - wyznał z żalem Pumblehook - kiedy nie widziałem jej nigdy w życiu na oczy?

- O Boże! - zawołała siostra - ale przecież wuj z nią rozmawiał?

- Prawdę mówiąc - wyznał wuj zakłopotany - kiedym tam był, to rozmawiała ze mną tylko przez uchylone drzwi swego pokoju. Proszę mi nie wmawiać, że tego przedtem nie mówił. Nie przeszkodziło to zresztą, że chłopiec poszedł się do niej bawić. No i w cóżeś się tam bawił, chłopcze?

- Bawiliśmy się w chorągiewki - powiedziałem (chciałbym zwrócić uwagę, że mnie samego przejmowały zdumieniem kłamstwa, które zmyślałem na poczekaniu).

- W chorągiewki? - powtórzyła moja siostra.

- Tak - twierdziłem - Estella powiewała błękitną chorągiewką, ja czerwoną, a miss Havisham usianą w złociste błyszczące gwiazdki z okna karety. Potem wyciągnęliśmy wszyscy miecze i krzyczeliśmy „Hurra!”

- Miecze? - zdziwiła się moja siostra - skąd znowu wzięliście miecze?

- Z szafy - odparłem od razu - były tam też pistolety i konfitury, i...pigułki. A w pokoju nie było światła dziennego, tylko paliły się świece.

- To prawda - potwierdził poważnie Pumblehook - to ostatnie sam widziałem na własne oczy.

Tu oboje utkwili we mnie spojrzenia, a ja starałem się patrzeć w jak najbardziej niewinny sposób i prawą ręką poprawiałem od niechcienia prawą nogawkę spodni.

Gdyby teraz zadali mi jeszcze jedno pytanie, byłbym się na pewno zdradził, gdyż miałem zamiar powiedzieć, że na podwórzu znajdował się balon i tylko wahałem się, czy nie lepiej nadawałby się żywy niedźwiedź w starym browarze. Ale oni byli zbyt zaskoczeni tym, com im już opowiedział, i nie pytali więcej. Zastanawiali się jeszcze nad szczegółami wizyty, gdy przyszedł z kuźni Joe, by napić się herbaty. Siostra moja bardziej po to, by sobie ulżyć, niż po to, by zawiadomić Joego, powtórzyła mu całe moje opowiadanie.

Na widok niebieskich oczu Joego, wytrzeszczonych w bezmiernym zdumieniu i bezradnie błędzących po kuchni, poczułem wyrzuty sumienia. Ale dotyczyły one tylko Joego, a nie tamtych dwojga. Wobec Joego i tylko wobec niego poczułem się małym potworem i rozmyślałem nad tym, podczas gdy oni roztrząsali korzyści, jakie mogą spłynąć na mnie z wizyt u miss Havisham. Nie mieli wątpliwości co do tego, że miss Havisham „coś zrobi” dla mnie, sprzeczali się tylko, co to będzie. Moja siostra była zdania, że na pewno staruszka podaruje mi kawałek gruntu, wuj Pumblehook uważał, że przeznaczy ładną sumkę na wykształcenie mnie w jakimś przyzwoitym fachu, na przykład handlu ziarnem i nasionami, zaś Joe wpadł w całkowitą niełaskę wyraziwszy przypuszczenie, że może dostanę w darze jednego z dwu psów, które były się o cielące kotlety.

- Jeżeli z tej twojej głupiej głowy nie może się narodzić żaden mądrzejszy pomysł i jeżeli masz jeszcze robotę, to lepiej wracaj do kuźni! - krzyknęła siostra. I Joe zaraz sobie poszedł.

Po odjeździe wuja Pumblehooka, gdy siostra moja zabrała się do zmywania statków, wymknąłem się do Joego do kuźni i zostałem z nim aż do wieczora.

Wtedy dopiero oświadczyłem:

- Zanim zgasisz ogień, Joe, chciałbym ci coś powiedzieć.

- Doprawdy? - spytał Joe przysuwając swój stołeczek do kowadła - to mów.

- Joe - zacząłem chwytając go za odwinięty rękaw koszuli i nawijając sobie płótno na palec - słyszałeś, com opowiadał o wizycie u miss Havisham?

- Czy słyszałem? Ależ tak. To coś zdumiewającego!

- To okropne, Joe, ale to wszystko nieprawda.

- Co ty mi opowiadasz, Pip? - spytał Joe - nie chcesz przecież przez to powiedzieć, żeś to wszystko...

- Tak, tak, skłamałem, Joe.

- Ale przecież nie wszystko. Przecież nie chcesz powiedzieć, że nie było tam wcale czarnego aksamitu?

Stałem potrzęsając przecząco głową.

- Ale przynajmniej psy były, Pip? No, Pip - ciągnął Joe z łagodną perswazją - jeżeli nawet nie jadły cielecych kotletów, to przecież były psy?

- Nie, Joe.

- Jeden pies może? - poddawał Joe - no, może szczeniak? Powiedz.

- Nie, Joe, nie było tam w ogóle nic podobnego.

Podniosłem na Joego pełne rozpaczony spojrzenie, a Joe popatrzył na mnie zmieszany:

- Tak być nie może, staruchu - zganił mnie zmartwiony - do czego to dojdzie w ten sposób?

- To okropne, Joe, prawda? - spytałem.

- Okropne? Przerazające! - krzyknął Joe - co cię opętało?

- Nie wiem, Joe, co mnie opętało - odpowiedziałem puszczając jego rękaw i usiadłem w popiele u jego stóp - nie wiem, powtórzyłem z opuszczoną głową - ale wolałbym, byś nie uczył mnie nazywać waletów w kartach „chłopakami”, i wolałbym mieć cieńsze obuwie i ręce nie takie szorstkie.

I opowiedziałem Joemu, że czuję się bardzo nieszczęśliwy i że nie mogłem tego wszystkiego wyznać wujowi i siostrze, którzy są dla mnie tacy niedobrzy, i że u miss Havisham była przepiękna panienka, tak okropnie dumna, i że ona właśnie powiedziała, że jestem ordynarny chłopak, i że ja wiem, iż jestem ordynarny, i że wolałbym nie być ordynarny, i że wszystkie kłamstwa same się jakoś powiedziały. Sam nie wiem jak.

Był to wypadek metafizycznie skomplikowany i równie trudny dla Joego jak dla mnie. Ale Joe odrzucił wszelką metafizykę i w ten sposób sprawę rozwiązał.

- Jednej rzeczy możesz być pewny, Pip - zawyrokował - że kłamstwo zawsze jest kłamstwem. Jakkolwiek się rodzi, tak czy inaczej, nie powinno się rodzić w ogóle. Zsyła je ojciec kłamstw i do niego potem powracają. Nie kłam już nigdy, Pip. To nie jest sposób,

wierz mi, by przestać być ordynarnym czy pospolitym. A co do tego, że masz być jakoby pospolity, to mnie wydaje się, że to nieprawda. Jesteś niepospolicie mały na swój wiek i niepospolicie mądry.

- Nie, Joe, jestem głupi i tępy.

- Ale skądże. A list, który wczoraj wieczorem napisałeś? Całkiem, jak drukowany. Widziałem listy pisane przez eleganckich panów, a nie wyglądały jak drukowane.

- Nie, Joe, ja prawie nic nie umiem. Za dobrze o mnie sądzisz.

- W każdym razie - zapewniał Joe - po to, by być niepospolicie uczonym, trzeba zacząć od pospolitego uczenia się. Nawet król na tronie z koroną na głowie nie potrafiłby pisać swych aktów dla parlamentu drukowanymi literami, gdyby nie uczył się przedtem zwykłego alfabetu od A do Z jako książkę. A już ja wiem dobrze, co taka nauka kosztuje wysiłku, mimo że nigdy jeszcze nie doszedłem do ostatniej litery.

Te pełne rozwagi słowa dodały mi trochę otuchy.

- A może - ciągnął dalej Joe - rozsądniej jest pozostawać w towarzystwie ludzi zwykłych i pospolitych, zamiast chodzić i bawić się z niepospolitymi. Ale powiedz mi, może przynajmniej były chorągiewki?

- Nie, Joe.

- Bardzo żałuję, że nie było chorągiewek, Pip. - W każdym razie nie można się do tego przyznać nie narażając się na wybuch gniewu twojej siostry, a tego nie ryzykowałbym za nic. A teraz słuchaj uważnie, Pip. Mówi do ciebie prawdziwy przyjaciel. Jeżeli nie potrafisz dojść prostą drogą do tego, by nie być pospolitym, to krzywą drogą na pewno do tego nie dojdiesz. Więc nie mówmy o tym więcej, bądź szczęśliwy w życiu i śmierci, Pip.

- Nie gniewasz się na mnie, Joe?

- Nie, mój staruchu, ale muszę ci jeszcze powiedzieć, żeś nadzwyczajnie wymyślił te kłamstwa, na przykład ta” cała historia z bójką o cielęce kotlety. Pomyśl o tym wszystkim, gdy pójdziesz spać, i nigdy więcej już tego nie rób, Pip.

Gdy poszedłem spać do mego pokoiku i zmówiłem pacierz, nie zapomniałem o przestroгах Joego, ale w chłopięcej niewdzięczności myślałem też o tym, jak bardzo wydałby się Joe pospolity Estelli. Joe, zwykły kowal o szorstkich rękach i grubym obuwiu. Myślałem o tym, że moja siostra i Joe siedzą teraz w kuchni i że ja idę spać prosto z kuchni, i że miss Havisham i Estella nigdy w kuchni nie przesiadują, wysoko wzniesione ponad te pospolite sprawy.

Zasnąłem rozmyślając o tym, co przeżyłem dzisiaj u miss Havisham, jak gdyby wizyta u niej trwała nie godziny, lecz tygodnie, i jak gdybym snuł bardzo dawne wspomnienia.

Ten dzień wprowadził do mego życia wielkie zmiany. Ale tak dzieje się w życiu każdego człowieka. Przypomnijcie sobie taki jeden dzień, który zaważył na waszym życiu. Przerwij na chwilę czytanie ty, który to czytasz, i pomyśl o długim łańcuchu złotych czy żelaznych ogni, cierni czy kwiatów, które by nigdy ciebie nie oplątały, gdyby nie było jednego jakiegoś ważnego i pamiętnego dnia w twoim życiu.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

W dzień lub dwa dni później rano po obudzeniu się wpadłem na szczęśliwy pomysł, że najlepszym sposobem wyzwolenia się z pospolitości jest dla mnie zasięgnięcie rady Biddy i wyciągnięcie od niej wszystkich jej wiadomości. Realizując ten wspaniały projekt, powiedziałem Biddy wieczorem u ciotecznej babki Mr. Wopsle'a, że muszę rozpocząć życie na własną rękę i że będę jej bardzo obowiązany, jeżeli udzieli mi pewnych informacji.

Biddy, która była ogromnie sumienną dziewczyną, zgodziła się i zaczęła wprowadzać plan w życie w pięć minut potem.

System czy też program nauk przestrzegany przez cioteczną babkę Mr. Wopsle'a polegał mniej więcej na następujących czynnościach: Uczniowie jedli jabłka i atakowali się wzajemnie skórkami i słomą tak długo, dopóki staruszka nie ruszała na nich chwiejnym krokiem, zebrawszy całą energię, z brzoową różgą w ręku. Pod naciskiem tej groźby, nie kryjąc wesołości, pupilkowie ustawiali się rzędem i podawali sobie z rąk do rąk podartą książkę, która zawierała jakieś obrazki, cyfry i litery. Gdy tylko uczniowie się nią zajęli, cioteczna babka Mr. Wopsle'a oddawała się całkowicie drzemce lub atakowi reumatyzmu. Wtedy to dzieci zabierały się do czynności, która polegała na zawodach, kto potrafi butem nadeptać koledze mocniej na palce stopy. To umysłowe ćwiczenie trwało do chwili, kiedy do klasy wpadała Biddy i rozdawała uczniom trzy egzemplarze Pisma świętego. Była to najgorzej i najniechlujniej wydrukowana Biblia, jaką zdarzyło mi się widzieć wśród wszystkich bibliofilskich okazów w życiu. Kartki miała poobdzierane, wyplamione jakimiś rdzawymi plamami i pełne rozgniecionych owadów. Tę część nauczania przeważnie wypełniały poszczególne walki Biddy z najbardziej opornymi uczniami. Po zakończeniu zapasów Biddy wymieniała odpowiednią stronicę i wówczas czytaliśmy ją głośno okropnym chórem. Biddy górowała nad nami wysokim, przenikliwym głosem, a żadne z nas nie miało pojęcia, o czym właściwie czytamy. Ten potworny hałas budził po pewnym czasie cioteczną babkę Mr. Wopsle'a, która zrywała się i kusztykając dopadała byle jakiego ucznia, by go wytargać za uszy.

Wówczas, uważając to za znak zakończenia lekcji, wybiegaliśmy na dwór wydając radosne okrzyki intelektualnego zwycięstwa.

Należy gwoli sprawiedliwości zaznaczyć, że uczniowi, który by chciał ćwiczyć się na tabliczce lub przy pomocy atramentu w pisaniu, nie stawiano żadnych przeszkód. Nie mógł

jednak tego urzeczywistnić, zwłaszcza zimą, gdyż sklepik, w którym odbywały się lekcje, będący jednocześnie sypialnią i bawialną ciotecznej babki Mr. Wopsle'a, nie posiadał dostatecznego oświetlenia. Stała tam jedna świeca w lichtarzu i w dodatku brak było szczypiec do jej objaśniania.

Zdawało mi się, że w tych warunkach trudno mi będzie pozbyć się pospolitości, ale mimo to postanowiłem spróbować i tegoż wieczora Bidy wywiązała się z obietnicy udzieliwszy mi kilku wiadomości wyczytanych w sklepowym cenniku, który leżał pod wilgotną głową cukru. Moja nauczycielka zadała mi do domu kaligrafowanie dużego ozdobnego D staroangielskiego alfabetu. Literę tę przepisała z nagłówka jakiejś gazety. W pierwszej chwili wziąłem ją za rysunek przedstawiający klamerkę.

Oczywiście we wsi była oberża i oczywiście Joe lubił sobie tam niekiedy wypalić fajkę. Siostra poleciła mi w drodze powrotnej' ze szkoły wstąpić po niego do oberży „Pod Trzema Wesołymi Przewoźnikami i sprowadzić go pod groźbą wygarbowania mi skóry. Skierowałem więc kroki ze szkoły do „Trzech Wesołych Przewoźników.

Była w tej oberży salka restauracyjna, a w niej na ścianie niepokojąco długi szereg nakreślonych kredą cyfr. Myślałem zawsze, że tu nikt chyba nigdy nie płaci długów. Cyfry trwały tam, jak dawno pamiętałem, i były większe ode mnie. Ale w naszej okolicy znajdowało się tyle kredy, że może umyślnie jej się w ten sposób tutaj pozbywano.

Był wieczór sobotni i oberżysta oglądał z dość ponurą miną te rachunki, ale ponieważ nie przyszedłem do niego, tylko do Joego, więc jedynie powiedziałem mu wesoło „dobry wieczór i skierowałem się do drugiego pokoju na końcu korytarza. Płonął tam jasny, wesoły ogień na kominie i Joę kurzył fajkę w towarzystwie Mr. Wopsle'a i jakiegoś nieznajomego.

- Jak się masz, Pip, staruchu? - przywitał mnie Joe i w tej chwili nieznajomy obejrzał się i przypatrzył mi uważnie.

Był to tajemniczy jegomość o głowie przekrzywionej na bok. Jedno oko miał stale przyMr.uzone, jak gdyby celował do niewiadomego celu z dubeltówki. Palił fajkę, ale teraz wyjął ją z ust, wydmuchał cały dym i wciąż na mnie patrząc skinął mi głową. Odkiwnałem mu w odpowiedzi, a on znów mi się zrewanżował i posunąwszy się zrobił mi przy sobie miejsce na ławie.

Ale nie usiadłem tam, tylko powiedziawszy: „nie, dziękuję panu, usadowiłem się przy Joem na miejscu, które dla mnie zrobił, naprzeciw nieznajomego.

Dziwny człowiek spojrzał na Joego, a widząc, że uwaga jego jest zajęta czymś innym, znowu zrobił ku mnie zapraszający gest, przy czym jakoś dziwacznie potarł się po nodze.

- Powiedział pan - zwrócił się teraz nieznajomy do Joego - że jest pan kowalem.

- Tak, to prawda - potwierdził Joe.

- Czego pan się napije, panie...? Nie podał mi pan swego nazwiska.

Joe wymienił je i nieznajomy zaraz zwrócił się do niego po nazwisku:

- Czego pan się napije, Mr. Gargery? Ja płacę. Chciałbym się z panem trącić.

- Prawdę mówiąc - odparł Joe - nie mam zwyczaju pić na cudzy koszt.

- Zwyczaju? - powtórzył nieznajomy - to rozumiem. Ale raz, i to przy sobotnim wieczorze, przy okazji. No, niechże pan powie, czego pan się napije, Mr. Gargery.

- Nie chciałbym pana obrażać - oświadczył Joe - niech więc będzie rum.

- Rum - zawtórował nieznajomy - a czy ten drugi pan nie wyrazi swego życzenia?

- Rum - powtórzył Mr. Wopsle.

- Trzy rumy! - zawołał nieznajomy do oberżysty - i szklanki dla wszystkich.

- Tego pana - powiedział Joe przedstawiając Mr. Wopsle'a - tego pana może pan usłyszeć w kościele, gdy intonuje psalmy. To nasz kościelny.

- Ach - podchwycił żywo nieznajomy - w tym samotnym kościele, otoczonym bagniskami, tuż przy cmentarzu?

Mrugnął do mnie przy tym wyraźnie okiem.

- Tak jest - potwierdził Joe.

Z ust nieznajomego wydobyło się pełne zadowolenia Mr. uknięcie; palił dalej fajkę i wyciągnął wygodnie nogi na przeciwległe krzesło. Na głowie miał szerokoskrzydły kapelusz, taki jaki noszą podróżni, a pod nim głowę owiązaną chustką, tak że nie widać było jego włosów, jak pod czepeczkiem. Gdy patrzył w ogień kominka, miałem wrażenie, że w wyrazie jego twarzy czytam coś złośliwego i ironicznego.

- Nie znam tej okolicy, panowie, ale zdaje mi się, że ta część koło rzeki jest bardzo opuszczona.

- Przeważnie bagna bywają opuszczone - zauważył Joe.

- Bez wątpienia, bez wątpienia. A czy nie ma tam niekiedy wędrownych Cyganów, włóczęgów czy łazików?

- Nie - odparł Joe - najwyżej od czasu do czasu jakiś uciekinier z galer. I nie łatwo ich złapać, co, Mr. Wopsle?

Mr Wopsle, który dobrze pamiętał niedawną przygodę, przytaknął, ale bynajmniej nie skwapliwie.

- Wygląda na to, jak gdybyście brali udział w takim pościgu? - spytał nieznajomy.

- Tak. Raz - odpowiedział Joe - i to nie dlatego, abyśmy chcieli ich łapać. Po prostu wyszliśmy, by się przyjrzeć: Mr. Wopsle, ja i Pip. Prawda, Pip?

- Tak, Joe.

Nieznajomy znowu spojrział na mnie Mr.uząc oko, jak gdyby celował z niewidzialnej fuzji, i rzucił:

- Pyszny z niego chłopak. Jak pan go nazywa?

- Pip - odparł Joe.

- Czy to jego chrzestne imię?

- Nie, to nie chrzestne imię.

- Więc co, nazwisko?

- Nie - wyjaśnił Joe - to przezwisko, które sam sobie nadał, jak był malutki, i tak już zostało.

- To pański syn?

- Jakby to panu powiedzieć - odparł Joe z głębokim namysłem, bo tu w oberży „Pod Trzema Wesołymi Przewoźnikami o wszystkim mówiło się z głębokim namysłem w kłębach fajczanego dymu - nie, nie jest moim synem.

- Siostrzeniec? - badał nieznajomy.

- Jakby to panu powiedzieć - odparł Joe tym samym tonem - nie chciałbym pana wprowadzić w błąd - on nie jest moim siostrzeńcem.

- Więc kimże jest, u diabła? - zaklął nieznajomy, a ja miałem wrażenie, że zbyt wiele gorliwości wkłada w te pytania.

Mr Wopsle wtrącił się nagle do rozmowy. Zachował się, jak przystało człowiekowi, który z racji swego urzędu wie najlepiej, jakie więzy rodzinne ludzi łączą i w jakich warunkach wolno na przykład poślubić kobietę, i wyjaśnił nieznajomemu pokrewieństwo zachodzące pomiędzy mną a Joem.

Będąc wykształcony, zakończył swoje przemówienie zacytowaniem okropnego wiersza z „Ryszarda III Szekspira i dodał dla usprawiedliwienia:

- Jak powiada poeta.

Muszę dodać, że Mr. Wopsle mówiąc o mnie wicherzył mi włosy i rozrzucał mi je na oczy. Nie mogłem zrozumieć, czemu dorośli tak często zachowują się wobec mnie tak dziwnie. Czemu, gdy chcą o mnie rozmawiać, dotykają mojej osoby w protekcyjny sposób.

Tymczasem nieznajomy, który nie spuszczał ze mnie oczu, wyglądał w tej chwili tak, jak gdyby zdecydował się już wystrzelić i zabić mnie na miejscu. Ale nie mówił jeszcze nic, dopóki nie przyniesiono rumu, wody i szklanek. Dopiero gdy wszystko było na stole, wystrzelił, i to w sposób najbardziej niezwykły.

Oto nie wymówił dalej ani słowa, ale wykonał szereg mimicznych ruchów wyraźnie skierowanych ku mnie. Skosztował rumu z wodą, potem patrząc na mnie zamieszał płyn w szklance, następnie znowu posmakował i znów, spoglądając na mnie bacznie, zamieszał. Ale co dziwniejsza, nie mieszał łyżką, tylko... pilnikiem.

Zrobił to tak zręcznie, że nikt, prócz mnie, nie widział pilnika, który potem szybkim ruchem schował do kieszeni. Poznałem natychmiast pilnik Joego i zrozumiałem, że ten człowiek zna mojego galernika. Patrzyłem teraz w niego, jak skamieniały, ale z kolei on nie zwracał na mnie żadnej uwagi i zaczął z zajęciem rozmawiać o rzepie.

Był zwyczaj w naszej wsi, że w sobotę wieczorem wszyscy przed udaniem się na spoczynek urządzali powszechnie mycie i porządki. To sprawiało, że Joe w wieczory sobotnie pozwalał sobie na przedłużenie o pół godziny nieobecności w domu. Ale gdy skończyło się i owe pół godziny, i rum w szklankach, Joe wstał i wziął mnie za rękę.

- Niech pan się zatrzyma, Mr. Gargery - poprosił nieznajomy - wydaje mi się, że mam gdzieś w kieszeni nowy błyszczący pieniądz, chyba szyling. Jeżeli go znajdę, dam chłopcu.

Wyciągnął z kieszeni garść drobnych, wyszukał spośród nich błyszczącą monetę i podał mi ją owiniętą w paperek.

- To dla ciebie - powiedział - uważaj, tylko dla ciebie.

Podziękowałem mu wpatrując się w niego trochę za natarczywie jak na stosunki towarzyskie i przytulając się do Joego. Powiedział dobranoc Joemu i Mr. Wopsle'owi (który wyszedł z nami) i spojrzął na mnie celującym okiem. Właściwie nie spojrzął, tylko przymknął powiekę i wyrabiał okiem jakieś cuda.

Gdybym miał ochotę do rozmowy w powrotnej drodze, musiałbym chyba rozmawiać sam ze sobą, gdyż Mr. Wopsle rozstał się z nami zaraz przed „Wesołymi Przewoźnikami”, a Joe szedł przez cały czas z szeroko otwartymi ustami, by wiatr wywiał z nich wszelki zapach rumu. Byłem jednak daleki od chęci rozmowy, takie wrażenie zrobiło na mnie wskrzeszenie mojego starego przestępstwa i starej znajomości.

Po prostu nie mogłem oderwać od tego myśli.

Siostra nie była w bardzo złym humorze, gdy zjawiliśmy się w kuchni, i to skłoniło Joego do opowiedzenia jej o błyszczącym szylingu, jaki otrzymałem.

- Na pewno fałszywa moneta - orzekła siostra triumfalnie - inaczej nie dałby jej chłopcu. Pokaż no.

Wyjąłem pieniądz z papierka i okazało się, że jest dobry.

- Ale co to? - krzyknęła nagle siostra chwytając paperek - dwa banknoty funtowe?

Istotnie były to dwa banknoty funtowe tak wytłuszczone, jak gdyby stykały się ze wszystkimi targami na bydło w okolicy.

Joe schwycił kapelusz i pobiegł pod „Trzech Wesołych Przewoźników, by odnaleźć właściciela pieniędzy. Kiedy wybiegł, usiadłem spokojnie na stołeczku i patrząc przed siebie myślałem, że na pewno nie zastanie już tego człowieka.

Joe powrócił i powiedział, że nieznajomego już nie było, ale że zostawił w oberży polecenie dla niego w sprawie banknotów. Wtedy siostra moja owinęła pieniądze w papier i schowała pod płatki suszonych róż na dnie ozdobnego wschodniego imbryka do herbaty, stojącego w kredensie.

Pozostały tam i w ciągu długich dni i nocy nie przestawały mnie straszyć.

Gdy kładłem się do łóżka, natychmiast zaczynał mnie dręczyć widok nieznajomego celującego do mnie z niewidzialnej strzelby i straszliwe poczucie winy z powodu przestępstwa spiskowania z galernikami (zdążyłem już przedtem zapomnieć o tym szczególe mojej skromnej kariery). Straszyl mnie też widok pilnika i drżałem z lęku, że może mi się znowu kiedyś ukazać.

Zasnąłem pocieszając się rozmyślaniami o przyszłej środzie i odwiedzinach u miss Havisham, ale we śnie zjawił mi się obraz pilnika wchodzącego przez drzwi, trzymanego niewidzialną dłonią. Obudziłem się na własny krzyk.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

W umówiony dzień stawilem się u miss

Havisham, a mój niepewny dzwonek przy bramie zwabił Estellę. Zamknęła szybko bramę wpuściwszy mnie, jak za pierwszym razem, do wnętrza i tak samo jak wówczas poszedłem za nią ciemnym korytarzem, gdzie płonęła świeca w lichtarzu. Estella z początku nie powiedziała do mnie ani słowa. Dopiero gdy wzięła do ręki lichtarz, rzuciła mi wyniośle przez ramię:

- Dzisiaj masz iść tędy.

I poprowadziła mnie do całkiem innej części domu.

Korytarz był tak długi, że robił wrażenie ciągnącego się przez całą szerokość dworu. Ale nie przeszliśmy go jeszcze całego, gdy Estella zatrzymała się, otworzyła jakieś drzwi i odstawiła świecę. Buchnęło na mnie znowu światło dnia i znalazłem się na małym, wybrukowanym podwórku, w którego głębi stał domek, wyglądający na mieszkanie dyrektora lub wysokiego urzędnika dawnego browaru. Na zewnętrznej ścianie domu przybity był zegar, który podobnie jak zegar i zegarek miss Havisham wskazywał dwadzieścia minut przed dziewiątą.

Weszliśmy w otwarte drzwi domu i znaleźliśmy się w parterowym pokoju o niskim suficie. W pomieszczeniu tym znajdowało się kilka osób i Estella pozostała z nimi, powiedziawszy do mnie:

- Idź tam, chłopcze, i czekaj, aż cię zawołają.

Mówiąc „tam wskazała okno, więc stanąłem przy nim i w bardzo przykrym nastroju czekałem, co też dalej będzie.

Okno, przez które wyglądałem, wychodziło na nędzny zakątek zaniedbanego ogrodu. Widniały tam ślady po kapuścianych grzędach oraz jakiś krzak przystrzyżony niegdyś na kształt tortu, ale rozrośnięty potem i tak wyglądający, jak gdyby owo dzieło kulinarne wyrosło z nadto z formy, w której było pieczone. Tak przy najmniej po domowemu sobie myślałem, gdym patrzył na ten krzew. W nocy musiał spaść niewielki, lekki śnieg, którego nie spostrzegłem na wsi, ale który nie zdążył jeszcze stopnieć w chłodzie zakątka ogrodu. Wiatr podnosił białą kurzawę i bił nią o okna jak gdyby protestując w ten sposób przeciw mojej obecności za szybą.

Odgadłem, że moje przybycie przerwało rozmowę osób zgromadzonych w pokoju i że wszyscy spoglądają w moją stronę.

Nie widziałem w pokoju nic, prócz odbłasku ognia kominka w szybie, ale sztywniałem na myśl, że jestem pod obserwacją.

W pokoju były trzy panie i jeden pan. Wystarczyło mi pięciu minut, by nabrać pewności, że wszyscy to pochlebcy i samochwały, że każdy z nich jednak stara się nie dostrzegać tych przywar u innych, aby nie być zmuszonym do przyznania się, że sami są pochlebcami i samochwałami.

Wszyscy oni udawali, że dbają tylko o przyjemność innych i że mówią od niechcienia, ale najbardziej rozmowna pani tłumiała ziewanie. Pani ta nazywała się Kamilla i przypominała mi ogromnie moją siostrę, tyle że wyglądała na starszą od niej i (jak mogłem wnioskować z jednego rzuconego na nią spojrzenia) miała rysy bardziej wyblakłe. I rzeczywiście, kiedy później poznałem ją bliżej, dziwiłem się, że w ogóle posiada jakieś rysy, tak białą i wyniosłą była martwa ściana jej twarzy.

- Drogie biedactwo - mówiła z porywcznością podobną do zapalczywości mojej siostry - ma tylko jednego wroga: samego siebie.

- Wydaje mi się, że znacznie właściwiej jest mieć wroga poza samym sobą - zauważył pan.

- Kuzynie Rajmundzie - powiedziała jedna z pań - powinniśmy kochać bliźnich.

- Saro Pocket - odparł kuzyn Rajmund - jeśli człowiek nie jest bliźnim siebie samego, to któż nim jest?

Miss Pocket roześmiała się, a Kamilla wybuchnęła również śmiechem i rzuciła (tłumiąc ziewanie):

- Cóż za pomysł!

Miałem jednak wrażenie, że wszystkie uważały to właśnie za dobry pomysł. Pani, która dotychczas jeszcze się nie odzywała, pochwaliła:

- To bardzo słuszne.

- Biedak - ciągnęła Kamilla po przerwie (w czasie której, czułem to, patrzyli na mnie) - taki jest dziwny. Czy kto uwierzy, że gdy umarła żona Toma, on nie mógł w żaden sposób pojąć, że dzieci powinny mieć najgrubszą krepą obszyte sukienki? „Mój Boże - mówił wtedy do mnie - Kamillo, jakież to może mieć znaczenie, skoro dzieci już i tak odziane są na czarno? Tak może powiedzieć tylko Mateusz. Też pomysł!

- Ma swoje dobre strony, o, ma bezsprzecznie! Nigdybym nie odmówił mu zalet - powiedział kuzyn Rajmund - ale nigdy nie miał i nie będzie miał poczucia tego, co wypada, a co nie wypada.

- Ale ja byłam stanowcza - oświadczyła Kamilla - mówiłam mu, że tyle jesteśmy winni krewnym i że bez grubej krepy rodzina będzie znieważona. Nie przestawałam wykrzykiwać tego od śniadania do kolacji, nie wahałam się nawet narazić w ten sposób własnego trawienia. Ale wreszcie rozzłościł się i klnąc od diabłów powiedział, bym robiła, co mi się podoba. I Bogu niechaj będą dzięki, jedyną moją pociechą jest to, że w ulewny deszcz wybiegłam i kupiłam co trzeba.

- Zapłacił chyba za wszystko? - spytała Estella.

- To nieważne, moje dziecko, kto płacił. Ja kupiłam. I teraz budząc się w nocy, gdy to wspominam, jestem spokojna.

Rozmowę przerwał oddalony dzwonek i jakiś głos wołający jak gdyby z głębi korytarza, którym przyszliśmy do pokoju. Estella zwróciła się do mnie:

- Idziemy, chłopcze.

Gdym się odwrócił, wszyscy przyglądali mi się w milczeniu, a kiedy opuszczałem już pokój, usłyszałem, jak Sara Pocket mówiła:

- Coś takiego! Doprawdy! Kto będzie następny? A Kamilla dodała z oburzeniem:

- Czy widział kto podobny kaprys? Niesłychane!

Gdy szliśmy przez korytarz ze świecą, Estella zatrzymała się na zakręcie i rozejrzawszy się wokoło odezwała się beczelnym tonem, zbliżając swą twarz ku mojej:

- No, więc?

- Więc, co, panienko? - odpowiedziałem odsuwając się, by się o nią nie otrzeć.

Stała patrząc na mnie i ja spoglądałem na nią.

- Czy jestem ładna?

- Tak. Zdaje mi się, że panienka jest bardzo ładna.

- Czy jestem przykra dla ciebie?

- Nie tak bardzo przykra jak zeszłym razem - odparłem,

- Nie tak bardzo?

- Nie.

Stawiając mi ostatnie pytanie zaczerwieniła się z gniewu i z całej siły uderzyła mnie w twarz.

- No, a teraz? Ty mały ordynarny potworze. Co teraz o mnie myślisz?

- Nie powiem tego.

- Bo polecisz i poskarżysz się na górze? Dlatego, co?

- Nie, nie dlatego.

- Dlaczego nie płaczesz, ty mała ofiara, co?

- Bo już nigdy nie będę płakał z twojego powodu - oznajmiłem.

Nie była to prawda, było to najbardziej kłamliwe oświadczenie, jakie kiedykolwiek złożyłem, bo nawet w tej chwili wewnętrznie płakałem z jej powodu, a wiele bólu kosztowała mnie i potem.

Szliśmy teraz dalej i na schodach zetknęliśmy się z jegomościem, który po omacku schodził na dół.

- Kogóż to tutaj mamy? - spytał jegomość patrząc na mnie.

- Chłopca - odparła Estella.

Był to tęgi mężczyzna o wyjątkowo smagłej cerze, olbrzymiej głowie i wielkich dłoniach. Wziął mnie pod brodę dużymi rękami i odwrócił mą głowę, by zobaczyć twarz w blasku świecy. Był przedwcześnie wyłysiały na czubku głowy i miał krzaczaste brwi, które zamiast leżeć, sterczały kępkami. Oczy jego były głęboko osadzone i spoglądały podejrzliwie i ostro. Miał zegarek na łańcuszku, a w tym miejscu, gdzie powinny być się znajdować bokobrody, znaczyły mu twarz ciemne cętki. Był mi całkiem obcy i nie przypuszczałem, że go kiedykolwiek zobaczę, a jednak miałem potem okazję dobrze zaobserwować tego człowieka.

- Chłopak z sąsiedztwa, co? - spytał.

- Tak, proszę pana - potwierdziłem.

- W jaki sposób się tu dostałeś?

- Miss Havisham po mnie posłała - odparłem.

- Więc zachowaj się tam dobrze - powiedział - znam chłopców i wiem, że to wisusy.

Więc uważaj - powtórzył ogryzając sobie palec i marszcząc się - zachowuj się grzecznie.

W tej chwili dopiero puścił mnie, z czego byłem zadowolony, bo palce jego woniały pachnącym mydłem, i zeszedł na dół po schodach. Pomyślałem sobie, czy to nie był doktor, ale odrzuciłem to przypuszczenie uważając, że lekarz okazałby się bardziej wyrozumiały.

Nie miałem zresztą wiele czasu na te rozmyślenia, gdyż znaleźliśmy się w pokoju miss Havisham, a zarówno pokój jak ona wcale się nie zmieniły. Estella wpuściła mnie i zatrzymała się przy drzwiach, a ja czekałem, aż miss Havisham podniesie oczy znad toalety.

- Więc tak - powiedziała bez zdziwienia - dni minęły. Czy tak?

- Tak, proszę pani, dzisiaj jest...

- Dosyć, dosyć, dosyć - rzuciła niecierpliwie, trzaskając palcami - nie chcę nic wiedzieć. Czyś gotów do zabawy?

Byłem zmuszony odpowiedzieć ze wstydem:

- Nie wydaje mi się, proszę pani.

- Nie zagrasz w karty? - pytała.

- Owszem, proszę pani, jeżeli pani sobie życzy, to mogę.

- Jeżeli ten dom wydaje ci się stary i smutny - mówiła miss Havisham - i nie usposabia cię do zabawy, to czy chcesz pracować? Idź do pokoju naprzeciwko - poleciła wskazując na drzwi szczupłą ręką - i czekaj tam na mnie.

Wyszedłem na klatkę schodową, a stamtąd do pokoju, który mi wskazała. I ten pokój był pozbawiony światła, i panował w nim zaduch niewielzonego wnętrza.

W starym, niemodnym, zawilgłym kominku palił się ogień, ale zdawał się tlić raczej niż rozgrzewać, a ciężki dym w pokoju nie dawał ciepła, podobnie jak mgła unosząca się nad naszym bagniskiem.

Cienkie świece w wysokich kandelabrach na starym kominku słabo oświetlały pokój, a raczej zaledwie walczyły z jego Mr. okiem. Pokój musiał być kiedyś ładny, ale na każdym z jego przedmiotów leżała gruba warstwa kurzu i pleśni, a wiele rzeczy znajdowało się w rozkładzie. Uwagę zwracał długi stół przykryty obrusem, jak na spodziewane przyjęcie, które miało się odbyć wówczas, gdy cały dom wraz z zegarami zatrzymał się w czasie. Pośrodku stołu stał duży przedmiot tak opleciony pajęczynami i zmurszały, że niesposób było go rozpoznać. Patrzyłem na żółtą masę, z której zdawał się wyrastać czarny grzyb, i spostrzegłem, że do tego przedmiotu zbiegały się ze wszystkich stron, a potem rozpierzchały olbrzymie, ciemno nakrapiane pająki o cętkowanych nóżkach. Spieszyły się tak, jak gdyby w tym pajęczym społeczeństwie wydarzyło się coś ważnego. Jednocześnie za obiciami pokoju słyszałem bieganie myszy, jak gdyby i ich dotyczyły te same sprawy. Jedynie wielkie, czarne karaluchy nie zwracały uwagi na to podniecenie i z powagą grupowały się koło kominka niczym starsze, przygłuche i krótkowzroczne osoby, które nie życzą sobie znajomości z innymi istotami.

Te pełzające stworzenia tak pochłonęły moją uwagę, że jeszcze przyglądał im się z daleka, gdy miss Havisham położyła mi dłoń na ramieniu. W drugiej ręce trzymała laseczkę, na której się opierała, i wyglądała jak czarownica tych zaklętych miejsc.

- Tutaj - powiedziała wskazując stół - będę leżała, gdy uMr.ę. Niech przyjdą mnie tu oglądać.

Pełen przerażenia, by natychmiast nie położyła się tam i nie umarła, i przejęty na nowo jej podobieństwem do strasznej figury woskowej na jarmarku, zadrzałem pod dotknięciem jej ręki.

- Jak myślisz, co to jest, tam na stole, gdzie pająki? - spytała wskazując laseczką na przedmiot.

- Nie mogę się domyślić, proszę pani.

- To wielki kołacz, weselny kołacz. Mój.

Rozejrzała się bacznie po pokoju i zaciskając dłoń na moim ramieniu rozkazała:

- No, no, prowadź mnie, prędeży, dookoła pokoju.

Zrozumiałem, że robotą, którą zapowiadała, miało być oprowadzenie jej po pokoju.

Posłusznie ruszyłem, a ona, oparta na moim ramieniu, szła przy mnie w takim tempie, w jakim, ulegając pierwszemu pomysłowi w tym domu, naśladowałbym bryczkę wuja Pumblechooka.

Nie była bardzo silna, toteż wkrótce powiedziała:

- Wolniej.

Zwolniłem, ale miss Havisham ścisnęła mnie za ramię i dyszała wyobrażając sobie zapewne, że idzie tak szybko jak jej własne myśli.

Nagle poleciła mi:

- Zawołaj Estellę.

Wybiegłem na schody i tam przechylony na dół krzychałem imię dziewczynki, a gdy zobaczyłem blask jej świecy, powróciłem do miss Havisham i znowu ją oprowadzałem.

Dość już byłoby mi przykro, gdyby Estella sama stała się świadkiem naszego spaceru, ale gdy dziewczynka przyprowadziła jeszcze owe trzy panie i pana, nie wiedziałem, co mam zrobić. Chciałem przerwać przechadzkę, ale miss Havisham ścisnęła mnie za ramię tak, że musiałem posuwać się dalej. Cierpiałem na myśl, że przypuszczają, jakobym to ja wymyślił tę zabawę.

- Droga miss Havisham - odezwała się miss Sara Pocket - jakże doskonale pani wygląda!

- Nieprawda - oświadczyła miss Havisham - mam poślizgniętą skórę i kości.

Kamilla zajaśniała radością słysząc, w jaki sposób miss Havisham odpowiada miss Pocket, i patrząc na panią domu szepnęła współczującym tonem:

- Biedactwo! Skądżeby miała dobrze wyglądać, nieszczęsna! Cóż za pomysł!

- A jakże pani się miewa? - rzuciła miss Havisham ku Kamilli.

Ponieważ właśnie ją mijaliśmy, zatrzymałem się oczywiście, ale miss Havisham pociągnęła mnie dalej i czułem na sobie pełen nienawiści wzrok Kamilli.

- Dziękuję, miss Havisham - odpowiedziała - czuję się jak na mnie nieźle.

- Co pani właściwie jest? - spytała teraz miss Havisham z wyjątkową szorstkością.

- Nic szczególnego, nie chciałabym publicznie zwierzać się z moich uczuć - odparła

Kamilla - ale myśląc tak ciągle o pani, nie sypiam po nocach i stąd moje cierpienia.

- To niech pani nie myśli o mnie - doradziła miss Havisham.

- Łatwo to powiedzieć - oświadczyła Kamilla tłumiąc głośny szloch, podczas gdy górna jej warga drgała, a oczy napęłniły się łzami. - Rajmund może zaświadczyć, ile muszę zażywać kropel i wachać soli trzeźwiących przed snem - Rajmund może zaświadczyć, jakie mam nerwowe darcia w nogach, jakie skurcze gardła. Nie dziwię się im zresztą, gdyż takim lękiem napęłniła mnie obawa o tych, których kocham. Gdybym była mniej wrażliwa i mniej czuła, miałabym z pewnością lepsze trawienie i może nawet nerwy z żelaza. Ale nigdy nie mogłabym po nocach przestać myśleć o pani. Nigdy! Cóż za pomysł!

I wybuchnęła płaczem.

Domyśliłem się, że ów Rajmund to pan towarzyszący paniom i że on to jest mężem Kamilli.

W tym momencie przyszedł z pomocą i odezwał się łagodnym i czułym głosem:

- Droga Kamillo, jest rzeczą powszechnie znaną, że twoje uczucia rodzinne podkopują ci organizm tak, aż jedna z twoich nóg staje się krótsza od drugiej.

- Nie wydaje mi się jednak - rozległ się głos poważnej damy, która dotychczas przemówiła tylko jeden raz - nie wydaje mi się, aby fakt, iż myśli się o jakiejś osobie, przyczyniał się do uzurpowania sobie praw do niej, moja droga.

Panna Sara Pocket, która jak to teraz dopiero zobaczyłem, była małą, zasuszoną, pomarszczoną staruszką, z twarzą podobną do dwu łupin laskowego orzecha i ustami podobnymi do kocich, tylko bez wąsów, była tego samego zdania, gdyż przytaknęła:

- Masz słuszność, moja droga Heni!

- Myśleć to nie sztuka - powiedziała poważna dama.

- Nic łatwiejszego - dorzuciła miss Sara Pocket.

- Tak, tak - wybuchnęła Kamilla, której uczucia zdawały się z nóg wędrować teraz do piersi - macie rację. - To Słabość być taką uczuciową, ale cóż ja na to poradzę? Niewątpliwie, zdrowie moje znajdowałoby się w znacznie lepszym stanie, gdybym się tak nie przejmowała, ale wcale nie pragnę się zmienić. To przyczyna cierpień, ale jednocześnie wielka pociecha, kiedy obudzę się nocą i wiem, że jestem taka uczuciowa.

Tu nastąpił nowy wybuch płaczu.

Przez cały ten czas nie przestaliśmy ani na chwilę krążyć z miss Havisham wokół pokoju, chwilami muskając spódnicę przybyłych pań, chwilami zaś oddzieleni od nich szerokością ponurego pokoju.

- Taki Mateusz na przykład - mówiła Kamilla - nie troszczy się wcale o zdrowie miss Havisham, nigdy nie przyjdzie jej odwiedzić. Leżałam na kanapie z rozsznurowanym

gorsetem godzinami, nic nie widząc wokół mnie, ze zwieszoną głową i rozwianym włosom, z nogami już sama nie wiem gdzie umieszczonymi.

(- Znacznie wyżej niż głowa, kochanie - wtrącił jej małżonek).

- Godzinami leżałam w tym stanie, rozpaczając z powodu niegodnego zachowania się Mateusza, a czy kto mi za to podziękował?

- Wcale się nie dziwię, że nikt tego nie uczynił - wtrąciła poważna dama.

- Widzisz, moja droga - powiedziała panna Sara Pocket (obłudnie zła osoba) - to zależy, od kogo też spodziewałaś się podziękowań, kochanie?

- Nie spodziewałam się od nikogo podziękowania - ciągnęła Kamilla - i długie godziny pozostawałam w tym stanie, i Rajmund jest świadkiem, że chwytaly mnie takie kurcze, iż nawet sole trzeźwiące nie pomagały, a moje dławienie się słycać było naprzeciwko w mieszkaniu stroiciela fortepianów, aż nawet biedne dzieci myślały, że to gołębie gruchają.

Tu Kamilla dotknęła dłonią szyi, jak gdyby chciała wyjaśnić, na czym polegały owe niezwykle zjawiska w jej gardle.

Gdy wymieniła imię Mateusza, miss Havisham zatrzymała mnie i sama przystanąła patrząc na mówiącą. Kamilla natychmiast przestała rozprawiać o objawach swej choroby i umilkła.

- Mateusz przyjdzie do mnie, by zobaczyć mnie po raz ostatni, kiedy będę leżała na tym stole martwa. Stanie sobie, o, tutaj” u mojego wezglowia. A wy też tu wtedy się zjawicie! I ty, i twój mąż! Będziecie tu siali! A Sara Pocket tutaj! A Georgiana tu, w tym miejscu. Wiecie już, gdzie są wasze miejsca po mojej śmierci! A teraz wynoście się!

Przy wymienianiu każdego z poszczególnych imion uderzała laską w inne miejsce. Następnie zwróciła się do mnie: „Prowadź mnie, prowadź. I znowu ruszyliśmy w wędrówkę wokół pokoju.

- Myślę, że nie pozostaje nam nic innego, tylko z żalem odejść - wykrzyknęła Kamilla.

- Zobaczyć osobę, którą się kocha, choćby na krótko, jest już szczęściem. Będę wspominała tę chwilę z pełnym melancholii zadowoleniem, ile razy się obudzę nocą. Życzyłabym Mateuszowi, by i on doznał podobnej pociechy, ale cóż, on wybrał całkiem inną drogę. Nie chciałabym publicznie ujawniać mych uczuć, ale, muszę wyznać, świadomość, że ktoś się chce pozbyć swej krewnej, jak gdyby była potworem, i po prostu wyrzuca ją, jest ogromnie bolesna.

W tej chwili mąż Kamilli rzucił się ku swej małżonce, która położyła dłoń na sercu takim gestem, jak gdyby oznajmiała, że zaraz za drzwiami zemdleje. Na razie posłała całusa miss Havisham i wyszła.

Sara Pocket i Georgiana stoczyły krótką walkę o to, która z nich ma wyjść ostatnia, ale Sara okazała się zręczniejsza i tak zapanowała, że wypchnęła po prostu Georgianę z pokoju. Wtedy dopiero odwróciła się ku miss Havisham i pożegnała ją słowami:

- Niech panią Bóg błogosławi, droga miss Havisham.

Jej podobne do laskowego orzecha policzki rozciągnęły się w pełnym politowania dla słabości innych uśmiechu.

Podczas gdy Estella odprowadzała na schody gości ze świecą, miss Havisham wciąż jeszcze przechadzała się wsparta na moim ramieniu po pokoju, ale coraz to bardziej zwalniała kroku.

Wreszcie usiadła przy kominku i popatrzywszy przez kilka sekund w ogień Mr. uknęła:

- Dziś moje urodziny, Pip.

Chciałem już powiedzieć, że życzę jej wszystkiego dobrego, gdy podniosła w górę łaskę.

- Nie znoszę, kiedy się o tym wspomina. Zabraniam tym, co się tu zesłi, mówić na ten temat. Przychodzą tego dnia, ale nie ośmielają się wieszować.

Oczywiście nie powiedziałem już ani słowa.

- Właśnie tego samego dnia przed wielu laty, na długo przedtem, zanim się urodziłeś - opowiadała - przyniesiono tutaj te wszystkie śmiecie.

Tu wskazała końcem laski stół, na którym roiły się pająki. - Wszystko to się rozpada i ja też. Myszy nadgryzają to, co tu widzisz, ale zęby ostrzejsze niż zęby myszy nadgryzają moje ciało.

Przyciskała sobie rączkę laski do serca i stała teraz nad stołem w niegdyś białej, a teraz pożółkłej sukni, patrząc na niegdyś biały, a teraz pożółkły obrus i wszystko wokół niej robiło takie wrażenie, jak gdyby miało się rozpaść w pył.

- Kiedy ruina będzie doprowadzona do końca - mówiła patrząc upiornym wzrokiem - kiedy położą mnie w tej ślubnej sukni martwą na tym ślubnym stole, wtedy spełni się do końca klątwa. O, jakże chciałabym, aby nastąpiło to już dzisiaj!

Stała patrząc na stół w taki sposób, jak gdyby już widziała siebie na nim rozciągniętą. Nie poruszyła się z miejsca nawet wtedy, gdy powróciła Estella. I nagle odniosłem wrażenie,

że stoimy tak bardzo dawno. W ciężkim powietrzu pokoju, wśród Mr.oków czających się po kątach miałem uczucie, że i ja, i Estella zaczynamy się rozsypywać w proch.

Miss Havisham nie otrząsała się stopniowo z tego nastroju, tylko nagle powiedziała:

- Teraz zagrać we dwoje w karty. Chcę się temu przyjrzeć. Czemu jeszcze nie zaczynacie?

Wróciliśmy więc do jej pokoju i do partii kart. I znowu przegrywałem jak przedtem, i znowu miss Havisham chwaliła przede mną urodę Estelli i podnosiła jeszcze jej piękność, przymierzając dziewczynce swoją biżuterię.

Estella traktowała mnie równie pogardliwie jak przedtem z tą różnicą, że tym razem nawet nie raczyła do mnie się odezwać.

Gdy rozegraliśmy pół tuzina partii, ustalono dzień, kiedy mam znowu przyjść, sprowadzono mnie na podwórze, nakarmiono jak psa i byłem wolny.

Mniejsza o to, czy furtka w murze otaczającym ogród była otwarta, wówczas gdy wlażyłem na mur, by zobaczyć, co jest po drugiej stronie, dość, że teraz zobaczyłem furtkę tam, gdzie jej dawniej nie widział. Stała otworem, bo Estella wyprowadzała tędy przed chwilą gości, toteż przeszedłem tędy do ogrodu.

Ogród był zapuszczony i dziki. Spostrzegłem poczerniałe ramy od inspektów, w których niegdyś rosły melony i ogórki, a teraz leżały, jak wyhodowane zamiast nich okazy, stare pojedyncze buty, stare podarte kapelusze i podziurawione garnki.

Kiedy zwiedziłem cały ogród i oranżerię, gdzie nie było nic, prócz zeschniętych pędów winorośli i kilku pustych butelek, znalazłem się w tym zakątku, który obserwowałem z okna domu. Byłem pewien, że porzucona altana jest pusta i zajrzałem do niej przez okno. Jakże się zdziwiłem, gdym się znalazł oko w oko z młodym chłopcem. Był blady i jasnowłosy, miał zaczerwienione powieki.

Blady chłopiec siedział właśnie nad książką, a palce miał powalane atramentem.

- Hola, chłopcze! - zawołał.

Spostrzegłem, że słowo „hola” mówi się wówczas, gdy nie ma się nic innego do powiedzenia, powtórzyłem je więc, przez grzeczność, nie dodając „chłopcze.

- Kto cię tu wpuścił? - spytał.

- Panna Estella.

- Kto ci pozwolił tu się wałęsać?

- Panna Estella.

- Chodź tutaj i bij się ze mną - wyzwiał mnie blady chłopiec.

Czy mogłem go nie posłuchać? Zadawałem sobie to pytanie później wiele razy i za każdym razem decydowałem, że musiałem pójść za nim. Miał takie wytworne maniery i tak zdecydowany głos, że go posłuchałem natychmiast.

- Zatrzymaj się na chwilę - powiedział, gdyśmy już zrobili kilka kroków - muszę ci przecież dać jakiś powód do bójki.

Zatarł w drażniący sposób ręce i bez słowa zanurzył je w moich włosach, szarpnął nimi, potem odskoczył, znowu zatarł dłonie i pochyliwszy głowę, z rozmachem uderzył mnie nią w żołądek.

Ten ostatni, godny byka zabieg był specjalnie przykry dla kogoś, kto przed chwilą zjadł chleb z mięsem, toteż oddałem mu natychmiast cios. Właśnie się gotowałem do następnego uderzenia, gdy z triumfem wykrzyknął:

- A więc jednak? A więc będziesz się bił? - i zaczął tańczyć przede mną w sposób dość nieoczekiwany dla mnie, niedoświadczonego w walce.

- Prawa gry! - ryknął i przeskoczył z lewej nogi na prawą.

- Przepisy walki! - tu przeskoczył z prawej nogi na lewą. - Idźmy na teren i zaczynamy zgodnie z przepisami!

Tu wykonał szereg dziwacznych skoków, wobec których czułem się dziwnie bezbronny.

Potajemnie bałem się go widząc, jak jest zręczny i obrotny, ale jednocześnie czułem całą moją istotą, że jego jasnowłosa głowa nie ma nic do roboty w zagłębieniu mego żołądka i że muszę za to wziąć odwet.

Poszedłem więc za nim bez słowa do oddalonego zakątka w ogrodzie. Było to miejsce ukryte w załamaniu murów. Spytał mnie, czy zadowolony jestem z terenu, a gdy przytaknąłem, przeprosił mnie, że oddali się na chwilę, i zaraz potem wrócił niosąc butelkę wody z octem i gąbkę.

- Dla nas obu - oznajmił stawiając butelkę pod murem. Natychmiast potem zaczął zdejmować z siebie nie tylko marynarkę i kamizelkę, ale także koszulę, a wszystko to czynił beztrąsko, niedbale i krwiożerczo.

Mimo że nie wydał mi się bardzo zdrów ze swymi krostami na twarzy i wyrzutami na wardze, przygotowania te napełniły mnie strachem. Wyglądał na chłopca w moim wieku, choć znacznie przewyższał mnie wzrostem, i jego ruchliwość imponowała mi ogromnie. Poza tym był to młodzieniec w porządnym, popielatym ubraniu (w każdym razie do chwili, kiedy się rozebrał dla walki), o łokciach, kolanach i dłoniach o wiele bardziej rozwiniętych niż cała postać.

Ogarnął mnie strach, kiedy zmierzył baczny wzrokiem moją budowę ciała, jak gdyby liczył każdą moją kostkę i nigdy w życiu nie byłem dotychczas tak zdumiony jak w chwili, kiedy wymierzywszy mu cios ujrzałem go padającego na ziemię z rozkrwawionym nosem.

Zerwał się jednak natychmiast, bardzo zręcznie obmył gąbką i znowu zaczął mnie mierzyć spojrzeniem. Wówczas zdziwiłem się po raz drugi w życiu, kiedy po moim następnym ciosie zobaczyłem go znowu leżącego na ziemi, tym razem z okiem podbitym na czarno.

Jego odwaga imponowała mi ogromnie. Był najwidoczniej bardzo słaby, bo ani razu nie oddał mi ciosu i niemal wciąż leżał powalony, ale za każdym razem zrywał się natychmiast, obmywał ranę, pił łyk wody z bardzo zadowoloną miną, po czym zwracał się do mnie ze spojrzeniem obiecującym odwet, rad, że wszystko odbywa się zgodnie z przepisami.

Wkrótce potem był po prostu zmasakrowany moimi ciosami; przykro mi się przyznać, ale waliłem go coraz to mocniej. Za każdym razem zrywał się na nowo i poddawał moim ciosom, dopóki nie upadł tak nieszczęśliwie, że głową uderzył o mur. I wtedy jednak podniósł się, chwilę kręcił w kółko, jak gdyby nie mogąc mnie znaleźć, wreszcie na kolanach doczołgał się do gąbki, otarł czoło i wymaMr.otał:

- To znaczy, żeś wygrał.

Wydawał mi się w tej chwili tak dzielny i niewinny, że chociaż to nie ja wywołałem bójkę, poczułem, iż moje zwycięstwo nie sprawia mi przyjemności. Miałem nawet takie uczucie, podczas gdym się ubierał, jak gdybym był młodym wilkiem lub inną dziką bestią. Otarłem sobie zakrwawioną twarz i spytałem:

- Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję - odpowiedział.

- Więc do widzenia - pożegnałem go.

- Do widzenia - odparł.

Gdym powrócił na dziedziniec, zastałem Estellę czekającą na mnie z kluczami. Nie spytała mnie, gdzie byłem i czemu dałem jej tak długo czekać. Twarz jej promieniała, jak gdyby coś ją ogromnie uradowało. Zamiast pójść wprost do furki, cofnęła się na korytarz i skinęła na mnie:

- Chodź tutaj. Możesz mnie pocałować, jeżeli chcesz.

Pocałowałem ją w policzek, który mi nadstawiła. Czuję, że dałbym wiele za ten pocałunek, ale jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że pozwoliła mi się pocałować jak małemu dzikusowi, po prostu zamiast dać mi napiwek, i że ten pocałunek nic nie znaczy.

Goście urodzinowi, gra w karty i bójka zajęły mi tyle czasu, że kiedy zbliżałem się do domu, na tle nocnego nieba płonęło już światło zapalone na szczycie wzgórza nad bagniskiem, a blask ognia z kuźni Joego padał na ciemną drogę.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Było mi ogromnie przykro, kiedy przypominałem sobie bladego chłopca. Im więcej myślałem o nim, im częściej wyobrażałem go sobie leżącego na wznak z nabrzmiałą, krwawiącą twarzą, tym większej nabierałem pewności, że nie ujdzie mi to tak na sucho.

Czułem, że krew bladego chłopca spada na moją głowę i że prawo się o niego upomni. Nie zdając sobie w całej pełni sprawy z tego, jakie kary mogą mi wymierzyć, wiedziałem z całą pewnością, że chłopcy wiejscy nie mają prawa awanturować się po pańskich domach ani napastować angielskich uczniów i że za to muszę odpokutować. Przez kilka dni nawet nie opuszczałem domu i patrzyłem z trwogą na drzwi kuchenne, niepewny, czy nie wejdą przez nie żandarmi, by mnie ze sobą uprowadzić. Krwawiący nos bladego chłopca pozostawił ślady na mych spodniach i w ciszy nocy starałem się zmyć te plamy. Moje palce nosiły zadrapania pochodzące od zębów mego przeciwnika i w ciągłych rozmyślaniach torturowałem się wyobrażaniem sobie, co też powiem na ten temat, przyprowadzony przed oblicze sędziów.

Niepokój mój dosięgnął szczytu w dniu, kiedy miałem powrócić na miejsce, gdzie popełnił ten akt przemocy. A może wysłannicy z londyńskiego sądu leżą teraz w zasadzce w krzakach koło bramy wejściowej? A może miss Havisham, chcąc pomścić zły uczynek spełniony w jej domu, zjawi się przede mną w swym śmiertelnym stroju i zastrzeli mnie z pistoletu? Kto wie, może wynajęta banda rozbójników wypadnie z browaru i zamorduje mnie na miejscu?

W rozmyślaniach tych nigdy nie przychodziła mi na myśl zemsta samego bladego chłopca. Wydało mi się, że mścić się na mnie będzie jego rodzina przerażona widokiem jego zakrwawionej twarzy.

Mimo wszystko musiałem pójść do miss Havisham i poszedłem. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu bójka nie miała żadnych następstw. Nie widziałem bladego chłopca i nikt o nim nie wspominał. Furtkę zastałem otwartą, przeszedłem przez ogród, ośmieliłem się nawet zajrzeć do opuszczonego domku i zatrzymałem się na widok zamkniętych na głucho okiennic. Tylko na placyku, który był terenem walki, odkryłem ślady bladego chłopca: jego krew na ziemi. Zakryłem ją szybko przed oczyma ludzkimi garścią piasku.

W sieni, dzielącej sypialnię miss Havisham od pokoju z nakrytym stołem weselnym, ujrzałem fotel na kółkach, jeden z tych lekkich foteli, w których wożą starców i chorych. Odtąd miałem w nim wozić miss Havisham, ilekroć się zmęczyła wędrówką po pokoju z dłonią opartą na moim ramieniu.

Podróże te trwały niekiedy po trzy godziny. Wozilem ją niezmiernie z jednego pokoju do drugiego, naokoło pokoju i znowu z powrotem. Postanowiono, że będę w tym celu przychodził co drugi dzień w południe. Tak trwało przez osiem do dziesięciu miesięcy.

Kiedy poznaliśmy się już bliżej, miss Havisham rozmawiała ze mną częściej. Wypytywała mnie o wszystko: czego się uczę czym chciałbym być, gdy dorosnę. Odpowiadałem jej, że zapewne zostanę terminatorem w kuźni Joego. Mówiłem, że nic nie umiem, a bardzo pragnąłbym wszystko wiedzieć. Opowiadałem to w nadziei, że pomoże mi osiągnąć mój cel. Ale ona nie chciała. Przeciwnie, odnosiłem niekiedy wrażenie, że woli, abym pozostał nieukiem. Nigdy też nie dała mi ani grosza i w ogóle nic poza obiadem; nie wspominała nawet, że powinienem być opłacany za usługi.

Estella zawsze kręciła się w pobliżu i zawsze wpuszczała mnie do wnętrza, ale już nigdy nie chciała, abym ją pocałował. Niekiedy była chłodno obojętna, niekiedy w stosunku do mnie pobłażliwa, niekiedy niemal serdeczna, ale niekiedy też oświadczała mi energicznie, że mnie nienawidzi.

Miss Havisham pytała czasami szeptem lub gdy zostawaliśmy sami:

- Prawda, że jest co dzień piękniejsza. Pip?

A gdy zgadzałem się, że to prawda (bo tak było), robiła wrażenie bardzo zadowolonej.

Kiedy graliśmy w karty, miss Havisham obserwowała kaprysy Estelli z radością skąpcą, a gdy zdarzały się dnie, że kaprysy te stawały się wprost nie do zniesienia i wydawały się całkiem sprzeczne, i kiedym się zastanawiał, co począć, miss Havisham obsypywała Estellę pocałunkami i szeptała jej do ucha:

- Łam im serca, skarbie mój najdroższy, łam im serca i nie miej dla nich litości!

Joe śpiewał niekiedy przy robocie piosenkę kowali. Piosenka opiewała starego Klema. W tak bezceremonialny sposób nazywali tam świętego, patrona kowali. Była to piosenka naśladująca odgłos młotów bijących w kowadło, coś w rodzaju lirycznego pretekstu do wprowadzenia w pieśń postaci czcigodnego starego Klema.

Dalej chłopcy, kujcie żwawo! Stary Klem!

Kujcie w lewo, kujcie w prawo! Stary Klem!

Kuźnia dźwięczy, kuźnia dzwoni!

Stary Klem!

Iskry się wokoło gonią

Stary Klem!

Dmijcie w miechy, przyjaciele! Stary Klem.

Niech wysoko ogień strzela, Stary Klem!

Pewnego dnia, wkrótce po zjawieniu się fotela, miss Havisham, trzaskając po swoim niecierpliwie palcami, rozkazała:

- Śpiewaj, zaraz coś zaśpiewaj!

I wtedy ku własnemu zdumieniu zanuciłem tę właśnie piosenkę popychając przed sobą fotel. Miss Havisham bardzo się spodobała i nawet sama ją poMr.ukiwała głosem niskim i stłumionym, jak człowiek w uśpieniu. Odtąd weszło w zwyczaj powtarzanie tej pieśni podczas spaceru z fotelem. Niekiedy i Estella nuciła wraz z nami, ale wszyscy troje śpiewaliśmy tak cicho, że głosy nasze nie czyniły w starym opuszczonym domu więcej hałasu niż lekki powiew wiatru.

Czymże mogłem się stać wzrastając w takim otoczeniu? Jaki musiał być wpływ tego środowiska na mój charakter? I czy można się dziwić, że kiedy wychodziłem z Mr.ocznych pokoi na blask dnia, to myśli moje były tak samo mętne jak moje oczy?

Może powinienem był przyznać się Joemu do przygody z bladym chłopcem, ale nie mogłem tego zrobić ze względu na kłamstwa, których mu przedtem nagadałem. Bałem się, że Joe uzna bladego chłopca za odpowiedniego pasażera do czarnej aksamitnej karocy, o której mu opowiadałem. Wolałem więc milczeć. Poza tym mój wstręt do rozmawiania na temat miss Havisham i Estelli wzrastał z czasem. Jediną osobą, której mogłem się zwierzyć z każdego przeżycia, była Biddy. Jej mówiłem wszystko. Nie rozumiałem wówczas, czemu mam do niej zaufanie, i nie pojmowałem, czemu Biddy słucha mnie zawsze z taką uwagą. Teraz sędzę, że jest to dla mnie jasne.

W domu tymczasem rozmowy w kuchni nie ustawały i w rozdrażnieniu zaledwie mogłem je znosić. Osioł Pumblechook przychodził coraz częściej i rozmawiał z moją siostrą o mojej przyszłości. Wydaje mi się (powinienem na to wspomnienie odczuwać więcej skruchy, niż doznaję), że gdybym wówczas mógł, najchętniej wyciągnąłbym mu zatyczkę z osi bryczki, którą przybywał. Nieszczęsny ten człowiek nie potrafił mówić do mnie nie mając mnie przed sobą, jak gdyby musiał coś na mnie demonstrować. Najczęściej wyrwał mnie z mego miejsca chwytając za kołnierz i przyciągał do komina, jak gdyby chciał mnie upiec, przy czym powtarzał:

- Oto, mateczko, mamy tego chłopaka, któregoś własnoręcznie wychowała. Trzymaj głowę prosto, chłopcze, i bądź wdzięczny tym, którzy cię wychowali, za wszystko, co dla ciebie zrobili. Mateczko, gdy chodzi o tego chłopca...

Tu targał mnie pod włos, czego nigdy nikomu nie pozwalałem robić, i ciągnął za rękaw, co uważałem za głupotę tylko jego godną.

Potem razem z siostrą zaczęli pleść takie bzdury na temat tego, co też miss Havisham dla mnie robi, że bliski byłam płaczu i rzucenia się z pięściami na Pumblechooka.

W rozmowach tych moja siostra zachowywała się tak, jak gdyby mi każdym swym słowem wyrywała po jednym zębem, a pan Pumblechook patrzył na mnie takim opiekuńczoszyderycznym wzrokiem, jak gdyby chciał powiedzieć, że wpakował się w mało dochodowy interes.

Joe nie wtrącał się do tych rozmów, ale siostra moja usiłowała go w nie wciągnąć, wiedziała bowiem, że jest przeciwny temu, abym zaprzestał pracy w kuźni. Osiągnąłem właśnie wiek, w którym mogłem zacząć termin w kuźni. Kiedy Joe, słuchając ich planów, z całym spokojem patrzył w ogień i przegarniał pogrzebaczem popiół w kominku, siostra moja brała to za protest z jego strony, rzucała się na niego, wyrywała mu z ręki pogrzebacz lub szczypce i odrzucała precz.

Dyskusje te kończyły się zwykle całkiem niespodziewanie w dość irytujący sposób. Ni stąd, ni zowąd siostra ziewała, patrzyła na mnie, jak gdyby dopiero teraz spostrzegła moją obecność, i mówiła:

- No, dość już na dzisiaj o tobie. Idź spać. Dostyc zgrzyoty z tobą jak na jeden wieczór. Zupełnie tak, jak gdybym to ja pragnął, by mnie cały wieczór męczyli.

Tak toczyły się te wszystkie sprawy już od dłuższego czasu bez zmiany, gdy pewnego dnia miss Havisham podczas swej zwykłej przechadzki, wsparta na moim ramieniu, zatrzymała się i oświadczyła z odcieniem niezadowolenia:

- Urosłeś, Pip.

Uważałem za stosowne nic nie odpowiedzieć, a jedynie spojrzeć z zadumą, jak gdyby odpowiadając w ten sposób, że nie zależy to ode mnie.

I ona nie mówiła już nic więcej na ten temat, ale zatrzymywała się co pewien czas, obrzucając mnie baczny, niezadowolony spojrzeniem. Przy następnych mych odwiedzinach zwróciła się do mnie:

- Powiedz mi, jak się nazywa ten twój kowal?

- Joe Gargery, proszę pani.

- Czy to ten majster, u którego masz terminować?

- Tak, miss Havisham.

- Zdaje mi się, żeś powinien zacząć już u niego naukę. Czy ten kowal mógłby tu z tobą przyjść i przynieść umowę twojego terminu?

Odpowiedziałem, że bez wątpienia będzie to uważał za zaszczyt.

- To niech przyjdzie.

- Kiedy, miss Havisham?

- Ta ta ta, nic nie wiem o żadnych datach i nie chcę wiedzieć. Niech przyjdzie jak najprędzej, razem z tobą i bez nikogo więcej.

Kiedy po powrocie do domu wieczorem powtórzyłem to polecenie, moja siostra wyruszyła do walki z nami bardziej wojowniczo niż kiedykolwiek. Spytała mnie i Joego, czemu to traktujemy ją jak słomiankę, którą można deptać nogami, i czy rzeczywiście nie jest dla nas odpowiednim towarzystwem.

Zasypawszy nas gradem podobnych pytań, rzuciła w głowę Joemu lichtarz, wybuchnęła głośnym płaczem, chwyciła do ręki trzepaczkę, co było zawsze złym znakiem, i ubrawszy się w fartuch rozpoczęła sprzątanie na przerażającą skalę. Nie zadowolwszy się sprzątaniem na sucho, wzięła kubel i szczotkę i wypędziła nas z domu, tak że drżąc z zimna czekaliśmy na podwórku.

Kiedy o godzinie dziesiątej wśliznęliśmy się wreszcie do domu, spytała Joego, dlaczego właściwie nie ożenił się z czarną niewolnicą? Joe nic nie odpowiedział, biedak, tylko gładząc faworyty rzucił mi nieszczęśliwe, porozumiewawcze spojrzenie, jak gdyby na serio doszedł do wniosku, że to byłaby niezła myśl.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Było dla mnie nazajutrz prawdziwą męką przyglądanie się, jak Joe stroi się w odświętne ubranie przed pójściem ze mną do miss Havisham. Nie miałem odwagi powiedzieć mu, że wygląda o wiele lepiej w roboczym stroju, bo wiedziałem, że wyłącznie dla mnie zadaje sobie tortury wysokiego sztywnego kołnierzyka, który sprawiał, że włosy sterczały mu z tyłu na czubku głowy niczym pęczek piór.

Przy śniadaniu siostra moja oświadczyła, że zamierza nas odprowadzić do miasta i poczekać u wuja Pumblehooka, aż skończymy z „naszymi pięknymi damami. Joe na te słowa zaczął przeczuwać najgorsze.

Zamknięto więc kuźnię i Joe napisał kredą na drzwiach (jak to czynił zwykle w rzadkich wypadkach, gdy porzucał pracę) wyraz „Wyszedł opatrzony strzałką, która miała oznaczać kierunek jego wyjścia.

Szliśmy ku miastu. Moja siostra kroczyła na przedzie ubrana w duży bobrowy kaptur. Dźwigała z takim namaszczeniem, jak gdyby niosła wielką pieczęć Anglii, pleciony koszyk, parę chodaków, szal na zmianę i mimo pięknej pogody parasol. Nie byłem pewien, czy wlokła to wszystko za karę, czy na pokaz, ale mam wrażenie, że przedmioty te odgrywały taką rolę, jaką u Kleopatry czy innej władczyni wyruszającej na wojnę bogactwa, niesione za nią podczas parady lub w uroczystym pochodzie.

Gdy dotarliśmy do domu Pumblehooka, moja siostra skoczyła do wnętrza pozostawiając nas na ulicy. Ponieważ zbliżało się już południe, więc udaliśmy się z Joem wprost do miss Havisham.

Estella otworzyła nam furtkę i w tej samej chwili Joe zdjął kapelusz i trzymał go oburącz za rondo takim gestem, jak gdyby ważył go z dokładnością do ostatniej uncji.

Estella nie zwróciła żadnej uwagi na mnie ani na niego i prowadziła nas dobrze mi znaną drogą. Szedłem za nią, a Joe na samym końcu. Obejrzałem się w długim korytarzu na szwagra i zobaczyłem, że dalej waży w dłoni kapelusz i że stąpa na końcach palców.

Estella powiedziała, że obaj mamy wejść razem do miss Havisham, wziąłem więc Joego za rękaw i wprowadziłem do pokoju, gdzie miss Havisham siedziała przy toalecie.

Odwróciła się ku nam i spytała:

- Więc to pan jest mężem siostry tego chłopca?

Nigdy nie wyobrażałem sobie, że Joe może wyglądać tak całkiem inaczej niż zawsze i tak się upodobnić do dziwnego ptaka ze zwichrzonym pękiem piór na głowie i otwartym dziobem, jak dla schwywania robaka.

- Jest pan mężem siostry tego chłopca? - powtórzyła pytanie miss Havisham.

Ku memu wielkiemu zakłopotaniu Joe przez cały czas nie zwracał się wprost do miss Havisham, ale za moim pośrednictwem.

- Właściwie, Pip - odezwał się tonem jednocześnie pełnym szacunku, wielkiej uprzejmości i zaufania - właściwie, to starałem się o twoją siostrę, zaręczyłem z nią i ożeniłem, bo byłem wtenczas tym, co się nazywa, za przeproszeniem kawaler.

- Dobrze - powiedziała miss Havisham. - I wychował pan tego chłopca z zamiarem, by wziąć go do siebie do terminu. Czy tak?

- Ty wiesz, Pip - odparł Joe - że zawsze byliśmy przyjaciółmi i żeśmy sobie układali te plany jak zabawę. Gdyby tobie się coś w moim zawodzie nie podobało, że za dużo. węgla, sadzy czy coś podobnego, nigdy bym cię do tego nie zmuszał Prawda?

- Czy chłopiec nigdy nie miał nic przeciwko tej pracy? Czy lubi ten zawód? - pytała dalej miss Havisham.

- Wiadomo ci przecież, Pip - ciągnął Joe, wciąż siłąc się na ton poufnej uprzejmości - że to było życzenie twego serca (pomyślałem sobie w tej chwili, że Joe używa teraz słów, które wyrzył na nagrobku). Powinieneś o tym pamiętać, Pip.

Czułem, że bezcelowe byłoby zwrócenie mu uwagi, by odpowiadał wprost miss Havisham. Nie zważał na żadne moje porozumiewawcze znaki i coraz uprzejmiej i poufałej mówił do mnie.

- Czy przyniósł pan jego kontrakt? - spytała miss Havisham.

- Pip, sam widziałeś, jak kładłem ten papier do mego kapelusza - odpowiedział zwracając się do mnie tonem wyrzutu - więc oczywiście ten papier musi tu być.

I powiedziawszy te słowa wyjął dokument i wręczył go nie miss Havisham, ale znowu mnie. Czułem, że wstyd mi za niego i wstyd ten wzrósł jeszcze, kiedy spostrzegłem, że Estella, stojąc za krzesłem Joego, śmieje się chytrze.

Wziąłem z rąk Joego papier i podałem miss Havisham.

- Czy nie przewidział pan żadnej zapłaty za naukę chłopca? - spytała miss Havisham przejrzawszy dokument.

- Joe - zwróciłem się do niego, gdyż nie odpowiadał ani słowem - dlaczego milczysz?

- Pip - odparł tonem człowieka zranionego - ty wiesz doskonale, że nie było między nami o tym mowy. Ty wiesz, że odpowiedź brzmi: „Nie. A skoro to sam wiesz, to po co mnie pytasz?

Miss Havisham rzuciła na Joego spojrzenie, które świadczyło, że rozumie go lepiej, niż oczekiwałem wobec jego zachowania się, i sięgnęła po woreczek leżący na stole.

- Pip zarobił sobie tutaj pewną sumkę - oznajmiła - oto ona. Dwadzieścia pięć gwinei w tym woreczku. Pip, oddaj je twemu majstrowi.

Ale Joe, który zdawał się całkiem tracić przytomność w tym dziwnym otoczeniu, upierał się dalej, by mówić do mnie:

- To bardzo wspaniałomyślnie z twojej strony, Pip - powiedział - przyjmuję z radością i wdzięcznością, mimo że nigdy nie uganiałem się za pieniędzmi. Co to, to nie. A teraz, stary - ciągnął ku mojemu przerażeniu, bo nie wiadomo czemu miałem uczucie, że te poufale słowa odnoszą się do miss Havisham - a teraz spełnijmy, ty i ja, nasz obowiązek, a jeżeli chodzi o ten wspaniałomyślny dar, który... któremu ci, dla których to jest radością serca...

Tu zaplątał się tak, że nie wiedział, co dalej mówić, ale wyszedł zwycięsko z trudności, bo nagle urwał i zakończył:

- Ale co do mnie nie liczyłem na to wcale...

Te słowa wydały mu się tak trafne, że powtórzył je kilkakrotnie:

- Do widzenia, Pip - rzuciła miss Havisham - Estello, wyprowadź ich.

- Czy mam jeszcze przyjść, miss Havisham? - spytałem.

- Nie, teraz będziesz u Gargeryego, on jest twym majstrem. Gargery, słówko!

Zatrzymała Joego i słyszałem, jak mówiła do niego wyraźnym i uroczystym tonem:

- Ten chłopiec zachowywał się tu doskonale i za to otrzymał nagrodę. Spodziewam się, że nie będzie pan nigdy oczekiwał ani żądał więcej, jako człowiek uczciwy.

W jaki sposób Joe opuścił ten dom, sam nie wiem. Pamiętam tylko, że zamiast na dół zaczął wchodzić na górę po schodach i że musiałem go ściągnąć za rękaw i wyprowadzać. Po chwili byliśmy już za bramą i Estella zamknęła ją za nami starannie.

Kiedy zostaliśmy sami na dworze, Joe oparł się plecami o mur i powiedział. - Zdumiewające!

Powtarzał tylekrotnie potem słowo „zdumiewające w regularnych odstępach, że zacząłem się obawiać, iż nigdy nie odzyska zmysłów. Wreszcie zmienił formę mówiąc:

- Pip, zapewniam cię, że to zdumiewające.

I powoli powróciła mu zdolność rozmowy, i poszliśmy naprzód.

Mam podstawy przypuszczać, że Joe ułożył pewien rozsądny plan strategiczny w czasie drogi. Świadczyłaby o tym scena, jaka się rozegrała zaraz potem w bawialni Mr. Pumblechooka, gdzie siostra moja rozmawiała z tym znieawidzonym przeze mnie kupcem zbożowym.

- No, i co - krzyknęła widząc nas wchodzących - co się z wami działo? Jestem zdumiona, że racycie powracać do tak skromnego towarzystwa, jakim ja jestem...

- Miss Hawisham - powiedział Joe patrząc na mnie, jak gdyby mocował się ze swą pamięcią - zależało ogromnie na tym, abyśmy, prawda, Pip? przekazali wyrazy uszanowania od niej...

- Tak, poważania - odparłem.

- Od niej dla pani Gargery... - dokończył Joe.

- Potrzebne mi to - Mr.uknęła moja siostra, ale czuła się mile pogłaskana.

- Bardzo żałowała - ciągnął Joe, wciąż patrząc na mnie bacznie - że stan zdrowia nie pozwala jej... na co nie pozwala, Pip?

-...nie pozwala doznawać przyjemności - wtrąciłem.

- Przyjmowania dam u siebie... - dokończył jednym tchem. Joe.

- Zdaje mi się - powiedziała moja siostra rzucając triumfujące spojrzenie na pana Pumblechooka - że powinna była wcześniej o tym pomyśleć. Ale lepiej późno niż wcale. A co też dała temu młodemu urwipołciowi?

- Nie dała mu nic - oświadczył Joe.

Moja siostra już miała wybuchnąć, kiedy Joe mówił dalej:

- Jemu nic nie dała. Dała coś jego przyjaciołom, a raczej na ręce jego siostry, jak się wyraziła, pani J. Gargery. Nie wiedziała zapewne, czy mi na imię Joe czy Jorge.

Siostra moja znowu spojrzała porozumiewawczo na Pumblechooka, który gładząc dłońmi drewniane poręcze swego fotela patrzył na przemian to w ogień kominka, to na swoją siostrę, jak gdyby myślał sobie, że on to od dawna przecież przewidział.

- No, i ileż dostaliście? - spytała moja siostra ze śmiechem. Doprawdy, ze śmiechem!

- Co też tu obecne towarzystwo powiedziałyby o sumce dziesięciu funtów? - zagadnął Joe.

- Odpowiedzielibyśmy - zawołała siostra podniecona - „bardzo przyzwoicie, nie za dużo, ale całkiem przyzwoicie.

- Dostaliśmy więcej niż dziesięć - oznajmił Joe.

Ten wstrętny oszust Pumblechook potrząsnął natychmiast głową i domyślił się nie przestając głaskać poręczy fotela:

- To więcej niż dziesięć, proszę pani.

- Przecież nie zechce mi pan powiedzieć... - zaczęła siostra.

- Właśnie, że chcę, proszę pani - przerwał Pumblehook - ale niech pani chwilę poczeka. No, i co dalej, Józefie. Opowiadaj dalej.

- A co też towarzystwo powiedziałyby o dwudziestu funtach? - ciągnął Joe.

- „Piękna suma”. To byłoby najwłaściwsze słowo - odparła siostra.

- A więc - oświadczył Joe - to więcej niż dwadzieścia funtów.

Podły obłudnik Pumblehook pokiwał znowu głową i zauważył z protekcyjnym uśmiechem: - Tak, więcej, proszę pani. No, mów dalej, Józefie.

- Więc, żeby już z tym skończyć - powiedział Joe wyciągając z zachwyconą miną sakiewkę do siostry - to całe dwadzieścia pięć funtów.

- Dwadzieścia pięć funtów, proszę pani - zawtórował najpodlejszy z krętaczy, Pumblehook, zrywając się dla uściskania rąk mojej siostry. Zasłużyła sobie pani na nie w zupełności (gdyby ktoś mnie o zdanie spytał!) i życzę pani, aby pani ich jak najlepiej użyła.

Gdyby ten łotr na tym skończył swoją rolę, byłby mi i tak dość wstrętny, ale on pogłębił swoją winę jeszcze przez to, że chciał do końca doprowadzić ohydne dzieło pętania mojej wolności, jak gdyby jego zbrodnicza opieka jeszcze wciąż trwała.

- Widzicie, Józefie i ty jego małżonko - powiedział Pumblehook chwytając mnie za łokieć - jestem z tych, którzy nigdy nie zatrzymują się w połowie drogi. I powiadam wam, że tego chłopca trzeba okiełzać. Jak najbardziej okiełzać!

- Bóg jeden wie, wuju Pumblehook - rozczulała się moja siostra (ściskając mocno w rękę sakiewkę z pieniędzmi) - jak bardzo jesteśmy panu wdzięczni.

- Nie mówmy o tym - odparł diabelski kupiec zbożowy - cała przyjemność po mojej stronie. Ale tego chłopca musicie okiełzać. Prawdę mówiąc, zobowiązałem się tego sam przypilnować.

W pobliskim ratuszu siedzieli urzędnicy, udaliśmy się więc tam natychmiast w celu spisania oficjalnego aktu mojego terminatorstwa u Joego. Mówię „udaliśmy się, ale w istocie pan Pumblehook popychał mnie przez całą drogę przed sobą, jak gdybym mu wykradł coś z kieszeni lub podpalił stóg. Powszechne wrażenie w urzędzie było właśnie takie, że schwytano mnie przed chwilą na gorącym uczynku. Przeciskając się pod naporem ręki Pumblehooka przez tłum zebranych, słyszałem, jak mówili:

- Co też takiego mógł przeszkrobać?

- Młody chłopak, ale źle mu patrzy z oczu.

Jakiś łagodny i dobroduszny jegomość wsunął mi nawet do ręki broszurę ozdobioną ryciną, na której młody chłopiec obwieszony był, jak kielbaskami, kajdanami. Tytuł tej książeczki brzmiał: „Przeczytam to sobie w celi. Sala zrobiła na mnie niezwykle wrażenie. Jej bariery, wyższe niż w kościele, oddzielały tłoczącą się publiczność od urzędników sądowych bardzo majestatycznych (jeden miał nawet pudrowaną perukę), którzy siedzieli w fotelach z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, zażywali tabakę, spali, pisali lub czytali gazety.

Na ścianach wisiały czarne, lśniące portrety, które moje niedoświadczone artystycznie oko wzięło za coś w rodzaju mieszaniny karmelka i plastra.

Tutaj w jednym z zakątków sali sporządzono mój dokument, podpisano go i byłem wreszcie „okielzany, przy czym Pumblehook przez cały czas nie wypuszczał mnie z objęć, jak gdyby to wszystko, co się działo, było wypełnieniem formalności przed wyprowadzeniem mnie na szafot.

Po opuszczeniu ratusza i rozpędzeniu gromady chłopaków, którzy przygotowali się już na widowisko publicznego torturowania mnie i byli srodze zawiedzeni, że przyjaciele moi tak spokojnie wraz ze mną wychodzą, wróciliśmy do Pumblehooka. Tutaj moją siostrę ogarnęło takie podniecenie z powodu dwudziestu pięciu funtów, że postanowiła zafundować obiad w gospodzie „Pod Błękitnym Dzikim i skłoniła Pumblehooka, by swą bryczką pojechał po Wopsle’a i po Hubblesa.

Tak się stało i oto spędziłem bardzo smutny dzień, gdyż dla żadnego z uczestników tej zabawy nie ulegało wątpliwości, że jestem zbyt cenny. W dodatku na domiar złego każdy z nich, w chwili gdy nie miał nic lepszego do roboty, zadawał mi to samo pytanie, dlaczego się nie bawię. Cóż mogłem odpowiedzieć na to, jeżeli nie twierdzić, że się doskonale bawię, mimo że wcale się nie bawiłem? W każdym razie wszyscy oni byli dorośli i jako tacy robili, co im się podobało. Oszust Pumblehook, jako sprawca tego całego zdarzenia, siedział na głównym miejscu i zabawiał towarzystwo opowiadaniem, jak to mnie okielzano. Ponadto w zbrodniczy sposób przypominał, że czeka mnie kara więzienia, o ile będę uprawiał zastrzeżone w kontrakcie terminatorskim zajęcia takie, jak gra w karty, picie mocnych trunków, powracanie do domu w nocy, przebywanie w nieodpowiednim towarzystwie. I jak gdyby dla ilustracji swych słów postawił mnie obok siebie na krześle.

Z uczy tej mam jeszcze inne wspomnienia. Oto za każdym razem, kiedy głowa opadała mi na ramię, budzono mnie, abym się bawił. Późną nocą Mr. Wopsle zadeklamował odę Collinsa i z takim hałasem cisnął o stół zakrwawioną szpadę, że wszedł kelner i powiedział:

- Panowie komiwojażerowie z dołu przesyłają uszanowanie i przypominają, że to nie buda jarmarczna.

W drodze powrotnej do domu wszyscy byli w tak doskonałych humorach, że śpiewali chórem „O piękna pani. Mr Wopsle wyciągał basem i ryczał (w odpowiedzi nudziarzowi z piosenki, który chce koniecznie wiedzieć wszystko o swych bliźnich), że „ma on piękne siwe loki, ale zbyt powolne kroki.

Pamiętam wreszcie, że po powrocie do domu poczułem się w mej małej sypialni bardzo nieszczęśliwy. Doszedłem do przekonania, że nie cierpię zawodu Joego.

Lubiłem przedtem to zajęcie, ale teraz wszystko się zmieniło.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Bardzo to bolesne, gdy się człowiek wstydzi swego rodzinnego domu. Uczucie to, może płynące z czarnej niewdzięczności, zostaje w ten sposób słusznie ukarane, ale tak czy inaczej jest ono nad wyraz dotkliwe. Mogę o tym zaświadczyć.

Mój dom nigdy nie był dla mnie przyjemnym miejscem ze względu na temperament siostry. Ale za to Joe uświęcił nasze ognisko domowe i wierzyłem w nie. Wierzyłem, że nasza bawialnia jest najpiękniejszym salonem, wierzyłem, że drzwi frontowe są czymś tak tajemniczym jak portal świątyni, który otwiera się jedynie przy okazji składania na ofiarę pieczonego ptactwa. Kuchnia była dla mnie miejscem czystym i wspaniałym, a kuźnię uważałem za płomienną drogę wiodącą do wieku męskiego i niezależności.

Wszystko to zmieniło się w ciągu roku. Wszystko to wydawało mi się teraz pospolite i ordynarne i za nic w świecie nie chciałem, aby miss Havisham i Estella się u nas zjawiły.

Nie wiem, ile w tym przykrym nastroju było mojej własnej winy, ile przyczyniła się tu miss Havisham czy moja siostra. Mniejsza zresztą teraz o to. Paktem jest, że tak właśnie czułem.

Był czas, gdy sobie wyobrażałem, że z chwilą kiedy będę mógł zakasać rękawy od koszuli i wejść do kuźni jako terminator Joego, nic nie będzie mi brakowało do szczęścia. Teraz, gdy marzenie to się spełniło, czułem tylko, że jestem czarny od sadzy i że cięży mi wspomnienie, wobec którego kowadło jest piórkiem.

I w późniejszym życiu (a sądzę, że zdarza się to w niemal każdym życiu) bywały takie chwile, kiedy zdawało się, że czarna zasłona zapuszcza się pomiędzy mną a wszystkim, co przyjemne i romantyczne, ale nigdy nie było to takie wyraźne i przykre, jak w owym pierwszym okresie mego terminu u Joego. Jedyne wspomnienie z tego okresu, które sprawia mi przyjemność, to myśl, że nigdy ani słówkiem nie okazałem Joemu mego ówczesnego nastroju. To cieszy mnie naprawdę.

Pamiętam, że w tym czasie pozostawałem w niedzielę wieczorem sam na cmentarzu i patrząc na zmierzch zapadający nad bagniskiem myślałem, iż zachodzi podobieństwo pomiędzy tą wietrzną, płaską równiną, rozplywającą się w nieznanym, a moim losem.

Bo tylko Joemu, jego wiernej wobec mnie postawie zawdzięczam, że wówczas nie uciekł na morze czy do wojska. I nie moim własnym zdolnościami do rzemiosła, ale zdolnościami Joego zawdzięczam to, że zacząłem robić w kuźni postępy. Niezbadaną jest rzeczą, do jakiego stopnia człowiek dobry i uczciwy może wywierać wpływ na innych, ale na

samym sobie można się o takim oddziaływaniu przekonać i ja właśnie jestem przekonany, że wszystko, co umiałem, zawdzięczałem pogodnemu i pełnemu prostoty Joemu, a nie niespokojnej, niezadowolonej istocie, jaką byłem sam.

Czego wówczas chciałem? Któż to zdoła określić? Nigdy sam tego nie wiedziałem.

Czego się lękałem? Lękałem się, bym w jakiś zły dzień, gdy będę przy najpospolitszej i najbrudniejszej robocie, nie ujrzał, podniósłszy oczy, w jednym z okien kuźni Estelli. Prześladowała mnie myśl, że prędzej czy później zaskoczy mnie ona przy jakiejś brudnej i ordynarnej pracy z czarną twarzą i rękami i będzie ze mnie bezlitośnie szydziła. Często wieczorem, kiedy poruszałem miechy pomagając Joemu i kiedy nuciliśmy pieśń o Starym Klemie, przypominałem sobie, że to samo śpiewaliśmy u miss Havisham i wtedy w płomieniu ogniska widziałem twarz Estelli, jej włosy powiewające na wietrze i jej pełne szyderstwa oczy. I kiedy przez okno kuźni patrzył na rozsnutą za oknami czarną noc, zdawało mi się, że widzę, jak dziewczynka odwraca ode mnie twarz, i wyobrażałem sobie, że rzeczywiście tu przyszła.

A potem kiedy szliśmy na wieczerzę, pokój, gdzieśmy jedli, i sam posiłek wydawały mi się jeszcze skromniejsze niż zwykle i jeszcze bardziej niż zwykle w głębi niewdzięcznej duszy wstydzilem się takiego domu.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Ponieważ z czasem wyrosłem już z lat odpowiednich dla szkoły ciotecznej babki Mr. Wopsle'a, skończyła się moja edukacja pod kierownictwem tej śmiesznej kobiecinki. Biddy tymczasem nauczyła mnie już wszystkiego, co sama umiała, począwszy od cennika aż do zabawnej piosenki, której tekst kupiła kiedyś za pół pensa.

Mimo że jedynie pierwsza strofa tej piosenki miała jakiś sens:

Kiedym był w mieście Londynie, panowie, Tralalala, tralalala, To zrobiono mnie na szaro, panowie, Tralalala, tralalala... nauczyłem się całej pieśni na pamięć, w chęci przyswojenia sobie wiedzy, i nie pamiętam, bym kwestionował jej wartość. Uważałem tylko (a i teraz jestem tego zdania), iż posiada jak na poezję trochę za wiele „tralalala.

W pragnieniu kształcenia się prosiłem Mr. Wopsle'a, by zechciał rzucić mi kilka okruchów swej wiedzy. Był na tyle dobry, że się zgodził. Ale już wkrótce przekonałem się, że używa mnie tylko jako rodzaju manekinu, z którym można się sprzeczać, ścisnąć, któremu można wymyślać, nad którym można płakać i znęcać się, który można szarpać, potrącać lub popychać. Toteż nie chciałem już więcej lekcji, za co Mr. Wopsle zbił mnie, w poetyckiej furii.

Wszystko, czego się nauczyłem, przekazywałem natychmiast Joemu. To wyznanie brzmi tak pięknie, że nie może się obejść bez mego wyjaśnienia. Oto dlatego chciałem, aby Joe był mniejszym nieukiem i mniej pospolitym człowiekiem, by uczynić go bardziej godnym mego towarzystwa i mniej narażonym na szyderstwa Estelli.

Stara forteczka na bagnisku była miejscem naszej nauki, a złamana tabliczka i kawałek kredy jedynymi przyborami. Joe przynosił jeszcze ze sobą fajkę i tytoń. Nie przypominam sobie, aby szwagier z niedzieli na niedzielę robił jakiegokolwiek postępy, ale palił fajkę z miną mędrca, który wie bardzo wiele i coraz więcej umie. Kochany chłop, spodziewam się, że może jednak nabierał jakiejś wiedzy.

Było tam tak cicho i miło, kiedy żagle łodzi sunęły po rzece wijącej się za fortyfikacjami i wyglądały podczas odpływu jak kadłuby zatopionych okrętów płynących wciąż jeszcze na dnie. I za każdym razem, gdym patrzył na okręty wychodzące w morze i na ich rozpostarte białe żagle, myśl moja musiała powracać do miss Havisham i do Estelli. Gdy zagubiony promień krył się za obłok, za żagiel lub za gałąź drzewa, nawiedzały mnie te same marzenia: miss Havisham, Estella, ich dziwaczny dom i dziwaczne życie były dla mnie związane ze wszystkim, co piękne i poetyczne.

Pewnej niedzieli, gdy dałem już spokój lekcji z Joem, gdyż zatopiony w pociąganiu z fajeczki powtarzał o sobie, że jest „okropnym tępakiem, leżałem spokojnie na wale ziemnym i ogarniając wzrokiem niebo i wodę wszędzie upatrywałem śladów miss Havisham i Estelli. Nagle poczułem, że muszę na głos wypowiedzieć moje myśli.

- Joe - odezwałem się - czy nie sądzisz, że powinienem odwiedzić miss Havisham?

- Odwiedzić? - powtórzył Joe powoli z namysłem - a po co, Pip?

- Po co, Joe? Po to, po co składa się wizyty.

- Może są wizyty, przy których można się nie zastanawiać, dlaczego się je składa - oświadczył Joe - ale jeżeli pójdziesz do miss Havisham gotowa pomyśleć, że czegoś od niej potrzebujesz, że po coś przyszedłeś.

- A jeżeli jej powiem, że nic mi nie trzeba, Joe?

- Możesz jej to powiedzieć, staruchu, oczywiście. Może ci uwierzyć, ale może i nie uwierzyć.

Joe czuł i ja też, że bardzo silnie to uwypuklił, więc aby nie psuć efektu swych słów powtarzaniem ich raz jeszcze, mocno zaciągnął się dymem z fajki.

- Widzisz, Pip - ciągnął po upływie chwili - miss Havisham zrobiła dla ciebie coś ładnego i kiedy to uczyniła, przywołała mnie jeszcze i oznajmiła, że to ma być wszystko.

- Wiem o tym, Joe, słyszałem, jak mówiła.

- Że to wszystko - powtórzył z naciskiem Joe.

- Tak, Joe, przecież mówię ci, że słyszałem.

- Więc może przez to chciała powiedzieć: Wszystko skończone, ja na północ, wy na południe! Koniec.

I ja również myślałem już o takiej możliwości, toteż słowa. Joego bynajmniej nie dodały mi otuchy. Przeciwnie, to, że i on wpadł na ten pomysł, czyniło przypuszczenie prawdopodobniejszym.

- Ale, Joe...

- Tak, staruchu?

- Prawie rok już u ciebie terminuję i ani razu jeszcze nie wyraziłem miss Havisham wdzięczności. Ani razu jej nie okazałem, że o niej nie zapomniałem.

- To prawda, Pip. Może mógłbyś jej posłać dwie pary podków, chociaż może cztery podkowy końskie nie są odpowiednim, podarkiem, kiedy nie ma się rozmiaru kopyt?

- Ależ nie w ten sposób chciałem okazać jej wdzięczność. Nie chcę wcale dawać jej podarków.

Ale Joe wbił sobie w głowę myśl o prezencie i nie mógł się z nią rozstać.

- Albo mógłbyś pomóc mi wykuć nowy łańcuch na drzwi wejściowe, albo lepiej tuzin śrubek z główkami rekinów do najróżniejszego użytku, albo też coś z fantastycznych lekkich przedmiotów, jak widelec do grzanek czy przyrząd do pieczenia szprotek i innych ryb, albo...

- Kiedy nie myślę o żadnym prezencie, Joe.

Ale Joe, jak gdybym to ja właśnie nalegał na zrobienie podarku, perswadował:

- Ja na twoim miejscu nie upierałbym się przy łańcuchu do drzwi, bo po co jej drugi łańcuch, skoro jeden już ma. Śrubki z głowami rekinów mogłyby także być źle zrozumiane. Jeśli chodzi o widelec do grzanek, to ładniejszy jest mosiężny niż zwykły żelazny. Pozostaje przyrząd do pieczenia ryb, ale cóż, nawet największy artysta nie zrobi z niego nic innego niż zwykłą kratkę do pieczenia. Kratka to kratka! - wołał z takim zapałem, jak gdyby chciał za wszelką cenę wybić mi z głowy ten pomysł. - Wierz mi, nie dasz rady, by zrobić z tego coś lepszego. Choćbyś się przykładał i przykładał.

- Kochany Joe - wrzasnąłem, w rozpaczy ciągnąc go za marynarkę - przestań mówić. Nie mam zamiaru nic darować miss Havisham.

- Nie, Pip, nie trzeba - potwierdził Joe takim tonem, jak gdyby wreszcie mnie przekonał - jedno ci powiem, masz słusność, Pip.

- Jedno chciałem ci tylko powiedzieć, Joe. Że gdybyś mi dał jutro pół dnia wolnego (mało mamy teraz roboty), to poszedłbym do miasta i odwiedziłbym miss Est... Havisham.

- Jej nazwisko nie brzmi Esthavisham, Pip - zauważył Joe a powagą - chyba że je ostatnio zmieniła.

- Wiem, Joe, wiem, przejęczyłem się jakoś. No, więc co, Joe?

W zasadzie Joe był zdania, że to, co ja uważam za słuszne, i on pochwała. Ale dodał jeszcze, że w razie gdybym nie był spotkał się z serdecznym przyjęciem, gdyby nie zrozumiano, że odwiedzam tylko przez wdzięczność, to powinna to być już ostatnia moja wizyta. Zgodziłem się na to chętnie.

Joe miał płatnego tygodniowo czeladnika. Nazywał się Orlick i twierdził, że na imię mu Dolge. Wydawało mi się to niemożliwe i miałem wrażenie, że ten uparty chłopak wystawia na próbę łatwowierność wioski, sam wiedząc doskonale, że wszystkich oszukuje.

Był to barczysty, śniady młodzieniec, obdarzony wielką siłą, powolny, o stale zwieszanej głowie i obwisłych ramionach. Kiedy wchodził do kuźni, miało się wrażenie, że zjawił się tam przypadkiem i że nie ma wcale zamiaru zabrać się do roboty. Kiedy wychodził na obiad do oberży „Pod Trzema Przewoźnikami lub opuszczał nas po pracy, wyglądał jak Kain czy Żyd Wieczny Tułacz, który nie wie, dokąd się za chwilę uda, i czy w ogóle kiedykolwiek powróci.

Mieszkał u dozorczy służy na bagnisku i co dzień w dni powszednie zjawiał się z obiadem zawiązanym w węzełek i zawieszonym na plecach, z rękami w kieszeniach.

Niedziele spędzał leżąc na słuźie lub stał oparty o stóg czy stodołę. Chodząc ciągnął ociężałe stopy, a gdy ktoś do niego przemówił, podnosił oczy z takim wyrazem, jak gdyby zdumiewał się lub obrażał i jak gdyby opanowany był jedyną myślą, że właściwie nie potrafi wcale myśleć, co jest dziwne i krzywdzące.

Ten ponury czeladnik nie lubił mnie. Kiedym był jeszcze mały i nieśmiały, dawał mi do poznania, że w ciemnym kącie kuźni mieszka diabeł i że on zna go doskonale. Mówił też, że diabeł ten raz na siedem lat musi rozniecić ogień w kuźni i spalić małego chłopca i że mogę się uważać odtąd za paliwo. Kiedy zostałem terminatorem Joego, Orlick pomyślał zapewne, że zajmę z czasem jego miejsce i jeszcze mniej mnie lubił. Nie żeby robił lub mówił coś otwarcie wrogiego, ale spostrzegłem, że kując posyła zawsze iskry w moją stronę, a kiedy zaczynałem śpiewać „Starego Klema, to umyślnie fałszuje.

Nazajutrz po rozmowie z Joem, kiedym mu przypomniał o obietnicy dania mi pół dnia wolnego, Orlick był właśnie przy robocie. Zrazu nic nie powiedział, gdyż właśnie kuli we dwóch z Joem rozgrzany do czerwoności kawał żelaza, a ja poruszałem miechami, ale gdyśmy skończyli, oparł się na młocie i oświadczył:

- Chyba majster nie będzie faworyzował jednego z nas. - Jeżeli młody Pip dostanie pół dnia wolnego, to dostanie go chyba i stary Orlick.

Nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat, ale mówił o sobie stale jak o starcu.

- A co zrobisz z tym wolnym dniem, kiedy go dostaniesz? - spytał Joe.

- Co ja zrobię? A co on zrobi? Zrobię to samo, co on - odparł Orlick.

- Pip pójdzie do miasta - wyjaśnił Joe.

- Tak? To i stary Orlick pójdzie do miasta. Dwóch może pójść przecież do miasta.

Czemu tylko jeden ma iść?

- Nie wpadaj w złość - hamował go Joe.

- Wpadnę, jeśli mi się zechce! - krzyknął Orlick - żadnych przywilejów nie ścierpię w tej budzie! No, majster, niech pan będzie człowiekiem.

Majster nie chciał z nim gadać, dopóki czeladnik się nie uspokoi. Wtedy Orlick odwrócił się błyskawicznie do paleniska, schwycił z niego rozżarzoną do czerwoności sztabę żelaza i machał nad moją głową, jak gdyby chciał mnie żywcem spalić. Potem rzucił żelazo na kowadło i zaczął bić je z taką zaciekłością, jak gdyby iskry, które pryskały, były krwią broczącą z mego ciała. Wreszcie kiedy sam się zgrzał, a żelazo ostygło, oparł się na młocie i powiedział:

- No, majstrze.

- Czyś się już uspokoił? - spytał Joe.

- Tak, jestem spokojny - odparł Orlick szorstko.

- A więc ponieważ obaj pracujecie równie dobrze, niech będzie pół dnia wolnego dla obu - zdecydował Joe.

Siostra moja, która była właśnie na podwórzu i swoim zwyczajem podsłuchiwała bez żadnych skrępowań, ukazała się nagle w jednym z okien kuźni.

- To podobne do ciebie, ty idioto! - zawołała do Joego - tak marnować pieniądze, które mu wypłacasz na tygodniówkę, temu leniowi. Widocznie jesteś, jak Boga kocham, bardzo bogatym człowiekiem. Chciałabym ja być jego majstrem!

- Pani chciałaby być majstrem wszystkich, gdyby tylko mogła! - zaśmiał się złośliwie Orlick.

(- Zostaw ją w spokoju! Słyszysz? - rzucił Joe).

- Mogłabym być majstrem wszystkich idiotów i łajdaków świata - odrzyknęła moja siostra, która zaczęła już wpadać w wściekłość. - Gdybym nim została, to byłabym przede wszystkim majstrem twojego majstra, który jest królem idiotów. A gdybym awansowała na majstra łajdaków, to byłabym twoim, bo nie ma bardziej ponurego łajdaka stąd aż do Francji.

- Wstrętna jędrza z pani, matko Gargery, a jeżeli chodzi o łajdactwo, to już chyba pani też nic nie brakuje!

(- Zostaw ją w spokoju! - powtórzył Joe).

- Coś ty powiedział? - krzyknęła moja siostra z rykiem. - Coś ty powiedział? Co ten Orlick do mnie powiedział, Pip? Jak mnie nazwał w obecności mojego męża? Och! Och! Och!

Każde jej słowo było nowym rykiem i muszę tu zauważyć zjawisko, które występuje nie tylko u mojej siostry, ale u wszystkich kobiet o gwałtownym usposobieniu: nie od razu wpadła w taką wściekłość, tylko sama wprawiała się w ten stan i stopniowo doszła do nieprzytomnej furii.

- Jak nazwał mnie w obecności tego tchórza, który przysięgał mi opiekę? Och, trzymajcie mnie, trzymajcie mnie!

- Achhh - syknął przez zęby czeladnik - już ja bym cię pottrzymał, gdybym był twoim mężem! Pottrzymałbym cię pod pompą, aż przeszłaby ci złość!

(- Mówię ci, daj jej spokój! - upomniał go znowu Joe).

- Och, słuchać czegoś podobnego! - wrzasnęła moja siostra załamując ręce i jęcząc, co oznaczało następny stopień jej gniewu - słuchać, jakimi mnie obrzuca wyzwiskami ten Orlick! W moim własnym domu! Mnie, kobietę zamężną! I to wobec mego męża!

Tu siostra moja rozplotła załamane palce, walnęła się kilkakrotnie pięścią w piersi, zerwała z głowy czepek, rozpuściła włosy, co oznaczało ostatni stopień przed wpadnięciem w szal. W tym stanie rzuciła się ku drzwiom kuźni, które przezornie zamknąłem.

Coż innego pozostawało biednemu Joemu, jak zwrócić się do czeladnika z pytaniem, jakim prawem wtrącił się między niego a żonę i czy uważa się za mężczyznę? A jeżeli tak, to czy jest gotów?

Stary Orlick oświadczył, że tak, i przyjął obronną postawę. Nie zdejmując nawet zasmolonych fartuchów rzucili się na siebie jak dwa tytany. O ile mi było wiadomo, nikt w okolicy nie mógł oprzeć się Joemu, toteż Orlick, niczym niedawno błądy chłopiec, runął natychmiast na kupę miału węglowego i najwidoczniej nie miał zamiaru wstać. Wówczas Joe wyszedł z kuźni, podniósł moją siostrę, która leżała zemdlna pod oknem (wydaje mi się, że widziała dobrze walkę) i zaniósł ją do domu. Tu położył ją na łóżku, ale ona wyrwała się i wczepiła we włosy męża.

Nastąpiła potem cisza, jaka zwykle przychodzi po burzy. Poszedłem na górę do mego pokoiku ubrać się i nie mogłem opędzić się wrażeniu, że to niedziela i że ktoś umarł.

Kiedy zeszedłem na dół, zastałem Joego i Orlicka zamiatających kuźnię i jedynym śladem po tym, co zaszło, było rozdarte nozdrze nosa czeladnika, co nie upiększało jego twarzy. Potem obaj mężczyźni zgodnie pili razem piwo przyniesione z oberży „Pod Trzema Wesołymi Przewoźnikami. Ogólny spokój miał najwidoczniej filozoficzny wpływ na Joego, który odprowadziwszy mnie na szosę powiedział:

- Najpierw awantura, Pip. Potem już po awanturze. To jest życie, Pip.

Nie ma to większego znaczenia, jakie niemądre uczucia (bo uczucia, które są bardzo poważne u dorosłego, wydają się komiczne u dziecka) miały mną, kiedy szedłem do miss Havisham. I to nie ma większego znaczenia, że kilkakrotnie mijałem furtkę, by znowu powrócić, zanim zdecydowałem się wreszcie zadzwonić.

Do furtki wyszła miss Sara Pocket (nie Estella).

- Co to? Ty tu znowu? Czego chcesz?

Kiedy odpowiedziałem, że przyszedłem się tylko dowiedzieć o zdrowie miss Havisham, miss Pocket zastanawiała się, czy mnie nie odesłać do domu, ale najwidoczniej obawiając się odpowiedzialności kazała mi szorstko „iść na górę.

Wszystko pozostało niezmienione. Miss Havisham była sama i spytała mnie, czego chcę, bo nic nie dostanę.

- Nie, doprawdy niczego nie chcę - odparłem - chcę tylko pani powiedzieć, że powodzi mi się dobrze w terminie i że jestem pani bardzo wdzięczny.

- Dobrze, dobrze - powtórzyła poruszając niespokojnie starczymi palcami - możesz mnie czasami odwiedzać, przyjdź w twoje urodziny. Ale co to? Rozglądasz się za Estellą? Czy tak?

Istotnie, rozglądałem się, i to za Estellą, więc wyjąkałem, że mam nadzieję, iż miewa się dobrze.

- Jest za granicą - oznajmiła miss Havisham - kształci się na damę, daleka i nieosiągalna, piękniejsza niż kiedykolwiek, uwielbiana przez wszystkich. No co, czujesz, żeś ją utracił?

Było tyle przykrej radości w jej głosie i wybuchła takim okropnym śmiechem, że nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć.

Oszczędziła mi odpowiedzi oświadczając, bym sobie poszedł. Gdy Sara o twarzy ze skorupki orzecha zamknęła za mną furtkę, poczułem jeszcze większe niezadowolenie z własnego domu, z mego zajęcia i ze wszystkiego, co mnie otaczało. To był jedyny rezultat tej wycieczki.

Gdy wlokłem się smutny ulicą Główną, oglądając szyby wystawowe i obmyślając, co też bym kupił, gdybym był panem, ujrzałem wychodzącego z księgarni Mr. Wopsle'a. Mr Wopsle miał w ręku tragedię „Jerzy Barnwell, którą nabył za sześć pensów w tym celu, by każde jej zdanie rzucić w twarz Pumblehookowi podczas ich wspólnej herbaty. Na mój widok doszedł do wniosku, że Opatrzność zesłała mu ucznia, który go wysłucha, więc zabrał mnie ze sobą do salonu Pumblehooka. Ponieważ w domu było smutno, noc zapadała i nie miałem towarzysza na drogę, więc zawróciłem z Mr. Wopslem właśnie w chwili, gdy w sklepach zapalano lampy.

Nie znałem przedtem tragedii „Jerzy Barnwell, więc nie wiem, czy to długa sztuka. Wiem tylko, że gdy Mr. Wopsle skończył czytanie, było wpół do dziesiątej i że kiedy dotarliśmy do Newgate miałem wrażenie, iż Mr. Wopsle nigdy nie skończy, gdyż ohydna kariera bohatera rozwijała się coraz to wolniej. Myślałem sobie, że nie ma on wcale prawa skarżyć się, iż ginie w kwiecie wieku, bo od początku dramatu tracił płatek po płatku. Ale nie chodziło nawet o to, że wszystko to tak beznadziejnie długo i nudno się ciągnęło. Coś całkiem innego sprawiało mi przykrość podczas tego czytania: oto niewątpliwe aluzje do mojej skromnej osoby. Kiedy Barnwell zaczął w życiu się staczać w dół, nie wiedziałem, co mam ze

sobą począc pod karcącym i pełnym wyrzutów spojrzeniem Pumblechooka utkwionym we mnie. Wopsle również czynił wysiłki, aby mnie przedstawić w najgorszym świetle. Okrutny i łzawy jednocześnie, popełniał morderstwo na osobie mego wuja i to bez żadnych okoliczności łagodzących. Milwood bił mnie na głowę we wszystkich dziedzinach i córka mego zwierzchnika była chyba opętana, że w tych warunkach jeszcze sobie coś ze mnie robiła. Mogę powiedzieć o podłym i tchórzliwym zachowaniu się owego pamiętnego ranka chyba tylko to, że wynikało ze słabości mego charakteru. Nawet gdy mnie już szczęśliwie powieszono i gdy Wopsle zamknął książkę, jeszcze Pumblehook wpatrywał się we mnie karcącym wzrokiem i kiwając głową powtarzał:

- Miej się na baczności, chłopcze, miej się na baczności! Zupełnie tak, jak gdyby było znanym powszechnie faktem, iż mam zamiar zamordować mego bliskiego krewnego, oczywiście, jeżeli znajdzie się taki, kto będzie przed tym moim dobroczyńcą.

Była ciemna noc, kiedy wszystko się skończyło i kiedy z Mr. Wopslem wyruszyłem w drogę do domu. Gdy wyszliśmy za miasto, ogarnęła nas gruba i wilgotna mgła. Latarnia umieszczona na rogatce wydała nam się nie na zwykłym miejscu, a promienie jej wyglądały jak twarde pałeczki.

Spostrzegliśmy to dziwne zjawisko i właśnie rozmawialiśmy o tym, że mgła idzie od naszych bagnisk i że wywołała ją zmiana wiatru, kiedy natknęliśmy się po ciemku na jakiegoś człowieka.

- Hola - odezwaliśmy się - czy to Orlick?

- Tak, zatrzymałem się tu czekając, że może będę miał towarzystwo - odparł.

- Późno wracasz - zauważyłem.

- I ty tak samo - odpowiedział nie bez słuszności Orlick.

- My, panie Orlick - oświadczył Wopsle, jeszcze oczarowany swą deklamacją - spędziliśmy intelektualny wieczór.

Orlick zamruczał coś, jak gdyby nie miał na to odpowiedzi, i ruszyliśmy dalej razem. Spytałem go, czy spędził popołudnie w mieście.

- Tak - potwierdził - przyszedłem tam zaraz po tobie i chociaż straciłem cię z oczu, musiałem być od ciebie gdzieś niedaleko. Ale słuchajcie, strzelają z armat.

- Na galerach? - spytałem.

- Tak, któryś z ptaszków musiał znowu uciec z klatki. Strzelają tak już od zmroku. Zaraz usłyszycie.

Istotnie, nie uszliśmy kilku kroków, gdy rozległ się znajomy mi odgłos przygłuszony nieco przez mgłę i rozwiął się gdzieś daleko nad rzeką, jak gdyby leciał w trop za zbiegami.

- Dobra noc do uciezki - orzekł Orlick - niełatwo będzie dzisiaj złapać te ptaszki za skrzydełka.

Ten temat budził we mnie wiele wspomnień i rozmyślałem o nich w milczeniu. Mr Wopsle, czując się znowu w roli nieszczęsnego wuja z tragedii, rozpoczął na głos rozmyślać w ogrodach Camberwellu. Orlick z rękami w kieszeniach kroczył ciężko u mego boku. Było bardzo ciemno, bardzo mokro i z trudem posuwaliśmy się w gęstym błocie. Wystrzał armatni wybuchał od czasu do czasu, hucząc wzdłuż wybrzeża rzeki. Co do mnie, pogrążony byłem we własnych myślach. Mr Wopsle konał ze słodyczą w ogrodach Camberwellu, ginął po bohatersku na polu walki w Bosforthe i umierał w mękach w Glastobury. Orlick od czasu do czasu nucił: „Kuźnia dźwięczy, kuźnia dzwoni! Stary Klem! Stary Klem! Iskry się wokoło gonią! Stary Klem! Zdawało mi się, że musiał pić, ale nie był pijany.

W ten sposób doszliśmy do wioski. Mijając oberżę „Pod Trzema Wesołymi Przewoźnikami zdumieliśmy się, że o tak późnej godzinie (była jedenasta) jest oświetlona ruchomymi błyskami i pełna ludzi; drzwi jej stały otworem. Mr Wopsle wszedł do środka, by dowiedzieć się, co się stało (przypuszczał, że schwytano galernika), ale natychmiast wybiegł w wielkim pośpiechu na drogę.

- Stało się coś niedobrego! - krzyknął - biegnijmy do ciebie do domu, Pip! Prędko!

- Co się stało? - pytałem biegnąc pomiędzy nim a Orlickiem.

- Niezbyt dobrze zrozumiałem, ale zdaje się, że ktoś siłą włamał się do waszego domu pod nieobecność Joego Gargery. Podobno galernicy. Ktoś jest ranny.

Biegliśmy zbyt szybko na to, by dalej rozmawiać, i zatrzymaliśmy się dopiero w naszej kuchni. Była pełna ludzi. Cała wioska zebrała się w naszym mieszkaniu. Spostrzegłem lekarza, ujrzałem też Joego i, mnóstwo kobiet, wszystkich na środku kuchni.

Tłoczący się ludzie na mój widok rozstąpili się, by mnie przepuścić, i wtedy dopiero zobaczyłem leżącą na podłodze moją siostrę. Nieznana ręka cisnęła ją na ziemię, zadawszy jej okropny cios w tył głowy, w czasie gdy Mrs Gargery patrzyła w ogień. Już nigdy moja siostra nie miała więcej wojować ze swym mężem Joem.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Głowę miałem jeszcze do tego stopnia na bitą dramatem o Jerzym Barnwellu, że przez chwilę skłonny byłem przypuszczać, iż to ja wymierzyłem straszliwy cios mojej siostrze, a jeżeli tego nawet nie uczyniłem, to przeciwko mnie, jako jej najbliższemu krewnemu, skierują się przede wszystkim podejrzenia. Ale kiedy nazajutrz, w jasnym blasku ranka, usłyszałem powtarzane po wiele razy przez wszystkich okoliczności, cała sprawa przedstawiła mi się w znacznie prawdopodobniejszym świetle.

Joe poszedł wypalić fajkę do oberży „Pod Trzema Przewoźnikami i pozostał tam od ósmej piętnaście do kwadrans przed dziesiątą. Przez ten czas widziano siostrę moją na progu kuchni. Rozmawiała z parobkiem z sąsiedztwa, który powracał do domu. Powiedziała mu dobranoc. Człowiek ten nie umiał dokładnie określić godziny, kiedy to było. Próbował, ale zaplątał się. W każdym razie miało to być przed dziewiątą. Kiedy Joe powrócił do domu pięć minut przed dziesiątą, zastał żonę leżącą na podłodze i natychmiast wezwał pomocy. Ogień wcale nie dogasał, a knot świecy nie potrzebował jeszcze objaśnienia, świeca co prawda była zgaszona.

Z domu nic nie zginęło. Tak że oprócz zgaszenia świecy (stała pomiędzy moją siostrą, która patrzyła w ogień, a drzwiami) nic w kuchni nie tknięto, jeżeli nie liczyć oczywiście nieporządku wywołanego upadkiem mej siostry i krwawieniem jej rany. Napastnik zostawił jednak na miejscu narzędzie zbrodni. Siostra uderzona została w głowę i kręgosłup jakimś tępym, ciężkim narzędziem. Potem gdy leżała twarzą do podłogi, rzucono jej ten sam ciężki przedmiot na ciało z wielkim rozmachem i siłą. Otóż Joe, podnosząc żonę, znalazł przy niej kajdany galernika przepiłowane pilnikiem na dwie części.

Joe, przyjrawszy się kajdanom okiem kowala, doszedł do wniosku, że przepiłowano je już dawno. Wieść o zbrodni dotarła natychmiast na galery i ludzie, którzy przybyli stamtąd, by przyjrzeć się kajdanom, potwierdzili zdanie Joego. Nie umieli dokładnie określić, kiedy te kajdany, które niewątpliwie pochodziły z galer, stamtąd się wydostały, ale jedno było pewne: nie należały do żadnego z dwu więźniów, którzy uciekli tej nocy. Jednego z nich zresztą schwytano skutego.

Wiedząc więcej niż oni, snułem własne domysły. Poznałem w kajdanach te, które w moich oczach galernik piłował na bagnisku, ale nie podejrzewałem go, że to on uczynił z nich użytek, przeciw mojej siostrze. Przypuszczałem, że ktoś inny zdobył je, i uczynił z nich

narzędzie okropnego mordu. Podejrzenia moje kierowały się przeciwko Orlickowi i przeciwko dziwnemu człowiekowi, który pokazał mi pilnik.

Co się tyczyło Orlicka, to rzeczywiście poszedł do miasta, widziano go w rozmaitym towarzystwie w oberżach, spotkał mnie i Mr. Wopsle'a przy rogatece i wracał z nami. Nie było więc przeciwko niemu żadnych poszlak, gdyby nie jego kłótnia z moją siostrą, ale przecież siostra kłóciła się z nim, tak jak z każdym, tysiące razy.

Jeżeli chodzi o dziwnego człowieka, to gdyby nawet przyszedł po swoje dwa banknoty, moja siostra oddałaby mu je bez sprzeczek, gdyż była na to przygotowana. Wszystko wskazywało zresztą, że morderstwo odbyło się bez żadnej wymiany zdań. Zbrodniarz wszedł nagle i po cichu, tak że upadła, zanim zdążyła się obejrzeć.

Gnębiła mnie okropnie myśl, że niechcący dostarczyłem narzędzia zbrodni. Tego byłem pewien i cierpiałem niewypowiedziane męczarnie rozważając, czy mam przełamać dotychczasowe milczenie i powiedzieć o wszystkim Joemu. W ciągu długich miesięcy, jakie potem nastąpiły, decydowałem się po namyśle milczeć po to, by zaraz następnego ranka zadawać sobie znowu to samo pytanie. Moja walka wewnętrzna doprowadziła mnie do przekonania, że tajemnicę tę noszę w sobie od tak dawna, iż stała się częścią mojej istoty i nie mogę jej od siebie oddzielać.

Drżałem też na myśl, że jeśli wyznam całą prawdę Joemu, jeżeli dowie się, do czego się przyczyniłem, to odsunie się ode mnie. Oczywiście, jeżeli mi w ogóle uwierzy i nie zaliczy mego opowiadania do serii fantastycznych kłamstw takich, jak psy karmione cielecymi kotletami. Wreszcie postanowiłem, że jeżeli odkrycie prawdy będzie się mogło przyczynić do znalezienia sprawcy zamachu, to wyznam ją, choć jest dla mnie straszna. Żandarmi i policja z londyńskiego urzędu na Bow Street (działo się to bowiem w czasach, gdy istniała jeszcze słynna policja w czerwonych mundurach, którą potem skasowano) kręcili się przez tydzień czy dwa koło naszego domu i zachowywali całkiem tak, jak policja w czasie śledztwa w powieściach kryminalnych. Przesłuchiwali niewinnych ludzi i starali się przystosować okoliczności do swoich własnych teorii, zamiast wyciągać nowe wnioski z rzeczywistych faktów. Wystawali też pod drzwiami oberży „Pod Wesołymi Przewoźnikami z tak wszystkowiedzącym i dyskretnym wyrazem twarzy, że zachwycali całą ludność wioski. Chwyтали za kieliszek takim gestem, jak gdyby właśnie chwyтали winnego, co zresztą nie nastąpiło.

Jeszcze długo po zniknięciu tych przedstawicieli prawa siostra moja leżała ciężko chora w łóżku. Miała zaburzenia wzroku, widziała wszystko podwójnie i na skutek tego ujmowała jakieś wyimaginowane filiżanki herbaty czy kieliszki wina, zamiast rzeczywistych

przedmiotów. Miała też nadwężony słuch i pamięć, a mowa jej zrobiła się niezrozumiała. Kiedy wreszcie można było sprowadzić chorą z trudem na dół, musiałem za nią nosić moją tabliczkę, aby pisała to, co chce nam powiedzieć. Ponieważ zarówno jej charakter pisma jak ortografia pozostawiała wiele do życzenia i ponieważ Joe nie był mocny w czytaniu, powstawały między nimi nieustannie nieporozumienia, które musiałem rozstrzygać.

I ja jednak popełniałem niekiedy pomyłki. Do najmniejszych trzeba zaliczyć takie, jak zażywanie krów zamiast kropel, pomieszanie herbaty z Joem i piekarza z pierzem.

Charakter Mr.s Gargery jednak poprawił się ogromnie: wykazywała wiele cierpliwości. Z czasem choroba przybrała inną fazę. Oto siostra moja nie mogła wykonać świadomie żadnego ruchu. Ciało jej opanowało drzenie. Na przykład niekiedy, podniósłszy rękę do głowy, pozostawała w tej pozie przez tydzień niemal, całkowicie nieprzytomna.

Mieliśmy wiele kłopotu ze znalezieniem dla niej odpowiedniej pielęgniarki, gdy los przyszedł nam z pomocą. Cioteczna babka Mr. Wopsle'a nareszcie przezwyciężyła zastarzałe przyzwyczajenie trzymania się kurczowo życia i po jej śmierci odziedziczyliśmy Biddy.

Mniej więcej w miesiąc po ponownym zjawieniu się mojej siostry w kuchni, sprowadziła się Biddy wraz z małym kuferkim, w którym mieścił się jej cały majątek, i od razu stała się błogosławieństwem domu. Przede wszystkim stała się błogosławieństwem Joego, gdyż ten kochany chłop był niesłychanie przygnębiony smutnym widokiem żony i kiedy wieczorem usługiwał jej, jak potrafił, zwracał od czasu do czasu ku mnie załzawione niebieskie oczy i mówił:

- Taka śliczna z niej była kobieta, Pip.

Biddy natychmiast zabrała się do rzeczy tak umiejętnie, jak gdyby nic innego przez całe życie nie robiła i Joe, uspokojony, mógł teraz wstępować do „Wesołych Przewoźników dla rozrywki, która mu się należała.

Bardzo charakterystyczny jest fakt, iż policja uważała Joego za mocno podejrzanego o zbrodnię (on sam zresztą nie miał o tym pojęcia) i sądziła, że to wielki spryciarz.

Pierwszym triumfem Biddy było rozwiązanie zagadki, która od dawna mnie dręczyła i której Joe również nie mógł rozwikłać.

Oto siostra moja rysowała na tabliczce jakiś znak podobny do dużego T i z naciskiem pokazywała, że tego sobie życzy. Na próżno przynosiłem jej kolejno różne przedmioty na T, jak talerz, tarkę, tasak. Wreszcie przyszło mi na myśl, że znak ten wyraża może kształt młotka i na wielokrotne moje pytanie wykrzywane jej do ucha, siostra moja uderzyła w stół, jak gdyby na znak potwierdzenia. Wtedy to przynosiłem jej kolejno wszystkie młotki, jakie były w domu, ale potrząsała głową przecząco. Przyszło mi wówczas na myśl, że znak przypomina

kształtem szczudła, jakimi posługują się kaleki. Pobiegłem na wieś, pożyczyłem jej szczudło i przyniosłem, ale trzęsła głową tak mocno, że przeraziła nas, iż może przy swej słabości skrócić sobie kark.

Kiedy siostra moja zorientowała się, że Biddy rozumie ją najlepiej, tajemniczy znak znowu zjawił się na tabliczce. Biddy w zamyśleniu mu się przyjrzała, wysłuchała moich objaśnień, w zadumie popatrzyła na moją siostrę, na Joego, który pod postacią pierwszej litery swojego imienia figurował na tabliczce, i nic nie mówiąc pobiegła do kuźni, a ja i Joe za nią.

- Ależ naturalnie! - wołała Biddy zachwycona - czyż nie rozumiecie? To chodzi o niego!

Chodziło o Orlicka. Siostra zapomniała jego imienia i przedstawiała go przy pomocy młota kowalskiego.

Powiedzieliśmy mu, o co chodzi, i wezwaliśmy go, aby zaraz przyszedł do kuchni. Powoli odłożył młot, otarł czoło rękawem, potem raz jeszcze twarz fartuchem i podszedł swym charakterystycznym krokiem włóczęgi.

Wyznaję, iż przypuszczałem, że teraz siostra moja wskaże na niego jako na mordercę, ale rozczarowałem się natychmiast.

Okazywała wiele dbałości o to, by być z nim w przyjaznych stosunkach, i gestem nakazała nam, aby dać mu coś do picia. Przyglądała mu się z niepokojem, badając, czy jest zadowolony, a na twarzy jej malował się pokorny wyraz dziecka wobec surowego nauczyciela.

Odtąd nie było niemal dnia, aby nie rysowała na tabliczce młotka i aby Orlick nie wychodził z kuźni swym chwiejnym krokiem włóczęgi i nie stał przed nią z ponurym wyrazem twarzy, jak gdyby sam tak jak i ja nie wiedział, co o tym myśleć.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Odtąd życie moje wstąpiło na monotonną drogę pracy w terminie, nie zamąconej żadnym wydarzeniem ani na bagnisku, ani w miasteczku. Jedynym urozmaiceniem było nadejście dnia moich urodzin, kiedy to odwiedziłem znowu miss Havisham.

Znów zastałem przy furtce pannę Sarę Pocket. Miss Havisham ujrzałem samą jak wówczas, kiedy się z nią rozstawałem. Podobnie mówiła mi o Estelli, choć może innymi wyrazami. Rozmowa trwała kilka minut, po czym miss Havisham dała mi gwineę i kazała przyjść w następne urodziny. Stało się to już dorocznym zwyczajem. Kiedym po raz pierwszy dostał gwineę, nie chciałem jej przyjąć, ale miss Havisham rozgniewała się i spytała, czym liczył na więcej, więc wziąłem.

Stary, ponury dom tak zupełnie się nie zmienił, tak zawsze jednakie było żółte światło w pokoju, tak wyblakłe widmo siedziało przy gotowalni, że miałem wrażenie, iż wraz z zatrzymanymi zegarami czas istotnie przestał tu płynąć, gdy ja i wszystko inne poza tym domem starzeliśmy się codziennie. Blask słońca nadal nigdy tu nie docierał i nadal pod wpływem atmosfery tej rezydencji czułem w sercu nienawiść do mego zawodu i wstydzilem się własnego domu.

W tym też czasie spostrzegłem, że w Bidy zaszły wielkie zmiany. Zaczęła nosić pantofle na wysokich obcasach, włosy jej stały się błyszczące i gładkie, dłonie zawsze czyste. Nie była piękna - była przecież pospolita, więc nie mogła się równać z Estellą, ale była miła, zdrowa i łagodna. Nie mieszkała u nas dłużej niż rok (pamiętam, że właśnie przestała nosić żałobę), gdy pewnego wieczora uderzył mnie poważny i myślący wyraz jej oczu, oczu ślicznych i bardzo dobrych.

Zobaczyłem to, gdym podniósł wzrok znad roboty (właśnie przepisywałem urywek z pewnej książki, by się podwójnie wypróbować w czytaniu i pisaniu) i spostrzegłem, że Bidy mnie obserwuje. Odłożyłem pióro, a dziewczyna przestała robić na drutach, ale nie odłożyła robótki.

- Bidy, powiedz mi, jak ty to robisz? - spytałem - bo albo ja jestem bardzo głupi, albo ty bardzo mądra?

- Co też takiego robię, nie rozumiem? - zagadnęła Bidy z uśmiechem.

Prowadziła wspaniale nasze gospodarstwo, ale nie o to chciałem ją spytać, chociaż ta okoliczność jeszcze zwiększała mój dla niej podziw.

- Jak ty to potrafisz, Biddy, że uczysz się wszystkiego tego co ja i zawsze za mną nadążasz?

Zaczynałem być dumny z mojej nauki, którą opłacałem gwinejami otrzymywanymi na urodziny i pieniędzmi na drobne wydatki.

- Tak samo i ja mogłabym spytać ciebie, jak ty to robisz? - odparła Biddy.

- Nie, bo kiedy wracam z kuźni, to wszyscy widzą, jak się całe wieczory uczę, ale ciebie nikt nie widział przy nauce.

- Widocznie zarażam się nią jak katarem - odpowiedziała Biddy spokojnie i wróciła do roboty.

Oparty o drewnianą poręcz fotela, nie spuszczałem teraz oczu z Biddy, która szła z głową przekrzywioną, i myślałem, że jest nadzwyczajną dziewczyną.

Rozważałem, do jakiego stopnia Biddy zna wszystkie terminy naszego zawodu, i przyszło mi do głowy, że jeśli chodzi o jego teorię, jest ona takim samym kowalem jak i ja i że krótko mówiąc, wszystko, co umiem, umie i ona, może nawet lepiej ode mnie.

- Biddy - zauważyłem - należysz do tych, którzy umieją w lot chwytać każdą możliwość w życiu. Zanim tu przyszedłeś, nie mogłeś się uczyć i zobacz, ileś tu już skorzystała.

Biddy popatrzyła na mnie, a potem wracając do szycia oznajmiła:

- A jednak, to ja byłam twoją pierwszą nauczycielką. Czy tak?

- Biddy! - zawołałem zdumiony - ty płaczesz?

- Nie, nie płaczę - odparła Biddy podnosząc oczy z uśmiechem - co też ci do głowy przychodzi?

„Przyszło mi to do głowy z powodu łyzy, która wyraźnie kapnęła jej na robotę, ale nie odpowiedziałem, tylko przeszedłem myślą straszne życie dziewczynki w czasach, kiedy to cioteczna babka Mr. Wopsle'a nie chciała jeszcze porzucić zwyczaju trwania przy życiu, zwyczaju, którego tyle osób powinno wcześniej się wyrzekać.

Ujrzałem Biddy przed sobą w ohydny sklepiku, w okropnej wieczornej szkółce, obciążoną tym strasliwym starczym tłumokiem, którym się opiekowała, i byłem teraz pewien, że już w tamtych czasach musiała być obdarzona tymi samymi zdolnościami, które teraz rozwijała. Nie był to wtedy przypadek, że do niej właśnie zwracałem się w trudnościach.

Biddy szła teraz spokojnie, już bez łez, a ja patrząc na nią pomyślałem, że może zbyt mało okazał jej wdzięczności, byłem wobec niej zbyt zamknięty w sobie, zamiast zaszczycać ją (nie pomyślałem wówczas tym wyrazem, ale jakoś inaczej) moim zaufaniem.

- Tak, Biddy - potwierdziłem tylko - byłaś moją pierwszą nauczycielką. I nie przypuszczaliśmy wówczas, że spotkamy się kiedyś w tej kuchni.

- Ach, to biedactwo! - zawołała nagle Biddy wstając i poprawiając coś przy mojej siostrze, jak gdyby w ten sposób przenosiła uwagę na kogoś innego. - Rzeczywiście, kto by to pomyślał!

- Musimy ze sobą serdeczniej porozmawiać, Biddy. Muszę się ciebie w wielu sprawach poradzić. Czy chciałabyś w niedzielę przejść się ze mną po łące? Porozmawiamy wtedy.

Nie zostawialiśmy teraz nigdy mojej siostry samej, ale Joe zgodził się w niedzielę po południu jej popilnować i poszedłem z Biddy na spacer. Dzień był letni, pogodny. Gdy minęliśmy wioskę, kościół i cmentarz, ujrzeliśmy żagle na rzece i od razu przypomniałem sobie miss Havisham i Estellę.

Kiedy przyszlismy na brzeg rzeki i usiedliśmy nad wodą, która pluskała u naszych stóp podnosząc jeszcze panującą ciszę, zdecydowałem, że nadeszła chwila odpowiednia do zwierzeń.

- Biddy - wyznałem - chciałbym być panem.

- Och - zawołała Biddy - nie marzyłabym o tym na twoim miejscu. To nie pasuje do ciebie.

- Biddy - odparłem z pewną surowością - mam specjalne przyczyny, dla których chcę zostać panem.

- Ty wiesz chyba lepiej, ale czy nie sądzisz, Pip, że teraz jesteś szczęśliwszy?

- Biddy - zawołałem niecierpliwie - nie jestem teraz szczęśliwy. Nie jestem zadowolony ani z mego zawodu, ani z życia. Nigdy mi nie odpowiadały. Więc nie bądź głupia.

- Czy byłem głupia? - spytała Biddy podnosząc na mnie oczy - jeżeli tak, to przepraszam. Ale ja chcę tylko twego szczęścia.

- A więc zapamiętaj sobie raz na zawsze, że nigdy nie będzie mi dobrze, dopóki będę żył tak jak teraz i że dopiero gdy zmienię życie, będę mógł być szczęśliwy!

- To wielka szkoda - orzekła Biddy potrząsając głową smutnie.

I ja także często żałowałem tego samego i dlatego moja własna myśl, wyrażona przez Biddy, poruszyła mnie mocno. Powiedziałem jej, że i ja tak sądzę, ale że nic na to nie można już poradzić.

- Gdybym mógł - mówiłem - wrywając trawę z takim samym uczuciem, z jakim kiedyś rwałem sobie włosy i waliłem pięściami o mur starego browaru - gdybym mógł kochać zawód kowala choćby w połowie tak, jak kochałem go, gdy byłem dzieckiem, byłoby to znacznie dla mnie lepiej, wiem o tym. Ty, Joe i ja... cóż by nam brakło w życiu? Mógłbym

zostać z czasem współnikiem Joego, może zakochałbym się w. tobie i pewnej niedzieli po południu wyznałbym ci to tutaj, nad rzeką. Chyba przyjąłabyś mnie, Biddy, co?

Biddy westchnęła patrząc na żagle przepływających łodzi i powiedziała:

- Tak, ja nie jestem bardzo wymagająca.

Nie było to pochlebne, ale wiem, że myślała najlepiej.

- A zamiast tego wszystkiego - ciągnąłem wyrwijając jeszcze jedną trawkę i żując ją w zębach - jestem niezadowolony, nieszczęśliwy i powiedz, co szkodziłoby mi być pospolitym i wulgarnym, gdyby nikt mi tego nie uświadomił?

Biddy nagle zwróciła ku mnie twarz i przyglądała mi się o wiele uważniej niż przepływającym żaglami.

- Nie było to ani grzeczne, ani zgodne z prawdą, jeżeli ci to powiedziano... Ale kto to powiedział? - spytała.

W ten sposób wpadłem, sam nie wiedząc, dokąd prowadzą moje zwierzenia, ale teraz nie czas było się cofać.

- Pewna piękna pani u miss Havisham. Jest piękniejsza niż ktokolwiek na świecie, podziwiam ją strasznie i dla niej chcę być panem.

Wyrzuciwszy to z siebie, cisnąłem wyrwaną przeze mnie trawę w wodę takim ruchem, jak gdybym chciał podążyć za nią.

- Czy chcesz być panem po to, by ją móc wyszydzić, czy też zdobyć? - badała Biddy po przerwie.

- Sam nie wiem - odparłem nadąsany.

- Bo jeżeli chciałbyś ją wyszydzić, to sądzę, chociaż ty wiesz lepiej, że należałoby nie zwracać na nią uwagi - mówiła Biddy - a jeżeli pragniesz ją zdobywać, to zdaje mi się, chociaż ty wiesz lepiej, że nie jest tego warta.

Zupełnie to samo myślałem sobie wiele razy i byłem całkiem przekonany jej słowami, ale jakże ja, biedny prostak wioskowy, miałem uniknąć owej straszliwej niekonsekwencji, w którą wpadają codziennie najlepsi i najmądrzejsi ludzie?

- To wszystko jest zapewne prawdą - odpowiedziałem Biddy - ale ja uwielbiam ją tak okropnie.

Mówiąc te słowa padłem twarzą do ziemi i zanurzyłem obie zaciśnięte dłonie we włosy. Jednocześnie w moim szaleństwie zdawałem sobie sprawę, że zasłużyłem na to, aby ktoś odwrócił mi twarz, podniósł mi głowę za włosy i uderzył nią o żwir, na którym leżałem. Zasługiwała na karę za to, że należy do takiego idioty.

Biddy była najmądrzejszą z dziewczyn. Nie usiłowała się ze mną sprzeczać, tylko położyła swą miłą, chociaż szorstką od pracy rękę kolejno na moich obu dłoniach, by je oderwać od mych włosów. Potem łagodnie pogłaskała mnie po ramieniu. A ja, opierając twarz o rękaw, płakałem całkiem tak samo jak wówczas przy starym browarze i tak samo jak wówczas czułem, że ktoś mnie skrzywdził czy coś wyrządziło mi krzywdę, chociaż sam nie wiedziałem co.

- Jestem szczęśliwa, Pip - powiedziała teraz Biddy - żeś obdarzył mnie zaufaniem. Żeś czuł, że możesz mi zaufać, i wiedział, że nigdy cię nie zdradzę. Gdyby twoja pierwsza nauczycielka (mój Boże, jakże nędzna i jak bardzo sama potrzebująca nauki!) teraz zaczynała lekcję z tobą, wiedziałaby, czego cię nauczyć. Ale teraz już za późno, boś ty prześcignął swą nauczycielkę.

To powiedziawszy Biddy westchnęła raz czy dwa ze współczuciem, wstała z trawy i nagle zmieniając ton spytała wesołym, miłym głosem:

- Czy jeszcze się przejdziemy, czy wracamy do domu?

- Biddy - oświadczyłem obejmując ją za szyję i całując - będę ci się zawsze ze wszystkiego zwierzał...

- Aż do dnia, kiedy staniesz się panem - odparła Biddy.

- Wiesz dobrze, że nigdy nim się nie stanę. Będę więc wszystko ci zawsze mówił. Ale teraz nie mam ci już więcej nic do powiedzenia, bo wiesz tyle co ja, jak ci to wczoraj już tłumaczyłem.

- Ach - szepnęła tylko Biddy patrząc na żagle łodzi na rzepce i zaraz dodała znowu wesołym głosem:

- Więc co, wracamy czy idziemy jeszcze dalej?

Zdecydowałem, że idziemy dalej. Piękny dzień letni zbladł w piękny wieczór.

Pomyślałem, czy nie jestem tu bardziej na miejscu niż w salonie z zapalonymi świecami i zatrzymanymi zegarami, przy partii durnia, narażony na szyderstwa Estelli. Pomyślałem, jak dobrze byłoby wyrzucić ją raz wreszcie z pamięci, zabrać się uczciwie do roboty, starać się wykonywać ją jak najlepiej i polubić swój zawód. Pomyślałem też, czy gdyby zamiast Biddy była teraz ze mną Estella, nie unieszczęśliwiłaby mnie, i musiałem odpowiedzieć na to pytanie twierdząco.

„Pip, głupiec z ciebie - pomyślałem.

Rozmawialiśmy dużo na przechadzce i wszystko, co Biddy powiedziała, było słuszne. Biddy nie bywała nigdy nieznośna ani obrażająca lub kapryśna, nie okazywała się też dzisiaj sobą a jutro kimś całkiem innym, nie chciała mnie ranić dla swojej przyjemności. Przeciwnie,

wolałaby zadać sobie samej ból, niż mnie zrobić przykrość. Jakże to się działo, że wobec tego z tych dwu nie wolałem Biddy?

- Biddy - zwierzyłem się, kiedy szliśmy już w stronę domu - chciałbym, byś przywróciła mi rozsądek.

- I ja bym tego chciała - odparła Biddy.

- Gdybym mógł zakochać się w tobie... nie gniewasz się chyba, że mówię tak otwarcie z tobą, starą przyjaciółką?

- Och, nie, nie o mnie tu chodzi - zaprzeczyła dziewczyna.

- Gdybym mógł zakochać się w tobie, niczego bym więcej nie pragnął.

- Ale myślę, że to nigdy nie nastąpi - szepnęła Biddy. Tego wieczora nie wydawało mi się to tak bardzo niemożliwe, toteż odparłem, że nie jestem tak pewien, czy na tym się nie skończy. Ale Biddy oświadczyła, że ona jest pewna. W głębi duszy czułem, że ma słuszość, ale miałem jej za złe, że tak stanowczo to twierdzi.

Gdy zbliżyliśmy się do cmentarza, musieliśmy przejść przez mur koło śluzy. Wtedy to ze śluzy czy z krzaków, czy też z mułu (którego dużo było o tej porze roku) wyskoczył stary Orlick.

- Dokąd to? - spytał nas.

- Dokąd, jak nie do domu?

- A więc, niechże mnie zakatrupią, jeżeli wam nie będę towarzyszył.

Używał wyrażenia „zakatrupić przy każdej okazji i było ono równie nieścisle jak imię, którym kazał się nazywać. Kiedym był młodszy, myślałem za każdym razem, gdy gadał o zakatrupieniu, co by to było, gdyby mnie chciał zakatrupić. Biddy, która nie chciała, by szedł z nami, poprosiła cicho:

- Nie pozwól mu iść. Nie lubię go.

Ponieważ i ja go nie lubiłem, więc zdobyłem się na odwagę, by powiedzieć, że nie życzymy sobie, by nam towarzyszył.

Wybuchnął śmiechem i zawrócił, ale postępował za nami w pewnej odległości.

Ciekawy, czy też Biddy podejrzewa go o zamach na moją siostrę, spytałem, czemu nie lubi Orlicka.

- O - odpowiedziała oglądając się przez ramię za nim, idącym z tyłu - bo boję się, że on mnie lubi.

- Czy powiedział ci kiedy, że cię lubi? - indagowałem pełen oburzenia.

- Nie - odparła Biddy wciąż oglądając się przez ramię - ale tańczy koło mnie, gdzie mnie tylko dopadnie.

Mimo niezwykłości takiego dowodu przywiązania, nie wątpiłem ani na chwilę, że tak było. Oburzałem się do głębi, że Orlick ośmiela się uwielbiać Biddy. Czułem się tak oburzony, jak gdyby to stanowiło dla mnie obrazę.

- Tobie powinno być wszystko jedno - zauważyła Biddy spokojnie.

- Tak, mnie powinno być wszystko jedno, Biddy - zgodziłem się - tyle, że mi się to nie podoba. Nie uznaję tego.

- I ja też nie - dodała Biddy i powtórzyła raz jeszcze - ale ciebie nie powinno to nic obchodzić.

- Oczywiście - przyznałem - wiedz tylko, że nie miałbym o tobie zbyt dobrego pojęcia, gdybyś godziła się na to, żeby koło ciebie tańczył.

Od tej chwili nie spuszczałem oka z zachowania się Orlicka i ilekroć chciał zabiegać o względy Biddy, przeszkadzałem temu, jak mogłem.

Zapucił korzenie u Joego ze względu na nagłą sympatię mojej siostry do niego. Gdyby nie to, namawiałbym do usunięcia go z kuźni. Zdawał sobie doskonale sprawę z moich wrogich względem niego uczuć i odpłacał mi pięknym za nadobne. Zrozumiałem to dopiero później.

Umysł mój był tymczasem tak zamuzyony, że chociaż z pięćdziesiąt tysięcy razy nachodził mnie nastrój, w którym rozumiałem, że Biddy jest więcej warta niż Estella i że mój zawód, uprawiany uczciwie i poważnie, nie przynosi mi wstydu, to jednak nie mogłem sobie z tym dać rady. Wreszcie znajdowałem się na najlepszej drodze do zostania współnikiem Joego i narzeczoną Biddy, gdy nagle jakieś wspomnienie miss Havisham i jej domu spadało na mnie jak pocisk i rujnowało wszystko na nowo. Długo musiałem potem walczyć, by zebrać zmuzyony umysł. Niekiedy, zanim mi się to udało, traciłem znowu przytomność i wyobrażałem sobie, że może miss Havisham ofiaruje mi majątek, gdy skończę termin.

Może gdybym doprowadził do końca terminowanie, uspokoiłbym się, ale niespodziewane wypadki, o których opowiem, przerwały moją naukę w kuźni.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Było to w czwartym roku mego terminowania u Joego, w sobotni wieczór. Wokół kominka w gospodzie „Pod Trzema Wesołymi Przewoźnikami zebrała się gromadka ludzi, przysłuchiwali się, jak Mr. Wopsle na głos odczytuje gazetę. I ja również znajdowałem się wśród zebranych.

Właśnie popełniono głośną zbrodnię i Mr. Wopsle kąpał się po uszy we krwi. Rozkoszował się po prostu szczegółami morderstwami kolejno wcielał w każdego ze świadków zbrodni. Jęczał z cicha: „Już koniec ze mną głosem ofiary i ryczał nieludzko: „Już ja się z tobą porachuję! głosem mordercy. Wygłaszał ekspertyzę lekarską naśladując głos naszego wioskowego lekarza i do tego stopnia drżał i bełkotał starczym głosem jako staruszek i dozorca przy rogatce, który słyszał odgłosy strzałów, że uważano go za paralityka i wątpiono już o sprawności jego władz umysłowych. Sędzia przemieniał się pod wpływem wymowy Mr. Wopsle’a w Tymona Ateńczyka, woźny sądowy w Koriolana. Bawił się doskonale i my razem z nim i tak rozbawieni dotarliśmy do wyroku, który brzmiał: morderstwo z premedytacją.

Dopiero w tym momencie spostrzegłem jakiegoś nieznajomego, który siedząc naprzeciwko mnie przyglądał mi się uważnie. Na twarzy jego malowała się pogarda, gdy gryząc wskazujący palec dłoni robił uważny przegląd twarzy wszystkich obecnych.

- No, i cóż - zagadnął nieznajomy, gdy Mr. Wopsle skończył czytanie - wszystko skończyło się tak, jakeście sobie życzyli?

Wszyscy obecni zadrżeli, jak gdyby mieli przed sobą mordercę, a on spoglądał zimno i ironicznie.

- No, co? - spytał. - Winien według was? Tak? Gadajcie!

- Panie - odparł Mr. Wopsle - mimo że nie mam przyjemności znać pana, zmuszony jestem odpowiedzieć twierdząco: tak, winien...

Na te słowa wszyscy nabraliśmy odwagi i potwierdziliśmy je zgodnym poMr.ukiem.

- Wiem, że tak uważacie - oświadczył nieznajomy - wiedziałem o tym i przedtem. Ale pozwólcie, że zadam wam jedno pytanie. Czy wiecie, iż prawo w Anglii uważa człowieka dopóty za niewinnego, dopóki nie dowiedzie mu się winy?

- Panie - odparł Wopsle - ja sam jako Anglik...

- Za pozwoleniem - przerwał mu nieznajomy wskazując na niego palcem - proszę nie odbiegać od tematu. - Wiecie to czy nie wiecie?

Stał tak naprzeciw Mr. Wopsle'a z głową przekrzywioną na bok i groził palcem, który za chwilę miał znowu obgryzać.

- No, więc, wie pan o tym czy nie wie?

- Oczywiście, że wiem - oznajmił Wopsle.

- Oczywiście pan wie, więc czemu nie powiedział pan tak od razu? A teraz pozwól pan, że zadam mu drugie pytanie - zaczął, jak gdyby miał prawo tak zawładnąć Mr. Wopslem - czy wiadomo jest panu, że żadnego ze świadków nie poddano śledztwu? Nic, tylko jedno słowo niech pan powie: tak czy nie?

Mr Wopsle zaczął:

- Mogę jedynie stwierdzić, że... Nieznajomy przerwał mu znowu:

- Nie chce mi pan krótko odpowiedzieć, tak lub nie? - Tu wyciągnął ku niemu karcący palec - czy wie pan, że nie było śledztwa? Czy pan tego nie wie?

Mr Wopsle się zawahał, a my wszyscy zaczęliśmy mieć o nim trochę gorsze niż dotychczas zdanie.

- No, więc - ciągnął nieznajomy - pomogę panu, chociaż nie wart pan jest mojej pomocy. Niech pan spojrzy na arkusz, który pan trzyma w ręku. Co to jest?

- Co to jest? - powtórzył Mr. Wopsle patrząc na niego zmieszany.

- Tak, co to jest - zawtórował nieznajomy najbardziej ironicznym tonem - to jest gazeta, z której pan przed chwilą czytał sprawozdanie z procesu?

- Bez wątpienia. A teraz zajrzyj pan do tej gazety i powiedz, czy tam nie napisano, iż oskarżony wyznał, że jego doradcy prawni radzili mu powstrzymać się od wygłoszenia swej obrony?

- Właśnie to czytam - bronił się Wopsle.

- Nic mnie to nie obchodzi, co pan teraz czyta, panie, nie o to pana pytałem. Może pan sobie czytać, jeśli się panu podoba, modlitwę Pańską od końca do początku, a co mnie do tego? Niech pan odwróci stronę w gazecie. Nie, nie, nie, mój przyjacielu, nie u góry stronicy, pan wie sam doskonale, że to jest u dołu (wszyscy zaczęliśmy myśleć o Mr. Wopsle'u podejrzliwie). No co, znalazł pan?

- Tak, znalazłem - przyznał Mr. Wopsle.

- Więc niech pan przeczyta i powie, czy nie napisano tam, że oskarżony wyznał, iż jego doradcy prawni radzili mu powstrzymać się od obrony? Tak czy nie?

- Dosłownie tu nie jest tak napisane - zaprzeczył Mr. Wopsle.

- Słowa może nie są te same, ale treść... - powiedział nieznajomy z goryczą. - Treść ta sama? Tak?

- Tak - potwierdził Wopsle.

- A więc tak - krzyknął nieznajomy wyciągając znowu karcącą dłoń do Wopsle'a - jak może wobec tego człowiek, który miał ten urywek przed oczyma, ze spokojnym sumieniem przyłożyć głowę do poduszki potępiwszy tego, kto nie wygłosił swej obrony?

Wszyscy zaczęliśmy nabierać pewności, że Mr. Wopsle nie jest człowiekiem, za którego mieliśmy go dotychczas.

- I ten sam człowiek - ciągnął nieznajomy wskazując znowu na Wopsle'a - pokalawszy swoje sumienie mógłby zasiadać wśród przysięgłych na tymże sądzie i udać się na łono rodziny, położyć spokojnie głowę na poduszce i zapomnieć o złożonej przysiędze, że będzie uczciwie wypełniał obowiązki, nałożone mu przez jego królewską mość naszego monarchę w stosunku do oskarżonego stojącego przed sądem, i że wyda werdykt zgodnie ze swoim sumieniem. Niechże Bóg ma go w swojej opiece!

Byliśmy w tej chwili wszyscy głęboko przekonani, że nieszczęsny Mr. Wopsle posunął się już za daleko i że najwyższy czas, by wreszcie zatrzymał się na swej haniebnej drodze.

Dziwny jegomość z taką miną, jak gdyby na wskroś znał tajemnice każdego z nas i jak gdyby od niego zależało odkrycie ich przed światem, wstał ze swego miejsca i stanął bliżej kominka z jedną ręką w kieszeni a drugą przy ustach i dalej obgryzał wskazujący palec.

- Zgodnie z wiadomościami, których mi dostarczono - zauważył patrząc na nas okropnym wzrokiem - jest wśród was kowal nazwiskiem Józef czy też Joe Gargery. Który to?

- To ja - odezwał się Jõe.

Nieznajomy skinął na niego palcem. Joe wstał.

- Słyszałem, że ma pan terminatora imieniem Pip? Czy jest tutaj?

- Jestem! - zawołałem.

Jegomość mnie nie poznał, ale ja w tej chwili rozpoznałem w nim nieznajomego, którego spotkał na schodach u miss Havisham podczas mojej drugiej u niej wizyty. Tak, teraz byłem pewien, że to on. I kiedy stał opierając dłoń o moje ramię, poznawałem doskonale jego wielką głowę, ciemną cerę, oczy głęboko osadzone pod ciemnymi krzaczastymi brwiami, ciężki łańcuch zegarka, ciemne plamy zamiast brody i bokobrodów, a nawet zapach mydła bijący od jego dużej dłoni.

- Chciałbym z wami dwoma porozmawiać na osobności - oświadczył napatrzywszy się na mnie. - Może to nieco dłużej potrwać, więc lepiej, żebyśmy poszli do waszego mieszkania. Nie chciałbym mieć świadków tego, co powiem. Jeżeli potem zechcecie opowiedzieć o tym waszym przyjaciołom, to już nie moja sprawa.

W zdumiewającym milczeniu opuściliśmy oberżę i równie milcząc przez całą drogę udaliśmy się do domu. Nieznajomy przyglądał mi się bacznie, gryząc palec. Gdy znaleźliśmy się przed domem, Joe uważając zapewne, że to uroczysta okazja, pobiegł naprzód i otworzył frontowe drzwi. Rozmowa nasza odbyła się w bawialni słabo oświetlonej jedną świecą.

Zrazu nieznajomy przysunął do siebie świecę i długo szukał przy jej blasku notatek w swym notesie. Potem znalazł to, czego poszukiwał, schował notes do kieszeni, odsunął świecę na miejsce i przebijając wzrokiem ciemności zdawał się badać, kto z nas dwu jest Joem, a kto mną.

- Nazwisko moje Jaggery - przedstawił się po chwili - jestem adwokatem w Londynie i to prawnikiem bardzo znanym. Interes, który mnie do was sprowadza, jest niezwykle i od razu chcę wam powiedzieć, że nie ja rzecz zainicjowałem. Przeciwnie, gdyby mnie pytano o zdanie, odradzałbym podobną decyzję. Ale nikt mnie nie pytał o zdanie, więc jestem. Działam jedynie jako czyjś pełnomocnik. To wszystko.

Uważając widocznie, że niezbyt dobrze nas widzi ze swego miejsca, zerwał się. Przełożył nogę przez poręcz krzesła i mając jedną nogę w ten sposób na podłodze, a drugą opierając o krzesło, wpatrywał się w nas badawczo.

- A teraz, Józefie Gargery, mam dla pana pewną propozycję. Chodzi o to, byś pan zwolnił tego chłopca z terminu. Czy będzie pan przeciwny unieważnieniu waszego kontraktu dla dobra tego, chłopca? Czy żąda pan odszkodowania za to unieważnienie?

- Niechże mnie Bóg zachowa, bym stał na przeszkodzie Pipowi - odpowiedział Joe oburzony.

- „Niech Bóg zachowa to bardzo pobożne powiedzenie, ale całkiem nic nie ma do rzeczy - odparł Mr. Jaggery - w tym sęk, czy pan żąda czegoś w zamian?

- Odpowiedź brzmi: nie! - podkreślił Joe surowo.

Zdawało mi się, że Mr. Jaggery spojrzał na Joego jak na głupca, który bawi się w bezinteresowność, ale zbyt byłem przejęty ciekawością, co się ze mną stanie, by się nad tym zastanawiać.

- Doskonale - oznajmił Mr. Jaggery - niech pan sobie dobrze zapamięta to, co pan powiedział, i niech pan nigdy do tego nie próbuje powracać.

- A kto myśli do tego powracać? - spytał Joe.

- Nie twierdzę, że ktoś myśli, tylko mówię, by pan nie powracał. Czy ma pan psa?

- Tak, mam psa.

- To niech pan sobie zapamięta, że Pycha to dobry pies, ale Mieszek jeszcze lepszy. - Niech pan to zapamięta, dobrze? - powtórzył Jaggery przymykając oczy i kiwając głową do

Joego w taki sposób, jak gdyby coś mu wybaczał. - A teraz powracam da tego oto młodego człowieka. Chcę mu zakomunikować, że ma przed sobą wielkie nadzieje.

Joe i ja spojrzeliśmy po sobie zdumieni.

- Mam mu zakomunikować - tu pokazał na mnie palcem - że wejdzie w posiadanie ładnego majątku i że życzeniem dotychczasowego właściciela tego majątku jest, aby natychmiast usunąć chłopca ze sfery, w której dotychczas przebywał, i przenieść da środowiska odpowiadającego stanowi pańskiemu, godnego młodzieńca o wielkich nadziejach.

Skończyło się marzenie: rzeczywistość przewyższyła najśmielsze fantazje. Miss Havisham miała obdarować mnie wielkim losem.

- A teraz, panie Pip, zwracam się z tym, co mi pozostaje jeszcze do powiedzenia, do pana. Powinien pan wiedzieć, że osoba, która obdarza pana majątkiem, życzy sobie, aby pan zawsze nosił nazwisko Pip. Nie będzie pan miał chyba żadnych zastrzeżeń co do tego łatwego warunku, za jaki kupuje pan swe wielkie nadzieje. Jeżeli jednak ma pan jakieś zastrzeżenia, to proszę je zaraz wyłuszczyć.

Serce biło mi tak mocno i tak szumiało mi w uszach, że m zaledwie wybąkał, iż nie mam żadnych zastrzeżeń.

- Spodziewam się, że pan nie ma - powiedział Jagers. - A teraz chciałbym, aby pan zrozumiał, panie Pip, że nazwisko osoby, która jest pana hojnym dobroczyńcą, musi pozostać w całkowitej tajemnicy aż do chwili, gdy zechce je ona panu ujawnić. Jestem upoważniony do zawiadomienia pana, że osoba ta życzy sobie w przyszłości sama ustnie panu odkryć tę tajemnicę. Kiedy i czy kiedykolwiek to się stanie, nie mogę panu wyjaśnić i nikt tego nie wie. Może po latach. Teraz rozumie już pan chyba, że nie wolno panu przeprowadzać żadnego śledztwa w tym kierunku, nie wolno panu robić żadnych aluzji do osoby dobroczyńcy pana w korespondencji czy też w rozmowach ze mną. Jeżeli w głębi duszy podejrzewa pan kogoś, niechże to podejrzenie pozostanie w pańskim sercu. To obojętne, jakie są przyczyny takiego warunku, obojętne, czy podyktowały go przyczyny ważne i konieczne, czy też zwykły kaprys. To nie pańska sprawa. Warunek został postawiony. Pan powinien go przyjąć, a przyjąwszy, dotrzymać. Tego wymaga osoba, w której imieniu przemawiam. Tajemnica zostanie zachowana pomiędzy mną a tą osobą, która stwarza pańskie wielkie nadzieje. I znowu warunek nie jest chyba trudny, ale jeżeli pan ma jakieś zastrzeżenia, proszę zaraz z nimi wystąpić. I raz jeszcze wyjąkałem z trudem, że nie mam zastrzeżeń.

- Spodziewałem się tego. A teraz, panie Pip, skończyłem już z warunkami.

Mimo iż nazywał mnie panem Pip i robił wrażenie, jak gdyby zaczynał się ze mną liczyć, to jednak w jego tonie, w ironicznym przyMr.uzeniu powiek, wskazywaniu na mnie palcem było coś, co mogłoby nasunąć myśl, że mną pogardza i że wie o mnie coś złego.

- A teraz przejdziemy do szczegółów pańskiej przyszłości. Musi pan wiedzieć, iż mimo, że mówiłem tu o „nadziejach, czeka pana coś więcej niż nadzieja na przyszłość. Otrzymałem już pewną sumę przeznaczoną na pana wykształcenie i utrzymanie. Proszę, niech pan mnie traktuje jak swego opiekuna. Och... - przerwał, gdy chciałem mu dziękować - już raz powiedziałem, że jestem opłacany za usługi, inaczej bym panu ich nie wyświadczał. Jasne, że musi pan otrzymać wykształcenie odpowiednie do pana obecnej pozycji.

Odpowiedziałem, że zawsze o tym marzyłem. - To nieważne, o czym pan zawsze marzył, panie Pip - odparł - ważne jest, czy teraz pan tego pragnie i czy gotów pan Jest natychmiast przejść pod tę opiekę.

Wyjąkałem, że tak.

- Dobrze. A teraz chcę wiedzieć, do czego pan ma zamiłowanie. Ja osobiście sądzę, że to bez znaczenia, ale takie otrzymałem polecenie. Czy ma pan jakiegoś profesora, u którego chciałby pan szczególnie studiować?

Ponieważ nie znałem innych profesorów, prócz ciotecznej babki Mr. Wopsle'a i Biddy, odparłem, że nie.

- Jest taki jeden znany mi profesor, który może mógłby panem się zająć - podsunął Mr. Jagers - nie polecam go, proszę sobie to zapamiętać. Bo nigdy nikogo nie polecam. Pan, o którym mówię, nazywa się Mateusz Pocket.

- Ach - aż podskoczyłem na to nazwisko. Krewny miss Havisham. Mateusz, o którym mówili Kamilla i jej mąż, Mateusz, który miał stać u wezgłowia miss Havisham, gdy będzie leżała martwa w ślubnej sukni na weselnym stole.

- Zna pan to nazwisko? - spytał Mr. Jagers przymykając powieki w oczekiwaniu odpowiedzi.

Brzmiała ona, że znam to nazwisko.

- Ach, słyszał pan je? Ale ja pytam, co pan sądzi o tym człowieku?

Wyjąkałem, że jestem bardzo wdzięczny Mr. Jagersowi za polecenie mi...

- Nie, mój młody przyjacielu - przerwał kręcąc powoli głową - opamiętaj się.

Nie opamiętawszy się zacząłem na nowo, że jestem mu wdzięczny za polecenie mi...

- Nie, nie - przeszkodził mi znowu, energicznie trzęsąc głową z uśmiechem - niestosownego słowa pan używa. Ja nie poleciłem nikogo... Niech pan to powie inaczej.

Poprawiwszy się powiedziałem więc, że wdzięczny jestem za wspomnienie mi o Mr. Mateuszu Pocket...

- To już lepiej... - pochwalił pan Jagers.

- I (dodałem) chętnie spróbuję opieki tego pana.

- Dobrze. Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli pozna go pan u mego w domu. Poczynię odpowiednie przygotowania i najpierw zobaczy się pan z jego synem, który jest w Londynie. Kiedy przyjedzie pan do Londynu?

Odparłem patrząc na stojącego nieruchomo Joego, że mógłbym zaraz jechać.

- Najpierw musi pan sobie sprawić nowe ubranie i to nie robocze - zauważył Jagers - powiedzmy więc od dziś za tydzień. Czy trzeba panu pieniędzy? Zostawić panu dwadzieścia gwinei?

Wyciągnął długą sakiewkę i obojętnie odliczywszy pieniądze posunął je ku mnie. W tej chwili po raz pierwszy zdjął nogę z krzesła. Usiadł teraz na nim okrakiem i odezwał się patrząc na Joego i kołyszając sakiewkę:

- Cóż, Józefie Gargery? Ma pan zmieszaną minę.

- Jestem zmieszany - oświadczył Joe zdecydowanym tonem.

- Zostało postanowione, że nie żąda pan żadnego odszkodowania, tak? Pamięta pan o tym?

- Tak, pamiętam i będę zawsze pamiętał - odparł Joe.

- Ale co by pan powiedział - spytał Mr. Jagers kołyszając sakiewkę - gdybym miał polecenie wypłacenia panu pewnej sumy jako wyrównania...

- Wyrównania? Czego? - nie rozumiał Joe.

- Wyrównania straty, jaką pan ponosi wskutek odejścia czeladnika.

Joe oparł dłoń o moje ramię z kobiecą delikatnością. Często myślałem o tym, że ręka jego, która potrafi uderzać z siłą młota, umie jednocześnie zmiażdżyć człowieka i nie uszkodzić skorupy jaja. Było w nim połączenie siły i łagodnej słodyczy.

- Jestem szczęśliwy, z całego serca winszuję Pipowi dobrego losu - mówił Joe - ale jeżeli pan myśli, że może pieniędzmi zapłacić mi wyrównanie za stratę tego chłopca, który był małym dzieckiem... jak przyszedł do kuźni... i zawsze był mi najlepszym przyjacielem...

O, dobry drogi Joe, którego tak lekko gotów byłem opuścić i wobec którego okazałem się tak bardzo niewdzięczny! Widzę cię jeszcze, jak muskularnym kowalskim ramieniem zasłaniaś sobie oczy, słyszę, jak dyszy twoja pierś i jak zamiera ci głos. O, drogi, dobry, wierny i delikatny Joe, czuję pełne miłości drżenie twojej ręki na moim ramieniu i twoje dotknięcie wydaje mi się dzisiaj tak wzniosłe jak muśnięcie anielskich skrzydeł.

Ale w owej chwili jedynie pocieszałem Joego. Zagubiony na szlakach mej przyszłej fortuny nie potrafiłem powrócić na ścieżki, jakie przemierzyliśmy razem z Joem. Prosiłem więc Joego, by się pocieszył, gdyż (jak to sam powiedział) zawsze byliśmy najbliższymi przyjaciółmi i (jak to ja powiedziałem) na zawsze nimi pozostaniemy. Joe potarł oczy wolną pięścią z taką siłą, jak gdyby chciał się oślepić, ale nie wyrzekł ani słowa.

Mr Jagers patrzył na tę scenę, jak gdyby Joe był „głupim Jasiem wioskowym, a ja jego dozorcą. Gdyśmy skończyli, oświadczył kołyszac sakiewką w dłoni, jak gdyby ją ważył:

- No, Józefie Gargery, ma pan ostatnią szansę. Ja nie uznaję półśrodków. Jeżeli chce pan otrzymać dar, który polecono mi panu wręczyć, niech pan powie, a będzie go pan zaraz miał. Jeżeli jednak pan ma zamiar powiedzieć...

Tu urwał zdumiony atakiem Joego.

Bo Joe zakręcił się wokół niego z taką miną, jak gdyby miał mordercze myśli.

- Mam zamiar powiedzieć tylko tyle, że jeżeli pan podchodzi do mnie z tym, żeby mnie drażnić jak byka, to niech pan sobie nie żałuje. Mam zamiar powiedzieć, że jeżeli jest pan mężczyzną, to niech pan zaczyna, proszę. I mam zamiar powiedzieć, że mówię to, co myślę, i zawsze będę mówił!

Odciągnąłem Joego na bok. Uspokoił się natychmiast, ale dodał jeszcze, że nie ma zamiaru dać się zadźgać we własnym domu jak byk, którego przedtem drażnił. Pan Jagers, który zerwał się z miejsca przy pierwszych słowach Joego, był już teraz przy drzwiach i nie zamierzał wracać. Rzucił tylko na odchodnym:

- Więc, panie Pip, wydaje mi się, że im prędzej opuści pan ten dom, tym lepiej będzie dla pana jako młodzieńca wyższych sfer. Więc od dzisiaj za tydzień, a przez ten czas otrzyma pan mój drukowany adres. Po przybyciu do Londynu może pan na stacji dylizansów wziąć dorożkę i przyjechać wprost do mnie do domu. Niechże pan zrozumie, że ja nie wyrażam żadnej opinii o tym, co się dzieje. Poruczono mi misję i wykonuję ją. Nic więcej. Niech pan to wreszcie zrozumie.

Groził nam obu palcem i sądzę, że mówiłby jeszcze dłużej, gdyby Joe nie wydawał mu się niebezpieczny. Wreszcie poszedł.

Przyszło mi nagle do głowy coś, o co musiałem spytać Mr. Jagersa. Pobiegłem więc za nim do gospody „Pod Trzema Przewoźnikami, gdzie pozostawił swój wynajęty powóz.

- Przepraszam pana, Mr. Jagers.

- Hallo - odparł - co się stało?

- Chciałbym być całkiem w porządku, Mr. Jagers, i słuchać pańskich wskazówek, więc zdawało mi się, że lepiej będzie pana spytać. Czy byłoby w tym coś niewłaściwego, gdybym poszedł się pożegnać przed wyjazdem z kimś z tutejszych mieszkańców?

- Nie - odparł patrząc na mnie, jak gdyby niedostatecznie rozumiał moje pytanie.

- Ale ja nie myślę o nikim tu we wsi, tylko o kimś w miasteczku? - wyjaśniłem.

- To wszystko jedno - odparł - nie widzę w tym nic niestosownego.

Podziękowałem mu i pobiegłem do domu, gdzie Joe zdążył już zaryglować frontowe drzwi i sprzątnąć bawialnię. Siedział w kuchni przy kominku opierając na kolanach dłonie i patrzył na żarzące się węgle. Przez długą chwilę panowało milczenie.

Siostra moja leżała w wymoszczonym poduszkami fotelu w kącie kuchni, Biddy robiła na drutach przy kominku, Joe siedział przy Biddy, ja obok Joego w kącie naprzeciw kącika mej siostry. Im dłużej patrzyłem w żar węgla, tym trudniej mi było spojrzeć na Joego, tym bardziej ciążyła mi cisza i tym mocniej czułem, że nie jestem w stanie przemówić.

Wreszcie odezwałem się:

- Joe, czyś mówił Biddy?

- Nie, Pip - zaprzeczył Joe, wciąż patrząc w Ogień i ściskając tak mocno kolana, jak gdyby dowiedział się, że mają zamiar uciekać - powiedz jej sam, Pip.

- Wolałbym, żebyś ty powiedział, Joe.

- Pip jest teraz bogatym panem - oznajmił Joe - i Bóg niech go ma w swej opiece.

Biddy porzuciła robotę i spojrzała na mnie. Joe ścisnął znowu kolana i także patrzył na mnie. Ja spoglądałem na nich oboje. Po chwili powinszowali mi serdecznie, ale w głosie ich wyczułem nutę smutku i miałem im to trochę za złe. Staralem się teraz zawiadomić Biddy, a za jej pośrednictwem Joego, że obowiązuje ich, tak jak mnie, całkowita tajemnica co do osoby mego dobroczyńcy. Objaśniłem, że w swoim czasie wszystko się wyjaśni, ale teraz wiadomo tylko, że czekają mnie wielkie nadzieje dzięki dobroci tajemniczego opiekuna.

Biddy wzięła znowu swą robotę i kręcąc głową przyrzekła, że będzie bardzo dyskretna, a Joe wciąż ściskając i przytrzymując, kolana obiecał:

- Ojjoj, Pip, i ja będę bardzo dyskretny...

Potem winszowali mi znowu i tak bardzo dziwili się, iż będę panem, że nawet zrobiło mi się nieprzyjemnie.

Biddy zadała sobie teraz wiele trudu, by zawiadomić o tym, co się stało, moją siostrę. Ale jak mi się zdawało, wysiłki te pozostały płonne. Siostra śmiała się, kiwała głową i nawet powtarzała po Biddy słowa: „Pip i „Majątek, ale nie sądzę, by wyrazy te miały większe znaczenie niż okrzyki podczas walki wyborczej. Stan jej umysłu był przerażająco ciemny.

Nigdybym nie uwierzył temu, gdybym sam tego nie przeżył, ale w miarę jak Joe i Biddy odzyskiwali dobre humory, mnie robiło się coraz to smutniej. Nie mogłem być przecież niezadowolony z mej świetnej fortuny, ale być może byłem, sam o tym nie wiedząc, niezadowolony z samego siebie.

W każdym razie siedziałem przed kominkiem z łokciem opartym o kolana i twarzą wspartą na dłoni, gdy tamci dwoje rozmawiali o tym, co będzie, gdy odejdę, co beze mnie zrobią i o wszystkim innym. Ilekroć chwytałem spojrzenie któregoś z nich (spoglądali na mnie często - zwłaszcza Biddy), czułem się urażony, gdyż wyobrażałem sobie, że patrzą na mnie z wyrzutem. Bóg jeden wie, że tak nie było.

W takich chwilach wstawałem i szedłem ku drzwiom szeroko otwartym na dwór, gdyż nasze kuchenne drzwi zawsze stały otworem w ciepłe letnie wieczory, by wpuścić więcej powietrza. Wznosiłem oczy ku gwiazdom, ale obawiam się, że gwiazdy wydały mi się nędzne, gdyż oświetlały tylko nasze ubogie, wiejskie: przedmioty, wśród których spędziłem życie.

- Sobota wieczór - powiedziałem, gdyśmy siedzieli przy kolacji składającej się z chleba z serem i piwa - potem jeszcze pięć dni i już będzie dzień przed moim wyjazdem. To prędko minie.

- Tak, Pip - zgodził się Joe, którego głos brzmiał głucha nad kuflem piwa - to prędko minie.

- Prędko, prędko minie - potwierdziła Biddy.

- Myślę, Joe, że kiedy pójdę w poniedziałek do miasta do krawca zamówić sobie ubranie, to poproszę go, abym mógł przed wyjazdem ubrać się u niego albo u wuja Pumblechooka. Nie chciałbym, aby się na mnie wszyscy gapili.

- Państwo Hubble bardzo chcieliby cię zobaczyć w twojej pańskiej postaci, Pip - powiedział Joe zręcznie krając chleb z serem, położony na płask na jego otwartej, lewej dłoni i patrząc na moją nietkniętą kolację, jak gdyby przypominał sobie czasy, gdyśmy porównywali nasze porcje chleba. - I Mr. Wopsle, a ludzie „Pod Wesołymi Przewoźnikami” poczytywaliby to sobie za zaszczyt.

- Właśnie tego nie chcę, Joe - oświadczyłem - zrobiliby z tego taką historię, taką ordynarną historię, że nie zniósłbym tego.

- No, jeżeli tak, Pip, jeżeli nie zniósłbyś tego...

Biddy spytała mnie trzymając talerz przed moją siostrą:

- A czyś pomyślał o tym, kiedy pokażesz się panu Gargery i twojej siostrze, i mnie? Bo przecież nam się pokażesz, prawda, Pip?

- Biddy - odparłem nieco niezadowolony - trudno za tobą nadążyć, taka jesteś prędką.

- Zawsze była prędką - zgodził się Joe)

- Gdybyś mnie spokojnie wysłuchała do końca, Biddy, dowiedziałabyś się, że mam zamiar przynieść tutaj moje ubranie w zawiniątku pewnego wieczora i przymierzyć je wobec was. Najlepiej może w wilię mego wyjazdu.

Biddy nic nie odpowiedziała, a ja grzecznie przebaczywszy jej, rzuciłem mile dobranoc Joemu i jej i poszedłem spać.

Kiedy znalazłem się sam w moim małym pokoiku, przyjrzałem mu się uważnie i pomyślałem, że wkrótce już opuszczę to nędzne mieszkanie i wzniosę się wyżej. I to na zawsze. A mimo to pokój ten był pełen młodzieńczych świeżych wspomnień i czułem, że uczucia moje są podzielone pomiędzy tę izdebkę a bogate pokoje, które mnie czekają, tak samo, jak często podzielone były pomiędzy kuźnię a dom miss Havisham, pomiędzy Biddy a Estellę.

Pokój mój był nagrany od słońca, które przez dzień cały świeciło na daszek mansardy, i kiedy podszedłem do okna, by je otworzyć, ujrzałem Joego, który wyszedł na dwór. Biddy podała mu fajkę i zapaliła mu ją. Wiedziałem, że Joe nigdy o tej porze nie pali i przyszło mi do głowy, że może się chce w ten sposób pocieszyć z jakiegoś powodu.

Joe stał teraz tuż przede mną przy drzwiach na dworze i palił fajkę, Biddy znajdowała się obok niego. Rozmawiali zapewne o mnie, bo słyszałem wymawiane moje imię. Wymawiali je czule. Gdybym nawet mógł usłyszeć słowa, nie chciałbym słuchać. Cofnąłem się do pokoju i usiadłem na krześle przy łóżku. Myślałem, jakie to dziwne, że pierwsza noc mojej fortuny jest jednocześnie najbardziej smutną z moich nocy.

Przez okno widziałem w Mr.oku blask fajeczki Joego i pomyślałem, że to jest jak gdyby jego błogosławieństwo - z daleka, nie chcąc mi się narzucać, błyska w powietrzu, którym obaj oddychamy. Zgasłem światło i wsunąłem się do łóżka. Ale nie wydawało mi się teraz wygodne i nigdy już nie potrafiłem zasnąć w nim tak głęboko jak dawniej.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Ranek przyniósł całkowitą zmianę w moim usposobieniu i rzucił zupełnie inne światło na moje plany życiowe. Najmocniej tkwiło w moim umyśle przeświadczenie, że zaledwie sześć dni dzieli mnie od wyjazdu. Lękałem się nieustannie, że przez ten czas coś może się zmienić w Londynie i nieledwie byłem przekonany, że gdy przybędę do tego miasta, okaże się, że zostało zburzone lub że zniknęło z powierzchni ziemi. Joe i Bidy zachowywali się bardzo miło, gdy wspominałem o moim wyjeździe, ale nigdy sami nie zaczynali o tym rozmowy. Po śniadaniu Joe przyniósł dokument mojego kontraktu i wrzucił go w ogień kominka. Dopiero wtedy poczułem się wolny. Po śniadaniu, też pełen nowych myśli, poszedłem z Joem do kościoła i myślałem, że może gdyby proboszcz wiedział o wszystkim, opuściłby przy czytaniu znany nam urywek o bogaczu w królestwie niebieskim.

Po wczesnym obiedzie wyszedłem sam na przechadzkę postanawiając raz na zawsze pożegnać się z bagniskami i okolicą.

Gdy przechodziłem obok kościoła, ogarnęło mnie współczucie (którego doznawałem już rano na nabożeństwie) dla tych wszystkich biednych istot, które muszą przez całe życie niedziela po niedzieli bywać w tym kościele, a po śmierci leżeć wśród zielonych pagórków na tutejszym cmentarzu. Postanowiłem sobie, że muszę w przyszłości coś dla nich zrobić, i ułożyłem sobie plan, że każdy z mieszkańców wioski zostanie przeze mnie zaproszony na obiad składający się z porcji rostbefu, puddingu ze śliwek i szklanki piwa oraz mnóstwa łaskawości.

Już dawniej niekiedy myślałem ze wstydem o mojej znajomości ze zbiegłym bandytą, którego widziałem kulejącego wśród grobów cmentarza. Teraz wstyd ten był jeszcze dotkliwszy. Czułem go owej niedzieli silnie, gdy mijał to miejsce, w którym widziałem zbiega drżącego w łachmanach, ze śladami kajdan na nodze. Pocieszała mnie jedynie myśl, że było to już dawno i że galernik zapewne nie żyje, a w każdym razie dla mnie umarł na zawsze.

Już nigdy więcej nie ujrzę tych ziem nizinnych i wilgotnych, tych tam i słuz, tego ponurego bydła pasącego się na bagniskach - chociaż dzisiaj wydawało mi się, że posępne spojrzenia zwierząt wyrażają więcej szacunku dla kogoś, kto żywi tak wielkie nadzieje. Żegnajcie, jednostajnie monotoni towarzysze mego dzieciństwa, przede mną jest Londyn i wielkość. Dla niego i dla niej jestem stworzony, a nie dla pracy w kuźni! Pełnym zachwytem

krokiem doszedłem do starej twierdzy i położywszy się, tak długo myślałem o tym, czy też miss Havisham przeznacza mnie dla Estelli, dopóki nie zasnąłem.

Byłem bardzo zdziwiony, gdym po przebudzeniu się ujrzał siedzącego obok mnie i palącego fajkę Joego. Uśmiechnął się do mnie serdecznie i powiedział:

- To już ostatni raz, Pip, więc poszedłem za tobą.

- Jestem rad, że cię widzę, Joe.

- Dziękuję, Pip.

- Możesz być pewien, Joe - oświadczyłem, gdyśmy sobie uścisnęli ręce - że nigdy ciebie nie zapomnę.

- Nie, nie, Pip - odparł Joe takim tonem, jak gdyby to on mnie pocieszał - nigdy mnie nie zapomnisz. Jestem tego pewien. Wystarczy, gdy dobrze sobie to zakarbujesz w głowie, a na pewno tak będzie. Ale ta zmiana nie będzie taka łatwa. Przyszło to na ciebie jak nawałnica, co?

Nie podobało mi się, że Joe tak bardzo był od razu mnie pewien. Wolałbym, żeby powiedział coś w rodzaju „To ci przynosi zaszczyt, Pip. Ale nie odpowiedziałem nic na pierwszą część jego twierdzenia, a co do drugiej odparłem, iż istotnie stało się to nagle, ale że zawsze pragnąłem być panem i często układałem sobie, co będę robił, gdyby się tak miało stać.

- Tak myślałeś? - zdziwił się Joe - to zdumiewające!

- Szkoda, Joe, żeś więcej nie skorzystał z naszych lekcji, dopóki tu byłem - zauważyłem.

- Widzisz, nie wiem, czemu jestem taki tępy - odparł Joe - widocznie umiem robić tylko moją robotę. Zawsze żałowałem, że taki tępy, ale nie mam powodu dzisiaj martwić się z tej przyczyny więcej niż przed dwunastu miesiącami na przykład.

Mówiąc to miałem na myśli fakt, że kiedy się zбогаć i będę chciał pomóc Joemu, to lepiej byłoby, aby okazał się bardziej przygotowany do poprawy losu. Ale on tak dalece nie podejrzewał nic podobnego, że postanowiłem raczej zwierzyć się z tej myśli Biddy.

Toteż kiedy wróciliśmy do domu i zjedliśmy podwieczorek, zaraz po herbacie zaciągnąłem Biddy do naszego małego ogródka przy łące i pochlebiwszy jej najpierw zapewnieniem, że nie zapomnę jej nigdy, wyznałem, że mam do niej prośbę.

- Chciałem cię prosić, Biddy, abys zajęła się trochę Joem.

- Jak mam się nim zająć? - spytała Biddy patrząc jakoś dziwnie na mnie.

- Widzisz, Joe to dobry chłop, najlepszy chyba ze wszystkich, jakich znam. Ale jest okropnie nieokrzesany. W zachowaniu się, no i w nauce, Biddy. - Mimo że mówiąc patrzyłem na Biddy i mimo że ona miała oczy szeroko otwarte, nie spojrzała na mnie.

- W zachowaniu się? - powtórzyła zrywając liść czarnej porzeczki - a cóż ci przeszkadza jego zachowanie się?

- Zrozum, Biddy, ono jest może dobre tutaj...

- Ach, dobre tutaj - powtórzyła Biddy przyglądając się listkowi porzeczki, który trzymała w dłoni.

- Wysłuchaj mnie... gdybym chciał, kiedy się zбогаć, podnieść Joe'go do wyższych sfer, w których będę przebywał, to tam nie uznano by jego zachowania się.

- A czy nie pomyślałeś, że on to wie doskonale? - spytała Biddy.

Pytanie było tak wyzywające (gdyż tego rodzaju przypuszczenie nie przyszło mi nigdy do głowy), że spytałem tylko:

- Biddy, co masz na myśli?

Biddy roztarła na dłoni liść (i odtąd zapach czarnej porzeczki na zawsze pozostał dla mnie związany z owym niedzielnym wieczorem w naszym małym ogródku) i zagadnęła:

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że on może mieć swoją dumę?

- Dumę? - powtórzyłem z akcentem lekceważenia.

- O, są rozmaite rodzaje dumy - mówiła Biddy patrząc na mnie i potrząsając głową - duma nie zawsze bywa jednakowa...

- No, czemu przerwałaś? - spytałem.

- Nie zawsze jest jednakowa - ciągnęła Biddy - może być duma, nie pozwalająca człowiekowi opuścić pracy, którą dobrze wykonuje i za którą go szanują. Moim zdaniem Joe jest w ten właśnie sposób dumny, chociaż to może śmiało twierdzenie z mojej strony, bo ty go znasz na pewno lepiej niż ja.

- Wiesz, Biddy - powiedziałem - nie spodziewałem się czegoś podobnego po tobie. Jesteś po prostu zazdrosna o lepszy los, jaki mnie czeka, i nie potrafisz ukryć zawiści.

- Jeżeli masz serce tak sądzić - obruszyła się Biddy - to powtarzaj to raz po raz. Jeżeli masz serce tak przypuszczać.

- Jeżeli ty masz serce być taką, Biddy - odparłem wyniosłym i sztucznym tonem - to nie zwalaj winy na mnie. Bardzo mi przykro widzieć coś podobnego, to objaw złej strony natury ludzkiej. Chciałem cię prosić, abyś po moim wyjeździe korzystała z każdej okazji, by wykształcić tego drogiego Joe'go, ale teraz nie będę cię już o nic prosił.

I raz jeszcze powtórzyłem:

- Bardzo mi przykro, Bidy. To zła strona natury ludzkiej przemawia przez ciebie.

- Bez względu na to, czy mnie chwalisz czy potępiasz - powiedziała biedna Bidy - możesz na mnie liczyć, że będę tu robiła wszystko, co okaże się w mojej mocy. I cokolwiek o mnie myślisz odjeżdżając, nie zmieni to mego sądu o tobie, chociaż prawdziwy pan nie powinien być niesprawiedliwy - zakończyła odwracając głowę.

Powtórzyłem raz jeszcze gorąco, że to wina złej strony natury ludzkiej (zdawało mi się w owej chwili, iż mam słuszość) i odwróciwszy się od Bidy plecami, zacząłem oddalać się wąską ścieżką w dół. Bidy weszła do domu, a ja wyszedłem przez furtkę ogrodową i przechadzałem się samotnie aż do kolacji, rozmyślając, czemu to drugi wieczór mojej wspaniałej fortuny jest równie smutny i przykry jak pierwszy.

Ale rano znowu przyniósł mi pociechę. Rozciągnąłem moją łaskawość na Bidy i nie wracaliśmy już więcej do tego tematu. Ubrawszy się w najlepsze ubranie poszedłem do miasta natychmiast po otwarciu sklepów i skierowałem się do krawca Mr. Trabba. Mr Trabb siedział właśnie przy pierwszym śniadaniu w pokoju za sklepem i nie uważał nawet za stosowne wyjść do mnie, tylko zawezwał mnie do siebie.

- No, i cóż? - spytał przyjacielsko, swobodnieżartobliwym tonem - jak się pan miewa i czym mogę panu służyć?

Mr Trabb właśnie rozkładał gorącą bułeczkę na trzy cieniutkie części i posmarowawszy je masłem składał z powrotem w jeden kawałek. Był to zamożny stary kawaler i otwarte okno jego pokoju wychodziło na zasobny mały ogródek i sad owocowy. Zamożnie też wyglądała żelazna kasa ogniotrwała, stojąca obok jego kominka, i nie wątpiłem, że wewnątrz jej jest równie zamożne i składa się z wypchanych worków.

- Mr Trabb - powiedziałem - to bardzo przykra sprawa, bo wygląda na przechwałki, ale muszę panu wyznać, że wszedłem w posiadanie sporego majątku.

W Mr. Trabbie zaszła natychmiast zmiana. Zapomniał o maśle, którym grubo nasmarował bułkę, rzucił ją na stół, wytarł palce o obrus i zawołał:

- Boże, miej mnie w swojej opiece!

- Mam jechać do mego opiekuna do Londynu - oznajmiłem wyjmując niby nieumyślnie kilka gwinei z kieszeni i spoglądając na pieniądze - i chciałbym sprawić sobie elegancki garnitur. Mam zamiar - dorzuciłem bojąc się, że krawiec nie zechce ryzykować - zapłacić gotówką.

- Wielce szanowny panie - odparł Mr. Trabb pochylając się przede mną w pełnym poważaniu ukłonie i dotykając palcami mych łokci - niechże pan nie obraża mnie takimi

słowami. Czy wolno mi panu powinszować? Zechce pan zrobić mi taką łaskę i wstąpić do mego sklepu?

Chłopak służący u Mr. Trabba był najbezcenniejszym chłopcem w całej okolicy. Gdy wszedłem, zamiatał właśnie sklep i aby się trochę rozerwać, rozpylał kurz wprost na mnie. Zamiatał jeszcze, kiedy zjawiłem się ponownie w sklepie z Mr. Trabbem i zaczął walić szczotką w wszystkie możliwe kąty i przeszkody, aby w ten sposób wyrazić (jakem to zrozumiał) swoją obojętność w stosunku do każdego na świecie kowala, żywego czy umarłego.

- Przestań hałasować - nakazał mu Mr. Trabb surowo - bo dam ci w łeb. Niech pan będzie łaskaw usiąść - zwrócił się do mnie. - A teraz proszę - tu rozwinął falistym ruchem sztukę materiału pogłodziwszy ją przed tym z wierzchu dla pokazania połysku. - To bardzo piękny towar. Mogę z czystym sumieniem polecić go panu dla pańskich celów, jest w doskonałym gatunku. Ale mam też i inne. Daj mi numer czwarty, ty! (ostatnie słowa wymówił do chłopca szczególnie surowo, obawiając się, by nie rzucił we mnie sztuką sukna lub nie pozwolił sobie na inną w stosunku do mnie poufałość).

Mr Trabb nie spuścił ani na mgnienie oka surowego spojrzenia z chłopca, dopóki ten podawał sztukę materiału numer czwarty i rozkładał ją na ladzie, aż do chwili gdy znalazł się w przyzwoitej ode mnie odległości. Wtedy rozkazał mu przynieść numer piąty oraz numer ósmy.

- I żadnych twoich figli tutaj - przykazywał Mr. Trabb - bo inaczej, nicponiu, zapamiętasz to sobie na resztę życia!

Następnie Mr. Trabb pochylił się nad numerem czwartym i poufnym, unizonym tonem zwierzył mi, że jest to lekki materiał, odpowiedni na letnie ubranie, materiał bardzo wzięty wśród szlachty i arystokratów i że on uważałby za zaszczyt, gdyby mógł ubrać weń dystyngowanego współmieszkańca swego miasta (bo chyba nie obrazę się, gdy nazwie mnie współmieszkańcem).

- Czy przyniosłeś numery pięć i osiem, ty włóczęgo? - zwrócił się następnie Mr. Trabb do chłopca - czy też mam wyrzucić cię ze sklepu i sam przynieść?

Wybrałem przy pomocy Mr. Trabba materiał na garnitur i przeszedłem do pokoju dla wzięcia miary. Bo chociaż Mr. Trabb miał już od dawna moje wymiary, to oświadczył, że wobec zmienionych warunków nie mogą mu wystarczyć - nie ma mowy, aby wystarczyły, proszę pana.

Wobec tego Mr. Trabb mierzył mnie i ustalał rozmiary mojej postaci niczym geometra mierzący posiadłość ziemską i zadawał sobie przy tym tyle trudu, że uszycie żadnego garnituru nie mogło zapłacić mu za ten pełen bólu wysiłek.

Kiedy wreszcie skończył miarę i umówił się ze mną, że odeśle ubranie w czwartek do mieszkania Mr. Pumblechooka, powiedział, z dłonią opartą na klamce:

- Wiem doskonale, proszę pana, że panowie z Londynu nie mogą z reguły popierać sił prowincjonalnych, ale gdyby pan od czasu do czasu zechciał przypomnieć sobie o mnie, jako współmieszkańcu jednego miasta, byłbym panu bardzo obowiązany. Do widzenia, szanownemu panu. Dziękuję najuprzejmiej. Drzwi!

Ostatni okrzyk odnosił się oczywiście do chłopaka, który nie zrozumiał, o co chodzi, i dosłownie upadł na wznak na widok swego pana odprowadzającego mnie z zacieraniami dłoni ku drzwiom. W ten sposób po raz pierwszy uzmysłowiłem sobie potęgę pieniądza widząc, jak moralnie powala na ziemię chłopaka Mr. Trabba.

Po tym pamiętnym zdarzeniu odwiedziłem kolejno kapelusznika, szewca i właściciela sklepu z bielizną i czułem się jak pies matki Hubbard, bohater słynnej piosenki dziecięcej, który załatwiał kolejno tyle sprawunków. Udałem się także na stację dylizansów i zamówiłem miejsce na siódmą rano na sobotę. Nie miałem potrzeby wszędzie opowiadać, że doszedłem do takiego pięknego majątku, ale gdziekolwiek o tym napomknąłem, kupcy natychmiast zaprzestawali pełnego melancholii gapienia się przez okno na High Street i rzucali się do mych usług. Gdy już zamówiłem wszystko, co chciałem, udałem się do Mr. Pumblechooka i już z daleka ujrzałem go stojącego przed sklepem na progu.

Oczekiwał mnie z wielką niecierpliwością. Zajechał już rano bryczką przed kuźnię i dowiedział się o wszystkim. Przygotował dla mnie przekąskę u Barnwella i tak jak krawiec rozkazał swemu subiektowi, by „nie plątał się pod nogami w chwili, kiedy zjawiała się moja święta osoba.

- Drogi mój przyjacielu - powiedział Pumblechook biorąc mnie za obie ręce, kiedy zostaliśmy sami z przekąską - cieszę się z pańskiego szczęścia. Zasłużone, dobrze zasłużone!

W ten sposób przystąpił od razu do rzeczy i uważałem, że mówi całkiem słusznie.

- Prawdziwą nagrodą dla mnie - oświadczył wciągając z zachwytem powietrze przez nos - jest pomyśleć, że to ja byłem skromnym narzędziem tych łask.

Prosiłem Mr. Pumblechooka, aby pamiętał, że nie wolno mu robić żadnej aluzji do osoby sprawcy tego, co się stało.

- Drogi przyjacielu (jeżeli pozwolisz, oczywiście, tak siebie nazywać...).

Mruknąłem coś w rodzaju „oczywiście, wtedy wziął mnie znowu za obie ręce i uczynił w okolicach kamizelki gest, który miał charakter uczuciowy, chociaż wypadł nieco za nisko - drogi, młody przyjacielu, może pan liczyć na mnie, iż po pańskim wyjeździe uświadomię całą rzecz Józefowi, Józefowi! - Mr Pumblehook powtórzył kilkakrotnie „Józefowi! Józefowi! takim tonem, jak gdyby chciał zaznaczyć swój stosunek wyższości wobec owego Józefa.

- Ale, mój młody przyjacielu - ciągnął - musi pan być głodny i wyczerpany. - Niechże pan siada. Oto jest kurczę, które sprowadziłem z oberży „Pod Błękitnym Dzikiem, ozór prosto od „Dzika, a tutaj kilka przystawek też z „Błękitnego Dzika. Spodziewam się, że pan nie pogardzi tymi przysmakami...

Ledwie wstał, a znowu zaraz usiadł ze słowami:

- Czy istotnie mam przed sobą tego, którego znam od małego dziecka i czy wolno mi... wolno mi...

To „czy wolno mi dotyczyło ponownego ściskania moich rąk, co też uczynił, i usiedliśmy znowu.

- A oto wino - oznajmił Pumblehook - wypijmy. Za szczęśliwy los, oby był zawsze tak przychylny w swych postanowieniach. A teraz... nie mogę bez wzruszenia... nie mogę widzieć przed sobą kogoś... i wypić za jego zdrowie... bez wyrażenia... czy wolno mi?... czy wolno mi?

Odparłem, że mu wolno, i znowu wstaliśmy, by uściskać sobie dłonie, a Pumblehook wypróżnił szklankę i odwrócił ją do góry dnem. Uczyniłem to samo i gdybym zamiast szklanki siebie samego odwrócił do góry nogami, wino nie uderzyłoby mi szybciej do głowy.

Mr Pumblehook poczęstował mnie skrzydełkiem kury i najlepszym kawałkiem ozoru (nie było już mowy o odpadkach wieprzowiny) i zwrócił się z przemówieniem do drobiu na półmisku:

- Och pulardo, pulardo - powiedział - czyś myślała kiedyś, będąc młodym kurczęciem, co cię czeka w przyszłości? Nie spodziewałaś się zapewne, że będziesz służyła za pożywienie pod skromnym dachem komuś takiemu... O, może to pan nazwać słabością, jeżeli się panu podoba - ciągnął Mr. Pumblehook - ale czy wolno mi, czy wolno mi jeszcze raz...

Zbyteczne już było przyzwalanie mu, że wolno, więc uczynił to sam. W jaki sposób potrafił tylokrotnie rzucać mi się nagle na szyję bez zranienia się moim nożem, pozostanie dla mnie tajemnicą.

- A siostra pańska - mówił po chwili odżywiania się - pańska siostra, która wychowała pana „własnoręcznie”! To smutne, że nie jest teraz w możliwości pojąć zaszczytu, jaki pana spotkał. Czy wolno mi...

Pojąłem, że znowu porywa się ku mnie, i tym razem zatrzymałem go.

- Wypijmy jej zdrowie - zaproponowałem.

- Ach - krzyknął Pumblehook rzucając się w tył na krzesło i drżąc z zachwytu - po tym się ich poznaje, szanowny panie! (nie wiedziałem, kto ma być tym szanownym panem, nie sądziłem, aby to o mnie szło, a nikogo trzeciego nie było w pokoju). Po tym poznaje się szlachetnych ludzi, szanowny panie! Wspaniałomyślność, szanowny panie! - Mr Pumblehook wstał służbiście i wznosząc ku górze pełną szklankę dorzucił jeszcze: - Może się komuś pospolitemu wydawać, że niepotrzebnie się powtarzam, ale czy wolno mi...?

Kiedy już znowu mnie uściskał, usiadł na swym miejscu i wypił za zdrowie mej siostry:

- Nie bądźmy ślepi na wady jej charakteru - zauważył - ale pamiętajmy, że miała zawsze dobre chęci!

W tej chwili spostrzegłem, że twarz mego towarzysza jest szkarłatna, moje policzki zaś zdawały się tonąć w winie i pałały.

Wspomniałem Mr. Pumblehookowi, że na jego adres odeślą moje nowe ubranie i tym wyróżnieniem wprowadziłem go w zachwyt. Objąłem mu, że nie chcę wzbudzać moim strojem sensacji w mieście, a on pod niebo sławił moją delikatność. Nikt prócz niego nie zasłużył tu na zaufanie i czy wolno mu...? Następnie spytał mnie czule, czy pamiętam nasze wspólne dziecięce zabawy w tabliczkę mnożenia i czy pamiętam naszą wspólną podróż, gdym został terminatorem i to, że zawsze był przecież moim najmiłszym towarzyszem i przyjacielem. Gdybym pił dziesięć razy więcej wina, niż piłem, jeszcze pamiętałbym, że nasze stosunki były całkiem inne, i w głębi serca protestowałbym przeciwko jego słowom. Ale mimo to pomyślałem, że może to ja się omyliłem i że on jest dobrym, serdecznym i szczerym przyjacielem.

Zaufanie jego stopniowo tak wzrosło, że zaczął radzić się mnie w sprawach własnych interesów. Zwierzył mi się, że nadarza mu się okazja skupienia w swym ręku całego handlu nasionami i zbożem, ale pod tym warunkiem, że rozszerzy swój interes. Wtedy stworzyłby w tej branży coś, czego jeszcze nie bywało. Jediną rzeczą, której mu do tego potrzeba, jest to, co nazwał większym kapitałem. Większy kapitał - oto były dwa wyrazy, które z naciskiem powtórzył. Wydawało się mu (Pumblehookowi), że gdyby kapitał ten włożony został do interesu przez cichego współnika, to współnik ten nie miałby nic do roboty. Tylko dwa razy

do roku zjawiłby się sam lub przysłał kogoś dla sprawdzenia ksiąg i zainkasowania zysków wynoszących mniej więcej około procent. Wydawało mu się też, że sprawę tę powinien wziąć pod uwagę jakiś młody, rozpoczynający życie człowiek. Ale co ja o tym sądzę? Ma wielkie zaufanie do mnie i chciałby wiedzieć, co o tym myślę. Odpowiedziałem mu krótko: „Niech pan trochę zaczeka! i słowa te obudziły w nim taki zachwyt, że już nie pytał, czy wolno, ale oświadczył, że musi mnie uściskać, co też uczynił.

Wypiliśmy całe wino i Mr. Pumblechook jeszcze kilkakrotnie zapewnił mnie, że nie pozwoli Józefowi upaść (nie wiedziałem, o jaki upadek mu chodzi) i że będzie mi nadal wyświadczał wiele usług (nie wiedziałem, o jakie chodzi usługi).

Zawiadomił mnie także po raz pierwszy w moim życiu, i trzeba przyznać, że dotychczas świetnie potrafił dochować tajemnicy, iż zawsze mówił: „Ten chłopak to niezwykle chłopiec i zapamiętajcie sobie, czeka go niezwykle los. Dodał z łzawym uśmiechem, że dziwnie teraz wspomnieć sobie owe jego słowa i zgodziłem się na to. Wreszcie wyszedłem na dwór z niejasnym uczuciem, że dzieje się coś dziwnego z blaskiem słonecznym, i wrażeniem, że znajduję się w kołowrocie i że w żadnym razie nie trafię do domu.

Ocknąłem się na dźwięk głosu Mr. Pumblechooka, który mnie wzywał biegnąc za mną skapaną w słońcu drogą. Zatrzymałem się. Podbiegł do mnie bez tchu.

- Nie, mój drogi przyjacielu - przemówił, gdy odzyskał oddech - nie mogę pominąć tej ostatniej okazji bez czułości. Czy wolno mi, jako staremu i życzliwemu przyjacielowi? Czy wolno mi...?

Uścisnęliśmy sobie po raz setny ostatecznie ręce i Pumblechook z oburzeniem kazał odjechać na bok bryczce, której stałem na drodze. Potem pobłogosławił mi i stał machając ku mnie dłonią, dopóki nie zniknąłem na zakręcie szosy. Wtedy dopiero gdy wyostałem się na pole, położyłem się pod jakimś płotem i przespałem, zanim puściłem się w dalszą drogę.

Nie miałem prawie wcale bagażu do zabrania do Londynu, bo z niewielu przedmiotów, jakie posiadałem na własność, prawie żaden nie nadawał się do mojej nowej pozycji. Mimo to natychmiast zabrałem się do pakowania i pakowałem z dzikim zapałem wszystko, co wpadło mi pod rękę, wyobrażając sobie, że nie mam ani chwili do stracenia.

Tak minął wtorek, środa i czwartek. W piątek rano poszedłem do Mr. Pumblechooka, by włożyć nowe ubranie i udać się z wizytą do miss Havisham.

Wskazano mi sypialnię Mr. Pumblechooka, abym się mógł przebrać, i spostrzegłem, że specjalnie dla mnie powieszono tam czyste ręczniki. Mój nowy garnitur nappełnił mnie rozczarowaniem, ale mam wrażenie, że od czasu jak wymyślono ubrania, ani jeden

oczekiwany niecierpliwie strój nie jest taki, jak go sobie wyobrażał właściciel. Ale kiedy miałem je już na sobie pół godziny i kiedy wykręcałem się nie wiadomo ile razy przed niewielkim lustrem Mr. Pumblechooka w próżnej nadziei ujżenia własnych nóg, zaczęło mi się ono bardziej podobać. Mr Pumblechooka nie było w domu, gdyż był to dzień targowy w miasteczku oddalonym o dziesięć mil od naszego. Nie powiedziałem mu dokładnej daty mego wyjazdu i nie miałem wielkiej ochoty znowu ścisnąć jego ręk. Dobrze się więc składało i wyruszyłem w nowym stroju, straszliwie wstydząc się chłopaka sklepowego stojącego na progu i podejrzewając, że wyglądam w tym stroju jak Joe w niedzielnym ubraniu.

Poszedłem do miss Havisham okólnymi drogami i pociągnąłem za dzwonek u bramy z trudem, gdyż nie pozwalały mi na to sztywne palce w nowych rękawiczkach.

Sara Pocket otworzyła mi drzwi i aż się cofnęła widząc mnie tak zmienionego. Jej twarz, podobna do skorupy orzecha, zmieniła się z brunatnej w zielonkawą, a potem w żółtą.

- To pan? - powiedziała. - Pan? Miły Boże, czego pan Chce?

- Wyjeżdżam do Londynu, miss Pocket - oznajmiłem - i chciałbym pożegnać się z miss Havisham.

Nie oczekiwano mnie, więc pozostawiła mnie na podwórku i poszła spytać się, czy będę przyjęty. Po krótkim czasie wróciła i poprosiła mnie na górę, a przez całą drogę nie spuszczała ze mnie oka.

Miss Havisham przechadzała się oparta na lasce w dużym pokoju, gdzie stał wiecznie nakryty stół. Pokój był oświetlony jak zwykle. Na odgłos naszych kroków miss Havisham zatrzymała się i obejrzała. Stała 'właśnie tuż obok rozkładającego się tortu weselnego.

- Nie odchodź, Saro - poleciła. - No, i co, Pip?

- Wyjeżdżam do Londynu, miss Havisham. Jadę jutro - mówiłem z wielką ostrożnością - i przyszedłem pożegnać się z panią. Myślę, że pani nie weźmie mi tego za złe..

- Aleś się wystroił - zauważyła zakreślając laseczką krąg wokół mojej postaci jak matka chrzestnawrózka, odprawiająca ostatnie czary.

- Zostałem obdarowany przez los, od czasu kiedy panią ostatni raz widziałem, miss Havisham - powiedziałem - i tak bardzo jestem za to wdzięczny, miss Havisham.

- Tak, tak - odparła patrząc z przyjemnością na pękającą z zazdrości Sarę - widziałam się z Mr. Jaggersem i słyszałam o tym, Pip. Więc jedziesz jutro?

- Tak, miss Havisham.

- Zostałeś adoptowany przez bogatą osobę?

- Tak, miss Havisham.

- Która nie podała swego nazwiska?

- Nie podała, miss Havisham.
- Uczyniła Mr. Jaggersa twym opiekunem?
- Tak, miss Havisham.

Rozkoszowała się po prostu tymi pytaniami i odpowiedziami, tak cieszyła ją zawiść Sary Pocket.

- A więc - zakończyła - masz przed sobą piękną karierę. Zachowuj się dobrze, zasłuż sobie na to i słuchaj wskazówek Mr. Jaggersa.

Spojrzała na mnie, potem na Sarę. Na widok miss Pocket okrutny uśmiech ukazał się na twarzy uważnie obserwującej starej damy.

- Do widzenia, Pip. Bo zawsze pozostaniesz Pipem, wiesz o tym?
- Tak, miss Havisham.
- Do widzenia, Pip.

Wyciągnęła ku mnie dłoń, a ja przykląknęłam i ucałowałam ją. Nie układałam sobie przedtem, jak pożegnani miss Havisham, ale teraz uważałam to za całkiem naturalne. Patrzyła na Sarę Pocket z wyrazem triumfu w dziwnych oczach i tak pozostawiłam moją chrzestną matkęwróżkę, opartą obiema dłońmi o laseczkę, stojącą pośrodku Mr.oczego pokoju tuż obok osnutego pajęczynami, rozkładającego się kołacza weselnego.

Sara Pocket odprowadziła mnie na dół, jak gdybym był duchem, którego należy się pozbyć. Jeszcze nie otrząsnęła się ze zmieszania, które ogarnęło ją wraz z moim zjawieniem się. Powiedziałam jej „do widzenia, miss Pocket, ale ona stała nieruchomo, jak gdyby tego nie dosłyszała. Opuściwszy ten dom pobiegłam jak najszybciej do domu Mr. Pumblechooka, zdjąłem ubranie, zawiązałem je w węzełek i poszedłem do domu w moim starym stroju o wiele swobodniejszy, prawdę mówiąc, niż poprzednio, mimo że miałem w ręku paczkę.

I oto owe sześć dni, które mi się przedtem tak dłużyły, teraz chyliły się ku końcowi i jutro zaglądało mi w twarz, a ja nie ośmielałem się podnieść nań oczu. Gdy sześć wieczorów topniało stopniowo w pięć, cztery, trzy i dwa, coraz bardziej ceniłem sobie towarzystwo Joego i Bidy. Ostatniego zaś wieczoru ubrałem się dla zrobienia im przyjemności w nowe ubranie i w tym wspaniałym stroju przesiedziałem aż do udania się na spoczynek.

Mieliśmy dla uczczenia mej podróży gorącą kolację z nieodzownym drobiem i napiliśmy się ponczu. Byliśmy wszyscy bardzo przygnębieni, mimo że udawaliśmy wesołych.

Miałem wyjść z domu o piątej rano, zabierając ze sobą małą ręczną walizkę. Powiedziałem Joemu, że chcę pójść sam do dylizansu. Obawiam się, mocno się obawiam, że chęć ta wynika z lęku przed zbyt wielkim kontrastem, jaki przedstawiałyby nasze dwie postacie w miasteczku. Wmawiałem sobie, że bynajmniej nie o to mi chodzi, ale kiedym

został sam w moim pokoiku na ostatnią mą noc w tym domu, wiedziałem już na pewno, że dlatego chcę pójść sam, i nawet zapragnąłem zejść na dół i prosić Joego, by mnie odprowadził. Nie uczyniłem tego.

Przez całą noc śniły mi się dylizanse, które jechały zamiast do Londynu do jakichś innych miejscowości i były zaprzężone raz w psy, raz w koty, świnię czy ludzi, ale nigdy w konie.

Fantastyczne przygody nieudanej podróży prześladowały mnie do świtu, aż do rannego śpiewu ptaków. Wtedy wstałem, ubrałem się i usiadłem przy oknie, by po raz ostatni przez nie popatrzeć, i zasnąłem.

Biddy wstała tak wcześnie, by mi przygotować śniadanie, że chociaż przespałem się z godzinkę przy oknie, kiedym się obudził, poczułem zapach dymu z rozpalonego komina i zerwałem się przerażony, że to już południe. Ale mimo że byłem już całkiem gotów, mimo że słyszałem brzęk filiżanek na dole, nie mogłem się zdobyć na zejście i otwierałem walizkę, by ją po chwili znowu zamknąć i znów otworzyć, dopóki Biddy nie zawołała, że już późno. Śniadanie zjadłem pośpiesznie, nie czując nawet smaku. Wstałem od stołu i powiedziałem szorstkim tonem, jak gdyby to tylko mnie dotyczyło:

- No, na mnie zdaje się czas!

Ucałowałem moją siostrę, która śmiała się i kiwała po swojemu głową, ucałowałem Biddy i objąłem Joego za szyję. Potem wziąłem moją małą walizkę i wyszedłem. Po chwili usłyszałem za plecami jakiś hałas i odwróciwszy się ujrzałem Joego, jak rzucał za mną starym trzewikiem, i Biddy, która robiła to samo. Zatrzymałem się, by pomachać ku nim kapeluszem, a stary mój poczciwy Joe kiwał silnym ramieniem ponad głową, krzycząc ochryple „Hurra!”, gdy Biddy zasłaniała twarz fartuchem.

Szedłem szybkim krokiem myśląc, że łatwiej mi jest odchodzić, niż przypuszczałem, a jednocześnie wyobrażając sobie, jakie to byłoby okropne, gdyby rzucono za mną starym obuwiem za dylizansem w oczach całej High Street. Gwizdałem idąc lekkim krokiem. Ale wieś była cicha, a lekkie mgły podnosiły się właśnie ku górze, jak gdyby chcąc raz jeszcze pokazać mi te miejsca, gdzie byłem taki mały i niewinny, i które pozostawiłem za sobą, gdy przede mną rozciągał się wielki, nieznany świat. Nagle wydarło mi się westchnienie i wybuchnąłem płaczem. Znalazłem się właśnie w tej chwili przy drogowskazie, więc oparłszy dłoń o słup, powiedziałem:

- Żegnaj, o mój drogi, drogi przyjacielu!

Bóg wie, że nie należy nigdy wstydić się własnych łez. Są one jak deszcz obmywający pył, który zalega nasze stwardniałe serca. Po płaczu zrobiłem się lepszy niż

przedtem. Było mi bardziej przykro i bardziej wstyd mojej niewdzięczności, stałem się szlachetniejszy. Gdybym płakał wcześniej, z pewnością prosiłbym Joego, by mnie odprowadził.

Łzy, które trysnęły mi z oczu podczas cichej drogi ze wsi do miasteczka, tak mną wstrząsnęły, że wyjeżdżając dylinżansem z miasta myślałem, czyby podczas pierwszego postoju nie wsiąść, nie wrócić piechotą do domu i nie wyjechać po raz drugi po całkiem innym pożegnaniu. Zmieniliśmy konie, a ja wciąż nie byłem zdecydowany, czy nie wsiąść i nie wrócić do domu podczas następnego postoju. I kiedy tak rozmyślał, wydało mi się, że jakiś przechodzący człowiek to Joe i serce mi zabiło, jak gdyby szwagier mógł się tu rzeczywiście znajdować! Jeszcze raz zmieniliśmy konie i jeszcze raz, i teraz było już za późno i za daleko, by wracać, i jechałem dalej.

Teraz wszystkie mgły uniosły się już w górę uroczyście i przed moimi oczyma rozpościerał się świat.

Oto koniec pierwszej sceny nadziei Pipa.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Podróż z naszego miasteczka do stolicy trwała około pięciu godzin. Było niewiele po dwunastej w południe, gdy olbrzymi, zaprzężony w cztery konie pocztowy dylizans, którego byłem pasażerem, zanurzył się w wirze ruchu ulicznego przepelniającego okolice Cross Keys, Wood Street i Cheapside w Londynie.

My, Brytyjczycy, wmawialiśmy sobie w tym czasie, że zdradą jest przypuszczenie, jakoby wszystko, co posiadamy, nie było najpiękniejsze i najwspanialsze. Gdyby nie to, może przysłoby mi do głowy, gdy tak wpadł do olbrzymiego Londynu, czy to miasto nie jest czasem brzydkie, zaplątane, ciasne i brudne. Mr Jagers przysłał mi dokładny swój adres: „Mała Brytania i dodał w karcie, którą do mnie pisał „Naprzeciw Smithfield i obok stacji dylizansów. Mimo to dorożkarz, który zdawał się mieć tyle pelerynek przy wytłuszczonym płaszczu, ile lat, wepchnął mnie do swej dorożki, zatrzasnął drzwiczki, wciągnął schodki, jak gdyby miał mnie wieźć z pięćdziesiąt mil. Wiele czasu zajęło mu wdrapanie się na kozioł, który, pamiętam, osłonięty był wypłowiałym i zjedzonym przez mole zielonkawym fartuchem. Był to wspaniały pojazd ozdobiony sześcioma koronami na drzwiczkach, nie wiem z ilu stopniami z tyłu dla pomieszczenia asysty lokajów i ostrą zębatą broną poniżej stopni dla odstraszenia amatorów, którym przyjdzie pokusa ucześcić się.

Zaledwie zdążyłem przyjrzeć się urokom tej karety i pomyśleć, że jest to coś pośredniego pomiędzy kojcem i składem łachmanów, zanim jeszcze zdążyłem się zdziwić, czemu to uprzęż końska leży wewnątrz pojazdu na siedzeniu, a już ujrzałem, że dorożkarz robi przygotowania do zatrzymania koni. I istotnie pojazd się zatrzymał w ponurej uliczce przed drzwiami jakiegoś biura. Na drzwiach wymalowane było: „Jagers”.

- Ile? - spytałem dorożkarza.

- Szylinga, chyba że pan zechce mi dać więcej. Oczywiście odpowiedziałem, że nie zechcę.

- Wobec tego niech będzie szyling - zgodził się dorożkarz - nie chcę mieć przykrości, dobrze go znam!

Przymknął oko wskazując głową na szyld Jagersa.

Gdy wziął szylinga, wdrapał się na wysoki kozioł i odjechał (co sprawiło mi pewną ulgę), wszedłem do domu z moją małą walizką w rękę i spytałem, czym zastał Mr. Jagersa.

- Wyszedł - odparł urzędnik - jest w sądzie. Ale czy mam przyjemność widzieć Mr. Pipa?

Potwierdziłem, że mówi z Pipem.

- Mr Jagers zostawił dla pana słówko, aby pan zaczekał w jego pokoju. Nie mógł określić, jak długo potrwa sprawa w sądzie, ale ponieważ czas jego jest kosztowny, więc powróci na pewno, jak najszybciej mu się uda.

To powiedziawszy urzędnik otworzył drzwi i wpuścił mnie głębiej do biura.

W którymś z tylnych pokoiów zastaliśmy pewnego pana o jednym tylko oku, w zielonym welwetowym fraczku i krótkich, spodniach. Przeszkodził mi w czytaniu gazety, więc pocierał nos rękawem.

- Wyjdź, Mike, na dwór - rozkazał urzędnik. Zacząłem mówić, że spodziewam się, iż nie przeszkodziłem... gdy urzędnik wypchnął jegomościa za drzwi z takim brakiem ceremonii, jakiego dotychczas nie widziałem, wyrzucił za nim jego futrzaną czapkę i pozostawił mnie samego.

Pokój Mr. Jagersa, oświetlony jedynie blaskiem padającym przez małe okienko, był dziwnie ponury: okienko było tak posklejane, że przypominało rozbitą głowę, a widziane przez nie domy naprzeciwko robiły wrażenie połamanych na kawałki i pchających się jeden na drugi, aby się mi przyjrzeć. Spodziewałem się w gabinecie biurowym ujrzeć wiele papierków, ale zamiast nich zobaczyłem tam niespodziewane całkiem przedmioty: stary zardzewiały pistolet, szablę w pochwie, dziwaczne szkatułki i pudełka, a na półce dwie płaskorzeźby przedstawiające dwie okropne twarze napuchnięte w okolicach nosa. Fotel Mr. Jagersa był wysoki, miał oparcie pokryte czarnym końskim włosiem i ozdobione rzędami mosiężnych gwoździków, jak trumna. Wyobraziłem sobie, jak siedzi plecami do oparcia i wyciąga groźny palec do klientów. Pokój był niewielki i widocznie klienci mieli zwyczaj opierać się plecami o ścianę naprzeciwko fotela Mr. Jagersa, gdyż ściana ta była zatłuszczona. Przypomniałem sobie, że jegomość o jednym oku również opierał się o ścianę, dopóki nie stałem się niechcący przyczyną jego wypędzenia z pokoju.

Usiadłem na krześle postawionym obok fotela Mr. Jagersa, przeznaczonym zapewne dla klientów, i otoczyła mnie ciężka atmosfera tego gabinetu. Przypomniało mi się, że urzędnik miał, podobnie jak jego szef, taki wyraz twarzy, jak gdyby wiedział o każdym coś złego. Zastanawiałem się, ilu też urzędników może jeszcze być na pierwszym piętrze i czy wszyscy oni odczuwają taką pogardę dla bliźnich. Zapytywałem się też, co mogą oznaczać te wszystkie stare graty w gabinecie i skąd się tu wzięły. Staralem się odgadnąć, czy te dwie spuchnięte twarze na półce należą do rodziny Mr. Jagersa, a jeżeli ma już takie nieszczęście,

że to jego rodzice, to czemu trzyma ich na zakurzonej i popstrzonej przez muchy półce, zamiast wziąć ich do swego mieszkania. Oczywiście nie byłem przyzwyczajony do londyńskiego lata i dziwiło mnie duszne, upalne powietrze i wielka ilość kurzu unosząca się w pokoju. Siedziałem tak długo, oczekując Mr. Jaggersa, ale w pewnej chwili nie mogłem już znieść dwu spuchniętych twarzy na półce nad jego fotelem i wybiegłem z pokoju.

Kiedy powiedziałem urzędnikowi, że wychodzę się przejść na ulicę, zanim nadejdzie Mr. Jaggers, poradził mi, abym skręcił za róg ulicy, a znajdę się w Smithfield. Trafiłem więc do Smithfield i to okropne miejsce zaśmiecone, pełne nieczystości, tłuszczu, krwi i piany zdawało się mnie dusić. Jak najszybciej opuściłem je i pobiegłem dalej ulicą, u której wylotu ujrzałem olbrzymią katedrę św. Pawła, wychylającą się zza wielkiego kamiennego gmachu; jakiś przechodzień wyjaśnił mi, że to więzienie Newgate. Idąc wzdłuż muru więziennego spostrzegłem, że jezdnia pokryta jest słomą dla przyciszenia turkotu pojazdów. Z owego faktu i z tego, że stał tam wielki tłum ludzi, cuchnący piwem i wódką, wywnioskowałem, że to tutaj odbywają się rozprawy sądowe.

Kiedy rozglądałem się wokół, jakiś wyjątkowo niechlujny i podchmielony urzędnik sądowy spytał mnie, czy chcę wejść do środka i posłuchać jakiegoś procesu. Napomknął też, że za cenę pół korony mogę mieć najlepsze miejsce w pierwszych ławach z widokiem na lorda prezesa sądu w peruce i todze. Mówił o sędzim takim tonem, jak gdyby to była figura woskowa, którą ofiarowuje za zniżoną cenę osiemnastu pensów. Ponieważ odrzuciłem tę propozycję mówiąc, że mam się tu z kimś spotkać, był na tyle łaskaw, że zaprowadził mnie na dziedziniec, by pokazać mi szubienicę oraz słup, przy którym odbywała się kara chłosty, i w końcu Wrota Dłużnika, przez które wypuszczano skazańców przed powieszeniem. Żeby jeszcze bardziej mnie zainteresować tymi okropnymi wrotami objaśnił mi, że pojutrze o ósmej rano przejdzie przez nie czterech skazanych na powieszenie ludzi i że zostaną tu straceni. Ten szczegół nappełnił mnie obrzydzeniem do całego Londynu, a uczucie to wzrosło jeszcze na myśl, że jegomość, zachowujący się jak właściciel prezesa sądu, nie posiada w swym ubraniu (od kapelusza do butów, a włączając w to nawet chustkę do nosa) nic, co by na niego pasowało, i że musiał tę nieodpowiednią dla siebie odzież kupić okazji od kata. Pod wpływem tych myśli uważałem, że wykupiłem się od niego tanio, dając mu szylinga.

Poszedłem do biura, by dowiedzieć się, czy Mr. Jaggers już powrócił, i kiedy okazało się, że jeszcze go nie ma, wybiegłem znowu. Tym razem przeszedłem naokoło Małej Brytanii i skręciłem do Bartholomew Close i tutaj przekonałem się, że było nas więcej czekających na Mr. Jaggersa. Obok mnie przeszło dwu tajemniczo wyglądających jegomościów, którzy

przechadzali się powoli, wsuwając końce butów w szczeliny popękane bryki. Kiedy mnie mijali, jeden z nich powiedział:

- Gdyby dało się to zrobić, Jaggery na pewno by wygrał...

Na rogu ulicy stało trzech mężczyzn i dwie kobiety; jedna z kobiet płakała zasłaniając twarz brudną chustką, a druga pocieszała ją otulając jej ramiona własnym szalem.

- Jaggery jest po jego stronie, Melia. Czego więcej można żądać.

Był tam także mały Żydek o zaczerwienionych oczach, który nadszedł, kiedy się przechadzałem po skwerze; towarzyszył mu drugi mały Żydek, którego posłał z jakimś poleceniem. Kiedy tamten odszedł, pierwszy Żyd, najwidoczniej człowiek bardzo podniecony i niespokojny, wykonał pod latarnią skoczny taniec wołając sam do siebie:

- Och, Jaggery, Jaggery, Jaggery! Wszyscy inni to pętaki, tylko Jaggery! Dajcie mi Jaggersa!

Te dwa dowody popularności mego opiekuna zrobiły na mnie wielkie wrażenie i w tej chwili szanowałem go bardziej niż kiedykolwiek.

Wreszcie przez kratę żelaznej bramy, oddzielającej Bartholomew Close od Małej Brytanii, ujrzałem Mr. Jaggersa, jak szedł w moim kierunku. Jednocześnie dostrzegli go wszyscy, którzy go oczekiwali i po prostu rzucili się w jego stronę. Mr. Jaggery, opierając dłoń na moim ramieniu i idąc obok mnie, przemówił do czekających.

Najpierw zwrócił się do dwu tajemniczych jegomościów.

- Nie mam teraz nic panom do powiedzenia - oświadczył grożąc im palcem - nie pragnę nic więcej wiedzieć nad to, co już wiem. Co się tyczy rezultatu, to rzecz szczęścia. Mówiłem wam już o tym: rzecz szczęścia. Czyście zapłacili Mr. Wemmickowi?

- Zdobyliśmy dzisiaj rano pieniądze - odpowiedział jeden z nich pokornie, gdy drugi patrzył bacznie w twarz Mr. Jaggersowi.

- Nie jestem ciekaw, kiedy je zdobyliście ani od kogo, ani jakim sposobem. Pytam tylko, czy Mr. Wemmick otrzymał już gotówkę?

- Tak, proszę pana - odparli zgodnym chórem.

- Doskonale, możecie obaj odejść - oznajmił Mr. Jaggery kiwając ku nim dłonią gestem, który oznaczał, żeby pozostali w tyle za nim - jeżeli powiecie, panowie, jeszcze jedno słowo, zrzekam się sprawy.

- Myśleliśmy, Mr. Jaggery... - zaczął jeden z nich zdejmując kapelusz.

- Tego właśnie wam zabroniłem robić - przypomniał Jaggery - myślicie, a to ja jestem od myślenia za was. To powinno panom wystarczyć. Jeśli będę was potrzebował, zawezwę,

wiem, gdzie panów szukać. Nie życzę sobie, abyście wy mnie szukali. Nie chcę już słyszeć od was teraz ani słowa.

Dwaj jegomoście spojrzeli na siebie porozumiewawczo, gdy niecierpliwie machał ręką wskazując, by się oddalili, i pokornie, bez słowa odeszli.

- A teraz panie - powiedział Jagers zatrzymując się nagle i zwracając do dwu kobiet, z których jedna otulała drugą szalem. Trzej mężczyźni posłusznie odstepili na bok. - To Amelia, czy tak?

- Tak jest - Mr. Jagers.

- A czy przypomina pani sobie, że gdyby nie ja, nie byłoby pani tutaj?

- Och, tak, Mr. Jagers - zawołały obie kobiety razem - niechaj Bóg pana ma w swojej opiece za to. Wiemy doskonale!

- Więc po co pani tu przyszła? - spytał Jagers.

- Mój Bili, Mr. Jagers - zaszlochała kobieta.

- Więc powiem pani raz jeszcze, ale już po raz ostatni. Jeżeli pani nie wierzy, że pani Bili jest w dobrych rękach, to ja pani to mówię. A jeśli pani nie przestanie przychodzić i męczyć mnie o swego Billa, to ukarzę i panią, i Billa, bo pozwolę się jego sprawie prześliznąć sobie między palcami. Czy zapłaciłyście Wemmickowi?

- O, tak, proszę pana. Co do grosika.

- Doskonale. Zrobiłyście wszystko, co do was należało. A jeżeli powiecie jeszcze jedno słówko, Wemmick odda wam natychmiast wasze pieniądze.

Te słowa miały przerażający efekt, gdyż obie kobiety natychmiast zniknęły. Pozostał tylko rozgorączkowany Żyd, który już kilkakrotnie podnosił do ust połę surduta Mr. Jagersa.

- Nie znam tego człowieka! - krzyknął Mr. Jagers gwałtownie - czego on chce ode mnie?

- Drogi Mr. Jagers - jestem rodzonym braciszkiem Abrama Lazarusa.

- Kto to taki? - krzyknął Jagers - proszę zostawić moje ubranie w spokoju.

Klient całując raz jeszcze kraj surduta, zanim wypuścił go z rąk, wyjaśnił:

- Abram Lazarus, podejrzany o paserstwo.

- Już za późno - oznajmił Mr. Jagers - wziąłem obronę strony przeciwnej.

- Boże wielki - krzyknął mój podniecony znajomy blednąc - chyba pan nie powie, że wystąpi pan przeciwko Abramowi Lazarusowi?

- Występuję przeciwko niemu - odpowiedział Jagers - i na tym koniec. Odejść!

- Mr Jagers, chwileczkę. Mój rodzony kuzyn jest w tej chwili u Mr. Wemmicka i układa się z nim, za jaką tamten zechce cenę. Mr Jagers, ćwierć momentu. Jeżeli pan zgodzi się przejść do naszego obozu za wyższą cenę, to cena nie stanowi... Panie Jagers! Panie...!

Mój opiekun odrzucił błagającego z całkowitą obojętnością i nawet nie patrzył, jak tamten tańczy na bruku niczym po rozpalonym żelazie. Bez większych przeszkód dotarliśmy teraz do drzwi biura, gdzie zastaliśmy urzędnika i człowieka w futrzanej czapie.

- Przyszedł Mike - zameldował urzędnik wstając z wysokiego taboretu i zbliżając się do Jagersa z poufałym wyrazem twarzy.

- Och - powiedział Jagers zwracając się do jegomościa, który był zajęty naciąganiem sobie pukla włosów na czoło i przypominał wołu z baśni o Robinie, ciągnącego za sznur dzwonu - pański człowiek ma przyjść po południu. Czy tak?

- Tak, Mr. Jagers - potwierdził Mike głosem człowieka cierpiącego na chroniczny katar - nie bez trudu znalazłem kogoś takiego.

- Czy gotów jest do przysięgi?

- Tak, Mr. Jagers - odparł człowiek wycierając tym razem nos futrzaną czapą - gotów jest przysiąc wszystko, czego się od niego zażąda.

Mr Jagers nagle wpadł we wściekłość.

- Uprzedzam cię - krzyknął kiwając palcem przed nosem przerażonego klienta - uprzedzam cię, że jeżeli nie przestaniesz mówić w ten sposób, to będziesz miał ze mną do czynienia. Ty przeklęty łajdaku, jak śmiesz mnie coś podobnego mówić?

Klient patrzył z przestraszoną, ale jak gdyby nic nie pojmującą miną. - Głupcze - zgromił go teraz urzędnik ciszej, trącając go łokciem - tępa głowo, po coś mówił mu to wprost?

- A teraz pytam się ciebie, przeklęty idioto - zagadnął mój opiekun surowo - raz jeszcze, i to po raz ostatni, co ma zamiar przysięgać człowiek, którego tu sprowadzasz?

Mike spojrzał bacznie na mego opiekuna, jak gdyby z twarzy jego zamierzał wyczytać odpowiedź na pytanie, i odpowiedział powoli:

- Powie pod przysięgą, jaki jest charakter tego człowieka, i zezna, że nie opuszczał go przez całą noc.

- No, uważaj dobrze i mów: jak wygląda teraz świadek? Mike spojrzał na czapkę, potem na podłogę, a potem na sufit, później rzucił spojrzenie na urzędnika i na mnie i odparł nerwowo:

- Ubraliśmy go właśnie...

Ale mój opiekun przerwał mu wybuchem:

- Co? Ubraliście go? Doprawdy?

(- Idiota! - powtórzył urzędnik trącając go znowu łokciem). Po chwili całkowitego zmieszania Mike nagle rozjaśnił się i oznajmił:

- Jest przyzwoicie ubrany. Wygląda na porządnego cukiernika. Takiego od ciastek.

- Czy jest tutaj? - spytał mój opiekun.

- Zostawiłem go na stopniach schodów, zaraz za rogiem ulicy - wyjaśnił Mike.

- Niech przejdzie koło tego okna, bym mógł go obejrzeć. Okno wskazane przez Jaggersa było oknem biura. Wszyscy trzej umieściliśmy się w jego zagłębieniu i widzieliśmy naszego klienta, jak przespacerował się ulicą w towarzystwie jegomościa o wyglądzie zbrodniarza, ubranego w krótki strój z białego płótna i białą, papierową czapkę na głowie. Ten naiwny cukiernik, daleki od stanu trzeźwości, miał jedno oko podbite na czarno z lekka już zieleniejące i ukryte pod warstwą szminki.

- Niech pan mu powie, by natychmiast zabierał swego świadka - rozkazał mój opiekun urzędnikowi z głębokim niesmakiem - i niech pan go zapyta, co też sobie myśli przyprawdzając mi podobnego osobnika.

Teraz mój opiekun zaprowadził mnie do swego gabinetu. Spożywał na stojąco drugie śniadanie z pudełka z kanapkami, popijał sherry z buteleczki wydobytej z kieszeni (zdawał się przy tym jednym łykiem pochłaniać kanapkę) i wyjaśniał mi, co już dla mnie przygotował. Miałem udać się do „Gospody Barnarda”, do młodego Mr. Pocketa, gdzie przygotowano dla mnie łóżko, i pozostać u niego do poniedziałku. Tego dnia mam się udać wraz z nim do domu jego ojca w odwiedzinę i dla przekonania się, czy mi się spodoba w siedzibie państwa Pocket. Dowiedziałem się też, jakiej wysokości otrzymam pensję (była bardzo hojna), po czym mój opiekun wręczył mi karty z adresami dostawców, gdybym potrzebował czegoś z ubrania lub innych rzeczy.

- Będzie pan miał tam otwarty kredyt, Mr. Pip - mówił mój opiekun wychylając sherry z flaszeczki, która pachniała jak cała beczka - ale ja będę utrzymywał nad tym kontrolę i przetnę panu dochody, o ile pieniądze będą panu ciekły przez palce. Nie wątpię, że będzie pan niekiedy robił głupstwa, ale to już nie moja wina.

Pomyślawszy chwilę nad tą zachęcającą opinią spytałem Mr. Jaggersa, czy może mi ktoś sprowadzić dorożkę. Odparł, że nie warto, bo znajduję się blisko miejsca przeznaczenia, i jeżeli chcę, Wemmick może mi towarzyszyć.

Wtedy to dowiedziałem się, że urzędnik w sąsiednim pokoju nazywa się Wemmick. Zastąpił go chwilowo inny funkcjonariusz zawieszony z pierwszego piętra, i po chwili, uściskawszy dłoń mego opiekuna, wyszedłem z Wemmickiem na ulicę. Przed drzwiami

czekał jeszcze tłum interesantów, ale Wemmick utorował sobie wśród nich drogę powtarzając:

- Mówię wam, że czekanie nie zda się na nic. On nie ma wam nic do powiedzenia.

Zostawiliśmy ich wreszcie za sobą i szliśmy obok siebie ulicą.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Idąc obok Mr. Wemmicka rzucałem na niego z boku spojrzenia, by w blasku dnia zobaczyć, jak też wygląda, i stwierdziłem, że jest to mały, zasuszony człowieczek o twarzy jak gdyby wyciętej z drzewa tępym dłutem. Gdyby materiał, z którego została wyciosana, był miększy, można by się w niej doszukać dołeczków, ale tak wyłobiły się tylko głębokie rysy. Dłuto usiłowało najwidoczniej wryć ozdoby tego rodzaju w okolicy nosa w czterech miejscach, ale natrafiając na opór zostawiło wszystko, nie starając się nic wygładzać. Przypuszczałem że Mr. Wemmick jest kawalerem sądząc z stanu ruiny, w jakim znajdowała się jego bielizna, i byłem pewien, że musiał stracić wielu spośród krewnych, gdyż miał aż cztery żałobne obrączki na palcach, a krawat przypięty broszą przedstawiającą wizerunek damy oraz wierzby płaczącej nad mogiłą, na której stała urna.. Łańcuszek jego zegarka zdobiło aż kilka pierścieni i pieczęci, które robiły wrażenie pamiątek po nieboszczykach przyjaciółach. Oczy jego były małe, kłujące i czarne, a usta szerokie o cienkich, bladych, plamistych wargach. Sądząc z obserwacji, oczy te i usta należały do niego od czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu lat.

- Nigdy pan dotychczas nie był w Londynie? - spytał mnie Mr. Wemmick.

- Nie - odpowiedziałem.

- I ja niegdyś znalazłem się tutaj po raz pierwszy - wyznał Mr. Wemmick. - Aż dziwnie mi o tym pomyśleć.

- Teraz pan zna doskonale miasto?

- O tak, znam jego wszystkie tajemnice.

- Czy to bardzo złe miasto? - zagadnąłem bardziej po to, aby coś powiedzieć, niż aby na prawdę zasięgnąć informacji.

- Można tu zostać okradzionym, oszukany, zamordowanym, to prawda - wyjaśnił Mr. Wemmick - ale zdarza się to i gdzie indziej także. Wszędzie są źli ludzie.

- Czy nie mówi czasem przez pana uraza do ludzi? - spytałem chcąc jakoś złagodzić jego słowa.

- Uraza? Nie czuję do nich żadnej urazy. Ludzie czynią zło przeważnie dla korzyści.

- To jeszcze gorzej.

- Tak pan sądzi? - zdziwił się Wemmick - mnie się wydaje, że to obojętne.

Zepchnął kapelusz na tył głowy, patrzył prosto przed siebie i szedł naprzód z tak obojętnym wyrazem twarzy, jak gdyby nic nie było tu godnego jego uwagi. Usta jego

przypominały otwór skrzynki do listów i uśmiechały się machinalnie. Dotarliśmy do końca Holborn Hill i wtedy dopiero zdałem sobie sprawę z mechaniczności tego uśmiechu, który nie był wcale uśmiechem.

- Czy panu wiadomo, gdzie mieszka pan Mateusz Pocket? - spytałem Wemmicka.

- Tak - odparł wskazując końcem brody kierunek - w Hammersmith, w zachodniej części Londynu.

- To daleko?

- Około pięciu mil.

- Pan go zna?

- Ależ z pana prawdziwy sędzia śledczy - zauważył Mr. Wemmick patrząc na mnie z uznaniem. - Tak, znam go! Znam go!

W tonie, jakim wymawiał te słowa, dźwięczało coś na kształt pogardy, która mnie zaniepokoiła, i spoglądałem na bryłę jego twarzy chcąc z niej coś więcej odczytać, gdy oświadczył mi, że doszliśmy do „Gospody Barnarda”. Niepokój mój nie rozproszył się wobec tej nowiny. Wyobrażałem sobie bowiem, że oberża, do której dążymy, jest zgodnie z nazwą jakimś wytwornym hotelem należącym do pana nazwiskiem Barnard i wobec którego nasza gospoda „Pod Błękitnym Dzikim w miasteczku okaże się nędzną karczmą. Tymczasem wyraz Barnard okazał się jakąś fikcją, nie było żadnego hotelu, a „Gospoda Barnarda” przedstawiała się jako nędzna zbieranina domów wałących się i tak pochylonych do ziemi, że mogły służyć za miasteczko dla kotów. Weszliśmy w obręb tego rajskiego zakątka przez ciasną furtkę, przeszliśmy długim, ponurym korytarzem, by wydostać się na podwóreczko przypominające zniszczony cmentarz. Miałem wrażenie, że widzę tam najsmutniejsze drzewa, najsmutniejsze wróble na gałęziach, najsmutniejsze koty i najsmutniejsze domy. Było ich około pół tuzina. Pomyślałem, że okna o podartych firankach, potłuczonych doniczkach, wybitych szybach stanowią obraz zakurzonego rozkładu i żalosnej ponurości, gdy liczne napisy „Do wynajęcia. Do wynajęcia. Do wynajęcia mówiły o pustych pokojach, w których nigdy nie mieli zamieszkać nowi nieszczęśliwcy. Zdawało się, że mściwy duch Barnarda raduje się powolnym wymieraniem obecnych mieszkańców i grzebaniem ich bezbożnie pod żwirem podwórka. Dym i sadza pokrywały niechlujną żalobną szatą opuszczoną posiadłość Barnarda. Z głową posypaną popiołem cierpiała ona karę i poniżenie polegające na tym, że była teraz tylko siedliskiem brudu. Miałem uczucie, że te pokłady kurzu, zgnilizna butwiejących dachów i piwnic, myszy, szczurów i sąsiednich stajni zdaje się jęczeć ku mnie cicho okropnym zapachem: „Spróbuj mieszaniny Barnarda.

Realizacja pierwszej z moich nadziei była tak daleka od doskonałości, że spojrzałem z przerażeniem na Mr. Wemmicka.

- Ach - powiedział całkiem fałszywie mnie pojmując - ten zakątek przypomina panu wieś? Mnie także.

Zaprowadził mnie w róg podwórza i zawiódł na schody, które zdawały się rozpadać ze starości. Pomyślałem sobie, że pewnego dnia mieszkańcy górnych pięter, wyszedłszy za próg swych mieszkań, nie będą już mogli zejść na dół. Tak dotarliśmy na najwyższe piętro i zatrzymaliśmy się przed drzwiami, na których spostrzegłem napis: „Pocket junior. Na skrzynce od listów widniała kartka ze słowami: „Zaraz wracam.

- Nie przypuszczałaś, że pan tak prędko nadejdzie - objaśnił Mr. Wemmick - czy jestem panu jeszcze potrzebny?

- Nie - odparłem - dziękuję panu.

- Ponieważ to ja zarządzam kasą, będziemy się pewnie często widywali. Do widzenia.

- Do widzenia...

Wyciągnąłem rękę na pożegnanie. Mr Wemmick spojrzał najpierw na moją dłoń, jak gdyby sądził, że spodziewam się datku, potem zwrócił wzrok na mnie i zapytał, jak gdyby naprawiając swoją pomyłkę:

- Pan ma zwyczaj podawania ręki?

Zmieszałem się, bo zrozumiałem, że jest to sprzeczne z londyńskimi obyczajami, ale odparłem, że tak.

- Bardzo szybko się od tego odzwyczaiłem - zwierzył się Wemmick - chyba że widzę kogoś po raz ostatni. Do widzenia panu, miło mi było poznać pana.

Gdy uścisnęliśmy sobie dłonie i odszedł, otworzyłem okno na klatce schodowej, ale omal się nie zabiłem, gdyż zawiasy były przegniłe i okno spadło na mnie jak gilotyna. Na szczęście nie zdążyłem jeszcze wychylić głowy, gdyż zostałyby obcięta. Teraz gdy zostawiam sam, przyglądałem się mglistemu widokowi „Gospody Barnarda poprzez zaslonę z kurzu zasnuwającą okno i podziwiałem Londyn. Doszedłem do wniosku, że to miasto jest stanowczo przechwalone.

Pojęcie czasu, jakie łączyło się u Pocketa juniora z wyrazem „zaraz, nie pokrywało się z moim wyobrażeniem, gdyż omal nie oszalałem z nudów patrząc w ciągu pół godziny przez okno i wypisując na zakurzonych szybach palcem swoje nazwisko, zanim usłyszałem jego kroki na schodach. Stopniowo wyłoniły się przed moimi oczyma kapelusz, głowa, krawat, kamizelka, spodnie i buty obywatela mniej więcej równego ze mną stanu. Pod każdym

ramieniem miał papierową torbę, w jednej z rąk koszyczek z truskawkami i z trudnością chwycił oddech.

- Mr Pip? - spytał.

- Mr Pocket? - zagadnąłem.

- Mój Boże - zawołał - jakże mi przykro, ale wiedziałem, że jest dyliżans z pańskich stron w południe, i sądziłem, że pan nim właśnie przyjedzie. Jeżeli to może być usprawiedliwieniem to wyznam, że wychodziłem, żeby kupić coś dla pana: zdawało mi się, że pan ze wsi będzie miał ochotę na owoce po obiedzie i chodziłem po nie aż na rynek Covent Garden.

Była pewna przyczyna, dla której sądziłem, że oczy wyskoczą mi z głowy. Zaledwie słuchałem jego uprzejmych słów i czułem się jak we śnie.

- Mój Boże - skarżył się Pocket - te drzwi z takim trudem się otwierają.

Kiedy nieomal już zrobił marmoladę z owoców, walcząc z drzwiami, a torebki papierowe tkwiły mu pod pachami, poprosiłem, czy mogę mu w czymś pomóc. Pozwolił z miłym uśmiechem i zaatakował na nowo drzwi, jak gdyby były dziką bestią. Otworzyły się tak nagle, że zatoczył się na mnie, ja zatoczyłem się na drzwi naprzeciwko i obaj wybuchnęliśmy śmiechem. Ale wciąż jeszcze czułem, że oczy wyskakują mi z głowy i że to wszystko jest chyba snem.

- Proszę niech pan wejdzie - zapraszał Pocket junior - ja pana poprowadzę. Trochę tu pusto, ale spodziewam się, że pan jakoś wytrzyma do poniedziałku. Ojciec myślał, że pan będzie wolał spędzić jutrzejszy dzień ze mną niż z nim i że ja pokażę panu Londyn. Będę bardzo rad mogąc panu pokazać miasto. Jedzenie będzie panu chyba smakowało, bo będą je przynosili z pobliskiej kawiarni, i to (muszę dodać) na pański koszt, gdyż tak zarządził Mr. Jagers. Mieszkanie nie odznacza się wytwornością, gdyż sam muszę zarabiać na życie. Ojciec mój nie jest zamożny, a nawet gdyby był, nie brałbym od niego na utrzymanie. Oto nasza bawialnia. Mamy tu tylko takie krzesła, stół, dywan itd., jakie nie były niezbędne u nas w domu. Nie trzeba mi przypisywać posiadania obrusa, noży czy widelców, bo to wszystko będą nam przynosili z kawiarni. Oto moja sypialnia; czuć ją trochę stęchlizną, ale w tym domu czuć wszędzie stęchliznę. Oto pana sypialnia; meble wypożyczyliśmy na tę okazję, myślę, że panu wystarczą, a gdyby pan czego potrzebował, przyniosę. Mieszkanko jest odosobnione, będziemy tu sami we dwóch, ale spodziewam się, że się nie pobijemy. Ale, mój Boże, pan cały czas trzyma owoce w ręku. Proszę mi dać także te torby. Wstyd mi doprawdy.

W chwili gdy oddawałem Mr. Pocketowi juniorowi paczki, ujrzałem w jego twarzy to samo zdumienie, które mnie od początku ogarnęło, i powiedział cofając się:

- Na Boga, to pan jest tym chłopcem przybłądą!

- A pan - odparłem - jest tym bladym, młodym chłopakiem!

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Blady, młody chłopiec i ja staliśmy długą chwilę w „Gospodzie Barnarda patrząc na siebie, aż wybuchnęliśmy obaj śmiechem.

- Pomyśleć, że to pan - zauważył.

- Pomyśleć, że to pan - odparłem.

Tu znowu przyjrzeliliśmy się sobie i roześmieliśmy się.

- A więc - oświadczył młodzieniec - musi mi pan teraz, gdy już od dawna jest po wszystkim, wspaniałomyślnie wybaczyć, że pana wtedy tak pobił.

Wywnioskowałem z tych słów, że Herbert Pocket (gdyż na imię mu było Herbert) pomylił zamiary, jakie wówczas miał, z rezultatami, jakie osiągnął. Ale odpowiedziałem skromnie i uścisnęliśmy sobie gorąco dłonie.

- W owym czasie nie miał pan jeszcze majątku? - zapytał Herbert Pocket.

- Nie, nie miałem.

- Tak, słyszałem tę historię. W owym czasie ja spodziewałem się dostać majątek.

- Doprawdy?

- Tak, miss Havisham sprowadziła mnie, by się przekonać, czy nie nabierze dla mnie sympatii, ale okazało się, że nie.

Zrobiłem uprzejmą uwagę, że dziwi mnie to ogromnie.

- Zły gust - osądził ze śmiechem Herbert - ale fakt jest faktem. Tak. Przysłała po mnie, żebym przyjechał na próbne odwiedziny, i gdybym z nich wyszedł zwycięsko, to, przypuszczam, wyznaczyłaby mi pensję i może zostałbym wybranym, czy jak pan go chce tam nazwać... Estelli.

- Co takiego? - zagadnąłem z nagłą powagą.

Był zajęty układaniem owoców na talerzach i odwrócony do mnie plecami powiedział:

- Narzeczonym, obiecany, przyszłym, jak pan sobie chce.

- Jakże pan zniósł rozczarowanie? - badałem.

- Och, nic mnie to nie obeszło. To dzikuska.

- Kto? Miss Havisham? - spytałem.

- I ona może także - odparł - ale miałem na myśli Estellę. To dziewczyna już z natury wyniosła, twarda i kapryśna do najwyższego stopnia, a została wychowana przez miss Havisham jako narzędzie zemsty na płci męskiej.

- Jaka to krewna miss Havisham?

- Żadna - wyjaśnił - adoptowała ją.

- Za cóż miałyby się mścić na mężczyznach? - nie rozumiałem.

- Boże, Mr. Pip - zawołał - czyżby pan nie wiedział?

- Nie - odparłem.

- To cała historia, zostawmy ją na czas obiadu, a teraz czy wolno mi zadać jedno pytanie? W jaki sposób dostał się pan tam wtedy?

Opowiedziałem mu wszystko. Słuchał mnie uważnie do końca a potem wybuchnął śmiechem i spytał, czy wtedy nie cierpiałem na skutek naszej bitwy. Odpowiedziałem, że nie, i sam nie zadałem mu tego samego pytania, gdyż i tak znałem odpowiedź.

- Słyszałem, że Mr. Jaggers jest pańskim opiekunem? - dowiadywał się.

- Tak.

- Pan wie, że to adwokat miss Havisham, przedstawiciel jej interesów, człowiek, do którego ma bezgraniczne zaufanie?

To pytanie wprowadzało mnie na niebezpieczne tory, więc odparłem z rezerwą, że widziałem Mr. Jaggersa w domu miss Havisham tylko raz jeden, w dniu naszej walki, i nigdy już więcej” a nie sądzę, aby on kiedy mnie tam zauważył.

- Był na tyle łaskaw, że zaproponował mego ojca jako pańskiego opiekuna i nauczyciela i sam się do niego o to zwrócił.. Oczywiście, słyszał o moim ojcu od miss Havisham. Mój ojciec jest kuzynem miss Havisham, ale nie ubiega się o jej łaski i dlatego nie ma między nimi żadnych stosunków rodzinnych.

Herbert Pocket miał swobodny i szczerzy sposób mówienia i tym ogromnie ujmował. Nie znałem do tego czasu ani nawet potem żadnego człowieka, który by do tego stopnia budził zaufanie, że nie potrafi zrobić nic niskiego ani obłudnego. Było w nim. wiele obiecującego, a jednocześnie coś mi mówiło, że ten chłopiec nigdy nie dojdzie do wielkiego majątku ani powodzenia. Nie wiem, co mnie tak nastroiło, ale byłem tego pewien, jeszcze zanim zasiedliśmy do obiadu. Mimo wesołości i żywości pozostał na zawsze małym, bladym młodzieńcem o hamowanej tęsknocie i małej odporności. Twarz jego nie była ładna, ale miała coś więcej niż urodę, bo urok i serdeczność. Postać jego wydawała się trochę niezręczna jak wówczas, kiedy pięści moje pozwalały sobie nią potrząsać, ale robił wrażenie, jak gdyby przez całe życie miał być młody i lekki.

Nie wiem, czy wyglądałby sztywnie w garniturze szytym przez prowincjonalnego mistrza Mr. Trabba, ale pewien jestem, że w swych starych ubraniach wydawał się elegantszy niż ja. w nowym.

W odpowiedzi na jego szczerość nie mogłem być Mr.ukiem i opowiedziałem mu całą krótką moją historię dodając z naciskiem, że zobowiązałem się do dyskrecji na temat mojego dobroczyńcy. Dodałem też, że wychowany na wsi przez kowala nie znam form towarzyskich i będę mu wdzięczny, jeżeli przy każdym błędzie zwróci mi uwagę.

- Z przyjemnością - zgodził się - ale z góry mogę przewidzieć, że nie będzie pan tego długo potrzebował. Będziemy zapewne często przebywali razem i chciałbym, abyśmy się wzajemnie niczym nie krępowali. Czy zrobi mi pan tę łaskę i będzie mi mówił po imieniu: Herbert?

Zgodziłem się i w zamian powiedziałem mu, że mnie na imię Filip.

- Nie byłoby mi przyjemnie nazywać ciebie Filipem - wyznał z uśmiechem. - Filip to dla mnie, nie wiem czemu, chłopiec z elementarza tak leniwy, że wpadł do stawu, tak tłusty, że nie mógł patrzeć na oczy, albo tak skąpy, że zamknął swoją porcję ciasta, którą potem zjadły myszy, albo taki okrutny w stosunku do ptasich gniazd, że za karę pożarły go niedźwiedzie z sąsiedztwa. Chciałbym cię nazywać inaczej. Jesteśmy w takiej zgodzie, a tyś był chowany przez kowala, to mi nasuwa pewne imię. Ale nie będziesz się gniewał na mnie?

- Nie będę się gniewał za nic, co mi proponujesz - powiedziałem - ale nie rozumiem, o co chodzi.

- Czy pogniewałbyś się, gdybym cię nazywał imieniem Haendel? Jest uroczy utwór Haendla pt. „Muzykalny kowal”.

- Bardzo by mi się to podobało.

- Wobec tego, mój miły Haendlu, oto obiad - oznajmił, gdy drzwi się otworzyły - i będę musiał cię prosić, byś zajął główne miejsce przy stole, bo ty tu jesteś gospodarzem.

Nie chciałem o tym słyszeć, więc zasiadł na poczesnym miejscu, a ja naprzeciw niego.

Był to miły, smaczny obiadek, który wydawał mi się po prostu ucztą wydaną przez LordaMayora Londynu, a uroku dodawał mu fakt, że jedliśmy go we dwójkę, bez starszych osób i w sercu stolicy. Nastrój cygański powiększało to, że potrawy przyniesione z kawiarni były, jakby powiedział Mr. Pumblechook, „szczytem zbytku”, ale ze względu na pustkę otoczenia kelner podając je zachowywał się w sposób szczególny: kładł pokrywy od naczyń na podłodze, (a potem się o nie potykał), topione masło w rynce umieszczał na fotelu, chleb na półce od książek, ser na pokrywie wiadra z węglem, a gotowaną kurę na moim łóżku w sąsiednim pokoju (znalazłem później, kładąc się spać, pewną ilość sosu koperkowego zastygłego na posłaniu). Wszystko to dodawało czaru uczcie, a kiedy kelner odchodził i na mnie nie patrzył, przyjemność osiągała szczyty.

Byliśmy już w środku obiadu, gdy przypomniałem Herbertowi, że miał opowiedzieć o miss Havisham.

- Prawda, zaraz ci opowiem - odparł - ale pozwól sobie zwrócić uwagę, Haendel, że w Londynie nie ma zwyczaju pakowania noża do ust - z obawy przed wypadkami - tym bardziej że do tego celu przeznaczono widelec. To nie ma większego znaczenia, ale lepiej tak robić jak inni. Tak samo łyżkę lepiej odwrócić zagłębieniem do góry. Ma to dwie dobre strony: trafiasz pewniej do ust (co jest przecież głównym celem) oraz unikasz takiego gestu prawym łokciem, jak gdybyś otwierał ostrzygi.

Powiedział te uwagi takim serdecznym tonem, że obaj roześmieliśmy się, a ja się ledwie zarumieniłem.

- Teraz wracam do miss Havisham. W dzieciństwie ogromnie ją psuto. Matka odumarała ją we wczesnym dzieciństwie, a ojciec niczego jej nie odmawiał. Był ziemianinem w twoich stronach i właścicielem browaru. Nie wiem, czemu jest to zajęcie godne wytwornego pana, ale wiem, że nie można być jednocześnie wielkim panem i piekarzem, a zajęcie piwowara nic wielkiemu panu nie przeszkadza. Tak już jest.

- Wytworny pan nie może trzymać oberży, prawda? - spytałem.

- Prawda, choć oberża może trzymać wytwornego pana - odparł ze śmiechem Herbert - a więc Mr. Havisham był bardzo bogaty i bardzo dumny. Jego córka wrodziła się w niego.

- Czy miss Havisham była jedynaczką? - badałem.

- Poczekaj chwilę, właśnie dochodzę do tego momentu. Miała brata przyrodniego. Ojciec jej ożenił się powtórnie, zdaje się z kucharką. W każdym razie potajemnie.

- Myślałem, że był bardzo dumny - powiedziałem.

- Mój poczciwy Haendlu, był dumny, toteż ożenił się drugi raz potajemnie. Wkrótce potem żona umarła. Wtedy dopiero wyznał córce, co uczynił, i sprowadził syna, który zamieszkał w znanym ci domu i wszedł do rodziny. Kiedy chłopiec dorósł, stał się młodzieńcem rozrzutnym, krnąbrnym, nieobowiązkowym, słowem miał zły charakter. Wreszcie ojciec wydziedziczył go, ale umierając wybaczył mu i pozostawił spadek, chociaż znacznie mniejszy niż miss Havisham. Nalej sobie jeszcze szklankę wina i pozwól mi zauważyć, że w towarzystwie bynajmniej nie wymagają, by wychylać szklankę do ostatniej kropli, a potem stawiać ją do góry dnem na stole.

Zrobiłem tak, pochłonięty jego opowiadaniem, przeprosiłem go za to, a on, rzuciwszy szybko „Nic nie szkodzi, mówił dalej:

- Miss Havisham została więc teraz bogatą dziedziczką i zaczęto się o nią ubiegać z powodu jej majątku. Jej przyrodni brat był zamożny, ale długi, jakie posiadał, i obecne jego

rozrzutne życie pożarły szybko bogactwo, a sprzeczki pomiędzy nim a siostrą stały się jeszcze gorsze niż pomiędzy nim a ojcem. Podejrzewano też, że czuł do niej głęboką nienawiść uważając ją za tę, która buntowała przeciwko niemu ojca. Teraz dochodzę do najokrutniejszej części tej historii, ale pozwól sobie przedtem zauważyć, że serwetka nie jest stworzona po to, aby ją wpychać do kieliszka, drogi Haendlu.

Nie potrafię wytłumaczyć, czemu kładłem serwetkę do kieliszka. Wiem tylko, że starałem się złożyć ją do najmniejszych rozmiarów, uparłszy się, że musi się zmieścić w kieliszku. Podziękowałem mu, znowu przepraszając, na co odpowiedział: „To nic i mówił dalej:

- Wówczas zjawia się na scenie, pewnie na wyścigach, na balu czy w innym podobnym miejscu młody człowiek, który zaczyna zabiegać o miłość miss Havisham. Nigdy go nie widziałem, bo działo się to przed dwudziestu pięciu laty (kiedy ani mnie, ani ciebie, Haendlu, nie było jeszcze na świecie), ale słyszałem od mego ojca, że był to przystojny mężczyzna i jak stworzony do tej roli. Ojciec mój twierdził jednak, że trzeba było być bardzo mało przenikliwym albo bardzo stronnym, by móc wziąć go za człowieka szlacheckiego rodu. Zdaniem ojca, nikt, kto nie jest szlachetny w sercu nie potrafi nim być i na zewnątrz. Mówi on zawsze, że żadna politura nie jest w stanie pokryć gatunku drzewa, przeciwnie, im więcej politurey, tym gatunek bardziej wychodzi na jaw.

Więc ten to człowiek prześladował miss Havisham i oświadczał, że jest zapalonym wielbicielem. Wydaje mi się, że do tego czasu miss Havisham nie okazywała wiele wrażliwości na te sprawy, ale teraz wszystko się w niej obudziło i pokochała go namiętnie. Nie ulega wątpliwości, że po prostu ubóstwiała tego człowieka. Wyzyskiwał jej uczucie systematycznie w ten sposób, że wyłudzał od niej duże sumy pieniędzy. Doprowadził ją do tego, że odkupiła od brata jego udział w browarze (który ojciec, ulegając słabości, mu pozostawił) pod pretekstem, że kiedy będzie jej mężem, chciałby osobiście kierować całym browarem. Za udział ten zapłaciła miss Havisham bratu olbrzymią sumę. Twój opiekun nie był jeszcze wówczas prawnym doradcą miss Havisham, a ona była zbyt wyniosła i zbyt zakochana, by pytać kogoś o radę.

Jej krewni byli ubodzy i intryganci, a jedynym wyjątkiem wśród nich był mój ojciec, który mimo niezamożności nigdy nie zazdrościł jej majątku i nie zajmował się intrygami. On też jeden, jako niezależny, ostrzegł miss Havisham, że niedobrze robi czyniąc zbyt wiele dla tego człowieka i oddając się całkowicie w jego moc.

Skorzystała z pierwszej okazji, by w obecności narzeczonego wypędzić mego ojca ze swego domu. Poszedł i dotychczas u niej nie był.

Przypomniałem sobie usłyszane niegdyś słowa: „Mateusz przyjdzie do mnie, gdy będę leżała martwa na tym stole” i spytałem Herberta, czemu jego ojciec jest taki na nią zawzięty.

- Nie jest zawzięty - odparł - tylko że w obecności swego narzeczonego zarzuciła mu, że zawiedziony w swych nadziejach stara się wyjednać u niej własne korzyści, więc gdyby teraz poszedł do niej, to i ona, i on mieliby uczucie, że staje się to prawdą. Ale wracajmy do tamtej historii. Dzień ślubu był naznaczony, sprawiono stroje weselne, ułożono podróż poślubną, zaproszono gości. Przyszedł ten dzień, ale nie zjawił się narzeczony. Napisał do niej list...

- Który otrzymała - dokończyłem - dwadzieścia minut przed dziewiątą, gdy ubierała się do ślubu...

- Tak, o tej godzinie co do minuty - pokiwał głową Herbert - i o tej godzinie zatrzymała wszystkie zegary. Co było w tym liście, nie wiem, wiem tylko, że zrywał małżeństwo w sposób bezlitosny. Kiedy wyzdrowiała z ciężkiej choroby, na którą zapadła, zrobiła ze swego domu to, coś tam widział, i nigdy odtąd nie ujrzała światła dziennego.

- Czy to już cała historia? - spytałem.

- W każdym razie wszystko, co ja z niej wiem. I to musiałem sobie zrekonstruować z fragmentów, bo ojciec mój nie lubi mówić na ten temat i nawet gdy mnie tam posyłał, powiedział mi tylko to, co było konieczne. Ale zapomniałem jeszcze o czymś. Otóż podejrzewano potem, że człowiek ten był w zмовie z jej przyrodnim bratem i że podzielili się pomiędzy sobą łupem.

- Czemu więc nie ożenił się z nią raczej i nie zagarnął całego majątku? - dziwiłem się.

- Może był zonaty, a może okrutny ból, jaki jej zadał, stanowił także część planu jej brata - odpowiedział Herbert - nie mam pojęcia.

- Co się stało z tymi dwoma ludźmi? - badałem.

- Spadali coraz niżej w upodleniu, wreszcie spotkała ich całkowitą ruina.

- Czy żyją?

- Nie wiem.

- Mówiłeś, że Estella nie jest krewną miss Havisham, tylko została przez nią adoptowana. Kiedy ją adoptowała?

Herbert wzruszył ramionami:

- Nie wiem. Zawsze, od czasu kiedym słyszał o miss Havisham, była i Estella. A teraz, Haendel, powiedziałem ci już wszystko otwarcie i wiesz tyle samo o miss Havisham, co i ja.

- A wszystko, co ja wiem, ty wiesz - odparłem.

- Wierzę ci. Nie będzie więc między nami żadnych nieporozumień ani nie-domówień. Co zaś do owego warunku, pod jakim udzielono ci majątku, abyś nigdy nie usiłował dochodzić, komu go zawdzięczasz, to możesz być pewien, że ani ja, ani nikt inny z mojej przyczyny nie będzie nigdy poruszał tej sprawy czy też robił do niej najmniejszych aluzji.

Powiedział to z takim taktem, iż od razu nabrałem przekonania, że gdybym nawet lata całe mieszkał pod dachem jego ojca, kwestia ta nie będzie przez nikogo wskrzeszana. Jednocześnie ogarnęła mnie niemal pewność, że i on, tak jak ja, uważa za mego dobroczyńcę miss Havisham.

Po tych jego słowach pojąłem, że umyślnie poruszył ten temat, by go wyjaśnić, i obaj poczuliśmy ulgę, że więcej do niego nie powrócimy. Było nam teraz bardzo wesoło. Spytałem go, jaki jest jego zawód.

- Jestem kapitalistą, zajmuję się ubezpieczaniem okrętów. Rozejrzałem się po pokoju, jak gdyby szukając w nim śladów kapitału lub okrętów, więc dorzucił:

- W City.

Moje dotychczasowe pojęcie o bogactwie i władzy ludzi, którzy zajmują się w City ubezpieczeniem okrętów, kazało mi przerazić się na myśl, że jednemu z nich podbiłem w swoim czasie oko, przewróciłem go na ziemię i potargałem mu włosy. Pocieszyło mnie tylko powracające na nowo przeczucie, że Herbert nie należy do ludzi, którzy mają władzę lub majątek.

- Nie zadowolę się bynajmniej wkładaniem kapitału w ubezpieczanie okrętów - ciągnął dalej. - Kupię pewną ilość akcji ubezpieczeń na życie i w ten sposób dostanę się do zarządu Towarzystwa. Zainteresuję się też akcjami kopalni i nie przeszkodzi mi to pozostawić na boku kilka tysięcy ton na własne potrzeby. Myślę, że będę prowadził handel - ciągnął dalej, rozwalając się niedbale na fotelu - z Indiami Wschodnimi. Handel jedwabiami, szalami, korzeniami, lekami, barwnikami i rzadkimi gatunkami drzewa. To bardzo interesujące transakcje.

- Czy dużo się na nich zarabia?

- Bardzo dużo - odparł.

Ogarnęły mnie wątpliwości i pomyślałem, że bywają jeszcze większe nadzieje niż moje własne.

- Przypuszczam, że będę - mówił dalej, zatykając palce za kamizelkę - prowadził też handel z Indiami Zachodnimi cukrem, tytoniem i rumem. Z Cejlonem będę zawierał umowy wyłącznie o kość słoniową.

- Będziesz potrzebował bardzo wielu okrętów - zauważyłem.

- Po prostu całej floty - oznajmił.

Olśniony takimi perspektywami spytałem go, z jakimi krajami handlują przeważnie okręty, które on dotychczas ubezpieczył.

- Jeszcze nie rozpocząłem ubezpieczenia - odpowiedział - mam dopiero zamiar to robić.

Te słowa już bardziej harmonizowały z atmosferą „Gospody Barnarda. Powiedziałem więc domyślnym tonem: „A a a.

- Tak, na razie pracuję w biurze i obmyślam sobie te sprawy.

- Czy w takim biurze zarabia się dużo?

- Kto? Czy myślisz o młodym człowieku, który jest tam urzędnikiem?

- Tak. O tobie.

- Nnno nie bardzo, nie bardzo wiele... Na razie nic mi nie płacą. Muszę sam dbać o własne utrzymanie.

Nie wyglądało to pocieszająco, więc potrząsnąłem z troską głową, jak gdyby chcąc w ten sposób okazać, że trudno będzie włożyć w cokolwiek kapitał pochodzący z tak niepewnego źródła dochodów.

- Ale najważniejsze jest to - tłumaczył Herbert - że masz tam okazję rozglądać się wokół siebie. W takim biurze możesz się rozglądać.

Pomyślałem, że przecież nie tylko w biurze można się rozglądać wokół siebie, ale poddałem się w milczeniu jego doświadczeniu.

- I oto nadchodzi chwila, kiedy chwytasz jakąś okazję. Chwytasz ją, już masz kapitał i możesz go użyć, jak ci się podoba - mówił Herbert.

Zupełnie tak samo odnosił się do tych spraw jak do naszej bójki w ogrodzie i tak samo znosił spokojnie swą biedę jak ówczesną porażkę. Miałem uczucie, że podobnie znosi ciosy losu, jak wówczas znosił moje uderzenia. Jasne było, że nie posiada nic, co by do niego należało, bo okazało się, że wszystkie przedmioty znajdujące się w pokoju zostały wypożyczone z kawiarni lub skądinąd z okazji mego przyjazdu.

W ten sposób zrobiwszy w fantazji olbrzymi majątek, nie chełpił się nim jednak i niemal byłem mu wdzięczny za jego skromność. Stanowiła ona miły dodatek do jego innych przyjemnych cech i czuliśmy się ze sobą doskonale. Wieczorem wyruszyliśmy na spacer po ulicach i poszliśmy do teatru, gdzie były bilety po cenach znizowanych. Nazajutrz odwiedziliśmy kościół w Opactwie Westminsterskim, a po południu przechadzaliśmy się po parkach.

Zastanawiałem się, kto też podkuwa te wszystkie konie i życzyłem sobie, aby to robił Joe.

Miałem wrażenie, że oto upłynęły już miesiące od ostatniej niedzieli, kiedy żegnałem się z Joem i Bidy. Dystans, który nas teraz dzielił, rósł z każdą chwilą, a nasze rodzinne bagniska wydawały mi się niezmiernie daleko. Fakt, że jeszcze ostatniej niedzieli mogłem się znajdować w naszym starym kościele ubrany w stare, niedzielne ubranie, wydawał mi się niemożliwością geograficzną, społeczną, słoneczną i księżycową.

A jednak na ulicach londyńskich, tak jasno oświetlonych z nastaniem zmierzchu i tak bardzo rojnych, dręczyły mnie wyrzuty sumienia na myśl o starej kuchni, którą pozostawiłem tak daleko za sobą, a w ciszy nocnej, gdy za oknami rozlegały się rzadkie kroki i nawoływania jakichś przygodnych tragarzy udających stróżów nocnych „Gospody Barnarda, ciężko mi było na sercu.

W poniedziałek rano kwadrans przed dziewiątą Herbert udał się do swego biura, aby się tam rozglądać wokół siebie, a ja mu towarzyszyłem.

Miał po upływie godziny lub dwóch wyjść stamtąd i odprowadzić mnie do Hammersmith, więc czekałem na niego. Odniosłem wrażenie, że jajka, z których mieli się wykluwać młodzi agenci asekuracyjni w rodzaju Herberta, musiały pozostawać, jak jajka strusiów, w upale i kurzu. Świadczył o tym wygląd miejsc, gdzie przebywały owe rozpoczynające naukę olbrzymy. Biuro Herberta również nie robiło na mnie wrażenia dobrego obserwatorium: znajdowało się na drugim piętrze w podwórzu, było pod każdym względem ponure i brudne, a widok miało równie nieobiecujący, bo okna jego wychodziły także na drugie piętro, tylko w następnym podwórzu.

Czekałem do dwunastej, a potem poszedłem pod Giełdę, gdzie przed ogłoszeniami okrętowymi siedzieli jacyś jegomoście. Wziąłem ich zrazu za wielkich kupców, ale nie pojmowałem, czemu mają taki przygnębiony wygląd.

Kiedy Herbert nadszedł, udaliśmy się razem na drugie śniadanie do restauracji, która wydała mi się wówczas najwspanialszym zakładem, ale o której obecnie jestem zdania, iż to najokropniejsza dziura w Europie. Już wówczas spostrzegłem znacznie więcej sosu na obrusach, nożach, widelcach i na ubraniach kelnerów niż na mięsie. Spożywszy drugie śniadanie po umiarkowanej cenie (tłuszcz nie był w nią wliczony) wstąpiliśmy do „Gospody Barnarda” po moją skromną walizeczkę, a stamtąd pojechaliśmy dylizansem do Hammersmith. Przybyliśmy tam o drugiej czy trzeciej po południu i już niewiele drogi piechotą dzieliło nas od domku państwa Pocketów. Podniósłszy haczyk w furtce znaleźliśmy się w małym ogródku przylegającym do rzeki. Bawiły się tam dzieci państwa Pocketów.

Zaraz od pierwszego spojrzenia na latorośle państwa Pocket miałem wrażenie, chociaż być może myliłem się, że dzieci te nie są przez nikogo chowane, że nikt nie troszczy się o to, by je doprowadzić do wieku dorosłego, ale że na własną rękę zdają się gramolić w górę ku dojrzałości.

Mrs Pocket siedziała pod drzewem w ogrodowym fotelu, mając stopy oparte o drugi fotel i czytała, gdy dwie nianie pilnowały bawiących się dzieci.

- Mamo - powiedział Herbert - to jest Mr. Pip.

Mrs Pocket przywitała mnie z zachowaniem uprzejmej godności.

- Paniczu Alick i panienko Jane - krzyknęła nagle jedna z nianiek - jeżeli będziecie fikali kozły przy tych krzakach nad wodą, wpadniecie do rzeki i utopicie się, i wtedy co powie wasz tatuś?

W tejże chwili druga niania podniosła rękawiczkę Mrs. Pocket i zauważyła:

- Co najmniej szósty raz rzuca ją pani na ziemię.

Na to Mrs. Pocket odpowiedziała wybuchając śmiechem:

- Dziękuję ci, Flopson.

To mówiąc usadowiła się tym razem w jednym tylko fotelu i powróciła do książki. Wyraz jej twarzy stał się od razu taki, jak gdyby nie odrywała się od czytania co najmniej przez tydzień, ale nie zdążyła jeszcze przeczytać kilku wierszy, gdy podniosła oczy na mnie i spytała:

- Spodziewam się, że matka pana miewa się dobrze?

To niespodziane pytanie zmieszało mnie tak bardzo, iż zacząłem w najgłupszy sposób jąkać, że z pewnością, gdybym miał matkę, czułaby się dobrze i przesłałaby Mrs. Pocket pozdrowienia ale w tejże chwili z kłopotu wybawiła mnie niania.

- Coś podobnego! - zawołała podnosząc znowu rękawiczkę - to już siódmy raz ją pani rzuca! Co też się z panią dzieje dzisiaj!

Mrs. Pocket popatrzyła na swoją własność, jak gdyby nie wiedząc, co trzyma w ręku, ale zaraz potem wybuchnęła śmiechem i powiedziała:

- Dziękuję ci, Flopson.

Po czym zapomniała o mnie i zabrała się na nowo do czytania.

Teraz mogłem policzyć dzieci i stwierdziłem, że jest nie mniej niż sześcioro małych Pockeciątek, w różnych stadiach gramolenia się przez życie. Właśnie w tej chwili usłyszałem smutną skargę siódmego, płaczącego żałośnie gdzieś w górze.

- To chyba Bobo - zawołała zdumionym głosem Flopson - Millers, pośpiesz się!

Millers, druga niańka, zniknęła w głębi domu i żalospny płacz przycichł po chwili, jak głos brzuchomówcy trzymającego coś w ustach. Mrs Pocket czytała przez cały czas i bardzo byłem ciekaw, co to za książka.

Mr Pocket miał widocznie wyjść do nas, więc podczas oczekiwania nadarzyła mi się okazja obserwowania niebywałego zjawiska rodzinnego: oto dzieci, ilekroć w zabawie zapędziły się w okolice Mr.s Pocket, potykały się i wpadały na nią, ona reagowała chwilowym zdumieniem, a maleństwa o wiele trwalszym płaczem. Rozmyślałem jeszcze nad tym niezwykłym widokiem, kiedy z domu wyszła Millers niosąc Bobo. Podała je Flopson, ta wręczyła je Mr.s Pocket, ale w tej chwili dama owa z dzieckiem zachwiała się i została podtrzymana dopiero przeze mnie i Herberta.

- Boże mój - zawołała Mr.s Pocket podnosząc oczy znad książki - Flopson, co to się dzieje, że wszyscy się przewracają.

- Boże mój - powtórzyła Flopson - rzeczywiście, co pani dzisiaj wyprawia?

- Ja wyprawiam? Flopson? - spytała Mr.s Pocket.

- No naturalnie, to wina pani krzesła - krzyknęła Flopson - nic dziwnego, że pani się przewraca, skoro podwinęła pani spódnice pod nogi krzesła. Niech pani mi da książkę i weźmie dziecko.

Mrs Pocket usłuchała rady, ale dość niezręcznie trzymała przez chwilę dziecko na kolanach, podczas gdy reszta pociech bawiła się koło niej. Mrs Pocket kazała więc zabrać wszystkie dzieci do domu na małą drzemkę. - Pomyślałem sobie, że dzieciństwo małych Pocketów składa się z przewracania i ze snu.

Gdy Flopson i Millers zagarniały gromadkę do domu, niczym stado owieczek, ukazał się wreszcie Mr. Pocket. Nie zdziwił mnie wcale jego zalekniony wyraz twarzy i wygląd człowieka, który nie wie, w jaki sposób doprowadzić do porządku swoje rozwichrzone siwe włosy.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Mr Pocket oświadczył, że jest szczęśliwy, iż mnie widzi. Spodziewa się, że i mnie nie sprawia przykrości swoją obecnością.

- Bo doprawdy - dorzucił z uśmiechem tak podobnym do uśmiechu syna - nie jestem straszną osobą.

Mimo siwych włosów i zakłopotanej miny wyglądał młodo i zachowywał się w sposób ogromnie naturalny. Przez naturalność mam na myśli pozbawioną afektacji prostotę. W jego roztargnieniu było coś komicznego i można by się nawet z niego śmiać, gdyby nie to, że on sam zdawał sobie doskonale sprawę ze swojej komiczności. Gdy już chwilę ze mną porozmawiał, zwrócił się do Mr.s Pocket marszcząc niespokojnie brwi, czarne i piękne:

- Belindo, spodziewam się, że przywitałaś się z Mr. Pipem? Spojrzała znad książki i odparła:

- Tak.

Potem uśmiechnęła się do mnie nieprzytomnie i spytała, czy lubię smak wywaru z kwiatu pomarańczowego.

Ponieważ pytanie to nie miało nic wspólnego z tym, o czym się mówiło dotychczas, uważałem je za czysto towarzyską uprzejmość, podobnie jak jej poprzednie odezwania się.

W parę godzin później dowiedziałem się, że Mr.s Pocket jest jedyną córką jakiegoś nieżyjącego już szlachcica i że wmówiła sobie, iż ojciec jej byłby z pewnością baronetem, gdyby się z jakichś osobistych względów nie sprzeciwiła temu pewna ważna figura; zapomniałem, kto to był - monarcha, premier, lord kanclerz, arcybiskup Canterbury czy ktoś inny. Na zasadzie owego niedoszedłego faktu Ignął do możliwych tego świata. Zdaje mi się, iż otrzymał tytuł szlachecki z okazji zaatakowania ostrzem pióra gramatyki angielskiej w rozpaczliwym adresie wypisanym grubymi literami na welinie. Uczynił to dla uczczenia uroczystości założenia kamienia węgielnego jakiegoś tam gmachu. Prócz tego podał jakiejś osobie z rodziny królewskiej kielnię czy wapno w owym uroczystym momencie. Z powodu tego zaszczytu wychował córkę w mniemaniu, że winna poślubić kogoś utytułowanego i chronić swą osobę przed wszelkim plebejskim zetknięciem się z gospodarstwem domowym. Opieka, jaką ów ojciec roztoczył nad córką w tym kierunku, sprawiła, że wyrosła ona na osobę dekoracyjną, ale całkowicie bezradną wobec wszystkich spraw życiowych. Mając tak szczęśliwie ukształtowany charakter, w kwiecie młodości spotkała Pocketa, który wówczas też znajdował się w kwiecie młodości i nie był jeszcze zdecydowany, czy ma wybrać

stanowisko Lorda Kanclerza, czy zdobyć mitrę książęcą. Ponieważ wybranie jednej lub drugiej godności zdawało się być tylko kwestią czasu, więc para młodych kuła żelazo póki gorące (a musiało być bardzo gorące) i wzięła ślub bez pozwolenia rozsądnego ojca. Rozsądnemu ojcu, gdy znalazł się wobec faktu dokonanego, nie pozostawało nic innego, jak pobłogosławić parze, co uczynił po krótkiej wewnętrznej walce, po czym oświadczył Mr. Pocketowi, że jego żona to „skarb godny księcia”. Mr Pocket zainwestował skarb książęcy w życiu codziennym, ale chyba nie ciągnął z niego wielkich zysków. Mimo wszystko Mr.s Pocket była otoczona pełnym szacunku współczuciem, ponieważ nie poślubiła człowieka utytułowanego, a Mr. Pocket stanowił obiekt pobłażliwych wyrzutów, że nigdy nie zrealizował swych arystokratycznych zamiarów.

Mr Pocket wprowadził mnie do domu i pokazał mi mój pokój, bardzo przyjemny i tak umeblowany, że mógł być jednocześnie i bawialnią. Następnie zapukał do drzwi dwóch zupełnie podobnych pokoi, których lokatorzy nazywali się Drummle i Startop. Drummle, młody, ale o starym wyglądzie, zbudowany ogromnie silnie, właśnie gwizdał. Startop, wyglądający na młodszego, czytał tak trzymając głowę, jak gdyby miała pęknąć lada chwila z nadmiaru wiedzy.

Państwo Pocketowie oboje tak dalece robili wrażenie ludzi będących pod czyjąś despotyczną władzą, że przez cały czas zastanawiałem się, kto w tym domu jest panem, dopóki nie odkryłem, że panuje tu służba.

Był to być może sposób oszczędzania domowi awantur, ale jednocześnie sposób ogromnie kosztowny, gdyż służba uważała za stosowne jadać obficie, pijać niezgorzej i przyjmować dużo gości w służbowych pomieszczeniach na dole.

Pozwalała ona co prawda dobrze jadać państwu Pocket, ale mam wrażenie, że korzystniej byłoby być stołownikiem na dole w kuchni niż w pokojach, oczywiście pod warunkiem, że było się dość silnym, by móc się zawsze obronić.

Nie upłynął jeszcze tydzień od mego przyjazdu, kiedy jakaś pani z sąsiedztwa, której państwo Pocketowie nawet nie znali osobiście, napisała list do Mr.s Pocket donosząc, że widziała, jak niańka Millers dała klapsa najmłodszemu dziecku. To zrobiło wielkie wrażenie na Mr.s Pocket: wybuchnęła płaczem i narzekała na sąsiadów, którzy wtrącają się w nieswoje sprawy.

Dowiedziałem się od Herberta, że Mr. Pocket kształcił się w Harrow i w Cambridge, gdzie wyróżniał się zdolnościami. Ale gdy miał szczęście ożenić się, musiał porzucić ambitne plany naukowe i obrał zawód szlifierza. Naostrzywszy długi szereg tępych szpad - przy czym właściciele ich obiecywali użyć swych wpływów dla urządzenia mu studiów, a kiedy szpada

była już ostra, zapominali o wszystkim - znużył się tym zawodem i przeniósł do Londynu. Tutaj, porzuciwszy górne aspiracje, zajmował się korepetycjami i uczył tych, którzy nie mieli w życiu szans lub nie potrafili ich wyzyskać, innych polerował na różne okazje, wreszcie wykorzystał swe talenty w kompilacjach literackich lub korektach. Te zajęcia, połączone ze skromnymi dochodami z niewielkiego majątku, pozwalały mu utrzymać rodzinę.

Państwo Pocket mieli podobną do ropuchy sąsiadkę, wdowę, z tego sympatycznego gatunku kobiet, które ze wszystkimi się zgadzają, wszystkim błogosławią i rozdzielają na wszystkie strony łzy i uśmiechy, zależnie od okoliczności.

Dama ta nazywała się Mr.s Coiler i miałem zaszczyt prowadzić ją do obiadu pierwszego dnia po moim przyjeździe. Oświadczyła mi na schodach, iż dla kochanej Mr.s Pocket było prawdziwym ciosem, że kochany Mr. Pocket musiał brać studentów na mieszkanie. Nie tyczy się to oczywiście mnie, jak powiedziała (choć w tym momencie знаła mnie zaledwie od pięciu minut), bo gdyby wszyscy byli tak sympatyczni, sprawa przedstawiałaby się zupełnie inaczej.

- Ale kochana Mr.s Pocket - ciągnęła Mr.s Coiler - po swym wczesnym rozczarowaniu życiowym (mimo że kochany Mr. Pocket nie jest temu winien) ma takie wymagania zbytku i elegancji...

- Tak, proszę pani - odparłem szybko, gdyż bałem się, iż się za chwilę rozplacze.

- I ma takie arystokratyczne upodobania...

- Tak, proszę pani - zgodziłem się z tej samej przyczyny.

-...że przykro jest patrzeć, jak kochany Mr. Pocket musi odrywać swą uwagę i czas od kochanej Mr.s Pocket dla innych spraw.

Pomyślałem, że o wiele gorzej byłoby, gdyby rzeźnik nie chciał już pewnego dnia poświęcać swego czasu ani uwagi kochanej Mr.s Pocket, ale nie powiedziałem ani słowa. Miałem dość zajęcia obserwując otaczające mnie towarzystwo i jego manieri.

Mimo że całą uwagę koncentrowałem na nożu, widelcu i łyżce, na szklance i innych narzędziach tortur, doszło moich uszu to, co mówiła Mr.s Pocket do Mr. Drummle'a. Powiedziała, że Drummle, który nosił imię Bentley, to drugi dziedzic tytułu baroneta. Dowiedziałem się wówczas, że książka, którą czytała w ogrodzie Mr.s Pocket, była cała poświęcona tytułom i że pani Belinda wiedziała dokładnie, kiedy to jej dziadek miał się znaleźć w tym herbarzu, gdyby się był w ogóle tam znalazł.

Drummle okazał się powściągliwy w słowach (zrobił na mnie wrażenie chłopca małomównego), ale dawał do poznania, że jest wybrańcem i że uważa Mr.s Pocket za równą sobie istotę. Nikt, prócz tych dwojga i Mr.s Coiler, nie mieszał się do rozmowy i miałem

wrażenie, że sprawiała ona przykrość Herbertowi. Pogawędka zapowiadała się na długo, gdy przerwał ją domowy incydent. Mały służący, który wtargnął do pokoju, oświadczył, że kucharka zgubiła gdzieś pieczeń wołową. Wtedy to po raz pierwszy ujrzałem coś, co prócz mnie nie dziwiło nikogo, a co po pewnym czasie przestało i mnie dziwić. Oto Mr. Pocket odłożył spokojnie nóż i widelec, przy pomocy których miał dzielić mięso, i zanurzwszy sobie dłonie w niesfornych włosach, stał tak przez długą chwilę, jak gdyby w ten sposób zbierając myśli i odzyskując spokój. Gdy jednak spokoju nie odzyskał, po chwili zrezygnował.

Wtedy to Mr.s Coiler zmieniła temat i zaczęła mi pochlebiać. Zrazu podobało mi się to, ale już po chwili spostrzegłem, że jej komplementy są zbyt gruboskórne, i miałem ich dosyć. Z jakąś zmiłowatą uprzejmością wypytywała mnie o moich przyjaciół i o strony, które opuściłem, i podobna była przy tym do gada z rozdwojonym jadowitym językiem. Kiedy z kolei zwróciła się do Startopa (który niemal nic do niej nie mówił) i do Drummle'a (który mówił jeszcze mniej), zazdrościłem im, że siedzą po drugiej stronie stołu.

Po obiedzie wprowadzono dzieci i Mr.s Coiler robiła uwagi o ich oczach, nosach i nogach (doskonały środek pedagogiczny). Były tam cztery małe dziewczynki, dwóch małych chłopców i jeden dzidzius, który mógł być jednym lub drugim, oraz najbliższy następca dzidziusia, który nie był jeszcze ani chłopczykiem ani dziewczynką. Flopson i Millers wepchnęły całą gromadkę do pokoju, niczym kaprale musztrujący dzieci, a Mr.s Pocket przyglądała się młodym szlachcicom z taką miną, jak gdyby skądś już ich wszystkich знаła, tylko nie mogła sobie w żaden sposób przypomnieć skąd.

- Proszę, niech pani da mi swój widelec i weźmie dzidziusia - rozkazała jej Flopson - Ale nie w ten sposób, bo będzie miał głowę pod stołem.

Mrs Pocket posłuchawszy rady wzięła dziecko w ten sposób, że głowa była co prawda nad stołem, ale stuknęła weń tak, aż wszyscy odczuli wstrząs.

- Boże, mój Boże! - krzyknęła Flopson - niech pani zaraz odda dziecko. Panno Jane, proszę przyjść i zatańczymy przed dzidziusiem.

Jedna z małych dziewczynek, niewiele większe od owada stworzonko, które nie wiadomo czemu wzięło na siebie ciężar zabawiania innych, wstała od stołu i zatańczyła przed dzieckiem, które przestało płakać i roześmiało się.

Wszystkie dzieci również wybuchnęły śmiechem, Mr. Pocket ostatecznie porzucił czynność szarpania się za włosy i roześmiał się także. I my wszyscy śmieliśmy się i byliśmy szczęśliwi.

Flopson powyginawszy członki dziecka na wszystkie strony, niczym nóżki i rączki lalki z gałganków, posadziła maleństwo wreszcie na kolanach Mr.s Pocket, dała mu do zabawy dziadka do orzechów, przykazawszy matce, by uważała, bo dziecko może sobie wsadzić go do oka. Wreszcie poleciwszy surowo to samo małej Jane oddaliła się z pokoju w towarzystwie drugiej niańki. Zaraz na schodach wybuchła żywa sprzeczka pomiędzy niańkami a młodym roztargnionym lokajczykiem, który podawał do. stołu i który połowę guzików przy liberii przegrał w hazardowej grze w guziki.

Było mi bardzo przykro patrzeć na Mr.s Pocket, która wdawszy się w dyskusję z Drumblem na temat baronii, jadła kawałki pomarańczy umaczone w cukrze i winie, a całkiem zapomniała o dziecku siedzącym na jej kolanach i wyczyniającym dziwne rzeczy z dziadkiem od orzechów. Wreszcie mała Jane uważając, że ten przyrząd zagraża mózgowi malca, wstała ze swego, miejsca i przy pomocy podstępu odebrała mu niebezpieczną broń. Mrs Pocket, która właśnie skończyła jeść pomarańczę, widocznie się to nie podobało, bo powiedziała do Jane:

- Niedobre dziecko. Jak śmiesz mu odbierać? Siadaj na, miejsce!

- Mamusiu kochana - zasepleniła dziewczynka - Dzidzi, sobie wybije oczki.

- Jak śmiesz mi coś podobnego mówić? - wołała Mr.s Pocket - siadaj w tej chwili na miejsce.

Godność Mr.s Pocket była tak miażdżąca, że sam poczułem się nieledwie winny.

- Belinda - odezwał się z drugiego końca stołu Mr. Pocket - jak możesz być tak nierozsądna? Przecież Jane chciała tylko dobra dziecka.

- Nie pozwolę nikomu się wtrącać - odparła Mr.s Pocket - i jestem zdumiona, Mateuszu, że pragniesz narażać mnie na afront wobec wszystkich.

- Boże, Boże! - jęknął Mr. Pocket w rozpaczy - czyż rzeczywiście mamy spokojnie patrzeć, jak niemowlęta kopią własny grób przy pomocy dziadka do orzechów i czyż nikt nie ma prawa ich ratować?

- Nie życzę sobie, aby Jane wtrącała się do mnie - oznajmiła Mr.s Pocket spoglądając z majestatem na niewinną małą grzesznicę - Znam zbyt dobrze pozycję mego dziada. Doprawdy, Jane!

Mr Pocket znowu zanurzył obie dłonie we włosach i tym razem, zdaje się, uniósł o kilka cali swą postać ponad krzesło.

- Słuchajcie! - krzyknął bezsilnie przed siebie. - Małe dzieci mają się zabijać na śmierć przy pomocy dziadków do orzechów z powodu pozycji społecznej nieszczęsnego dziadzi!

Potem usiadł z powrotem na krzesło i umilkł.

Wszyscy patrzyliśmy ze zmieszaniem w obrus podczas tej całej sceny. Nastąpiła przerwa, w czasie której ruchliwy dzidzius wykonał kilka skoków i wyrzucił z siebie kilka okrzyków na cześć małej Jane, która była jedyną istotą, jaką zdaje się uznawał.

- Mr Drummle, czy nie zechce pan zadzwonić na Flopson - poprosiła Mr.s Pocket - Jane, ty nieposłuszna, zła dziewczyno, idź spać, a dzidzius pójdzie z mamusią.

Dzidzius miał swój honor, więc zaprotestował gwałtownie. Po prostu przełamał się wpół na rękę Mr.s Pocket, ukazał zebranym zamiast buzi parę tłuściutkich nóżek, odzianych w szydełkowe buciki, i został wyniesiony w stanie najsroźszego buntu z pokoju. Ostatecznie jednak wygrał sprawę, gdyż widziałem po chwili przez okno, jak niosła go w ramionach mała Jane.

Pozostałych pięcioro dzieci siedziało dalej przy stole, gdyż Flopson miała właśnie do załatwienia jakieś prywatne sprawy, do których nikt nie miał prawa się wtrącać, więc nie miał kto się z nimi zająć.

Wtedy to mogłem zaobserwować wzajemne stosunki Mr. Pocketa i dzieci. Przedstawiały się one następująco. Mr Pocket patrzył badawczo i bezradnie na latorośle z taką miną, jak gdyby oczekiwał odpowiedzi na pytanie, jakim prawem otrzymują pożywienie przy jego stole i czemu Natura nie przydzieliła ich raczej gdzie indziej na mieszkanie. Potem, całkiem na sposób misjonarski, zadał im kilka pytań: - Czemu to Joe ma dziurę w kołnierzyku? - Odpowiedziano mu: - Bo Flopson nie miała czasu jej zacerować. - Czemu mała Fanny ma zranioną rękę? - Bo, tatusiu, Millers miała ją opatrzyć, ale zapomniała.

Potem nagle rozplynął się w ojcowskich czułościach, dał każdemu szylinga i powiedział, żeby poszli się bawić. Kiedy wstali, zrobił jeszcze jeden wysiłek, by się podnieść za włosy z krzesła, ale uznawszy to za beznadziejne, zaprzestał prób.

Wieczorem wiosłowaliśmy na rzece. Ponieważ Drummle i Startop mieli każdy po łódce, zdecydowałem, że i ja wezmę sobie jedną i prześcignę ich. Jako wiejski chłopiec byłem silny i zręczny we wszystkich zajęciach fizycznych i w wiosłowaniu również, ale obawiałem się, że nie posiadam eleganckiego stylu wymaganego na Tamizie (nie mówiąc już o innych rzekach), więc zdecydowałem oddać się pod opiekę młodego wiosłarza, zwycięzcy w zawodach, który grasował u nas na schodach i którego moi nowi koledzy mi przedstawili. Ten to autorytet wiosłarski wprawił mnie. w zakłopotanie mówiąc o mnie, że mam ramiona niczym kowal. Gdyby wiedział, jak bliski był z powodu tego komplementu utraty nowego ucznia, nigdy by się tak nie wyraził.

Przyszedłszy do domu wieczorem, zastaliśmy zimną kolację i bylibyśmy się pysznie bawili, gdyby nie pewien incydent domowy. Mr Pocket był w doskonałym humorze, gdy weszła jedna ze służących i oznajmiła:

- Przepraszam pana, ale pragnęłabym z panem pomówić.

- Pomówić z twoim panem? - krzyknęła Mr.s Pocket, w której znowu wezbrała godność - jak możesz nawet myśleć o czymś podobnym? Idź i rozmawiaj z Flopson albo jeżeli koniecznie chcesz, ze mną, ale kiedy indziej.

- Bardzo panią przepraszam - odparła dziewczyna - muszę pomówić natychmiast, i to z panem.

Mr Pocket wyszedł więc z nią z pokoju, a my oczekiwaliśmy go cierpliwie.

- Śliczna historia, Belindo - powiedział Mr. Pocket wracając ze zmartwionym i zakłopotanym wyrazem twarzy - w kuchni na podłodze leży śmiertelnie pijana kucharka, a w kredensie znaleziono duży zapas naszego masła, spakowany do wyniesienia z domu i sprzedania.

Mrs Pocket natychmiast okazała żywsze zainteresowanie i zawyrokowała:

- To wszystko sprawka tej szkaradnej Zofii.

- Co masz na myśli, Belindo? - spytał Mr. Pocket.

- Czyż nie widziałam na własne oczy i nie słyszałam na własne uszy, jak Zofia zażądała rozmowy z tobą i wyprowadziła cię z pokoju?

- Ale to przecież ona właśnie zaprowadziła mnie na dół do kuchni i pokazała kucharkę i jej paczkę!

- A ty bronisz jej, Mateuszu, mimo że tak zawiniła? Mr Pocket wydał przytłumiony jęk.

- Czyż nie jestem wnuczką mego dziadka? - krzyczała Mr.s Pocket - czyż nic już nie znaczę w tym domu? Zresztą kucharka była zawsze bardzo sympatyczna i jak tylko nastąpiła, zaraz powiedziała, że wyglądam na urodzoną księżnę.

Mr Pocket runął na kanapę, obok której właśnie stał, w pozycji konającego gladiatora. W tej pozycji rzucił głuchym głosem, widząc, że zabieram się do pójścia spać:

- Dobranoc, Mr. Pip...

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Po upływie dwu czy trzech dni, w czasie których kilkakrotnie jeździłem do Londynu, zamawiałem sobie u mych dostawców wszystko, czego mi było potrzeba. Mr Pocket przeprowadził ze mną długą rozmowę. Był on znacznie lepiej poinformowany o moim przyszłym zawodzie niż ja sam. Mr Jagers powiedział mu bowiem, że nie mam być kształcony w żadnym specjalnym fachu, tylko otrzymać tyle wykształcenia i wychowania, ile wymaga go „mój stan, to jest położenie młodego zamożnego człowieka. Zgodziłem się oczywiście, gdyż nic innego nie przychodziło mi na myśl.

Poradził mi bywanie w Londynie w kilku miejscach, w których mógłbym zaczerpnąć takich wiadomości, jakie by mnie interesowały, i zaproponował mi kierowanie moim wykształceniem. Spodziewałem się, że przy pomocy inteligentnych ludzi będę się kształcił bez rozczarowań i że wystarczą mi przy tym jego rady. Sposób, w jaki ze mną rozmawiał, obudził we mnie szczere zaufanie do jego osoby. Muszę powiedzieć, że nie rozczarowałem się do niego nigdy, że zawsze był dla mnie jednakowo przychylny i w stosunku do mnie pełen zapału i uczciwości. Gdyby okazywał mi obojętność, niewątpliwie odpłacałbym mu pięknym za nadobne. Nie stworzył jednak takiej sytuacji i wzajemnie oddawaliśmy sobie sprawiedliwość. Nie widziałem też w nim żadnych śmiesznośtek. Wydawał mi się odtąd zawsze uczciwym, poważnym i dobrym moim opiekunem.

Kiedy doszliśmy już do porozumienia i zacząłem pracować, przyszło mi do głowy, że gdybym mógł zatrzymać sobie pokój w „Gospodzie Barnarda”, byłoby mi znacznie przyjemniej i skorzystałbym niejedno w obcowaniu z Herbertem. Mr Pocket nie miał nic przeciwko temu, ale oświadczył, że zanim przedsięwzięmę jakiegokolwiek kroki, muszę się porozumieć z moim opiekunem. Zrozumiałem, że ostrożność wynika z tego, iż przy takiej kombinacji zaoszczędziłbym Herbertowi wydatków, więc szanując delikatność Mr. Pocketa udałem się do Małej Brytanii, by podzielić się moim planem z Mr. Jagersem.

- Gdybym mógł kupić na własność umeblowanie, które dla mnie tam wynajęli, i jeszcze kilka drobiazgów, czułbym się tak jak w domu - powiedziałem.

- Zrób tak - zgodził się Mr. Jagers ze śmiechem - mówiłem ci, że prędko się przyzwyczaisz. - Ile to ma kosztować?

Odpowiedziałem, że nie wiem.

- No mniej więcej powiedz - nalegał Mr. Jagers - pięćdziesiąt funtów?

- Och, nie tak dużo.

- Pięć funtów? - pytał Mr. Jagers. Różnica była tak wielka, że zmieszany odparłem:

- To za mało.

- Za mało? - pytał Mr. Jagers trzymając ręce w kieszeniach i przekrzywiając na bok głowę z oczyma wlepionymi w ścianę poza mną - o ile za mało?

- Tak trudno jest ustalić sumę - zauważyłem z wahaniem.

- Czekaj! - mówił Jagers - dwa razy pięć wystarczy? Trzy razy pięć wystarczy? A może cztery razy pięć wystarczy?

Odparłem, że chyba cztery razy pięć wystarczy.

- Więc cztery razy pięć doskonale wystarczy? - powtórzył Mr. Jagers ściągnając brwi.

- Ale ile to jest cztery razy po pięć funtów?

- Ile to jest? - powtórzyłem nie rozumiejąc.

- Ach - powiedział Mr. Jagers - ile to jest dla ciebie?

- Przypuszczam, że dwadzieścia funtów - odparłem z uśmiechem - tak samo i dla pana.

- Nie pytam, ile to jest dla mnie, ale ile dla ciebie - mówił potrząsając głową Jagers.

- Oczywiście dwadzieścia funtów.

- Wemmick! - zawołał Jagers otwierając drzwi do biura - weź od Mr. Pipa piśmienne zapotrzebowanie i wypłać mu dwadzieścia funtów!

Ten ściśle kupiecki charakter załatwiania spraw pieniężnych zrobił na mnie nienajprzyjemniejsze wrażenie. Mr Jagers nigdy się nie śmiał, ale na nogach miał wysokie błyszczące i skrzypiące buty i kiedy spuściwszy głowę spoglądał na nie, ściągnając brwi i czekając na odpowiedź na swe pytanie, wprawiał obuwie w skrzypienie i miało się wtedy wrażenie, jak gdyby to ono śmiało się w suchy i podejrzliwy sposób.

Załatwiwszy sprawę Mr. Jagers wyszedł, a ponieważ Wemmick został i okazał się tego dnia w dobrym humorze i skłonny do rozmowy, więc wyznałem mu, że sam nie wiem, co mam myśleć o zachowaniu się Mr. Jagersa.

- Niech pan opowie to jemu samemu, a będzie to z pewnością uważał za komplement - odparł Mr. Wemmick - nie zależy mu bynajmniej, by pan miał jasne pojęcie o tym, co on sobie myśli. Bo... (tu spostrzegł, że jestem zdziwiony) bo to u niego jest nie prywatne, tylko ściśle zawodowe zachowanie się. Ściśle zawodowe.

Wemmick siedział przy swym pulpicie i chrupał na drugie śniadanie twardego sucharek wkładając jeden kawałek za drugim do ust, całkiem jakby wrzucał list do skrzynki.

- Stale robi na mnie takie wrażenie - ciągnął Wemmick - jak gdyby zastawiał na człowieka pułapki. Trach... i już się złapał.

Nie wspominając o tym, że pułapki na ludzi nie należą do rozkoszy tego życia, zauważyłem tylko, że robi wrażenie bardzo zręcznego.

- Jest tak głęboki jak Australia - oświadczył Wemmick i wskazał przy tym na podłogę pokoju, chcąc w ten sposób zapewne wyrazić, że uważa Australię za coś najgłębszego, jako znajdującą się na antypodach, gdzieś na dnie globu ziemskiego. - Gdyby istniało coś głębszego, to byłby taki jak ta głębsza rzecz - dodał rysując piórem na papierze.

Powiedziałem z kolei, że spodziewam się, iż Mr. Jaggery wiele zarabia.

- Kolosalnie! - potwierdził Wemmick.

Spytałem, czy zatrudnia wielu urzędników, na co Wemmick odparł, że niewielu, bo i tak każdy klient chce mówić tylko z samym Jaggersem.

- Jest nas tylko czterech. Czy chce pan poznać tamtych? Mogę pana zapoznać. Jest pan przecież niemal jednym z nas.

Zgodziłem się; kiedy Mr. Wemmick wrzucił do swej skrzynki ostatni kęs sucharka i kiedy wypłacił mi gotówką dwadzieścia funtów wyjąwszy je z kasetki w kasie, której klucz miał gdzieś za plecami, a wyciągnął go niby harcap zza kołnierza fraka, poszliśmy na górę.

Dom był ciemny i nieporządkowany. Wydawało się, że zatłuszczone plecy, które wybrukały ściany w gabinecie Mr. Jaggersa, ocierały się o ściany klatki schodowej od wielu już lat. We frontowym pokoju na pierwszym piętrze urzędnik wyglądający na coś pośredniego pomiędzy oberżystą i łapaczem szczurów, wysoki, blady, nadęty i nalany mężczyzna, przyjmował właśnie trzy lub cztery nędznie ubrane osoby, przy czym traktował je tak bezceremonialnie, jak było najwidoczniej w zwyczaju w stosunku do wszystkich, którzy zasilali kabzę Mr. Jaggersa.

- Przyjmuje właśnie zeznania świadków dla sprawy w Old Bailey - objaśnił Mr. Wemmick.

W pokoju na górze jakiś mizerny urzędnik, podobny do terriera nie strzyżonego od czasów szczenięcych, rozmawiał z krótkowzrocznym człowieczkiem. Mr. Wemmick przedstawił mi tego ostatniego mówiąc, że to giser, którego tygiel jest zawsze gotów do pracy i który może mi stopić w każdej chwili wszystko, co ze chcę. Na razie spostrzegłem, że człowiek ten jest tak zlany potem, jak gdyby topił sam siebie. W jednym z tylnych pokoiów mężczyzna o wysokich ramionach, z cierpiącą twarzą, podwiązaną brudną flanelową szmatą, ubrany w czarne ubranie, tak lśniące od starości, że wyglądało jak lakierowane, pochylał się nad biurkiem, przy którym przepisywał na czysto notatki tamtych dwóch panów na użytek Mr. Jaggersa.

Oto było całe biuro. Zeszliśmy teraz na dół i Mr. Wemmick wprowadzając mnie do gabinetu Mr. Jagersa powiedział:

- Ten pokój pan już widział.

- Przepraszam pana - odparłem spoglądając na dwa straszliwe zbrodnicze oblicza wiszące na ścianie - czyje to podobizny?

- To? - powtórzył Wemmick wspinając się na krzesło i zdmuchując kurz z wizerunków przed zdjęciem ich ze ściany - to dwie słynne osobistości, dwaj nasi klienci, którzy niemało przysporzyli nam sławy swoimi procesami. Ten chłopak (hoho, musiałeś chyba spaść w nocy w kałamarz, bo skądże masz nad brwią taką plamę z atramentu, stary łotrze?) zamordował swego pana i dobrze musiał sobie obmyślić tę zbrodnię, bo nie pozostawił żadnych jej dowodów.

- Czy podobny na tej płaskorzeźbie? - spytałem cofając się mimo woli, gdy Wemmick pluł na wizerunek i czyścił go rękawem.

- Podobny? Ależ to on, we własnej osobie. Zrobiono odlew z jego głowy zaraz po zdjęciu go z szubienicy w Newgate. Miałeś do mnie słabość, co? Stary przechero? - mówił Wemmick.

Zaraz potem wyjaśnił te słowa wskazując na znaną mi już spinkę, przedstawiającą damę pod płaczącą wierzwą przy grobie, na którym stoi urna:

- Zamówił to specjalnie dla mnie.

- Czy dama taka istniała? - spytałem.

- Nie, skądże, to był tylko jego żarcik. - (Lubiłeś żarciki, łobuzie, co?) W tej całej sprawie nie znalazłoby się ani śladu damy, prócz jednej kobiety, która daleka była od smukłości tej oto pani pod wierzwą, i zapewniam pana, nie pilnowałaby urny, chyba że znajdowałoby się w niej coś do picia.

Cała uwaga Wemmicka została teraz z płaskorzeźby skierowana na spinkę, którą starannie oczyścił wyjętą z kieszeni chusteczką.

- A ten drugi - badałem - czy doczekał się takiego samego końca? Spojrzenie ma podobne do tamtego.

- Ma pan rację, to samo spojrzenie - odparł Wemmick - wygląda zupełnie tak, jakby mu ktoś przeciągnął przez nozdrze koński włos lub haczyk na ryby. Tak, spotkał go ten sam koniec co tamtego. Zasłużył sobie zresztą. Fałszował testamenty i na dodatek pomagał ich autorom wynieść się na tamten świat. A mimo to miałeś wygląd pana, Cove (Mr. Wemmick znowu zwracał się wprost do portretu), i nawet mówiłeś, że znasz grekę. Ach, ty samochwało! Jaki kłamca był z ciebie! Jeszcze nigdy nie spotkałem większego od ciebie kłamczucha!

Zanim odstawił swego zmarłego przyjaciela na półkę, Mr. Wemmick dotknął jeszcze swego żałobnego pierścienia na palcu i objaśnił:

- Kazał go kupić dla mnie w przedostatni dzień.

Gdy odstawiał płaskorzeźby i gramolił się z krzesła na podłogę, przyszło mi do głowy, że cała jego biżuteria musi pochodzić z podobnego źródła. Ponieważ mówił o tych sprawach bez wstępu, odważyłem się zadać mu to pytanie, w czasie kiedy ocierał sobie dłonie z kurzu.

- O, tak - odpowiedział - to wszystko są tego rodzaju podarunki. Jedno pociąga drugie. Przyjmuję je zawsze. To ciekawostki. A poza tym mają swoją wartość, może nienajwiększą, ale zawsze mają, i są zdatne do noszenia. Dla pana, który ma taki majątek, może nic nie znaczą, ale ja zawsze kieruję się w życiu maksymą: „Bierz, co ci dają.

Kiedy wyraziłem uznanie dla jego mądrości, zauważył przyjacielskim tonem:

- Jeżeli będzie pan miał kiedy wolną chwilę i zechce mnie odwiedzić w Walworth, będę szczęśliwy mogąc panu ofiarować nocleg i poczytam sobie za zaszczyt, jeżeli zechce pan obejrzeć to, co posiadam. Nic to wielkiego, ale jeszcze kilka ciekawostek, które pana może zabawią. Jestem sam bardzo przywiązany do mego wiejskiego domku i małego ogródka.

Odparłem, że będę zachwycony mogąc skorzystać z jego gościnności.

- Dziękuję - odparł - więc umówiliśmy się, że przyjedzie pan, kiedy mu będzie wygodnie. Czy jadł pan już obiad u Mr. Jaggersa?

- Jeszcze nie.

- Z pewnością poczęstuje pana winem - ciągnął Mr. Wemmick - i to dobrym winem. A ja ofiaruję panu poncz, i to poncz wcale niezły. A teraz poradzę panu coś jeszcze. Jak pan będzie w domu Mr. Jaggersa, niech pan dobrze się przyjrzy jego gospodyni.

- Czy ma w sobie coś niezwykłego?

- Zobacz pan oswojoną dziką bestię. Może pan powie, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego, ale ja sądzę, że wszystko zależy tu od stopnia dzikości bestii i od tego, jak jest oswojona. Zapewniam pana, że widok ten nie osłabi pana poglądu na siłę Mr. Jag gersa. Niech pan się dobrze przypatrzy tej kobiecie.

Zapewniłem go, że to na pewno zrobię, gdyż jego słowa zaostrzyły moją ciekawość.

Przed odejściem spytał mnie jeszcze, czy nie zechciałbym poświęcić pięciu minut na zobaczenie Mr. Jaggersa przy robocie.

Z wielu względów, a przede wszystkim dlatego, że nie bardzo wiedziałem, jaka to będzie robota, zgodziłem się od razu. Zanurzyliśmy się więc w City i znaleźliśmy się w natłoczonym biurze policji, gdzie ktoś związany węzłami krwi (w zbrodniczym znaczeniu

tego wyrazu) z nieboszczykiem, kto zdradzał niesłychane upodobanie do brosz, stał za barierą i żuł coś w ustach. Jednocześnie mój opiekun poddawał śledztwu kobietę, równie wobec niego przestraszoną jak każdy, kto się do niego zbliżył, bez względu na to, czy był to świadek, czy nawet sąd. Jeżeli ktoś zeznał coś, co mu się nie podobało, żądał natychmiast wciągnięcia tego do protokołu. Jeżeli ktoś nie chciał się do czegoś przyznać, wykrzykiwał: „Już ja to z ciebie wydobędę!”. A gdy ktoś do czegoś się przyznawał, wołał: „Teraz cię mam!” Urzędnicy drżeli, gdy zaczynał obgryzać sobie palce. Złodzieje, i policjanci nie odrywali pełnego ekstazy wzroku od jego twarzy i trzęśli się, kiedy jeden włoszek jego brwi zwrócił się w ich stronę. Nie mogłem się zorientować, czyją trzymał stronę, gdyż zdawało mi się, że wszystkich wokół miałem niczym w młynie. Kiedym się wycofywał na palcach z sali, miałem przez chwilę wrażenie, że nie był tego samego zdania, co sąd, bo widziałem, jak wprawił w drżenie pod stołem łydki przewodniczącego potępiając jego dzisiejsze postępowanie jako przedstawiciela prawa brytyjskiego.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Bentley Drummle miał tak ponure usposobienie, że nawet przeczytaną książkę traktował tak, jak gdyby jej autor jemu osobiście wyrządzał zniewagę. Toteż i każdą nową znajomość ujmował w podobny sposób. Ciężki, o ociężałych ruchach i mało lotnej myśli, twarz miał ospałą, a w ustach olbrzymi język, który tak samo zdawał się w nich nie mieścić, jak cała jego postać zdawała się nie mieścić w pokoju. Był to chłopak leniwy, pyszałek, obłudny, zamknięty w sobie i nieufny. Pochodził z bogatej rodziny z Sommersetshire, która wychowywała i karmiła tę zbieraninę zalet aż do chwili, kiedy się spostrzegła, że jest pełnoletni i idiota. Wtedy Bentley Drummle zamieszkał u Mr. Pocketa, którego przewyższał o głowę wzrostem, tak jak tuszą przewyższał wszystkich przynajmniej o pół tuzina głów.

Startop, rozpieszczony przez pełną słabości matkę, siedział w domu, zamiast chodzić do szkoły, ale on przynajmniej kochał swoją rodzicielkę ponad wszystko w świecie. Miał delikatne kobiece rysy i był „może pan na to przysiąc, choć jej pan nigdy nie widział, jak mówił Herbert; żywym obrazem swej matki. Nic więc dziwnego, że wołałem Startopa niż Drummle’a i że jeszcze w czasie pierwszych wieczorów, kiedy wiosłowaliśmy na rzece, kierowaliśmy nasze łodzie tak, aby posuwały się jedna obok drugiej i rozmawialiśmy płynąc, podczas kiedy Drummle sunął w milczeniu pod nawisłymi gałęziami wierzb i wśród trzciny nadbrzeżnych. Trzymał się zawsze tuż przy brzegu niby jakiś spłoszony płaz i czynił to nawet wówczas, gdy przybrzeżny prąd, mógł go z łatwością porwać. Kiedy go wspominam, widzę go zawsze płynącego za nami w ciemnościach, podczas gdy nasze łodzie na środku rzeki przecinały blask zachodzącego słońca lub światło księżyca na wodzie.

Moim bliskim przyjacielem był jednak Herbert. Dzieliłem z nim łódź, gdy przyjeżdżał do Hammersmith, tak jak dzieliłem z nim mieszkanie, gdy przybywał do Londynu. Robiliśmy tę drogę ogromnie często i dotychczas (mimo że zmieniła się od tamtych czasów) wspominam ją zawsze czule, jako związaną z nietkniętą jeszcze nadzieją i młodością.

Przebywałem już miesiąc lub dwa u państwa Pocket, kiedy zjawili się u nich „państwo Kamillowie. Kamilla była siostrą Mr. Pocketa. Przyjechała też z nimi Georgiana, którą poznałem w swoim czasie u miss Havisham. Ta stara panna wiecznie skwaszona, która nazywała swoją sztywność religijnością i pełne żółci humory miłością, była kuzynką państwa Pocketów. Goście ci nienawidzili mnie nienawiścią zawiedzionych w nadziejach ludzi, co nie przeszkadzało im oczywiście pochlebiać mi w najbardziej obłudny sposób. Do Mr. Pocketa, którego uważali za dorosłe dziecko, nie rozumiejące własnych interesów, odnosili się z

pogardliwą pobłażliwością; słyszałem, jak w ten sposób właśnie o nim między sobą rozmawiali. Pogardzali też Mr.s Pocket, ale chętnie przyznawali, że biedactwo zostało w życiu srodze zawiedzione, stawiało to bowiem ich samych w lepszym świetle.

Takie było środowisko, w którym zamieszkałem i rozpoczynałem edukację. Ogromnie szybko nabrałem kosztownych przyzwyczajzeń i zacząłem wydawać sumy, które jeszcze niedawno wydawałyby mi się bajeczne. Ale w żadnej sytuacji nie porzucałem nieustannego obcowania z książkami. Dobrą stroną mego wychowania było to, że coraz bardziej rozumiałem własne braki. Rozwijałem się z dnia na dzień pomiędzy Mr. Pocketem a Herbertem, którzy starali się popychać mnie do działania, wyjaśniać wszelkie niezrozumiałe dla mnie sprawy i usuwać mi trudności z drogi. Istotnie, musiałbym być takim głupcem jak Drummle, by w tych warunkach nie iść naprzód.

Nie widziałem już od kilku tygodni Mr. Wemmicka i przyszło mi do głowy, by napisać do niego, że któregoś z wieczorów mogę z nim pojechać do jego domu. Odpowiedział, że sprawi mu to wielką przyjemność i że oczekuje mnie w biurze o szóstej. Przyszedłem punktualnie i zastałem go chowającego swoim zwyczajem klucz od kasy gdzieś za plecami. Zegar bił właśnie szóstą.

- Czy pisząc do mnie miał pan na myśli pieszą przechadzkę do Walworth? - spytał.

- Oczywiście, że tak - odparłem - o ile pan nie ma nic przeciwko temu.

- Ja najchętniej wyprostuję nogi zgięte przez cały dzień pod biurkiem - brzmiała odpowiedź Mr. Wemmicka - a teraz niech pan posłucha, Mr. Pip, co przygotowałem na kolację. W domu przyrządzono zrazy duszone, a u pasztetnika kupiłem pieczone zimne kurczęta. Myślę, że będą miękkie, bo właściciel paszteciarni był przysięgłym w jednej z naszych spraw i nie szykanowaliśmy go wówczas. Przypomniałem mu to wybierając drób i powiedziałem: „Wybierz no ładny kawałek, Brytyjczyku, bo inaczej moglibyśmy z łatwością przywoździć cię na dwa lub trzy dni do ławy przysięgłych. Na co odpowiedział: „Pozwoli pan ofiarować sobie w darze najlepszy kawałek drobiu z całego mego sklepu. Pozwoliłem mu, oczywiście. W każdym razie to zgodne z moją maksymą: „Bierz, co ci dają. Nie będzie pan chyba miał nic przeciwko staremu ojcu?

W pierwszej chwili sądziłem, że mówi on wciąż jeszcze o kurczęciu, ale wyjaśnił mi, że ma u siebie w domu sędziwego ojca, więc odparłem tak, jak tego wymagała uprzejmość.

- Więc nie był pan jeszcze na obiedzie u Mr. Jaggersa? - spytał mnie po drodze.

- Jeszcze nie.

- Mówił mi to właśnie dzisiaj po południu, kiedy dowiedział się, że pan będzie u mnie. Sądzę, że otrzyma pan zaproszenie jutro. Zamierza też zaprosić pańskich przyjaciół. Trzech, zdaje się. Tak?

Mimo że nie uważałem Drummlle'a za mego przyjaciela, odpowiedziałem, że tak.

- Więc zamierza zaprosić tę całą bandę (nie czułem się mile pogłaskany tym określeniem) i cokolwiek wam da, będzie na pewno dobre. Nie spodziewajcie się wielkiej różnorodności, ale w gatunku będzie to doskonałe. I jeszcze jedna rzecz w jego domu jest niezwykła - ciągnął Wemmick zakładając, że mówił mi już o jego niezwykłej gospodynie - to ta, że nigdy ani dniem, ani nocą nie rygluje się drzwi wejściowych. Nie zamyka też okiennic.

- I nie okradają go nigdy?

- Właśnie o to chodzi - zawołał Wemmick - Mr. Jagers mówi i głosi wszem wobec: „Chciałbym zobaczyć człowieka, który by odważył się mnie okraść. Mnie. Niech Bóg ma mnie w swej opiece, jak słyszałem go mówiącego te słowa nie raz, ale sto razy u nas w biurze do najgorszych złodziejasków: „Wiecie, gdzie mieszkam. Pamiętajcie, że u mnie nie ma nigdzie zamków. A może spróbowalibyście u mnie sztuczki, co? Czemu nie? Czy to was nie kusi? I co pan powie, nie znajdzie się nikt, kto by się na coś podobnego odważył.

- Tak go się boją? - spytałem.

- Myślę, że się boją - potwierdził Wemmick - ale to chytry lis. Mimo wszystko nie ma u siebie w domu ani jednej srebrnej łyżki. Same platery.

- Więc i tak nie obłowiliby się, gdyby...

- Tak, ale on by się obłowił i oni to wiedzą. Miałby ich życie w rękę i nie darowałby im. Aż strach pomyśleć, co on może zrobić, kiedy zechce.

Zamyśliłem się nad wielkością mego opiekuna, gdy Wemmick powiedział:

- Jeżeli chodzi o brak sreber w jego domu, to dowód głębi jego charakteru. Bo on jest tak głęboki jak rzeka. Za to, czy widział pan może jego łańcuszek od zegarka?

- Masywny? - zagadnąłem.

- Myślę, że masywny - wyraził przypuszczenie Wemmick - a sam zegarek ze szczerego złota wart sto funtów jak jeden grosz, Mr. Pip, w mieście jest co najmniej siedmiuset złodziejów, którzy wiedzą świetnie wszystko o jego zegarku i nie ma wśród nich mężczyzny, kobiety czy dziecka, które by nie poznało każdego ogniwa w jego łańcuszku i nie rzuciło go jak rozpalonego żelaza przy dotknięciu.

Na takich rozmowach upłynęła nam z Mr. Wemmickiem droga i dał mi teraz do poznania, że znajdujemy się już w okolicy Walworth.

Wydało mi się, ono ze swymi ciasnymi uliczkami, małymi ogródkami i rowami bardzo smutne i przygnębiające. Domek Wemmicka okazał się malutki, drewniany. Stał na skraju ogrodu, a dach jego był fantastycznie wycinany i naśladował baterię dział.

- To moje dzieło - oznajmił Wemmick - ładne, prawda?

Pochwaliłem tę ozdobę. Nigdy w życiu nie widziałem tak małego domku. Okienka miał gotyckie (większość z nich była tylko namalowana), a drzwi tak małe, że zmieścić się w nich wydawało się niepodobieństwem.

- O, tutaj, widzi pan, jest prawdziwy maszt na chorągiew. Wywieszam ją co niedzielę, a ten oto most podnoszę, jak po nim przejdę, i droga zostaje odcięta.

Most stanowiła deseczka położona nad przepaścią czterech stóp szerokości i dwu głębokości, ale przyjemnie było patrzeć, z jaką rozkoszą Wemmick podnosi ową kładkę. Tym razem uśmiech jego promieniował szczerością.

- O dziewiątej wieczorem czasu Greenwich działo strzela. O, to działo. Jak pan usłyszy, uwierzy pan.

Działo, o którym mówił, stało na czymś w rodzaju forteczki zbudowanej z żelaznych krat i osłaniał je od deszczu brezent w kształcie parasola.

- Tam z tyłu, tak aby nie było widoczne ze strony forteczki - ciągnął Wemmick - bo nie wiem, jakie jest pańskie zdanie, ale ja uważam, że jak się coś robi, to już porządnie do końca...

Potwierdziłem, że oczywiście.

-...więc z tyłu trzymam świnie, drób i króliki. Tam też mam inspekty robione własnoręcznie przeze mnie, gdzie hoduję ogórki, i przy kolacji pan osądzi, jaką z nich przyrządzam sałatkę. I tak oto, proszę pana - mówił dalej, potrząsając głową z pełnym powagi uśmiechem - gdyby się tu przytrafiło oblężenie, wytrzymałbym je długo, tyle mam wszelkiego rodzaju zapasów.

Teraz zaprowadził mnie do altanki znajdującej się niedaleko, ale tak ukrytej w poplątanych ścieżkach, że nigdy bym do niej nie trafił. Tutaj znaleźliśmy przygotowane dla nas szklanki, przy czym poncz studził się w sadzawce, nad którą wznosiła się altanka. Pośrodku sadzawki znajdowała się wysepka podobna do listka sałaty. Sadzawka miała kształt okrągły, a Wemmick zainstalował tam małą fontannę, która biła w chwili, kiedy wprawiono się w ruch wymyślny młynek i wyjęło coś w rodzaju korka, tak potężnie, że mogła zamoczyć grzbiety dłoni.

W odpowiedzi na moje zachwyty Wemmick rzekł:

- Jestem, widzi pan, własnym inżynierem, stolarzem, ślusarzem, własnym ogrodnikiem, słowem: służącą do wszystkiego. Powiadam panu, że to bardzo przyjemnie. Przede wszystkim wymiata to pajęczyny, które oplątują mnie w Newgate, a poza tym sprawia radość starszemu panu. Czy chce pan, bym go zaraz przedstawił starszemu panu? Nie zrobi to panu różnicy?

Odparłem, że jestem gotów, i udaliśmy się do zamku. Tam zastaliśmy przy kominku bardzo starego człowieka ubranego w flanelowy kaftan. Był czysty, miły, wesoły i zadowolony z losu, ale całkowicie głuchy.

- No i cóż, mój wiekowy ojczulku - powiedział żartobliwie Wemmick ściskając mu serdecznie dłoń - jakże się czujemy?

- Dobrze, Johnie, bardzo dobrze - odparł staruszek.

- To jest Mr. Pip, wiekowy ojczulku - przedstawił mnie Wemmick - żałuję bardzo, że nie możesz usłyszeć jego nazwiska. Niech pan mu pokiwa głową, Mr. Pip. On to bardzo lubi. Jeszcze, niech pan pokiwa głową, ile razy pan będzie mógł. Proszę o to bardzo.

- Mój syn ma piękny dom, prawda, proszę pana? - wrzasnął staruszek, gdy kiwałem z całych sił głową - sam dom i te wszystkie wspaniałe urządzenia. Cały naród powinien by po moim synu odziedziczyć ogród dla przyjemności wszystkich ludzi.

- Dumny jesteś z tego jak paw, co, staruszkule? - spytał Wemmick, a na jego drewnianej twarzy malowała się czułość. - Masz, to dla ciebie - i kiwał głową tak mocno, jak gdyby miał sobie skręcić szyję - i to dla ciebie - znowu kiwał jak szalony. - Lubisz to, co? Jeżeli pana to zbytnio nie męczy, Mr. Pip, niechże pan mu jeszcze trochę pokiwa głową. Wiem, że to obcych zwykle niecierpliwi, ale nie ma pan wyobrażenia, jaką mu sprawia radość.

Pokiwałem mu wielokrotnie i wprawiłem go w świetny humor. Opuściliśmy go, gdyż poszedł karmić drób, i powróciliśmy do altany na poncz. Tu przy fajce Wemmick wyznał mi, że kosztowało go wiele lat trudu, zanim doprowadził swą własność do takiego stanu.

- To pańska własność, Mr. Wemmick?

- O, tak, nabywałem ją po trochu.

- Doprawdy? Spodziewałem się, że Mr. Jagersowi bardzo się tu podoba?

- Nigdy tu nie był. Nigdy o tym nawet nie słyszał. Nigdy nie widział mego staruszka. Nigdy o nim nie słyszał. Nie, biuro to jedna rzecz, a dom całkiem inna... Kiedy idę do biura, pozostawiam za sobą mój Zameczek, a kiedy wracam do Zameczku, zapominam o biurze. Jeżeli to panu nie sprawia różnicy, prosiłbym pana o to samo. Nie chciałbym tu prowadzić zawodowych rozmów.

Oczywiście poczułem, że muszę się na to zgodzić. Poncz był doskonały i siedzieliśmy w altanie pijąc i gawędząc aż do dziewiątej.

- Zaraz będzie wystrzał armatni - powiedział Wemmick nakładając sobie fajkę - to wielka przyjemność dla staruszka.

Powróciwszy na Zameczek zastaliśmy sędziwego pana, który rozgrzewał pogrzebacz, niezbędny do oczekiwanej ceremonii. W oczach jego paliła się niecierpliwość. Wemmick patrzył na zegarek, a gdy nadeszła odpowiednia chwila, wziął z rąk ojca rozgrzany do czerwoności pogrzebacz i wyszedł z pokoju. Po chwili rozległ się przerażający huk, który wstrząsnął całym zwariowanym domkiem, jak gdyby go miał rozerwać w kawałki, i sprawił, że wszystkie szklanki i filiżanki brzęczały w szafie. Wtedy staruszek, którego wstrząs omal że nie wyrzucił z fotela, krzyknął z zachwytem: „Wystrzelił! Słyszałem!, a ja tak usilnie kiwałem mu głową, że aż postać jego migąła mi w oczach.

Czas pomiędzy wystrzałem a kolacją poświęcił Mr. Wemmick na pokazanie mi swojej kolekcji osobliwości. Były one przeważnie kryminalnej natury: pióro, którym sfalszowano weksel, dwie czy trzy słynne brzytwy, kilka pęczków włosów, parę pamiątek skazańców, do których Mr. Wemmick przywiązywał szczególną wagę, gdyż jak mówił, każdy z nich kłamie, proszę pana.

Wszystko to było poukładane pomiędzy porcelanowymi i szklanymi przedmiotami roboty samego właściciela tego muzeum oraz tabakierkami powycinanymi z drzewa przez staruszka. Muzeum to znajdowało się w pokoju, do którego wprowadzono mnie na początku i który był jednocześnie bawialnią i kuchnią, sądząc z patelni zawieszanej nad kominkiem i klejnotu pod postacią miedzianego rożna do pieczenia mięsa.

W czasie nieobecności Wemmicka usługiwała staruszkowi mała dziewczynka. Kiedy nakryła do kolacji, podniesiono most, aby mogła po nim przejść i udać się do domu na noc. Kolacja była doskonała i mimo że Zameczek do tego stopnia przenikała stęchlizna, iż biła od niego woń spróchniałych orzechów i że mogliby nieco dalej umieścić świnię, było mi bardzo przyjemnie.

Równie miło było mi w mojej malutkiej sypialni na wieżyczce domu, chociaż cienki sufit stwarzał przykre złudzenie, że umieszczony na dachu maszt od flagi kołysze się przez całą noc na moim czole.

Wemmick wstał wczesnym rankiem i obawiam się, że słyszałem, jak czyścił mi buty. Potem pobiegł pracować w ogrodzie i przez gotyckie okienko widziałem, jak udaje, że zatrudnia staruszka i jak kiwa do niego gorliwie.

Pierwsze śniadanie było równie smaczne jak kolacja i o wpół do ósmej wyruszyliśmy do Małej Brytanii. Stopniowo Wemmick stawał się coraz bardziej oschły, a usta jego nabierały znowu kształtu otworu skrzynki do listów. Wreszcie gdy znaleźliśmy się przed drzwiami naszego biura i gdy wyjmował gdzieś z okolicy pleców klucz, aby otworzyć, wyglądał już, jakby nic nie wiedział o swej posiadłości w Walworth i jak gdyby Zameczek, zwodzony most, staw, fontanna, altana i nawet staruszek - wszystko zostało zdmuchnięte z powierzchni ziemi na skutek ostatniego strzału jego armaty.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Zgodnie z zapowiedzią Wemmicka miałem wkrótce potem okazję zapoznać się z mieszkaniem mego opiekuna i porównać go z domkiem jego kasjera i sekretarza. Kiedy po powrocie z Walworth wszedłem do biura, zastałem opiekuna myjącego sobie ręce pachnącym mydłem. Zawezwał mnie do siebie i zaprosił na obiad mnie i moich przyjaciół, jak to przepowiadał mi już Wemmick.

- Bez ceremonii - dodał - bez wieczorowych strojów. Po widzmy jutro.

Spytałem go, dokąd mamy przyjść (nie znałem dotychczas jego adresu), na co odpowiedział:

- Przyjdźcie tutaj, do biura, a zabiorę was ze sobą.

Zauważyłem przy tej okazji, że po przyjmowaniu klientów myje sobie ręce tak starannie jak lekarz lub dentysta. Miał specjalnie dla tego celu w swym gabinecie zamknięte pomieszczenie, które pachniało wonnym mydłem niczym sklep perfumeryjny. Na wewnętrznych drzwiach tego schowka znajdował się olbrzymich rozmiarów ręcznik, umieszczony na kręcącym się wałku. Mr Jagers mył ręce i wycierał w ten ręcznik, ilekroć wracał z sądu lub skończył przyjmować klienta. Kiedyśmy nazajutrz wstąpili po niego przed proszonym obiadem, musiał być po jakiejś szczególnej wizycie, gdyż nie zadowolwszy się myciem rąk szorował twarz i płukał gardło. A gdy to już uczynił i zamoczył cały ręcznik, wyjął z kieszeni scyzoryk i długo czyścił paznokcie, zanim włożył płaszcz. Oczywiście, kiedy wyszliśmy na ulicę, natknęliśmy się na kilka osób, które wyraźnie pragnęły z nim pomówić, ale zapach wonnego mydła, ulatniający się z jego postaci, był tak onieśmielający, że zdecydowali się odłożyć to na następny dzień.

W drodze do zachodniej dzielnicy miasta niektórzy z przechodniów poznawali Mr. Jagersa najwidoczniej, ale gdy to się zdarzało, opiekun zaczynał mówić do mnie głośnie, jak gdyby chcąc pokazać, że nie życzy sobie być poznawanym przez nikogo. Zaprowadził nas do dzielnicy Soho na Gerard Street, do domu znajdującego się po południowej stronie ulicy. Kamienica odznaczała się solidnością, ale raziła brakiem tynku, a okna były przeraźliwie brudne. Wyjął klucz, otworzył drzwi i znaleźliśmy się w hallu o ścianach z kamienia, ponurym i opuszczonym. Stamtąd poszliśmy brudnymi schodami na górę na pierwsze piętro i wkroczyliśmy do mieszkania, którego trzy ciemne, na brunatno wymalowane pokoje miały na ścianach boazerię i rzeźbione girlandy kwiatów. A gdy nasz przewodnik stał wśród nich i witał nas, uderzyła mnie myśl, że wiem, skąd zaczerpnęły kształt swych wykrętasów.

Podano nam obiad w najładniejszym z tych trzech pokoiów; sąsiedni był garderobą, trzeci sypialnią. Mr Jagers powiedział nam, że jest właścicielem całego domu, ale używa zwykle tylko tych apartamentów.

Stół zastawiono obficie. Nie było na nim oczywiście srebra, ale za krzesłem gospodarza znajdował się podręczny stół, a na nim bateria butelek i karafek oraz trzy kosze owoców na deser. Spostrzegłem w czasie obiadu, że Mr. Jagers wszystko miał pod ręką i że sam obsługiwał do stołu.

W pokoju znajdowała się biblioteka. Widziałem po grzbietach okładek, że składały się na nią książki dotyczące prawa kryminalnego, biografie zbrodniarzy, historie procesów, akty parlamentu itp. Umeblowanie wydawało się tak solidne jak łańcuszek jego zegarka, ale wyglądało oficjalnie i trudno było dopatrzeć się w nim czegoś dekoracyjnego. W jednym z kątów stał niewielki stół pokryty papierami, z lampą przyciemnioną abażurem. Widocznie Mr. Jagers po powrocie do domu prznosił tu swoje biura i pracował wieczorami.

Ponieważ dotychczas zaledwie spostrzegł moich towarzyszków (w drodze szedł ze mną), więc teraz, stojąc na dywaniku przed kominkiem, przyjrzał im się badawczo. Ku memu zdziwieniu najbaczniej patrzył na Drummle'a.

- Pip - powiedział kładąc mi szeroką dłoń na ramieniu i prowadząc mnie ku oknu - nie wiem, jak oni się nazywają. Kto jest ten pajak?

- Pajak? - spytałem.

- Ten krościaty chłopak, niezgrabny i ponury.

- To Bentley Drummle - odparłem - a tamten chłopiec o delikatnych rysach to Startop. Nie zwróciwszy żadnej uwagi na chłopca „o delikatnych rysach” odparł:

- Jak powiadasz? Bentley Drummle? Podoba mi się ten chłopak.

I natychmiast zwrócił się do Drummle'a. Nie zrażając się bynajmniej jego ociężałą, zacinającą się wymową, usiłował wyciągnąć z niego jak najwięcej odpowiedzi. Przyglądałem się im uważnie, gdy między mnie a nich wpadła gospodyni niosąc pierwsze danie.

Była to kobieta pod czterdziestkę, ale może brałem ją za młodszą niż w rzeczywistości. Dość wysokiego wzrostu, szczupła, zgrabna, o bardzo bladej, drobnej twarzy, miała wyblakłe oczy i rozwiane włosy. Nie wiem, czy na skutek choroby serca, czy z innej przyczyny jej zawsze w półrozchylone wargi zdawały się z trudem chwytać powietrze, a twarz wyrażała ciekawą mieszaninę cierpienia i niepokoju, ale wiem, że kilka dni przedtem widziałem w teatrze „Makbeta i że twarz ta przypominała mi oblicze wyłaniające się z oparów nad kotłem czarownicy.

Postawiła danie na stole, dotknęła palcem delikatnie ramienia mego opiekuna na znak, że obiad podany, i wyszła. Usiedliśmy wokół okrągłego stołu i Mr. Jagers posadził z jednej strony obok siebie Drummle'a, a z drugiej Startopa. Na półmisku, który gospodyni postawiła, była wspaniała ryba. Potem nastąpiła pyszna pieczeń barania, a po niej drób równie dobry.

Sosy, wina i wszelkie inne dodatki do jedzenia podawał z podręcznego stołu sam gospodarz i kiedy okrążyły nasz stół, odstawiał je sam z powrotem na miejsce. On też sam rozdawał nam czyste talerze, noże i widelce po każdej potrawie, a zużyte wstawiał do dwu koszy stojących na podłodze obok jego krzesła. Nikt ze służby prócz gospodyni nie zjawiał się w pokoju. Ona wносиła kolejno potrawy i za każdym razem widziałem w jej twarzy twarz z oparów kotła czarownicy. W wiele lat później twarz, która prócz rozwianych włosów nie miała nic do tej podobnego, zjawiała mi się w oparach gorącego ponczu w ciemnym pokoju i wówczas mimo woli wspomniałem tę właśnie chwilę.

Obserwując bacznie gospodynię i ze względu na to, o czym uprzedził mnie Wemmick, i z powodu jej niezwykłego wyglądu, widziałem, że ilekroć wniosła następne danie, nie spuszczała uważnych oczu z mego opiekuna, a gdy stawiała przed nim półmisek, zwlekała z odejściem, jak gdyby czekając, czy nie ma jej czego do powiedzenia. Poznałem też z zachowania się gospodarza, że jest świadomy jej wahania i że sprawia mu przyjemność utrzymywanie jej w ciągłej niepewności.

Obiad upływał wesoło i chociaż Mr. Jagers zdawał się raczej słuchać tego, co mówiliśmy, niż prowadzić rozmowę, miałem uczucie, że na każdym kroku stara się poznać nasze słabostki.

Co do mnie na przykład, poczułem nagle, iż przyznaję się, że jestem chwilami skłonny do rozrzutności, że wynoszę się niekiedy ponad Herberta, że chwalebę się moimi wielkimi nadziejami na przyszłość, chociaż niemal nie otworzyłem ust. Tak działo się z każdym z nas, ale najbardziej z Drummlem: fakt, iż ma on w stosunku do nas przykry i szydery ton, został z niego wyciągnięty na jaw, jeszcze zanim zjedliśmy rybę.

Przy serze sytuacja jego jeszcze się pogorszyła, bo rozmowa zesła na wiosłowanie i Drummle został wykpiony za swą powolność owego wieczoru na rzece. W odpowiedzi na to wyznał naszemu gospodarzowi, że woli nasz pokój od naszego towarzystwa, że jeśli chodzi o zręczność, to jest znacznie zręczniejszy od Mr. Jagersa, a jeśli chodzi o siłę, to mógłby nas bez trudu rozdmuchać jak sieczkę. Nie wiem, w jaki sposób mój opiekun doprowadził go do pasji po tym jego samochwalstwie, tak że zakasawszy rękawy Drummle zaczął dowodzić muskularności swych ramion i pokazywać swą siłę. Także i my z kolei w najśmieszniejszy sposób obnażaliśmy ramiona, demonstrując nasze mięśnie.

Potem gospodyni weszła, by sprzątnąć ze stołu. Pan domu zdawał się nie zwracać na nią żadnej uwagi, rozparł się w fotelu i gryzł sobie palce. Okazywał Drummle'owi zainteresowanie, które mnie wciąż zdumiewało. I nagle, gdy najmniej się tego spodziewaliśmy, wyciągnął rękę i niczym w pułapkę schwycił w nią dłoń gospodyni, która właśnie porządkowała na stole. Było to tak nagłe, że wszyscy przerwaliśmy nasz niemądry spór.

- Skoro mowa o sile - powiedział Mr. Jagers - pokażę wam przegub. Molly, pokaż im przegub twojej ręki.

Uwięziona ręka tkwiła ciągle w jego dłoni, ale gospodyni szybko schowała drugą za plecami.

- Proszę pana - prosiła cicho z oczyma utkwionymi uważnie i błagalnie w Mr. Jagersa - niech pan da spokój.

- Ja wam pokażę przegub - powtórzył gospodarz z niewzruszonym postanowieniem dopięcia swego. - Molly, pokaż im przegub!

- Proszę pana - wyszeptała - proszę!

- Molly - rozkazał wpatrzony w przeciwległą ścianę - pokaż im oba przeguby. No, pokaż!

Odsłonił jej dłoń na stole i odwrócił ją do góry, ona zaś posłusznie położyła obok drugą rękę. Była ona zniekształcona wielu głębokimi bliznami. Teraz dopiero gospodyni przeniosła uważne spojrzenie z twarzy Mr. Jagersa na nasze i przyjrzała nam się kolejno.

- Tu się dopiero kryje siła - mówił mój opiekun zimno kreśląc palcem linie po dłoni Molly. - Mało jest mężczyzn obdarzonych taką siłą w rękach jak ta kobieta. Widziałem wiele w moim życiu, ale takiej siły jeszcze nigdy nie spotkałem. - Dopóki mówił te słowa swobodnym chłodnym tonem, kobieta patrzyła na nas kolejno, jak gdyby badając efekt jego słów. Gdy umilkł, przeniosła znowu wzrok na niego.

- No, dość już, Molly - powiedział kiwając lekko głową - podziwiano cię i możesz sobie odejść.

Wycofała dłonie ze stołu i wyszła z pokoju, a Mr. Jagers wziął do ręki karafkę, nappełnił sobie kieliszek i poczęstował wszystkich wokoło.

- O wpół do dziesiątej, panowie, musimy się pożegnać - oznajmił - do tej chwili czujcie się jak u siebie w domu. Mr Drummle, pańskie zdrowie.

Jeżeli wyróżniając w ten sposób Drummle'a Mr. Jagers chciał go skłonić do jeszcze większych przechwałek, cel swój osiągnął. Drummle zaczął gadać, był coraz to wynioslejszy wobec nas wszystkich i w swojej obrażającej nas postawie stał się wkrótce nie do zniesienia.

Gospodarz zdawał się z zajęciem obserwować wszystkie fazy jego zachowania się, jak gdyby dodawało ono smaku jego winu.

Przez brak umiaru, właściwy młodemu wiekowi, wypiliśmy nieco za dużo i mówiliśmy za dużo. Rozgorzeliśmy zwłaszcza pod wpływem jakiegoś grubiaństwa Drummla, który twierdził, że wszyscy wyrzucamy pieniądze za okno. Odpowiedziałem mu z większym zapalem niż dyskrecją, że to bardzo brzydko, zwłaszcza z jego strony, skoro przed tygodniem w mojej obecności pożyczył pieniądze od Startopa.

- Więc - odparł Drummle - oddam mu.

- Nie chciałem przez to powiedzieć, że mu nie oddasz - zareplikowałem - tylko zwrócić ci uwagę, że w tych warunkach nie masz prawa krytykować naszego postępowania z pieniędzmi i powinienes trzymać język za zębami. Tak mi się zdawało!

- Ach, tak? Tak się tobie zdawało?- krzyknął Drummle - o mój Boże!

- Tak - odpowiedziałem starając się być surowy i stanowczy - bo mam wrażenie, że ty nie pożyczyłbyś żadnemu z nas ani grosza, gdyby nam było potrzeba!

- Oczywiście, że nie pożyczyłbym ani tobie, ani nikomu nawet sześciu pensów! - zawołał Drummle.

- Wobec tego to bardzo nieszlachetnie, że sam pożyczasz od innych, tak mi się wydaje!

- Tobie się wydaje! Ach, mój Boże! - powtórzył Drummle.

Było to tak przykre, że nie zważając na wysiłki Herberta, który chciał pogodzić wszystkich, powiedziałem:

- Skoro tak, Mr. Drummle, to powiem panu, co zaszło pomiędzy mną a Herbertem, jak pan pożyczył od niego pieniądze.

- Nie jestem ciekaw, co zaszło pomiędzy panem a Herbertem - oświadczył Drummle i zdaje się dodał ciszej, że możemy obaj z Herbertem pójść sobie do diabła.

- A ja panu powiem, bez względu na to, czy pan chce, czy nie. Powiedzieliśmy sobie, że kiedy pan wkładał do kieszeni pożyczone pieniądze, miał pan taką minę, jak gdyby pokpiwał sobie jeszcze z naszej słabości, która kazała, nam panu pożyczyć.

Drummle roześmiał się właściwym sobie przykrym, bezczelnym śmiechem i włożywszy ręce w kieszenie rzucił nam w twarz, że doskonale się domyślaliśmy, bo on pogardza nami wszystkimi jako kompletnymi osłami.

W tym momencie zabrał się do Drummla Startop i muszę przyznać, że uczynił to znacznie zręczniejszy i z większym wdziękiem niż ja. Startop był pełnym życia i swobody młodzieńcem, a Drummle stanowił jego przeciwieństwo, toteż już po chwili poczuł się

obrażony. Odpowiedział więc brutalnie i niezręcznie, a Startop obrócił to w żart, tak że wszyscy roześmieliśmy się wesoło. Wtedy Drummle, rozwścieczony tym małym zwycięstwem przeciwnika, przestał wzruszać ramionami, wyjął ręce z kieszeni, chwycił dużą szklankę i byłby ją cisnął w głowę przeciwnika, gdyby jej nie chwycił szybko Mr. Jagers i nie postawił na stole.

- Panowie - oznajmił gospodarz wyjmując złoty zegarek z kieszeni i bujając go na masywnym łańcuszku - bardzo mi przykro, ale muszę ogłosić, że już jest wpół do dziesiątej..

Na ten znak zerwaliśmy się wszyscy do odejścia. Zanim wyszliśmy za drzwi, Startop serdecznie zwrócił się do Drummle'a „mój stary, jak gdyby nic między nimi nie zaszło, ale „stary był tak daleki od wybaczenia mu zajścia, że nie chciał iść wraz z nim po jednym chodniku i drogę do Hammersmith odbyli krocząc równolegle po dwu stronach ulicy. Przyglądaliśmy się z Herbertem (my dwaj zostaliśmy na noc w mieście), jak szli przed siebie: Startop szybciej, a Drummle włókł się wolniej w cieniu domów, całkiem jak wówczas w łódce na rzece.

Ponieważ drzwi domu Mr. Jagersa były jeszcze uchylone, postanowiłem na chwileczkę pozostawić Herberta i wpaść do mego opiekuna. Zastałem go w jego garderobie w otoczeniu całej kolekcji obuwia. Mył sobie ręce, najwidoczniej po nas.

Oznajmiłem, że wróciłem, by go przeprosić, jeżeli miał jakkolwiek przykrość z naszego powodu, i wyrazić nadzieję, że nie ma mi tego za złe.

- Phi - powiedział z ociekającą twarzą, patrząc na mnie przez krople wody - nic nie szkodzi, Pip. Ten Drummle mi się mimo wszystko podoba.

Odarłem w chwili, gdy odwróciwszy się ku mnie wycierał twarz ręcznikiem, potrząsając głową:

- Bardzo mi miło, proszę pana, że pan go lubi. Bo ja nie...

- Dobrze, dobrze - zauważył - nie zadawaj się z nim zbyt wiele. Trzymaj się od niego, jak możesz najdalej, Pip. Ale mnie się ten chłopak mimo to podoba. Jest szczery. Gdybym był prorokiem...

Wychyliwszy twarz zza ręcznika, uchwycił moje spojrzenie.

- Ale nie jestem prorokiem - dokończył zanurzając na nowo głowę w fałdy ręcznika i osuszając sobie uszy. - Wiesz zresztą, kim jestem, co, Pip? Dobranoc, chłopcze.

- Dobranoc panu.

W jakiś miesiąc potem wygasła umowa Pająka z Mr. Pocketem ku wielkiej uldze całego domu, z wyjątkiem Mr.s Pocket. Młodzieniec wyjechał do domu, do swej rodzinnej dziury.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Drogi Mr. Pip, piszę do Pana z polecenia Mr. Gargery, ażeby zawiadomić Pana, że udaje się on do Londynu w towarzystwie Mr. Wopsle'a i byłby szczęśliwy, gdyby Pan zechciał go przyjąć. Wstąpi do „Gospody Barnarda” we wtorek o rano. Gdyby to Panu nie odpowiadało, proszę zostawić słówko. Pańska biedna siostra czuje się tak samo jak wówczas, gdy Pan nas opuszczał. Co wieczór rozmawiamy w kuchni o Panu, o tym, co też Pan tam porabia i co mówi. Jeżeli uważa to Pan za niewłaściwość z naszej strony, proszę nam wybaczyć ze względu na miłość do ubogich dni przeszłości. To już wszystko, drogi Mr. Pip od zawsze Panu obowiązanej i szczerzej sługi

Biddy

P.S. On życzy sobie, abym koniecznie napisała „to ci gratka! Mówi, że Pan już wie, o co chodzi. Spodziewam się i nie wątpię ani na chwilę, że Pan zobaczy go z przyjemnością, mimo iż został Pan panem, gdyż miał Pan zawsze dobre serce, a on jest naprawdę wartościowym, bardzo wartościowym człowiekiem. Przeczytałam mu cały list z wyjątkiem ostatniego zdania, a on raz jeszcze prosił, żeby napisać „to ci gratka!

List ten otrzymałem pocztą w poniedziałek rano, więc przyjazd miał nastąpić już nazajutrz. Niech mi wolno będzie wyznać, jakie uczucia towarzyszyły memu oczekiwaniu przybycia Joego.

Mimo że tyle mnie z nim wiązało, uczucia te nie były przyjemne. Nie. Byłem zmieszany, trochę zmartwiony i miałem dotkliwe poczucie własnej śmieszności. Gdybym mógł dać mu pieniądze za to, by nie przyjeżdżał, uczyniłbym to z pewnością. Największą pociechę sprawiała mi myśl, że Joe nie przybywa do Hammersmith, tylko do „Gospody Barnarda” i że w ten sposób uniknie spotkania z Drummlem. Nie miałem nic przeciwko temu, by go ujrzeli ci, których szanowałem, to jest Herbert i jego ojciec, ale lękałem się jego zetknięcia z tym, którym pogardzałem, to jest z Drummlem. Tak to bywa najczęściej w życiu, że uciekamy się do słabości i nawet podłości z powodu ludzi, którymi najbardziej pogardzamy.

Od pewnego czasu już zacząłem urządzać pokoje w sposób ogromnie kosztowny i nieodpowiedni jak na pokoje w „Gospodzie Barnarda. W owej chwili były one już całkiem niepodobne do tych, które tu zastałem, i miałem zaszczyt wypełnienia moimi rachunkami kilku stron w księgach handlowych tapicera z sąsiedztwa. Ostatnio posunąłem się nawet do tego, że przyjąłem lokajczyka obutego w buty z wyłogami i odtąd pędziłem dni jako jego

niewolnik. Bo kiedy stworzyłem tego potwora (członka rodziny mojej praczki), kiedym go odział w niebieski, sukienny fraczek, kanarkową kamizelkę, biały krawat, kremowe spodnie, o których przed chwilą wspomniałem, to okazało się, że należy mu wynaleźć coś do roboty i bardzo wiele do jedzenia. I te właśnie dwie okoliczności stały się postrachem mojego życia.

Ten mściwy upiór otrzymał polecenie zjawienia się we wtorek o ósmej rano i zajęcia posterunku w przedpokoju (rozmiarów dwu stóp kwadratowych, jak to głosiła karteczka chodnika wyścielającego podłogę), a Herbert zamówił śniadanie z myślą o gustach Joego. Mimo że byłem mu szczerze wdzięczny za jego dobroć i zyczliwość, nie mogłem pozbyć się przykrego i dziwnego podejrzenia, że nie byłby taki gorliwy, gdyby to do niego w odwiedziny przybywał Joe.

Mimo wszystko w poniedziałek wieczorem poszedłem do miasta, by przygotować przyjęcie dla Joego, a we wtorek rano zerwałem się wcześniej i krzątałem, aby bawialnia i stół do śniadania przybrały jak najwspanialszy wygląd.

Na nieszczęście dzień był dżdżysty i nawet aniołowi nie udało się zatrzeć wrażenia, że Barnard płakał przepojonymi sadzą łzami za szybami okien, niczym jakiś olbrzymi a przeczulony kominiarz.

Kiedy zbliżała się oznaczona godzina, byłbym uciekł, gdyby nie to, że zgodnie z rozkazem mu wydanym, Mściciel siedział w przedpokoju i że zaraz potem usłyszałem na schodach kroki Joego. Poznałem od razu, że to on nadchodzi, po niezręcznym stąpieniu, po tym, że jego odświętne obuwie jako zbyt obszerne szurało po schodach, i po tym, że zatrzymywał się na piętrach, by odczytywać nazwiska na tabliczkach. Kiedy wreszcie zatrzymał się przed naszymi drzwiami, słyszałem nieledwie szelest jego palca przesuwającego się po malowanych literach mego nazwiska na drzwiach i jego oddech dmuchający w dziurkę od klucza. W końcu rozległo się nieśmiałe stuknięcie i Pepper - takie było kompromitujące nazwisko mściwego chłopaka - zaanonsował: „Mr Gargery! Wówczas jeszcze myślałem, że nigdy nie skończy wycierania stóp i że będę zmuszony wyjść i zdjąć go ze słomianki, ale wreszcie wszedł do pokoju.

- Joe, jak się miewasz, Joe?

- Pip, jak się miewasz, Pip?

Twarz jego była jak zawsze uczciwa, płonąca i promienna, kiedy postawiwszy pomiędzy nami na podłodze swój kapelusz schwytał obie moje dłonie i podnosił je rytmicznym gestem w górę, by opuścić potem na dół, jak gdybym był ostatnim modelem patentowanej pompy.

- Rad cię widzę, Joe. Daj mi twój kapelusz.

Ale Joe, trzymając kurczowo kapelusz jak gniazdo pełne ptasich jaj, nie myślał nawet rozstawać się ze swą własnością i upierał się, aby stać i rozmawiać w najmniej wygodnej pozycji.

- Jakaś to urósł - powiedział Joe - i zmężniał, i spańszczał. - Joe namyślał się przez chwilę, zanim wpadł na to słowo - na pewno przynosisz zaszczyt twemu królowi i krajowi.

- A ty, Joe, wyglądasz wspaniale.

- Dziękować Bogu - odparł Joe - nie miewam się gorzej niż inni. - A twojej siostrze nic się nie pogorszyło. A Bidy jest jak zawsze dobra i pomocna. I wszystkim przyjaciółom dobrze się wiedzie. Z wyjątkiem Wopsle'a, który się opuścił.

Przez cały ten czas (mimo że obiema dłońmi trzymał przed sobą ostrożnie gniazdo z ptaszkami), Joe toczył wokół siebie wzrokiem, przenosząc spojrzenie ze ścian na kwiecisty wzór mojego szlafroka.

- Zeszedł na manowce, Joe?

- Tak - potwierdził cichszym głosem Joe - rzucił kościół i przeszedł do teatru na aktora. I to właśnie przywiodło go ze mną do Londynu. Jego życzeniem było - tu Joe wsunął swoje gniazdo pod lewe ramię, a prawą ręką sięgnął jak gdyby po jajko - żebym, bez obrazy, to ci oddał.

Wziąłem to, co Joe mi podawał i co okazało się zmiętym programem podrzędnego teatryku stołecznego. Program zapowiadał jeszcze w tym tygodniu występ „słynnego amatora prowincjonalnego, drugiego Rosciosa, który swym jedynym ukazaniem się na scenie w tragicznej roli w dramacie naszego barda narodowego wywołał nie lada sensację w miejscowych kołach dramatycznych”.

- Czy byłeś na tym przedstawieniu, Joe? - spytałem.

- Byłem - przytaknął uroczyście Joe.

- Czy rzeczywiście wywołał sensację?

- Tak - odparł Joe - można powiedzieć, że nie żałowali mu skórek od pomarańczy. Szczególnie w chwili, kiedy zobaczył ducha. Ale chciałem się spytać, czy to pomaga aktorowi i czy to ładnie wykrzykiwać, kiedy widzi ducha, „Amen? To, że człowiek miał to nieszczęście i służył w kościele, to jeszcze nie znaczy, że trzeba mu przerywać rozmowę z duchem rodzzonego ojca wykrzyknikami! Dodam, że jeżeli duch własnego ojca nie ma pochłaniać uwagi człowieka, to co wreszcie ma go zajmować? Na dobytek spadała mu jeszcze żalobna czapeczka, której czarne pióra były zbyt ciężkie, i musiał ją ciągle przytrzymywać.

Wyraz twarzy Joego całkiem taki, jak gdyby sam zobaczył ducha, zawiadomił mnie o wejściu Herberta do pokoju. Przedstawiłem Joego Herbertowi, który wyciągnął do niego rękę; ale Joe cofnął się, kurczowo zaciskając dłonie na swym gnieździe z jajami.

- Pański sługa, wielmożny panie - powiedział Joe - spodziewam się, że pan zarówno jak Pip - tu spojrzenie jego padło na młodego Mściciela, który stawał na stole grzanki, jak gdyby i jego chciał zamknąć w gronie domowników (widząc to groźnie ściągnąłem brwi, co jeszcze bardziej zmieszało Joego) - spodziewam się, że obaj panowie jesteście w dobrym zdrowiu, mimo że znajdujecie się w takim zamknięciu. Bo ta gospoda może być w mniemaniu Londyńczyków bardzo dobra - dodał poufny tonem Joe - ale ja mimo to nie odważyłbym się w takiej zagrodzie nawet tuczyć prosiaka, gdybym chciał mieć z niego smaczne i wonne mięso.

Wygłosiwszy taką pochwałę naszego mieszkania i zdradziwszy nagle tendencję nazywania mnie „panem, Joe zaproszony do stołu zaczął rozglądać się, gdzieby tu odstawić kapelusz, jak gdyby należało wybrać jakieś rzadkie miejsce.

Wreszcie powiesił go na gzymsie kominka, skąd co pewien czas spadał na podłogę.

- Napije się pan herbaty czy kawy, Mr. Gargery? - spytał Herbert, który zawsze był gospodarzem przy pierwszym śniadaniu.

- Dziękuję panu - odparł Joe sztywniejac od stóp do głów - będę pił to, co panowie wolą.

- To może kawy?

- Dziękuję panu - odparł Joe najwidoczniej nie zachwycony tą propozycją - skoro pan był łaskaw wybrać kawę, może być kawa. Nie będę sprzeczał się z pańską opinią. Ale czy pan nie uważa, że kawa za bardzo syci?

- Więc herbata w takim razie - powiedział Herbert napelniając jego filiżankę.

W tej chwili kapelusz Joego spadł z gzymsu kominka, Joe skoczył na równe nogi, podniósł go i umieścił dokładnie w tym samym miejscu, jak gdyby przepisy dobrego wychowania wymagały bezwzględnie, aby za chwilę spadł znowu na podłogę.

- Kiedy przyjechał pan do miasta, Mr. Gargery?

- Czy to było wczoraj po południu? - zastanawiał się Joe zasłaniając się dłonią podczas kaszlu, jak gdyby chciał pokazać, że zdążył się już tu nabawić co najmniej kokluszki.

- Nie, chyba nie. Chociaż tak, to było wczoraj po południu (twarz jego wyrażała rozsądek, ulgę i całkowitą bezstronność).

- Czy widział już pan coś w Londynie?

- Tak naturalnie, poszedłem z Wopslem, proszę pana - powiedział Joe - poszliśmy obejrzeć składy pasty do obuwia. Ale okazało się, że są one całkiem niepodobne do tych, które zapowiadały czerwone afisze przed sklepami.

I dla wytłumaczenia swej myśli Joe dodał:

- Na afiszu one są bardziej architektoktoniczne...

Zdaje mi się, że Joe wymawiałby to niebezpieczne słowo jeszcze o wiele dłużej, może nawet rozciągnąłby je w istny refren, gdyby uwaga jego nie została znowu zaprzątnięta kapeluszem, który stoczył się na podłogę. Nakrycie owo wymagało zresztą nieustannej jego czujności i zręcznej szybkości, podobnie do tej, jaką wymaga obrona bramki w krikiecie.

Wykazywał po prostu olbrzymią wprawę i znajomość przepisów tej niezwyklej gry z kapeluszem: to rzucał się błyskawicznie i chwycił go wpół drogi, to pozwalał mu się toczyć chwilę po podłodze i przyciskał go przed schwytaniem do tapety na ścianie, aż wreszcie zapędził go aż do szaflika z wodą, z którego ośmieliłem się go wydobyć.

Kołnierzyk Joego od koszuli i kołnierz ubrania były prawdziwą zagadką. Czy dlatego poddawał się takim duszącym torturom, że sądził, iż inaczej nie będzie ubrany odświętnie? Czy uważał, że uroczysty strój wymaga, aby człowiek stał się go godnym przez cierpienie?

Podczas jedzenia Joe robił niepokojące przerwy, zamyślając się i zatrzymując z niewiadomych przyczyn widelec w pół drogi pomiędzy talerzem a ustami. Oczy jego biegły w najbardziej niespodziewanych kierunkach. Męczył się najwidoczniej z powodu własnego kaszlu. Siedział tak daleko od stołu, że więcej kęsów upuszczał na podłogę, niż donosił do ust, udając jednocześnie, że tego wcale nie spostrzega. Z tych wszystkich powodów byłem uszczęśliwiony, gdy Herbert opuścił nas i udał się do miasta.

Nie miałem wówczas ani rozsądku, ani dostatecznie dobrej woli, by przyznać, że wszystko to wynikło z mojej winy i że gdybym od pierwszej chwili był swobodniejszy wobec Joego i on byłby bardziej swobodny wobec nas. Przeciwnie, złościłem się na Joego, irytowało mnie jego zachowanie się i sam przyczyniałem się do tego, że dalej rzucał mi na głowę rozpalone węgle.

- Ponieważ zostaliśmy teraz sami z panem... - zaczął po wyjściu Herberta.

- Joe - przerwałem mu ze złością - czemu ciągle nazywasz mnie panem?

Joe spojrzał na mnie i przez krótką chwilę czytałem w jego spojrzeniu wyrzut. I mimo całej śmieszności jego krawata i kołnierzyków musiałem przyznać, że z postawy jego było wiele godności.

- Ponieważ zostaliśmy teraz sami - powiedział Joe - a ja nie mam zamiaru ani możliwości pozostawać tu już dłużej nad kilka chwil, muszę wyjaśnić, co sprawiło, że mam

zaszczyt tu się znajdować. Bo - ciągnął z tym przebiegłym wyrazem twarzy, który znałem tak dobrze - gdyby nie fakt, iż zawsze mam na względzie pańskie dobro, nie miałbym zaszczytu siedzieć przy stole z dwoma panami w ich własnym mieszkaniu.

Tak dalece obawiałem się, że znowu spojrzy na mnie podobnie jak przedtem, że nawet nie zaprotestowałem przeciwko tonowi, jakim do mnie przemawiał.

- Więc to było tak, proszę pana - ciągnął Joe - siedziałem któregoś wieczora „Pod Wesołymi Przewoźnikami i tam, Pip - ilekroć zapominał się, mówił mi po imieniu, by zaraz potem przejść na grzecznościowe „pan - przyjechał swoją bryczuszką. Pumblechook. Muszę tu dodać, chociaż to nie ma nic do rzeczy, że wścieka mnie ten człowiek, kiedy rozbija się bryczką po całym mieście i wszędzie wykrzykuje, że był twoim najlepszym przyjacielem i opiekunem za czasów twego dzieciństwa i że ty uważasz go za najbliższego sobie druha.

- Głupstwo, Joe, to ciebie uważam za druha.

- I ja tak myślałem - odparł potrząsając głową - chociaż teraz to nie ma już większego znaczenia, proszę pana. Więc ten Pumblechook, co robi tyle zamieszania, wpadł pod „Trzech Przewoźników (szklanka piwa i fajeczka w oberży dobrze robi każdemu robotnikowi i nie przeszkadza mu w pracy) i powiedział: „Józefie, miss Havisham chce z panem mówić”.

- Mis Havisham, Joe?

„Życzy sobie - powiedział Pumblechook - rozmawiać z panem”. Tu Joe usiadł i przewrócił oczyma, utkwivszy spojrzenie w suficie.

- Doprawdy, Joe? Mów dalej.

- Nazajutrz, proszę pana - opowiadał Joe spoglądając na mnie tak, jak gdybym był bardzo daleko od niego - ubrałem się i poszedłem do miss A.

- Miss A, Joe? Chyba do miss Havisham?

- Mówię właśnie - odparł Joe z taką miną, jak gdyby sporządzał testament - do miss A., to znaczy do miss Havisham proszę pana. Więc ona powiada do mnie: „Pan koresponduje z Mr. Pipem, Mr. Gargery? Ponieważ dostałem właśnie od pana list, więc miałem prawo dać odpowiedź, że tak. (Kiedy się żenił z twoją siostrą, Pip, powiedziałem wtedy: „tak” i kiedy odpowiedział twojej przyjaciółce, Pip, znowu powiedziałem: „tak”). „Więc niech pan mu napisze - oświadczyła wtedy - że Estella wróciła do domu i będzie rada go widzieć”.

Patrząc na Joego czułem, że twarz moja w tej chwili płonie. Zdawałem sobie sprawę, że czerwienię się, i dlatego, iż gdybym wiedział, z czym Joe przybywa, dodawałbym mu od początku więcej otuchy.

- Biddy, kiedy zawiadomiłem ją o tym po powrocie do domu, zawahała się, czy mam ci to napisać w liście. Doradziła mi: „Wiem, że ucieszyłby się, gdybyś mu to sam powiedział.

Jest święto, chcesz go zobaczyć, jedź. Skończyłem, proszę pana - oznajmił Joe zrywając się z krzesła - i, Pip, życzę ci wszystkiego najlepszego, żeby ci się coraz to lepiej i lepiej powodziło.

- Ale, chyba nie odchodzisz jeszcze, Joe?

- Odchodzę - odparł Joe.

- Ale wrócisz chyba na obiad, Joe?

- Nie, nie wrócę - zapowiedział Joe.

Nasze spojrzenia się spotkały i wszystkie „pan zamarły w jego męskim sercu, gdy podawał mi rękę.

- Pip, kochany przyjacielu, życie składa się z takiego łańcucha złączonych ze sobą rozstań, jeżeli wolno mi tak powiedzieć. Jeden jest kowalem, drugi złotnikiem, a trzeci miedziorytnikiem i między poszczególnymi ludźmi są różnice, więc każdy musi iść w swoją stronę. Jeżeli ktokolwiek popełnił dzisiaj błąd, to tylko ja sam. Ja i ty to dwie osoby, które nie mogą być razem w Londynie. Możemy się widywać jedynie prywatnie i tylko wśród przyjaciół, którzy jednakowo nas obu znają. I to nie dlatego, abym był dumny, ale dlatego, że chcę być w porządku, nie zobaczysz mnie już nigdy w tym stroju. W oderwaniu od kuźni, kuchni czy moich bagnisk jestem nie na miejscu. Będziesz całkiem inaczej mnie widział w roboczym ubraniu, w kuźni i z fajką w zębach lub młotem w dłoni. Z pewnością nie zobaczysz we mnie ani połowy wad i błędów, jakie tu we mnie dostrzegasz, gdy pewnego razu, kiedy zechcesz mnie zobaczyć (a spodziewam się, że taka chwila nadejdzie), wsuniesz głowę przez okno kuchni i ujrzysz mnie przy moim starym kowadle, mnie, Joego, kowala, w starym na pół popalonym fartuchu przy starej mojej robocie. Jestem okrutny tępak, ale wydaje mi się, że tym razem trafiłem w sedno prawdy. Niech cię więc Bóg błogosławi, Pip, kochany staruszkule, niech cię Bóg błogosławi!

Nie omyliłem się więc przypuszczając, że jest w nim wiele godności. Krój jego ubrania nie miał już żadnego znaczenia w chwili, gdy mówił te słowa, tak samo jak nie miałby znaczenia w niebie. Dotknął delikatnie dłonią mego czoła i wyszedł. Kiedy tylko oprzytomniałem z wrażenia, rzuciłem się ku drzwiom, wybiegłem na ulicę, by go znaleźć. Ale już poszedł.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Było jasne, że nazajutrz muszę pojechać do naszego miasteczka i w pierwszym przyływie wyrzutów sumienia uważałem za równie oczywiste, że muszę zamieszkać u Joego. Ale kiedy zamówiłem już miejsce w dylizansie na dzień następny i kiedy przeszedłem się do domu Mr. Pocketa i z powrotem, nie byłem już tak mocno przekonany, czy wykonam drugi punkt mego planu i zacząłem zmyślać sobie szereg wymówek i przyczyn, dla których lepiej by było zamieszkać w gospodzie „Pod Błękitnym Dzikim. Będę przeszkadzał Joemu, nie oczekują mnie w domu, moje łóżko nie będzie przygotowane, znalazłbym się zbyt daleko od miss Havisham, a ona jest punktualna i nie lubi, żeby się spóźniać. Nie ma większego oszusta niż ten, kto oszukuje sam siebie, a ja używałem w tym celu wszystkich możliwych sposobów. I rzecz ciekawa: nie byłoby nic dziwnego, gdybym w nieświadomości przyjął fałszywą półkoronówkę od jakiegoś fałszerza pieniędzy, ale zdumiewające mogło się wydawać to, że świadomie przyjmowałem fałszywą przeze mnie samego podrobioną monetę i brałem ją za dobry pieniądz!

Usłużny oszust może z łatwością pod pretekstem złożenia moich banknotów wsunąć mi zamiast nich chociażby łupiny od orzechów, ale co powiedzieć o człowieku, który, jak ja, sam wsuwał sobie skorupy od orzechów i wmawiał w siebie, że to banknoty.

Postanowiwszy więc, że zajadę do „Błękitnego Dzika zacząłem się zastanawiać, czyby nie zabrać ze sobą Mściciela. Jakże kusząca była dla mnie perspektywa, że ów kosztowny najemnik będzie się przechadzał po dziedzińcu „Błękitnego Dzika na stacji dylizansów, przewietrzając swe wysokie buty. A po prostu rozkoszna była myśl, że przejdzie się on przed sklepem krawca i wprawi w zdumienie pozbawionego dla mnie szacunku chłopaka od Mr. Trabba. Z drugiej strony obawiałem się, że ten okropny chłopiec gotów zaprzyjaźnić się z moim lokajczykiem i naopowiadać mu niepotrzebnych rzeczy, albo też bezczelny zuchwalec potrafiłby go po prostu pobić na środku High Street. Lękałem się też, że mogłaby się o nim dowiedzieć moja opiekunka i że byłaby może niezadowolona. W rezultacie postanowiłem nie brać ze sobą Mściciela.

Zamówiłem miejsce w popołudniowym dylizansie i ponieważ panowała zima, spodziewałem się dotrzeć do celu w dwie czy trzy godziny po zapadnięciu zMr.oku. Miałem wyruszyć ze stacji Cross Key o drugiej po południu. Stawiłem się na miejscu o kwadrans wcześniej w towarzystwie Mściciela, jeżeli można nazwać towarzystwem kogoś, komu nie śniło się w niczym mi pomagać.

W owym czasie weszło w zwyczaj przewożenie galerników do portu w dyliżansach pocztowych. Podróżowali zazwyczaj na górnym piętrze i nieraz widziałem na własne oczy ich skute żelazem nogi, kołyszące się na dachu pojazdu. Toteż nie zdziwiłem się wcale, gdy odprowadzający mnie Herbert powiedział, że będę jechał w towarzystwie dwóch galerników. Miałem przyczyny po temu, co prawda już stare przyczyny, by wyraz galernik przyprowadził mnie za każdym razem o przykry wstrząs.

- Nie sprawia ci to chyba przykrości, Haendel? - spytał Herbert.

- O, nie!

- Zdawało mi się, że wyglądasz, jak gdyby ci się to nie podobało!

- Nie mogę powiedzieć, aby mi się to specjalnie podobało i tobie na pewno także nie byłoby to przyjemne, ale przykrości mi to nie sprawia!

- Patrz! To właśnie oni! - zauważył Herbert - wychodzą z gospody. Jakiż to okropny i wstrętny widok!

Towarzyszył im dozorca i widocznie musieli go częstować w oberży, bo wszyscy trzej wycierali sobie usta wierzchem dłoni. Dwaj galernicy byli skuci ze sobą za ręce i mieli kajdany na nogach. Znałem dobrze kształt tych kajdanów, tak samo jak krój ubrań więziennych przestępców. Dozorca ich miał parę pistoletów, a pod pachą trzymał jeszcze grubą pałkę, ale zdawał się być z więźniami w doskonałych stosunkach. Stał obok nich przyglądając się, jak zakładano konie do dyliżansu, z taką miną, jak gdyby jego więźniowie stanowili interesującą wystawę publiczną, otwartą nieoficjalnie, a on pełnił rolę jej kustosza. Jeden z galerników był wyższy i cięższy od drugiego. Prawdopodobnie na zasadzie tajemniczych praw, rządzących światem galerników i wolnych ludzi, ubrano go w jak najciaśniejsze ubranie. Ramiona jego i nogi wyglądały na skutek tego jak potworne poduchy do szpilek, a całość stroju robiła wrażenie groteskowe. Wystarczyło mi jedno spojrzenie jego na pół przymkniętych oczu, bym poznał w nim tajemniczego gościa, który w gospodzie „Pod Trzema Przewoźnikami pewnej soboty wieczorem mierzył do mnie z niewidzialnej strzelby.

Nietrudno było spostrzec, że nie zdaje się mnie poznawać, jak gdyby widział mnie po raz pierwszy w życiu. Przez krótką chwilę przejrzał mnie na wskroś i zatrzymał przez chwilę spojrzenie na moim łańcuszku od zegarka, potem splunął i szepnął coś do swego towarzysza. Obaj roześmieli się potrząsnawszy kajdanami, które łączyły ich dłonie, i przenieśli wzrok na coś innego. Olbrzymie numery wypisane na ich plecach niczym na domach ulicznych, ich cały ohydny i odpychający wygląd, czyniący z nich jak gdyby zwierzęta niższego rzędu, nogi opatrzone w kajdany, za które wetknięte mieli żałośnie chusteczki do nosa, spojrzenia

otaczających pełne lęku i obrzydzenia, przedstawiały, jak to słusznie powiedział Herbert, okropny i wstrętny widok.

Ale najgorsze miało dopiero przyjść. Ponieważ okazało się, że górę dylizansu zajęła jakaś rodzina londyńska, wyprowadzająca się z całym bagażem z miasta, dwaj więźniowie musieli usiąść na ławeczce tuż za plecami woźnicy. Wówczas pewien choleryczny jegomość, któremu przypadło czwarte miejsce na tej ławce, wpadł we wściekłość, wykrzykując, że to jest nadużycie umowy, że on nie życzy sobie takiego ohydneho towarzystwa, że to haniebne, okropne, zabójcze, bezwstydnne i nie wiadomo już co. Tymczasem pojazd był już gotów, wszyscy zajęliśmy miejsca, galernicy zjawili się wraz z dozorcą, a jednocześnie rozeszła się owa woń kataplazmów, bai, sznurów i paleniska, właściwa wszystkim więźniom.

- Niech pan tak się nie przejmuj, panie - tłumaczył rozgniewanemu pasażerowi dozorca - będą siedzieli obok mnie z drugiej strony, daleko od pana. Nie zetkną się z panem wcale. Nie będzie pan nawet widział, jak jadą.

- I proszę tylko nie mieć do mnie pretensji o tę podróż - powiedział galernik, którego poznałem - nie mam wcale ochoty tam jechać. Chętnie zostanę i pošlę kogo innego na moje miejsce.

- Albo na moje - Mr.uknął drugi więzień - na pewno bym państwu nie przeszkadzał, gdyby pozwolono mi pójść swoją drogą.

Potem obaj roześmieli się i zaczęli łupać orzechy rozrzucając skorupy.

Pomyślałem, że i ja na ich miejscu, gdyby mną tak wyraźnie pogardzali, robiłbym to samo.

Zdecydowano wreszcie, że nie podobna zaspokoić pretensji rozgniewanego pasażera i że ma on do wyboru albo podróż w towarzystwie, jakie mu wypadło, albo pozostanie w Londynie. Zajął więc swoje miejsce wciąż narzekając. Dozorca usiadł obok niego, a więźniowie odsunęli się, jak najdalej mogli, na ławce. Galernik, którego znałem, siedział tuż za mną i dmuchał mi oddechem we włosy.

- Do widzenia, Haendel, - zawołał Herbert, gdy dylizans ruszył, i wówczas pomyślałem, jak to szczęśliwie, że wymyślił dla mnie nowe imię i nie nazywa mnie Pipem.

Trudno mi powiedzieć, z jaką wyrazistością czułem oddech więźnia nie tylko we włosach, ale wzdłuż całego kręgosłupa. Miałem uczucie, że mój rdzeń pacierzowy został porażony przez jakiś gryzący płyn i po prostu zgrzytałem od tego zębami. Galernik robił wrażenie, jak gdyby oddychał o wiele więcej niż każdy inny człowiek i sprawiał znacznie więcej hałasu przy tym niż inni. Czułem, jak z jednej strony wyrasta mi garb, tak bardzo kurczyłem się, by uniknąć jego sapania.

Pogoda była okropna i dwaj więźniowie przeklinali zimno. Chłód wprawiał wszystkich w rodzaj letargu, a kiedy ujechaliśmy połowę drogi, całe towarzystwo skurczone drżało z zimna, drzemało i milczało. I ja również drzemałem, ale w półśnie jeszcze rozmyślałem, czy powinienem temu człowiekowi oddać jego dwa funty, zanim go stracę z oczu, a jeżeli tak, to w jaki sposób to zrobić.

We śnie pochyliłem się naprzód tak mocno, jak gdybym miał głowę upaść pomiędzy konie, i wzdrygnąwszy się obudziłem się z lękiem, wciąż dalej myśląc o jednym. Musiałem jednak spać dłużej, niż mi się zrazu zdawało, gdyż mimo że wokół nic nie można było rozróżnić w ciemnościach, prócz blasku padającego z naszych latarni i tańczącego z cieniami, poczułem po wilgotnym mglistym zapachu idącym od ziemi, że musimy znajdować się już w bagnistej okolicy. Galernicy tymczasem usadowili się tak, by mieć jakąś ochronę przed zimnym przenikliwym wiatrem, i robiąc sobie z mojej osoby parawan, przysunęli się całkiem blisko. Pierwsze słowa, jakie usłyszałem z ich ust tuż koło mnie, stanowiły jak gdyby echo moich myśli: „Dwa banknoty jednofuntowe”.

- Skąd je dostał? - spytał galernik, którego nie znałem.

- Skądże mogę to wiedzieć? - odparł znajomy mi więzień - musiał je mieć schowane. Może dostał od któregoś z przyjaciół.

- Żeby tak teraz tutaj mieć - westchnął ten drugi i dodał znowu przekleństwo z powodu zimna.

- Co mieć? Przyjaciół czy dwa funty?

- Dwa funty, oczywiście. Sprzedałbym wszystkich przyjaciół za jednego funta i jeszcze zrobiłbym dobry interes. Więc co ci wtedy tamten powiedział?

- Powiedział - odparł znajomy mi galernik - bardzo krótko, bo mieliśmy tylko chwilkę czasu ukryci za stosem drzewa w porcie: „Wypuszczają cię! Tak, mieli mnie wypuścić. Wtedy spytał, czy odnajdę tego chłopca, który mu wówczas pomógł, przyniósł żywność i dochował tajemnicy i czy doręcę mu dwa funty. Obiecałem mu to i dotrzymałem.

- Głupi byłeś. Ja na twoim miejscu przejadłbym je i przepił. To musiał być jakiś niedoświadczony chłop. Powiadasz, że nic o tobie nie wiedział?

- Nic. Byliśmy w różnych bandach i na różnych galerach. Został schwyty przy próbie ucieczki i skazany na dożywotniaka.

- I to było tylko raz, na słowo! Pracowałeś w tamtej okolicy?

- Jeden jedyny raz.

- Co sądzisz o tamtych stronach?

- Okropna okolica. Błota, mgły, moczary i katorga, katorga, błota, mgła i moczary!

Wyrażali najgorszymi wyrazami wstręt do moich rodzinnych stron, przeklinali, potem obaj umilkli.

Wysłuchawszy tej rozmowy powinienem był natychmiast wysiąść w ciemnościach i zostać sam na drodze, ale nie ruszałem się, gdyż miałem pewność, że mnie nie poznał. Istotnie, nie tylko sam się przeobraziłem, ale tak gruntownie zmieniłem strój i w tak odmiennych okolicznościach mnie wówczas widział, że nie można mnie było poznać bez czyjejś pomocy.

Niezwykły przypadek, który kazał nam spotkać się w jednym dylizansie, przepelniał mnie jednak obawą, że może się zdarzyć inny przypadek, który przypomni mu moją osobę i że za chwilę więzień odezwie się do mnie po imieniu. Z tego to powodu postanowiłem wysiąść z dylizansu u wjazdu do miasteczka i zniknąć mu jak najprędzej z oczu. Wykonałem ten zamiar szczęśliwie. Moja torba podróżna znajdowała się w skrzyni bagażowej obok mych stóp; wystarczyło przekręcić kluczyk i wyjąć ją stamtąd. Uczyniłem to, wyrzuciłem torbę na drogę, wyskoczyłem i znalazłem się przy pierwszej latarni w miejscu, gdzie zaczynał się bruk miasteczka. Galernicy zaś pojechali dylizansem dalej i wiedziałem doskonale, gdzie nad rzeką ich wysadzą. W wyobraźni widziałem oczekujący ich na czarnej wodzie rzeki statek z załogą galerników, stojący u stóp pokrytych mułem schodów, słyszałem szorstkie: „Wsiadać, wy tam!, rozkaz jak dla psów, i w oczach miałem obraz strasznej Arki Noego, zakotwiczonej na ciemnej wodzie rzeki.

Nie umiem powiedzieć, czego się w tej chwili lękałem, gdyż lęk mój był nieokreślony, ale bałem się okropnie. Idąc w stronę hotelu drżałem ze strachu stokroć silniejszego niż ten, który wywołuje przykre spotkanie. Jestem przekonany, że przerażenie owo nie przybrało wyraźnego oblicza i że to dawne strachy dzieciństwa nagle we mnie ożyły na kilka minut.

Kawiarnia w gospodzie „Pod Błękitnym Dzikim była pusta i kiedy usiadłszy przy stoliku zamawiałem obiad, kelner zrazu mnie nie poznał. Gdy po chwili przeproszał mnie za to, spytał, czy ma posłać Bootsa po Mr. Pumblechooka.

- Nie - odparłem - oczywiście, że nie trzeba.

Kelner (ten sam, który w dniu rejestrowania mnie w urzędzie w charakterze terminatora wnosił do władz protest w imieniu pracowników) podał mi teraz ze zdziwioną miną zatłuszczony numer jakiejś starej gazety. Zrobił to tak znacząco, że wziąłem ją i przeczytałem następującą wzmiankę:

Czytelnicy nasi przeczytają nie bez zainteresowania romantyczną wiadomość o nagłym dojściu do fortuny pewnego młodego rzemieślnika z branży żelaznej, zamieszkałego w naszym sąsiedztwie (nawiasem mówiąc, cóż za wspaniały temat dla pióra powszechnie

znanego mieszkańca naszego miasta, Toobyego, poety tych oto kolumn). Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że przyjacielem i opiekunem od lat najmłodszych i towarzyszem owego szczęśliwego młodzieńca jest powszechnie znany i szanowany obywatel, o którym nie można powiedzieć, by nie miał pewnych związków ze sprzedażą ziarna i nasion i którego świetnie zaopatrzonego skład znajduje się o sto kroków od ulicy Głównej. Bez uchybienia wolno nam przypomnieć, że on to był mentorem młodego Telemaka, który fortunę swą zresztą zawdzięcza jednemu z obywateli naszego miasta. Więc kto jest właścicielem owej fortuny? - spyta zapewne ze zmarszczoną brwią miejscowy Mędrzec lub też z błyszczącym okiem miejscowa Piękność. Powiemy tylko tyle: że Quentin Matsys był KOWALEM miasta Antwerpii. Verb. Sap.

Mam prawo przypuszczać, opierając się na doświadczeniu, że gdybym w owym czasie mego powodzenia znalazł się na biegunie północnym, to spotkałbym tam jakiegoś wędrownego Eskimosa czy też człowieka cywilizowanego, który by mi oświadczył, że Pumblechook był moim pierwszym opiekunem i że to jemu zawdzięczam majątek.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Nazajutrz zerwałem się rankiem z łóżka i wyszedłem na dwór. Było jeszcze za wcześnie udać się do miss Havisham, więc wałęsałem się po okolicy, ale wybrałem te strony, gdzie mieszkała owa dama, a nie te, gdzie znajdował się dom Joego, którego mogłem przecież odwiedzić nazajutrz. Chodziłem i rozmyślałem o mej opiekunce snując wspaniałe plany na przyszłość. Adoptowała Estellę, niemal że mnie usynowiła, więc z pewnością zamierzała połączyć nas dwoje w przyszłości. Mnie to przeznaczyła rolę dźwignięcia domu z ruiny, wpuszczenia do ciemnych pokojów światła słonecznego, wprawienia w ruch stojących zegarów, zapalenia ognia w wystygłych kominkach, wymiecienia pajęczyn, zniszczenia robactwa - słowem, ja miałem w jej domu spełnić rolę młodego rycerza z bajki i poślubić księżniczkę.

Mijając dom zatrzymałem się, by mu się przyjrzeć. Ceglane stare mury, na glucho zabite okna, zielony bluszcz, który nie tylko obrastał ściany, ale nawet obejmował ramionami dach aż po kominy, wszystko to zdawało mi się uroczą tajemnicą, w której ja grać miałem rolę bohatera. Estella oczywiście stanowiła natchnienie i serce owej tajemnicy. Ale mimo że wciąż jeszcze mną władała, mimo że marzenia moje były z nią tylko związane, mimo że wywarła mocny wpływ na mój chłopięcy charakter i na moje życie, to nawet owego romantycznego poranka, myśląc o niej, nie przypisywałem jej cech, których istotnie nie posiadała. Wspominam o tym tutaj z przyczyny, której jestem świadomy: fakt ten bowiem był jak gdyby nicią, która wywiodła mnie z ubożego labiryntu. Jak nauczyło mnie doświadczenie, obraz, jaki zakochany tworzy sobie o przedmiocie swej miłości, nie zawsze zgodny bywa z prawdą. Ale jedno jest niezbitą prawdą. Gdy kochałem Estellę miłością mężczyzny, zdawałem sobie sprawę, że kocham ją jedynie dlatego, iż nie potrafię się jej oprzeć. Raz na zawsze wiedziałem, ku memu zmartwieniu, i świadomość ta powracała mi wciąż, jeżeli nie towarzyszyła bez przerwy, że kocham ją wbrew rozsądkowi, wbrew temu, com sobie przyrzekł, wbrew własnemu spokojowi, wbrew nadziei, wbrew szczęściu i mimo wszystkich rozczarowań, jakie mogą mnie spotkać.

Raz na zawsze kochałem ją, choć wiedziałem to wszystko, i miłość moja dla niej nie mogłaby być większa, gdybym wierzył w jej doskonałość.

Tak wymierzyłem sobie kroki, by dotrzeć do bramy o tej samej godzinie, ó której przychodziłem tu niegdyś. Kiedy zadzwoniłem niepewną dłonią, odwróciłem się plecami do bramy, by uspokoić gwałtowne kołatanie serca. Słyszałem, jak otworzyły się boczne drzwi

domu, słyszałem kroki stukające po dziedzińcu, ale nie odwróciłem się nawet wówczas, gdy brama zaskrzypiała na zardzewiałych zawiasach.

Dopiero gdy ktoś dotknął mego ramienia, odwróciłem się i drgnąłem, co tym razem było całkiem naturalne, na widok człowieka w ciemnopopielatym ubraniu. Stał przede mną ostatni człowiek, jakiego spodziewałem się ujrzeć w roli portiera przy drzwiach domu miss Havisham.

- Orlick!

- Ach, to młody panicz! Cóż, zmiany zaszły nie tylko w pańskim życiu. Ale proszę wejść do środka. Nie wolno mi trzymać bramy otwartej!

Wszedłem, a on zaryglował bramę i wyjął klucz z zamka.

- Tak - powiedział zrobiwszy kilka kroków przede mną w stronę domu i zawróciwszy ku mnie z powrotem - jestem więc teraz tutaj.

- W jaki sposób się tu dostałeś? - spytałem.

- Przyszedłem pieszo, a rzeczy przywiozłem sobie na taczkach - odparł.

- Czy jesteś tutaj na dobre? - badałem.

- Spodziewam się, że nie na złe chyba, młody panie.

Nie byłem tego tak całkiem pewien i miałem dobrą chwilę do pomyślenia na ten temat, gdyż zatrzymał się teraz przede mną i podniósł ociężałe spojrzenie z bruku kolejno na me nogi, ramiona i twarz.

- Porzuciłeś więc kuźnię? - dowiadywałem się.

- A czyż to wygląda na kuźnię? - rzucił obrażonym tonem ukazując dłonią wokół siebie - niech pan sam powie, czy to podobne do kuźni?

Spytałem go, od jak dawna porzucił kuźnię Gargeryego.

- Jeden dzień jest tutaj tak podobny do drugiego - odparł - że sam nie umiem powiedzieć dokładnie. Wiem tylko, że w jakiś czas po pańskim wyjeździe.

- To i ja mógłbym ci powiedzieć, Orlick.

- Ach - odparł oschle - na to pan jest uczonym. Doszliśmy tymczasem do domu i tu ujrzałem jego mieszkanie.

Był to mały pokoik przy drzwiach wejściowych, z okienkiem wychodzącym na podwórze. Przypominał podobne pomieszczenia dla portierów w Paryżu. Na ścianach wisiał szereg kluczy, do których Orlick dodał teraz klucz od bramy. W swoistej alkowie znajdowało się jego łóżko przykryte połataną kapą. Panowały tu zaduch i senność niczym w norze ludzkiego susła. Sam gospodarz, ponury, ciemny i ciężki, stojąc u okna robił wrażenie owego zwierzęcia wcielonego w człowieka, dla którego tę klatkę właśnie stworzono.

- Nigdy dawniej nie widziałem tego pokoju. Bo też nie było tu nigdy dozorca - zauważyłem.

- Nie, nie było, dopóki się nie spostrzegli, że nikt nie pilnuje domu i że kręci się tu pełno galerników, rozmaitej hołoty, obdarcuchów i urwipolciów. Wtedy to polecono mnie jako człowieka, który da sobie z każdym radę. Wziąłem tę posadę, bo lżejsza niż praca przy miechu kowalskim i młocie. A broń jest nabita, tak.

Spojrzenie moje padło na dubeltówkę o kolbie oprawnej w mosiądz, zawieszoną nad kominkiem, jego oczy podążały za moimi.

- A teraz - zagadnąłem chcąc przerwać rozmowę - czy mogę pójść do miss Havisham?

- Niech się spalę, jeżeli wiem - odparł prężąc swą długą postać - rozkazy dla mnie kończą się tutaj, młody panie. Muszę; teraz uderzyć tym oto młotkiem w tę tarczę, a pan pójdzie korytarzem, aż pan kogoś spotka.

- Chyba mnie oczekują?

- Niech mnie dwa razy spalą, jeżeli wiem - odparł.

Na te słowa ruszyłem korytarzem, tą samą drogą, którą przebywałem niegdyś w grubym obuwiu, a Orlick uderzył w gong. Na końcu korytarza, gdy sygnał wciąż się rozlegał, spotkałem Sarę Pocket. Na mój widok wyraźnie zzieleniała i zżółkła.

- O - przywitała mnie - to pan, Mr. Pip?

- Tak, miss Pocket. Miło mi pani donieść, że Mr. Pocket i jego rodzina są zdrowi.

- Czy nie zmądrzeli? - spytała Sara Pocket potrząsając głową - lepiej by było dla nich, żeby byli mądrzy niż zdrowi. Ach, ten Mateusz, ten Mateusz. Zna pan drogę, proszę pana?

Z łatwością znalazłem drogę na ciemne schody, na które lżej mi było teraz wstępować niż dawniej w ciężkich butach, i znalazłem się przed drzwiami miss Havisham. Zapukałem.

- To pukanie Pipa! - usłyszałem jej głos - wejdz, Pip. Siedziała w swym fotelu przy starym stole w dawnej sukni.

Dłonie miała złożone na lasce, brodę wsparła na nich i patrzyła w ogień. Obok niej z nienoszonym białym pantofelkiem w ręku siedziała spuściwszy głowę jakaś wytworna młoda dama, której nigdy przedtem nie widziałem.

- Wejdz, Pip - Mr. uknęła miss Havisham nie patrząc na mnie, tylko wciąż w płomienie kominka - wejdz, Pip. Jak się masz, Pip? Cóż to, całujesz mnie w rękę jak królową, co? Co?

Spojrzała nagle na mnie i powtórzyła nie zmieniając pozycji jak gdyby z ponurym rozbawieniem:

- No, co?

- Dowiedziałem się, miss Havisham - odparłem trochę zmieszany - że pani łaskawie zechciała mnie zobaczyć, więc przyjechałem.

- No, i co?

Młoda dama, której nigdy przedtem nie widziałem, podniosła teraz oczy i spojrzała mi w twarz. Wtedy ujrzałem, że to oczy Estelli. Ale zmieniła się tak bardzo, była teraz o tyle piękniejsza, o tyle bardziej kobieca, o tyle więcej budziła zachwytu, że moja przemiana gasła przy niej całkowicie. Patrząc na nią pomyślałem, że cofam się wobec niej na nowo i znowu przemieniam w ordynarnego, zwykłego chłopaka. Och, straszne uczucie nierówności i przepaści między nami, które mną wówczas owładnęło i które utwierdziło mnie raz jeszcze w przekonaniu, jak ogromnie jest niedostępna!

Podawała mi rękę. Wyjąkałem coś o przyjemności ponownego spotkania jej i o tym, jak od dawna tego pragnąłem.

- Czy uważasz, że bardzo się zmieniła, Pip? - spytała miss Havisham z ożywieniem, stukając laską w puste krzesło pomiędzy nimi dwiema, jak gdyby wskazując, bym tam usiadł.

- Kiedym tu wszedł, miss Havisham - odpowiedziałem - zdawało mi się, że nie ma nic z Estelli w tej twarzy i postaci, ale teraz zaczynam już rozpoznawać dawną...

- Dawną? - zdziwiła się miss Havisham - chyba nie chcesz powiedzieć, że to dawna Estella, ta, która była dumna i bezczelna. Chciałeś od niej uciec, pamiętasz?

Odparłem zmieszany, że to działo się już bardzo dawno i że byłem wówczas dzieckiem, które nic nie rozumiało, i tym podobne rzeczy. Estella uśmiechnęła się uprzejmie i powiedziała, że z pewnością ona wówczas nie była w porządku, a ja miałem słusność.

- A on czy się zmienił? - zagadnęła miss Havisham Estellę.

- Bardzo - odpowiedziała Estella patrząc na mnie.

- Mniej ordynarny i pospolity? - spytała miss Havisham bawiąc się włosami Estelli.

Estella roześmiała się, spojrzała na pantofelek, który trzymała w ręku, popatrzyła na mnie, znowu wybuchnęła śmiechem i odstawiła trzewiczek.

Wciąż jeszcze traktowała mnie jak małego chłopca, ale jednocześnie usiłowała mnie zdobyć.

Siedzieliśmy w owym pokoju jak ze snu, który niegdyś robił na mnie tak wielkie wrażenie i tu dowiedziałem się, że Estella właśnie powróciła do kraju z Francji i że jedzie do Londynu. Była dumna i uparta jak dawniej, ale te cechy w tak szczególny sposób spłotyły się z jej urodą, że niesposób było ich rozdzielić. Dla mnie Estella nadto ściśle wiązała się ze wszystkimi moimi niegodziwymi tęsknotami do majątku i elegancji, jakie dręczyły mnie w chłopięcych latach, ze wszystkimi zgubnymi aspiracjami, które po raz pierwszy kazały mi się

wstydzic własnego domu i Joego, ze wszystkimi wizjami, które ukazywały mi jej twarz w płonącym ogniu, wystukiwały jej obraz z żelaza iskier na kowadle, wyczarowywały go z Mr.oku rozpostartego za oknami kuźni, by potem na nowo pogrążyć w ciemności. Słowem, niesposób mi było ani w przeszłości, ani w terażniejszości oddzielić jej od najbardziej wewnętrznego nurtu mego życia.

Postanowiono, że zostanę tu do wieczora, wieczorem wrócę do hotelu na noc, a nazajutrz pojedę do Londynu. Po chwili rozmowy miss Havisham posłała nas na przechadzkę do zaniedbanego ogrodu i prosiła, abym po naszym powrocie powoził ją trochę w fotelu po pokoju jak dawniej.

Estella wyszła więc ze mną do ogrodu przez tę samą furtkę, w której niegdyś spotkałem bladego chłopca, obecnie Herberta. Ja drżąc z wewnętrznego wzruszenia uwielbiałem ją aż po skraj jej sukni, ona była całkiem spokojna i bardzo daleka od uwielbiania skraju mego ubrania.

Gdy zbliżyliśmy się do miejsca mojej walki z Herbertem, Estella odezwała się:

- Musiałam być rzeczywiście dziwną istotą, kiedy to śledziłam z ukrycia waszą walkę. Ale uczyniłam to i byłam zachwycona tą bójką.

- Wynagrodziłaś mnie wtedy wspaniale.

- Doprawdy? - spytała, jak gdyby o wszystkim zapomniała - pamiętam, że nie znosiłam twego przeciwnika za to, że narzucono mi jego towarzystwo.

- Jestem z nim teraz bardzo zaprzyjaźniony - wyznałem.

- Doprawdy? Ach, prawda, przypominam sobie teraz: uczysz się u jego ojca.

- Tak.

Przyznałem się do tego z niechęcią, gdyż czyniło to ze mnie małego chłopca, a ona i tak traktowała mnie jak dziecko.

- Od czasu gdy odmienił się twój los, zmieniłeś też towarzystwo, czy tak? - powiedziała Estella.

- Oczywiście - potwierdziłem.

- I zgodnie z tym to, co stanowiło niegdyś dla ciebie dobre towarzystwo, nie odpowiada ci teraz - zauważyła wyniosłym tonem.

Nie jestem pewien, czy w tym momencie miałem jeszcze zamiar odwiedzić Joego, ale gdybym nawet nosił się z tym planem, to ulotniłby się natychmiast.

- Czy nie miałeś wówczas pojęcia o fortunie, jaka cię czeka? - badała Estella czyniąc dłonią ruch ilustrujący moją walkę z Herbertem.

- Najmniejszego.

Odczułem głęboko kontrast pomiędzy wyniosłym i pewnym siebie wyrazem twarzy, z jakim szła obok mnie, a młodzieńczo pokorną moją własną miną. Poczucie to dręczyłoby mnie zapewne o wiele bardziej, gdyby nie fakt, że sam godziłem się na ten kontrast, który zdawał się czynić ze mnie jej poddanego. Ogród okazał się zbyt zapuszczony i zarośnięty, by można było po nim swobodnie spacerować, toteż gdy obeszlśmy go ze dwa lub trzy razy, znaleźliśmy się znowu na dziedzińcu starego browaru. Wskazałem Estelli miejsce, w którym widziałem ją biegnącą po beczkach pierwszego dnia mego pobytu w tym domu, ale ona, rzuciwszy niedbałe spojrzenie w tym kierunku, zapytała tylko chłodno:

- Doprawdy?

Przypomniałem jej, jak to wyszła wówczas z domu i przyniosła mi jedzenie i napój, ale odparła:

- Nie pamiętam.

- Nie pamiętasz, jak doprowadziłaś mnie do płaczu? - spytałem.

- Nie - odpowiedziała potrząsając głową i patrząc z roztargnieniem wokoło.

Żywię głębokie przekonanie, że ten jej brak pamięci i lekceważenie faktu, iż niegdyś stała się przyczyną mego płaczu sprawił, że chciało mi się znowu płakać i że taki płacz jest jednym z najbardziej rozdzierających.

- Powinieneś wiedzieć - mówiła Estella z łaskawością pięknej i wytwornej damy - że ja nie mam serca, jeżeli to ma coś wspólnego z pamięcią.

Wyjąkałem, że pozwolę sobie wnieść protest. Mówiłem, że ja wiem lepiej i że nie można będąc tak piękną nie mieć serca.

- Oczywiście, mam serce, które mógłby przeszyć sztylet lub kula - zgodziła się Estella - i naturalnie, gdyby przestało bić i ja przestałabym istnieć. Ale wiesz, co mam na myśli: współczucie, sentyment... te wszystkie głupstwa.

Gdy umilkła, patrząc na mnie bacznie, pomyślałem, kogo też to jej spojrzenie mi przypomina? Coś, co widziałem w twarzy miss Havisham? Nie. Być może w niektórych ruchach Estelli czy spojrzeniach czaiło się jedno z tych podobieństw do miss Havisham, jakie dzieci przejmują od dorosłych, wśród których wzrastają, i zachowują czasem nawet do wieku dojrzałego mimo całkowitej różnicy rysów. Ale to, co uderzało mnie w twarzy dziewczyny, nie pochodziło od miss Havisham. Spojrzałem raz jeszcze na nią, ale mimo że nie spuszczała ze mnie wzroku, owo nieuchwytnie wrażenie zniknęło. Cóż to było?

- Mówię poważnie - ciągnęła Estella nie marszcząc brwi (czoło jej pozostało gładkie, tylko twarz jej zdawała się powlekać cieniem) - jeżeli mamy się ze sobą stykać, lepiej byś w

to od razu uwierzył. Nie! - przerwała rozkazującym gestem, gdy otwierałem usta, w odpowiedzi - nikogo nie obdarzyłam czułością. Po prostu, nie znane mi jest to uczucie.

Po chwili byliśmy już w starym browarze. Pokazała palcem na galerię biegnącą wokół sali i wyznała, że owego pierwszego dnia, kiedy ją tam zobaczył, znajdowała się na górze i widziała, jak bardzo byłem przestraszony. Oczy moje śledziły jej białą dłoń i wówczas znowu ogarnęło mnie to niezwykle wrażenie, że Estella kogoś mi przypomina, ale nie umiałem określić kogo. Zadrzałem tak widocznie, że położyła mi rękę na ramieniu. Na chwilę ów upiór zjawił się ponownie i znowu zniknął.

Co to było?

- Co się stało? - spytała Estella - czy jeszcze jesteś przestraszony?

- Mógłbym się przestraszyć, gdybym wierzył w to, co przed chwilą o sobie mówiłaś - odparłem, by zmienić temat.

- Więc nie wierzysz? Doskonale. Ja w każdym razie uprzedziłam. A teraz musisz na chwilę powrócić do twojego dawnego obowiązku wobec miss Havisham, chociaż prawdę mówiąc mogłaby odłożyć ten zwyczaj do lamusa razem z innymi dawnymi twymi akcesoriami. Obejdźmy raz jeszcze ogród wokoło i wracajmy do domu. Cóż, dzisiaj nie powinienes wylewać łez z powodu mojego okrucieństwa. Dzisiaj będziesz moim paziem i podasz mi ramię.

Jej śliczna suknia wlokła się teraz po ziemi. Estella jedną dłonią uniosła spódnicę do góry, a drugą z lekka dotknęła mojego ramienia, podczas gdy przechadzaliśmy się wśród drzew. Przeszliśmy się jeszcze dwukrotnie wokół zapuszczonego ogrodu, który mnie się teraz wydawał pełen kwiatów. Gdyby poźółkle i zielone chwasty, wyrastające ze szczelin starego, walącego się muru, były najrzadszymi kwiatami świata, jeszcze nie mogłyby mi się wydać piękniejsze we wspomnieniu o tej przechadzce.

Nie zachodziła między nami tak wielka różnica wieku, byliśmy mniej więcej tych samych lat, chociaż ona wydawała się oczywiście dużo ode mnie starsza. Ale poczucie wyższości, jakim ją obdarzała jej uroda, i niedostępność dręczyły mnie wciąż, mimo przeświadczenia, że nasza opiekunka przeznaczyła nas sobie wzajemnie. Nieszczęsny był ze mnie chłopiec!

Nareszcie powróciliśmy do domu i tu dowiedziałem się ku memu wielkiemu zdziwieniu, że mój opiekun przybył w odwiedziny w jakimś interesie do miss Havisham i że zjawi się na obiad. Podczas naszej nieobecności zapalono stare ramiona jak gdyby przysypanych szronem świeczników i sędziwa dama czekała na nas w fotelu nie opodal rozkładających się resztek stołu ślubnego.

Kiedy popychałem jej fotel naokoło popiołów uczty weselnej” było mi tak, jak gdybym posuwał go ku przeszłości. Ale w tym żałobnym pokoju, w którym sama śmierć zdawała się jechać w fotelu, wpijając wzrok w młodą dziewczynę, Estella wydawała mi się jeszcze bardziej olśniewająca i jeszcze większe robiła na mnie wrażenie.

Czas mijał tak szybko, że zbliżyła się już godzina naszego wczesnego obiadu i Estella wyszła, by się do niego przygotować. Zatrzymaliśmy się właśnie w naszej wędrówce mniej więcej przy środku długiego stołu. Miss Havisham wyciągnęła kościstą dłoń i wpiła palce w poźółkły obrus. W tejże chwili Estella wychodząc obejrzała się na nas przez ramię, a miss Havisham tą samą dłonią posłała jej pocałunek tak jakoś żarłocznie i namiętne, że robiło to wrażenie wprost okropne.

A gdy Estella wyszła i pozostaliśmy sami, zwróciła się do mnie i powiedziała szeptem:

- Piękna jest? Wdzięczna? Zgrabna? Podziwiasz ją?

- Każdy, kto ją widzi, musi podziwiać, miss Havisham. Otoczyła mi szyję ramieniem i przyciągając moją głowę blisko do swej twarzy powtarzała:

- Kochaj ją! Kochaj, kochaj! A jakże ona cię traktuje?

I zanim zdołałem jej odpowiedzieć (jak gdyby odpowiedź na to pytanie mogła być łatwa), powtórzyła:

- Kochaj ją, kochaj, kochaj, jeżeli jest dla ciebie łaskawa. A jeżeli rani cię, kochaj ją także. Jeżeli poszarpie ci serce na strzępy, kochaj ją wciąż. Jeżeli w miarę jak będziesz stawał się coraz starszy i silniejszy, serce twoje dozna coraz dotkliwszego bólu, kochaj ją bez zmiany, kochaj, kochaj, kochaj!

Nigdy jeszcze nie słyszałem tak namiętnego tonu, jak ten, który brzmiał w jej słowach. Namiętność zdawała się napinać mięśnie jej wychudłego ramienia, które czułem na szyi.

- Słuchaj mnie, Pip. Adoptowałam ją po to, aby była kochana, żywiłam ją i kształciłam po to, by ją kochano. Zrobiłam z niej to, czym jest teraz, tylko po to, aby ją kochano. Kochaj ją!

Powtarzała ten wyraz po wiele razy, nie mogło być więc wątpliwości, co ma na myśli, ale gdyby zamiast o miłości mówiła o nienawiści, nagłej śmierci, zemście czy rozpacz, jeszcze słowa nie mogłyby w jej ustach brzmieć bardziej podobnie do przekleństwa.

- Powiem ci - ciągnęła tym samym pośpiesznym, namiętym szeptem - co to jest prawdziwa miłość. To ślepe oddanie, poniżenie bez granic, całkowite poddanie się, zaufanie i

wiara na przekór samej sobie i całemu światu, ofiarowanie własnego serca i duszy oprawcy!
Tak kochałam!

Wydała dziki okrzyk i zerwała się tak gwałtownie z fotela, że gdybym jej nie chwycił w pól i nie przytrzymał, rozbiłaby sobie głowę o ścianę i padłaby chyba martwa.

Wszystko to stało się w ciągu kilku sekund. Kiedym posadził ją z powrotem w fotelu, poczułem jakiś znajomy zapach i obejrzawszy się zobaczyłem mego opiekuna. Zawsze nosił przy sobie (chyba nie wspomniałem jeszcze o tym) w kieszonce chusteczkę imponujących rozmiarów z grubego jedwabiu, która wyświadczała mu znakomite usługi w jego zawodzie. Widywałem go, jak straszyl klienta lub świadka rozwijając przed jego oczyma ową chusteczkę jak gdyby z zamiarem natychmiastowego wytarcia solne nią nosa, potem zatrzymywał się nagle wpół drogi i czekał, czy też ów człowiek nie skompromituje się wobec sądu, co oczywiście natychmiast wywoływało kompromitację zmieszanego tymi manewrami świadka. Kiedym go ujrzał w pokoju, miał w obu rękach rozwiniętą wymowną chusteczkę i patrzył na nas bacznie. Napotkawszy mój wzrok powiedział po krótkiej pauzie:

- Doprawdy? To zdumiewające!

I natychmiast potem zrobił ze swej chustki odpowiedni użytek.

Miss Havisham, która spostrzegła jego obecność w tej samej, co ja, chwili, i która (jak wszyscy zresztą) bała się go okropnie, zrobiła wysiłek, by się opanować, i wyjąkała, że jest jak zwykle punktualny.

- Punktualny jak zwykle - powtórzył zbliżając się do nas. - Jakże się miewasz, Pip? Czy mam panią powozić, miss Havisham? Może raz przewieźć wokół pokoju? Więc przyjechałeś tutaj, Pip?

Wyjaśniłem mu, kiedy tu przybyłem, i dodałem, że miss Havisham pragnęła mnie widzieć i chciała, abym zobaczył się też z Estellą. Odpowiedział na to:

- Ach, to śliczna młoda panna.

Potem popchnął fotel z miss Havisham dużą dłonią, podczas gdy drugą wetknął do kieszeni spodni gestem, jak gdyby była ona pełna tajemnic.

- No, i cóż, Pip, ile razy widziałeś pannę Estellę dawniej? - spytał, gdy wreszcie się zatrzymał.

- Ile razy?

- No, tak, ile razy? Dziesięć tysięcy?

- Nie, z pewnością nie tyle.

- Dwa razy?

- Jagers - przerwała ku mojej uldze miss Havisham - zostaw Pipa w spokoju i idź z nim na obiad.

Usłuchał jej i zeszedliśmy po omacku po ciemnych schodach. W drodze do pawilonu, stojącego w głębi dziedzińca, po krótkiej chwili milczenia spytał mnie, ile razy w życiu widziałem miss Havisham jedzącą lub pijącą, przy czym swoim zwyczajem dał mi wybór pomiędzy jednym razem a stoma.

Pomyślałem i odpowiedziałem:

- Nigdy.

- I nigdy nie zobaczysz, Pip - oświadczył z właściwym sobie znaczącym uśmiechem - od czasu gdy prowadzi to dziwaczne życie, nigdy nie jada i nie pija w niczyjej obecności.

Wędruje nocą po domu i chwytą to, co jej wpadnie pod rękę.

- Przepraszam pana - odezwałem się - czy wolno mi zadać panu jedno pytanie?

- Możesz, a ja mam prawo je uchylić, no pytaj.

- Nazwisko Estelli jest Havisham czy też... - nie wiedziałem co dodać.

- Czy jak? - spytał.

- Nazywa się Havisham?

- Tak, Havisham.

Przy stole oczekiwały nas Estella i Sara Pocket. Mr Jagers usiadł na naczelnym miejscu, Estella naprzeciw niego, ja zaś miałem przed sobą moją żółtozieloną przyjaciółkę. Obiad był doskonały, a obsługiwała nam pokojówka, której nigdy dotąd tu nie widziałem, ale która, wiem o tym, przebywała przez cały czas w tym dziwnym domu. Po obiedzie przed moim opiekunem postawiono butelkę starego wyborowego porto (znał się najwidoczniej dobrze na winach) i obie panie nas opuściły.

Nigdy nie widziałem, by ktoś zachowywał się tak powściągliwie jak Mr. Jagers pod dachem tego domu. Spojrzenia jego zdawały się być przeznaczone tylko dla niego samego, a na Estellę nie rzucił okiem przez cały obiad ani razu. Gdy do niego mówiła, słuchał uważnie i odpowiadał natychmiast, ale ani razu nie widziałem, by na nią popatrzył. Nawet w tych chwilach, gdy Estella przyglądała mu się z uwagą i jak gdyby z nieufnością, nie pokazywał po sobie, że to widzi. Natomiast w czasie całego obiadu, z widoczną złośliwością w stosunku do zieleniejącej z zazdrości Sary Pocket, opowiadał o tym, jak wielkie czekają mnie nadzieje, ale zdawał się robić to nieświadomie, gdyż sam nie wiem, w jaki sposób prowokował do mówienia o tych sprawach moją niewinną osobę.

Kiedy pozostaliśmy sami we dwóch, siedział z taką miną, jak gdyby posiadał jakieś cenne a nie znane mi tajemnice. Tego już było mi za wiele. Gdy nie miał nikogo pod ręką,

przeprowadzał śledztwo na winie, które pił. Trzymał szklaneczkę w palcach pod światło, kosztował porto, mlaskał językiem, połykał, patrzył znowu na szklankę, wachał trunek, próbował, wypijał do dna, znowu nalewał i znowu badał napój, jak na śledztwie, tak długo, aż zaczynałem się denerwować, jak gdyby wino podczas badania mogło mu powiedzieć coś niedobrego o mojej osobie. Trzy lub cztery razy czyniłem słabe wysiłki, by rozpocząć z nim rozmowę, ale ilekroć widział, że zamierzam go o coś spytać, patrzył na mnie ze szklanką w dłoni i mlaskał językiem, jak gdyby chcąc dać mi do poznania, że nie warto pytać, bo on i tak mi nie może odpowiedzieć.

Sądzę, że Sara Pocket zdawała sobie sama sprawę, iż widok' mojej osoby może ją doprowadzić do szaleństwa, do podarcia na strzępy czepeczka (ohydnej szmaty z muślinu) i do zmiatania podłogi włosami, które z pewnością nigdy nie rosły na jej głowie. W każdym razie nie zjawiała się już, kiedy powróciliśmy do pokoju miss Havisham i we czwórkę graliśmy w wista. Miss Havisham tymczasem, nie wiem nawet kiedy, przystroiła swoimi najpiękniejszymi klejnotami włosy, stanik, i ramiona Estelli i widziałem, że nawet mój opiekun przyglądał się bacznie spod grubych brwi, wznosząc je ku górze, jak drogie kamienie lśniły i błyszczały wspaniałymi różnobarwnymi ogniami na jej uroczej postaci.

Nie opowiem już, jak brał do niewoli nasze atuty i sprawiał, że nasze damy i króle bladły wobec jego zwykłych pospolitych kart, nagle wydobywanych na wierzch, ani o tym, jak patrzył na nasze trzy osoby niczym na trzy marne zagadki, które już od dawna rozwiązał. Cierpiałem najbardziej z powodu niewspółmierności jego doskonałego chłodu i żaru mej miłości ku Estelli. Nie chodziło mi o to, że nigdy nie zdobędę się na opowiadanie mu o moich ku niej uczuciach ani o to, iż nie mogłem znieść myśli, że buty jego skrzypią w jej obecności i że po rozstaniu się z nią spokojnie umyje po niej ręce. Cierpiałem dlatego, że jednocześnie w tym samym pokoju, szalejąc i gorejąc uczuciem, nie przestawałem odczuwać okropnego strachu przed nim.

Graliśmy w karty do dziewiątej wieczorem, po czym stanęła umowa, że Estella zawiadomi mnie o swym przyjeździe do Londynu i będę mógł pójść po nią na stację dylizansów. Następnie pożegnałem się z nią, dotknąłem jej dłoni i opuściłem ją.

Mój opiekun zajmował w gospodzie „Pod Błękitnym Dzikim” pokój sąsiadujący z moim. Długo w noc słyszałem jeszcze słowa miss Havisham: „Kochaj ją, kochaj, kochaj”, dźwięczące mi w uszach. Zmieniłem je po swojemu i szeptałem w poduszkę: - Kocham ją, kocham, kocham!

Powtarzałem to setki razy, po czym naszła mnie fala wdzięczności, że oto Estella może należeć do mnie, niegdyś terminatora kowalskiego. Potem pomyślałem, że ona nie

zdawała się jeszcze być zachwycona tym faktem, i starałem się przewidzieć, kiedy się mną zacznie interesować. Kiedy uda mi się obudzić to serce, teraz jeszcze senne i obojętne?

Zdawało mi się, że przepełniony jestem wzniosłymi i wielkimi uczuciami, i nie przyszło mi nawet do głowy, że kryje się coś brzydkiego i niskiego w moim odsuwaniu się od Joego tylko z tego powodu, że ona pogardzałaby mną za spotkanie z kowalem. Jeszcze dzień przedtem myśl o Joem sprawiała, że miałem w oczach szczere łzy.

Szybko obeschły.

Boże, wybacz mi, szybko obeschły!

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Ubierając się rankiem w gospodzie „Pod Błękitnym Dzikim, po głębszej rozwadze postanowiłem powiedzieć swemu opiekunowi, że wątpię, czy Orlick jest odpowiednim człowiekiem na męża zaufania miss Havisham.

- To jasne, że nie jest odpowiedni, Pip - odparł mój opiekun, jak gdyby z góry zadowolony z postawionej przeze mnie tezy - gdyż żaden mąż zaufania na świecie nigdy nie jest człowiekiem odpowiednim.

Zdawał się być zachwycony, że ten wypadek nie stanowi wyjątku z reguły, i z prawdziwym zadowoleniem słuchał tego, co mu opowiadałem o Orlicku.

- Doskonale, Pip - oświadczył, kiedy skończyłem. - Pójdę tam natychmiast, zapłacę mu, co się należy, i odprawię go z miejsca.

Przerażony tym postanowieniem, byłem za zwłoką w tej sprawie i nawet wyraziłem wątpliwość, czy nasz przyjaciel Orlick dałby się tak łatwo odprawić.

- Chciałbym to zobaczyć - odpowiedział mój opiekun rozkładając zdecydowanym ruchem chusteczkę - jakby sobie dał radę ze mną!

Mieliśmy jechać dylizansem, który odchodził w południe. Siedząc przy pierwszym śniadaniu ledwie mogłem utrzymać w ręku filiżankę ze strachu, że lada chwila może się tu zjawić Pumblechook, toteż zaraz po posiłku poprosiłem mego opiekuna, żeby zarezerwował mi miejsce w dylizansie, a ja pójdę naprzód szosą londyńską i wsiądę po drodze, gdy karetka pocztowa mnie dogoni.

W ten sposób mogłem się zaraz po śniadaniu wymknąć z „Błękitnego Dzika. Nadłożywszy drogi ze dwie mile po to, by okrążyć z daleka i z tyłu sklep Pumblechooka, wydostałem się wreszcie znowu na ulicę Główną już w pewnym oddaleniu od pułapki i poczułem się stosunkowo bezpieczny.

Przyjemnie mi było znajdować się w starym, dobrze mi znanym miasteczku i nawet czułem zadowolenie, gdy jakiś przechodzień, poznawszy mnie, odwracał się kilkakrotnie za moimi plecami. Znalazło się kilku takich kupców, którzy na mój widok opuszczali progi swych sklepów, szli przede mną kawałek ulicą, by zawróciwszy, jak gdyby czegoś zapomnieli, spojrzeć mi prosto w twarz. Sam nie wiem, kto przy tej okazji okazał się bardziej obłudny: oni, którzy udawali, że nie robią tego umyślnie, czy ja, udając, że tego nie spostrzegam.

W każdym razie czułem się ogromnie dystygowany i byłem bardzo z siebie zadowolony aż do chwili, kiedy natknąłem się na tego przekłętego niedowiarka, posługacza ze sklepu Mr. Trabba. Z daleka już w perspektywie ulicy ujrzałem, jak zbliżał się do mnie wywijając na wszystkie strony pustą, niebieską torbę. Przypuszczając, że najlepiej i najgodniej się zachowam nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, usiłowałem minąć go z najwyższą obojętnością. Już wieszowałem sobie w duchu, że tak wspaniale mi się to udaje, gdy nagle chłopak zgiął kolana, włosy zjeżyły mu się na głowie, czapka spadła na ziemię, zatrząsł się i wrzasnął do przechodniów:

- Ludzie! Trzymajcie mnie! Boję się! Boję!

Miało to oznaczać, że mój pełen dostojności wygląd napędził mu takiego strachu. Kiedym go mijał, zęby szczękały mu głośno i z oznakami najwyższej pokory runął na ziemię, tarzając się w kurzu.

Było to bardzo ciężkie do zniesienia, ale okazało się jeszcze niczym. Bo zaledwie uszedłem z tego miejsca kilkanaście kroków, kiedy znowu natknąłem się na tego samego chłopaka. Wyskoczył z bocznej uliczki, aby mi znowu zabiec drogę. Przewieszona przez ramię pusta, niebieska torba, blask rzetelności i pilności w jego oczach wskazywały, że chłopak ten gotów jest uczciwie pracować i śpieszy do sklepu Trabba. Na mój widok przeraził się znowu, ale tym razem odbyło się to inaczej: zakręcił się w kółko, kolana ugięły się pod nim i chwiejąc się szedł ku mnie z wyciągniętymi rękami, jak gdyby prosił mnie o łaskę. Kilku przechodniów z najwyższą radością obserwowało te jego cierpienia, a ja czułem się ogromnie zmieszany.

Nie minąłem jeszcze urzędu pocztowego, kiedy spotkałem go znowu wyskakującego z przecznicy. Tym razem był całkiem zmieniony: niebieski worek naciągnął na siebie naśladując wyraźnie mój nowy płaszcz, szedł po przeciwnej stronie ulicy otoczony gromadą rozbawionych młodych kolegów i kołysząc się wytwornie, powtarzał:

- Ja pana nie poznaję!

Nie potrafię wyrazić słowami uczucia obrazy, jakie ogarnęło mnie, kiedy zrównawszy się ze mną, chłopak od Trabba podniósł kołnierzyk koszuli, zwichrzył sobie włosy ręką, oparł pięść na biodrze i, odstawiając łokcie od ciała, wykrzywił się krzyżąc:

- Nie znam pana, nie znam pana, nie znam pana, słowo honoru, że nie znam!

Jego uporczywe gdakanie, niczym gdakanie jakiejś kury, która znała mnie w czasach, kiedy pracowałem w kuźni, prześladowało mnie aż do mostu i goniło za mną pogardą mojego miasteczka, wypędzając mnie w ten sposób za rogatki w pole.

W ten sposób uciekłem przed chłopcem Mr. Trabba, ale istotnie nie mogłem przecież postąpić inaczej: trudno mi było bić się z nim na ulicy, nic nie sprawiłoby mi satysfakcji, chyba skapanie serca chłopaka w jego własnej krwi. Poza tym był to przecież niedorosły chłopak, którego nie wypadało bić i który z pewnością w razie czego prześliznąłby mi się jak wąż pomiędzy nogami z sykiem. Następnego dnia napisałem list do Mr. Trabba. W piśmie tym donosiłem, że Mr. Pip zrywa wszelkie stosunki z firmą, która zapomina się do tego stopnia, co winna wyższym sferom, że zatrudnia chłopaka budzącego niesmak w sercu każdego przyzwoitego człowieka.

Dyżans z Mr. Jaggersem dogonił mnie na szosie, wsiadłem na zarezerwowane mi miejsce na górze wozu i dotarłem do Londynu cały, ale nie całkiem zdrowy, gdyż bolało mnie serce. Kiedy tylko przybyłem na miejsce, posłałem pokutnego sztokfiszka i beczułkę ostryg Joemu (jako zadośćuczynienie za to, że go nie odwiedziłem) i dopiero wtedy udałem się do „Gospody Barnarda”.

Herbert, który właśnie siedział przy obiedzie nad talerzem zimnego mięsa, przywitał mnie z zachwytem. Posławszy Mściciela do kawiarni po dodatkowy obiad, poczułem, że muszę otworzyć serce przed najlepszym z mych przyjaciół.

Ponieważ nie mogło być mowy o zwierzeniach, kiedy Mściciel siedział w przedpokoju, który śmiało można było uważać za przedsionek do dziurki od klucza, więc posłałem chłopaka do teatru. Najlepszym dowodem mojej zależności od tego osobnika były poniżające preteksty, jakie wymyślałem, aby się go pozbyć z domu. Dochodziłem do tego, że posyłałem go aż na Hyde Park Corner, by zobaczyć tam na zegarze, która godzina.

Po obiedzie, gdy zasiedliśmy przy kominku z stopami opartymi o kratę, oznajmiłem:

- Drogi Herbercie, mam ci, coś szczególnego do powiedzenia.
- Mój kochany Haendlu, potrafię docenić i uszanować twoje zwierzenia - odparł.
- Dotyczy to mnie - powiedziałem - i jeszcze, jednej osoby.

Herbert założył nogę na nogę, z przechyloną na bok głową patrzył dłuższą chwilę wyczekująco w ogień, a potem, nie słysząc dalszego ciągu, spojrział na mnie.

- Herbert - wyznałem kładąc mu dłoń na kolano - ja kocham... ja ubóstwiam Estellę...

Zamiast okazać zdumienie, Herbert odpowiedział spokojnie:

- Właśnie. No, więc?
- No, więc, Herbercie? Czy to wszystko, co mi powiesz? No, więc?
- Powiadam, no, więc, co dalej? Bo o tym, że ją kochasz, wiem od dawna.
- Skąd to wiesz? - spytałem.
- Skąd to wiem, Haendel? Ależ od ciebie.

- Nigdy ci o tym nie mówiłem.

Nigdy też nie mówiłeś mi, kiedyś sobie ostrzygł włosy, a ja to spostrzegłem. Zawsze ją ubóstwiał, nawet wtedy, kiedy ja jeszcze o tym nie wiedziałem. Kiedyś się tu sprowadził, to razem ze swą torbą podrózną przyniosłeś i to uwielbienie. Nie mówiłeś mi o tym? Ależ powtarzałeś to całymi dniami. Kiedy mi opowiadałeś historię twego życia, sam mi dałeś do poznania, żeś uwielbiał ją od pierwszego wejrzenia, gdy byłeś jeszcze dzieckiem.

- Więc dobrze - odparłem, bynajmniej nie obrażony tymi słowami - nigdy nie przestałem jej uwielbiać. A teraz powróciła jeszcze piękniejsza i jeszcze bardziej olśniewająca, i wytworna. Widziałem ją wczoraj. I jeżeli przedtem ją uwielbiałem, to teraz uwielbiam podwójnie.

- To bardzo szczęśliwie wobec tego, Haendel, że ona jest ci przeznaczona. Bo nie poruszając niebezpiecznego dla nas tematu, możemy śmiało powiedzieć, że chcą was połączyć. Ale czy nie możesz powiedzieć, jak ona zapatruje się na tę sprawę?

Potrząsnąłem głową ze smutkiem:

- Och, ona jest ode mnie o tysiąc mil oddalona - wyjaśniłem.

- Cierpliwości, Haendel, cierpliwości. Masz dużo czasu. Ale chciałeś mi coś jeszcze powiedzieć?

- Wstyd mi się do tego przyznać - odparłem - chociaż nie większy wstyd mówić o tym, niż myśleć. Nazwałeś mnie szczęśliwym chłopcem. Oczywiście, mam szczęście. Wczoraj byłem w terminie u kowala, a dzisiaj... czymże jestem dzisiaj? Jak to określić?

- Powiedzmy, dobrym chłopcem, jeżeli potrzebne ci określenie - oświadczył Herbert, z uśmiechem opierając swą dłoń o moją - dobry chłopiec, gwałtowny a jednocześnie nieśmiały, odważny i ostrożny, żywy i marzycielski, ciekawa mieszanina.

Zastanowiłem się chwilę nad tym, czy istotnie jest we mnie taka mieszanina. Nie wszystko w tej analizie wydawało mi się wierne, ale nie warto w tej chwili nad tym dyskutować.

- Jeżeli zadaję sobie w tej chwili pytanie, kim jestem, Herbert, oddaję w ten sposób to, co zaprzęta mi myśli. Powiedziałeś, że mam szczęście. Tak, ale wiem, że ja sam nic nie zrobiłem dla mego szczęścia: uczynił to Los, który mnie wydzwignął do góry. To bardzo szczęśliwie. A jednak, kiedy myślę o Estelli...

(- A kiedyż o niej nie myślisz? - wtrącił Herbert z oczyma utkwionymi w ogień, co uważałem za delikatność z jego strony).

- Wtedy, Herbert, nie potrafię ci powiedzieć, jaki się czuję zależny, jak niepewny siebie, jak wystawiony na setki prób. Unikając tego, co nazywasz niebezpiecznym gruntem,

powiem ci, że od stałości jednej osoby (nie wymieniam jej) zależy mój los i wszystkie moje nadzieje. I jeżeli nawet osiągnę te nadzieje, jakże one są nieokreślone, niezadowalające!

Powiedziawszy to uwolniłem się od ciężaru, który przygniatał mnie od dawna, chwilami mocniej, chwilami słabiej, a od wczoraj stał się po prostu nie do zniesienia.

- Wiesz co, Haendel - zauważył Herbert swym wesołym i krzepiącym głosem - mam wrażenie, że pod wpływem pierwszych namiętności zaglądasz darowanemu koniowi w zęby przez szkło powiększające. Ale jednocześnie, koncentrując spojrzenie na jednym szczególe, pomijasz inne cenne cechy tego zwierzęcia. Powiedziałeś mi kiedyś, że Mr. Jagers uprzedzał cię, iż posiadasz nie tylko same nadzieje. A gdyby ci nawet tego nie powiedział, to jak sądzisz, czy pośród wszystkich ludzi w Londynie akurat Jagers jest człowiekiem, który związywałby się z niepewnym interesem?

Odparłem, iż nie mogę zaprzeczyć, że to jest mocny argument, ale oznajmiłem to takim tonem (ludzie często postępują tak w pewnych wypadkach), jakobym przyznawał mu słuszność z pewnym żalem, tylko gwoli prawdzie i sprawiedliwości, woląc, aby było inaczej.

- Sądzę, że to był mocny argument - powiedział Herbert - mocniejszego nie wymyślisz. Moim zdaniem powinieneś mieć zaufanie do twego opiekuna, jak on ma zaufanie do swego klienta.

Kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat, zapewne otrzymasz bliższe wyjaśnienia. I możesz być spokojny, że ta chwila nadejdzie na pewno.

- Jakie ty masz szczęśliwe usposobienie - zachwyciłem się z wdzięczności, podziwiając jego pogodny sposób mówienia.

- Muszę je mieć, bo nie mam wiele ponadto - odparł Herbert - ale przyznam się, że rozsądny pogląd na twoje sprawy zapożyczyłem od ojca. Jedyne uwagi, jaką zrobił o tobie i twym losie brzmiała: „Sprawa musi być solidnie załatwiona, bo inaczej Jagers nie wzięłby jej do ręki. Ale teraz, zanim powiem jeszcze słówko o moim ojcu lub o synu mego ojca, będę dla ciebie na krótką chwilę przykry, nawet odpychający.

- Nie uda ci się to - powiedziałem.

- Owszem, uda mi się - podkreślił. - Raz, dwa, trzy i już zaczynam, drogi Haendlu, mój przyjacielu.

Mimo że mówił tonem lekkim, wyczułem, że to będzie coś bardzo poważnego.

- Otóż - ciągnął Herbert - kiedy tu tak siedzieliśmy ze stopami opartymi o kratę kominka, zastanawiałem się nad tą sprawą i doszedłem do wniosku, że skoro twój opiekun nigdy nie wspominał ci o Estelli, nie może ona być warunkiem twój przyszłego majątku. Wywnioskowałem z tego, coś mówił, że jej również nikt o tym nie wspominał ani wprost, ani

okrężną drogą? Nikt na przykład nie zrobił wobec niej żadnej aluzji, że twój opiekun zamierza was połączyć małżeństwem?

- Nie, nigdy nikt.

- Więc, słuchaj, Haendel, nie możesz mnie posądzić o uczucia lisa wobec kwaśnych winogron, ale czy możesz, skoro nie jesteś z nią jeszcze związany, czy możesz się od niej oderwać? Uprzedziłem cię, że będę przykry.

Odwrociłem głowę, gdyż miałem uczucie, jak gdyby zimny wiatr, który wiał nad rodzinnymi bagniskami od morza, teraz dał na mnie. Uczucie podobne do tego, jakie ogarniało mnie w dniu opuszczenia kuźni, kiedy to mgły podniosły się uroczyście ku górze, a ja oparłem po raz ostatni dłoń o słup przydrożny. Chwilę panowało między nami milczenie.

- Ja wiem, drogi Haendlu - mówił Herbert, jak gdyby rozmowa nasza nie przerywała się wcale - wiem, że jeżeli uczucie tak mocno wrosło w serce chłopca, którego natura i okoliczności uczyniły romantycznym, to jest to sprawa poważna. Ale pomyśl, w jaki sposób ją wychowano, pomyśl o miss Havisham. Pomyśl, kim jest Estella (jestem w tej chwili wstrętnym i nienawidzisz mnie). To mogłoby doprowadzić do nieszczęścia.

- Wiem o tym - Herbert - zgodziłem się z głową wciąż odwróconą - ale nie mogę nic na to poradzić.

- Nie możesz się od niej oderwać?

- Nie. To niemożliwe!

- Nie możesz spróbować, Haendel?

- Nie, to niemożliwe!

- A więc - powiedział Herbert wstrząsając się, jak gdyby budził się ze snu, i poprawiając ogień na kominku - postaram się teraz być znowu miły.

Przeszedł się wokół pokoju, poprawił zasłony na oknach, ustawił krzesła na swych miejscach, okurzył książki, uporządkował przedmioty leżące na stołach, wyjrzał do przedpokoju, zajrzał do skrzynki do listów, zamknął drzwi i wrócił na swoje miejsce przy kominku. Usiadł oplatając lewą nogę obiema rękami.

- Miałem powiedzieć ci kilka słów o moim ojcu i o synu mego ojca, Haendel - odezwał się. - Obawiam się, że syn mego ojca nie ma potrzeby mówić o tym, że gospodarstwo w domu jego ojca nie jest dobrze prowadzone.

- Nic tam nie brakuje - odparłem, byle go jakoś pocieszyć - wszystkiego jest pod dostatkiem.

- Och, tak. Tego samego zdania jest zapewne śmieciarz i niewątpliwie handlarz starzyzną z sąsiedniej uliczki. Ale wiesz zapewne, Haendel, tak samo dobrze jak ja, że sprawa

jest poważna. Sądzę, że był kiedyś czas, kiedy ojciec mój reagował na to, co się tam dzieje, ale ten okres już minął. Ale powiedz, czyś zauważył może i w waszych stronach, że najczęściej dzieci niezgodnych małżeństw same się śpieszą do wczesnego małżeństwa?

Było to takie dziwne pytanie, że odparłem na nie tylko innym pytaniem:

- Czy tak jest rzeczywiście?

- Sam nie wiem, a chciałbym to bardzo wiedzieć. Bo u nas tak właśnie się dzieje. Moja biedna starsza ode mnie siostra Charlotta, która umarła nie dożywszy czternastu lat, marzyła o wyjściu za mąż. To samo dzieje się z małą Jane. Obserwując ją, jak snuje marzenia o małżeństwie, można by sądzić, że całe życie patrzyła na szczęście rodzinne. Mały Alick, który chodzi jeszcze w sukience, już zrobił pewne kroki, by połączyć się małżeństwem z niejaką odpowiednią dla niego młodą osobą z Kew. i mam wrażenie, że wszyscy jesteśmy zaręczeni, oprócz Boba.

- Więc i ty jesteś zaręczony? - spytałem.

- Tak, ale w tajemnicy.

Zapewniłem go, że dotrzymam sekretu, i poprosiłem o dalsze szczegóły. Mówił tak szczerze i z takim uczuciem o mojej słabości, że pragnąłem poznać jego siłę.

- Czy mogę spytać o jej imię? - zagadnąłem.

- Nazywa się Klara - wyznał Herbert.

- Mieszka w Londynie?

- Tak. Czy mogę dodać - mówił dalej - mój przyjaciel, który od chwili, gdy doszedł do tego tematu, zdradzał nieśmiałość - że jest ona wyższa ponad absurdalne przesady mojej matki? Jej ojciec miał coś wspólnego z aprowizacją pasażerskich okrętów. Zdaje się, że był intendentem.

- Czym jest teraz?

- Inwalidą - odparł.

- A jak żyją?

- Mieszkają na pierwszym piętrze - opowiadał Herbert, mimo że raczej chodziło mi o to, z czego żyją, a nie, gdzie mieszkają. - Nigdy go jeszcze nie widziałem, bo nie opuszcza pokoju od czasu, jak znam Klarę. Ale słyszę go często, bo niemożliwie hałasuje na górze, rycząc i waląc w podłogę jakimś piekielnym narzędziem.

Herbert spojrział na mnie, roześmiał się i odzyskał zwykły humor.

- I nie spodziewasz się go zobaczyć? - pytałem.

- O, tak, nieustannie spodziewam się go zobaczyć - odparł Herbert - bo zawsze, gdy hałasuje, myślę, że lada chwila wpadnie do nas przez sufit. Nie wiem tylko, jak długo jeszcze krokwie wytrzymają.

Znowu roześmiał się serdecznie, potem spoważniał i zwierzył mi się, że dlatego właśnie zamierza zebrać kapitał, by móc poślubić narzeczoną.

Jako rzecz samą przez się zrozumiałą dodał ze smutkiem:

- Bo widzisz, nie można się żenić, dopóki się nie ma własnych dochodów.

Kiedy patrząc w ogień rozmyślałem, jakie trudności nastęcza zdobywanie kapitału, włożyłem ręce w kieszenie. I oto natrafiłem w jednej z kieszeni na jakiś papierek. Był to wręczony mi przez Joego program przedstawienia teatralnego, w którym występował słynny amator prowincjonalny, równy talentem Rosciusowi.

- Boże, wybacz mi - zawołałem mimo woli - ależ to dzisiaj przedstawienie!

To sprawiło, że przerwaliśmy rozmowę i postanowiliśmy pójść do teatru.

Wyraziłem Herbertowi współczucie dla jego spraw sercowych i obiecałem mu pomóc wszelkimi możliwymi środkami. Herbert powiedział na to, że jego narzeczoną zna mnie doskonale z opowiadania. Potem uścisnęliśmy sobie serdecznie dłonie dziękując sobie wzajemnie za zaufanie i zwierzenia, zdmuchnęliśmy świece, zagasiliśmy ogień w kominku, opuściliśmy mieszkanie zamykając starannie drzwi i udaliśmy się na poszukiwanie Mr. Wopsle'a i Danii.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Kiedy przybyliśmy do Danii, zastaliśmy króla i królową tego kraju siedzących na dwu fotelach, które ustawiono wysoko na kuchennym stole, otoczonych dworem. Cała arystokracja duńska była na miejscu. Składała się ona z szlachetnego młodzieńca, który najwidoczniej odziedziczył wysokie buty z łosiowej skóry po jakimś olbrzymich rozmiarów przodku, z czcigodnego para o zamorusanej twarzy, robiącego wrażenie, jak gdyby w dość późnym wieku „wyszedł z ludu, oraz z duńskiego rycerza z grzebykiem we włosach, ubranego w białe jedwabne pończochy i zadziwiająco podobnego do kobiety.

Mój genialny rodak stał z dala, z ponurą miną skrzyżowawszy ramiona na piersi i wolałbym, aby jego kędziory i czoło wyglądały naturalniej.

W miarę jak akcja dramatu się rozwijała, następowały drobne a interesujące fakty. Wydało się, że król nieboszczyk był przed śmiercią dręczony kaszlem, który najwidoczniej zabrał ze sobą do grobu, a potem znów przyniósł na ziemię. Duch króla dźwigał upiorny rękopis owinięty dokoła berła. Zaglądał co chwila do owego manuskryptu z takim lękiem, jak gdyby był zwykłym śmiertelnikiem i obawiał się, że zgubi wątek. Ta okoliczność prawdopodobnie sprawiała, że galeria co pewien czas krzyczała do Ducha: „Przewróć kartkę!, co doprowadzało go do rozpacz. Widoczne też było od pierwszego wejrzenia, że mimo iż ten uroczysty upiór ukazywał się zawsze z taką miną, jak gdyby zjawiał się po długiej nieobecności i przebył olbrzymią przestrzeń, to w rzeczywistości wylaniał się zza sąsiedniego muru. To być może stało się przyczyną zjawiska, iż jego okropne słowa przyjmowano wybuchami śmiechu.

Królowa Danii, bardzo okazała dama, wyglądała jednak tak, jak gdyby należała do epoki miedzianej, gdyż miała na sobie zbyt wiele tego właśnie metalu. Szeroka, miedziana obręcz przebiegała jej pod brodą i łączyła się z diademem (jak gdyby monarchini cierpiała na straszliwy ból zębów). W pasie królowa miała również miedzianą obręcz, także bransolety owijały jej ramiona. Nic dziwnego, że publiczność przezywała ją na głos: „Kocioł miedziany.

Szlachetny młodzieniec w butach przodków nie mógł się zdecydować na rolę: był na przemian zręcznym marynarzem, wędrownym aktorem, grabarzem, kapłanem i bardzo ważną osobą podczas pojedynku na szpady na dworze królewskim, gdzie wprawne jego oko i wytrawne zdanie służyło za podstawę oceny najpiękniejszych pchnięć. To sprawiło, że publiczność nastroiła się względem niego niechętnie, a nawet gdy okazało się, że jest w

zakonie i nie chce odprawić nabożeństwa żałobnego, obrzuciła go na znak oburzenia orzechami.

Wreszcie Ofelia była ogarnięta tak powolnym i melodyjnym obłędem, że kiedy zgodnie z rolą zdjęła biały szal i pogrzebała go w ziemi, jakiś zgryźliwy jegomość, który od dłuższego już czasu niecierpliwie przyciskał nos do żelaznej bariery pierwszego rzędu galerii, Mr.uknął:

- No, teraz, kiedy dziecko już położyliśmy spać, chodźmy na kolację!

Było to oczywiście co najmniej pozbawione sensu.

Wszystkie te wypadki w przewidziany sposób obijały się o mego nieszczęsnego rodaka. Za każdym razem, gdy niezdecydowany książę rzucał jakieś pytanie lub wyrażał wątpliwości, publiczność przychodziła mu natychmiast z pomocą.

Kiedy na przykład szło o to, by rozstrzygnąć kwestię, „czy lepiej jest dla szlachetnego umysłu cierpieć, ktoś wrzasnął, że tak, inny znowu, że nie, a trzeci głos przechylał się do obu opinii, radził: „Podrzucić monetę i wylosuj, co lepiej!”, aż zaczęła się ogólna sprzeczka na sali. Kiedy książę pytał, czemu istoty jemu podobne skazane są na pełzanie pomiędzy niebem a ziemią, zachęcano go okrzykami: „Słuchajcie! słuchajcie! Kiedy zjawił się na scenie z opadającą pończochą (po prostu na nodze utworzyła mu się u góry jedna zgrabna fałda, podejrzewam, że od zbyt gorącego żelazka), na galerii rozległa się głośna rozmowa na temat białej skóry jego nóg, przy czym wyrażano przypuszczenie, że poblady mu pod wpływem przestrachu na widok ducha ojca. Kiedy wziął do ręki instrument muzyczny, bliźniaczo podobny do małego czarnego fletu, którego używano przed chwilą w orkiestrze i który mu widocznie podano przez drzwi, i przytknął go do ust, podniosły się krzyki, aby zagrał „Rule Britannia”, a kiedy zwrócił się do aktora ze słowami, aby nie dmuchał tak mocno, zgryźliwy jegomość krzyknął na głos: „A ty może tego nie robisz? Jesteś stokroć gorszy od niego! Przykro mi dodać, że każdy z tych okrzyków witany był wybuchami śmiechu skierowanego przeciwko Mr. Wopsle’owi.

Ale na najokropniejsze próby został wystawiony w scenie na cmentarzu, który był podobny do dziewiczego lasu i miał z jednej strony coś w rodzaju pralni dla duchowieństwa, z drugiej zaś rogatki. Kiedy Mr. Wopsle, odziany w czarny uroczysty płaszcz, wchodził przez tę bramę, z publiczności wołano przyjaźnie ku grabarzowi kopiącemu grób: „Te, uważaj, przyszedł szef pilnować jak pracujesz! Każdy przyzna chyba, że Mr. Wopsle po wygłoszeniu filozoficznych uwag nad podjętą z ziemi czaszką, musiał oddawszy ją obetrzeć sobie palce białą serwetką, którą wyjął z zanadru. Ale nawet ta niewinna i konieczna czynność wywołała okrzyk: „Kelner! Przybycie ciała w pustej trumnie, której wieko nieustannie odskakiwało,

wywołało wybuch hałaśliwej wesołości, która wzrosła jeszcze, gdy w jednym z grabarzów niosących trumnę poznano znajomego. Ta radość towarzyszyła pojedykowi Mr. Wopsle'a z Laertesem na ciasnej przestrzeni po między grobem a orkiestrą i nie przycichła nawet w chwili, gdy stracił króla z kuchennego stołu i sam stopniowo konał począwszy od kostek w górę.

Uczyniliśmy zrazu kilka słabych wysiłków w celu oklaskiwania Mr. Wopsle'a, ale szybko daliśmy spokój wobec ich beznadziejności. Usiedliśmy więc, co nam nie przeszkadzało samym śmiać się od ucha do ucha mimo całego współczucia, jakim go darzyliśmy. Mimo woli wybuchalem co chwila śmiechem, bo przedstawienie było tak komiczne, a jednocześnie żywiłem uczucie podziwu dla dykcji Mr. Wopsle'a. Podziw ten nie miał nic wspólnego z naszą starą znajomością; zachwycał mnie szczególnie powolny rytm jego deklamacji, jej bezgraniczna posępność, owe wznosy i spadki głosu, i niezwykły patos, najzupełniej obcy prawdziwym ludziom w jakichkolwiek okolicznościach życia lub śmierci. Kiedy tragedia się skończyła i kiedy publiczność domagała się wyjścia Mr. Wopsle'a na scenę i gwizdała, powiedziałem do Herberta:

- Uciekajmy stąd natychmiast, inaczej jeszcze się na niego natkniemy.

Zbiegliśmy więc, jak najszybciej mogliśmy, po schodach, ale widocznie nie dość się pośpieszyliśmy. U stóp schodów stał przy drzwiach jakiś Żyd o gęstych czarnych brwiach, nienaturalnie przylepionych na czole, i spytał:

- Mr Pip z przyjacielem? Przyznaliśmy się, że to my.

- Mr Waldengarver byłby szczęśliwy, gdyby go panowie zaszczylili wizytą.

- Waldengarver? - powtórzyłem, ale Herbert szepnął mi na ucho: - Zapewne Wopsle.

- Doskonale - zgodziłem się - czy mamy pójść za panem?

- Tylko parę kroków, proszę - odparł, a kiedy znaleźliśmy się w ustronnej uliczce, odwrócił się ku nam i spytał: - No, jak wyglądał? To ja go ubierałem.

Zdawało mi się, że Mr. Wopsle wyglądał przede wszystkim na żałobnika, chociaż coś w rodzaju wielkiego duńskiego słońca czy gwiazdy zawieszanej na niebieskiej wstędze na szyi nadawało mu też po trosze wygląd człowieka, który ubezpieczył się od ognia w jakimś bardzo ekscentrycznym towarzystwie ubezpieczeń, ale odparłem, że wyglądał bardzo ładnie.

- Kiedy zbliżał się do grobu - ciągnął nasz przewodnik - doskonale uwydatniał fałdy swego płaszcza, ale mam wrażenie, że w scenie, gdy widzi Ducha w pokojach Królowej, mógłby więcej zwracać uwagi na pończochy. Tak mi się przynajmniej zdawało, gdy patrzyłem od strony kulis.

Potaknąłem skromnie i przez brudne nie domykające się drzwiczki weszliśmy do pomieszczenia, które przypominało duszną i ciasną skrzynię. Tu zastaliśmy mor Wopsle'a rozbierającego się z duńskich szat. Było tam tyle miejsca, że gdy staliśmy jeden za drugim, mogliśmy go widzieć zaglądając sobie wzajem przez ramię i oczywiście przy uchylonych drzwiach, a raczej wieku owej skrzyni.

- Panowie - oświadczył Mr. Wopsle - dumny jestem z waszych odwiedzin. Mr Pip, spodziewam się, iż nie ma mi pan za złe, że po pana posłałem. Miałem szczęście znać pana w dawnych czasach, a dramat zawsze cieszył się powodzeniem u możnych i bogatych.

Jednocześnie Mr. Waldengarver usiłował, cały w potach wyplątać się z szat książęcych.

- Niech pan zdejmie najpierw pończochy, Mr. Waldengarver - doradził przedsiębiorca - niech pan je zdejmie, bo pękną, a wraz z nimi pęknie trzydzieści pięć szylingów. Nigdy jeszcze Szekspir nie był uczczony ładniejszymi pończochami. Niech pan teraz siada w fotelu, a mnie odda pończochy do ręki.

To powiedziawszy przyklęknął i zaczął obdzierać swą ofiarę, która z pewnością upadłaby z krzesłem na wznak, gdyby było na to miejsce w pokoju.

Dotychczas nie odważyłem się powiedzieć ani słowa o sztuce, gdy Mr. Waldengarver, spojrzawszy na nas bacznie, spytał:

- Panowie, jak wam też się wydało przedstawienie z frontowych miejsc?

Herbert, trącając mnie w bok, odparł:

- Wspaniale!

I ja powtórzyłem po nim:

- Wspaniale!

- Jak wam się podoba mój sposób odegrania Hamleta? - zagadnął pan Waldengarver z lekką nutką protekcyjności w głosie.

Herbert (wciąż trącając mnie w bok) zawyrokował:

- Solidny i konkretny.

Na co ja, jak gdybym sam był autorem tego sądu, powtórzyłem z naciskiem:

- Solidny i konkretny.

- Rad jestem z waszego uznania, panowie - odpowiedział Mr. Waldengarver z godnością, mimo że wciśnięty był w ścianę i musiał oburącz trzymać się poręczy krzesła.

- Ale na jedno muszę panu zwrócić uwagę, Mr. Waldengarver - zauważył klęczący człowiek - popełnia pan jeden błąd w swej grze. Będę przy tym obstawał, nawet gdyby mówiono panu, że tak nie jest. Otóż gra pan przez cały czas doskonale Hamleta aż do chwili,

gdy staje pan profilem do publiczności a wtedy ustawia pan krzywo nogi. Ostatni przed panem aktor którego ubierałem do roli Hamleta, robił na próbach ten sam błąd, ale na to zaradziłem. Oto przyczepiłem mu do obu łydek duże czerwone opłatki i na próbie generalnej, umiesciwszy się w ostatnich rzędach krzeseł, przyglądałem się jego łydkom: ilekroć stanął niewłaściwie, wołałem: „Nie widzę opłatków! I doprowadziłem do tego, że na przedstawieniu grał doskonale.

Mr Waldengarver uśmiechnął się do nas porozumiewawczo, jak gdyby chciał powiedzieć: „To sumienny sługa, więc zamykam oczy na jego głupotę, i wyjaśnił głośno:

- Mój punkt widzenia jest może zbyt klasyczny i zbyt głęboki dla tutejszej publiczności, ale z czasem zrozumieją, na pewno zrozumieją.

Herbert i ja potwierdziliśmy chórem:

- O, bez wątpienia, zrozumieją!

- Czy spostrzeżliście, panowie - ciągnął Mr. Waldengaryer - że pewien osobnik na galerii usiłował ośmieszyć nabożeństwo... to jest, chciałem powiedzieć przedstawienie?

Odpowiedzieliśmy tchórzliwie, iż wydaje nam się, żeśmy spostrzegli tego człowieka, a ja dodałem szybko:

- Niewątpliwie musiał być pijany.

- O, nie, proszę pana - odparł Mr. Wopsle - nie był pijany. Jego chlebodawca nie pozwoliłby mu na pijaństwo.

- Zna pan jego chlebodawcę? - spytałem.

Mr Wopsle przymknął powieki, potem podniósł je, a obie te czynności wykonał bardzo powoli:

- Musieliście panowie zauważyć - oświadczył - krzykliwego idiotę w obdartym ubraniu, o zachrypłym głosie i chytrej minie, który przedzierał się przez „role” (niech mi wolno będzie użyć tu francuskiego terminu), bo nie mogę powiedzieć „odtwarzał rolę Klaudiusza, króla Danii. Oto jego chlebodawca! Tak wygląda nasz zawód!

Nigdy nie zastanawiałem się, czy będę umiał obudzić w sobie współczucie dla zrozpaczonego Mr. Wopsle’a, ale teraz zrobiło mi się go żal. Toteż gdy zaczął wkładać szelki, co na skutek ciasnoty odepchnęło nas aż za drzwi, spytałem Herberta, czyby nie zaprosić Wopsle’a na kolację. Herbert odparł, że byłoby to bardzo ładnie, więc w rezultacie znakomity aktor poszedł z nami do „Gospody Barnarda”, otulony szczelnie w płaszcz. Byliśmy dla niego bardzo uprzejmi, toteż siedział u nas do drugiej w nocy, snując plany na przyszłość i wspominając swe powodzenie.

Nie pamiętam dobrze, jakie to były plany, ale w ogólnym zarysie zamierzał najpierw wskrzesić dramat, a potem go zniszczyć tak dokładnie, że po jego śmierci nie będzie już dla tego rodzaju utworów żadnych szans ani nadziei.

 Smutny położyłem się tego wieczora do łóżka, smutny rozmyślałem przed zaśnięciem o Estelli i smutny śniłem, że skończyły się moje wielkie nadzieje, że musiałem poślubić Klarę Herberta i zagrać rolę Hamleta wraz z Duchem miss Havisham wobec dwudziestu tysięcy widzów, nie umiejąc nawet dwudziestu słów roli.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Pewnego dnia, gdy w towarzystwie Mr. Pocketa siedziałem nad książkami, wręczono mi z poczty liścik, którego sam wygląd zewnętrzny podniecił mnie ogromnie. Bo mimo że charakter pisma był mi nie znajomy, od razu odgadłem rękę, która pisała adres. List nie zaczynał się od słów „Drogi Mr. Pip, ani „drogi Pipie, ani „Szanowny Panie lub też „Szanowny ktokolwiek, ale bez wstępów przeczytałem następujące słowa:

Przyjeżdżam do Londynu pojutrze południowym dylizansem. Umówiliśmy się, zdaje się, że będziesz mnie oczekiwał? W każdym razie miss Havisham tak się zdaje i piszę to będąc jej posłuszna. Miss Havisham przesyła ci pozdrowienia.

Twoja Estella

Gdyby był jeszcze czas, zapewne zamówiłbym sobie na tę okazję kilka nowych ubrań, ale ponieważ już go nie starczyło, musiałem się zadowolić tym, co posiadałem. Natychmiast straciłem apetyt i aż do oczekiwanego dnia nie mogłem znaleźć spokoju. Nie znaczy to, abym wtedy właśnie się uspokoił, przeciwnie, było ze mną jeszcze gorzej i zacząłem wałęsać się wokół stacji dylizansów na Wood Street w dzielnicy Cheapside, jeszcze zanim dylizans z Estellą wyruszył sprzed gospody „Pod Błękitnym Dzikim w naszym rodzinnym mieście. Miałem wrażenie, że niebezpiecznie jest spuścić z oka budynek stacyjny, choćby na przeciąg pięciu minut, i kiedym tak krążył już przez pierwsze pół godziny z pięciu, jakie mnie jeszcze czekały, natknąłem się na Wemmicka.

- Hallo - zawołał na mój widok - jak się pan miewa? Nie wiedziałem, że pan tutaj się obraca.

Wyjaśniłem mu, że oczekuję kogoś, kto przybędzie południowym dylizansem, i spytałem o Zamek i staruszkę.

- Ależ kwitną, to jest przede wszystkim kwitnie staruszek. Jest w świetnej formie. Skończy wkrótce osiemdziesiąt dwa lata. Mam zamiar w dniu jego urodzin wystrzelić osiemdziesiąt dwa razy, o ile sąsiedzi nie będą się skarżyli i o ile moje działo wytrzyma taką próbę. Ale to nie są tematy na Londyn. Jak panu się zdaje, dokąd teraz idę?

- Do biura? - spytałem, gdyż szedł w tym kierunku.

- Prawie - potwierdził Wemmick - idę do więzienia Newgate. Powierzono nam teraz sprawę pewnych skradzionych funduszów i zanim rozmówię się z klientem, udałem się na miejsce kradzieży, by je obejrzeć.

- Czy to wasz klient popełnił tę kradzież? - spytałem.

- Uchowaj Boże - odparł bardzo suchym tonem Wemmick - oskarżają go tylko o to. Ale tak samo mogliby oskarżyć pana lub mnie. Każdego mogą oskarżyć o kradzież.

- Tylko że żaden z nas dwóch nie ukradł - zauważyłem.

- Ha - oświadczył Wemmick dotykając palcem mej piersi - spryciarz z pana, Mr. Pip. Czy nie przeszedłby pan się ze mną do Newgate? Ma pan chwilę czasu?

Miałem istotnie tak długą chwilę do dyspozycji, że przyjąłem jego propozycję z ulgą, mimo potajemnej chęci nie spuszczenia z oka stacji dyliżansów. ZaMr.uczawszy więc, że zaraz dowiem się, czy mam jeszcze czas mu towarzyszyć, wstąpiłem na stację i upewniłem się najdokładniej u urzędnika, którego cierpliwość wystawiłem mocno na próbę, kiedy można się najwcześniej spodziewać przybycia dyliżansu. Wiedziałem to zresztą i poprzednio, tak samo dokładnie jak on.

Potem, powróciwszy do Wemmicka, spojrzałem na zegarek i udawałem zaskoczonego, że jest jeszcze tak wcześnie. Wreszcie przyjąłem jego propozycję.

W Newgate znaleźliśmy się po upływie kilku minut i przeszliśmy przez bramę, gdzie na ścianach obok kajdanów wisiały przepisy dla więźniów, znaleźliśmy się wewnątrz więzienia. W owym czasie więzienia zdradzały ogromne zaniedbanie. Daleko jeszcze było do epoki przesadnej reakcji, jaką rodzą wszelkie błędy polityczne i która bywa zazwyczaj najcięższą i najtrwalszą za nie karą. Więźniowie nie mieszkali i nie jadali lepiej niż żołnierze (nie mówiąc już o biedakach w przytułkach) i z rzadka rozpalali ogień w celach, by nieco poprawić smak zup. Gdy Wemmick wprowadził mnie do budynku, była godzina odwiedzin więźniów. Po sali kręcił się sprzedawca piwa; więźniowie, znajdujący się w celach, kupowali poprzez kraty napój, rozmawiając z gośćmi. Był to ponury, niechlujny, brzydki i przygnębiający widok.

Uderzyło mnie, że Wemmick przechadzał się pomiędzy więźniami jak ogrodnik wśród roślin. Porównanie to przyszło mi na myśl, kiedy powiedział tonem, jakim się przemawia do roślinki, która wyrosła przez noc:

- Co to, kapitanie Tom? Pan tutaj? Doprawdy?

A do drugiego:

- Czyżby to był Czarny Bili tam za studnią? Nie widziałem ciebie już ze dwa miesiące. Jakże się czujesz?

W ten sposób Wemmick zatrzymywał się przed kratami i słuchał lękliwych - zawsze pojedynczych - szeptów więźniów, nie poruszając wargami podobnymi do otworu w skrzynce od listów. Podczas rozmowy bacznie przyglądał się więźniom, jak gdyby badał, jakie zmiany

zaszły w nich od czasu, kiedy ich po raz ostatni widział, by tym skuteczniejszy zadać cios podczas procesu.

Był tu ogromnie popularny, zapewne dlatego, że występował jako przedstawiciel Mr. Jaggersa, ale mimo woli przybierał pełne godności pozy swego szefa, nie pozwalające na przekroczenie pewnych granic poufałości.

Za każdym razem, gdy poznawał któregoś z kolejnych klientów, uwidocznił to za pośrednictwem kiwnięcia mu głową, poprawienia kapelusza, po czym na nowo zanurzał obie ręce w kieszeniach, ściągając nieco otwór w skrzynce do listów. W jednym czy dwu wypadkach, gdy chodziło o znizzenie sumy honorarium, Mr. Wemmick cofał się, jak mógł najdalej od kraty, i mówił:

- Szkoda o tym mówić, mój chłopcze. Ja jestem tylko skromnym urzędnikiem. Nic nie mogę na to poradzić. Nie próbuj rozmawiać o takich sprawach z urzędnikiem. Jeżeli nie jesteś w stanie, mój chłopcze, wypłacić takiej sumy, zwróć się do innego adwokata. Mało to takich, którzy zrobią to taniej? Po co zwracać się do urzędnika? Jedni adwokaci są bardziej kosztowni, inni mniej. Moja rada, zwróć się do innego. Kto następny?

W ten sposób przechadzaliśmy się w oranżerii Wemmicka, gdy nagle zwrócił się do mnie ze słowami:

- Niech pan przyjrzy się temu człowiekowi, któremu teraz uścisknę rękę.

Byłbym to i tak zrobił bez jego uprzedzenia, gdyż dotychczas nikomu jeszcze nie podał ręki.

W tejże chwili zjawił się przed nami wysoki i postawny mężczyzna (widzę go dokładnie jeszcze i teraz, gdy to piszę) w znoszonym oliwkowej barwy surducie, z dziwną błądzącą twarzą i oczyma, które błękały się niepewnie mimo wysiłków spoglądania w jeden punkt. Człowiek ten zjawił się za kratą i na widok Wemmicka dotknął dłonią swego kapelusza, którego zatłuszczona powierzchnia przypominała wystygły, tłusty rosół. Było to coś na kształt żartobliwie poważnego wojskowego ukłonu.

- Cześć, pułkowniku! Jak się pułkownik miewa? - zawołał Wemmick.

- Doskonale, Mr. Wemmick.

- Robiło się wszystko, co się dało zrobić, ale dowody były przeciwko nam zbyt silne, pułkowniku.

- Tak, były zbyt silne, to prawda, ale mniejsza o to.

- Dla pana mniejsza o to - odparł Wemmick chłodno. I zwracając się ku mnie objaśnił - ten człowiek służył jego królewskiej mości. Był bojowym żołnierzem i otrzymał dymisję z wojska.

- Doprawdy? - spytałem i wówczas więzień spojrzał na mnie, następnie jak gdyby ponad moją głowę, potem jego spojrzenie błąkało się wokół sali, wreszcie podniósł dłoń do ust i roześmiał się.

- Sądzę, że skończą ze mną w poniedziałek - powiedział do Wemmicka.

- Być może - zgodził się mój przyjaciel - ale to jeszcze nie pewne.

- Jestem rad, że mogę pana jeszcze pożegnać, Mr. Wemmick - oświadczył mężczyzna wyciągając dłoń pomiędzy dwoma prętami krat.

- Dziękuję, pułkowniku - odparł Wemmick ściskając mu rękę - i ja nawzajem żegnam pana.

- Gdyby to, co miałem przy sobie w chwili mego aresztowania, nie było fałszywe, pozwoliłbym sobie ofiarować panu jeszcze jeden pierścień w zamian za pańskie trudy.

- Biorę chęci za czyny - odpowiedział Wemmick - ale właśnie słyszałem, że pan był hodowcą gołębi. - Więzień popatrzył w górę jak w niebo. - Podobno miał pan świetną hodowlę tych ptaków. Czy mógłby pan polecić któremuś ze swych przyjaciół, aby przyniósł mi parkę, kiedy już panu nie będą potrzebne?

- To się zrobi, proszę pana.

- Doskonale - ucieszył się Wemmick - będę o nie dbał. Do widzenia, pułkowniku.

Uścinęli sobie znowu dłonie i kiedy szliśmy dalej, Wemmick wyjaśnił:

- Fałszerz pieniędzy, bardzo zdolny. Wyrok będzie gotów dzisiaj i egzekucja nastąpi zapewne w poniedziałek. Cóż, para gołębi to także dobra rzecz.

To mówiąc obejrzał się na swą już uwiędłą roślinę, kiwnął głową i wychodząc z sali rozglądał się, jak gdyby się zastanawiał, jaką to też doniczkę postawić na jej miejscu.

Kiedy wychodziliśmy z więzienia, miałem okazję spostrzec, że Mr. Wemmick był otoczony przez strażników więziennych takim samym szacunkiem jak przez więźniów.

- I cóż, Mr. Wemmick - zagadnął klucznik zatrzymując nas w przejściu między jednymi zakratowanymi i najeżonymi baterią gwoździ drzwiami, które już za nami zamknął, a drugimi, których jeszcze przed nami nie otworzył - co też Mr. Jagers zamierza zrobić z tej zbrodni nad rzeką: zabójstwo czy co innego?

- Czemu to pan jego samego nie spyta? - zapytał Wemmick.

- O, na pewno, ośmieliłbym się! - powiedział klucznik.

- Tacy to już tutaj ludzie, Mr. Pip - zauważył Wemmick zwracając się do mnie i rozciągając otwór swej skrzynki do listów - nie krępują się mnie, urzędnika, ale boją się wszyscy mego szefa.

Strażnik zaśmiał się z dowcipu Wemmicka i spytał patrząc na mnie:

- Czy ten młody człowiek jest jednym z praktykantów waszego biura prawnego?

- Patrzcie go! - krzyknął Wemmick. - A nie mówiłem? Już zadaje mi drugie pytanie, mimo że pierwsze jeszcze nie obeschło! A co, jeżeli ten młody człowiek byłby naszym praktykantem? Co z tego?

- To, że wiedziałby, co to jest mieć do czynienia z Mr. Jaggersem - roześmiał się strażnik.

- Ha! - zawołał Wemmick dając mu żartobliwego kuksańca w bok - w obecności mego pryncypała jesteś taki niemy jak twój klucz! A teraz wypuść nas, ty stary lisie, bo inaczej wytoczmy ci proces o bezprawne uwięzienie.

Strażnik roześmiał się, otworzył nam drzwi, powiedział „do widzenia i patrzył jeszcze w ślad za nami, gdy schodziliśmy ze schodów na ulicę.

- Niech pan posłucha, Mr. Pip - szepnął Mr. Wemmick da ucha, biorąc mnie pod ramię na znak poufałości - mam wrażenie, że największą siłą Mr. Jaggersa jest właśnie jego wyniosłość. Na wszystkich spogląda z góry i tym sprawia, że taki pułkownik nie ośmieliłby się pierwszy przerwać rozmowy z nim tak samo, jak taki strażnik nie ośmiela się zadać mu pytania. W ten sposób pomiędzy własną wielkością a nich potrafi wsunąć swego urzędnika i przy jego pomocy trzyma tych ludzi duszą i ciałem.

Nie po raz pierwszy zaimponował mi Mr. Jagger niezwykłymi zdolnościami, ale prawdę mówiąc, nie po raz pierwszy życzyłem sobie w duchu, aby mieć innego, mniej zdolnego opiekuna.

Rozstaliśmy się z Mr. Wemmickiem w Małej Brytanii przed domem, w którym mieści się kancelaria Jaggersa i gdzie, jak zwykle, oczekiwały go tłumy klientów. Z zegarkiem w ręku udałem się na mój posterunek przed stacją dyliżansów, mając przed sobą jeszcze trzy godziny.

Spędziłem je na rozmyślaniach, jakie to dziwne, że oto znajduję się znowu w zatrutej atmosferze więzienia i przestępstwa. Myślałem, jak to po raz pierwszy w życiu spotkałem się ze zbrodnią w pewną zimową noc dzieciństwa na samotnym bagnisku i jak dwukrotnie pojawiała się znowu w moim życiu niby wyblakła plama po to, by teraz powrócić w nowej formie raz jeszcze i połączyć się z moim losem.

Kiedym tak rozmyślał, przyszło mi do głowy, że oto jedzie na moje spotkanie śliczna i młoda Estella, taka dumna, taka subtelna, i kontrast pomiędzy nią a okropnościami więzienia przejął mnie nagle dreszczem. Pożałowałem, że spotkałem Wemmicka i że zgodziłem się na towarzyszenie mu do Newgate. Przykro mi było, że właśnie w tym jedynym dla mnie dniu w roku oddech mój i odzież pełne były ohydnej woni więziennej. Toteż, przechadzając się

niespokojnie, otrząsałem ze stóp pył więzienia i miałem uczucie, że woń jego ulatnia się z mego ubrania i że wydycham ją z płuc na powietrze. Czułem się tak zagrożony miazmatami oranżerii Mr. Wemmicka, że kiedy po długim oczekiwaniu ujrzałem zbliżający się dylizans, zdawało mi się, że jeszcze się ich nie pozbyłem, a nawet uczucie to nie opuściło mnie, gdym w oknie pojazdu ujrzał twarz Estelli i dłoń, którą ku mnie kiwała.

Ale jakież to jeszcze bezimienny cień przeleciał mi w tej chwili znowu przed oczyma?

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Nigdy jeszcze, nawet w moich oczach, Estella nie była tak subtelnie prześliczna, jak w podróżnym kostiumie obszytym futrem. Odnosiła się też do mnie z większą zalotnością niż kiedykolwiek i widziałem w tym wpływ miss Havisham.

Stojąc na dziedzińcu pocztowym, wskazała mi swoje bagaże, a kiedy je wszystkie pozbierałem, przypomniałem sobie - do tej bowiem chwili mój zachwyt nie pozwalał mi o niczym myśleć - że nie wiem, dokąd należy ją zawieźć.

- Jadę do Richmond - wyjaśniła. - Musimy pamiętać, że są dwa miasta tej nazwy: Richmond w Surrey i Richmond w Yorkshire. Jadę do tego w Surrey. To dziesięć mil stąd i mam tam pojechać powozem, a ty masz mi towarzyszyć. Oto moja sakiewka, zapłać z niej powóz. O, musisz wziąć te pieniądze! Na nic się nie zda protestować. Nie mamy przecież ani ja, ani ty wyboru, musimy być posłuszni instrukcjom. Nie pozostawiono nam swobody decyzji, ani mnie, ani tobie.

Gdy mówiąc to podała mi sakiewkę, miałem nadzieję, że w słowach jej kryje się jeszcze i inna treść. W tonie jej brzmiało coś pogardliwego, ale nie było w nim przykrości.

- Trzeba będzie sprowadzić powóz, Estello. Czy nie zechcesz tu trochę wypocząć?

- Owszem, odpocznę tu trochę. Napiję się herbaty, a ty się mną przez ten czas zaopiekujesz.

Wsunęła mi dłoń pod ramię, jak gdyby i tym razem posłuszna jakiemuś rozkazowi, a ja zwróciłem się do kelnera, który tak przyglądał się dyliżansowi, jak gdyby widział coś podobnego pierwszy raz w życiu, aby zaprowadził nas do oddzielnego saloniku. Rozwinął szybko serwetę, jak gdyby była talizmanem, bez którego nie trafi na górę, i poprowadził nas na pierwsze piętro do ciemnej nory ozdobionej lustrem zmniejszającym (co było całkiem zbyteczne ze względu na minimalne rozmiary pokoiku), flaszczką z sosem sardelowym i czyimiś chodakami. Kiedy wyraziłem zastrzeżenie co do tego ustronia, zaprowadził nas do innego pokoju, w którym stał stół nakryty na trzydzieści osób, a na kominku leżała przypalona kartka, wydarta z zeszytu i grubo posypana pyłem węglowym. Popatrzawszy przez chwilę na ten ugaszony pożar na kominku, potrząsnąłem głową, a gdy otrzymał ode mnie zamówienie brzmiące: „Proszę herbatę dla pani, wyszedł z pokoju bardzo przygnębiony.

Czułem i czuję jeszcze po dziś dzień zapach tego pokoju: mieszaninę stajni i zupy na mięsie, nasuwający przypuszczenie, że właściciel dyliżansów, będąc w złych interesach, gotował na obiad własne konie w tym właśnie pomieszczeniu. Ale mimo to pokój ten był dla

mnie wszystkim, bo znajdowała się w nim Estella. Odnosiłem wrażenie, że mógłbym tutaj być z nią szczęśliwy przez całe życie (zauważcie, że w owym momencie nie byłem bynajmniej szczęśliwy i zdawałem sobie z tego doskonale sprawę).

- Do kogo jedziesz do Richmond? - spytałem Estellę.

- Mam mieszkać u pewnej pani - odparła - która żyje na wielkiej stopie i może - albo przynajmniej tak twierdzi - wprowadzić mnie w świat, pokazać mi ludzi i mnie pokazać ludziom.

- Spodziewam się, że takie urozmaicone życie i podziw sprawi ci przyjemność?

- Tak, i ja tak przypuszczam.

Powiedziała to w taki obojętny sposób, że zauważyłem:

- Mówisz o sobie takim tonem jak o innej osobie.

- A skąd ty wiesz, jakim tonem mówię o innych? No, no - oświadczyła Estella z uroczym uśmiechem - tylko nie sądz, że będę się uczyła od ciebie, jak mam mówić. Będę mówiła, jak mnie się podoba. No, a jak tam się czujesz u Mr. Pocketa?

- Doskonale, byłoby mi całkiem dobrze, gdyby nie...

W tej chwili miałem uczucie, że tracę jakąś możliwość życiową.

- Gdyby nie co? - spytała Estella.

- Gdyby nie to, że nie mogę czuć się całkiem szczęśliwy z daleka od ciebie.

- Jakiż niemądry z ciebie chłopiec - osądziła Estella z całkowitym spokojem - jakże możesz mówić podobne głupstwa? Pan Mateusz przecież znacznie przewyższa całą swoją rodzinę?

- O, tak, bardzo przewyższa. Nie ma żadnych wrogów...

- Dodaj „prócz siebie samego” - wtrąciła Estella - nie cierpię tego rodzaju ludzi. Ale ten podobno jest pozbawiony wszelkiej zawiści i całkiem bezinteresowny.

- Tak, mogę to potwierdzić z całą stanowczością.

- Ale nie możesz tego twierdzić z całą stanowczością w stosunku do jego rodziny - oznajmiła Estella patrząc na mnie z mieszaniną powagi i drwin - zasypują miss Havisham skargami na ciebie, wszelkiego rodzaju plotkami i donosami. Szpiegują cię, przedstawiają w złym świetle i piszą listy (niekiedy anonimowe). Jesteś najważniejszym obiektem zainteresowania ich życia i dostarczycielem głównego zajęcia. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, do jakiego stopnia ciebie nienawidzą.

- Ale chyba mi tym nie szkodzą? - badałem.

Zamiast odpowiedzi Estella wybuchnęła wesołym śmiechem. Było to bardzo dziwne i patrzyłem na nią niemile zaskoczony. Kiedy się uspokoiła - a śmiech ten bynajmniej nie brzmiał sztucznie, tylko bardzo szczerze - zagadnąłem nieśmiało:

- Mogę chyba przypuszczać, że moja krzywda nie sprawiłaby ci takiej radości?

- Nie, oczywiście, że nie - odparła - śmieję się właśnie dlatego, że wcale im się nie udaje ci zaszkodzić. Ach, ci ludzie z otoczenia miss Havisham, jakież muszą z jej strony znosić tortury!

I śmiała się znowu, a mnie, choć wiedziałem już, dlaczego się śmieje, wesołość ta wciąż wydawała się dziwna i zbyteczna. Nie mogłem się opędzić wrażeniu, że Estella nie powiedziała mi całej prawdy, z której się śmiała. Domyśliła się tego mego przypuszczenia, gdyż dodała:

- Nie łatwo nawet tobie pojąć, do jakiego stopnia bawi mnie drażnienie tych ludzi i jaką odczuwam przyjemność, gdy widzę, jak sami siebie ośmieszają. Nie zrozumiesz tego, bo nie byłeś prawie od niemowlęcia wychowany w tym dziwnym domu. A ja byłam. Twój młody umysł nie wyrabiał się pod wpływem intryg skierowanych przeciwko tobie, prześladowanemu i bezbronnemu, pod fałszywą maską współczucia, litości i wszelkich pozorów łagodnej dobroci, a mój wyrabiał się. Nie musiałeś w zdumieniu stopniowo coraz szerzej otwierać dziecięcych oczu na widok oszustw kobiety, która z trudem sumuje spokojne momenty swego życia, by je wywołać przed oczy, gdy się budzi w nocy. A ja musiałam.

Estella już się nie śmiała. Wspomnienia dzieciństwa płynęły jej z głębi duszy. Nawet za cenę moich wielkich nadziei nie chciałbym stać się przyczyną jej podobnego spojrzenia.

- Mogę ci powiedzieć dwie rzeczy - ciągnęła Estella. - Po pierwsze, na przekór przysłowiu, że kropla, padając długo, drąży nawet skałę, ludzie ci nic nie wskórają przeciwko tobie u miss Havisham, nawet gdyby to trwało sto lat. A po drugie, za to, iż tobie zawdzięczam ten śmieszny widok podłych intryg; które do niczego nie prowadzą, chcę ci podać rękę.

Kiedy już pogodnie - bo smutny nastrój szybko minął - wyciągnęła do mnie dłoń, ucałowałem ją.

- Ty śmieszny chłopcze - powiedziała Estella - czy nie słuchasz żadnych przestróg? A może w ten sam sposób pojmujesz ucałowanie mojej ręki, jak niegdyś pocałowanie mojego nadstawionego ci policzka?

- A w jaki to było wtedy sposób? - spytałem.

- Zaraz, niech się namyśle. Wtedy ten pocałunek był wyrazem pogardy dla pochlebców i intrygantów.

- A jeżeli powiem, że właśnie w taki sposób, czy wolno mi będzie pocałować cię znowu w policzek?

- Trzeba było o to spytać, zanim dotknąłeś mojej ręki. Ale dobrze, niech będzie, jeśli sobie tego życzysz.

Pochyliłem się, a jej spokojna twarz pozostała nieruchoma jak twarz posągu.

- A teraz - przypomniała Estella cofając się w momencie, gdy zaledwie dotknąłem jej policzka - miałaś zatroszczyć się, bym dostała herbaty, zanim pojedę do Richmond.

Odczułem ból, gdy usłyszałem, jak powróciła do dawnego tonu i jasno daje mi odczuć, że narzucono jej moje towarzystwo i że oboje jesteśmy tylko marionetkami, ale i tak wszystko w naszym wzajemnym stosunku zadawało mi ból. Przecież bez względu na to, jakiego używała tonu, nie mogłem mu ufać i nie mogłem na nim nic budować. A jednak nie rezygnowałem wbrew zaufaniu i wbrew nadziei. Po cóż to powtarzać po tysiące razy? Tak było zawsze.

Zadzwoiłem na herbatę. Natychmiast zjawił się kelner ze swym magicznym żaglem i zaczął stopniowo znosić może z pięćdziesiąt naczyń, ale ani śladu herbaty. Przyniósł więc tacę, filiżanki, spodki, talerze, noże, widelce, łyżki (rozmaitej wielkości), solniczki, jedną niewinną grzanekę, uwięzioną pod żelazną pokrywą, małego Mojżesza w trzcinach, wykonanego z masła i obsypanego zieloną pietruszką, bładny bochenek chleba, zapudrowany mąką, dwie próbki odcisków kraty kuchennego kominka na trójkątnych kawałkach bułki i wreszcie wielki pękaty familijny imbryk z wodą.

Kelner przydzwigał go z bardzo cierpiącym wyrazem twarzy.

Potem nastąpiła dłuższa pauza, wreszcie ten sam usługujący wniósł szkatułkę o bardzo kosztownym wyglądzie: zawierała ona listki herbaty. Zanurzyłem je w gorącej wodzie i z tego wszystkiego przygotowałem jedną filiżankę zagadkowego napoju dla Estelli.

Po zapłaceniu rachunku nie zapomnieliśmy o napiwku dla kelnera ani dla chłopca stajennego i nie pominęliśmy pokojówki. Nikt z tych ludzi nie był zadowolony, wszyscy czuli dla mnie pogardę i nienawiść, a sakiewka Estelli stała się znacznie lżejsza. Wreszcie wsiedliśmy do powozu i pojechaliśmy w drogę. Skręciliśmy w Cheapside i turkoczając ulicą Newgate znaleźliśmy się wkrótce pod murami, które niedawno nappełniły mnie takim wstydem.

- Co to za gmach? - zaciekawiała się Estella.

Zrobiłem niemądrą próbę udania, że na pierwszy rzut oka nie poznaję budynku. Zaraz potem powiedziałem prawdę. Moja towarzyszka wysunęła głowę przez okno, przyjrzała się, a następnie cofając się w głąb powozu, szepnęła:

- Biedacy!

Za nic w świecie nie przyznałbym się teraz do odwiedzin w więzieniu.

- Mr Jagers - powiedziałem, aby nawiązać jakąś rozmowę - ma opinię człowieka najlepiej wtajemniczonego w sprawy tego gmachu ze wszystkich ludzi w Londynie.

- Mam wrażenie, że jest on najlepiej wtajemniczony we wszystkie sprawy - odparła cichym głosem Estella.

- Widujesz go chyba często? - spytałem.

- Od jak dawna pamiętam, widuję go co pewien czas, ale nie znam go przez to ani trochę lepiej. A jakie są twoje doświadczenia z nim związane? Czyś go lepiej poznał?

- Musiałem się najpierw przyzwycząić do jego przykrego sposobu bycia - odparłem - ale teraz jesteśmy w dobrych stosunkach.

- Zaprzyjaźniłeś się z nim?

- Byłem na obiedzie w jego prywatnym mieszkaniu.

- Wyobrażam sobie - zauważyła Estella wzdrygając się - że to musi być interesujący dom.

- Bardzo interesujący.

Nie chciałem nawet z Estella wdawać się w szczegółową rozmowę o moim opiekunie, ale byłbym jej opowiedział przebieg obiadu na Gerard Street, gdyby nie to, że nagle znaleźliśmy się w kręgu światła latarni gazowej. W blasku tym wszystko wydało mi się przeraźliwie jasne i żywe i ogarnęło mnie to samo co przedtem uczucie. A kiedy wjechaliśmy znowu w Mr.ok, czułem się odurzony, jak gdyby ugodził mnie piorun.

Rzecz nasza zmieniła więc temat i toczyła się przeważnie wokoło ulic, jakimi jechaliśmy, i zagadnienia, jakie dzielnice Londynu leżą po której stronie rzeki. Estella nie znała wcale olbrzymiego miasta. Opowiadała mi, że nigdy nie opuszczała stron miss Havisham. Raz tylko była we Francji i wówczas przejeżdżała przez Londyn w obie strony. Spytałem ją, czy podczas jej pobytu, tutaj będzie się nią opiekował Mr. Jagers, ale zawołała z przerażeniem:

- Niechże Bóg broni! - i nie dodała nic więcej.

Nie mogło ujść mej uwadze, że usiłowała mnie skokietować i że zdobywałaby mnie nawet w takim wypadku, gdyby musiała sobie zadać trud. Nie czyniło mnie to jednak wcale szczęśliwszym i gdyby nawet nie podkreśliła z naciskiem, że nie jesteśmy wolni i że musimy być posłuszni, to i tak wiedziałbym, że chce trzymać moje serce w dłoni, bo tak jej się w tej chwili podoba, i że nie odczuje żadnego żalu, gdy je będzie deptała.

W przejeździe przez Hammersmith pokazałem jej dom Mateusza Pocketa i powiedziałem, że stąd już niedaleko do Richmond i że spodziewam się widywać ją od czasu do czasu.

- Och, tak, masz mnie odwiedzać. Przyjeżdżaj, kiedy będziesz uważał za stosowne. Nawet wspomniano już o tobie rodzinie, u której będę mieszkała.

Spytałem, czy to duża rodzina.

- Nie, są tam tylko dwie osoby, matka i córka. Matka to wielka dama, ale nie pogardza dochodami.

- Dziwię się, że miss Havisham chciała się tak prędko z tobą rozstać.

- To rozstanie stanowi część jej planu dotyczącego się mojej osoby, Pip - wyjaśniła Estella z westchnieniem, jak gdyby była bardzo znużona - mam do niej pisywać regularnie i donosić jej, jak się miewam i jak się miewają jej klejnoty... bo teraz już prawie wszystkie jej klejnoty należą do mnie.

Po raz pierwszy wymówiła moje imię. Oczywiście zrobiła to świadomie i wiedziała doskonale, że to ocenię.

Przybyliśmy do Richmond, jak mi się zdawało, zbyt szybko i zajechaliśmy przed dom obok Green. Był to staroświecki dom, w którym zapewne niegdyś królowały krynoliny, puder, muszki, haftowane fraki, zawinięte pończochy, żaboty i szpady. Jeszcze kilka pozostałych przed domem z tych czasów drzew ze strzyżonymi gałęziami przywodziło na myśl krynoliny, peruki czy sztywne robrony, ale niedaleki już był czas, kiedy miały zająć miejsce w smutnym pochodzie umarłych i cicho zniknąć stąd na zawsze.

Zadźwięczał stary dzwonek, którego głos z pewnością w dawnych czasach wołał:

„Oto zielony robron, oto szpada z rękojeścią wysadzaną brylantami, oto pantofle na czerwonych obcasach, oto błękitny diament. Na ten dźwięk, który rozległ się wśród księżycowego blasku, zjawiły się dwie zarumienione służące, by przywitać Estellę.

Kuferki jej zniknęły w drzwiach domu. Estella podała mi z uśmiechem rękę życząc dobrej nocy i została również wchłonięta przez budynek. Stałem wciąż patrząc na dom, myślałem, jaki byłbym szczęśliwy, gdybym mógł z nią tam mieszkać. Wiedziałem jednocześnie, że nigdy nie czułbym się z nią szczęśliwy, ale zawsze zrozpaczony. Wsiadłem do powozu, aby odwiózł mnie z powrotem do Hammersmith. Wsiadłem z ciężkim sercem, ale z jeszcze cięższym wysiadłem. Przed naszymi drzwiami spotkałem małą Jane Pocket, która wracała z przechadzki w towarzystwie swego małego ulubieńca, i pozazdrościłem chłopczykowi, chociaż musiał słuchać Flopson.

Mr Pocket wyszedł na wykład. Był słynnym wykładowcą w dziedzinie gospodarki domowej, a jego prace na temat wychowania dzieci i kierowania służbą uchodziły za wzorowe w tym zakresie. Zastałem jednak Mr.s Pocket. Znajdowała się w stanie lekkiego zakłopotania z powodu Dzidziusia, dała mu bowiem do zabawy pudełeczko z igłami i poleciła trzymać je spokojnie aż do powrotu Millers, która wyszła w jakimś tajemniczym celu (z krewnym z gwardii piechoty), a tymczasem z pudełka brakowało nieco więcej igieł, niż można by zaaplikować pacjentowi w tak młodym wieku do wewnętrznego czy też zewnętrznego użycia.

Wracając do domu w rozterce sercowej miałem nawet zamiar zwierzyć się Mr. Pocketowi znanemu z doskonałych mądrych rad i z rozumnego poglądu na wszelkie sprawy życiowe, ale kiedy spojrzałem na Mr.s Pocket, jak zagłębia się ponownie w czytaniu książki o rodach arystokratycznych, zarządziwszy uprzednio jako lekarstwo dla Dzidziusia położenie go do łóżka, pomyślałem:

„O, nic im nie powiem!

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

W miarę jak przyzwyczajałem się do mych wielkich nadziei, zacząłem obserwować ich wpływ na siebie samego i na otoczenie. Starałem się ukrywać sam przed sobą, w jaki sposób pod ich wpływem zmienia się mój charakter, ale i tak wiedziałem, że nie wychodzi mi to bynajmniej na dobre. Żyłem z nieustannym poczuciem, że mój stosunek do Joego jest nieodpowiedni. Sumienie moje nie było też bardziej czyste, gdy szło o Bidy. Kiedy budziłem się wśród nocy - jak Kamilla - zastanawiałem się często, czy nie byłbym szczęśliwszy, gdybym nigdy nie oglądał twarzy miss Havisham, a dorósłszy stał się współnikiem w uczciwej, starej kuźni Joego. I wiele razy, siedząc samotnie przy kominku, rozmyślałem, że w gruncie rzeczy nigdzie nie znajdę takiego ognia, jaki płonął w kuźni i w naszej kuchni w domu.

Mimo to Estella tak się zrosła z moim niepokojem i smutkiem, że trudno mi nawet było ustalić granice własnej odpowiedzialności za te udręki. Sam nie umiałem rozstrzygnąć, czy gdyby odebrano mi wielkie nadzieje, a zostawiono Estellę, sytuacja moja przedstawiałaby się dużo lepiej.

O wiele jaśniej zdawałem sobie sprawę z wpływu tych wydarzeń na otoczenie. Wiedziałem, choć może dość mgliście, że nie jest to wpływ dobroczynny, zwłaszcza gdy chodzi o Herberta. Moja rozrzutność doprowadzała go do zbytecznych wydatków, którym nie był w stanie poddać, psuła prostotę jego życia i mąciła mu spokój wyrzutami i kłopotami. Nie odczuwałem żadnych wyrzutów sumienia w stosunku do innych latorośli rodziny Pocketów, że zmuszałem ich do różnych obłudnych komedyjek z mojego powodu, wiedziałem bowiem, że i tak by je odgrywali nie przy tej, to przy innej okazji. Ale z Herbertem sprawa przedstawiała się inaczej. Często martwiłem się rozważając, jak niepotrzebnie napełniłem jego skromne mieszkanie wymyślnymi meblami i oddałem mu do dyspozycji Mściciela w kanarkowej kamizelce.

By móc życiu naszemu zapewnić zbytek, zacząłem zaciągać długi, a Herbert nauczył się mnie w tym naśladować.

Za namową Startopa podaliśmy się jako kandydaci do klubu, którego nazwa brzmiała „Zięby w Gaiku”. Nigdy nie mogłem odgadnąć, jaki był cel tej instytucji, której działalność ograniczała się do wspólnych kosztownych obiadów raz na dwa tygodnie. Po bankietach owych członkowie kłócili się zajadle i dawali sposobność do upicia się na umór sześciu lokajom stojącym na schodach. Ten miły cel społeczny był tak niezmiennie osiągany, że obaj

z Herbertem doszliśmy do wniosku, iż do niego właśnie nawiązuje toast wzniesiony przy okazji naszego przyjęcia na członków, który brzmiał: „Panowie, niechże dzisiejsza promocja będzie symbolem zgody zawsze panującej wśród «Zięb w Gaiku».

„Zięby trwoniły przerażająco pieniądze (hotel, w którym jadaliśmy kolacje, znajdował się w Covent Garden), a pierwszą Ziębą, jaką miałem zaszczyt ujrzeć po zostaniu członkiem klubu, był Bentley Drummler. Pędził własnym powozikiem przez miasto, uszkadzając po drodze słupy narożne na ulicach. Niekiedy wylatywał z pojazdu głową naprzód ponad powozowym fartuchem. Raz widziałem go tak wypadającego, niczym worek z węglami, przed siedzibą klubu, ale nie byłem jeszcze wówczas rzeczywistym członkiem Zięb, gdyż regulamin klubu wymagał dojścia do pełnoletności.

Ufając mojemu bogactwu, chętnie wziąłbym długi Herberta na siebie, ale mego przyjaciela cechowała duma i nigdy by na to nie pozwolił. Nie mogłem mu tego nawet zaproponować. Wpadał więc w coraz to większe kłopoty nie przestając swoim zwyczajem wciąż się jeszcze tylko wokół siebie rozglądać. Kiedy stopniowo coraz bardziej przyzwyczajaliśmy się do nocnego towarzystwa i nocnych powrotów do domu, rozglądał się wokół siebie coraz to smutniej już przy pierwszym śniadaniu. Przy obiedzie zdawał się nabierać trochę otuchy, ale już przy kolacji ogarniało go znowu przygnębienie, a po obiedzie świtały mu ze strony Kapitału jakieś niejasne nadzieje. Niekiedy o północy był prawie pewien sukcesów ze strony Kapitału, ale tylko po to, by o drugiej nad ranem sądzić, że pozostaje mu już jedynie kupić strzelbę i wyjechać do Ameryki zapewne po to, aby bawoły zajęły się robieniem dla niego majątku.

Pół tygodnia spędzałem zazwyczaj w Hammersmith i przez cały ten czas myślałem o Richmond, ale o tym opowiem oddzielnie. Herbert zjawiał się wtedy często w Hammersmith i mam wrażenie, że ojciec jego musiał, patrząc na niego, podejrzewać, że syn jeszcze nie natrafił na złotą żyłę. Ale nieustanne koziołki, które fikała rodzina Pocketów, sprawiały, że huśtawka Herberta nie miała tak wielkiego znaczenia. Mr Pocket coraz bardziej siwiał i coraz częściej usiłował wydobyć się z odrętwienia szarpiąc się za włosy. Tymczasem Mrs Pocket podstawiła pod nogi rodzinie swój taboret, czytała książki o arystokracji, opowiadała nam o swym dziadziu, gubiła rękawiczki i jako jedyny środek wychowawczy stosowała wobec dzieci, kiedy i gdzie tylko je spostrzegła, wysyłanie do łóżka.

Ponieważ streszczam w tej chwili ten właśnie okres mego życia, chcąc utoroować drogę ku przyszłym wypadkom, muszę wspomnieć także, jak żyliśmy w tym czasie w „Gospodzie Barnarda”.

Wydawaliśmy tyle pieniędzy, ile zdołaliśmy i w zamian nie otrzymywaliśmy niemal nic. Byliśmy stale w bardzo kiepskich warunkach i to samo działo się z naszymi przyjaciółmi. Utrzymywaliśmy się w wesołej złudzie, że się nieustannie doskonale bawimy, a w gruncie rzeczy wcale się tak nie działo. Wydaje mi się, że wypadek nasz bynajmniej nie był odosobniony.

Co rano z całkiem nowym wyrazem twarzy Herbert udawał się do City, by tam się rozglądać. Odwiedzałem go tam niekiedy w ciemnym tylnym pokoju, gdzie urzędował w towarzystwie kałamarza, wieszaka, skrzynki z węglami, pudełka na sznurki, kalendarza, biurka, taboretu i linijki i nie przypominam sobie, bym choć raz zastał go przy jakiejś innej robocie niż rozglądanie się wokoło.

Gdybyśmy wszyscy tak sumiennie wypełniali to, co zamierzamy, jak to czynił Herbert, moglibyśmy żyć w Republice Cnót. Do obowiązków biedaka nie należało nic prócz udania się codziennie o określonej godzinie popołudnia „do Lloyd’a” w celu dopełnienia ceremonii zobaczenia się ze swym zwierzchnikiem. Mam wrażenie, że prócz tego Herbert nie miał żadnego innego kontaktu z firmą Lloyd’a, gdyż zaraz potem wracał do domu. Kiedy miewał chwile, że sytuacja jego wydawała mu się krytyczna i że nie widział wyjścia, udawał się na Giełdę, wchodził do gmachu i wychodził niczym w jakimś posępnym ludowym tańcu wśród zgromadzonych magnatów.

- Widzisz, Haendel - mówił mi wówczas przy obiedzie po powrocie z takiej wycieczki - podobno nigdy fortuna nie przychodzi sama, tylko trzeba jej iść naprzeciw, więc to zrobiłem.

Gdybyśmy nie byli tak do siebie wzajemnie przywiązani, sądzę, że w owym czasie musielibyśmy się znienawidzić, zwłaszcza przy pierwszym śniadaniu. Nie cierpiałem w owe ranki naszego mieszkania i nie mogłem znieść widoku liberii Mściciela. Wydawała mi się o wiele za kosztowna, bardziej niż w innych porach doby. Z dnia na dzień, w miarę jak rosły nasze długi, pierwsze śniadanie stawało się dla nas coraz okropniejsze, a kiedy pewnego dnia przy porannym posiłku otrzymałem pełen pogroźek list, będący, jakby powiedziała gazeta mego miasteczka, „nie bez związku z niezapłaconą biżuterią, zapomniałem się do tego stopnia, że schwyciłem Mściciela za niebieski kołnierz liberii i potrząsnąłem nim w powietrzu, niczym amorkiem w butach, za zuchwałę przypuszczenie, że chcemy bułki. Od czasu do czasu mówiłem do Herberta tonem odkrywcy:

- Mój drogi Herbercie, niedobrze się dzieje.

- Mój drogi Haendlu - odpowiadał Herbert - nie uwierzysz, ale po prostu wyjąłeś mi te słowa z ust.

- Wobec tego, Herbercie - ciągnąłem - rozejrzyjmy się w naszych interesach.

Umawialiśmy się wówczas na określoną godzinę, kiedy to zrewidujemy wszystkie nasze sprawy. Uważałem, że tak właśnie postępuje się w interesach i że trzeba najlepiej od razu chwycić byka za rogi. Wiedziałem, że Herbert jest tego samego zdania.

Zamawialiśmy wówczas coś specjalnego na obiad i jakąś niecodzienną buteleczkę, by pokrzepić siły przed tym, co nas czeka. Po obiedzie gromadziliśmy dużą ilość piór, atramentu, mnóstwo papieru i bibuły, gdyż świadomość posiadania znacznego zapasu materiałów piśmiennych dodawała nam otuchy.

Potem brałem duży arkusz i bardzo starannym, czystym pismem pisałem u góry: „Spis długów Pipa”, a obok „Gospoda Barnarda” i data. Herbert na drugim arkuszu z zachowaniem tych samych formalności wypisywał: „Spis długów Herberta. Następnie każdy z nas gromadził obok siebie stos papierków wydobywanych z rozmaitych szuflad, z kieszeni ubrań, papierków na pół spalonych przy świecy, zatkniętych tygodniami za lustro, czy też w inny sposób zniszczonych. Teraz skrzyp naszych piór, spisujących z papierków długi, uspokajał mnie do tego stopnia, że nie umiałem już niemal dojrzeć różnicy pomiędzy wypisaniem długu a zapłaceniem go. Obie te czynności ze względu na ich merytoryczny charakter wydawały mi się niemal jednakowe.

Po pewnym czasie pytałem Herberta, jakże mu idzie, a on drapiąc się w głowę wobec tego potopu cyfr mówił:

- Rosną, Haendel, daję ci słowo, że rosną.

- Bądź spokojny, Herbert - odpowiadałem manipulując z zapalem piórem - trzeba umieć spoglądać sprawom prosto w twarz. Rozejrzyj się w nich. Wpatruj się w nie tak, aż zbijesz je z tropu.

- Będę, Haendel, będę - odpowiadał Herbert - tylko że to one zbijają mnie z tropu.

Moja stanowczość wydawała jednak rezultaty, gdyż Herbert powracał do swego spisu. Po chwili chciał znowu porzucać pracę pod pretekstem, że nie posiada rachunku Cobba, Lobba czy Nobba, czy jeszcze kogoś innego.

- To otaksuj ten dług w przybliżeniu i wciągnij go do spisu - poradziłem Herbertowi, a on odpowiadał z zachwytem:

- Jakąż ty masz głowę do interesów, Haendel, wszystkiemu umiesz zaradzić.

Sam byłem o sobie też takiego zdania. Uważałem, że jestem pierwszorzędnym człowiekiem interesu, zdecydowanym, pomysłowym, energicznym, o chłodnym spokojnym rozsądkiem. Kiedy już wypisałem wszystkie moje długi, porównałem je z pojedynczymi rachunkami i w miarę porównywania skreślałem poszczególne pozycje. Uczucie, jakie

miałem przy każdej takiej kresce, było wprost rozkoszne. Potem zrobiłem paczkę z rachunkami, związałem ją mocno. Następnie zrobiłem to samo z rachunkami Herberta (który skromnie powiedział, że nie posiada mojego talentu administracyjnego) i poczułem, że uporządkowałem interesy jego, tak jak i własne.

W związku z prowadzeniem interesów miałem jeszcze jedno przyzwyczajenie, które nazywałem „pozostawianiem marginesu. Jeżeli na przykład długi Herberta osiągały sto sześćdziesiąt cztery funty, cztery szylingi i dwa penty, mówiłem: „Zostaw margines i napisz dwieście funtów, a kiedy moje długi wynosiły dajmy na to cztery razy tyle co Herberta, zostawiałem margines i pisałem siedemset funtów. Wierzyłem głęboko w mądrość owego marginesowego zabiegu, ale teraz gdy spoglądam wstecz, widzę, że był to bardzo kosztowny sposób, gdyż na konto owego marginesu robiliśmy zaraz nowe długi, które nie tylko go wypełniały, ale, nawet przekraczały, zmuszając niekiedy do nowego marginesu.

Po każdym takim badaniu długów odczuwałem spokój, odpoczynek i świadomość własnej uczciwości. Podniecony opinią Herberta, jego komplementami dotyczącymi się mojej świetnej metody, głęboko wierzyłem we własne zdolności do interesów. Mogłem wówczas długo siedzieć patrząc na stos związanych rachunków i czułem się w owych chwilach nie jak prywatny człowiek, ale jak bank załatwiający trudne transakcje.

W takich chwilach ryglowaliśmy drzwi wejściowe, aby nikt nie mógł nam przeszkodzić. Pewnego wieczora, kiedy właśnie znajdowałem się w tym błogosławionym stanie, usłyszeliśmy szelest listu wsuwanego do otworu skrzynki i spadającego na podłogę.

. - To do ciebie, Haendel - powiedział Herbert przynosząc list z przedpokoju - spodziewam się, że nic się nie stało złego.

Była to aluzja do ciężkiej czarnej pieczętki i żałobnej obwódki na kopercie.

List nosił podpis „Trabb i Ska” i zawierał po prostu wiadomość, że jestem szanownym panem i że mają zaszczyt zawiadomić mnie, iż małżonka Mr. Joego Gargeryego pożegnała się z tym światem w ubiegły poniedziałek o godzinie minut rano i że moja obecność jest pożądana na ceremonii pogrzebu, który odbędzie się w najbliższy poniedziałek o trzeciej godzinie po południu.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Po raz pierwszy na drodze mego życia otworzył się grób, a przepaść, która powstała w gładkim gruncie, po jakim stąpałem, zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Dniem i nocą prześladowała mnie teraz twarz mojej siostry siedzącej w fotelu przy kominku. Nie mogłem ogarnąć myślą prawdy, że miejsce to będzie teraz opustoszałe i mimo że ostatnimi czasy rzadko towarzyszyła mym myślom, to teraz zdawało mi się raz, że idzie przede mną ulicą, innym razem, że za chwilę zapuka do drzwi mego mieszkania. Nie znała go przecież wcale, a na każdym kroku w mych pokojach miałem uczucie, że słyszę jej głos albo dostrzegam jej zwróconą ku mnie twarz, a cień śmierci otulił mój dom.

W żadnym okresie życia nie otaczałem jej wielką czułością, ale wydaje mi się, że zdarzają się wybuchy żalu, które rodzą się bez podłoża tkliwych uczuć. Pod wpływem tego wzruszenia (a może właśnie jako zadośćuczynienie za to, że nie wystarczająco był dla niej za życia czuły) ogarnęło mnie oburzenie na człowieka, który przyczynił się do jej cierpienia i do przedwczesnej śmierci i pomyślałem, że gdybym tylko miał dostateczne dowody winy Orlicka, nie wahałbym się zemścić na nim za moją siostrę.

Napisałem do Joego list pełen żalu, zapowiadający mój przyjazd na pogrzeb i następne dni aż do podróży przeżyłem w tym dziwnym stanie ducha. W dniu pogrzebu wyruszyłem o świcie w drogę i zajechałem do oberży „Pod Błękitnym Dzikim” dość wcześnie, by piechotą ruszyć do kuźni.

Był pogodny dzień letni i gdy tak szedł znajomą drogą, stanęły mi przed oczami te dawne czasy, kiedy byłem mały i bezbronny i kiedy siostra moja bynajmniej mnie nie oszczędzała. Ale wspomnienia te powróciły w łagodnej formie, która osłabiała nawet ciosy Łaskota. I oddychając świeżym powiewem, płynącym od drzew, marzyłem w blasku słonecznym, by kiedyś w przyszłości wspomnienia innych o mojej osobie podobnie łagodniały podczas spaceru w słońcu.

Już pierwsze spojrzenie rzucone na nasz dom dowiodło mi, że „Trabb i Ska” wzięli tu wszystko w posiadanie, urządzając uroczystość pogrzebową. Przed drzwiami frontowymi stało dwu idiotycznie ponurych drabów. Każdy z nich trzymał ostentacyjnie w ręku kulę owiniętą czarną, krepową wstążką, jak gdyby tym mógł przynieść komukolwiek pociechę. W jednym z nich poznałem pocztyliona spod „Błękitnego Dzika”. Wyrzucono go w swoim czasie z posady za to, że będąc w stanie nietrzeźwym do tego stopnia, iż musiał kurczowo trzymać się grzywy konia, wywrócił do rowu państwa młodych jadących na ślub.

Wszystkie dzieci z wioski i większość kobiet stała wpatrzona z zachwytem w żałobnych wartowników oraz zamknięte okna kuźni i domu, a kiedy się zbliżył, jeden z dwu stróżów (pocztylion) zapukał kijem w drzwi, jak gdyby mnie rozpacz pozbawiła już całkowicie sił i nie mógłbym zapukać sam.

Drugi drab (stolarz, który raz założył się i zjadł na poczekaniu dwie gęsi) otworzył drzwi i wprowadził mnie do bawialni. Tutaj Mr. Trabb na naszym najlepszym stole urządził coś w rodzaju żałobnego bazaru używając do swych czynności szpilek o czarnych łebkach. Właśnie kończył okręcać czyjś kapelusz w długi kawałek czarnej materii, całkiem jak gdyby owijał afrykańskie niemowlę. Kiedy mnie ujrzał, wyciągnął rękę po moje nakrycie głowy. Zrozumiałem jednak zrazu źle ten gest i wzięwszy go za przywitanie, uściśnąłem Trabbowi serdecznie dłoń.

Biedny, kochany Joe, wciśnięty w jakiś czarny, ciasny płaszczyk, związany pod brodą w wielką kokardę, siedział na uboczu posadzony na krzeselku zapewne przez Trabba w charakterze prowadzącego pochód żałobny.

Kiedy nachyliłem się do szwagra i przywitałem go:

- Drogi mój Joe, jakże się czujesz? - odparł:

- Pip, mój staruszk, tyś znał ją, jeszcze kiedy była piękna... - tu poklepał mnie po dłoni i nic już więcej nie powiedział.

Biddy, która wyglądała schludnie i skromnie w czarnej sukience, kręciła się cicho po pokoju i we wszystkim była pomocna. Przemówiłem do niej tylko kilka słów, bo uważałem, że nie czas na rozmowy, i usiadłem obok Joego. Zastanawiałem się, w jakiej stronie domu może być ona... moja siostra. Ponieważ w pokoju, pachniało świeżym ciastem, zacząłem rozglądać się za poczęstunkiem i gdy oczy moje przywykły do półMr.oku, zobaczyłem nakryty stół. Stał na nim pokrajany placek ze śliwkami, pomarańcze podzielone na ćwiartki, kanapki, herbatniki i dwie karafki, które znałem przez całe życie tylko jako ozdoby, a które teraz napełniono jedną porto, a drugą sherry. Kiedy tam podszedłem, zobaczyłem stojącego przy stole służalczego Pumblechooka w czarnym, surducie z wielu łokciami krepowej wstążki wokół kapelusza. Napychał się jedzeniem, a jednocześnie robił do mnie żałobne znaki porozumiewawcze. Po chwili był już przy mnie. Woniał sherry i ciastkami i pytał: „Czy wolno mi się ośmielić, szanowny panie? Wreszcie ośmielił się. Ujrzałem potem państwa Hubble siedzących w kącie, przy czym Mr. Hubble wyrażał postawą niemą rozpacz. Wszyscy mieliśmy „iść za trumną powiązani w idiotyczne pęczki przez Mr. Trabba.

- Co to chciałem powiedzieć, Pip - szepnął mi Joe, kiedy to, jak wyraził się Trabb, „pochód został uformowany, to jest ustawiono nas parami jak do jakiegoś makabrycznego

tańca - co to chciałem ci powiedzieć... że najchętniej sam z kilku najbliższymi towarzyszyłbym jej do kościoła i na cmentarz, ale cóż, sąsiedzi uważaliby, że to nie wypada i że to bez szacunku.

- Chusteczki wyjąć! Wszyscy! - wrzasnął Mr. Trabb w tej chwili zawodowym, żalobnym głosem. - Chusteczki wyjąć! Już!

Wyjęliśmy więc wszyscy chusteczki, przyłożyliśmy je do twarzy, jak gdyby krew leciała nam z nosów, i parami wyszliśmy z domu. Joe i ja, Bidy i Mr. Pumblechook, Mr. i Mr.s Hubble. Zwłoki mojej biednej siostry wyniesione zostały na dwór przez drzwi kuchenne, a ponieważ do ceremoniału należało, aby ludzie niosący ciało przyoblekli jakieś straszliwe pokrowce z czarnego aksamitu z białym brzegiem, więc całość wyglądała jak oślepy potwór o dwunastu nogach ludzkich, wlokący się pod kierownictwem dwu wartowników, poczytliona i jego towarzysza.

Sąsiedztwo jednak było zachwycone tą ceremonią i podziwiano nas ogromnie, kiedy przeciągaliśmy przez wieś. Najmłodszy i najenergiczniejszy obywatel gminy przebiegali nam od czasu do czasu drogę, by znaleźć się na dogodnych pozycjach, gdy będziemy przechodzili. W takich momentach najbardziej niespokojni krzyczeli podniesionymi głosami, gdy wynurzaliśmy się zza jakiegoś rogu: „Idą! Idą! Idą! i omal że nie wołali „niech żyją! W drodze najbardziej przeszkadzał mi nikczemny Pumblechook, który krocząc za mną nie przestał się mną delikatnie zajmować. Poprawiał mi co chwila krepę na kapeluszu lub układał starannie fałdy mego płaszcza na plecach. W myśli moje wprowadzali także zamęt państwo Hubble, którzy zbytnio już okazywali dumę z powodu przynależności do tak znakomitego pochodzenia.

A oto rozciągały się przed nami bagniska, a z nich wyrastały żagle łodzi płynących na rzece. Weszliśmy we wrota tego samego cmentarza, na którym spoczywali moi nieznani mi rodzice, Filip Pirrip, „nieboszczyk tej parafii” i Georgiana, „małżonka powyższego”. Tutaj to złożono w ziemi moją siostrę, podczas gdy skowronki śpiewały wysoko w górze, a lekki wietrzyk sprawiał, iż cienie obłoków i drzew przepływały przed naszymi oczyma.

O zachowaniu się światowo nastrojonego Pumblechooka powiem tylko tyle, że wszystkie jego gesty i aluzje skierowane były do mnie. Działo się tak nawet wówczas, gdy odczytywano owe znane wersety przypominające ludzkości, że nic nie przynosi ze sobą na ziemię i nic nie może zabrać opuszczając ją, i że przemija jak cień. Usłyszałem, jak chrząkał na boku szepcząc, że można by zrobić tu wyjątek dla pewnego młodego człowieka, któremu niespodziewanie przypadła w udziale wielka fortuna. Kiedy powracaliśmy do domu, miał czelność powiedzieć mi, że wyrządziłem siostrze honor będąc na jej pogrzebie i że z

pewnością gotowa byłaby zapłacić życiem za taki zaszczyt. W domu wypił do końca całe sherry, podczas gdy Mr. Hubble wysączył porto, po czym rozmawiali ze sobą tak, jak gdyby obaj należeli do całkiem innej rasy niż nieboszczka i byli nieśmiertelni (spozstrzegłem, że często ludzie tak właśnie rozmawiają przy podobnych okazjach). Wreszcie poszedł z państwem Hubble i jestem pewien, że przez cały wieczór opowiadał „Pod Wesołymi Przewoźnikami”, że to on jest moim pierwszym dobroczyńcą i że przyczynił się do mojej fortuny.

Kiedy wszyscy poszli i Trabb ze swymi ludźmi (ale bez swego chłopaka, którego na próżno szukałem) zapakowali swoje przybory do walizek i również się oddalili, w domu zapanowała zdrowa atmosfera. Wkrótce potem Joe, Biddy i ja zjedliśmy zimny obiad, ale nie w naszej starej kuchni, tylko w bawialni. Joe ogromnie starannie manipulował nożem i widelcem oraz używał solniczki, tak że poczuliśmy skrępowanie. Ale po obiedzie, gdy poradziłem mu wziąć fajkę i razem przeszedłszy się do kuźni usiedliśmy na wielkim kamieniu przed drzwiami, powróciła dawna swoboda. Spozstrzegłem, że po pogrzebie Joe przebrał się i włożył coś pośredniego pomiędzy swym niedzielnym strojem a roboczym ubraniem. W tej odzieży kochany przyjaciel wyglądał naturalnie i na tego, kim był naprawdę.

Moje pytanie, czy mogę przespać się w moim dawnym pokoiku, sprawiło mu wielką przyjemność. Mnie było równie przyjemnie, gdyż zdawało mi się, że wyświadczam mu wielką łaskę tą propozycją.

Kiedy nadszedł wieczór, znalazłem chwilkę, by wyjść z Biddy do ogrodu na pogawędkę.

- Biddy - powiedziałem - zdaje mi się, że to ty powinnaś była napisać do mnie o tych smutnych sprawach.

- Doprawdy, Mr. Pip? - odpowiedziała Biddy - z pewnością bym napisała, gdybym wiedziała, że należy to zrobić.

- Nie sądz, Biddy, że chcę ci dokuczyć, ale wydaje mi się, że twoim obowiązkiem było to wiedzieć.

- Doprawdy pan tak sądzi, Mr. Pip?

Odpowiadała z takim spokojem i było w niej coś tak uczciwego, dobrego i pięknego, że porzuciłem ten temat nie chcąc, by się znowu rozplakała.

Spojrzałem na nią, gdy tak szła obok mnie ze spuszczonej oczyma, i rzuciłem tylko:

- Myślę, że będzie ci teraz tu trudno pozostać, Biddy?

- O, nie mogę nawet tu zostać - odparła z prawdziwym żalem w głosie, ale tonem całkiem zdecydowanym. - Rozmówiłam się już z Mr.s Hubble i jutro się do niej

przeprowadzam. Myślę, że we dwoje będziemy mogli zaopiekować się z daleka Mr. Gargerym, dopóki się jakoś nie urządzi.

- Co będziesz robiła, Biddy? Jeżeli trzeba ci pie...

- Co będę robiła? - przerwała mi pośpiesznie Biddy z nagłym rumieńcem na policzkach. - Powiem panu, Mr. Pip. Będę się starała o posadę nauczycielki w nowej szkole wiejskiej, którą właśnie wykańczają. Polecą mnie na pewno wszyscy sąsiedzi. Mam nadzieję, że potrafię być pracowita i cierpliwa i że ucząc innych będę się sama kształciła.

- Wiem, Mr. Pip - ciągnęła dalej z uśmiechem, podnosząc na mnie spojrzenie - że terażniejsze szkoły są inne od dawnych, ale nauczyłam się wiele od pana w ciągu tych lat i zdaje mi się, że zrobiłam duże postępy.

- Mam wrażenie, że ty w każdej dziedzinie wciąż robisz postępy, Biddy - zauważyłem.

- Ach, chyba tylko w wadach - szepnęła Biddy.

Były to raczej myśli na głos wypowiedziane niż wyrzut, toteż nie podjąłem tych słów i szedłem u jej boku w milczeniu, spoglądając na jej spuszczone powieki.

- Nie znam szczegółów śmierci mojej siostry, Biddy - poprosiłem wreszcie.

- Niewiele jest do opowiadania. Biedactwo - oświadczyła dziewczyna - miała jeden ze swoich przykrych ataków. Chociaż ostatnio, zwłaszcza przez ostatnie cztery dni czuła się o wiele lepiej. Po południu, w porze podwieczorku zeszła na dół i wypowiedziała całkiem wyraźnie: „Joe”. Ponieważ nie zdarzało jej się od bardzo dawna, żeby mówiła, pobiegłam do kuźni, aby sprowadzić Mr. Gargeryego. Pokazywała mi gestami, że chce, aby usiadł blisko przy niej i abym ja założyła jej ramiona jemu na szyję. Zrobiłam to, a ona złożyła głowę na jego ramieniu i siedziała tak cicho, szczęśliwa. Powiedziała jeszcze raz „Joe, a potem „wybacz” i jeszcze później „Pip”. Więcej nie podniosła głowy, a w godzinę potem składaliśmy ją na łóżku. Już nie żyła. Biddy płakała, a mnie Mr.oczniejący ogród i ścieżka, i gwiazdy, które właśnie ukazywały się na niebie, zamazywały się przed oczyma.

- I nigdy nie doszłście prawdy?

- Nie.

- A czy wiesz, co się stało z Orlickiem?

- Po kolorze jego ubrania wnioskuję, że pracuje chyba w kamieniołomach.

- Ach, więc widzisz go od czasu do czasu? Czemu patrzysz na to ciemne drzewo tam na ścieżce?

- Widziałam go tam tego wieczoru, kiedy ona umarła.

- Czy widziałaś go wówczas po raz ostatni?

- Nie, był tu i dzisiaj, teraz podczas naszej przechadzki. Ale nie, nie masz dokąd biec...
- zawołała kładąc mi dłoń na ramieniu - i tak już go nie dogonisz. Wiesz, że ci mówię prawdę: był tu tylko przez chwilę i odszedł już dawno.

Jej słowa obudziły we mnie znowu oburzenie, że Orlick jeszcze nie przestał jej prześladować. Poczulem nienawiść i dałbym wiele za to, aby móc go na zawsze wypędzić z okolicy. Wyznałem to Biddy.

Stopniowo sprawiła, że zacząłem rozmawiać spokojnie. Opowiedziała mi, jak bardzo Joe mnie kocha i jak nigdy na nic się nie skarży. Nie mówiła, że nie skarży się na mnie, ale ja i tak wszystko wiedziałem. Wiedziałem, że Joe zawsze wypełnia swe obowiązki, że ma silną rękę, powściągliwy język i łagodne serce.

- Istotnie, Biddy - zgodziłem się - nie można o nim mówić zbyt dobrze. Musimy o nim często rozmawiać, Biddy, gdyż oczywiście będę tu często przyjeżdżał. Nie pozostawię Joego w samotności.

Biddy nie odparła ani jednym słowem.

- Biddy, czy mnie nie słyszysz?

- Słyszę, Mr. Pip.

- Pomijam już to, że nie powinnaś mówić do mnie „Mr. Pip”, to w złym guście, Biddy. Powiedz mi teraz, co o tym myślisz?

- Co ja myślę? - powtórzyła nieśmiało Biddy.

- Biddy - oznajmiłem tonem szlachetnym i stanowczym - muszę wiedzieć, jakie jest twoje zdanie?

- Moje zdanie? - powtórzyła.

- Nie powtarzaj jak echo - prosiłem - dawniej nie miałaś zwyczaju być echem.

- Nie miałam zwyczaju, Mr. Pip? Nie miałam zwyczaju?

Doszedłem do wniosku, że teraz niczego się nie dowiem, i przechadzaliśmy się dalej milcząco po ogrodzie. Kiedyśmy obesзли go wokoło, powróciłem do tego samego tematu.

- Biddy - odezwałem się - obiecałem, że będę często odwiedzał Joego, a ty przyjęłaś tę obietnicę wymownym milczeniem. Bądź tak dobra i powiedz mi, dlaczego?

- Czy naprawdę wierzysz, że będziesz go często odwiedzał? - spytała Biddy zatrzymując się na ścieżce ogrodowej i w blasku gwiazd patrząc na mnie jasnymi, uczciwymi oczyma.

- Och, mój Boże - zawołałem, jak gdybym się rozczarował co do Biddy. - Tu już naprawdę wyłazą twoje wady! Nie mów już, proszę, nic, Biddy. Zraniłaś mnie boleśnie!

Z tego właśnie powodu trzymałem Biddy z dala od siebie podczas kolacji, a idąc na spoczynek do mego dawnego pokoiku pożegnałem się z nią chłodno, mimo podszeptów sumienia, które przypominało mi dzisiejszy pogrzeb i wszystkie wypadki dnia. Za każdym razem, kiedy się budziłem tej nocy, a zdarzało się to niemal co kwadrans, rozmyślałem, jaką to krzywdę wyrządziła mi Biddy, jaka była dla mnie niemiła i niesprawiedliwa.

Miałem wyjechać wczesnym rankiem. Wstałem wcześniej i wyszedłem przed dom. Przez jedno z opatrzonych drewnianą okiennicą okien kuźni zajrzałem nie zauważony do wnętrza, by popatrzeć na Joego. Był już przy robocie; jego zdrowa twarz jaśniała siłą, jak gdyby słońce jego życia opromieniało ją blaskiem.

- Do widzenia, drogi Joe. Nie, nie wycieraj zasmolonej ręki, na miłość Boską, podaj mi ją taką czarną! Przyjadę wkrótce do ciebie i będę przyjeżdżał często!

- Nigdy nie może pan przyjechać za prędko, proszę pana - odparł Joe - i ani za często, Pip.

Biddy czekała na mnie przy drzwiach kuchennych z dzbankiem świeżego mleka i kromką chleba.

- Biddy - powiedziałem ściskając jej dłoń na pożegnanie -. nie gniewam się na ciebie, ale jestem dotknięty.

- Nie bądź dotknięty - prosiła patetycznie i gorąco - niech całe zmartwienie spada na mnie, jeżeli sprawiłam ci przykrość.

I raz jeszcze podniosły się w górę mgły, kiedy odchodziłem. Gdyby przesłaniały przede mną zapowiedź, że nigdy tu więcej nie powrócę i że Biddy miała słuszność, to muszę wyznać, że kryłyby prawdę.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Brnęliśmy z Herbertem coraz bardziej w długi, „porządkowaliśmy” nasze interesy, pozostawialiśmy coraz to nowe „marginesy i zawieraliśmy tym podobne transakcje a czas płynął mimo wszystko, jak to jest w jego zwyczaju, i nagle stałem się pełnoletni, zgodnie z przepowiednią Herberta nawet się nie spodziewając, kiedy to nastąpi.

Herbert doszedł do pełnoletności na osiem miesięcy przede mną, ale ponieważ była to jedyna rzecz, do której doszedł, więc zdarzenie owo nie przyniosło żadnej sensacji w „Gospodzie Barnarda”. Do mojej pełnoletności jednak przywiązywaliśmy większą wagę, gdyż sądziliśmy, że mój opiekun w tym dniu uroczystym z pewnością wyjawy mi coś ostatecznego.

Postarałem się, by w Małej Brytanii dowiedziano się dość wcześnie o dacie mych urodzin i otrzymałem od Wemmicka, liścik, w którym donosił, że Mr. Jagers będzie rad zobaczyć mnie w owym doniosłym dniu u siebie o godzinie piątej po południu. To upewniło nas jeszcze bardziej w naszych przewidywaniach, i sprawiło, że w stanie niezwykłego podniecenia zjawiłem się punktualnie w kancelarii mego opiekuna. W pierwszym pokoju biura Wemmick złożył mi życzenia pocierając przy tym nos złożonym kawałkiem bibuły, który miał obiecujący wygląd. O nic jednak nie spytałem i wszedłem do gabinetu opiekuna.

Był listopad i Mr. Jagers grzał plecy przy kominku, obie ręce założywszy pod poły surduta.

- Więc, Pip - oświadczył - trzeba cię od dzisiaj nazywać Mr. Pip. Winszuję, Mr. Pip.

Podaliśmy sobie ręce - ścisnął dłoń zwykle ogromnie krótko - a ja mu podziękowałem.

- Weź sobie krzesło, Pip - powiedział opiekun.

Kiedym usiadł, on dalej stał i patrzył sobie na buty. Czułem się nieswojo, prawie jak wówczas, gdy posadzono mnie na nagrobku. Dwie upiorne płaskorzeźby na półce miały taki wyraz twarzy, jak gdyby podejmowały apoplektyczny, bezsensowny wysiłek, aby śledzić naszą rozmowę.

- A teraz, mój młody przyjacielu - oznajmił Mr. Jagers takim tonem, jak gdyby przesłuchiwał świadka - mam ci kilka słów do zakomunikowania.

- Proszę pana bardzo.

- Jak ci się wydaje - zaczął opiekun pochylając się naprzód bardzo nisko i patrząc w podłogę, by za chwilę przechylić się w tył i spoglądać w sufit - jak ci się wydaje, z jakiej pensji żyjesz?

- Z jakiej pensji, proszę pana?

- Z jakiej - powtórzył Mr. Jaggery patrząc w sufit - pensji żyjesz?

Tu rozejrzał się po pokoju i urwał niosąc do nosa chusteczkę i zatrzymując dłoń w połowie drogi.

Tylokrotnie usiłowałem porządkować moje interesy, że wszystko mi się pomieszało i doprawdy nie miałem pojęcia, ile wydaję miesięcznie. Wyznałem szczerze, że nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

Zdawało się, że odpowiedź ta sprawiła przyjemność Mr. Jaggery, który Mr. uknął:

- Domyślałem się tego - i wytarł sobie nos z prawdziwą satysfakcją. - Zadałem ci pytanie, przyjacielu - dodał potem - czy nie masz teraz pytania dla mnie?

- Oczywiście, pragnąłbym zadać panu wiele pytań, przyniosłoby mi to wielką ulgę, proszę pana. Ale pamiętam pańskie zastrzeżenia.

- Zadaj jedno pytanie - zachęcił mnie Mr. Jaggery.

- Czy dzisiaj dowiem się, kim jest mój dobroczyńca?

- Nie. Spytaj o co innego.

- Czy wkrótce już ta tajemnica będzie mi odsłonięta?

- Tymczasem daj temu spokój i pytaj jeszcze o co innego - powiedział mój opiekun.

Rozejrzałem się niespokojnie, ale niesposób było uniknąć pytania. Spytałem więc:

- Czy mam dzisiaj coś otrzymać? Wtedy Mr. Jaggery zawołał z triumfem:

- Wiedziałem, że do tego dojdzie! - i zawołał Wemmicka, by mi wręczył papier.

Wemmick zjawił się znowu, podał papier i wyszedł.

- A teraz, Mr. Pip - oświadczył opiekun - proszę słuchać. Czerpał pan dość swobodnie pieniądze od nas, w księgach Wemmicka figuruje dużo pozycji, a mimo to jest pan w długach. Czy tak?

- Obawiam się, że muszę powiedzieć „tak, proszę pana.

- Pan wie, że musi powiedzieć „tak - odparł Mr. Jaggery.

- Tak, proszę pana.

- Nie pytam o wysokość długów, bo pan jej nie zna. A gdyby pan nawet znał dokładną sumę, i tak by jej pan mi nie ujawnił; musiałby pan podać mniej... Tak, tak! - krzyczał Jaggery machając mi przed nosem wskazującym palcem - nawet jeżeli pan teraz sądzi, że pan zdradziłby mi całą sumę, nie zrobiłby pan tego. Wybacz pan, ale to wiem lepiej od pana. A teraz, niech pan weźmie do ręki ten papier. Ma go już pan? Doskonale. Proszę go rozwinąć i powiedzieć mi, co to jest.

- To jest banknot - odparłem - pięćsetfuntowy.

- To jest banknot - powtórzył Mr. Jagers - pięćsetfuntowy. Wcale niebrzydka sumka.

Nie sądzi pan?

- Jakże mógłbym inaczej sądzić?

- Ale proszę mi odpowiedzieć wprost na pytanie - nalegał opiekun.

- Oczywiście - dałem odpowiedź.

- Więc oczywiście uważa to pan za ładną sumkę pieniędzy. Ta ładna sumka jest od teraz pańską własnością, Pip. To w dniu dzisiejszym prezent jako zaliczka na pańskie wielkie nadzieje. I za taką sumę rocznego dochodu ma pan żyć nie wydając ani grosza więcej, dopóki nie zjawi się pański dobroczyńca. Będziesz teraz samodzielnie zarządzał pańskim kapitałem. Otrzyma pan co kwartał od Wemmicka sto dwadzieścia pięć funtów aż do chwili, gdy zetknie się pan z samym źródłem swych dochodów, a nie z jego agentem. Bo wspomniałem już panu na początku, że jestem tylko agentem. Wypełniam moje obowiązki i jestem za to opłacany. Nie płacą mi, bym wyrażał swoją na ten temat opinię.

Zacząłem dziękować gorąco Mr. Jagersowi i zapewniać o mojej wdzięczności względem mego dobroczyńcy za jego hojność, kiedy opiekun przerwał mi:

- Upprzedzam pana, Pip, że nie płacą mi za to, abym powtarzał pańskie słowa komukolwiek - powiedział chłodno. I zgarnąwszy poły surduta takim gestem, jak gdyby zagarniał jednocześnie resztki naszej rozmowy, popatrzył z góry na swe buciki z wyrazem twarzy, który wskazywał, że na serio podejrzewa je o jakiś przeciwko niemu spisek.

Po chwili odezwałem się:

- Chciałem panu przedtem zadać pytanie, Mr. Jagers, pan polecił mi poczekać. Sądzę, że nie będzie w tym nic złego, gdy zadam je teraz powtórnie.

- Jakie to pytanie? - spytał Mr. Jagers.

Powinienem się był spodziewać, że opiekun nie będzie mi ułatwiał pytania, ale mimo to konieczność powtarzania raz jeszcze w innej formie tej samej wątpliwości wprawiała mnie w zakłopotanie.

- Czy to możliwe... - zacząłem z wahaniem - aby mój dobroczyńca, owo źródło dochodów, jak pan się wyraził, zechciał wkrótce...

Tu urwałem przez delikatność.

- Zechciał wkrótce co? - nastawał Jagers - dotychczas nie zadał mi pan żadnego pytania.

- Zechciał przybyć do Londynu - powiedziałem, nie znajdując innej formy - albo też zechciał sprowadzić mnie do siebie?

- Wobec tego, co pan mówi - odparł Jagers, po raz pierwszy patrząc mi prosto w twarz czarnymi, głęboko osadzonymi oczyma - zmuszony jestem powrócić do naszej pierwszej rozmowy, jaką mieliśmy w pańskim rodzinnym miasteczku. Pamięta pan? Cóż panu wtedy powiedziałem, Pip?

- Powiedział pan, Mr. Jagers, że lata mogą upłynąć do chwili, kiedy się ta osoba ukáže.

- Tak właśnie powiedziałem - potwierdził Jagers - i to jest moja odpowiedź.

Kiedy teraz spojrzeliśmy sobie w oczy, poczułem, że serce biło mi mocno z żarliwej chęci wydobycia z niego czegoś więcej w tej sprawie. Ale jednocześnie spostrzegłem, że Mr. Jagers rozumie moje uczucia i że dlatego mam mniejsze szansę dowiedzenia się czegoś niż kiedykolwiek.

- Czy sądzi pan, że doprawdy miną jeszcze lata, zanim to się stanie? - badałem.

Ale Mr. Jagers wykonał ruch głowy, który nie oznaczał ani przeczenia, ani potakiwania, tylko raczej oświadczenie, że nic mu nie wolno powiedzieć, a dwie ohydne płaskorzeźby na ścianie wyglądały, kiedym na nie spojrział, tak jak gdyby znudziło im się to milczące przysłuchiwanie się rozmowie i miały ochotę kichnąć.

- Niech pan posłucha - oświadczył mój opiekun pocierając dla rozgrzewki swe łydki rozgrzanyymi przy kominku dłońmi - będę z panem szczery, Pip. Nie wolno panu zadawać tego pytania. Może pan zrozumie to lepiej, kiedy powiem panu, że to może mnie skompromitować. Ale powiem panu jeszcze więcej.

Pochylił się tak nisko ku swym bucikom, że zdołał rozetrzeć sobie łydki podczas pauzy, którą zrobił w rozmowie. Wreszcie wyjaśnił:

- Z chwilą, kiedy ta osoba ukáže się panu samemu, będzie załatwiała osobiście wszystkie sprawy. I wtedy moja rola skończy się natychmiast. To wszystko, co mogę powiedzieć.

Spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy, po czym odwróciłem wzrok i utkwilem go w podłódze. Z tego, co usłyszałem przed chwilą, wywnioskowałem, że miss Havisham z tych lub innych względów nie wtajemniczyła Mr. Jagersa w swe plany dotyczące się połączenia mnie i Estelli. Może uważała, że będzie zazdrosny, może zdawało jej się, że nie sprzyjając tym planom nie zechce im pomagać. Kiedym podniósł oczy, przekonałem się, że mój opiekun wciąż jeszcze patrzy na mnie badawczo.

- Jeżeli to już wszystko, co miał pan do powiedzenia - zauważyłem - nie pozostaje mi nic więcej jak pana pożegnać.

Skinął twierdząco głową, wyciągnął zegarek stanowiący pokusę dla złodziei i spytał, gdzie będą jadał obiad. Odparłem, że z Herbertem w domu, i dodałem, że bardzo będziemy zaszczyceni, jeżeli dotrzyma nam towarzystwa. Zgodził się natychmiast, ale zastrzegł się, że pójdzie razem ze mną, abym nie robił specjalnych przygotowań, i prosił, bym zaczekał, bo musi jeszcze napisać parę listów i (oczywiście) umyć ręce. Powiedziałem, że zaczekam na niego w pokoju Wemmicka. Chciałem porozmawiać z sekretarzem opiekuna, gdyż od chwili kiedy poczułem w kieszeni banknot pięćsetfuntowy, powziąłem pewną myśl, a Wemmick wydał mi się odpowiednim człowiekiem do zasięgnięcia u niego rady.

Właśnie zamykał kasę i wybierał się do domu. Wstał od biurka, ustawił na stoliku przy drzwiach dwie kapiące woskiem już dopalające się świece, ułożył przy nich szczypce do objaśniania, przytłumił ogień w kominku, przygotował kapelusz i płaszcz a teraz uderzał kluczem od kasy we własną pierś, traktując to widocznie jako ćwiczenie gimnastyczne po pracy.

- Mr Wemmick - powiedziałem wchodząc - chciałbym się pana o coś poradzić. Pragnę pomóc przyjacielowi.

Wemmick ściągnął swój otwór skrzynki do listów i pokiwał głową, jak gdyby chciał wyrazić bezsilność wobec tak fatalnej słabości.

- Ten przyjaciel - mówiłem dalej - pragnie rozpocząć na własną rękę interesy handlowe, ale nie ma pieniędzy i uważa wobec tego, że początek jest trudny i zniechęcający... Chciałbym mu więc ułatwić ten początek.

- Przy pomocy swoich pieniędzy? - spytał Wemmick tonem suchszym niż trociny.

- Przy pomocy części moich pieniędzy - sprostowałem, gdyż w wyobraźni ujrzałem zgrabną paczkę nieuregulowanych rachunków - przy pomocy części mojej gotówki i może zaliczki na moje wielkie nadzieje.

- Mr Pip - odpowiedział Wemmick - chciałbym razem z panem wyliczyć na palcach, jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu, nazwy różnych mostów na Tamizie od Chelsea: Most Londyński to raz, Southwark, dwa, Blackfriars, trzy, Waterloo, cztery, Westminster, pięć, Vauxhall, sześć.

Przy wymienianiu każdego mostu uderzał się na płask kluczem od kasy w dłoń.

- Widzi pan, jest aż sześć mostów. Ma pan w czym wybierać.

- Nie rozumiem pana - odparłem.

- Niech pan wybierze sobie jeden z mostów, Mr. Pip. Niech pan się po nim przejdzie i zrzuci z niego do Tamizy swoje pieniądze, najlepiej doszedłszy do środkowego przęsła. Wtedy będzie pan wiedział przynajmniej, że stracił pan pieniądze. Kiedy da je pan

przyjacielowi, będzie pan wiedział to samo, ale w sposób znacznie kłopotliwszy i mniej przyjemny.

Powiedziawszy to, tak szeroko otworzył swój otwór skrzynki pocztowej, że mógłbym tam wrzucić całą gazetę.

- To bardzo zniechęcające - zauważyłem.

- Właśnie chciałem pana zniechęcić - podkreślił Wemmick.

- Więc pan jest zdania - oburzyłem się - że człowiek nie powinien nigdy...

- Inwestować swej gotówki na rachunek przyjaciela? - dokończył Wemmick. - Oczywiście, że nie. Chyba, że pragnie się pozbyć tego przyjaciela i że strata pieniędzy wobec tego mu się opłaca.

- I taki jest pana ostateczny pogląd na tę sprawę, Mr. Wemmick?

- Tak, taki jest mój pogląd w tym oto biurze - odpowiedział.

- Ach - zawołałem nacierając na niego, gdyż czułem, że nie mówi ze mną szczerze - a czy tego samego zdania jest pan u siebie w Walworth?

- Mr Pip - oświadczył uroczyście. - Co innego Walworth, a co innego biuro. Podobnie jak co innego staruszek, a co innego Mr. Jagers. Nie wolno ich ze sobą mylić. Moje uczucia w Walworth należą do Walworth, a oficjalnie moje uczucia i poglądy należą do biura.

- Doskonale - powiedziałem - więc przyjadę odwiedzić pana do Walworth, może pan być pewien.

- Mr Pip, będzie pan tam miłym gościem w charakterze prywatnego znajomego.

Prowadziliśmy tę rozmowę cichym głosem, gdyż obaj wiedzieliśmy, że Mr. Jagers ma najostrzejszy słuch w świecie. Kiedy zjawił się w drzwiach, ocierając dłonie ręcznikiem, Wemmick miał już na sobie płaszcz i zdmuchiwał świece. Wyszliśmy wszyscy troje razem, a na ulicy Mr. Wemmick poszedł w jedną stronę, a my w drugą.

Tego wieczora nie po raz pierwszy żałowałem, że Mr. Jagers nie posiada w domu swym na Gerard Street żadnego staruszka, armaty czy czegokolwiek lub kogokolwiek, kto by rozchmurzył mu czoło.

Przykro mi było w dniu, kiedy kończyłem dwadzieścia jeden lat pomyśleć, że nie warto dochodzić do pełnoletności w świecie tak pełnym podejrzeń i nieufności, jak świat Mr. Jagersa. Mój opiekun był przecież tysiąc razy inteligentniejszy i bardziej wykształcony od Wemmicka, a wolałbym stokroć, aby to Wemmick jadł tego dnia z nami obiad. Mr Jagers nie mnie jednego nabawił w ów wieczór melancholii, gdyż po jego odejściu Herbert z oczyma utkwionymi w płomienie kominka oznajmił, że czuje się tak przygnębiony i pełen winy, jak gdyby popełnił zbrodnię, której okoliczności zapomniał.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Uważając niedzielę za najodpowiedniejszy dzień do poznania uczuć Mr. Wemmicka w Walworth, poświęciłem najbliższe niedzielne popołudnie na pielgrzymkę do Zameczku.

Przybywszy do fortyfikacji ujrzałem, że na dachu powiewa sztandar brytyjski, a most zwodzony jest podniesiony. Niezrażony tymi oznakami gotowości do boju i obrony, zadzwoniłem do bramy i zostałem przyjęty w najbardziej pokojowy sposób przez staruszka.

- Syn mój, proszę pana - powiedział sędziwy człowiek spuściwszy most - przeczuwał, że pan może dzisiaj wpaść do niego, i prosił mnie, abym pana zatrzymał, gdyż wkrótce powróci z przechadzki. Mój syn zawsze punktualnie powraca z przechadzki. W ogóle jest bardzo punktualny we wszystkim.

Pokiwałem głową staremu panu niegorzej, niż zrobiłby to sam Wemmick, i wszedłszy za nim do domu usiadłem przy kominku.

- Zapoznał się pan z moim synem - odezwał się staruszek skrzeczącym głosem, grzejąc dłonie przy płomieniu kominka - zdaje się u niego w biurze?

Skinąłem głową.

- Słyszałem, że mój syn jest świetnym specjalistą w swoim fachu. Mówiono mi o tym.
- Pokiwałem energicznie głową. - Zajmuje się prawem? Czy tak? - Kiwałem mocno. - I to właśnie jest najbardziej zdumiewające w moim synu - ciągnął starzec - gdyż nie kształcił się bynajmniej na prawnika, ale na bednarza, specjalistę od beczek do wina.

Ciekawy, co też staruszek sądzi o Mr. Jaggersie, ryknąłem mu to nazwisko do ucha, ale byłem niezmiernie zdumiony, gdy roześmiał się serdecznie i powtarzał kilkakrotnie:

- Tak całkiem słusznie. Ma pan rację. To świetne.

Po dziś dzień nie mam pojęcia, co zrozumiał i jaki dowcip mi przypisał. Ponieważ nie mogłem tak siedzieć zajęty tylko kiwaniem głową aż do nieskończoności, wrzasnąłem mu w ucho pytanie, czy i on z zawodu jest specjalistą od beczek do wina. Powtórzywszy ten okrzyk kilkakrotnie i stukając przy tym palcem w pierś starca, by połączyć pytanie z jego osobą, zdołałem sprawić, że zrozumiał.

- Nie - odpowiedział - pracowałem w magazynie. Najpierw tam... - tu wskazał w górę, jak gdyby miał na myśli komin, ale ja pojąłem, że chodzi o Liverpool - a potem tutaj w City londyńskim. Jednak ze względu na moje kalectwo... bo wie pan, ja nie dosłyszę...

Gestem wyraziłem najwyższe zdumienie.

- Tak, proszę pana, nie dosłyszę doprawdy... Więc ze względu na moje kalectwo, kiedy syn zajął się prawem, zaopiekował mną i stopniowo pomalutku dorobił się tak pięknej i wytwornej posiadłości. Ale wracając do tego, co pan mówił... - i tu wybuchnął znowu serdecznym śmiechem - to oczywiście, ma pan słuszność.

Właśnie zastanawiałem się skromnie, czy jakikolwiek wymyślony przeze mnie dowcip mógł choć w połowie tak go rozśmieszyć, jak owa wymaginowana przez niego anegdota, kiedy mocny trzask w ścianie koło kominka sprawił, że drgnąłem przestraszony. Natychmiast potem ze ściany spadła w niesamowity sposób mała tabliczka drewniana z napisem „John”.

- Mój syn powrócił! - zawołał radośnie starzec i pobiegliśmy razem, by spuścić zwodzony most.

Warto było zapłacić, aby zobaczyć, w jaki sposób Wemmick kiwał do mnie na przywitanie ręką z drugiej strony fosy, kiedy z największą łatwością mogliśmy ucisnąć sobie dłonie ponad rowem. Staruszek był tak zachwycony, że sam podnosi most, iż nie ofiarowałem mu mojej pomocy, ale stałem spokojnie obok niego patrząc, jak Wemmick przechodzi przez kładkę w towarzystwie miss Skiffins, której natychmiast mnie przedstawił.

Miss Skiffins miała wygląd drewniany i podobnie jak jej towarzysz zdawała się należeć do grona skrzynek do listów. Mogła być o dwa lub trzy lata młodsza od Mr. Wemmicka i przysiągłbym, że jest właścicielką niezłego majątku. Krój jej sukni od talii w górę, zarówno z przodu jak z tyłu, czynił ją podobną do latawca i skłonny byłem przypuszczać, że pomarańczowa barwa jej sukni, podobnie jak zielony kolor jej rękawiczek były nieco zbyt jaskrawe. Ale robiła wrażenie poczciwej osoby i okazywała wiele względów staruszkowi. Szybko zorientowałem się, że musi ona być bardzo częstym gościem w Zameczku, gdyż na mój wyrażony Wemmickowi komplement na temat pomysłowego anonsowania swego przybycia przy pomocy tabliczki koło kominka, Wemmick powiedział tajemniczo, abym teraz popatrzył na ścianę po drugiej stronie kominka, i zniknął. Usłyszałem wówczas podobny do tamtego trzask i wyskoczyła tabliczka z napisem „Miss Skiffins”. Potem ta tabliczka zniknęła, a zjawiała się znowu pierwsza z napisem „John”. Następnie John się zamknął, a miss Skiffins otworzyła, później zjawili się jednocześnie oboje, John i miss Skiffins, wreszcie obie tabliczki ze stukiem zniknęły ze ściany. Gdy Wemmick powrócił od pomysłowego mechanizmu, wyraziłem mu podziw, na co odparł:

- Widzi pan, to bardzo miłe i przydaje się staruszkowi. Warto także podkreślić, proszę pana, że tajemnicę tę znają tylko trzy osoby: staruszek, miss Skiffins i ja.

- A Mr. Wemmick zrobił go własnoręcznie i według własnego pomysłu - dodała miss Skiffins.

Podczas gdy miss Skiffins zdejmowała czepeczek (zielone rękawiczki zachowała przez cały wieczór na rękach, chcąc w ten sposób zaznaczyć, że jest na wizycie), Wemmick zaprosił mnie do obejścia posiadłości dla przekonania się, jak wyspa wygląda zimą. Przypuszczając, że zabiera mnie, aby móc w ten sposób zdradzić przede mną swe tutejsze uczucia, skorzystałem z okazji, aby zaraz za Zameczkiem rozpocząć z nim na ten temat rozmowę.

Namyśliwszy się dobrze przedtem, zacząłem mówić o sprawie Herberta tak, jak gdybym dotychczas wcale jej nie poruszał. Wyznałem, że jestem niespokojny o los Herberta Pocketa, i powiedziałem, jak się niegdyś poznaliśmy i jakieśmy ze sobą walczyli. Napomknąłem o domu rodzinnym Herberta, o jego charakterze, o braku pieniędzy i o zależności od ojca, człowieka w tych sprawach niepunktualnego i niepewnego. Wyliczyłem korzyści, jakie czerpałem od niego w pierwszym okresie mego pobytu w Londynie, kiedy byłem jeszcze nieokrzesany i nieobyty, i wyraziłem obawę, że źle mu się przysłużyłem i że powodziłoby mu się znacznie lepiej, gdyby nie moje wielkie nadzieje. Nie wspominając nazwiska miss Havisham ujawniłem, że obawiam się, iż stanąłem mu na drodze w jego projektach na przyszłość, i dodałem, że jest to chłopiec całkowicie pozbawiony zawiści, mściwości czy jakichkolwiek złych intencji. Z tych to wszystkich powodów (tłumaczyłem Wemmickowi) oraz z racji, że był moim towarzyszem i przyjacielem i że kocham go naprawdę, pragnąlbym, aby odblask mojej fortuny padł i na niego, i dlatego to zwracam się po radę do doświadczonego Wemmicka. Niech mi powie, w jaki sposób on, człowiek interesu, radzi mi, abym wypłacał Herbertowi pewną sumkę, na przykład sto funtów rocznie, zapewniając mu beztroski humor, oraz jak mam postąpić, by kupić mu udział w jakimś interesie. Prosiłem Wemmicka, aby zrozumiał, że cała ta pomoc musi być urządzona bez wiedzy Herberta, a nawet tak, aby nic nie podejrzewał, i dodałem, że nie mam nikogo na świecie, kto by mi w tej sprawie mógł poradzić.

Na zakończenie położyłem dłoń na ramieniu Wemmicka i oświadczyłem:

- Musiałem się z tym zwierzyć, chociaż wiem, że sprawiam panu kłopot, ale to i pańska wina, bo sam mnie pan tu zaprosił.

Wemmick milczał przez chwilę, a potem wybuchnął:

- Czy pan wie, Mr. Pip, że to bardzo pięknie z pana strony?

- Więc niech pan obieca, że mi w tym pomoże - nalegałem.

- Kiedy - odparł Wemmick kręcąc głową - to nie jest moja specjalność.

- Toteż nie znajdujemy się w miejscu, gdzie uprawia pan swoją specjalność.

- Ma pan słuszność - zgodził się - tu pan utrafił w sedno, Mr. Pip. Namyśle się nad pańską sprawą. Powoli to się da zrobić. Skiffins (jej brat) jest agentem handlowym. Zobaczę się z nim i poproszę, by dla pana popracował.

- Dziękuję panu tysiąckrotnie.

- Przeciwnie, to ja panu dziękuję - odparł - bo chociaż tutaj jesteśmy na gruncie całkiem prywatnym i osobistym, to jednak wlokły się jeszcze za mną pajęczyny z Newgate, a pan je w tej chwili wymiółł gruntownie.

Po krótkiej dalszej pogawędce na ten sam temat powróciliśmy do Zameczku, gdzie zastaliśmy miss Skiffins przygotowującą do podwieczorku. Odpowiedzialna funkcja przypiekania grzanek powierzona została staruszkowi, który czynił to z takim przejęciem, że omal nie wypalił sobie oczu. Zapowiadał się nie posiłek nominalny, lecz bujna rzeczywistość.

Staruszka nie widać wprost było zza stosu posmarowanych masłem grzanek skwierczących na metalowej tacy, którą zawieszono na haczyku przed kominkiem, a miss Skiffins nagotowała tyle herbaty, że nawet świnia na tyłach posiadłości wpadła w podniecenie i wyrażała chęć brania udziału w poczęstunku.

Wciągnięto sztandar na maszt i wystrzelono o oznaczonej godzinie z armaty.

Ogarnęło mnie takie uczucie, jak gdybym był odcięty od reszty Walworth fosą głęboką i szeroką na trzydzieści stóp.

Nic nie mąciło teraz ciszy prócz regularnie powtarzającego się stuku, ilekroć otwierały się okienka z tabliczką Wemmicka lub miss Skiffins (cierpiały na kurczowe drgawki), powoli przyzwyczailem się i do tego dźwięku. Z metodycznych przygotowań miss Skiffins wywnioskowałem, że co niedziela przyrządza ona tutaj podwieczorki, i podejrzewałem, że klasyczna broszka, jaką miała na sobie, przedstawiająca profil niesympatycznej kobiety o bardzo prostym nosie, ozdobiony sierpem księżycy w nowiu, stanowi dar Wemmicka.

Zjedliśmy wszystkie grzanki i wypiliśmy odpowiednią ilość herbaty, po czym poczuliśmy wszyscy, że jest nam gorąco i że jesteśmy zatłuszczeni. Zwłaszcza staruszek mógł uchodzić śmiało za świeżo naoliwionego wodza jakiegoś dzikiego plemienia. Miss Skiffins w nieobecności małej służącej, która zapewne spędzała popołudnie niedzielne na łonie rodziny, zmyła filiżanki po herbacie w tak amatorsko pański sposób, że nie skompromitowała tym nikogo z nas. Potem włożyła znowu rękawiczki i zasiedliśmy wokół kominka. Wemmick poprosił:

- A teraz, Wiekowy Ojczulku, przeczytaj nam gazetę. Wy tłumaczył mi, podczas gdy sędziwy pan szukał okularów, że to należy do zwyczaju i że staruszek jest nieskończenie dumny, gdy czyta na głos wiadomości.

- Bardzo przepraszam, ale on ma tak niewiele przyjemności. Prawda, mój Wiekowy O...?

- Wszystko dobrze, wszystko dobrze, John - powiedział staruszek widząc, że do niego się zwracamy.

- Po każdej wiadomości, gdy spojrzy na nas, niech pan mu kiwnie głową, a będzie u szczytu szczęścia... No, słuchamy, staruszku.

- Dobrze John, dobrze - odparł wesoły staruszek, taki zaaferowany i taki zadowolony, że aż przyjemnie było na niego patrzeć.

Sposób czytania staruszka przypominał mi żywo lekcje u ciotecznej babki Mr. Wopsle'a z tą jedynie różnicą, że głos jego dźwięczał tak, jak gdyby wydostawał się z dziurki od klucza. Starzec wymagał przy tym, aby postawić mu zapaloną świecę tuż koło gazety, więc w obawie, by nie spalił jej albo nie opalił sobie brwi, musieliśmy go pilnować niczym prochowni. Wemmick okazywał jednak przy tym tyle delikatności i pieczołowitości, że staruszek czytał nie podejrzewając nawet, jak jest przez nas chroniony. Za każdym też razem, gdy podnosił głowę znad gazety, wyrażaliśmy mu najwyższe zainteresowanie i zdumienie i nie przestawaliśmy kiwać głową, dopóki nie zaczął dalej czytać.

Siedząc w Mr.oczny kąciku naprzeciw umieszczonych koło siebie Wemmicka i miss Skiffins, miałem sposobność przyglądać się ustom Mr. Wemmicka: wydłużały się, w miarę jak ramię jego powoli i systematycznie obejmowało stan miss Skiffins. W pewnej chwili ujrzałem dłoń jego z drugiej strony talii owej damy, ale w tejże chwili miss Skiffins ujęła ramię Mr. Wemmicka ręką odzianą w zieloną rękawiczkę, odwinęła je niczym część swej garderoby i z największą powagą położyła przed sobą na stole. Spokój, z jakim to uczyniła, był jednym z najbardziej interesujących widoków, jakie zdarzyło mi się oglądać, i gdyby gest ten nie wymagał przytomności umysłu, skłonny byłbym przypuszczać, że powstał mechanicznie. Wkrótce potem ramię Mr. Wemmicka znowu zaczęło znikać, a usta jego w miarę tego coraz bardziej się rozciągać. Po krótkiej i bolesnej dla mnie chwili wyczekiwania ręka jego pojawiła się znowu z drugiej strony talii miss Skiffins. Dama zatrzymała ją z precyzją łagodnego boksera i niczym rękawicę lub pasek odłożyła przed siebie na stół. Jeżeli stół ten nazwiemy drogą cnoty, to śmiało można powiedzieć, że w czasie czytania staruszka ramię Wemmicka nieustannie raz po raz zbaczało z drogi cnoty i było z powrotem na nią kierowane przez miss Skiffins.

Wreszcie staruszek z czytania przeszedł w drzemkę, a Wemmick skorzystał z tej chwili, by wydobyć niewielki rondel, tacę ze szklankami i czarną butelkę, ozdobioną porcelanowym korkiem w kształcie jakiegoś dostojnika kościoła o przyjemnej, rumianej twarzy. Przy pomocy tych przedmiotów udało mu się przyrządzić napój na rozgrzewkę dla nas wszystkich, nie wyłączając staruszka, który tymczasem się przebudził. Miss Skiffins mieszła trunki i spostrzegłem, że pili z Wemmickiem z jednej szklanki. Oczywiście, miałem na tyle taktu, że nie ofiarowałem się odprowadzić miss Skiffins do domu, i pożegnałem się pierwszy, dziękując staruszkowi za mile spędzone popołudnie.

Przed upływem tygodnia otrzymałem od Wemmicka liścik wysłany z Walworth: donosił, że w sprawie naszej, którą uważa za czysto prywatnej natury, udało mu się porobić już pewne kroki i że prosi, bym go odwiedził w celu porozumienia się u niego w domu. Poszedłem więc do Zameczku raz jeszcze i jeszcze raz, i jeszcze wiele razy. Spotykaliśmy się też w tych sprawach w City, ale nigdy nie mówiliśmy ani słowa na ten temat w okolicy Małej Brytanii. Znaleźliśmy wreszcie po wielu staraniach młodego kupca, maklera okrętowego, któremu potrzebny był inteligentny pomocnik z własnym kapitałem, kandydat na przyszłego wspólnika. Nastąpiło podpisanie przeze mnie zobowiązania w imieniu Herberta, po czym wpłaciłem połowę mych pięciuset funtów zobowiązawszy się do dalszych wpłat. Niektóre raty miałem uiścić w oznaczonych datach z moich obecnych dochodów, inne dopiero wtedy, kiedy wejdę w posiadanie majątku. Pertraktacje prowadził brat miss Skiffins, Wemmick śledził całą sprawę, ale nigdy nie zjawiał się osobiście na spotkania z nim.

Cała sprawa przygotowywana była tak dyskretnie, że Herbert ani na chwilę nie podejrzewał mojego w niej udziału. Nigdy nie zapomnę jego promieniejącej twarzy, z jaką oznajmił mi pewnego wieczoru, powróciwszy do domu, że zapoznał się z pewnym człowiekiem nazwiskiem Clarriker, który powziął do niego taką sympatię, że, zdaje się, otworzy przed nim nowe perspektywy życiowe.

A potem dzień po dniu, kiedy nadzieje Herberta zaczęły się urzeczywistniać i kiedy coraz to bardziej jaśniał radością, musiał poznawać we mnie coraz bardziej oddanego przyjaciela, gdyż z trudem na widok jego szczęścia powstrzymywałem łzy triumfu. Wreszcie kiedy nadszedł dzień wstąpienia Herberta do firmy Clarriker i kiedy przez cały wieczór zwierzał mi się ze swojej radości, rozpląkałem się serdecznie przed snem na myśl, że oto moje wielkie nadzieje po raz pierwszy komuś uczyniły coś dobrego.

Zbliżam się teraz do zwrotnego momentu w moim życiu. Ale zanim o nim opowiem, zanim nakreślę wszystkie zmiany, jakie mnie spotkały, poświęcę jeden następny rozdział Estelli. Nie będzie to chyba zbyt wiele jak na temat, który od tak dawna przepelnia mi serce.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Jeżeli w starym domu w Richmond nieopodal Green miałoby po mojej śmierci kiedy „straszyć, to z pewnością pojawiłby się tam mój duch. Bo ileż to razy, w czasie kiedy Estella mieszkała w tym domu, byłem obecny tam duchem, w każdej chwili dnia i nocy! Ciało moje mogło się znajdować w całkiem innych miejscach, ale duch mój błdził, błdził i błdził wokół tego właśnie domu.

Pani, u której Estella mieszkała, była wdową. Nazywała się Mr.s Brandley i miała córkę o kilka lat starszą od Estelli. Matka wyglądała młodo, a córka staro, matka miała cerę różową, a córka żółtą, matka odznaczała się skłonnościami do frywolnego życia, córka upodobaniem do teologii. Będąc, jak się to mówiło, w dobrym położeniu, składały wiele wizyt i przyjmowały u siebie w domu wiele gości. We wzajemnych stosunkach tych pań i Estelli nie kwitło uczucie sympatii, ale ona była im potrzebna i one były jej przydatne. Mrs Brandley zaprzyjaźniła się z miss Havisham jeszcze przed jej odseparowaniem się od świata.

W domu Mr.s Brandley i poza nim cierpiałem wszelkiego rodzaju tortury, jakie Estella mogła mi zadawać. Stosunki nasze, które opierały się na poufałości, ale nie na sympatii ze strony Estelli, doprowadzały mnie do szaleństwa! Estella posługiwała się mną w celach drażnienia innych swych wielbicieli i korzystała z naszych poufałych stosunków, by móc traktować moje dla niej uczucie jak nie znaczący drobiazg.

Nie czułbym się bardziej zrozpaczony u jej boku, nawet gdybym był jej sekretarzem, lokajem, przyrodnim bratem, ubogim krewnym czy młodszym bratem jej przyszłego męża. Okoliczność, że mogłem nazywać ją po imieniu i że ona mnie tak samo nazywała, jeszcze bardziej powiększała moje męki i przyprawiając o szaleństwo jej wielbicieli doprowadzała i mnie do obłędu.

Miała nieskończenie wielu adoratorów i jeżeli nawet odrzucić tych, których pod wpływem mojej zazdrości wytwarzała moja wyobraźnia, to i tak zostałyby ich jeszcze sporo.

Widywałem ją często w Richmond, w mieście słyszałem, jak o niej mówiono, jeździłem z nią i paniami Brandley nad rzekę. Towarzyszyłem Estelli w piknikach, uroczystościach, przedstawieniach teatralnych i operowych, koncertach, przyjęciach, podczas wszelkiego rodzaju przyjemności, i byłem coraz nieszczęśliwszy. Nie znajdowałem u jej boku ani chwili szczęścia, a mimo to nieustannie marzyłem, by ją mieć przy sobie zawsze aż do śmierci. Przez cały czas trwania tego okresu (a ujrzymy, że niebawem miał się niespodziewanie skończyć) zwracała się do mnie owym szczególnym tonem, który wyrażał,

że stosunki nasze są przymusowe. Bywały jednak chwile, kiedy nagle zmieniała nastroje i zaczynała mi okazywać współczucie.

- Pip, Pip - powiedziała mi jednego popołudnia, kiedy siedzieliśmy w domu w Richmond przed Mr.oczniejącym oknem - czyż nigdy nie będziesz się miał na baczości?

- Przed kim?

- Przede mną!

- Czy myślisz, że mam się mieć na baczości, żeby się w tobie nie zakochać, Estello?

- Czy ja myślę? Ależ jeśli nie wiesz, co mam na myśli, jesteś chyba ślepy.

Chciałem odpowiedzieć, że miłość ma w ogóle opinię ślepej, ale powstrzymał mnie ten wzgląd co zawsze (było to jedno ze źródeł mych cierpień). Uważałem, że to niepięknie mówić jej o miłości, skoro uczucie zostało jej narzucone przez miss Havisham, której musi chcąc nie chcąc słuchać. Lękałem się zawsze, że moje wyznanie może wydać jej się upokarzające i obudzić w niej bunt przeciw mojej osobie.

- W każdym razie - zauważyłem - nie ostrzegałaś mnie dzisiaj przed niczym. Przyjechałem na twoje wezwanie, bo przysłałaś mi list z zaproszeniem.

- To prawda - odparła Estella z chłodnym, obojętnym uśmiechem, który tak bardzo mnie zawsze ranił.

Wyjrawszy przez okno na zapadający zmierzch, Estella odezwała się po chwili:

- Miss Havisham życzy sobie, abym na jeden dzień pojechała do niej do willi „Satis”. Masz mnie tam odprowadzić i przywieźć z powrotem do Londynu, o ile ci to odpowiada. Miss Havisham nie życzy sobie, abym podróżowała sama, a nie chce, by mi towarzyszyła pokojówka, bo nie znosi rozmowy z tego rodzaju osobami. Czy możesz jechać ze mną?

- Czy mogę jechać z tobą, Estello?

- Więc możesz? Pojedziemy pojutrze. Masz płacić wszystkie koszty z mojej sakiewki. Słyszałeś warunek podróży?

- I muszę mu być posłuszny - zgodziłem się.

To było całe przygotowanie do drogi. Miss Havisham nigdy nie pisała do mnie wprost. Nie znałem nawet charakteru jej pisma.

Zajechaliśmy więc do niej i zastaliśmy ją w jej pokoju na tym samym miejscu.

Nie ma chyba potrzeby wspominać, że nic się nie zmieniło w willi „Satis”. Miss Havisham była tym razem chyba jeszcze okropniej zakochana w Estelli niż dawniej. Używam tu świadomie tego wyrazu, gdyż kryło się coś przerażającego i okropnego w namiętności, z jaką stara kobieta wpatrywała się w młodą dziewczynę i z jaką ją do siebie tuliła.

Rozkoszowała się jej słowami, jej urodą, jej każdym gestem i przy tym gryzła sobie drżące palce, jak gdyby pożerała tę piękną istotę, którą sama ukształtowała.

Spojrzenie jej chwilami opuszczało Estellę, by wpić się badawczo w moją postać. Zdawała się wtedy zaglądać mi do serca i sondować moje rany.

- Jakże ona ciebie traktuje, Pip? Jak cię traktuje? - pytała, nawet w obecności Estelli, z jakąś ciekawością czarownicy.

Wieczorem, gdy siedzieliśmy przy migoczącym ogniu kominka, zachowywała się jeszcze dziwniej: wsunęła rękę pod ramię Estelli i ścisnęła jej dłoń. Wypytywała dziewczynę o imiona i nazwiska wszystkich mężczyzn, których Estella oczarowała i o których widocznie donosiła jej w swych listach. I kiedy badała z uporem śmiertelnie zranionego chorego umysłu ten rejestr, opierając brodę o dłoń wspartą na lasce i płonącymi czarnymi oczyma śledząc, jakie to na mnie czyni wrażenie, była podobna do upiora.

Scena ta unieszczęśliwiała mnie, napełniała gorzkim uczuciem zależności od miss Havisham i poniżenia, a jednak zdołałem odgadnąć, że staruszka zrobiła sobie z Estelli narzędzie zemsty na mężczyznach i że dopiero po odegraniu tej roli dziewczyna będzie mogła być moją. Zdawało mi się teraz, że pojmuję, czemu miss Havisham mnie ją przeznaczyła: wysłała ją, by usidlała, zwodziła i torturowała mężczyzn, żywiąc jednocześnie pewność, że żaden z jej wielbicieli nie może mieć szans jej zdobycia i że wszyscy oni na pewno ją w końcu utracą. A ja sam, dla którego była przeznaczona końcowa nagroda, czyż nie cierpiełem srogo z powodu tej okrutnej przewrotności? Oto dlaczego tak długo mnie odsuwano, oto dlaczego mój opiekun nie chciał mnie o niczym powiadomić. Poza tym wszystkim tkwiła miss Havisham taka, jaką miałem teraz przed oczyma, taka, jaka nigdy nie opuszczała mych wspomnień. Widziałem wyraźnie ponury cień jej Mr.ocznego i niezdrowego domu, w którym ukryła się przed blaskiem słońca. Świece, które oświetlały ten pokój, umieszczone były wysoko w kandelabrach przybitych do ścian. Ich płomyki robiły wrażenie sztucznego światła, tak mało kołysały się w dusznym, nie przewietrzanym pokoju. Patrząc na ich błady blask, na zatrzymany zegar i na zetłale dodatki do ślubnego stroju na gotowalni i na podłodze, na potworną postać, której powiększony cień padał upiornie na sufit, we wszystkim tym znalazłem potwierdzenie moich myśli. Przekroczyły one próg wielkiej jadalni, gdzie stał od lat nakryty stół, i przeniknęły aż do pajęczyn, które go osnuły, do pajaków łączących po obrusie, do śladów myszy, które, pełne strachu w małych serduszkach o przyśpieszonym tętnie, hałasowały za obiciami, do karaluchów spacerujących po podłodze.

Zdarzyło się podczas tych odwiedzin, że miss Havisham i Estella zamieniły między sobą parę ostrych słów. Pierwszy to raz widziałem je poróżnione. Siedzieliśmy, jak to już

wspomniałem, przy kominku i miss Havisham trzymała wciąż pod rękę Estellę i ścisnęła jej dłoń, gdy dziewczyna zaczęła się stopniowo uwalniać z jej uścisku. Okazała przedtem wiele pełnej pychy niecierpliwości i raczej tolerowała czułość starej damy, niż chłonęła ją lub odwzajemniała.

- Co to? - zawołała miss Havisham utkwivszy w niej płonące spojrzenie - masz mnie dość? Zmęczyłam cię?

- Nie, sama się trochę zmęczyłam - odpowiedziała Estella i wyrwawszy jej ostatecznie rękę stanęła przed kominkiem patrząc w płomienie.

- Mów prawdę, ty niewdzięczne stworzenie - krzyknęła miss Havisham stukając laską o podłogę - masz mnie dość!

Estella spojrzała na nią z całkowitym spokojem i znowu utkwiała oczy w płomieniach. Jej wdzięczna postać i piękna twarz wyrażały całkowitą obojętność wobec uniesienia, które miotало tamtą, i to było właśnie okrutne.

- Ty kamienne serce! - krzyczała miss Havisham - ty zimna, zimna istoto!

- Co? - spytała Estella zachowując obojętną postawę wsparta o wielki kominek nieruchomo, gdy tylko oczy jej się poruszały. - Pani wyrzuca mi okrucieństwo? Pani?

- Może nie jesteś okrutna? - zawołała z uniesieniem miss Havisham.

- Pani powinna najlepiej wiedzieć - odparła Estella. - Jestem taka, jaką mnie pani stworzyła. Musi pani wziąć na siebie zarówno pochwały jak nagany, powodzenie, jak klęskę, słowem, musi mnie pani taką brać, jaką jestem.

- Patrzcie na nią! Patrzcie na nią! - krzyczała miss Havisham z goryczą - patrzcie, jaka jest niewdzięczna i oschła, jak nie dba o ognisko, przy którym się wychowała. Tu, gdzie przytuliłam ją do piersi jeszcze krwawiącej cierpieniem niedawnych ran i gdzie otaczałam ją największą czułością!

- Ja osobiście nie uczestniczyłam w tym kontrakcie - powiedziała Estella - nie umiałam jeszcze ani chodzić, ani mówić, gdy to się stało. Ale czego pani chce teraz ode mnie? Przyznaję, że była pani dla mnie dobra, wiem, że wszystko, co mam, pani zawdzięczam. Czego pani chce jeszcze?

- Miłości.

- Ależ pani ją ma.

- Nie mam - odpowiedziała miss Havisham.

- Przybrana matko - oświadczyła Estella nie tracąc ani na chwilę pełnego wdzięku spokoju i nie podnosząc głosu ani w momentach gniewu, ani czułości - przybrana matko, powiedziałam przecież, że wszystko, co posiadam, zawdzięczam pani. Wiem, że to należy do

pani i w każdej chwili mogę to pani zwrócić. Poza tym nie mam nic. Ale jeśli pani zażąda, bym jej oddała to, czego mi pani nigdy nie dawała, ani moja wdzięczność, ani mój obowiązek nic tu nie poradzą.

- Czyż nigdy nie dawałam jej miłości? - krzyknęła miss Havisham, dziko zwracając się ku mnie - czy nie płonęłam ku niej miłością nieodłączną od mąk zazdrości, że teraz ona ośmiela się tak do mnie mówić? Niechże uważa mnie za obłąkaną! Niech traktuje mnie jak obłąkaną!

- Czemuż to ja właśnie miałabym uważać panią za obłąkaną? - spytała Estella - ja, która, jak nikt inny, znam pani wytrwałość w dążeniu do wytkniętego celu, ja, która wiem, jaką pani ma wspaniałą pamięć, ja, która siedząc na stołeczku u twoich stóp przy tym samym kominku, podczas gdyś mnie uczyła, podnosiłam oczy na twarz pani, na tę twarz, która mnie przerażała i wydawała się dziwna.

- Prędko zapomniałś o tych czasach - jęknęła miss Havisham - prędko zapomniałś!

- Nie, nie zapomniałam - odpowiedziała Estella - nie zapomniałam. Wyrły się w mej pamięci. Czy kiedykolwiek buntowałam się przeciw pani naukom? Czy kiedy zapomniałam pani lekcji? Czy kiedykolwiek dawałam dostęp tutaj (tu wskazała na swe serce) wszystkiemu, co pani stamtąd wyganiała? Niechże pani będzie dla mnie sprawiedliwa.

- Jaka dumna! Jaka dumna! - jęczała miss Havisham wicherząc sobie palcami obu rąk siwe włosy.

- Kto uczył mnie tego, bym była dumna? - zawołała Estella - kto chwalił mnie, gdy okazywałam pojętność dla tych lekcji?

- Jaka zła, jaka zła! - jęczała miss Havisham wykonując te same co przedtem gesty.

- Kto uczył mnie, bym była zła? Kto chwalił mnie, gdym była pojętną uczennicą? - odparła Estella.

- Ale być dumną i złą dla mnie! - krzyknęła przeraźliwie miss Havisham wyciągając przed siebie ramiona - Estello, Estello, Estello, dumna i zła dla mnie?

Estella spojrzała teraz na nią z chłodnym zaciekawieniem, ale nie utraciła spokoju i po chwili znowu patrzyła w ogień kominka.

- Nie mogę pojąć - odezwała się po krótkiej przerwie - czemu pani jest taka nierozsądna, kiedy widzimy się po raz pierwszy po długiej rozłące. Nigdy przecież nie zapomniałam o pani nieszczęściach i o ich przyczynach, nigdy nie zdradziłam pani ani jej nauk. Nigdy nie okazałam żadnej słabości, do której mogłabym się teraz pani przyznać.

- Czyżby to było słabością, gdybyś mi odwzajemniła miłość? - krzyknęła miss Havisham. - Ależ tak, tak, ona na pewno tak właśnie sądzi!

- Zaczynam przypuszczać - odparła Estella w zadumie, po nowej chwili namysłu - że rozumiem, o co pani teraz chodzi. Czy gdyby pani wychowała przybraną córkę w Mr.oku tych zamkniętych pokojów, nie ukazała jej nigdy swego oblicza w dziennym świetle i nagle zażądała od niej, by zrozumiała blask dnia i wszystko, co jest z nim związane, czy miałyby pani prawo czuć się rozczarowana i zmartwiona?

Miss Havisham, która przez cały czas kołysała się na krześle z twarzą zakrytą dłońmi, wydała głuchy jęk, ale nic nie odpowiedziała.

- Albo też - ciągnęła dalej Estella - gdyby pani (co jest bliższe prawdy) uczyła przybraną córkę od wczesnego dzieciństwa uważać światło dzienne za wroga, który może zniszczyć jej życie i oślepić ją, jak panią niegdyś oślepiło, i nagle zażądała od niej, by w sposób naturalny odnosiła się do światła dziennego, a ona by tego nie potrafiła, czy w tym wypadku miałyby pani prawo być rozczarowana i zmartwiona?

Miss Havisham siedziała wsłuchana w te słowa (tak mi się przynajmniej zdawało), ale wciąż milczała.

- Wobec tego - mówiła Estella - musi mnie pani brać taką, jaką mnie stworzyła. Powodzenie nie jest moim powodzeniem, jak klęska nie jest moją klęską. Mimo to, jedno i drugie składa się na moją osobę.

Miss Havisham, nie wiem dobrze, w jaki sposób, usiadła na podłodze pośród smutnych resztek weselnych. Skorzystałem z tej chwili i opuściłem pokój (od dawna już czyhałem na okazję). Kiedy wychodziłem, Estella wciąż jeszcze stała nieruchomo przy kominku, a siwe włosy miss Havisham sięgały podłogi i zamiatały resztki akcesoriów weselnych. Był to bolesny i żalony widok.

Z rozdartym sercem przechadzałem się pod wygwieżdżonym niebem po dziedzińcu wokół starego browaru i po zapuszczonym ogrodzie.

Kiedy po godzinie zdecydowałem się z trudem na powrót do pokoju miss Havisham, zastałem Estellę siedzącą jej na kolanach. Zszywała butwiejące łachmany, które stanowiły suknie jej opiekunki i rozpadały się. Odtąd widok starych, poszarpanych i spłowiałych chorągwi, wiszących w katedrach, przypomina mi zawsze te szmaty. Potem Estella i ja graliśmy w karty jak niegdyś, tylko że teraz już umieliśmy grać i graliśmy w skomplikowane gry francuskie. W ten sposób upłynął wieczór i poszedłem spać.

Noc spędziłem w budynku stojącym w głębi podwórza. Pierwszy to raz nocowałem w willi „Satis” i sen nie chciał mnie nawiedzić. Tysiące panien Havisham straszło mnie ze wszystkich stron: były z tej i z tamtej strony mej poduszki, jawiły się u stóp mego łóżka i wezgłowia, stały w na pół przymkniętych drzwiach garderoby, w garderobie, były w pokoju

na górze nade mną i na dole pode mną - wszędzie. Kiedy wreszcie czas dopełnił do drugiej po północy, poczułem z całą stanowczością, że nie doleżę tu do rana, i zerwałem się z łóżka. Wstałem, ubrałem się i opuściłem pokój. Wyszedłem na dziedziniec i skierowałem się przez długi, kamienny krużganek do wewnętrznego podwórza, aby tam się przechadzać. Ale zaledwie znalazłem się w krużganku, pośpiesznie zgasilem świecę, gdyż ujrzałem postać miss Havisham, która z jękiem posuwała się przede mną. Poszedłem za nią w pewnej odległości i zobaczyłem, że wchodzi po schodach na górę. W ręku trzymała świecę bez lichtarza, wzięła ją zapewne z kandelabra ze ściany swego pokoju. W blasku świecy wygląd jej był jeszcze bardziej widmowy. Stojąc u podnóża schodów nie widziałem, jak otwierała drzwi do sali bankietowej, ale uderzył mnie w nozdrza zatęchły zapach tego pokoju. Słyszałem, jak tam weszła, jak podążyła do swej sypialni i znowu wróciła do sali bankietowej, wciąż głucho jęcząc.

W kilka chwil potem chciałem wyjść z tego domu i powrócić do swojej sypialni, ale nie mogłem tego uczynić, dopóki pierwszy brzask nie rozproszył ciemności i nie ukazał mi drogi. Przez cały czas, kiedy w Mr.oku stałem u stóp schodów, słyszałem nad głową kroki staruszki i monotony jęk.

Wyjechaliśmy nazajutrz, a sprzeczka pomiędzy miss Havisham a Estellą już się nie powtórzyła ani tego dnia, ani przy żadnej następnej wizycie, chociaż jeszcze cztery razy, o ile pamiętam, następowały odwiedziny. Miss Havisham nie zmieniła się też wcale w stosunku do Estelli, chyba że do uczuć jej wmieszało się trochę lęku.

Niesposób jest odwrócić tej karty mego życia nie wymieniając nazwiska Bentleya Drummla, chociaż doprawdy wolałbym o nim nie wspominać.

Pewnego dnia, kiedy „Zięby zgromadzone były w komplecie i kiedy dobre humory jak zwykle wyładowały się w sprzeczkach, przewodniczący towarzystwa „Zięb zwrócił się do całego Gaju i oświadczył, że Mr. Drummla wzniesie teraz toast na cześć swej damy (gdyż zgodnie z prawami stowarzyszenia przypadła kolej na tego brutala). Zdawało mi się, że w chwili gdy karafki zaczęły krążyć wśród nas, Drummla rzucił mi jakieś bardzo brzydkie spojrzenie, ale nie zdziwiło mnie to zbyt, gdyż nie darzyliśmy się nigdy sympatią. Jakież jednak było moje pełne oburzenia zdziwienie, kiedy polecił nam wypić zdrowie Estelli.

- Jakiej Estelli? - spytałem.

- To nie pańska sprawa - odpowiedział Drummla.

- Skąd ta Estella? - nalegałem - pańskim obowiązkiem jest to wyjaśnić.

Istotnie należało to do obowiązków Zięb.

- Z Richmondu, panowie - wyjaśnił Drummle pomijając mnie całkowicie - to piękność niezrównana.

- Dużo wie o niezrównanych pięknościach ten nędzny, podły idiota - szepnąłem do Herberta.

- Znam tę damę! - zawołał przez stół Herbert, kiedy spełniono toast.

- Doprawdy? - zdziwił się Drummle.

- I ja także ją znam! - zawołałem z płonąca twarzą.

- Doprawdy? - powiedział Drummle - O Boże!

Była to jedyna odpowiedź (prócz ciśnięcia w głowę talerzem lub szklanką), na jaką umiał się zdobyć lotny umysł Drummle'a. Ale mnie rozdrażniła tak, jak gdyby iskrzyła się złośliwością i dowcipem. Zerwałem się więc z miejsca i oświadczyłem, że to niegodne Zięby, by przychodzić do tego Gaju (mówiliśmy zawsze „do tego Gaju używając zwrotu stosowanego w parlamencie) tylko po to, aby wnieść toast na cześć damy, której się wcale nie zna. Drummle zerwał się z miejsca i spytał, co mam na myśli mówiąc te słowa, a ja odparłem, że wie, gdzie mnie może znaleźć.

Czy po takiej wymianie zdań możliwe jest w kraju chrześcijańskim uniknięcie rozlewu krwi? Zdania Zięb podzieliły się. Dyskusja stała się tak ożywiona, że jeszcze sześciu członków klubu powiedziało innym sześciu Ziębom, iż wiadome jest, gdzie ich można znaleźć. Wreszcie zdecydowano (Gaj zmienił się w Sąd Honorowy), że o ile Mr. Drummle przyniesie od wymienionej damy zaświadczenie, iż jest jej znajomym, Mr. Pip jako dzentelmen i członek klubu „Zięb będzie zmuszony wyrazić żal, że „dał się unieść słowom, które... Termin przyniesienia zaświadczenia naznaczono na dzień następny (aby honor nasz nie zdążył wystygnąć) i następnego dnia Drummle zjawił się przynosząc uprzejmą karteczkę pisaną przez Estellę i donoszącą, że miała zaszczyt tańczyć z nim kilkakrotnie. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak wyrazić żal, że „dałem się unieść uczuciu, które... i przekreślić rzucone poprzednio słowa, iż znaleźć mnie można w jakimkolwiek miejscu. W ciągu całej godziny siedzieliśmy twarzą w twarz, ja i Drummle, podczas gdy „Gaj” naradzał się nad naszą sprawą. Potem nagle oświadczone nam, że musimy się natychmiast pogodzić.

Mówię teraz już o tym pogodnie, ale wówczas była to dla mnie poważna sprawa. Czułem niewymowny ból, że Estella mogła okazać jakiegokolwiek względy temu nieokrzesanemu gburowi, głuptasowi i zarozumialcowi, tak bardzo nie dorastającemu do jej poziomu. Dzisiaj wydaje mi się, że istotnie w tym uczuciu przykrości na myśl, iż poniża się do tego wstrętnego psa, kryło się tylko moje całkiem bezinteresowne uwielbienie dla jej

osoby. Nie ulega wątpliwości, że cierpiałbym z powodu zbliżenia się jej do każdego innego, ale lżej byłoby mi, gdyby wybrała sobie godniejszy obiekt swych łask.

Nietrudno było mi wkrótce stwierdzić, że Drummle zabiegał o Estellę i że ona łaskawie przyjmowała te zabiegi. Chodził za nią niemal bez przerwy i nie było dnia, bym się na niego nie natknął. Uparł się, że dopnie swego, i nie ustawał w zabiegach, a Estella go w tym utrzymywała. Niekiedy zachęcała go, kiedy indziej odpychała, raz mu pochlebiała, innym razem szydziła z niego, czasami dawała mu do poznania, że zna go bardzo blisko, to znów udawała, że zaledwie go sobie przypomina.

Pająk, jak go nazwał Mr. Jagers, był przyzwyczajony do oczekiwania na ofiarę, jak przystało na jego gatunek. Dodać należy, że miał ślepe zaufanie do swego majątku i do wielkości swego rodu, zaufanie, które niekiedy zastępowało mu rozsądek i kazało zapominać o celu. Zapamiętałe czyhając na Estellę pomijał niekiedy o wiele wspanialsze owady i rozstawiał sieci czasami całkiem niezręcznie.

Na jednym z wielkich balów w Richmond (wydawano wówczas bale we wszystkich miejscowościach), na którym Estella zaćmiła wszystkie inne piękności, ten głupiec Drummle w tak widoczny sposób uganiał się za nią, a ona tak pobłażliwie go tolerowała, że postanowiłem pomówić o tym z dziewczyną.

Skorzystałem z pierwszej sposobności, gdy siedziała nieco na uboczu wśród kwiatów i oczekiwała na Mr.s Brandley, z którą miała wracać do domu. Był zwyczaj, że towarzyszyłem obu paniom w drodze powrotnej. Podszedłem więc do niej gotowej do drogi.

- Zmęczona jesteś, Estello?

- Trochę, Pip.

- Musisz być bardzo zmęczona.

- Nie powinnam czuć się zmęczona, bo po powrocie do domu muszę jeszcze przed snem napisać list do willi „Satis”.

- Opisać triumfy dzisiejszego wieczoru, Estello? Doprawdy, nie ma się czym chwalić.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Nie wiedziałam, że odniosła triumfy.

- Estello - wezwałem ją - przyjrzyj się temu chłopakowi tam w kącie, który tu na ciebie spogląda.

- Po cóż mam na niego patrzeć? - spytała Stella z wzrokiem utkwionym w mojej twarzy - cóż jest w nim godnego widzenia?

- Oto właśnie pytanie, które ja tobie powinienem zadać - oświadczyłem - bo z tym człowiekiem nie rozstawałaś się dzisiejszego wieczora.

- Cmy i wszelkiego rodzaju obrzydliwe owady kręcą się koła zapalanej świecy - odparła Estella - czy świeca może coś na to poradzić?

- Nie - zgodziłem się - ale czy Estella nie może poradzić? - Być może - odpowiedziała ze śmiechem - chyba tak.

- Posłuchaj mnie, Estello - mówiłem - nie mogę znieść, że zachęcasz człowieka tak ogólnie pogardzanego jak Drummle. Bo on jest pogardzany przez wszystkich.

- Więc? - spytała.

- Wiesz przecież chyba, że ten chłopak nie ma nic, coby za nim przemawiało, prócz pieniędzy i śmiesznego rejestru tępych przodków?

- Więc? - powtórzyła. I za każdym razem, gdy ponawiała to pytanie, otwierała coraz szerzej śliczne oczy.

Aby wreszcie przestała odpowiadać tym jednym wyrazem, wydarłem go jej i powiedziałem z zapalem:

- Więc, to właśnie doprowadza mnie do rozpacz. Gdybym przypuszczał naprawdę, że Estella okazuje swe łaski

Drummle'owi po to, by mnie doprowadzić do rozpacz, czułbym się mniej nieszczęśliwy, ale najokropniejsze było uczucie, że o mnie w ogóle w tym wypadku nie myśli i odsuwa mnie całkowicie od siebie.

- Pip - odparła Estella rozglądając się ze spokojem wokół siebie - nie bądźże głuptasem i nie opowiadaj, jakie to robi na tobie wrażenie. Są być może jeszcze inni, których ta sprawa martwi, i może nawet ja sobie tego właśnie życzę. W każdym razie nie warto o tym rozmawiać.

- Warto - zawołałem - bo nie mogę znieść myśli, że ludzie będą mówili: „Ona darzy względami i sympatią obrzydliwego gbura, najmniej wartościowego chłopca z całego tego towarzystwa.

- Ale ja mogę to znieść - oświadczyła.

- Och, nie bądź taka dumna i taka niewzruszona, Estello!

- Wyrzuca mi, że jestem dumna - oburzyła się Estella rozkładając bezradnie dłonie - a przed chwilą wyrzucał mi, że poniżam się do towarzystwa gbura!

- I na pewno to robisz! - wykrzyknąłem - bo sam widziałem spojrzenia i uśmiechy, które mu rzucaliś jeszcze dzisiejszego wieczora. Och, takie spojrzenia, jakimi mnie nigdy nie obdarzałaś!

- Więc chcesz - zagadnęła Estella, przybierając nagle poważny a nawet rozdrażniony wyraz twarzy - abym cię zwodziła i zastawiała na ciebie pułapki?

- A czy jego zwodzisz i na niego zastawiasz pułapki, Estello?

- Tak, czynię to z nim i z wieloma innymi. Tylko nie z tobą. Ale oto Mr.s Brandley.

Nic więcej nie powiem.

A teraz kiedy poświęciłem NASTĘPNY ROZDZIAŁ temu, co przepełniało moje serce i tak często sprawiało mi niewymowny ból, przejdę do zdarzenia, które od dawna już wisiało mi nad głową, zdarzenia, którego początku należy szukać jeszcze w czasach, gdy nie wiedziałem o istnieniu Estelli, w okresie, kiedy jej dziecięcy charakter dopiero zaczynał się paczyć w rękach miss Havisham.

W baśni wschodniej ciężka płyta, która miała opaść na łożo władcy podbijanego państwa, była stopniowo wykuwana w kamieniołomach. Tunel, przez który przebiegać miała lina dźwigająca ją, długo kuto w skale. Płytę powoli windowano i umocowano na dachu, a linę przeciągano powolutku przez całe mile korytarzy podziemnych aż do wielkiego żelaznego pierścienia. Kiedy wszystkie te przygotowania zostały z wielkim nakładem sił ukończone, wybiła właściwa godzina, obudzono wśród nocy sułtana, włożono mu w rękę wyostrzoną siekierę, która miała odciąć linę od pierścienia. Sułtan uderzył, lina pękła, znikła w tunelu i płyta opadła.

Tak się też stało ze mną. Cała żmudna praca, która działa się z daleka czy z bliska mnie, przygotowywała stopniowo mój ostateczny los i w jednej chwili wymierzono cios, który zawalił mi dach nad głową.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Miałem dwadzieścia trzy lata, a wciąż jeszcze nie padło żadne światło na tajemnicę moich wielkich nadziei. Właśnie upłynął tydzień od mych dwudziestych trzecich urodzin, od roku już wyprowadziliśmy się z „Gospody Barnarda, by zamieszkać w dzielnicy Tempie. Mieszkanie nasze znajdowało się przy Garden Court tuż nad rzeką.

Nie brałem już lekcji od Mr. Pocketa, chociaż pozostawaliśmy z nim wciąż w doskonałych stosunkach. Mimo że nie miałem dość wytrwałości, by zabrać się do poważnej nauki - przyczyną tego była moja nieustanna niepewność i niepokój o źródła dochodu - lubiłem ogromnie czytać i czytywałem po kilka godzin dziennie. Sprawy Herberta stały coraz lepiej, a co do moich, znajdowałem się w takim położeniu, jakie opisywałem pod koniec ostatniego rozdziału.

Herbert w sprawach swych interesów wyjechał do Marsylii, ja zaś pozostałem sam i ciążyła mi samotność. Zniechęcony i pełen obaw o przyszłość, gdyż na próżno z tygodnia na tydzień i z miesiąca na miesiąc oczekiwałem jakichś wyjaśnień, które nie nadchodziły, tym żywiej odczuwałem nieobecność kochanej twarzy i zawsze szczerzej pomocy mego przyjaciela.

Pogoda było rozpaczliwa: wiatry i deszcze, deszcze i wiatry, i błoto, błoto, głębokie błoto na wszystkich ulicach. Dzień po dniu nadciągały ze wschodu na Londyn ciężkie mgły, jak gdyby w tamtej stronie nie istniało nic prócz chmur i wichury. Huragan szalał z taką siłą, że zdierał z dachów wysokich domów miejskich blachę, wyrwał drzewa z korzeniami po wsiach i unosił skrzydła wiatraków. Z wybrzeża dochodziły ponure wieści o rozbitych okrętach i śmiertelnych stratach. Wichurom towarzyszyły gwałtowne ulewy, a dzień, który się właśnie kończył, gdym zasiadł do czytania, był najgorszy.

Dzielnica Tempie zmieniała się ogromnie od tamtych czasów: wówczas jeszcze była bardzo opuszczona i całkiem zdana na łaskę rzeki. Mieszkaliśmy na najwyższym piętrze domu na wybrzeżu i wicher idący od niej wstrząsał oknami tak, że miało się złudzenie wystrzałów armatnich lub przelewających się bałwanów morskich.

Gdy wiatr z deszczem bił o okna mego pokoju, myślałem patrząc, jak się wstrząsały, że mam złudzenie przebywania w latarni morskiej podczas burzy na morzu. Chwilami z kominka wydobywał się na pokój kłębam dym, jak gdyby nie odważając się wydostać na dwór w taką pogodę. Kiedy otworzyłem drzwi, by wyjść na schody, lampy na klatce schodowej zgasty, a kiedy spoglądałem w ciemne okna (mowy nie było o tym, by je chociaż

by uchylić) i uczyniwszy z dłoni daszek starałem się rozróżnić, co się dzieje na dworze, ujrzałem, że latarnie na dziedzińcu także zgasły, a płomyki latarni na moście i na bulwarze nadrzecznym chwieją się gwałtownie pod wpływem wichru. Wiatr roznosił po rzece krwawe plamy odbłasku węgla żarzących się na barkach rzecznych.

Położyłem przed sobą zegarek, gdyż zamierzałem czytać do jedenastej wieczorem. Gdy zamknąłem książkę, zegar na katedrze Świętego Pawła i wszystkie inne zegary kościelne w City wybiły tę godzinę. Dźwięki były dziwnie rozproszone przez wiatr i właśnie nasłuchiwałem, jak wichura atakuje i łamie dźwięki, kiedy usłyszałem kroki na schodach.

Jakie to nerwowe szaleństwo kazało mi się zerwać i połączyć te kroki ze wspomnieniami kroków mej zmarłej siostry? Ale wrażenie to znikło natychmiast, a stąpania, dziwnie chwiejne, zbliżały się. Przypomniawszy sobie, że światła na schodach zgasły, otworzyłem drzwi i stanąłem u szczytu schodów, trzymając w ręku lampę, przy której blasku czytałem. Ten, kto szedł po schodach, zatrzymał się na jej widok, gdyż kroki umilkły.

- Jest tam kto na dole? - krzyknąłem w ciemność schodów.

- Tak - odparł ktoś z Mr.oku.

- Na które piętro pan idzie?

- Na najwyższe, do Mr. Pipa.

- To moje nazwisko. Czy stało się coś?

- Nic się nie stało - odpowiedział głos i ukazał się ów człowiek.

Trzymałem lampę wysoko ponad poręczą schodów i przybysz wszedł w krąg jej blasku. Oślaniał ją abażur, aby oświetlała kartki książki, więc miała ograniczony zasięg, tak że człowiek znajdował się w świetle tylko przez chwilę i zaraz potem znowu wszedł w Mr.ok. Ujrzałem więc w mgnieniu oka twarz, która zrobiła na mnie dziwne wrażenie i której wyraz był mieszaniną wzruszenia i uradowania na mój widok.

Podniósłszy lampę spostrzegłem, że człowiek ten ubrany był porządnie, ale w grubą odzież, jak ktoś udający się w podróż morską, że włosy miał długie, stalowosiwej barwy, że mógł mieć około sześćdziesięciu lat, że był silnym mężczyzną o potężnych mięśniach i że twarz jego okrywała brunatna opalenizna wichrów i burz. Gdy wszedł na ostatni stopień schodów i blask lampy objął nas obu, ujrzałem ze zdumieniem, że wyciąga ku mnie obie ręce.

- Czym mogę panu służyć? - spytałem - czy ma pan do mnie jaki interes?

- Czy mam do pana interes? - odparł. - Ach, tak. Wyjaśnię panu to, jeśli pan pozwoli.

- Czy chce pan wejść?

- Tak, chcę wejść do pana, młody panie.

Zadałem mu to pytanie nieprzyjemnym i mało gościnnym tonem, gdyż drażnił mnie jego rozczulony wyraz twarzy, który zdawał się wymagać tej samej radości i z mojej strony.

Wprowadziłem go jednak do pokoju i postawiwszy lampę na stole poprosiłem go tak grzecznie, jak mogłem, by wyjaśnił mi, po co przyszedł.

Rozglądał się wokoło z dziwnym wyrazem twarzy, jak gdyby to, co widział, sprawiło mu przyjemność, i jak gdyby jednocześnie miał w tym jakiś udział. Potem zdjął ciężkie okrycie i kapelusz. Wtedy ujrzałem, że głowa jego była łysa i pokryta bliznami, a długie siwe włosy zwisały jedynie po bokach.

Ale w dalszym ciągu nie wiedziałem, kim jest ten człowiek. On tymczasem wyciągnął znowu obie ręce do mnie.

- O co panu chodzi? - spytałem podejrzewając, że mam do czynienia z obłąkanym.

Odwrócił wzrok ode mnie i powoli prawą ręką potarł łysinę:

- Ciężko człowiekowi - powiedział szorstkim, ochrypłym głosem - kiedy się tak oczekiwało tej chwili, a przybyło z tak daleka... ale pan nie jest winien. Nie, zaden z nas dwu tu nie zawinił. Za pół minuty wszystko wyjaśnię. Za pół minuty.

Usiadł ciężko na krześle przed kominkiem i zakrył twarz dużymi, opalonymi, poznaczonymi żyłami dłońmi. Przyglądałem mu się uważnie i odsunąłem się od niego nieco, ale wciąż nie wiedziałem, kto to jest.

- Nie ma tu nikogo prócz nas? - zagadnął nagle przez ramię.

- Jak to, pan, człowiek całkiem obcy, przychodzi do mego mieszkania o tej nocnej porze i zadaje mi takie pytanie? - oburzyłem się.

- Spryciarz z pana - odpowiedział potrząsając głową ku mnie z niezrozumiałą dla mnie sympatią, która doprowadzała mnie do rozpacz. - Cieszę się, że wyrósł pan na sprytnego człowieka. Ale niech pan nie gniewa się na mnie. Potem żałowałby pan tego na pewno.

Ale ja porzuciłem już zamiar złego traktowania przybyłego, bo nagle go poznałem. Nawet teraz nie mogłem przypomnieć sobie ani jednego rysu jego twarzy, ale mimo to odgadłem go. Gdyby wichura i deszcz szalejące za oknem zmyły ślady lat, które dzieliły nas od tamtej chwili, kiedy spotkaliśmy się na cmentarzu i staliśmy twarzą w twarz, choć tak różniliśmy się wzrostem, to i tak nie poznałbym dokładniej mojego galernika w tym oto człowieku siedzącym teraz na krześle przy kominku. Nie miał potrzeby wyciągać z kieszeni pilnika, by mi go pokazać, ani okręcać sobie głowy zdjętą z szyi chustką, nie miał potrzeby krzyżować ramion na piersiach, wstrząsać się jak od zimna i jednocześnie zerkać na mnie. Poznałem go, zanim uczynił te wszystkie gesty w celu przypomnienia mi się, poznałem go sam, mimo że przed chwilą nie miałem pojęcia, kto to może być.

Podszedł znowu do mnie i znowu wyciągnął obie ręce. Nie wiedząc, co mam robić, gdyż nagle straciłem pewność siebie, z wahaniem podałem mu dłonie. Potrząsnął moimi rękoma, podniósł je do warg, ucałował i wciąż nie wypuszczał z uścisku.

- Postąpiłeś szlachetnie, mój chłopcze - oświadczył - szlachetnie, Pip. Nigdy ci tego nie zapomniałem!

Zrobił taki ruch, jak gdyby chciał mnie uściskać, ale położyłem mu dłoń na piersi i odepchnąłem go od siebie.

- Niech pan zaczeka - zauważyłem - jeżeli istotnie jest pan wdzięczny mi za to, co dla pana uczynił w dzieciństwie, to spodziewam się, że wdzięczność ta wyraziła się w poprawie pańskiego życia. Całkiem zbytecznie przyszedł pan aż tu do mnie, by mi dziękować. Skoro jednak pan to już zrobił, to ze względu na dobre uczucia, które pana tu przywiodły, nie wypędzę pana od siebie. Musi pan jednak zrozumieć, że... ja...

Ale w tejże chwili dalsze słowa zamarzy mi na ustach wobec utkwionego we mnie baczego spojrzenia.

- Powiedział pan, że muszę zrozumieć... - zaczął po chwili przyglądania mi się w milczeniu. - Co mam zrozumieć?

- że nie mogę w dzisiejszych moich, całkiem zmienionych warunkach życzyć sobie nawiązania stosunków naszych sprzed lat. Jestem rad, że pan odpokutował swe winy i że się odtąd zmienił. Jestem rad, że mogę to panu dzisiaj powiedzieć. Jestem rad, że w oczach pana zasłużył na podziękowanie, że pan aż do mnie przyszedł mi dziękować. Ale drogi nasze są różnymi drogami. Przemókł pan i wygląda na zmęczonego. Czy nie zechce pan napić się czego, zanim pan odejdzie?

Rozluźnił chustkę na szyi i gryząc jej koniec odparł patrząc na mnie bacznie:

- Zdaje się - przystał nie wypuszczając z ust rogu chustki i nadal mnie obserwując - że napiję się czegoś (dziękuję panu), zanim stąd odejdę.

Na bocznym stoliku stała taca z trunkami. Przyniosłem ją da kominka i spytałem, co sobie wybierze. Dotknął jednej z butelek nie patrząc na etykietę i bez jednego słowa. Nalałem mu rumu z gorącą wodą. Staralem się nalewać pewną dłonią, ale wzrok jego, który wciąż ciążył na mnie, podczas gdy gość siedział przechylony w tył i wsparłszy się o poręcz krzesła przygryzał koniec chusteczki, sprawił, że ręka mi zadrżała. Kiedy w końcu podsunąłem pełną szklaneczkę, ujrzałem ze zdumieniem, że oczy jego pełne były łez.

Aż do tej chwili nie siadałem, chcąc w ten sposób zaakcentować, że spodziewałem się jego rychłego odejścia. Ale na widok wzruszenia tego człowieka i ja się wzruszyłem. Poczulem coś na kształt wyrzutu sumienia.

- Spodziewam się - powiedziałem nalawszy coś do mojej szklaneczki i siadając naprzeciw niego na krzesło - że pan nie odczuł słów moich jako zbyt szorstkich. Nie chciałem pana urazić, a jeżeli to uczyniłem, przepraszam. - życzę panu wiele szczęścia.

Gdy niosłem szklankę do ust, gość spojrzał, jakby zdziwiony” na koniec swej chusteczki, wypuścił go z zębów i bez słowa wyciągnął ku mnie dłoń. Podałem mu swoją, wypił rum i otarł rękawem oczy i czoło.

- W jaki sposób pan teraz żyje? - spytałem.

- Prowadziłem farmę owczą, hodowałem bydło i zajmowałem się różnymi innymi zawodami tam w Nowym Świecie, o tysiące mil burzliwych wód stąd.

- Spodziewam się, że dobrze się panu powodziło?

- Powodziło mi się doskonale. Spośród wszystkich, którzy ze mną wyjechali, mnie udawało się zawsze najlepiej. Byłem z tego znany.

- Miło mi to słyszeć.

- Miałem nadzieję, że kiedyś mi tak powiesz, mój drogi chłopcze.

Nie zastanawiając się ani nad treścią, ani nad tonem tych słów, spytałem o coś pod wpływem myśli, która nagle mnie przeszła:

- Czy widział pan posłańca, którego mi pan w swoim czasie przysłał, już po spełnieniu polecenia?

- Nigdy. Nie spodziewałem się zresztą go widzieć.

- Przyniósł mi wówczas dwa banknoty funtowe, tak jak pan mu polecił. Byłem wtedy, jak panu wiadomo, ubogim chłopcem, a dla ubogiego chłopca to stanowiło majątek. Ale ponieważ teraz powodzi mi się dobrze, więc pan pozwoli, że mu je zwrócę. Będzie je pan mógł dać innemu biedakowi.

Wyjąłem sakiewkę.

Śledził moje ruchy, kiedy kładłem sakiewkę na stole i wyjmowałem z niej pieniądze. Były to dwa nowiutkie banknoty jednofuntowe. Rozwinąłem je i podałem mu. Nie spuszczając mnie z oka, wziął je z mych rąk, złożył jeden na drugi, zmiął, przytknął do płomienia lampy, poczekał, aż spłonęły, a popiół zsywał na tacę.

- Czy wolno mi spytać pana - zagadnął z uśmiechem podobnym do skrzywienia i grymasem podobnym do uśmiechu - czy wolno mi ośmielić się spytać, w jaki to sposób powiodło się panu od tego czasu, kiedyśmy się spotkali na dalekim i Mr. ożnym bagnisku?

- W jaki sposób?

- Aha!

Opróżnił szklanekę, wstał i stanął przy ogniu opierając się silną brunatną ręką o kominek. Stopę wsparł o żelazną kratę, chcąc zapewne wysuszyć wilgotne obuwie, które natychmiast zaczęło parować. Nie patrzył jednak ani na swe buty, ani na płomień, wzrok miał utkwiony w mej twarzy. Dopiero teraz zacząłem drżeć.

Wargi moje rozchyłały się, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Wreszcie uczyniłem najwyższy wysiłek i niewyraźnie wyszeptałem (inaczej nie zdołałem), że zostałem wybrany na spadkobiercę wielkiego majątku.

- Czy zwykły robak ma prawo spytać, jaki to majątek? Wyjąkałem, że nie wiem.

- Czy zwykły robak ma prawo spytać, kto jest właścicielem tego majątku?

Wyjąkałem znowu, że nie wiem.

- A może ja zgadnę, jaki jest pański dochód miesięczny od czasu dojścia do pełnoletności? - powiedział galernik. - Od jakiej cyfry się zaczyna. Czy nie od pięciu?

Serce biło mi, jak ciężki młot, nieregularnymi uderzeniami. Wstałem, oparłem dłoń o poręcz krzesła i patrzyłem dziko na tego człowieka.

- Co się tyczy opiekuna, bo musi pan mieć jakiegoś opiekuna, zapewne adwokata, to czy jego nazwisko nie zaczyna się na literę J.?

- Jak w olśnieniu pojąłem nagle całą prawdę mego położenia i wszystkie rozczarowania, jakie ono za sobą pociągało; niebezpieczeństwa i cały wstyd zwały się na mnie tak tłumnie, że ledwie mogłem schwytać oddech.

- Przypuśćmy - ciągnął dalej - że klient owego prawnika, którego nazwisko również dobrze może brzmieć Jagers, wylądował w Portsmouth i chciał pana odwiedzić. „Skoro pan mnie jednak odnalazł... tak zdaje się wyraził się pan przed chwilą? Otóż, w jaki sposób pana znalazłem? Po prostu napisałem z Portsmouth do Londynu pytając o pański adres. Napisałem do kogoś nazwiskiem Wemmick.

Nie potrafiłbym teraz wymówić ani słowa, nawet gdybym przez to mógł uratować sobie życie. Stałem przy krześle, z dłonią zaciśniętą na poręczy, z drugą ręką na sercu, dusząc się z braku powietrza. Stałem tak, dopóki pokój nie zakręcił mi się w oczach. Przybysz schwycił mnie za rękę, zaniósł na kanapę, ułożył wśród poduszek, a potem przyklękawszy przy mnie, zbliżył do mojej twarzy swoją, którą teraz już dobrze pamiętałem, a która drżała.

- Tak, Pip, drogi chłopcze, to ja zrobiłem z ciebie pana. Przysiągłem sobie wtedy na bagnisku, że pierwsza zarobiona gwinea będzie twoją. Przysiągłem sobie potem, że jeżeli kiedykolwiek się zбоżacę, i ty będziesz bogaty. Prowadziłem ciężkie życie po to, byś ty mógł pędzić łatwe. Pracowałem ciężko, abyś ty nie musiał wcale pracować. Po co mówię ci to, drogi chłopcze? Nie po to, abyś mi dziękował. Tylko po to, byś wiedział, że ten nieszczęsny,

szcuchy pies, któremuś ty uratował życie, podniósł teraz wysoko łeb i mógł stworzyć z kogoś pana, a tym panem ty jesteś, Pip!

Gdyby ten człowiek był ohydną bestią, nie czułbym wobec niego większej odrazy, strachu i wstrętu, które sprawiły, że odsunąłem się od niego.

- Posłuchaj mnie, Pip, jestem twoim drugim ojcem. Jesteś mi synem, więcej niż synem. Odkładałem każdy grosz, byś ty mógł wydawać. Kiedy służyłem za pastucha owiec w samotnym szałasie wysoko w górach i nie widziałem innych żywych istot, prócz moich owiec, kiedy zapominałem, jak wyglądają twarze kobiet i mężczyzn, twoją twarz miałem przed oczyma. Wypuszczałem z ręki nóż podczas obiadu czy kolacji i mówiłem do siebie: „Oto przyszedł chłopiec i patrzy, jak jem i piję.

Widziałem ciebie w tej samotnej chatce tak wyraźnie jak wówczas na dalekich bagniskach. Wychodziłem wtedy na dwór w ciemną noc i mówiłem do siebie: „Niechże mnie Bóg pokarze, jeżeli po dojściu do wolności i majątku nie zrobię z tego chłopca wielkiego pana! I zrobiłem to. Rozejrzyj się po mieszkaniu, które do ciebie należy. Godne jest lorda. Lorda? Ach, mógłbyś założyć się z niejednym lordem, że jesteś od niego bogatszy, i z pewnością byś wygrał!

Upojony swoim triumfem i pamiętając, że omal nie zemdlął z wrażenia, nie spostrzegając wcale, w jaki sposób przyjmuję jego słowa. Było to zresztą jedyną dla mnie pociechą.

- Popatrz - wołał wyjmując z mojej kieszonki zegarek i obracając na moim palcu pierścionek (a ja cofnąłem się przed jego dotknięciem, jak gdyby był wężem). - Złoty zegarek, i to jaki piękny! To wielkopański zegarek. A pierścień? Brylant otoczony rubinami! Spodziewam się, że to wielkopański pierścionek!

Popatrz na tę cieniutką, wytworną bieliznę, na to ubranie! Czy może być coś w lepszym gatunku? A książki? - tu potoczył wzrokiem wokoło - stoi ich tu na półkach setki! I czytasz je wszystkie, prawda? Kiedym tu wchodził, czytałeś właśnie jedną z nich, prawda? Ha, ha, ha! Będziesz mi je czytał, drogi chłopcze. I gdyby nawet pisane były w obcych, niezrozumiałych dla mnie językach, będę tak samo dumny, jak gdybym je rozumiał.

Znowu ujął obie moje dłonie i przycisnął do swych warg, a mnie przeszył zimny dreszcz.

- Nie, nic nie masz potrzeby mówić, Pip - powiedział otarłszy znów oczy i czoło rękawem, gdy w gardle jego rozlegał się ten sam dziwny szloch, który pamiętałem sprzed lat (im bardziej był serdeczny, tym większym napawał mnie wstrętem) - i najlepiej nic nie mów,

drogi chłopcze. Tyś nie oczekiwał latami tej chwili jak ja, tyś się do niej nie przygotował jak ja. Ale czyś nigdy nie podejrzewał, że to ja mogę być?

- Och, nie, nie, nie! - zawołałem. - Nigdy! Nigdy!

- A widzisz, a to jednak byłem ja. Ja sam jeden. Nikt o tym nie wiedział poza mną i Mr. Jaggersem.

- I nikt prócz pana nie brał w tym udziału? - spytałem.

- Prócz mnie? - rzucił na mnie zdumione spojrzenie - któż mógłby się jeszcze do tego przyczynić? Ach, drogi chłopcze, wyrosłeś na ślicznego młodzieńca. Muszą tam być jakieś piękne oczęta, o których z przyjemnością myślisz, co?

O Estello, Estello!

- Każda będzie twoją, drogi chłopcze, jeżeli można je kupić za pieniądze. Oczywiście, że mężczyzna o twoim wyglądzie może własnym urokiem podbijać serca, ale pieniądze niewątpliwie ci w tym pomogą. Ale pozwól mi dokończyć opowiadania.

Praca w chatce pasterza owiec przyniosła mi duży majątek, który odziedziczyłem po właścicielu stada (umierając zapisał mi wszystko, gdyż był, tak jak ja, galernikiem). W ten sposób odzyskałem swobodę i doszedłem do majątku. Zacząłem pracować na własny rachunek i wszystko, co robiłem, czyniłem dla ciebie. Mówiłem sobie wówczas: „Niech pomór spadnie na trzodę, jeżeli to nie będzie na niego. Powodziło mi się doskonale. Wspominałem ci już, że mam do tego szczęście i że byłem z tego znany. Pieniądze odziedziczone i zarobki z pierwszego okresu mej samodzielności przesyłałem Jaggersewi na twoje utrzymanie i wtedy to pojechał po ciebie, jak mu przekazałem w liście.

Och, bodaj nigdy po mnie nie posyłał! Bodaj mnie był zostawił w kuźni, cóż, że nie zawsze zadowolonego, ale szczęśliwego w porównaniu do tej chwili!

- A potem, mój chłopcze, cóż to była za radość dla mnie, to uczucie, że stwarzam wielkiego pana. Nie przejmowałem się już tym, że gdym wędrował piechotą, rasowe konie kolonistów, mijające mnie na drodze, osypywały mnie kurzem. Jakże na to reagowałem? Mówiłem sobie wtedy: „Przyczyniam się do istnienia tak wielkiego pana, jakim żaden z was nigdy nie będzie. Kiedy któryś z nich mówił o mnie: „To były galernik sprzed kilku lat, prostak i gbur, chociaż mu się poszczęściło, myślałem sobie: „Jeżeli nie jestem panem i nigdy się nie nauczyłem, to za to jestem właścicielem uczonego pana. Wy wszyscy posiadacie ziemie i bydło, ale ja za to mam na własność wielkiego pana w Londynie. To trzymało mnie przy życiu i żyłem myślą, że pewnego dnia przyjadę tu i na własne oczy zobaczę mego chłopca na jego gruncie i dam mu się poznać.

Położył mi dłoń na ramieniu, a ja zdrząłem na myśl, że ręka ta jest, być może, splamiona krwią.

- Nie było to łatwe, kochany chłopcze, wyjechać stamtąd. Nie było nawet całkiem dla mnie bezpieczne. Ale uparłem się i im więcej miałem trudności, tym zacieklej je zwalczałem i utwierdzałem się w postanowieniu. I wreszcie udało mi się, drogi chłopcze. Udało się.

Usiłowałem zebrać myśli, ale czułem się jak ogłuszony. Przez cały ten czas miałem wrażenie, że zamiast jego słów słucham wichru i ulewy i teraz jeszcze, mimo że umilkł, nie mogłem odróżnić jego głosu od szumu niepogody, choć zawierucha szalała głośno, a on mówił cicho.

- Gdzie mnie umieścisz? - spytał teraz - musisz mnie gdzieś umieścić, drogi mój chłopcze.

- Na noc? Będzie pan tu spał? - zagadnąłem.

- Tak, będę, i to długo, i twardo. Od miesięcy byłem co noc wstrząsany i splukiwany przez fale morskie.

- Mój przyjaciel i współlokator wyjechał - powiedziałem wstając z kanapy - zajmie pan jego pokój.

- Jutro chyba nie powraca?

- Nie - odparłem mimo najwyższych wysiłków oschle - jutro jeszcze nie wraca.

- Bo rozumiesz - zauważył zniżając głos i opierając wskazujący palec o moją pierś - trzeba zachować największą ostrożność.

- Ostrożność?

- Tak, na Boga, za to grozi śmierć!

- Za co śmierć?

- Zrozum, skazany zostałem na dożywotnie zesłanie. Za samowolny powrót jest kara śmierci. Wielu już tak wpadło ostatnimi laty. Gdyby mnie schwytano, powieszono by mnie z pewnością.

Nic nie zostało mi zaoszczędzone. Ten nieszczęśnik, który na całe lata skuł mnie ohydnyimi złotymi i srebrnymi kajdanami, był teraz całkowicie w moich rękach. Zaryzykował życiem, by mnie odwiedzić. Nie czułbym się w tej chwili gorzej, gdybym go kochał, zamiast nienawidzić, gdyby pociągało mnie ku niemu największe uwielbienie i czułość, a nie odpychał od niego najgłębszy wstręt. Przeciwnie, gdybym go kochał, czułbym się w tej chwili lepiej, gdyż serce moje przepełniłaby naturalna i serdeczna troska o jego osobę.

Pierwszą moją czynnością było zamknięcie okiennic, tak aby nikt ze dworu nie widział światła w oknach, następnie zarygnowałem starannie drzwi wejściowe.

On tymczasem stał przy stole, popijał rum i jadł ciasteczka, i miałem złudzenie, że to galernik na bagnisku pożera przyniesione przeze mnie zapasy. Nieleidwie spodziewałem się, że się nachyli, by przepiłować kajdany na nodze.

Udałem się następnie do pokoju Herberta i tam zamknąłem wszelkie połączenie tego pokoju ze schodami, pozostawiając tylko przejście przez pokój, w którym się znajdowaliśmy. Kiedy powróciłem, spytałem mego gościa, czy chce się położyć. Powiedział, że tak, ale prosił, bym mu dał coś z mej „pańskiej bielizny do włożenia nazajutrz rano. Przyniosłem mu bieliznę, położyłem przed nim i znowu poczułem zimny dreszcz, kiedy uścisnął mi obie dłonie na dobranoc.

Sam nie zdawałem sobie sprawy, jak się z nim rozstałem. Wróciłem do pokoju, w którym toczyła się nasza rozmowa, podsycałem ogień i usiadłem przy kominku, lękając się położyć spać. Przez godzinę czy dłużej siedziałem zbyt oszołomiony, aby myśleć. Dopiero kiedy myśli powróciły, rozważyłem, do jakiego stopnia jestem nieszczęśliwy i jak okręt, którym żeglowałem, uległ rozbiciu.

Zamiary miss Havisham w stosunku do mnie okazały się tylko marzeniem. Estella nie była mi nigdy przeznaczona. Znoszono mnie w willi „Satis jedynie dla wygody, w charakterze żądła dla zazdrosnych krewnych, automatu z mechanicznym sercem, przeznaczonego do ćwiczeń, gdy nikt inny nie znalazł się pod ręką. Takie były moje pierwsze cierpienia. Ale zjawily się jeszcze srozsze i głębsze. Oto męczyła mnie świadomość, iż dla tego przestępcy galernika, winnego nie wiadomo jakich zbrodni, dla człowieka, którego mogli lada chwila zaarrestować w moim domu i powiesić w Old Bailey, porzuciłem Joego.

Za nic w świecie nie mógłbym teraz powrócić do Joego ani do Bidy, prawdopodobnie po prostu dlatego, że najsilniej odzywało się we mnie poczucie winy wobec nich. Wiedziałem, że żadna mądrość świata nie zdołałaby dać mi takiej pociechy jak ich wierność i prostota, a mimo to uważałem, że nigdy, nigdy, nigdy nie zdołam naprawić krzywdy, którą im wyrządziłem.

Każdy nowy atak ulewy i wichury stwarzał mi teraz złudzenia. Dwa razy byłbym przysięgał, że ktoś puka do drzwi wejściowych i przy nich szepcze. Pełen lęku gotów byłem uwierzyć, że tajemnicze znaki zapowiedziały mi przybycie tego człowieka, że w ciągu ostatnich tygodni zdarzało mi się po wiele razy widzieć wśród tłumu na ulicy twarze podobne do jego twarzy, że w miarę jak okręt jego zbliżał się przez morze, znaki te mnożyły się coraz bardziej, że to jego złośliwy duch przysłał mi owe sygnały po to, by wreszcie w tę oto burzliwą noc dotrzymać słowa i znaleźć się przy mnie.

A wraz z tymi rozmyślaniami napływały i inne. Przypomniałem sobie, że widziałem przecież dziecięcymi oczyma, jaki był rozpaczliwie gwałtowny, że drugi galernik opowiadał mi, jak usiłował go zamordować, że sam na własne oczy oglądałem go walczącego w rowie przydrożnym niczym wściekłe, dzikie zwierzę.

I pod wpływem tych wspomnień z płomieni kominka wypełził ku mnie na pół skryzalizowany lęk, że niebezpiecznie jest przebywać z nim samotnie w jednym mieszkaniu, z dala od ludzi.

Obawa ta rosła, aż wypełniła pokój i zmusiła mnie do wzięcia zapalonej świecy i spojrzenia na straszliwie uciążliwego gościa.

Okręcił sobie głowę chustką i twarz jego w uśpieniu miała wyraz srogi i posępny. Ale spał spokojnie, mimo że tuż przy nim leżał na poduszce pistolet. Trochę uspokojony wysunąłem się cicho z pokoju i wychodząc przekręciłem z zewnątrz klucz w jego drzwiach. Potem dopiero wróciłem do kominka. Sam nie wiedziałem, kiedy zsunąłem się we śnie z krzesła na podłogę. Gdym się obudził, nie rozstawszy się zresztą ani na chwilę we śnie ze świadomością nieszczęścia, zegary na kościołach wschodniej dzielnicy miasta były piątą, świece się wypaliły, ogień w kominku wygasł, a wichura i deszcz czyniły Mr.ok nocny jeszcze gęstszym.

OTO KONIEC DRUGIEGO AKTU NADZIEI PIPA

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Okazało się szczęśliwe dla mnie, że podjąłem kroki dla zapewnienia bezpieczeństwa (w miarę możliwości) memu straszemu gościowi, gdyż myśl o nim, która uderzyła mnie natychmiast po przebudzeniu, odpędziła wszystkie inne.

Rzecz prosta, nie mogłem go ukrywać w mieszkaniu, gdyż. musiałoby to obudzić podejrzania. Nie miałem już, co prawda, na służbie Mściciela, ale usługiwała mi stara, wiecznie złoścząca się kobiecina, a z nią razem przychodził żywy worek łachmanów, który nazywała swą siostrzenicą. Strzeżenie przed nimi tajemnicy pokoju Herberta podnieciłoby tylko ich ciekawość i prowadziłoby do przesadnych domysłów. Obie miały osłabiony wzrok, co przypisywałem skutkom stałego zaglądania przez dziurki od klucza, i odznaczały się właściwością znajdowania się zawsze pod ręką w najnieodpowiedniejszej chwili. Były to zresztą ich jedyne zalety poza kradzieżami. Nie mogąc więc przed tymi osobami nic ukryć, postanowiłem oznajmić im, że zniemacka odwiedził mnie wujaszek ze wsi.

Ułożyłem to sobie macając w ciemnościach w poszukiwaniu zapalek i świecy. Ponieważ nic nie znalazłem, postanowiłem zejść na dół, by zawołać nocnego stróża z latarnią. Wymacując sobie drogę w Mr.oku schodów potknąłem się o coś i wyczułem, że był to człowiek skulony w kącie.

Przemówiłem do niego, ale nic nie odpowiedział i uchylił się przed moim dotknięciem. Pobiegłem więc na dół do stróża i wezwałem go, aby jak najszybciej przyszedł. Po drodze opowiedziałem mu o człowieku na schodach.

Wiatr był tak silny, że nie zapaliliśmy lamp na schodach od płomienia latarni w obawie, aby nie zgasła, ale mimo to obszukaliśmy całą klatkę schodową od dołu do góry i nie znaleźliśmy nikogo. Przyszło mi wtedy do głowy, że człowiek ten mógł się wśliznąć do mego mieszkania przez uchylone drzwi, więc zapaliwszy świecę od latarni stróża poprosiłem go, by zczekał przy drzwiach, i przeszedłem przez wszystkie pokoje, nie wyłączając nawet tego, w którym spał straszny gość.

Było tam spokojnie i najwidoczniej nikt tu przez ten czas nie wchodził. Myśl, że ktoś czyhał na moich schodach właśnie w tę jedyną ze wszystkich nocy w roku, zmieszala mnie tak okropnie, że wręczając stróżowi kieliszek na rozgrzewkę (wciąż stał jeszcze pod drzwiami mego mieszkania) spytałem go, czy dzisiejszej nocy wpuszczał do bramy kogoś zapóźnionego. Odpowiedział, że tak, że otwierał trzykrotnie bramę o różnych porach trzem

panom. Jeden z nich mieszkał w Fountain Court, a dwu pozostałych w Lane. Widział, jak wszyscy trzej wchodzili do domów.

Natomiast jedyny oprócz mnie lokator tego domu, w którym znajdowało się moje mieszkanie, bawił od kilku tygodni na wsi i z pewnością nie wrócił tej nocy, ponieważ wchodząc po schodach widzieliśmy kłódkę na jego drzwiach.

- W taką pogodę, proszę pana, jak dzisiejszej nocy - zauważał stróż oddając mi kieliszek - mało kto wraca późno. Oprócz tych trzech panów, którym otwierałem, tylko koło jedenastej wieczorem ktoś pytał o pana.

- Tak, wiem, to mój wuj - Mr.uknąłem.

- Był u pana?

- Tak, o, tak!

- Razem z tym drugim osobnikiem?

- Z drugim osobnikiem? - powtórzyłem.

- Zdawało mi się, że ten drugi był razem z nim, proszę pana - objaśnił stróż - tamten zatrzymał się, kiedy on się zatrzymał i pytał o pana, i ruszył za nim, kiedy on ruszył.

- Co to był za osobnik?

Dozorca nie zauważył dokładnie jego wyglądu. Według niego był to jakiś robotnik. Miał na sobie szare ubranie, a na ta ciemny płaszcz. Dozorca nie przywiązywał zresztą żadnej wagi do tego faktu. Ja, przeciwnie, miałem powody, by się tym przejmować.

Kiedy się go wreszcie pozbyłem, skracając jego wyjaśnienia, zacząłem się zastanawiać nad zbiegiem wypadków tej nocy. Każde z tych dwu zdarzeń oddzielnie dawało się doskonale wytłumaczyć: jakiś zapóźniony mieszkaniec dzielnicy mógł nie trafić na bramę stróża, zabłąkać się na moje schody i tu zasnąć, albo też mógł to być ktoś, kto wskazywał drogę memu gościowi, a potem zasnął na schodach. Ale oba te wypadki wzięte razem napawały lękiem człowieka, który, tak jak ja, stał się od kilku godzin podejrzliwy.

Rozpaliłem ogień, który o tej rannej godzinie płonął nędznym bladym blaskiem, i zdrzemnąłem się przy kominku. Miałem uczucie, że drzemka ta trwała całą noc, kiedy obudziło mnie bicie szóstej. Ponieważ od pełnego blasku dnia dzieliło mnie jeszcze półtorej godziny, zdrzemnąłem się na nowo. Chwilami budziłem się niespokojnie, mając w uszach jakiś odgłos rozwlekłych rozmów o niczym albo biorąc szum wiatru za grzmoty, wreszcie zapadłem w głęboki sen, z którego obudziłem się znienacka, gdy był już jasny dzień.

Dotychczas nie zastanawiałem się jeszcze ani chwili nad moją sytuacją. I teraz także nie mogłem się skupić. Czułem się przybity i głęboko zmartwiony, ale w sposób jak gdyby chaotyczny. Równie trudno byłoby mi w tej chwili tworzyć jakiekolwiek plany na przyszłość,

jak stworzyć na przykład słonia. Kiedy otworzyłem okiennice na Mr.oczny, burzliwy, ołowiany poranek, kiedy przechadzałem się z pokoju do pokoju, kiedy siadałem drząc przy kominku i czekając na zjawienie się gospodyni rozmyślałem, jak głęboko jestem nieszczęśliwy, ale nie zdawałem sobie w tej chwili sprawy z przyczyn mego nieszczęścia, nie pamiętałem od jak dawna, w jakim dniu tygodnia przytrafiło mi się to i nawet nie wiedziałem w tej chwili, kim sam jestem.

Wreszcie przyszła staruszka z siostrzenicą, której głowa mało co różniła się od jej zakurzonej miotły, i obie zdziwiły się ogromnie na mój widok przy kominku. Oświadczyłem im, że w nocy przyjechał mój wuj, że jeszcze śpi i że na skutek tego należy zmienić nieco codzienne przygotowania do śniadania.

Następnie myłem się i ubierałem, podczas gdy one przesuwały meble i podnosiły tumany kurzu. Wreszcie, jak gdyby wciąż przebywając w śnie somnambulicznym, zasiadłem znowu przy kominku, czekając na jego wejście na śniadanie.

Wkrótce potem drzwi się otworzyły i wszedł do pokoju. Trudno mi było znieść jego widok i rzuciwszy mu przelotne spojrzenie stwierdziłem, że w świetle dziennym wygląda jeszcze gorzej niż poprzedniego wieczora.

- Nie wiedziałem nawet - szepnąłem, gdy usiadł przy stole - jak mam o panu mówić. Powiedziałem więc, że wuj do mnie przyjechał.

- Doskonale, drogi chłopcze! Nazywaj mnie wujem.

- Przypuszczam, że przybrał pan na pokładzie statku jakieś nazwisko?

- Tak, kochany chłopcze, nazwisko Provis.

- Czy zamierza pan zachować to nazwisko?

- Chyba tak, niegorsze jest niż każde inne. Chyba że wolałbyś, abym się inaczej nazywał.

- Jak brzmi pańskie prawdziwe nazwisko? - spytałem szeptem.

- Magwitch - powiedział tym samym tonem - a na imię mi Abel.

- Kim zamierzał pan być?

- Kanalią, mój chłopcze.

Oznajmił to takim tonem, jak gdyby naprawdę wymieniał jakiś zawód ludzki.

- Kiedy przyszedł pan do Tempie ubiegłej nocy... - tu urwałem, gdyż wydało się nieprawdopodobne, by tak straszne wypadki mogły nastąpić dopiero tej nocy, tak wydawały mi się odległe.

- To co, drogi chłopcze? - podchwycił.

- Kiedy podszedł pan do bramy i spytał strażnika o drogę do mego domu, czy był pan wówczas sam, czy też ktoś panu towarzyszył?

- Mnie? Nikt, chłopcze.

- Ale był ktoś jeszcze obok pana?

- Nie zwróciłem specjalnie uwagi - odparł z wahaniem - nie znam tej dzielnicy i tym byłem pochłonięty, ale może ktoś wchodził wraz ze mną.

- Czy znają pana w Londynie?

- Spodziewam się, że nie - odpowiedział uderzając się wskazującym palcem po szyi gestem, który sprawił, że krew uderzyła mi do głowy.

- Czy kiedyś znali pana w Londynie?

- Chyba nigdy. Przebywałem przeważnie na prowincji.

- Czy stawał pan w Londynie... przed sądem?

- Kiedy? - spytał patrząc na mnie ostro.

- Ostatnim razem. Pokiwał głową twierdząco.

- Wtedy poznałem właśnie Mr. Jaggersa. Jaggers mnie bronił.

Już miałem na końcu języka pytanie, za co go wówczas sądzono, gdy ujął palcami nóż, wykręcił nim w powietrzu młynka i odkładając go na miejsce powiedział:

- Cokolwiek uczyniłem, odpokutowałem już za to. I sprawa skończona.

Powrócił do śniadania.

Jadł przerażająco żarłocznie, każdy jego gest był niezręczny, hałaśliwy i łakomy. Od czasu kiedy go widział jedzącego na bagnisku, stracił kilka zębów i kiedy teraz obracał w ustach jedzenie, i przechylał głowę na bok, by je łatwiej zaatakować pozostałymi zębami, przypominał 'mi straszego, wygłodniałego psa.

Gdybym nawet miał apetyt, odebrałby mi go swym widokiem. Siedziałem więc ogarnięty nieprzezwyrodnym wstrętem i smutnie patrzyłem w obrus.

- Porządny ze mnie żarłok, drogi chłopcze - oświadczył w formie usprawiedliwienia, gdy zakończył jedzenie - ale zawsze byłem taki. Gdybym potrafił opanować apetyt, miałbym znacznie mniej przykrości. Tak samo z paleniem. Muszę palić. Kiedy po raz pierwszy wynajęłem się za pastucha tam na drugiej półkuli, to mam wrażenie, że sam zamieniłbym się w oszalałą z melancholii owcę, gdyby nie to, że palił.

To mówiąc wstał od stołu i zanurzywszy dłoń w kieszeń swej kurtki, wyjął stamtąd małą, czarną fajeczkę i garść luźnego tytoniu z gatunku, który nazywają „murzyńską głową”. Napchawszy fajeczkę resztę ponownie wrzucił do kieszeni, jak gdyby do szuflady. Potem

wziął szczypcami z kominka żarzący się węgielek, zapalił fajkę, obrócił się na dywaniku przed, kominkiem plecami do ognia i ulubionym gestem wyciągnął ku mnie obie ręce.

- A oto - mówił podnosząc i opuszczając moje dłonie, w miarę jak pykał z fajeczki - a oto pan, którego ja stworzyłem! Prawdziwy, niefałszowany pan! Ach, jak dobrze mi to robi, gdy patrzę na ciebie, Pip! Niczego więcej od ciebie nie żądam, tylko móc być przy tobie i patrzeć na ciebie, kochany mój chłopcze!

Uwolniłem dłonie jak najprędzej i nagle odkryłem, że mogę się już zastanowić nad moim położeniem. Gdy tak siedział słuchając jego ochryplego głosu i patrząc na łysą, pobrużdżoną głowę z kępkami siwych włosów po bokach, pojąłem nagle, jak silnymi łańcuchami jestem spętany.

- Mój pan nie powinien brnąć przez błoto po ulicach. Nie wolno, aby jego obuwie się błociło. Mój pan musi mieć własne konie, Pip! Wierzchowce, których będzie dosiadał, i konie, którymi będzie jeździł, a jego służący powoził. Jak to, koloniści mogli mieć własne konie (i to czystej krwi rumaki, na Boga!), a mój londyński pan by ich nie miał posiadać? Nie, nie! Pokażemy im inną parę butów. Prawda, Pip?

Wyciągnął z kieszeni grubo wypchany portfel i rzucił na stół.

- Jest tu coś niecoś do wydania, kochany chłopaku. I to wszystko twoje. Wszystko, co posiadam, nie jest moje, tylko twoje. Nic się nie bój. Ci, od których to pochodzi, mają jeszcze więcej. Przybyłem do starego kraju, by na własne oczy zobaczyć, jak mój pan wydaje swe pieniądze po wielkopańsku.. To będzie dopiero moja przyjemność. I niech diabli wezmą ich wszystkich! - krzyknął nagle rozglądając się dziko po pokoju i trzaskając palcami - niech diabli wezmą ich od sędziego w peruce do kolonisty, który mnie obsypywał kurzem na drodze, ja im pokażę większego pana niż cała ich banda razem!

- Niech pan przestanie - zawołałem pełen przerażenia i obrzydzenia - chcę pana o coś spytać. Chcę wiedzieć, jakie pan przedsięwziął środki ostrożności, jak długo zamierza pan tu pozostać, jakie pan ma zamiary na przyszłość.

- Posłuchaj mnie, Pip - powiedział nagle zmienionym i pokornym tonem, kładąc mi dłoń na ramieniu - posłuchaj mnie dobrze. Zapomniałem się. Mówiłem w sposób niski. Zapomnij o tym, Pip. Ja nie jestem podły.

- Więc niech mi pan najpierw powie - prosiłem niemal płacząc - jakie powinno się przedsięwziąć środki, aby pana nie poznano i nie ujęto?

- Nie - odparł tym samym pokornym i przeprasającym tonem - nie, mój chłopcze, nie to jest najważniejsze. Przede wszystkim zapomnij o mojej podłości. Nie po to tyle lat

tworzyłem prawdziwego pana, by później tak się w stosunku do niego zachować. Przyznaję się, Pip, mówiłem nieodpowiednie słowa. Wybacz mi, drogi chłopcze.

Coś w tym makabrycznym przemówieniu rozśmieszało mnie, więc odpowiedziałem z rozdrażnieniem i śmiechem jednocześnie:

- Już zapomniałem o tym. Na miłość boską, niech pan przestanie już o tym mówić!

- Dobrze, tylko zrozum, kochany chłopcze, że nie po to jechałem do ciebie z tak daleka, aby być podłym... A teraz mów dalej. Mówiłeś, że...

- Pytałem, jak ustrzec pana od niebezpieczeństwa, które mu grozi.

- Widzisz, mój kochany, niebezpieczeństwo nie jest tak znowu wielkie. Przecież tylko Jaggery, Wemmick i ty wiecie o moim przybyciu. Któż inny mógłby o mnie donieść?

- Czy nie ma obawy, by ktoś poznał pana na ulicy? - spytałem.

- Sądzę, że nie ma - odpowiedział - nie mam zamiaru przecież ogłaszać w gazetach, że A. M. powrócił właśnie z Zatoki Botany. Lata upłynęły od tego czasu i komu by na tym mogło wreszcie zależeć? A zresztą, posłuchaj mnie, Pip. Gdyby niebezpieczeństwo było pięćdziesiąt razy większe, niż jest, i tak przyjechałbym ciebie zobaczyć.

- A jak długo zamierza pan tu pozostać?

- Jak długo? - powtórzył wyjmując spomiędzy warg swą czarną fajeczkę i patrząc na mnie z nieco opuszczoną szczęką - przyjechałem już na zawsze. Nigdzie nie wyjeżdżam.

- Gdzie pan zamieszka? - badałem - co z panem się stanie? Gdzie będzie pan naprawdę bezpieczny?

- Kochany chłopcze - powiedział - nie trudno kupić sobie perukę, puder, okulary, czarne ubranie i przebrać się, jak to uczyniło już wielu przede mną. A co do tego, gdzie będę mieszkał, to chciałbym zasięgnąć twojego zdania.

- Dzisiaj pan bierze te rzeczy ogromnie lekko - zauważyłem - ale tej nocy przysięgał mi pan, że to sprawa gardłowa.

- I teraz nie mówię inaczej - odparł - to śmierć i śmierć przez powieszenie na otwartej dla wszystkich ulicy, niedaleko stąd.

Pociągnął z fajeczki i dodał:

- Musisz o tym pamiętać. Ale stało się już. Przyjechałem, a wracać to jeszcze niebezpieczniej. Poza tym, Pip, jestem tutaj dlatego, że latami marzyłem, aby być przy tobie. A co do tego, że ryzykuję, to stary ze mnie i doświadczony ptaszek i niejedną pułapkę, jaką na mnie zastawiano, już w życiu ominąłem; nie zleknie się teraz przecież stracha na wróble. Jeżeli za nim kryje się śmierć, to niech przyjdzie. Spojrzę jej prosto w twarz i wtedy dopiero w nią uwierzę. Wcześniej nie. A teraz pozwól mi raz jeszcze popatrzeć na mego pana.

Znowu ujął mnie za obie ręce i przyglądał mi się z miną podziwiającego swój przedmiot właściciela nie przestając kurzyć fajeczki.

Pomyślałem więc, że najrozsądniej będzie wynająć mu jakieś niewielkie mieszkanie niedaleko ode mnie i przeprowadzić go tam za dwa lub trzy dni, kiedy powróci Herbert. Wydawało mi się konieczne wtajemniczenie Herberta w całą sprawę, chociażby ze względu na to, że przyniosłoby mi to wielką ulgę. Ale Mr.

Provisowi (postanowiłem nazywać go tym nazwiskiem) nie wydawało się to takie konieczne i zastrzegł sobie, że wyrazi swe zdanie dopiero po obejrzeniu Herberta i zdecydowaniu, czy twarz jego budzi dość zaufania.

- I nawet wówczas, mój kochany chłopcze - powiedział wyciągając z kieszeni zatłuszczony egzemplarz Biblii - nawet wówczas będzie musiał złożyć przysięgę.

Nie mógłbym na pewno twierdzić, że mój straszliwy opiekun nosił przy sobie Biblię tylko w tym celu, by mu na nią przysięgano w krytycznych chwilach, ale nigdy nie widziałem potem, by robił z niej jakiś inny użytek. Sama książka robiła wrażenie egzemplarza ukradzionego z jakiegoś sędziowskiego stołu i może to sprawiło, że nabrałem wiary w jej potęgę i przypisywałem jej tę samą czarodziejską moc. Przypominałem sobie też, jak na cmentarzu kazał mi przysięgać, że go nie zdradzę, i jak zwierzał mi się dzisiejszej nocy, że składał sam sobie przysięgi, których, dotrzymał.

Ponieważ odziany był w coś w rodzaju marynarskiego kaftana i wyglądał tak, jak gdyby miał na sprzedaż papugi lub cygara, więc zaczęliśmy się zastanawiać, w co by go przebrać. Miał nieograniczone zaufanie do zalet przebrania polegającego na włożeniu krótkich spodni i zaproponował sam ubranie, w którym, wyglądałby jak coś pośredniego pomiędzy duchownym a dentystą. Nie bez trudu namówiłem go na strój, w którym robił wrażenie zamożnego rolnika, i zdecydowaliśmy, że ostrzyże krótko? włosy i z lekka je przypudruje. Postanowiliśmy jeszcze, że ponieważ moja gospodyni ani jej siostrzenica jeszcze go nie widziały, nie pokaże im się, zanim się nie przebierze.

Zdawać by się mogło, że wszystkie te postanowienia łatwo było wprowadzić w życie, ale w dziwnym stanie oszołomienia i roztargnienia, w jakim się znajdowałem, trzeba mi było na to aż kilku godzin. Dopiero o drugiej czy trzeciej po południu wyszedłem z domu. Gość mój miał pozostać zamknięty w swoim pokoju i nikomu nie otwierać drzwi.

Znałem na Essex Street porządną kamieniczkę, w której tylna, ściana wychodziła na Tempie, na wprost moich okien. Udałem się tam i miałem szczęście, gdyż umeblowane mieszkanie na drugim piętrze było wolne i mogłem je wynająć dla mego wuja anr Provisa. Potem chodziłem od sklepu do sklepu kupując wszystko, co było potrzebne do jego

przebrania. Kiedy i to załatwiłem, udałem się z własnej inicjatywy do Małej Brytanii. Mr Jagers siedział za biurkiem, ale na mój widok zerwał się i stanął przy kominku.

- A teraz, Pip - powiedział - bądź ostrożny!

- Dobrze, proszę pana - odparłem, gdyż przez drogę obmyśliłem już niejedno.

- Nie szkodź sobie - doradzał Mr. Jagers - i nie szkodź nikomu innemu. Czyś zrozumiał? Nikomu innemu. Nic mi nie opowiadaj. Nie jestem ciekawy.

Zrozumiałem oczywiście, że Mr. Jagers wie o przybyciu tego człowieka.

- Chciałbym tylko dowiedzieć się, Mr. Jagers - oświadczyłem - czy to, co mi opowiadano, jest prawdą. Chciałem to sprawdzić. Nie mam co prawda nadziei, aby to mogło być niezgodne z rzeczywistością, ale wolno mi chyba zbadać sprawę. Mr Jagers pokiwał głową i zauważył:

- Czy mi się zdawało, żeś użył wyrazu „opowiadano”, czy też mówiłeś, że cię „zawiadomiono”?

Zadając to pytanie przechylił głowę na bok i nie patrzył na mnie, tylko w podłogę, jak gdyby nasłuchiwał. - Opowiadać, to znaczy rozmawiać z kimś. A przecież nie mogłeś rozmawiać z kimś, kto znajduje się w Południowej Nowej Walii, o czym ci wiadomo.

- Miałem na myśli, że mnie zawiadomiono, Mr. Jagers. To dobrze.

- Więc zawiadomił mnie pewien człowiek nazwiskiem Abel Magwitch, że to on jest moim nieznanym dobroczyńcą.

- Tak, to ten człowiek w Południowej Nowej Walii - potwierdził Mr. Jagers.

- I tylko on? - spytałem.

- Tylko on - przytaknął Mr. Jagers.

- Nie jestem bynajmniej na tyle nierozsądny, by czynić pana odpowiedzialnym za moją pomyłkę, ale zawsze przypuszczałem, że tą osobą jest miss Havisham.

- Sam powiedziałaś, Pip - odparł Mr. Jagers patrząc na mnie zimno i zabierając się do obgryzania swego wskazującego palca - że ja za to nie odpowiadam.

- A mimo to tak bardzo na to właśnie wyglądało - upierałem się z bólem serca.

- Nie było na to nawet odrobiny powodu, Pip - zauważył Mr. Jagers kręcąc głową i zbierając połę swego fraka w rękę - nie sądź o niczym nigdy z pozorów, kieruj się tylko dowodami i na nich opieraj. Nie ma lepszej zasady.

- Nic już więcej nie mam do powiedzenia - zakończyłem z westchnieniem, po krótkiej chwili milczenia - sprawdziłem moją informację i, na tym koniec.

- Teraz, gdy Magwitch z Południowej Nowej Walii wreszcie odkrył swoje oblicze - oświadczył Mr. Jagers - musisz przyznać, Pip, że nigdy w postępowaniu z tobą nie

zbaczałem z nakreślonej faktami linii. Nie zbaczałem ani na krok z tej linii. Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, Pip?

- Całkowicie, proszę pana.

- Zakomunikowałem Magwitchowi do Południowej Nowej Walii, gdy po raz pierwszy do mnie napisał... z Nowej Południowej Walii... że uprzedzam go, iż nigdy nie zбочę z tej prostej linii postępowania. Napisałem mu też inne ostrzeżenie. Mianowicie w jednym z listów zrobił niejasną aluzję, że chciałby przyjechać do Anglii. Ostrzegłem go, że nie chcę nic o tym więcej słyszeć, że nie ma on żadnych szans uzyskania łaski, że jest skazany na dożywotnie zesłanie i że zjawienie się w kraju byłoby z jego strony ciężkim przestępstwem, które mogłoby pociągnąć za sobą karę śmierci. Udzieliłem Magwitchowi takiej przestrogi, napisałem mu do Południowej Nowej Walii - tu spojrział na mnie bacznie i dokończył: - i spodziewam się, że usłuchał mojej rady i pozostał.

- Oczywiście - odparłem.

- Wemmick zawiadomił mnie - ciągnął Mr. Jagers, wciąż patrząc na mnie bacznie - że otrzymał list z Portsmouth od jakiegoś kolonisty nazwiskiem Purvis czy też...

- Czy też Provis - dokończyłem.

- Czy Provis, dziękuję, Pip. Może to Provis. Ty wiesz, że to Provis?

- Tak - potwierdziłem.

- Więc wiesz, że nazywa się Provis. Otóż ten kolonista Provis pytał z Portsmouth o twój adres w imieniu Magwitcha. Wemmick posłał mu odwrotną pocztą twój adres. Zapewne przez tego Provisa dowiedziałeś się prawdy o Magwitchu przebywającym w Nowej Południowej Walii?

- Tak, przez Provisa.

- Więc do widzenia, Pip - pożegnał mnie Mr. Jagers podając mi rękę - rad byłem cię widzieć. Jeżeli będziesz pisał pocztą do Magwitcha do Walii lub będziesz mu coś komunikował przez Provisa, proszę, zawiadom go w moim imieniu, że szczegółowe wykazy i wyciągi zostaną tobie przesłane razem z resztą sum, bo jest i reszta. Do widzenia, Pip!

Uścisnęliśmy sobie dłonie, a on patrzył na mnie bacznie dopóty, dopóki tylko mógł mnie dojrzeć. Gdy odwróciłem się ku drzwiom, jeszcze śledził mnie wzrokiem, a dwie ohydne płaskorzeźby na półce robiły wrażenie, jak gdyby usiłowały podnieść przymknięte powieki i wyrzucić z nabrzmiątych gardzieli słowa: „Och, cóż to za człowiek!”

Wemmicka nie było, a gdyby nawet siedział przy swoim biurku, i tak nic by mi nie mógł pomóc. Powróciłem więc już wprost do Tempie, gdzie w domu zastałem straszliwego Provisa pijącego rum z wodą sodową i palącego „głowę murzyńską całkiem bezpiecznie.

Nazajutrz odesłano do domu ubrania, które zamówiłem. Ubrał się w nie. Wydawało mi się, cokolwiek kładł na siebie, że jeszcze stokroć gorzej wyglądał niż w tym, co miał na sobie poprzednio. Miałem wrażenie, że coś w jego wyglądzie nie pozwala mu się zmienić pod wpływem ubrania. Im dłużej go ubierałem i im lepsze rzeczy na niego wkładałem, tym bardziej był, według mnie, podobny do zbiega, którego spotkałem niegdyś na bagnisku. Bez wątplenia, to wrażenie zawdzięczałem nieco i mojej przerażonej fantazji, i temu, że twarz jego wydawała mi się tak bardzo znajoma, ale mimo to istotnie pociągał nieco jedną nogą, jak gdyby dźwigał na niej żelazo, i od stóp do głów był prawdziwym galernikiem.

Samotne życie w szałasie pasterskim sprawiło, że twarz Provisa nabrała wyrazu dzikości, której nie mogło zamaskować żadne odzienie. Poza tym znać na nim było wpływy występnego życia, jakie prowadził, i obecny lęk przed ujęciem. Cechy te od razu wyodrębniały go od innych. Istniało jeszcze wiele szczegółów, które zdradzały go na każdym kroku: sposób wstawania i siadania oraz jedzenia i picia, jego zamyślanie się z głową wsuniętą w ramiona, sposób, w jaki chwycił nóż za rogowy trzonek, wycierał go o cholewę, by za chwilę krajać nim mięso, sposób, w jaki niósł do ust pełną szklanę czy filiżankę, niczym ciężki blaszany kubek, czy krajał na drobne kawałki chleb i starannie wycierał nim sos z talerza żeby nie uronić ani kropelki, a potem otarłszy ostatnim kawałkiem chleba zatłuszczone palce połykał go chciwie. Te wszystkie nieświadome ruchy od razu kazały się domyślać, że ma się przed sobą więźnia, galernika, przestępcę.

Jego to pomysłem było lekkie pudrowanie resztek włosów i zgodziłem się, żeby to robił, wyperswadowawszy mu uprzednio krótkie spodnie. Ale kiedy spróbował pudru, okazało się, że z takim samym powodzeniem można by szminkować trupa. Pretensjonalność pudrowania włosów zdawała się jeszcze bardziej podkreślać jego okropne maniere. Zrezygnowaliśmy więc z tego i nosił siwe włosy tylko krótko przystrzyżone.

Trudno mi wyrazić słowami, jak strasznie ciążyła mi zagadka, którą był ten człowiek. Kiedy wieczorem zasypiał w fotelu oparłszy żylaste ręce o poręczę i zwiesiwszy poznaczoną bliznami łysą głowę na piersi, wpatrywałem się w niego zadając sobie pytanie, jakie to przestępstwa ciąży na nim, i wyobrażałem sobie tak okropne zbrodnie, że najchętniej uciekłbym pełen przerażenia jak najdalej.

Moja odraza w stosunku do gościa wzrastała niemal z każdą godziną i zdarzały się takie chwile, kiedy mimo wszystko, co dla mnie uczynił, gotów byłem poddać się temu uczuciu, gdyby nie podtrzymywała mnie myśl o rychłym powrocie Herberta. Pewnej nocy wstałem i zacząłem wkładać najgorsze ubranie z zamiarem pozostawienia tu wszystkiego i zaciągnięcia się do armii w Indiach.

Wątpię, czy jakikolwiek upiór mógłby mi napędzić więcej strachu niż on w owe długie dżdżyste wieczory i noce w pustych pokojach, gdy wichher wstrząsał oknami. Upiora nie mogli ująć i powiesić z mojej przyczyny, a właśnie myśl, że mogą to uczynić z Magwitchem, i strach, by się to nie stało, stanowiły główne źródło mojej męki.

Kiedy nie spał, kładł wystrzępionymi kartami jednego ze swych skomplikowanych i nigdy mi przedtem ani potem nie znanych pasjansów, wbijając nóż w powierzchnię stołu za każdym razem, gdy gra mu dobrze poszła. Prosił mnie wówczas, bym mu coś przeczytał.

- W obcym języku, chłopcze - mówił.

Nie rozumiał ani słowa z tego, com mu czytał, ale stał przez cały czas nieruchomo przy kominku z taką miną, jakby się mną popisowywał. Przez palce ręki, którą przesłaniałem twarz, widziałem, jak gestem rąk zaprasza meble, by mnie podziwiała. Bohater znanego podania, uczeń czarnoksiężnika, prześladowany przez świętokradczo stworzoną przez siebie, nieudaną istotę, nie był nieszczęśliwszy ode mnie, prześladowanego przez tego, który w pewnym sensie mnie stworzył, im bardziej wzrastał jego podziw dla mnie, im bardziej mnie kochał, tym ja czułem do niego większą odrazę.

Czuję, że opisuję tę sytuację tak, jak gdyby trwała rok, a tymczasem ciągnęła się zaledwie pięć dni. Oczekiwałem z chwili na chwilę powrotu Herberta i nie wychodziłem niemal z domu, z wyjątkiem wieczornej pory, kiedy to wyprowadzałem Provisa na małą przechadzkę. Wreszcie pewnego wieczora po obiedzie, kiedy zapadłem w małą drzemkę - byłem ostatnio niesłychanie wyczerpany bezsennością nocną i straszliwymi snami, jakie mnie dręczyły - usłyszałem znajome kroki na schodach. Provis, który również drzemał, obudził się nagle i ujrzałem, że w ręku jego błysnął składany nóż.

- Spokojnie! To Herbert! - zawołałem i do pokoju wpadł mój przyjaciel wnosząc ze sobą świeżość powietrza mil Francji.

- Herbert, mój drogi przyjacielu, jak się miewasz? I raz jeszcze, jak się miewasz, i raz jeszcze, jak się miewasz? Wydaje mi się, że nie było ciebie przez dwanaście miesięcy!

- Chyba mnie tyle czasu nie było, bo wybladłeś i schudłeś przez ten czas, mój Haendlu, och... przepraszam.

Zatrzymał się na środku pokoju i puścił moje ręce ujrawszy Provisa. Provis, przyglądając mu się bacznie, złożył powoli nóż i schował do kieszeni.

- Herbert, mój drogi przyjacielu - powiedziałem zamykając podwójne drzwi, gdy Herbert stał zdumiony na miejscu - stało się coś niezwykłego. To jest mój... gość.

- Wszystko dobrze, mój kochany chłopcze - oświadczył Provis robiąc ku nam kilka kroków i trzymając w ręku swą małą, zniszczoną czarną książeczkę. - Niech pan weźmie to

do prawej ręki - zwrócił się do Herberta. - Niech Bóg porazi cię śmiercią na miejscu, jeżeli złamiesz tę przysięgę. Pocałuj książkę.

- Zrób, jak on chce - poprosił Herberta.

Wobec tego mój przyjaciel, spojrzawszy na mnie z przyjacielskim zażenowaniem i zdziwieniem, usłuchał. Provis uścisnął mu rękę i oznajmił:

- Teraz jest pan związany przysięgą. I niech pan nie wierzy mojej przysiędze, jeżeli Pip nie zrobi z pana również wielkiego pana!

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Na próżno usiłowałem opisywać zdumienie i niepokój Herberta, kiedy wraz ze mną i Provisem zasiadł przy kominku dla wysłuchania mego opowiadania o tajemnicy. Dość będzie, gdy powiem, że w oczach Herberta wyczytałem te same uczucia, jakie we mnie obudziło jej odkrycie, a nawet tę samą odrazę, jaką ja czułem dla mego dobroczyńcy.

Gdyby nawet nic nie dzieliło nas od tego człowieka, to i tak wykopałby pomiędzy sobą a nami przepaść okazywaniem triumfu, w miarę jak posuwało się opowiadanie. Nie podejrzewał wcale prawdziwych uczuć, jakie mną władały, i był całkiem zadowolony ze wszystkiego, co między nami zaszło. Żałował tylko chwili zapomnienia się, w której to, według siebie, zachował się w sposób „niski. Przeprosił więc jeszcze raz za to Herberta i mnie i nic nie mąciło jego zadowolenia. Kiedy wyrażał radość, iż uczynił ze mnie pana i że specjalnie przyjechał przyglądać się, jak używam jego bogactw, był święcie przekonany, że sprawia przyjemność i mnie, że obaj jesteśmy z tego jednakowo dumni i że obu nas przepelnia to samo szczęście.

- Niech pan mnie słucha, przyjacielu Pipa - zwrócił się na zakończenie do Herberta - wiem, że po przyjeździe zachowałem się raz, może przez pół minuty nieodpowiednio. Powiedziałem Pipowi, że postąpiłem niegodnie. Ale nie potrzebujecie się obawiać ani pan, ani Pip. Wiem dobrze, jak się zachowywać teraz, kiedy z Pipa zrobiłem wielkiego pana i kiedy Pip robi to samo z panem. Drogi chłopcze, i pan, przyjacielu Pipa, możecie być całkiem spokojni, że potrafię sobie odtąd nałożyć kaganiec grzeczności. Mam na sobie ten kaganiec od owej pół minuty, kiedym się zapomniał, aż do tej chwili, i będę go nakładał odtąd zawsze w przyszłości.

Herbert Mr.uknął „z pewnością, ale nie wyglądał na zachwyconego tą perspektywą. Nadal był przygnębiony i zmieszany. Wyczekiwaliśmy chwili, kiedy wreszcie odejdzie do swego mieszkania i zostawi nas samych, ale on najwyraźniej był zazdrosny o mnie i siedział bardzo długo. Była północ, kiedy wreszcie odprowadziłem go do drzwi jego mieszkania na Essex Street. A kiedy drzwi zamknęły się za nim, odczułem po raz pierwszy od chwili jego przybycia ulgę.

Niepokój z powodu znalezienia tajemniczego człowieka na schodach sprawił, że zawsze odprowadzając Provisa rozglądałem się niespokojnie po ciemnej ulicy i czyniłem to samo teraz, gdy powracał do domu. Jak to się dzieje zwykle w ludnych miastach, trudno, mając poczucie niebezpieczeństwa, nie upatrywać w każdym przechodniu kogoś, kto śledzi.

Ale tym razem spotkałem niewiele osób na pustej ulicy, zanim doszedłem do Tempie. Nikt nie towarzyszył mi do bramy mojej dzielnicy i sam ją przekroczyłem. Kiedy mijalem fontannę, ujrzałem spokojnie oświetlone okna jego mieszkania, a kiedy czekałem chwilę przed bramą mego domu, Garden Court było puste i ciche, jak schody, po których po chwili wchodziłem na górę.

Herbert przyjął mnie z otwartymi ramionami i nigdy chyba przedtem nie czułem, jakim błogosławieństwem jest prawdziwy przyjaciel. Powiedział mi kilka słów współczucia i zachęty, po czym usiedliśmy przy kominku, by pomówić o tym, co należy teraz czynić.

Krzesło, na którym Provis siedział przez cały wieczór, stało wciąż na tym samym miejscu i przypominało nam, jak kręcił się nieustannie, jak wojskowym niemal krokiem przebiegał pokój z fajką w zębach, z woreczkiem tytoniu, z składanym nożem i talią wystrzępionych kart w rękę. Jak mówiłem więc, krzesło to stało na tym samym miejscu - Herbert chcąc usiąść wziął je w pierwszej chwili, ale zaraz się spostrzegł i odstawił biorąc inne. Po tym goście nie miał już potrzeby opowiadać mi o swym wstręcie do mego opiekuna, tak jak i ja nie czyniłem mu żadnych zwierzeń. Wymieniliśmy te wyznania nie wypowiedziawszy na ten temat ani słowa.

Kiedy Herbert zasiadł już spokojnie na innym krześle, spytałem:

- Co teraz robić?

- Mój biedny Haendlu - wyznał trzymając głowę w dłoniach - jestem zbyt ogłuszony, by móc myśleć.

- To samo ja odczuwałem, kiedy cios spadł na mnie z nienacką - odparłem - ale trzeba coś natychmiast postanowić. On zamierza porobić mnóstwo nowych wydatków na konie, powozy i tym podobne zbytki. Trzeba położyć temu jak najszybciej kres.

- Chcesz powiedzieć, że nie możesz przyjmować...?

- Jakże mógłbym? - przerwałem Herbertowi. - Pomyśl, jaki on jest! Spójrz na niego.

Przeszedł nas obu dreszcz.

- A najgorsze jest to, Herbercie, że ten człowiek jest do mnie przywiązany, strasznie przywiązany. Oto cała okropna prawda! Czy może być potworniejszy los?

- Mój biedny, kochany Haendlu - powtórzył tylko Herbert.

- A gdybym tak teraz nagle przerwał przyjmowanie od niego pieniędzy - ciągnąłem - to pomyśl, ile już jestem mu winien. Poza tym mam długi, poważne długi, jak na kogoś, kogo nie czekają już wielkie nadzieje. I wreszcie, nie potrafię nic robić” nie potrafię zarabiać. Jestem do niczego.

- No, no, no - pocieszał mnie Herbert - nie mów, że jesteś do niczego.

- A do czego mógłbym się przydać? - pytałem - jedyna rzecz, jaka by mi pozostała, to zaciągnąć się na żołnierza. I może byłbym już to uczynił, tylko czekałem na twoją przyjacielską radę, Herbercie.

Tu oczywiście rozczuliłem się, Herbert udawał, że nie dostrzega mego wzruszenia, ale mimo to uściskał mi czule rękę.

- W każdym razie kochany Haendlu - zawyrokował - nie uważam myśl zaciągnięcia się na żołnierza za szczęśliwą. Jeżeli chcesz wyrzec się dobrodziejstw twego opiekuna, musisz mieć nadzieję i na to, że kiedyś zwrócisz mu pieniądze, które na ciebie dotychczas wydał. A gdybyś poszedł na żołnierza, to nie mógłbyś mieć na to najmniejszej nadziei. Poza tym to w ogóle głupia myśl. Już lepiej przyjąłbyś pracę w firmie Clarrikera, mimo że jest niewielka. Wiesz, że wkrótce będę tam współnikiem.

Biedny chłopiec! Nie wiedział, przy pomocy czyich to pieniędzy!

- Ale jest jeszcze inna sprawa - mówił dalej Herbert - masz tu do czynienia z człowiekiem niewykształconym, opętanym jedną upartą myślą. Wydaje mi się (choć może się mylę), że jest to człowiek gwałtowny i gotów na wszystko.

- Wiem, że to prawda - odparłem. - Opowiem ci, jakie miałem na to dowody.

I opowiedziałem mu to teraz, czego jeszcze nie wiedział, o jego porachunkach z innym galernikiem.

- Widzisz - powiedział Herbert - teraz więc pomyśl, że człowiek ten przybył tu z narażeniem życia, by zrealizować myśl, która go uparcie oplątała. I w momencie gdy wreszcie ma się urzeczywistnić to, o czym od tylu lat marzył i do czego przez tyle lat dążył, ty chcesz mu usunąć grunt spod nóg, zburzyć jego marzenia i pokazać, że zniknął cel, do którego zmierzał. Czy zdajesz sobie sprawę, co mógłby uczynić pod wpływem takiego rozczarowania?

- Zdaję sobie sprawę, Herbercie - odpowiedziałem - nie przestaję o tym myśleć od chwili, kiedy się tak niespodziewanie zjawił owej nieszczęśliwej nocy. Wiem doskonale, że pod wpływem takiej sytuacji mógłby sam oddać się władzom.

- Możesz być pewien - oświadczył Herbert - że właśnie tak by postąpił. I na tym polega jego władza nad tobą, dopóki znajduje się w granicach Anglii. Jeżeli go opuścisz, z pewnością popełni ten akt rozpacz.

Groza tej myśli, poczucie, że mógłbym w ten sposób stać się jego mordercą, uderzyła mnie tak silnie, że zerwałem się z miejsca i biegałem tam i z powrotem po pokoju. Powiedziałem Herbertowi, że nawet jeżeli schwytają Provisa wbrew jego woli, będę się czuł współwinny, bo dla mnie tu przybył. Tak. I to mimo że wstrętem przejmuję mnie teraz myśl,

iż mam go przy sobie, i mimo że wolałbym tysiąc razy całe życie pracować w kuźni, niż dojść do takiego, jak teraz, położenia.

Ale wciąż jeszcze nie wiedziałem, co robić.

- Najważniejsze i najskuteczniejsze byłoby zmusić go do wyjazdu z Anglii. Ale wówczas należałoby go osobiście wywieźć za granicę - poradził Herbert.

- No dobrze, przypuścimy, że uda mi się z nim wyjechać. Ale jak zabronię mu tutaj powrócić?

- Mój poczciwy Haendlu, czy nie mógłbyś mu wytłumaczyć, że jego pobyt tutaj w sąsiedztwie Newgate jest o wiele mniej bezpieczny niż gdziekolwiek indziej? Czy nie dałoby się wykorzystać osoby tego drugiego galernika, żeby nakłonić go do wyjazdu?

- Kiedy widzisz - odparłem stając przed Herbertem i rozkładając dłonie, jak gdybym miał pełne ręce nieszczęść - o to właśnie chodzi, że nie znam wcale jego życia i że omal nie oszalałem, kiedy ten całkiem mi obcy człowiek zjawił się nocą przede mną tak mocno związany z moim życiem, z moją dołą i niedołą, ten człowiek, o którym wiedziałem tylko tyle, że straszyl mnie w ciągu dwu dni mego dzieciństwa!

Herbert wstał, ujął mnie pod ramię i przechadzaliśmy się we dwóch powoli, patrząc w dywan.

- Haendel - odezwał się nagle Herbert przystając - czy jesteś całkowicie zdecydowany odtrącić dobrodziejstwa tego człowieka?

- Całkowicie - odparłem - czy nie zrobiłbyś tego samego na moim miejscu?

- I jesteś przekonany, że musisz z nim zerwać?

- Herbert, jak możesz o to pytać?

- A przy tym masz poczucie, że musisz ratować to życie, które tyle dla ciebie ryzykowało. Jeżeli tak jest istotnie, to musisz najpierw wywieźć go z Anglii. Dopóki tego nie uczynisz, nie wolno ci ruszyć nawet małym palcem w celu wyzwolenia się od niego. Jeżeli go wywieziesz, uwolnij się od niego w imię Boże i wtedy zobaczymy, co dalej, drogi mój chłopcze!

Było to wielką pociechą dla mnie, że w tej chwili uścisnęliśmy sobie ręce, po czym przechadzaliśmy się na nowo.

- A teraz, Herbercie, sądzę, że musimy, jeżeli chcemy dowiedzieć się historii jego życia, zapytać go o nią po prostu.

- Tak, zapytaj go jutro rano przy śniadaniu - zgodził się Herbert, gdyż zegnając się z nim opiekun mój przyrzekł, iż przyjdzie na pierwsze śniadanie.

Powziąwszy to postanowienie poszliśmy spać. Miałem najokropniejsze sny o Provisie i budziłem się z lękiem, myśląc, że na pewno zaaresztują go za ucieczkę z zesłania. Na jawie ta myśl również mnie nie opuszczała.

Przyszedł o zapowiedzianej porze, wyjął z kieszeni składany nóż i zabrał się do śniadania. Pełen był nowych planów dotyczących się marzeń, by „jego pan popisał się jak prawdziwy pan, i radził mi, abym jak najszybciej zrobił użytek z portfela, który pozostawił do mej dyspozycji. Uważał nasze i swoje mieszkanie za tymczasowe i radził, abym wynajął w okolicach Hyde Parku jakieś miłe gniazdko, w którym i on miałby swój kącik.

Kiedy zjadł śniadanie i wycierał nóż o cholewę, powiedziałem bez żadnego wstępu:

- Po wczorajszym pana odejściu opowiadałem memu przyjacielowi o tym, jak żołnierze na bagnisku zastali pana walczącego. Pamięta pan?

- Czy pamiętam? I jak jeszcze?

- Chcielibyśmy wiedzieć coś o tym człowieku i o panu. To zabawne, że nic nie wiemy właściwie o pańskim życiu. Może by pan teraz nam coś o sobie opowiedział?

- Oczywiście - odparł po chwili namysłu - ale pamięta pan, przyjacielu Pipa, że pan przysięgał?

- Naturalnie - potwierdził Herbert.

- I przysięga ta tyczy się wszystkiego, o czym mówię. Wie pan o tym? - nalegał.

- Tak właśnie to rozumiałem.

- Niechże mnie pan dobrze zrozumie. Cokolwiek uczyniłem, jest to już załatwione i zapłacone - nastawał jeszcze.

- Z pewnością.

Wyjął czarną fajkę i zaczął ją napychać „murzyńską główką. Ale po chwili namyślił się, spojrzął na tytoń na swej dłoni i widocznie lękając się, że przeszkodzi mu w opowiadaniu, wsypał go z powrotem do kieszeni. Potem wsunął fajkę do kieszonki na piersiach, oparł obie dłonie na kolanach, przez chwilę popatrzył ze wzburzeniem w ogień kominka. Wreszcie odwrócił głowę ku nam, ściągnął brwi i zaczął opowiadać.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Drogi chłopcze, i ty, przyjacielu Pipa. Nie będę wam opowiadał historii mego życia, jak treści piosenki czy książki z bajkami. Po prostu opowiem wam wszystko krótko i węzłowato w paru zdaniach. W więzieniu i wypuszczony z więzienia, w więzieniu i wypuszczony z więzienia, w więzieniu i wypuszczony z więzienia. Oto macie. Takie było moje życie aż do chwili, gdy wzięto mnie na galery w owym czasie, kiedy to Pip okazał mi przyjaźń.

Robiono ze mną wszystko, co da się z człowiekiem zrobić, z wyjątkiem powieszenia: zamykano mnie tak dokładnie jak srebrny imbryczek, przewożono mnie z miejsca na miejsce, wyrzucano to z tego, to znowu z innego miasta, zakuwano mnie w dyby, chłostano, dręczono i tropiono bez ustanku. Nie mam większego pojęcia, niż wy, o miejscu mego urodzenia, a pierwsze moje wspomnienia sięgają Essex, gdzie kradłem brukiew, bo byłem głodny. Wraz ze mną kradł jakiś kotlarz, który potem uciekł zabierając ze sobą piecyk, a mnie było bardzo zimno...

Wiedziałem, że nazywam się Magwitch, a na imię mi Abel. Ale dowiedziałem się o tym tak samo, jak się poznaje nazwy ptaków w lesie: wróbel, zięba czy drozd. Wierzyłem, że ptaki tak się właśnie nazywają, i na tej samej podstawie ufałem w prawdziwość własnego imienia i nazwiska.

Jak daleko sięgam pamięcią, nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek spojrzął przychylnie na małego Abła Magwitcha, który nie miał co włożyć na siebie ani do ust. Wszyscy go straszili, wypędzali albo go zamykali. Byłem zamykany, zamykany tyle razy, że wyrosłem dosłownie w zamknięciu.

I tak się stało, że ja, żalosne stworzenie, tak obdarte jak nikt chyba inny (prawda, że nie widziałem siebie wówczas w lustrze z tej prostej przyczyny, że nie wpuszczano mnie do przyzwoicie umeblowanych mieszkań), zasłużyłem sobie nie wiadomo czemu na opinię zatwardziałego grzesznika.

„Oto zatwardziały typ, opowiadano o mnie gościom odwiedzającym więzienie, „myślałby kto, że ten dzieciak całe życie spędza w więzieniu.

Potem oni przyglądali się mnie, a ja im, oni mierzyli mi nie wiadomo po co czaszkę, gdy powinni byli zmierzyć raczej żołądek, dawali mi broszurki, których nie umiałem czytać, lub wygłaszali przemówienia, których nie byłem w stanie zrozumieć. Wszyscy straszili mnie diabłem. A ja co miałem, u diabła, zrobić, skoro byłem głodny? Musiałem przecież jeść. Ale

ja się tu robię ordynarny, a wiem, jak się powiniennem wobec was zachować, drogi chłopcze, i ty, przyjacielu Pipa. Nie bójcie się, już nie będę więcej ordynarny.

Włóczęg się, żebrząc, kradnąc, niekiedy pracując (choć znacznie rzadziej, niż sobie to nawet wyobrażacie, bo pomyślcie sami, czy dalibyście takiemu pracę?), czasami jako kłusownik, rzadziej jako wyrobnik, niekiedy woźnica, pomocnik przy sianokosach, kramarz wędrowny, słowem zajmujący się mnóstwem zawodów, które przynoszą niewiele, a doprowadzają młodego chłopca do zguby, wyrosłem na mężczyznę. Pewien żołnierzdezerner w miejscu spoczynku dla podróżnych, które znajdowało się w kopcu ziemniaków, nauczył mnie czytać, a pewien wędrownikolbrzym, który za grosz sprzedawał swój podpis, nauczył mnie pisać. Już teraz nie zamykano mnie tak często jak przedtem, ale i tak siedziałem od czasu do czasu pod kluczem.

Na wyścigach w Epsom przed jakimś dwudziestu laty zapoznałem się z pewnym człowiekiem, którego czaszkę zmiażdżyłbym niczym łapę homara tym oto pogrzebaczem, gdybym go teraz spotkał. Jego prawdziwe nazwisko brzmi Compeyson i to był właśnie ten człowiek, drogi chłopcze, o którym wczoraj po moim stąd wyjściu opowiadałaś twemu przyjacielowi, że usiłował go zamordować w rowie przydrożnym.

Ten to Compeyson grał wielkiego pana, skończył szkoły i był uczony. Umiał mówić i znał maniery wielkich państwa. W dodatku był to ładny chłopiec. W przeddzień wielkiego wyścigu spotkałem go w pewnej speluncie niedaleko toru. Siedział za stołem z kilkoma innymi, a kiedy wszedłem, gospodarz (którego dobrze znałem i który mnie lubił) przedstawił mnie i powiedział: „Wydaje mi się, że to jest człowiek, jakiego panu trzeba. Compeyson przyjrzał mi się i ja mu się przyjrzałem. Miał zegarek z łańcuszkiem, pierścionek, szpilkę w krawacie i eleganckie ubranie.

„Sądząc z pozorów nienajlepiej się panu szczęści”, zauważył Compeyson.

„Tak jest, proszę wielmożnego pana”, potwierdziłem, „nawet nie wiem, co to szczęście” (wyszedłem właśnie z więzienia w Kingston, gdzie trzymano mnie za włóczęgostwo, a mogli mnie trzymać i za wiele innych rzeczy).

„Szczęście to zmienna rzecz, ciągnął dalej Compeyson. „Może i pańskie się odmieni.

Odpowiedziałem: „Mam nadzieję, że się odmieni. Już chyba czas.

„Co pan potrafi zrobić?”, spytał mnie Compeyson. „Jeść i pić, odparłem, „jeżeli pan mi dostarczy materiału do tego.

Compeyson roześmiał się, dał mi pięć szylingów, przyjrzał mi się jeszcze raz uważnie i zamówił mnie, bym przyszedł nazajutrz do tego samego lokalu.

Przyszedłem nazajutrz wieczorem na to samo miejsce i Compeyson zaangażował mnie jako swego współnika i pomocnika. ‘ A jaki to był interes Compeysona, w którym dostałem udział? Oszustwa, podrabianie fałszywych pieniędzy, puszczanie w obieg skradzionych banknotów i tym podobne zajęcia. Wymyślał najrozmaitsze matactwa, a cały jego interes polegał na tym, by kręcić, samemu brać nogi za pas, a innego zostawiać w biedzie. Serca nie miał więcej niż żelazny pilnik, był zimny jak śmierć, a sprytny jak diabeł, o którym już raz wspominałem.

Compeyson miał jeszcze jednego współnika. Nazywał się Artur. Nie było to prawdziwe jego imię, tylko przydomek. Był to człowiek już całkiem upadły, raczej cień człowieka. We dwóch obrobili przed kilku laty pewną bogatą damę i nabrali kupę pieniędzy, ale Compeyson grał, stawiał wielkie zakłady i potrafiłby przepuścić nawet podatki króla. Artur biedaczek ledwie żył i był bardzo nieszczęśliwy, i żona Compeysona (którą przeważnie bił) litowała się nad nim, ale sam Compeyson nie litował się nad nikim na świecie. Przykład Artura powinien był mnie ostrzec, ale tak się nie stało.

Nie uważałem się za nic lepszego od niego, to nie, mój drogi chłopcze, i ty, przyjacielu Pipa. Zacząłem z Compeysonem i byłem w jego rękach posłusznym narzędziem. Artur mieszkał w tym samym domu co Compeyson, na górze (było to gdzieś w okolicy Brentford). Compeyson zapisywał wszystko, co wydawał na jego utrzymanie i mieszkanie na wypadek, gdyby chłopiec zdobył pieniądze i mógł mu zapłacić. Ale Artur wkrótce uregulował swój rachunek. Za drugim czy trzecim razem, kiedy go widziałem, zbiegł na dół do bawialni Compeysona, ubrany w flanelowy strój nocny, z włosami zlepionymi od potu, i zawołał do żony Compeysona: „Sally, ona jest teraz tam u mnie na górze. Nie mogę się jej pozbyć, jest cała w bieli, ma kwiaty we włosach, jest jak oszalała, przez ramię ma przewieszony całun i mówi, że o piątej rano mnie nim zakryje.

„Głupcze, krzyknął do niego Compeyson, „czyż nie wiesz, że ona żyje? I jakże mogłaby zjawić się u ciebie nie przechodząc przez drzwi ani przez okno, ani po schodach?

„Nie wiem, odpowiedział Artur drżąc na całym ciele, „wiem tylko, że stoi u stóp mego łóżka, że jest oszalała i że na jej złamanym sercu - to tyś je zламаł - są krople krwi...

Compeyson mówił bardzo głośno, ale w gruncie rzeczy był tchórzem. Zwrócił się więc do swej żony: „Idź na górę z tym chorym, który opowiada tu takie brednie, a ty, Magwitch, pójdz z nią razem i pomóż jej, dobrze? Sam jednak nie poszedł.

Razem z żoną Compeysona zaprowadziliśmy Artura na górę, położyliśmy go na łóżku, a on krzyczał okropnie i bredził: „Patrzcie na nią! Grozi mi całunem! Czy jej nie widzicie? Patrzcie na jej oczy! Czy to nie straszne, że jest obłąkana? A po chwili jęczał:

„Rozpostrze go nade mną i wtedy jestem zgubiony! Zabierzcie jej go! Zabierzcie! A potem czepiał się nas i mówił do niej” jak gdyby odpowiadał na jakieś jej pytania, tak że miałem wrażenie, iż ją widzę żona Compeysona, która widocznie była już do tego przyzwyczajona, dała mu się napić i powoli się uspokajał: „Poszła, oznajmił. „Czy przyszedł po nią jej stróż? „Tak, przyszedł, przytaknęła żona Compeysona. „Czy powiedzieliście mu, żeby ją zamknął i nie wypuszczał? „Tak „I żeby zabrał jej tę wstrętną rzecz? „Tak, tak, oczywiście „Pani jest dobra, rozczulił się. „Niech pani ode mnie nie odchodzi. Dziękuję.

Pozostał spokojny aż do chwili, gdy zegar pokazywał kilka minut przed piątą rano. Wówczas zerwał się na nowo z krzykiem, i zaczął jęczeć:

„Jest, jest znowu! Ma całun w ręku. Zbliża się do łóżka. Trzymajcie mnie oboje, z obu stron, nie pozwólcie, żeby mnie dotknęła! Ha, nie trafiła mnie tym razem. Nie dajcie jej zarzucić mi. całuna na ramiona! Nie pozwólcie, aby mnie nim owinęła. Trzymajcie mnie!

Tu wyprężył się gwałtownie i umarł.

Compeyson nie przejął się tym wcale: przeciwnie, uważał to za doskonałe wyjście z sytuacji dla obu stron. Zaraz potem zabraliśmy się, on i ja, do interesów, ale przedtem (zawsze był sprytny) kazał mi przysiąc na tę małą książeczkę, tę samą małą, czarną, książkę, na którą przysięgał twój przyjaciel, kochany mój chłopcze.

Nie będę się zagłębiał w szczegóły tych wszystkich oszukańczych interesów, jakimi zajmował się Compeyson (gdyż zajęłoby to co najmniej tydzień), powiem wam tylko, drogi chłopcze i ty, przyjacielu Pipa, że ten człowiek oplatał mnie, że zrobił ze mnie swego niewolnika. Byłem nieustannie jego dłużnikiem, nieustannie pod jego władzą, ciągle na jego usługi i wiecznie narażony na. niebezpieczeństwa. Był młodszy ode mnie, ale przewyższał mnie sprytem, wykształceniem przynajmniej pigęset razy, przy tym nie znał litości. Moja żona i ja wycierpieliśmy przez niego... Ale nie, nie będę jej teraz mieszał w te sprawy.

Rozejrzał się wokół siebie bezradnie, jak gdyby nagle utracił wątek w książce swych wspomnień. Odwrócił twarz do ognia, rozłożył ręce i oparł je na kolanach, potem podniósł do góry i znowu, wsparł tak jak poprzednio.

- Ale nie warto o tym więcej mówić. Okres, który spędziłem z Compeysonem, był najgorszym okresem mego życia, a to wiele znaczy. Czy opowiadałem wam, jak to mnie skazano za sprawki Compeysona?

- Nie - odparłem.

- Więc - mówił - byłem sądzony i skazany. W ciągu trzech czy czterech lat, kiedy pracowałem z Compeysonem, podejrzewano mnie kilka razy, ale nigdy nie mieli dowodów mojej winy. I wreszcie oskarżono mnie i Compeysona o oszustwo, a ściśle mówiąc o

puszczanie w obieg fałszywych pieniędzy i o jeszcze inne sprawki. Compeyson powiedział: „Brońmy się każdy oddzielnie, nie porozumiewajmy się między sobą. I tyle. Byłem takim nędzarzem, że musiałem sprzedać wszystkie rzeczy, jakie posiadałem, z wyjątkiem tego, com miał na grzbiecie, by opłacić Jaggersa.

Kiedyśmy zasiedli na ławie oskarżonych, spostrzegłem, jak wykwintnie wyglądał Compeyson z kręconymi włosami, w czarnym ubraniu, z białą chusteczką w kieszonce marynarki, i jak przy nim ja robiłem wrażenie nędzarza. Kiedy tylko rozpoczął się proces, zrozumiałem, jak ciężkie oskarżenie przygniata mnie, a jak lekkie spoczywa na nim. Po zeznaniach świadków pojąłem dopiero, że on mnie wysuwał zawsze naprzód: to mnie wręczano fałszywe pieniądze, ja się z nich wyliczałem i jakoby tylko ja miałem z nich korzyści. Ale jeszcze jaśniej zrozumiałem sytuację po mowie obrońcy Compeysona, powiedział on bowiem: „Panowie sędziowie, macie tu przed sobą dwu oskarżonych. Młodszy to człowiek starannie wychowany i jako o takim będziemy o nim mówili. Starszy to osobnik bez żadnego wychowania i jego również potraktujemy odpowiednio. Młodszy rzadko kiedy wiedział prawdę o tych transakcjach, zaledwie je podejrzewając. Starszy za to dobrze sobie zdawał sprawę, na czym one polegały, i zyski przynosił sobie do domu. Jeżeli w tej sprawie tylko jeden z nich zawinił, to czyż możecie się wahać w wyborze? A jeżeli popełnili przestępstwo obaj, to czyż nie widać jasno, który z nich jest sprawcą tych przewinień? Tak i tym podobnie mówił. A kiedy doszło do omawiania naszych charakterów, to okazało się, że wśród świadków są koledzy Compeysona ze szkoły i że widywali go i potem w rozmaitych towarzystwach i klubach, i że są o nim najlepszego zdania. A byli to ludzie dobrze wychowani i okazało się też, że ja jestem znanym w okolicy ptaszkiem, który już niejednokrotnie przesiadywał w tutejszych więzieniach. Kiedy przyszło do oświadczenia samego Compeysona, to mówił ślicznie, ocierając oczy białą chusteczką, i nawet przemawiał wierszem, a kiedy na mnie przyszła kolej, umiałem tylko powiedzieć: „Panowie, ten człowiek obok mnie to największy łotr i nic więcej. A przed werdyktem to dla Compeysona proszono o łagodny wyrok ze względu na jego uczciwą przeszłość, na złe wpływy, którym podlegał i ze względu na wszystkie informacje, których dostarczył sądowi o mojej osobie. A dla mnie mieli tylko jedno słowo: „Winien. A kiedy powiedział do Compeysona: „Jak tylko wyjdziemy z sądu, stłukę ci pysk, to Compeyson zwrócił się o obronę przede mną i dano mu dwu strażników, którzy stali pomiędzy nim a mną. A kiedy ogłoszono werdykt, to Compeyson dostał siedem lat, a ja czternaście i jeszcze sędzia dodał, że żał mu Compeysona, bo mógł się inaczej pokierować, a o mnie mówił, że jestem starym przestępcą, człowiekiem, którego zgubne namiętności doprowadzą do złego końca.

Opowiadający podniecił się ogromnie, ale przełknąwszy trzy razy ślinę uspokoił się jak gdyby i oświadczył wyciągając ku mnie rękę:

- Nie bój się, kochany chłopcze, nie będę już ordynarny. Wyjął chusteczkę z kieszeni i otarł nią spocone czoło, twarz, kark i ręce, zanim rozpoczął dalsze opowiadanie.

- Obiecywałem Compeysonowi, że mu rozbiję pysk, i przysięgłem sobie, że to uczynię. Byliśmy na jednej galerze na robotach, ale nie miałem okazji go spotkać. Wreszcie jednego dnia zobaczyłem go, podbiegłem i uderzyłem go w twarz, ale natychmiast mnie schwytano. Udało mi się jednak zaraz potem skoczyć do wody, a ponieważ umiałem dobrze nurkować i pływać, wydostałem się na brzeg i schowałem na cmentarzu wśród mogił. Tam zobaczyłem po raz pierwszy mego kochanego chłopca.

Rzucił mi serdeczne spojrzenie i poczułem do niego nienawiść, chociaż żal mi go było ogromnie.

- Mój chłopiec powiedział mi wówczas, że Compeyson znajduje się również na bagnisku. Jestem pewien, że uciekł z galer lękając się strasznie mojej zemsty, i nie wiedział, że i ja jestem już na lądzie. Odnalazłem go i wytlukłem po twarzy. „A teraz”, oznajmiłem mu, „zrobię najgorszą dla ciebie rzecz, bo o siebie mi już wcale nie chodzi: zawlokę cię z powrotem na galerę”. I gdyby się opierał, zataszczyłbym go za włosy przez wodę bez pomocy żołnierzy.

Wykręcił się ze wszystkiego, był przecież człowiekiem dobrze wychowanym: twierdził, że uciekł ze statku oszalały ze strachu przed moimi morderczymi zamiarami. Dano mu lekką karę, a mnie zakuto w kajdany, postawiono raz jeszcze przed sądem i skazano na dożywocie. Ale ja nie zostałem tam na zesłaniu do końca życia, drogi chłopcze i ty, przyjacielu Pipa, skoro jestem tutaj z wami.

Znowu otarł chustką twarz i szyję, wyjął z kieszeni tytoń, z kieszonki fajkę, powoli napchał ją tytoniem i zabrał się do palenia.

- Czy on umarł? - spytałem po chwili milczenia.

- Czy kto umarł, drogi chłopcze?

- Compeyson.

- Jeżeli żyje, to spodziewa się, że ja umarłem, możesz być tego pewien - odparł patrząc dzikim wzrokiem. - Nigdy już o nim więcej nie słyszałem.

Tymczasem Herbert napisał na okładce książki kilka słów ołówkiem i gdy Provis odwrócony twarzą do kominka palił fajkę, podsunął mi nieznacznie tę książkę. Przeczytałem...

„Młodemu Havishamowi na imię było Artur. Compeyson to człowiek, który udawał miłość do miss Havisham.

Zamknąłem książkę, pokiwałem głową Herbertowi i odsunąłem książkę od siebie. Żaden z nas nie wymówił słowa. W milczeniu przyglądaliśmy się, jak Provis, stojąc przy kominku, pali fajkę.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Po cóż mam zatrzymywać się w opowiadaniu i zadawać sobie pytanie, w jakim stopniu mój wstręt do Provisa łączył się z Estellą? Po cóż mam zwalniać kroku i rozpamiętywać wspomnienia owej chwili, kiedy to przed spotkaniem z Estellą na stacji dyliżansów usiłowałem otrząsnąć się z ohydy zetknięcia się z więzieniem i porównywać z tamtym przeżyciem uczucie, które teraz mną owładnęło, uczucie przepaści, jaka się otworzyła pomiędzy dumną i piękną Estellą a mną, ukrywającym zbiegłego przestępcę? Droga moja nie stałaby się przez to łatwiejsza ani koniec jej lepszy, ani też obecność Provisa mniej by mi nie ciążyła.

Opowieść jego zrodziła we mnie jeszcze jedną obawę, a raczej skryształizowała i uzasadniła lęk, który nurtował mnie już przedtem. Jeżeli Compeyson żyje i dowie się o miejscu pobytu Magwitcha, można się domyślić, co się stanie. Nikt lepiej niż oni dwaj i ja nie wiedział, jak śmiertelnie Compeyson lękał się Provisa, a nie mogłem wątpić, że taki człowiek, jakiego przed chwilą poznaliśmy z opisu, skorzysta z okazji pozbycia się swego śmiertelnego wroga raz na zawsze, jeżeli tylko będzie mógł go zadenuncjować.

Dotychczas nie wspominałem nigdy Provisowi o Estelli i nadal nie miałem zamiaru mu o niej mówić. Ale Herbertowi oświadczyłem, że zanim wyjedziemy za granicę, muszę zobaczyć Estellę i miss Havisham. Powiedziałem mu to owego wieczora, kiedy zostaliśmy sami po wysłuchaniu opowiadania Provisa. Postanowiłem nazajutrz udać się do Richmond.

Gdy zjawiłem się w domu miss Brandley, pokojówka oznajmiła mi, że Estella pojechała na wieś. Dokąd? Do willi „Satis” jak zwykle. Odpowiedziałem, że wcale nie jak zwykle, bo dotychczas nigdy jeszcze nie jeździła tam beze mnie. Kiedy powróci? W odpowiedzi dziewczyny wyczułem pewne wahanie. Zauważyłem, że pokojówka Estelli mówiła tak, jakby Estella miała przyjechać już w ogóle tylko na krótko. Zrozumiałem z tego wszystkiego tylko tyle, że pragną tu, bym nic nie zrozumiał, i wróciłem do domu w stanie zdenerwowania.

Po jeszcze jednej nocnej naradzie z Herbertem, którą odbyliśmy, gdym odprowadził Provisa do domu (odprowadzałem go co wieczór, rozglądając się wokół siebie ostrożnie), zdecydowaliśmy, że nie możemy myśleć o wyjeździe za granicę, zanim nie pojedę do miss Havisham. Przez ten czas mieliśmy każdy oddzielnie się zastanowić, co będzie lepiej: czy powiedzieć Provisowi, że wywozimy go za granicę, gdyż wiemy, że istnieje w stosunku do niego podejrzenie, czy też, że jedziemy, bo ja nigdy jeszcze nie opuszczałem kraju. Obaj

wiedzieliśmy doskonale, że spełni on każde moje życzenie. Obaj zgadzaliśmy się na jedno, że nie do pomyślenia jest, aby długo pozostawał tu jeszcze wobec takiego ryzyka.

Nazajutrz byłem na tyle podły, by udawać, że muszę wyjechać do Joego, który mnie wzywa. Ale chyba nie istniała taka podłość, której nie potrafiłbym popęnić wobec Joego czy jego imienia. Provis miał w czasie mojej nieobecności zachowywać się wyjątkowo ostrożnie, a Herbert podjął się mnie zastąpić w opiece nad nim. Postanowiono, że spędzę poza domem tylko jedną noc i że po powrocie wreszcie zgodzę się na rozpoczęcie życia na wyższej stopie, o czym Provis od dawna marzył.

W związku z tym przyszło mi do głowy - a jak się później dowiedziałem, Herbert wpadł także na ten sam pomysł - że będzie można podróży przez kanał użyć jako pretekstu do poczynienia wytwornych zakupów za granicą.

W ten to sposób przygotowawszy sobie grunt przed podróżą do miss Havisham, wyjechałem pierwszym porannym dyliżansem jeszcze przed świtem i byłem już na otwartej wiejskiej szosie, kiedy dopiero wypełził ociągający się dzień, płaczący i drżący, otulony w skrawki obłoków i w łachmany mgły niczym żebrak.

Kiedy po dżdżystej drodze zajechaliśmy przed gospodę „Pod Błękitnym Dzikim, kogóż to ujrzałem przed bramą z wykałaczką w palcach i przyglądającego się dyliżansowi? Bentleya Drummla we własnej osobie!

Ponieważ udawał, że mnie nie spostrzega, więc i ja udawałem, że go nie widzę. Było to bardzo niezręczne, zwłaszcza że zarówno on jak i ja weszliśmy do wnętrza kawiarni, gdzie on przed chwilą skończył się pożywiać. Zamówiłem śniadanie. Widok owego chłopca w tym miasteczku był dla mnie czymś zabójczym: wiedziałem bowiem aż nadto dobrze, po co tu przyjechał.

Udając, że czytam starą zatłuszczoną gazetę, której wiadomości lokalne znikwały niemal całkowicie pod plamami kawy, marynat, sosu, topionego masła i wina, jak pod wysypką jakiejś dziwacznej odry, siedziałem przy stoliku, podczas gdy Drumml stał przy kominku.

Poczułem się nagle obrażony, że on zajmuje miejsce przy ogniu, i wstałem z postanowieniem, by także się ogrzać, musiałem jednak wyciągnąć rękę dotykając jego nóg, by uchwycić pogrzbacz i poprawić nim ogień. Ciągle udawałem, że nie znam Bentleya.

- Czy to zaczepka? - spytał mnie Mr. Drumml.

- O - odpowiedziałem z pogrzbaczem w ręku - to pan? Jakże się pan miewa? Nie poznałem pana i właśnie się zastanawiałem, kto mi tak zajmuje miejsce przy kominku.

To mówiąc energicznie uderzyłem pogrzebaczem w węgle i rozprostowawszy ramiona umieściłem się obok mego towarzysza, plecami do ognia.

- Pan dopiero co przyjechał? - badał Drummlle popychając mnie ramieniem.
- Tak - potwierdziłem i odwzajemniłem mu się pięknym za nadobne.
- Okropna miejscowość - powiedział Drummlle - zdaje się pańskie rodzinne strony?
- Tak - odparłem - mówiono mi, że bardzo podobne do pańskiego Shropshire.
- Całkiem niepodobne - zaprotestował Drummlle.

W tej chwili spojrzał na swoje buty, a ja na swoje, potem z kolei on na moje obuwie, a ja na jego.

- Czy długo pan tu już przebywa? - spytałem mocno zdecydowany, by ani na cal nie ustępować mu miejsca przy kominku.

- Dostatecznie długo, by się znudzić - oświadczył Drummlle udając, że ziewa, ale najwyraźniej równie zdeterminowany jak ja.

- Czy długo pan jeszcze pozostaje tutaj? - dowiadywałem się.
- Nie mogę powiedzieć. A pan?
- Nie mogę powiedzieć - odparłem.

W tej chwili poczułem po wzburzeniu krwi, która uderzyła mi do głowy, że jeżeli Mr. Drummlle o włos dalej posunie ramię, to wyrzucę go przez okno, i jednocześnie wiedziałem, że jeżeli ja o włos posunę się do niego, to on zrobi to samo. Drummlle zagwizdał. Ja także.

- Wokoło miasteczka ciągną się daleko bagniska, zdaje się? - zapytał Drummlle.
- Tak. Więc co z tego? - odpowiedziałem.

Mr Drummlle popatrzył na mnie, potem na moje buty, wykrzyknął „Och! i roześmiał się.

- Co pana rozśmieszyło, Mr. Drummlle?
- Nie - zaprzeczył - nic szczególnego. Mam zamiar przejechać się konno po tych bagniskach i obejrzeć je sobie z bliska.

Mówiono mi, że są tam ciekawe zakątki. Jakieś stare oberże czy kuźnie. Kelner!

- Tak, wielmożny panie.
- Czy mój koń gotów?
- Stoi przed drzwiami, wielmożny panie.
- Uważaj, co ci powiem, ty wielmożny panie. Pani dzisiaj ze mną nie jedzie. Pogoda jest brzydka.
- Dobrze, wielmożny panie.
- I nie będę dzisiaj tu na obiedzie. Jestem zaproszony do pani.

- Bardzo dobrze, wielmożny panie.

W tej chwili Drummle spojrział na mnie z beczelnym triumfem na puciołowatej twarzy i spojrzenie to, pomimo przeświadczenia o głupocie Drummle'a, zraniło mnie w samo serce i doprowadziło do takiej rozpacz, że bliski byłem pochwycenia go w ramiona i wrzucenia w płomień kominka (jak w znanej baśni złodziej postąpił ze staruszką).

Jedna rzecz zdawała się jasna nam obu: że bez pomocy z zewnątrz żaden z nas nie zdecyduje się pierwszy ustąpić miejsca przy kominku. Staliśmy więc tak ramię przy ramieniu i stopa przy stopie, szeroko rozstawiając nogi i splótłszy dłonie na plecach, nie ruszając się ani na cal. Przez szczelinę wpółotwartych drzwi widać było czekającego konia, na stole stygło moje śniadanie i kelner, sprzątnąwszy po śniadaniu Drummle'a, zapraszał mnie, bym usiadł do stołu. Pokiwałem głową, ale staliśmy dalej nieruchomo.

- Czy był pan od tego czasu w „Gaju”? - spytał mnie Drummle.

- Nie - odparłem - miałem już dość „Zięb po ostatniej mojej tam bytności.

- Czy było to wówczas, gdyśmy się ze sobą poróżnili? - dopytywał się Drummle.

- Tak - odpowiedziałem bardzo krótko.

- Kto by powiedział - zauważył Drummle - przecież nikt panu wówczas nie dokuczył.

Nie trzeba było wpadać w gniew.

- Mr Drummle - oświadczyłem - nie pan będzie mi udzielał rad w tej sprawie. Kiedy wpadam w gniew (bynajmniej nie mówię, że wtedy się rozgniewałem), nie rzucam szklankami.

- A ja rzucam - oznajmił Drummle.

Spojrzałem na niego raz i drugi z rosnącą wściekłością i powiedziałem:

- Panie Drummle, ja nie szukałem tej rozmowy i nie uważam jej za przyjemną.

- Nie sądzę wcale, aby była przyjemna - odparł wyniośle, patrząc przez ramię - w ogóle nic o niej nie sądzę.

- Wobec tego - ciągnąłem - proponuję, abyśmy odtąd po pańskim wyjeździe przestali w ogóle się znać.

- I ja jestem tego samego zdania - zareplikował Drummle - zamierzałem i tak to zrobić bez proponowania panu czegokolwiek. Ale niech pan nie traci dobrego humoru. Czyż i tak nie dość już pan stracił?

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Kelner! - zawołał znowu Drummle nic mi nie odpowiadając.

Kelner zjawił się ponownie.

- Uważaj. Czyś dobrze zrozumiał, że młoda pani nie towarzyszy mi dzisiaj w konnej przejażdżce i że jestem u niej na obiedzie?

- Tak jest, wielmożny panie.

Kiedy kelner wyszedł dotknąwszy przedtem dłonią mojego szybko stygnącego imbryczka z herbatą i spojrzawszy na mnie błagalnie, Drummle wyjął z kieszeni cygaro, odgryzł koniec, ale nie zrobił najmniejszego gestu, by się odsunąć od kominka, i wciąż najspokojniej w świecie dotykał mnie ramieniem.

Gotując się z wściekłości czułem, że nie możemy już wymówić ani słowa nie wymieniając Estelli, a jednocześnie myśl, że on będzie o niej mówił, była dla mnie nie do zniesienia. Więc patrząc uparcie w przeciwległą ścianę, jakby nikt koło mnie nie stał, milczałem zawzięcie. Nie wiadomo, jak długo trwalibyśmy w tak śmiesznej pozycji, gdyby nie to, że do pokoju wtargnęli wprowadzeni przez kelnera trzech zamożni rolnicy, którzy zacierając dłonie i rozpinając burki kierowali się wprost do kominka, zmuszając nas do odstąpienia im miejsca.

Widziałem przez okno, jak Drummle wskakuje na konia ująwszy go brutalnie po swojemu za grzywę. Już zdawało mi się, że odjechał, kiedy nagle zjawił się znowu, żądając ognia do cygara, które zapomniał zapalić. Wysunął się wówczas, nie wiedziałem skąd, czy z podwórka oberży czy też z ulicy jakiś człowiek w popielatym ubraniu i podał mu to, czego żądał. Drummle roześmiał się pochylony z siodła, zapalił cygaro i coś mówił do tego człowieka pokazując okna jadalni. Nie wiadomo czemu, pochylone ramiona i potargane włosy nieznanego przypomniały mi Orlicka.

Zbyt zajęty innymi myślami, by zastanawiać się, czy też to był rzeczywiście on, lub też by zjeść śniadanie, obmyłem twarz i ręce z pyłu podróznego i skierowałem się do starego domu, którego progu obym nigdy był nie przestępował.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

W pokoju, w którym stała gotowalnia, a na ścianach płonęły woskowe świece, zastałem miss Havisham i Estellę. Stara dama siedziała na sofce przy kominku, a Estella na poduszce u jej stóp. Młoda dziewczyna robiła na drutach, a miss Havisham przyglądała się jej robocie. Obie podniosły wzrok na mnie, kiedy wszedłem, i obie, jak to poznałem z ich spojrzenia, dostrzegły we mnie jakąś zmianę.

- Jakież wiatr cię tu sprowadza, Pip? - spytała miss Havisham.

Spostrzegłem, że mimo spokojnego spojrzenia była w tej chwili jak gdyby zmieszana. Estella przerwała na chwilę robotę, spojrzała na mnie i znów zaczęła poruszać drutami, a ja z ruchu jej palców wyczytałem niby z alfabetu dla głuchoniemych, że wie już, iż odkryłem mego istotnego dobroczyńcę.

- Miss Havisham - odparłem - byłem wczoraj w Richmond by porozmawiać z Estellą, a kiedym się dowiedział, że jakiś wiatr przywiał ją tutaj, przyjechałem tu za nią.

Ponieważ miss Havisham trzy czy czterokrotnie zapraszała mnie ruchem, abym usiadł, wybrałem krzesło przy gotowalni, na którym nieraz ją widywałem, i skorzystałem z jej zaproszenia. To miejsce z obrazem ruiny u stóp i dokoła odpowiadało mi w tej chwili najbardziej.

- To, co miałem do powiedzenia Estelli, miss Havisham, powiem w pani obecności. Nie zdziwi to pani ani nie zmartwi. Jestem tak właśnie nieszczęśliwy, jak pani sobie tego życzyła.

Miss Havisham wciąż patrzyła na mnie spokojnie. Po ruchu palców Estelli poznawałem, że i ona słucha uważnie tego, co mówię, ale nie spojrzała na mnie ani razu.

- Odkryłem, kto jest moim opiekunem. Nie jest to szczęśliwe odkrycie i fakt ten nie sprzyja ani mojej karierze, ani opinii, ani fortunie. Są przyczyny, dla których nic więcej powiedzieć nie mogę. Nie jest to bowiem moja tajemnica, tylko cudza.

Ponieważ teraz umilkłem na dłuższą chwilę, szukając słów dla dalszego ciągu, miss Havisham podchwyciła:

- To nie twoja tajemnica, tylko cudza. A więc?

- Kiedy sprowadziła mnie pani tutaj po raz pierwszy z mojej wioski, której bodajbym nigdy nie był opuszczał, uczyniła to pani tylko po to, bym w charakterze jakby służącego (mógł mnie zastąpić byle przypadkowy chłopiec) oddawał pewne usługi, zaspokajał pewne kaprysy i otrzymywał za to zapłatę. Czy tak?

- Tak, Pip - potwierdziła miss Havisham kiwając głową - właśnie tak było.

- A Mr. Jaggers...

- Mr Jaggers nie miał z tym nic wspólnego - przerwała mi miss Havisham stanowczym tonem - nic o tym nawet nie wiedział. Jeżeli jest moim adwokatem i jednocześnie adwokatem twego opiekuna, to tylko przypadkowy zbieg okoliczności (zresztą całkiem naturalny wobec tego, że ma on wielu klientów), nikt tego specjalnie nie organizował.

Z jej wyschniętej twarzy można było wyraźnie wyczytać, że mówiła prawdę.

- Ale kiedyś uległ pomyłce, w której tkwiłem tak długo, to mnie pani w niej podtrzymywała umyślnie? Czy tak?

- Tak - odparła kiwając znowu głową - podtrzymywałam cię w niej istotnie.

- Czy to nie było postępowanie bez serca? - spytałem.

- Kimże jestem - wrzasnęła nagle wpadając w gniew i wywołując tym zdziwienie Estelli miss Havisham i zaczęła walić laską w podłogę - kimże jestem, abym postępowała zgodnie z nakazami serca?

Odparłem, że pytanie to mi się tylko wyrwało, i to ją uspokoiło, chociaż jeszcze przez dłuższy czas szeptała coś do siebie.

- No, więc, więc, więc - powiedziała wreszcie ochłonawszy po wybuchu - co dalej?

- Moje usługi tutaj zostały całkowicie opłacone - ciągnąłem, aby ją uspokoić - pytanie to zadałem ze względów osobistych. Ale te, które teraz nastąpią, będą bardziej bezinteresowne i zadane w innym celu. Czy przyzna pani, miss Havisham, że Utrzymując mnie umyślnie w mojej pomyłce, chciała pani przez to ukarać czy też wystawić na próbę (niech pani sama wybierze określenie) swoich egoistycznych i chciwych krewnych?

- Tak, chciałam. Sami mnie do tego doprowadzili i ty także doprowadziłeś mnie do tego, że pozostawiłam cię w błędzie. I dlaczegóż to ja, która mam za sobą takie okropne życie, miałabym prostować wasze pomyłki? Wpadliście w pułapkę, którą sami sobie zastawiliście. Ja jej nie zastawiałam!

Przeczekawszy jej dziki i nagły wybuch wściekłości ciągnąłem dalej, gdy się już uspokoiła:

- Mieszkałem u spokrewnionej z panią rodziny, miss Havisham, przebywałem wśród nich niemal nieustannie od chwili mego przybycia do Londynu i wiem, że wraz ze mną uczciwie dzielili te same złudzenia. Byłbym fałszywym i podłym człowiekiem, gdybym tu pani nie oświadczył bez względu na to, czy się pani to spodoba, czy nie, że krzywdzi pani pana Mateusza Pocketa i jego syna Herberta, jeżeli nie uważa ich pani za ludzi głęboko

uczciwych, lojalnych, szczerych i niezdolnych do najmniejszego bodaj wyrachowania czy chciwości.

- To są twoi przyjaciele - zauważyła miss Havisham.

- Stali się moimi przyjaciółmi, i to wówczas, gdy sądzili, że przeze mnie zostali wydziedziczeni, wtedy, kiedy jak mi się wydaje, panna Sara Pocket, panna Georgiana i pani Kamilla bynajmniej nie były w stosunku do mnie przyjaźnie nastrojone.

Sprawiło mi przyjemność, że miss Havisham życzliwie przyjęła ten podział zastosowany do jej rodziny. Spojrzała na mnie uważnie i spytała po chwili:

- Czego żądasz dla nich?

- Tylko tego, żeby nie łączyła ich pani z innymi swymi krewnymi. Mogą mieć w żyłach tę samą krew, ale niech mi pani wierzy, mają inną naturę.

Miss Havisham nadal przyglądała się bacznie i powtórzyła:

- Czego żądasz dla nich?

- Nie jestem dość przebiegły - odparłem rumieniąc się - by móc ukryć przed panią, że istotnie czegoś dla nich pragnę. Gdyby pani zechciała przyznać pewną sumę dla Herberta, sumę, która zaważyłaby na całym jego życiu, ale tak, aby on sam się tego nie domyślał, powiedziałbym pani, jak to uczynić.

- A dlaczego miałyby to być w tajemnicy przed nim? - badała opierając się na lasce, aby przyjrzeć mi się jeszcze uważniej.

- Bo jeszcze przed dwu laty zacząłem mu wyświadczać tę samą przysługę bez jego wiedzy i nie chciałem, aby się o tym dowiedział. Nie mogę dać żadnych bliższych wyjaśnień w tej sprawie, bo znowu nie jest to moja, tylko cudza sprawa.

Stopniowo odwracała ode mnie głowę i przeniosła wzrok na ogień kominka. W pewnej chwili, gdy po dopalających się woskowych świecach sądziłem, że przerwa trwa już długo, i gdy opadający z sykiem z kominka węgielek obudził ją z zadumy, spojrzała mi znowu w twarz, początkowo z roztargnieniem, potem z rosnącą uwagą. Estella tymczasem nieustannie robiła na drutach. Kiedy miss Havisham w milczeniu mi się przyglądała, Estella spytała takim tonem, jak gdyby w rozmowie naszej nie było przerwy:

- No i co dalej?

- Estello - odpowiedziałem zwracając się do niej i usiłując opanować drzenie głosu - wiesz przecież, że cię kocham. Wiesz, że od dawna kocham cię i kochałem gorąco.

Podniosła ku mnie oczy, podczas gdy dłonie jej dalej poruszały drutami. Patrzyła na mnie obojętnie. Widziałem, jak wzrok miss Havisham wędrował teraz od mojej twarzy ku twarzy Estelli i z powrotem.

- Powiedziałbym ci to o wiele dawniej, gdyby nie moja pomyłka: sądziłem, że miss Havisham przeznaczyła nas dla siebie wzajemnie, i nie chciałem ci robić wyznań myśląc, że jesteś w przymusowej sytuacji. Ale teraz nie mogę już dłużej milczeć.

Zachowując nadal spokój Estella nie przestawała pracować, potrząsnęła tylko głową.

- Wiem - odparłem widząc ten gest - wiem dobrze, że nie mogę mieć nadziei, aby nazwać cię moją. Nie wiem, co się ze mną stanie w najbliższym czasie, nie wiem, do jakiego stopnia będę ubogi ani dokąd się udam. A mimo to kocham cię. Kochałem cię od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem w tym domu.

Patrząc na mnie wciąż nieporuszenie i dalej pracując palcami potrząsnęła znowu głową.

- Gdyby miss Havisham pomyślała o tym, co czyni - mówiłem dalej - byłoby z jej strony 'okrucieństwem igrać z wrażliwością biednego chłopca i zadawać mu w ciągu długich lat tortury niespełnionych nadziei. Ale wydaje mi się, że w obliczu swych własnych cierpień po prostu nie myślała o moich, Estello.

Ujrzałem, jak miss Havisham położyła sobie dłoń na sercu i patrzyła kolejno to na mnie, to na Estellę.

- Zdaje mi się - przemówiła Estella bardzo spokojnie - że istnieją uczucia czy powikłania, których nie jestem w stanie pojąć. Kiedy mi mówisz, że mnie kochasz, to rozumiem ten wyraz, ale nic więcej. Wyraz ten nie budzi nic w moim sercu, nic we mnie nań nie odpowiada. Nic mnie nie obchodzi to, co do mnie mówisz. Uprzedzałam cię zresztą co do tego. Powiedz sam, czy ciebie nie uprzedzałam?

Potwierdziłem żałośnie: - Tak.

- Tak. Ale ty nie dałeś się przestrzec, bo nie wierzyłeś, że tak jest naprawdę. Czy teraz mi wreszcie wierzysz?

- Wierzyłem ci i wtedy, ale miałem nadzieję, że tak naprawdę nie myślisz. Ty, taka młoda, taka niewinna, taka śliczna, Estello! Przecież to byłoby wbrew naturze.

- Ale to zgodnie z moją naturą - odparła i dodała z naciskiem - z naturą, którą we mnie wyrobiono. To, że ci to mówię, jest już wielkim wyróżnieniem twojej osoby spośród innych. Więcej nic już nie mogę.

- Czy to prawda, że Bentley Drummle jest tu w mieście i że prześladowuje cię swoją osobą?

- To prawda - odpowiedziała Estella z najwyższą obojętnością, a nawet pogardą.

- Że zachęcasz go, jeździsz z nim konno i że dzisiaj jest proszony do ciebie na obiad?

Wydawała się trochę zdziwiona moimi wiadomościami, ale potwierdziła spokojnie;

- To wszystko prawda.

- Nie możesz go kochać, Estello!

Palce jej zatrzymały się po raz pierwszy i zapytała z rozdrażnieniem w głosie:

- Czy doprawdy nie rozumiesz tego, co mówię? Czy sądzisz, że mówię ci nieprawdę?

- Ale nie wyjdiesz za niego za mąż, Estello?

Spojrzała pytająco na miss Havisham i zastanawiała się przez chwilę z robotą w ręku.

Wreszcie odpowiedziała:

- Czemu nie miałabym ci powiedzieć prawdy? Wyjdę za niego.

Zakryłem twarz dłońmi, ale potrafiłem się opanować szybciej, niż przypuszczałem, mimo straszliwej męki, jaką zadały mi te słowa. Kiedy odsłoniłem twarz, upiorny wyraz oczu miss Havisham uderzył mnie mocno mimo bólu.

- Estello, najdroższa, najdroższa Estello, nie pozwól miss Havisham skłonić się do tego fatalnego kroku. Oddal mnie od siebie na zawsze - wiem, że i tak już to uczyniłaś, ale wybierz sobie kogoś godniejszego siebie niż Drummle. Miss Havisham cię ku niemu popycha tylko po to, by obrazić tych wszystkich znacznie wartościowszych mężczyzn, którzy cię wielbią, i tych niewielu, którzy cię naprawdę kochają. Pośród nich znajdzie się może taki, który kocha cię tak samo czule, jeżeli nie tak samo dawno, jak ja. Wybierz go i wyjdź za niego za mąż, a ja zniosę to dla twojego szczęścia.

Mój pełen szczerzej powagi wybuch wywołał w niej zdziwienie, które mogłoby być nawet zabarwione współczuciem, gdyby zechciała się zastanowić nad tym, co się we mnie dzieje.

- Wyjdę za niego za mąż - oznajmiła łagodnym głosem - przygotowania do ślubu są już rozpoczęte. Ślub odbędzie się wkrótce. Nie wiem, czemu mieszasz do tych spraw moją przybraną matkę? Postępuję tak z własnej woli.

- Z własnej woli, Estello, łączysz się z tym brutalem?

- A z kimże mam się połączyć? - odparła z uśmiechem - czy z człowiekiem, który bardzo szybko odczułby (jeżeli ludzie w ogóle zdolni są do odczuwania takich rzeczy), że nigdy go nie kochałam? Zresztą już przepadło. Damy sobie jakoś ze sobą radę; we dwoje, ja z moim mężem. Co zaś do namowy ze strony miss Havisham, to oświadczam ci, że wprost odwrotnie, niż myślisz, namawiała mnie, bym w ogóle jeszcze zaczekała z małżeństwem. Ale ja jestem znużona życiem, jakie prowadzę, i pragnę zmiany. Nie mów ani słowa więcej. I tak nigdy się wzajemnie nie zrozumiemy.

- Taki podły brutal! Taki głupi brutal! - powtarzałem, w rozpacz.

- Nie lękaj się, nie będę dla niego błogosławieństwem - powiedziała Estella - no, podaj mi rękę. Czy rozstaniemy się zgodnie, ty marzycielski chłopcze... a może mężczyzno?

- Och, Estello - mówiłem, a gorzkie łzy kapały mi, mimo że je wstrzymywałem, na rękę Estelli - gdybym nawet pozostał w Anglii i starał się trzymać głowę do góry, to jakże zniosę widok ciebie jako żony Drummle'a?

- To głupstwo - odparła Estella - głupstwo. I prędko ci minie.

- Nigdy, Estello!

- Wypędzisz mnie z twych myśli w przeciągu tygodnia.

- Wypędzę cię z moich myśli? Ciebie, która jesteś częścią mnie samego, mojego życia. Od chwili kiedy jako prosty chłopak, którego serce tak chętnie raniłaś, zjawiłem się w tym domu, byłaś obecna w każdym wierszu, jaki czytałem. Byłaś w każdym widoku, na jaki spoglądałem, na rzece, w żaglach łodzi, na bagniskach, w chmurach, w świetle słonecznym, w Mr.oku wieczornym, w wietrze, w lasach, w morzu i na ulicach miast. Byłaś uosobieniem wszystkich pełnych wdzięku myśli, jakie mnie nawiedzały. Równie realna i niemożliwa do poruszenia z miejsca, jak kamienie najstarszych gmachów Londynu, jest twoja obecność i twój wpływ na mnie, który nie zginie nigdy. Czy chcesz czy nie, Estello, aż do końca twojego życia będziesz stanowiła część mojej istoty i wszystkiego, co w niej jest dobrego i złego. Ale odtąd, od chwili naszego rozstania, będę się starał łączyć twoją osobę tylko z tkwiącym we mnie dobrem, gdyż mimo ostrego bólu, jaki mi teraz zadajesz, uczyniłaś mi więcej dobrego niż złego. Boże, błogosław cię! Boże, strzeż cię od złego i wybacz ci.

Nie wiem teraz, w jakim przyplwywie rozpaczy te pełne uniesienia słowa wybuchły ze mnie. Były one jak krew, która trysnęła z rany i wylała się na zewnątrz. Przycisnąłem dłoń Estelli do warg i tak rozstaliśmy się. Ale kiedy później przypominałem sobie tę rozpaczliwą scenę, wiedziałem, że o ile Estella przyglądała mi się z wyrazem niedowierzania i zdziwienia, o tyle upiorna postać miss Havisham, z dłonią przyciskającą serce, wyrażała współczucie i wyrzuty sumienia.

Wszystko się skończyło, wszystko minęło! Tak bardzo skończyło się i minęło, że kiedy przechodziłem przez bramę, zdawało mi się, że blask dnia przybladł od chwili, kiedym ją mijał idąc w pierwszą stronę. Przez chwilę błąkałem się po bocznych ścieżkach do Londynu. Czułem bowiem, że nie mogę powrócić do gospody i spotkać tam Drummle'a, że nie zniosę teraz podróży w dylizansie ani rozmowy z pasażerami, i że najlepiej będzie, jeżeli zmęczone się porządnie.

Było już po północy, gdym przechodził przez Most Londyński. Idąc teraz wąziutkimi zaułkami, które w owym czasie wzdłuż brzegu rzeki wiodły przez Middlesex w zachodnim

kierunku miasta, szedłem dalej przez Whitefriars do dzielnicy Tempie. Oczekiwano mnie dopiero nazajutrz, ale miałem własne klucze i na wypadek, gdyby Herbert już spał, mogłem udać się na spoczynek, nawet go nie budząc.

Ponieważ bardzo rzadko wracałem do domu po zamknięciu bramy dzielnicy Tempie i ponieważ byłem bardzo zabłocony i znużony, nie miałem za złe stróżowi, że uchylwszy bramy przyglądał mi się badawczo i pytająco. Aby pomóc jego pamięci, wymieniłem moje nazwisko.

- Zdawało mi się, że to pan - powiedział dozorca - ale nie byłem pewny. Jest tu list do pana. Posłaniec prosił, by go pan przeczytał przy blasku mojej latarni.

Bardzo zdziwiony wziąłem list do ręki. Był zaadresowany do „Wielmożnego Filipa Pipa”, a obok adresu widniał wyraźny dopisek „Proszę to przeczytać tutaj”. Otworzyłem list, dozorca podniósł latarnię i przy jej blasku przeczytałem: „Niech pan nie wraca do domu”. Rozpoznałem charakter pisma Wemmicka.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Natychmiast po przeczytaniu tego ostrzeżenia zawróciłem sprzed bramy Tempie i pośpieszyłem na Fleet Street, gdzie udało mi się schwytać zapóźnioną dorożkę, która zawiozła mnie do Hummums w Covent Garden. W owych czasach bowiem było to miejsce, gdzie o każdej porze można było znaleźć nocleg. Portier uchylił okienka i wpuścił mnie do wnętrza. Zapalił świecę i przy jej blasku wprowadził mnie do pokoju, na który teraz przypadła kolej. Był to niski, nieledwie piwniczny pokój na parterze, wychodzący na podwórko. Na środku stało, niczym despotyczny potwór, łoże pod baldachimem; zajmowało ono całą sypialnię, jedną z nóg opierając się o kominek, a drugą o drzwi i niemal że miażdżąc swymi rozmiarami malutką, mizerną umywalkę w kącie.

Kiedy poprosiłem o światło, portier przyniósł mi staroświecką pocziwą lampkę nocną, jakich używano w owych cnotliwych dniach. Wyglądała jak widmo laski, a niemal niewidoczne jej światło ukrywało się na dnie blaszanej wieżyczki podziurawionej okrągłymi otworami, które rzucały na ściany świetliste wzorki. Wyginała się pod dotknięciem i nie użyczała swego płomienia.

Kiedy położyłem się do łóżka, ze zbolałymi nogami, zmęczony śmiertelnie i zrozpaczony, poczułem, że nie zdołam zMr.żyć oczu, tak jak nie potrafi zamknąć swych otworów ten idiotyczny Argus. Tak więc w rozpaczliwych Mr.okach nocy spoglądaliśmy na siebie w milczeniu.

Jakaż to była okropna noc! Jaka pełna niepokoju, smutna i długa! W pokoju unosił się niegościnnie zapach zimnej sadzy i gorącego pyłu i kiedym patrzył w górę, w kąty baldachimu nad moją głową, musiałem myśleć o tym, ile się tam kryje niebieskich wielkich much przylatujących tu od rzeźnika, ile skorków przyniesionych tu z targów, ile innego robactwa przywleczonego ze wsi i czekającego lata, by stąd wyfrunąć. Nie mogłem się opędzić myśli, że zaraz zaczną spadać mi na głowę, i rzeczywiście po chwili poczułem dotknięcia ich na twarzy i przykre swędzenie na plecach. Leżałem tak nieruchomo, nie mogąc zasnąć, gdy nagle w ciszy usłyszałem odgłosy, które zwykle towarzyszą bezsenności. Szafa zatrzeszczała, kominek westchnął, mała umywalka zadrżała, a w komodzie rozbrzęczało coś niby struna gitary. W tejże chwili świetliste oczy na ścianie zmieniły wyraz i w każdym kółku zdawałem się czytać zdanie: „Nie wracaj do domu!

Żadne mary ani hałasy nocne nie były w stanie wypędzić ze mnie owego zdania „Nie wracaj do domu, które dokuczało jak ból fizyczny, wdrażając mi się w ciało. Na krótko

przedtem czytałem w gazecie, że jakiś nie znany mi jegomość, nocując w Hummums popełnił samobójstwo i rankiem znaleziono jego ciało tonące we krwi. Przyszło mi do głowy, że samobójstwo to zostało prawdopodobnie popełnione w tej samej właśnie suterence, w której spędzałem noc, i zerwawszy się z łóżka obszedłem cały pokój w poszukiwaniu krwawych śladów. To mi nie wystarczyło, otworzyłem drzwi na korytarz, wysunąłem głowę i dopiero dalekie światło, przy którym, jak wiedziałem, drzemał portier, trochę mnie uspokoiło.

Ale przez cały czas dręczyły mnie pytania, czemu nie mam wracać do domu, co by było, gdybym tam wrócił, czy Provis przebywa bezpiecznie u siebie, kiedy będę mógł powrócić do mego mieszkania. Po prostu nie zostawało już we mnie miejsca na inne myśli.' I nawet wtedy, kiedy powracałem myślą do faktu, że się dzisiaj na zawsze rozstał z Estellą, kiedy wywoływałem przed oczy jej głos, jej wyraz twarzy i jej palce poruszające drutami - wszystko to działo się na tle nieustannej obecności owej przestrogi „Nie wracaj do domu! Kiedy wreszcie śmiertelnie wyczerpany zdrzemnąłem się, to i wówczas na pół we śnie ten straszny czasownik towarzyszył mi jak cień i musiałem go koniugować w trybie rozkazującym: „Nie wracaj do domu, niech on nie wraca do domu, nie wracajmy do domu, niech oni, one nie wracają do domu, nie wracajcie do domu, a potem nieco inaczej: „Nie mogę i nie powinienem wracać do domu, nie mogłem, nie powinienem być i nie wróciłbym do domu. Aż wreszcie poczułem się tak bardzo zmęczony, że dałem spokój, zwinąłem się w kłębek w łóżku i znowu patrzyłem na świetliste krążki na ścianie.

Poleciłem, by obudzono mnie o siódmej, gdyż jasne było, że muszę zobaczyć się z Wemmickiem, i równie jasne, że w tym wypadku pomocne mi mogą być jedynie jego prywatne, związane z Walworth uczucia. Prawdziwą ulgą stało się dla mnie opuszczenie pokoju, gdzie spędziłem tak okropną noc, i nie czekając na drugie puknięcie zerwałem się gwałtownie z niewygodnego łóżka.

O ósmej rano wyrosły przed moimi oczyma fortyfikacje Zameczku. Spotkałem właśnie małą służącą, która szła do fortecy z gorącymi bułeczkami, i skorzystawszy z tego przeszedłem w jej towarzystwie przez furtkę i zwodzony most bez uprzedzania o mojej obecności. Zastałem Wemmicka przy przygotowaniu herbaty dla siebie i ojca. Otwarte drzwi pozwoliły mi ujrzeć staruszka leżącego w sąsiednim pokoju jeszcze w łóżku.

- Hallo, Mr. Pip - powiedział Wemmick - więc wrócił pan do domu?

- Tak - odparłem - wróciłem, ale nie do domu.

- W porządku - oświadczył zacierając dłonie - pozostawiłem dla pana kartki przy wszystkich bramach wiodących do Tempie na wszelki wypadek. Jaką bramą pan wracał?

Wyjaśniłem mu to.

- Obejdę zaraz wszystkie pozostałe bramy i zniszczę karteczki - zdecydował Wemmick - należy zawsze przestrzegać zasady, że nigdy nie powinno się zostawiać materiałów dowodowych, bo nigdy nie wiadomo, kiedy one mogą być użyte. Mam zamiar z panem porozmawiać szczerze. Czy mógłby pan tymczasem przypiec tę oto kielbaskę dla mego Wiekowego Ojczulka?

Odparłem, że zrobię to z przyjemnością.

- Wobec tego możesz wrócić do twojej roboty, Mario Anno - zwrócił się do małej służącej - to pozwoli nam pomówić w cztery oczy, prawda, Mr. Pip? - dorzucił Mr.ugając ku mnie okiem, kiedy dziewczyna wyszła z pokoju.

Podziękowałem mu teraz za okazaną mi przyjaźń i za środki ostrożności i rozmowa nasza potoczyła, się cicho, podczas gdy przypiekałem kielbaskę dla staruszka, a Wemmick smarował dla niego masłem gorącą bułkę.

- A teraz, Mr. Pip - oznajmił Wemmick - sądzę, że rozumiemy się wzajemnie doskonale. Znajdujemy się tutaj na terenie czysto prywatnym i już nawet raz zawarliśmy na tymże terenie czysto prywatną transakcję. Oficjalne nasze stosunki to coś całkiem odmiennego. Teraz pozostajemy w stosunkach pozaoficjalnych.

Zgadzałem się skwapliwie, ale byłem tak bardzo zdenerwowany, że zmieniłem trzymaną nad płomieniem kielbaskę w palącą się pochodnię i musiałem ją zdmuchnąć.

- Usłyszałem wczoraj przypadkiem - mówił Wemmick - w pewnym miejscu, które pan zna, bom pana tam niegdyś zaprowadził, ale lepiej nawet w cztery oczy nie wymieniać jego nazwy...

- Tak, o wiele lepiej, rozumiem pana...

- Więc słyszałem - opowiadał Wemmick - że pewna osoba, o której nie można powiedzieć, by nie miała związku z koloniami i zesłaniem, osoba, która nie jest pozbawiona majątku ruchomego... nie domyślam się nawet, kto ona może być i nie wymienię jej imienia...

- Nie trzeba - wtrąciłem.

- Narobiła wiele hałasu w pewnej części świata, do której jeżdżą ludzie nie zawsze dla własnej przyjemności i nie zawsze za własne pieniądze...

Wpatrzony w jego twarz omal że nie uczyniłem z kielbaski staruszka fajerwerku. Oderwało to na chwilę uwagę moją i Wemmicka od opowiadania. Przeprosiłem go za to.

-... a to z tego powodu - ciągnął po chwili dalej - że osoba ta zniknęła stamtąd bez uprzedzenia i że nie mogą jej nigdzie znaleźć. Fakt ten wywołał wiele pogłosek, a wśród nich taką, że mieszkanie pana w Tempie na Garden Court było i jest jeszcze może pod obserwacją.

- Pod czyją obserwacją? - spytałem.

- Nie mogę tego powiedzieć - odparł wymijająco Wemmick - to mogłoby mnie narazić na przykrości ze strony władz oficjalnych. Usłyszałem to, jak słyszę wiele innych rzeczy w moim zawodzie. Nie powtarzam panu wiadomości mi powierzonej, ale jedynie to, co przypadkiem wpadło mi w ucho, i nic więcej powiedzieć nie mogę.

Podczas gdy mówił, wyjął mi z ręki widelec z kielbaską i przygotował całe śniadanie dla staruszka na zastawionej czyściutko tacy. Zanim zabrał śniadanie do sypialni ojca, zaniósł tam czysty, biały obrusik, zawiązał starcowi pod brodą czystą, białą serwetkę, posadził go w łóżku, zdjął mu z głowy szlafmycę, odłożył na bok i nadał mu wygląd wręcz kokieteryjny. Potem dopiero ostrożnie umieścił przed nim tacę ze śniadaniem i spytał:

- Dobrze się czujesz, mój Wiekowy Ojczulku? Staruszek odparł z uśmiechem:

- Doskonale, John, mój chłopcze, doskonale.

Odnosiłem wrażenie, że na zasadzie jakiejś milczącej umowy staruszek do chwili, gdy będzie się już mógł ukazać, ma być uważany za niewidzialnego, toteż udawałem, że wcale tego wszystkiego nie spostrzegam.

- Ta obserwacja mojego mieszkania (którą podejrzewałem już od pewnego czasu) - zwróciłem się do Wemmicka, gdy powrócił do pokoju - ma ścisły związek z osobą, o której pan przed chwilą mówił?

Wemmick miał wyraz twarzy bardzo poważny, gdy odpowiedział:

- Nie mogę z całą pewnością twierdzić, że tak było od początku. Ale nie omylę się, jeżeli powiem, że jest tak, być może, teraz i że stanie się to jeszcze poważniejsze w przyszłości.

Nie nalegałem więcej, bo widziałem jasno, jak bardzo obawia się następstw ze strony biura w Małej Brytanii, i byłem mu wdzięczny i za to, co z narażeniem własnej osoby mi ujawnił. Oświadczyłem tylko patrząc z namysłem w płomienie kominka, że chciałbym mu zadać jedno pytanie, na które ma prawo nie odpowiedzieć, jeżeli uzna to za stosowne. Przerwał śniadanie, skrzyżował ramiona i skubiąc rękawy koszuli (w domu dla wygody chodził bez marynarki) skinął mi głową, bym pytał.

- Czy słyszał pan o człowieku obdarzonym złym charakterem, którego nazwisko brzmi Compeyson?

Skinął głową zamiast odpowiedzi.

- Czy żyje? Kiwnięcie głową.

- Czy jest w Londynie?

Skinął jeszcze raz głową, zamknął mocno swój otwór skrzynki do listów i powrócił do spożywania śniadania.

- A teraz - oznajmił - skoro pytania już zakończone (podkreślił to i powtórzył dwa razy, aby mi to jasno uświadomić) powiem panu, com zrobił, podsłuchawszy tę wiadomość. Pojechałem na Garden Court, a kiedy pana nie zastał, wybrałem się do Clarrikera, żeby odszukać pana Herberta.

- I odszukał go pan? - spytałem z niepokojem.

- Tak, znalazłem go. Nie wymieniając żadnego nazwiska powiedziałem mu tylko, że jeżeli mu wiadomo, iż ktoś, na przykład Tom, Jack czy Ryszard, znajduje się w waszym mieszkaniu podczas pana nieobecności albo też w bliskim sąsiedztwie tego mieszkania, to lepiej będzie dla tego Toma, Jacka czy Ryszarda stamtąd się gdzieś przenieść.

- Był pewnie bardzo zakłopotany, co ma robić?

- Był zakłopotany, co robić, a jeszcze bardziej wprawiło go w kłopot moje zdanie, by w żadnym razie nie przenosić teraz za daleko tego Toma, Jacka czy Ryszarda. Mr Pip, powiem panu jedno. Wielkie miasto, jeżeli człowiek już w nim przebywa, jest najlepszym schronieniem. Trzeba przeczekać pewien najgorszy czas i przedtem niczego nie próbować. Siedzieć cicho. Dopiero, gdy sprawa trochę ucichnie, można działać, ale nie wcześniej, nawet jeżeli się dąży do odetchnięcia cudzoziemskim powietrzem.

Podziękowałem mu za cenną radę i spytałem, co Herbert zrobił.

- Pan Herbert - odparł Wemmick - po półgodzinym namyśle ułożył plan. Wyznał mi w tajemnicy, że stara się o pewną młodą pannę, która jak to panu zapewne wiadomo, ma tatusia przykutego do łóżka. Ten tatuś był kiedyś intendentem na statku i dlatego leży w łóżku przy dużym oknie, przez które może oglądać statki płynące w górę i w dół rzeki. Pan zapewne zna tę pannę?

- Nie osobiście - odpowiedziałem.

W rzeczywistości było tak, że panna ta uznała mnie za zbyt rozrzutnego towarzysza i nieodpowiednie towarzystwo dla Herberta i jego propozycję zapoznania nas przyjęła z tak umiarkowanym zapalem, iż przyjaciel mój opowiedziawszy mi to prosił, by jeszcze czas jakiś zaczekać z naszą znajomością. Ponieważ wtedy pracowałem nad karierą Herberta w tajemnicy przed nim, przyjąłem tę propozycję z wesołą filozofią, oni zaś nie śpieszyli się z wprowadzeniem do swego towarzystwa trzeciej osoby. W ten sposób, mimo że w miarę jak czas płynął, panna Klara nabierała szacunku dla mojej osoby i mimo że za pośrednictwem Herberta przysyłała mi różne polecenia i pozdrowienia, nigdy nie poznałem jej osobiście. Nie nudziłem jednak teraz Wemmicka tymi wszystkimi szczegółami.

- Pan Herbert spytał mnie więc - ciągnął Wemmick - co sądziłbym o tymczasowym umieszczeniu Toma, Jacka czy Ryszarda w domu, w którym znajduje się półkoliste okno

wychodzące na rzekę. Dom ten stoi na brzegu rzeki obok tamy pomiędzy Limehouse a Greenwich, należy do bardzo szanownej wdowy, która wynajmuje umeblowane pierwsze piętro. Odparłem, że byłoby to bardzo pożądane z trzech względów, które panu zaraz przytoczę. Po pierwsze, dom leży całkowicie na uboczu od dróg, którymi pan zwykle chadza. Po drugie, nie widując się z Tomem, Jackiem czy Ryszardem, mógłby pan zawsze mieć o nim wiadomości przez Herberta. Po trzecie, po pewnym czasie, kiedy uznacie już za stosowne wsunąć Toma, Jacka czy Ryszarda na jakiś parowiec idący za granicę, nie będzie miał daleko.

Bardzo pocieszony tymi słowami, nie przestawałem gorąco dziękować Wemmickowi i prosiłem go, by mówił dalej.

- A więc, Mr. Pip - podjął - pan Herbert rzucił się z zapalem do wykonywania tego planu i wczoraj około dziewiątej wieczorem Tom, Jack czy Ryszard, mniejsza o to, jak mu na imię, nic nas to z panem nie obchodzi, został umieszczony w domu nad rzeką. W starym mieszkaniu powiedział, że jedzie do Dovru i naprawdę pojechał szosą wiodącą w tym kierunku, a potem skręcił w bok. Jeszcze jedną dobrą stroną tego wszystkiego jest fakt, że odbyło się to w pańskiej nieobecności i jeżeli ktoś pana śledził, widział, że był pan o mile stąd i że zajmował się pan czymś zupełnie innym. To osłabia podejrzenia i wprowadza zamęt. Dlatego też, by wprowadzić jeszcze większe zamieszanie, radziłem panu nie powracać jeszcze wczoraj wieczorem do domu.

Tu Wemmick skończył jeść śniadanie, spojrzął na zegarek i zaczął wkładać płaszcz.

- A teraz, Mr. Pip - zakończył z rękami uwięzionymi w rękawach - wydaje mi się, że zrobił, co mógł w tej sprawie. Ale jeżeli mogę coś jeszcze więcej dla pana uczynić (oczywiście z czysto prywatnego punktu widzenia w Walworth) - to będę szczęśliwy. Oto adres. Nie widziałbym w tym nic złego, gdyby pan dzisiaj wieczorem sam tam wstąpił i przekonał się, że Tomowi, Jackowi czy Ryszardowi nie dzieje się krzywda. Chyba może pan to śmiało zrobić właśnie dlatego, że nie nocował pan jeszcze u siebie w domu. Ale skoro pan już powróci do domu, nie wolno panu ani razu go więcej odwiedzić. Tutaj będzie pan zawsze mile widziany, Mr. Pip. - Wyjął już ręce z rękawów płaszcza i mogłem je ucisnąć. - I pozwól sobie powiedzieć jeszcze coś ważnego.

Tu położywszy mi dłonie na ramionach zniżył głos do uroczystego szeptu:

- Skorzystaj z dzisiejszego wieczoru, żeby zabrać do siebie jego ruchomości. Nie możesz wiedzieć, co się z nim stanie. Niechże więc nic nie grozi jego ruchomościom.

Rezygnując z wyjaśnienia Wemmickowi, jaki jest mój pogląd na tę sprawę, nie sprzeciwiłem się jego słowom.

- Czas leci - oświadczył Wemmick - na mnie już pora. Jeżeli nie ma pan nic bardzo pilnego do roboty, to radziłbym pozostać tutaj aż do zmierzchu. Wygląda pan na bardzo zmęczonego i należy się panu spokojny dzień ze staruszką. Zaraz wstanie i... pamięta pan naszą świnkę?

- Oczywiście - odparłem.

- Więc trzeba, aby pan jej trochę skosztował. Ta kielbaska, którą pan przypiekał, była także z niej. Trzeba, żeby pan przez wzgląd na starą znajomość z nią też coś niecoś skosztował. Do widzenia, Wiekowy Ojczulku! - krzyknął serdecznie.

- Doskonale, John, doskonale, mój chłopcze! - zapiszczał staruszek z daleka.

Wkrótce potem zasnąłem pod kominkiem Wemmicka i od tej chwili przez cały dzień prześcigaliśmy się w drzemce ze staruszką. Na obiad jedliśmy schab z zabitej świnki z jarzynami z ogrodu warzywnego Wemmicka. Z drzemki przechodziłem do kiwania głową staremu i znowu do drzemki. Kiedy się ściemniło, staruszek zabrał się do rozpalania ognia, do pieczenia grzanek. Z ilości filiżanek herbaty oraz ze spojrzeń, jakie staruszek rzucał na małe tabliczki przy drzwiach, wywnioskowałem, że spodziewa się przybycia miss Skiffins.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Wybiła ósma, zanim znalazłem się wśród przyjemnego zapachu wiórów i trocin, unoszącego się z nadbrzeżnych warsztatów okrętowych, składów masztów, wiosel i takelunku. Nie znałem zupełnie tych stron położonych poniżej Mostu i dopiero po dłuższym błądzeniu przekonałem się, że miejsce, którego szukałem, leżało w innej stronie i było całkiem łatwe do znalezienia. Nazywano je Mili Pond Bank obok Chink's Basin i wiedziałem tylko tyle, że do Chink's Basin mogę się dostać idąc przez Old Green Cooper RopeWalk.

Nie będę opisywał tych wszystkich okrętów naprawianych w suchym doku (wśród których się zabłąkałem) ani starych na pół rozwalonych wraków, szlamu, mułu i innych mętów przypływu, maszyn do naprawiania i niszczenia statków, zardzewiałych kotwic, zarytych na ślepo w ziemię, mimo że od lat już wyszły z użycia, gór pustych beczek, desek i stosów lin okrętowych, które mijałem w drodze, nie mogąc wciąż trafić do celu. Raz zaszedłem za daleko, innym razem znowu za blisko, a w pewnej chwili dotarłem do tego samego miejsca, które przed chwilą opuściłem, i nagle, krążąc, sam nie wiedząc jak, znalazłem się przed Mili Pond Bank.

Było to przestronne miejsce, po którym wiatr wiejący od morza mógł hulać swobodnie. Rosły tam dwa czy trzy drzewa i wznosiły się ruiny starego wiatraka. W świetle księżyca ujrzałem też budynek Old Green Copper RopeWalk, a przed nim wetknięte w ziemię drewniane ramy, podobne do wideł, którym na skutek starości wypadły zęby.

Spośród nielicznych domów mieszkalnych wybrałem drewniany trzypiętrowy o półkolistych oknach. (Nie należy mylić ich z trójkątnymi, bo to zupełnie co innego). Na tabliczce na drzwiach widniało nazwisko: „Whimple”. Było to nazwisko gospodyni, którego szukałem. Zapukałem. Otworzyła mi starsza kobieta o przyjemnej i kwitnącej powierzchowności. Natychmiast zresztą zjawił się Herbert, wprowadził mnie w milczeniu do bawialni, zamknął drzwi. Dziwnego doznałem uczucia na widok je go tak mi bliskiej i znajomej twarzy w tym obcym nieprzytulnym otoczeniu. Toteż spoglądałem na przemian tak samo ciekawie na niego jak na stojący w rogu pokoju kredens z porcelaną, i szkłem, na muszle zdobiące parapet kominka, na barwne sztychy na ścianie, przedstawiające śmierć kapitana Cooka, spuszczenie statku na wodę, oraz na króla Jerzego III w peruce, spodniach ze skóry i wysokich butach na tarasie zamku Windsorskiego.

- Wszystko w porządku, Haendel - powiedział Herbert - jest całkiem zadowolony, tylko marzy o tym, by ciebie zobaczyć. Moja kochana dziewczyna jest u swego ojca i jeżeli

zechcesz zaczekać chwilkę, aż zejdzie na dół, to cię jej przedstawię, a potem pójdziemy na górę. O, to właśnie jej ojciec...

Ostatnie słowa tyczyły się hałasu, który rozległ się gdzieś nad moją głową. Na mej twarzy musiało się odbić zdziwienie, bo Herbert zauważył:

- Obawiam się, że to stary łobuz - uśmiechnął się i mówił dalej - nigdy nie widziałem go jeszcze, ale czujesz zapach rumu? Zawsze mu towarzyszy.

- Czy pije ciągle rum? - spytałem.

- Tak - odpowiedział Herbert - i możesz sobie wyobrazić, jak to łagodzi jego podagrę. Upiera się także, aby wszystkie zapasy zanoszono do jego pokoju i sam je wydziela. Umieścił je na półkach nad swoją głową. Pokój jego musi wyglądać jak sklep spożywczy.

W tej chwili hałas na górze urósł do przeciągłego ryku i umilkł.

- Nic dziwnego - ciągnął Herbert - wobec tego, że uparł się sam krajać ser. Człowiek, który tak jak on ma reumatyzm w prawej ręce, musi się skaleczyć krając olbrzymi ser Gloucesterski.

Mężczyzna na górze pewnie się porządnie skaleczył, gdyż wydał jeszcze jeden wściekły ryk.

- Provis jako lokator wyższego piętra jest dla Mr.s Whimple prawdziwym błogosławieństwem - mówił Herbert - gdyż ludzie na ogół nie znoszą tego hałasu. Dziwne tu miejsce, co, Haendel?

Miejsce było istotnie dziwne, ale czyste i starannie utrzymane.

- Mrs Whimple - objaśniał Herbert - jest jedną z najlepszych gospodyń i doprawdy nie wiem, co by robiła moja Klara bez jej macierzyńskiej pomocy. Bo Klara nie ma matki ani żadnych krewnych oprócz tego starego Złośnickiego.

- Chyba się tak nie nazywa, Herbercie?

- Nie, to ja tak go nazywam. Nazywa się Barley. Ale co to za błogosławieństwo dla syna mej matki i mego ojca, że kocha dziewczynę, która nie posiada rodziny i nie będzie z jej powodu dręczyła ani siebie, ani nikogo.

Herbert przypomniał mi teraz, że poznał Klarę Barley jeszcze wtedy, gdy była w szkole w Hammersmith, gdzie dopełniała wykształcenia, i że kiedy wezwano ją do domu, by pielęgnować chorego ojca, to oboje zwierzyli się ze swej miłości Mr.s Whimple, pełnej macierzyńskich uczuć, która potraktowała tę sprawę z serdeczną dyskrecją. Było samo przez się zrozumiałe, że żadnych spraw natury uczuciowej nie należy zwierzać staremu Barleyowi, który potrafi się przejąć tylko rumem, podagrą i zapasami żywności.

Kiedy tak rozmawialiśmy półgłosem, podczas gdy przez sufit dolatywały ryki Barleya, drzwi otworzyły się i zjawiała się w nich śliczna, czarnooka dziewczyna z koszyczkiem w ręku. Mogła mieć lat dwadzieścia. Herbert wyjął jej koszyk z ręki i powiedział rumieniąc się:

- Klara.

Była rzeczywiście uroczą dziewczyną i wyglądała na dobrą wróżkę więzioną przez złego smoka, starego Barleya, który zaprzął ją do swej służby.

- Popatrz - powiedział Herbert pokazując mi koszyk z współczującym uśmiechem - oto jest kolacja Klary, wydawana jej co wieczór. Oto jej racja chleba, kawałek sera i rum, który ja wypijam. A oto śniadanie na jutro dla Mr. Barleya, które ma być ugotowane i podane mu na górę. Dwa kotlety baranie, trzy kartofle, trochę grochu, trochę mąki, dwie uncje masła, szczypta soli i ten cały pieprz. Trzeba mu to usmażyć i podać na gorąco. Dobrze na podagrę, co?

Było coś tak bardzo naturalnego i naprawdę wzruszającego w sposobie, w jaki Klara z rezygnacją patrzyła na zapasy, podczas gdy Herbert je wyliczał, było tak wiele ufności, miłości i nie winności w sposobie, w jaki tuliła się do jego ramienia. Było coś tak miłego i domagającego się opieki w tym bezbronnym stworzeniu w Mili Pond Bank nieopodal Chink's Basin i Old Green Copper RopeWalk, w domu w którym stary Barley ryczał na górze. Patrząc na to pomyślałem, że nie zerwałbym zaręczyn tych dwojga nawet za całą sumę spoczywającą w portfelu, którego jeszcze nie otworzyłem.

Spoglądałem na Klarę z przyjemnością i zachwytem, gdy nagle ryk rozległ się znowu, a wraz z nim straszliwy hałas czegoś padającego, jak gdyby olbrzym o drewnianej nodze usiłował przebić nią sufit i dostać się do nas. Wtedy Klara powiedziała do Herberta „Tatusi mnie potrzebuje, kochanie! i wybiegła.

- Oto go masz, starego rekina! - oświadczył Herbert. - Jak sądzisz, czego on chce teraz, Haendel?

- Nie wiem. Może czegoś do picia?

- Zgadłeś - krzyknął z taką radością Herbert, jak gdyby zrobił niezwykle odkrycie - ma zawsze przyrządzony grog w małym kubeczku na stoliku przy łóżku. Poczekaj chwilę, a usłyszysz, jak Klara mu go podaje. O, słyszysz?

Rozległ się cieńszy nieco ryk zakończony jakby tremolem. Potem ucichło.

- Teraz pije - objaśnił Herbert, a po chwili dodał: - Teraz znowu leży na wznak!

Klara powróciła wkrótce potem, a Herbert poszedł wraz ze mną na górę odwiedzić tego, którym opiekowaliśmy się. Kiedy mijaliśmy drzwi pokoju Mr. Barleya, usłyszeliśmy

wyraźnie, jak zmieniając natężenie niby wiatr Mr. uczał zachrypniętym głosem refren, który powtarzam jako błogosławieństwo, choć myślę, że miał on odwrotny sens.

- Ho, ho, bądźcie błogosławieni, tu jest stary Bill Barley. Tu jest stary Bill Barley, bądźcie błogosławieni. Tu leży Bill Barley na grzbiecie z łaski Pana Boga. Leży na grzbiecie na płask jak płynąca stara, zdechła flądra. Tu jest wasz stary Bill Barley. Ho, ho, bądźcie błogosławieni!

Na pociechę Herbert wytłumaczył mi, że niewidzialny stary Barley rozmawia sam ze sobą często, ilekroć obserwuje rzekę przez lunetę, którą ma przy łóżku. Niekiedy mówi do siebie przez całą noc.

Provisa zastałem wygodnie urządzonego w dwupokojowym mieszkanku na górnym piętrze, dokąd słabo dochodziły odgłosy wrzasków Barleya i gdzie było wiele powietrza i przestrzeni. Nie okazał żadnego niepokoju, jak gdyby go wcale nie odczuwał, ale wydał mi się łagodniejszy niż przedtem. Nie umiałem określić, na czym ta jego łagodność polegała, ale odniosłem takie wrażenie.

Miałem tego dnia czas namyślić się nad sytuacją w czasie odpoczynku i doszedłem do wniosku, że nie należy Provisowi wspominać o Compeysonie. Nienawiść jego do tego człowieka była bowiem tak wielka, że wbrew ostrożności wyruszyłby na jego poszukiwanie. Dlatego też gdy zasiedliśmy z nim i Herbertem przy kominku, spytałem go tylko, czy ma zaufanie do źródeł informacyjnych Wemmicka.

- Tak, tak - odparł kiwając głową - Jagers wszystko wie.

- Więc właśnie rozmawiałem dzisiaj z Wemmickiem i przyszedłem tu powiedzieć, jakie on radzi środki ostrożności.

Opowiedziałem mu teraz o wszystkim przemilczając tylko to, o czym przed chwilą wspominałem. Mówiłem, jak Wemmick usłyszał w więzieniu (nie wiedziałem, czy od dozorców, czy od więźniów), że Provis jest osobą podejrzaną i że moje mieszkanie znajduje się pod obserwacją, a dalej zdałem sprawę, jak Wemmick radził, aby on przez pewien czas przebywał w zamknięciu i nie widywał się ze mną, i co Wemmick sądzi o jego ucieczce za granicę. Dorzuciłem, że ja wyjadę z nim razem lub też wkrótce po nim, zależnie od tego, jak Wemmick będzie uważał za stosowne. Nie wspominałem ani słowem o dalszej przyszłości, ale prawdę mówiąc, sam jeszcze nie wiedziałem na ten temat nic pewnego, gdyż łagodny i narażający swe bezpieczeństwo dla mojej osoby Provis budził we mnie całkiem różne niż przedtem uczucia. Powiedziałem mu też, że zmianę mego życia w sensie zwiększenia wydatków uważam w obecnych warunkach co najmniej za śmieszna, jeżeli nie za coś gorszego.

Nie mógł temu zaprzeczyć i w ogóle zachował najdalej idący rozsądek. Przyznał, że jego przyjazd do Anglii był wysoce ryzykowny, i dodał, że zawsze traktował go tylko jako niebezpieczną przygodę. Oświadczył wreszcie, że przy takiej pomocy z naszej strony nie lęka się o swe bezpieczeństwo.

Herbert, który słuchał wszystkiego z uwagą, patrząc w ogień kominka, odezwał się, że słowa Wemmicka nasunęły mu pewną myśl, która może się przydać:

- Jesteśmy obaj dobrymi wioślarzami, Haendel, i kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, moglibyśmy go sami odwieźć łodzią w dół rzeki bez wynajmowania obcych wioślarzy i łodzi. Zaoszczędziłoby nam to wszelkich podejrzeń, co jest ważne. Myślę, że bez względu na porę roku mógłbyś już teraz wynająć sobie łódź przy schodach w Tempie i wiosłować w górę i w dół rzeki. Przyzwyczaisz się i do ciebie przyzwyczają się na rzece. Jeżeli przejedziesz się pięćdziesiąt czy dwadzieścia razy, to nikogo nie zdziwi pięćdziesiąty pierwszy lub dwudziesty pierwszy raz. Czy nie tak?

Podobał mi się ten pomysł, a Provis był zachwycony. Postanowiliśmy, że to zrobimy natychmiast, a opiekun mój nie będzie nas poznawał, gdy będziemy przepływali w łodzi obok Mili Pond Bank. Zgodziliśmy się jednak potem na to, że kiedy nas zobaczy, opuści w wychodzącym na wschód oknie zasłonę na znak, że wszystko jest w porządku.

Kiedy wszystko było już ustalone, zerwałem się, by pójść do domu, i powiedziałem Herbertowi, że będzie rozsądniej, jeżeli nie wybierzemy się razem, tylko on nadejdzie w pół godziny po mnie.

- Przykro mi tu pana zostawiać - zwróciłem się do Provisa - chociaż nie wątpię, że tu jest pan bezpieczniejszy niż w moim sąsiedztwie.

Pożegnałem go, ale Provis chwytając mnie za rękę poprosił:

- Nie żegnaj mnie, chłopcze. Nie wiem, kiedy się znowu zobaczymy, ale nie lubię się żegnać. Powiedz mi raczej dobranoc.

- Dobranoc! Herbert będzie nam nosił wzajemnie wiadomości, a kiedy nadejdzie czas, może pan być pewien, że będę gotów. Dobranoc! Dobranoc!

Zdecydowaliśmy, że nie powinien opuszczać pokoju, i pozostawiliśmy go na schodach przede drzwiami, świecił nam, pókiśmy nie zeszli.

Obejrzawszy się po raz ostatni na niego, powróciłem myślą do owego wieczora, kiedy to po raz pierwszy zjawił się w moim domu i kiedy nie przychodziło mi ani na chwilę do głowy, że mógłbym kiedyś opuszczać go z tak ciężkim sercem i tak się o niego niepokoić, jak to się działo teraz.

Kiedy mijaliśmy drzwi pokoju starego Barleya, wciąż jeszcze jęczał i narzekał, jak gdyby nigdy nie zamierzał się uspokoić. Gdy zeszliśmy na dół, spytałem Herberta, czy mój opiekun zachował nazwisko Provis. Odpowiedział, że oczywiście nie, że lokator na górze nazywa się Mr. Campbell. Wiedzą w tym domu o nim tylko tyle, że Herbert się nim opiekuje, że Herbertowi bardzo zależy na tym, by lokatorowi było tu dobrze, i że Mr. Campbell prowadzi bardzo samotny tryb życia. Kiedyśmy więc weszli do bawialni, gdzie zastaliśmy Mr.s Whimple i Klarę siedzące przy robótkach, nie wspomniałem ani słowa, że i mnie Mr. Campbell interesuje.

Kiedy pożegnałem śliczną i miłą ciemnooką dziewczynę i tę macierzyńską opiekunkę, która nie straciła sympatii dla dwojga młodych za to, że się kochali, wydawało mi się, że Old Green Copper RopeWalk stało się całkiem innym miejscem, niż to dotychczas sądziłem. Stary Barley mógł być stary jak otaczające mnie wzgórza, mógł kłąć jak pułk żołnierzy, ale w domu Chink's Basin było tyle miłości i nadziei, że wypełniała go po brzegi. A potem pomyślałem o Estelli, o naszym rozstaniu na zawsze i wróciłem do domu bardzo smutny. W Tempie panował całkowity spokój. Okna mieszkania, które zajmował Provis, były nieoświetlone i ciche, a po Garden Court nikt się nie przechadzał. Zanim zeszedłem w dół po schodach do mego mieszkania, przespacerowałem się parę razy koło fontanny, ale nie spotkałem żywego ducha. Herbert, który wróciwszy w jakiś czas po mnie, przyszedł do mego pokoju (gdy zmęczony i zmartwiony udałem się wprost do łóżka), powiedział, że i on nie spotkał nikogo. Otworzył potem okno, wyjrzał w blasku księżyca na dwór i oświadczył, że chodnik przed naszym domem jest równie pusty jak wewnątrz jakiegokolwiek katedry o tej nocnej porze. Nazajutrz poszedłem sam wynająć łódź. Załatwiłem to szybko, łódź sprowadzono aż do schodów w Tempie tak, że mogłem do niej dotrzeć do mego mieszkania w dwie minuty. Zaraz potem zacząłem wyjeżdżać łodzią jak gdyby dla ćwiczenia się, to sam, to w towarzystwie Herberta. Wyjeżdżałem często w czasie deszczu lub w chłodne dni, ale nikt nigdy nie zwracał na mnie uwagi.

Zrazu wiosłowałem w kierunku mostu Blackfriars, ale w miarę jak zmieniały się godziny odpływu, jeździłem w kierunku Mostu Londyńskiego. Był to w owym czasie jeszcze stary Most Londyński i mówiono o nim, że w okresie przyływu tworzą się pod nim wiry, ale nauczyłem się je omijać i lawirowałem zręcznie wśród statków płynących po rzece na przestrzeni od Pool do Erith. Kiedy po raz pierwszy mijaliśmy Mili Pond Bank, wiosłowaliśmy obaj z Herbertem i obaj widzieliśmy w oknie wychodzącym na wschód opuszczoną zasłonę. Herbert odwiedzał trzy razy w tygodniu dom nad rzeką, nigdy nie przynosząc stamtąd żadnych niepokojących wieści.

Ja jednak wiedziałem, że mam powody do niepokoju, i miałem nieustannie uczucie, że jestem przez kogoś śledzony. Trudno doprawdy wyzbyć się takiego wrażenia i doszło do tego, że podejrzewałem niezliczoną ilość ludzi. Żyłem więc w nieustannym lęku przed kryjącym się przed moimi oczyma awanturnikiem.

Herbert stojąc wieczorem przy oknie i patrząc na rzekę mówił, że cieszy go widok tej wody i myśl, że płynie ona ku Klarze. Aleja w tym czasie myślałem ze zgrozą, że płynie ona wraz z odpływem ku Magwitchowi i że każdy ciemny punkt na rzece to mogą być jego prześladowcy, którzy suną nagle, cicho i pewnie, aby go schwytać.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Minęło kilka tygodni nie przynosząc żadnych zmian. Oczekiwaliśmy Wemmicka, który nie dawał znaku życia. Gdybym nie widywał go nigdy poza biurem w Małej Brytanii i nie był w gościnie w Zameczku, mógłbym o nim zwątpić, ale ponieważ znałem go tak dobrze, wierzyłem w niego niezmiennie.

Moje sprawy pieniężne stały bardzo źle i coraz częściej dręczyli mnie wierzyciele. Doszło do tego, że brakowało mi gotówki na bieżące wydatki i że spieniężałem różne zbytekowne przedmioty, bez których mogłem się obejść. Mimo to uważałem, że byłoby podłością bez serca brać w tych warunkach pieniądze od mego opiekuna. Posłałem mu więc przez Herberta nietknięty portfel i czułem dumę - trudno mi określić, czy słuszną, że od czasu, gdy dowiedziałem się, kim jest naprawdę, nie wziąłem od niego pieniędzy.

W miarę jak czas mijał, coraz bardziej ciążyła mi myśl, że Estella zapewne wyszła już za mąż. Lękając się panicznie, by to moje przypuszczenie nie sprawdziło się, unikałem czytania gazet i prosiłem Herberta (któremu zwierzyłem się ze wszystkiego), aby nigdy nie wymieniał mi jej imienia.

Dlaczego tak kurczowo trzymałem się ostatniego łachmana szaty nadziei poszarpanej przez wichry i burze, nie wiem. Dlaczego wy, którzy to czytacie, czyniliście podobnie przed rokiem, przed miesiącem lub przed tygodniem?

Przeżywałem wówczas smutne chwile, a ponad wszystkimi lękami wznosiła się groźna obawa o Provisa, która mnie ani na chwilę nie opuszczała, niczym góra wystrzelająca w niebo pośród mniejszych pagórków.

Nie było jednak na razie powodu do jakiegoś nowego strachu. Co ranka wyskakiwałem z łóżka w lęku, że w nocy go aresztowano, co wieczoru nasłuchiwałem kroków powracającego Herberta, bojąc się, czy ich przyśpieszony rytm nie zapowiada złych wieści, ale mimo to wszystko szło zwykłym trybem. Skazany na bezczynność, nieustający niepokój i zawieszenie, wiosłowałem na rzece i czekałem, czekałem, czekałem, jak tylko potrafiłem.

Bywały chwile przyływu morza, kiedy nie mogłem powrócić łodzią wśród wirów pod starym Mostem Londyńskim. Pozostawiałem wówczas mą łódź przywiązaną nie opodal budynku celnego, by potem sprowadzić ją do schodów w Tempie. Czyniłem to chętnie, uważając, że w ten sposób mieszkańcy znad rzeki oswoją się z moim widokiem i widokiem mej łodzi. Z tych to wędrówek wynikły dwa spotkania, o których zaraz opowiem.

Pewnego popołudnia w końcu lutego przybiłem łodzią do brzegu przy gmachu celnym. Był to zmierzch. Dotarłem tego dnia aż do Greenwich wraz z odpływem, a teraz powróciłem z przyływem. Dzień był pogodny i słoneczny, ale po zachodzie słońca ukazała się mgła i musiałem wiosłować bardzo ostrożnie, lawirując wśród ruchu na rzece. Jadąc w pierwszą stronę i wracając widziałem w oknie umówiony znak i wiedziałem, że wszystko w porządku.

Wieczór był chłodny i postanowiłem dla rozgrzewki pokrzepić się obiadem. Zdecydowałem się też po wielu godzinach samotności, zamiast powracać do Tempie, pójść do teatru.

Teatr, w którym Mr. Wopsle odniósł niegdyś swe wątpliwe triumfy, znajdował się w bliskim sąsiedztwie rzeki (obecnie już nie istnieje), postanowiłem więc podążyć właśnie tam. Wiedziałem, że Mr. Wopsle'owi nie udało się wskrzesić wstrząsającego dramatu, ale że przeciwnie był świadkiem jego całkowitej klęski. Afisze oznajmiały potem, że gra on rolę jakiegoś wiernego Murzyna w towarzystwie dziewczynki szlchetnego rodu i małpy. Herbert widział go znowu kiedyś w roli grabieżczego Tataro o twarzy czerwonej jak cegła, ustrójonego w fantastyczny kapelusz z dzwonekami.

Obiad zjadłem w gospodzie, którą nazywaliśmy z Herbertem „Geograficzną z powodu map całego świata, umieszczonych na kuflach do piwa, na obrusach, nawet na nożach, na których sosy namalowały fantastyczne desenie. (Po dziś dzień nie ma w tych okolicach ani jednej gospody, która nie byłaby pod tym względem równie „geograficzna). Drzemałem nad stołem pokrytym okruchami, wpatrzony sennymi oczyma w płomyki gazowe, dopóki nie przyszała godzina udania się do teatru.

Tam ujrzałem dzielnego kapitana załogi okrętowej w służbie jego królewskiej mości. Wolałbym co prawda, aby ten szlchetny człowiek nie miał takich obcisłych spodni w jednym miejscu, a tak obszernych w innym i aby nie wciskał wszystkim niższym od niego ludziom kapeluszy na oczy. Ale poza tym nie miałem mu nic do zarzucenia, gdyż choć nie chciał słyszeć o płaceniu podatków, był wielkim patriotą. W kieszeni nosił sakiewkę z pieniędzmi niczym pudding w serwecie. Dzięki swemu majątkowi poślubił młodą osobę pochodzącą z branży meblowej i urządził wspaniałe wesele, na którym obecna była cała ludność Portsmouthu (dziewięć osób zgodnie z ostatnim spisem ludności). Wszyscy zbiegli się na wybrzeże, by ścisnąć sobie wzajemnie dłonie, zacierać je radośnie i śpiewać „Więc pijmy, więc pijmy!... Znalazł się między nimi jakiś gałgan o ciemnej twarzy, który nie chciał pić ani w ogóle brać udziału w ogólnym święcie, i ten człowiek, którego twarz, wedle orzeczenia kapitana, była równie czarna, jak jego serce, namówił innych gałganów, by robili

zamieszanie. Wykonane to zostało skrupulatnie (gdyż ród gałganów ma, jak wiadomo, wielkie wpływy polityczne) i tak dokładnie, że potem trzeba było zużyć pół wieczoru na zrobienie porządku.

Do uspokojenia awantur przyczynił się najbardziej pewien mały, uczciwy kupiec korzenny w białym kapeluszu, czarnych getrach, właściciel czerwonego nosa: wszedł on do wnętrza zegara, uzbrojony w rożen, i wyskakiwał stamtąd zniecka waląc w łeb awanturników, gdy się tego najmniej spodziewali.

W tej chwili zjawił się Mr. Wopsle (o którym nikt przedtem nic nie słyszał). Przystrojony był w order podwiązki. Jako wysłannik Admiralicji oświadczył, że łobuzów należy natychmiast aresztować i że on przywiózł kapitanowi jako oznakę wdzięczności za jego zasługi sztandar brytyjski.

Kapitan rozczulony otarł oczy sztandarem, potem otrząsnąwszy się ze wzruszenia zwrócił się do Mr. Wopsle'a jako do czcigodnego pana i poprosił o pozwolenie uściśnięcia jego prawicy. Mr Wopsle wyciągnął do niego rękę, po czym odsunięto go w zapyłony kąt, gdyż całe towarzystwo tańczyło na środku pokoju w takt muzyki kobzy. Mr Wopsle obserwował krytycznie tańczących i wówczas to bystre jego oczy odkryły i moją osobę.

Drugim punktem programu była najnowsza wielka pantomina wigilijna, w której, ku znacznej przykrości, poznałem Mr. Wopsle'a w czerwonych, bawełnianych pończochach, o wyolbrzymionej, fosforyzującej twarzy. Na głowie miał zamiast włosów frędzle od firanki. Zajęty był fabrykowaniem piorunów w kopalni i zdradzał okropny strach, ilekroć zjawiał się jego potężny pan o bardzo schrypniętym głosie i żądał obiadu.

Wkrótce potem jednak Mr. Wopsle ukazał się w godniejszej roli. Oto pewien - nieświadomy tego, co czyni - rolnik zabronił swej córce połączyć się z wybrańcem serca, przez co duch młodzieńczej miłości popadł w nie lada zagrożenie, i kiedy na skutek owego ojcowskiego zakazu nieszczęśliwa dziewczyna skoczyła z pierwszego piętra na worek z mąką, w którym zamknięty był jej ukochany, zjawił się pod postacią Mr. Wopsle'a wspaniały czarodziej. Kołysząc się z lekka na nogach, zapewne po uciążliwej podróży, wkroczył na scenę w szerokoskrzydłym kapeluszu, dźwigając pod pachą olbrzymi tom nauki czarnoksięskiej. Rola jego polegała na wysłuchiwanie toastów na swoją cześć, przyglądaniu się tańcom i słuchaniu śpiewów w blasku puszcanych fajerwerków. Odegrał ją sumiennie i przez cały czas rzucał spojrzenia w moją stronę z miną bardzo zdziwioną.

W spojrzeniu Wopsle'a było tyle połączonego z przerażeniem zdumienia, że sam nie wiedziałem, co o tym mam myśleć. Zastanawiałem się nad tym długo jeszcze potem, kiedy

uniesiono go w chmury w dużej szafce zegarowej. Zastanawiałem się również wychodząc z teatru i oto natknąłem się na niego. Czekał na mnie przy wyjściu.

- Jak się pan miewa? - spytałem podając mu rękę, gdy szliśmy razem przed siebie ulicą. - Widziałem przed chwilą, że pan mnie spostrzegł w teatrze.

- Tak jest, spostrzegłem pana, Mr. Pip - odparł - oczywiście, że spostrzegłem, ale niech pan mi powie, kto to był obok pana?

- Obok mnie?

- To bardzo dziwne - powiedział Wopsle z właściwym sobie nieprzytomnym wyrazem twarzy - ale mógłbym przysiąc, że go widziałem.

Zaniepokojony prosiłem Mr. Wopsle'a, by mi wyjaśnił swe słowa.

- Nie wiem, czy byłbym go zauważył wśród publiczności, gdyby nie siedział koło pana - ciągnął Wopsle zamyślony - ale sądzę, że chyba tak, że byłbym go i tak spostrzegł.

Mimo woli rozejrzałem się wokół siebie, jak to zwykłem czynić ostatnio, idąc do domu, gdyż słowa Wopsle'a przejęły mnie dreszczem.

- Nie, tutaj go pan nie zobaczy - zauważył Wopsle - widziałem, jak wychodził z teatru jeszcze przed panem.

Mając powody do podejrzliwości zacząłem podejrzewać nawet tego biednego aktora, że zastawia na mnie pułapkę, by zmusić mnie do wyznań. Toteż spojrzałem na niego uważnie, choć nie wypowiedziałem ani słowa.

- Nie wiem dlaczego, ale byłem pewien, że on ma jakąś łączność z panem, Mr. Pip - zwierzał się Wopsle - mimo że pan zdawał się wcale nie wiedzieć o jego obecności i mimo że on siedział nie przy panu, ale za panem niczym jakiś duch.

Dreszcz znowu wpełznął mi na plecy, ale nie zadałem żadnego pytania, gdyż nie byłem pewien, czy słowa Wopsle'a nie mają na celu sprowokowania mych wyznań dotyczących się Provisa. Oczywiście wiedziałem doskonale, że to nie Provis siedział za mną w teatrze.

- Widzę, że patrzy pan na mnie ze zdumieniem, Mr. Pip - oświadczył Wopsle - bo to rzeczywiście bardzo dziwne, a nawet zdumiewające. Pan mi nie uwierzy, tak jak ja bym panu nie uwierzył, gdyby pan mi to powiedział.

- Doprawdy? - spytałem.

- Naprawdę. Pamięta pan, Mr. Pip, pewien wieczór wigilijny przed wielu laty, kiedy był pan jeszcze dzieckiem? Byłem wówczas na kolacji u państwa Gargery i przyszli żandarmi prosząc, by im naprawić parę kajdan. Pamięta pan?

- Pamiętam doskonale.

- I przypomina pan sobie, że żandarmi ścigali wówczas dwóch galerników i że my poszliśmy razem z nimi, że Mr. Gargery wziął pana na barana i że ja biegłem przodem, a wy za mną ledwie mogąc nadążyć?

- Pamiętam to świetnie.

Pamiętałem lepiej, niż mógł przypuszczać, wszystko z wyjątkiem ostatniego szczegółu.

- I pamięta pan, że znaleźliśmy tych dwóch ludzi w rowie, jak się tarzali w bóje i jak jeden drugiemu zranił twarz swymi ciosami?

- Tak. Widzę to dotychczas przed sobą.

- A potem żołnierze zapalili pochodnie i otoczyli ich, i uprowadzili. Pamięta pan, jak blask pochodni padał im na twarze? Specjalnie kładę nacisk na to, że blask pochodni padał im na twarze, podczas kiedy wokoło na bagniskach poza kręgiem tego światła panowały egipskie ciemności. Pamięta pan to?

- Tak - potwierdziłem - pamiętam wszystko.

- A więc, Mr. Pip, jeden z tych dwóch galerników siedział dzisiaj za pańskimi plecami w teatrze. Jestem tego całkiem pewien.

„Uwaga! pomyślałem i spytałem go spokojnie, który to z tych dwóch mógł być.

- Ten, którego tamten drugi pobił - odparł z całą pewnością - im więcej o tym myślę, tym jestem tego pewniejszy. Mógłbym na to przysięgać.

- To bardzo ciekawe - odpowiedziałem siląc się na całkowitą obojętność - doprawdy ciekawe!

Nie podobna byłoby użyć zbyt przesadnych wyrazów dla wypowiedzenia straszliwego niepokoju, który mnie ogarnął na myśl, że Compeyson siedział za moimi plecami „jak duch, i na myśl, że właśnie w jedynej chwili od czasu ukrywania się Provisa, w której zapomniałem o wrogu, nieprzyjaciel znajdował się najbliżej, wiadomość, że mimo całej czujności tak dalece nie zdawałem sobie sprawy z sytuacji i okazałem się tak bezbronny, sprawiała, że czułem się tak, jak gdybym zaryglował sto drzwi, by go nie wpuścić do domu i jak gdyby nagle zjawił się tuż koło mnie. Nie mogłem również wątpić, że znalazł się w teatrze dlatego, że ja się tam wybrałem. Wiedziałem teraz, że wbrew wszelkim pozorom niebezpieczeństwo nie opuszcza nas ani na chwilę.

Spytałem Mr. Wopsle'a, kiedy mógł wejść ten człowiek na salę, ale aktor nie umiał na to odpowiedzieć: zobaczył mnie i zaraz potem za moim ramieniem dostrzegł jego. W pierwszej chwili go nie poznał, ale zaraz niejasno poczuł, że ma on coś wspólnego ze mną, i to ze mną z owych dawnych czasów w naszej wiosce. Spytałem jeszcze, jak był ubrany?

Przyzwicie, zdaje się na czarno. Nie miał na sobie nic szczególnego. Czy twarz jego była zniekształcona? Chyba nie, Mr. Wopsle nie sądzi. I ja również nie miałem tego wrażenia, bo byłbym przecież zniekształconą twarz zauważył pośród publiczności pomimo zamyślenia.

Kiedy Mr. Wopsle podzielił się ze mną wszystkimi spostrzeżeniami co do tego człowieka i kiedy ja w niepokoju wyciągnąłem z niego wszystko, co mi się nasuwało, wstąpiliśmy na małą przekąskę dla odpoczynku po wzruszeniach wieczora, po czym rozstaliśmy się.

Doszedłem do Tempie między dwunastą a pierwszą w nocy. Brama dzielnicy była już zamknięta. Rozejrzałem się wokół, czy nikogo nie dojrzę, ale było pusto. Przekroczyłem więc bramę i poszedłem do siebie.

Zastałem w domu Herberta i przed kominkiem odbyliśmy poważną naradę. Nie pozostawało nam nic do zrobienia, prócz zakomunikowania Wemmickowi mojego odkrycia i przypomnienia mu, że czekamy na znak życia z jego strony. Bojąc się go skompromitować zbyt częstymi wizytami w Zameczku, napisałem do niego list. Jeszcze przed udaniem się na spoczynek wyszedłem, aby wrzucić go do skrzynki. Na ulicy nie ujrzałem nikogo. Zgadaliśmy się z Herbertem, że prócz zachowania ostrożności, nic innego nie wypada nam czynić. Mieliśmy się więc na baczności jeszcze bardziej, jeżeli to możliwe, niż przedtem. Nie zbliżałem się do okolic Chink Basin, chyba wiosłując na rzece, ale i wtedy patrzyłem w okna domu w Mill Pond Bank całkiem jak na inne mijane domy.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Drugie ze spotkań, o których wspomniałem w poprzednim rozdziale, nastąpiło w tydzień po pierwszym. I znowu pozostawiłem łódź przy moście na przystani, ale tym razem nie było jeszcze tak późno. Sam jeszcze nie wiedziałem, gdzie zjem obiad, i przechadzałem się po Cheapside jako z pewnością najmniej zdecydowany spośród otaczających mnie zaaferowanych przechodniów. Nagle czyjaś dłoń spoczęła na moim ramieniu. Była to dłoń Mr. Jaggersa, który wsunął mi ją pod ramię ze słowami:

- Skoro idziemy w tym samym kierunku, możemy pójść razem, Pip. Dokąd idziesz?

- Chyba do Tempie - odpowiedziałem.

- Nie wiesz dokładnie? - spytał Mr. Jaggers.

- Rozumie pan - odparłem szczęśliwy, że raz ja mogę się okazać zręczniejszy w śledztwie od niego - nie wiem, bom się jeszcze nie namyślił.

- Czy idziesz na obiad? - badał Jaggers. - Sądzę, że nie widzisz nic niestosownego w zjedzeniu obiadu?

- Nie, nie widzę w tym nic niestosownego.

- I jesteś wolny?

- Nic mi nie przeszkadza wyznać, że jestem wolny.

- Wobec tego - oświadczył Jaggers - chodź zjeść obiad ze mną.

Już chciałem grzecznie odmówić, gdy dodał, że Wemmick jest także zaproszony, więc szybko zmieniłem zaczęte przeprosiny na podziękowanie. Ruszyliśmy więc Cheapside i doszliśmy do dzielnicy Małej Brytanii w chwili, kiedy na wystawach sklepów zapalały się błyszczące światła i kiedy zapalacze latarni ulicznych z trudem ustawiali drabiny pośród tłumu przechodniów, a potem wspinali się na nie, aby z nich zaraz zeskakiwać. Wkrótce potem otworzyli więcej czerwonych oczu we mgle spowijającej ulice, niż moja latarnia w Hummums zdołała zapalić białych świateł na upiornym murze.

W biurze w Małej Brytanii rozpoczął się właśnie zwykły ceremoniał pisania ostatnich listów, mycia rąk, zdmuchiwania świec, zamykania na noc kasy, który kończył dzieńne zajęcia. Kiedy czekałem beczynn timer przed ogniem kominka Mr. Jaggersa w blasku to wybuchających, to przygasających płomieni, zdawało mi się, że dwie okropne rzeźby na półce bawią się ze mną w szatańskiego chowanego i że dwie ordynarne świece, które rzucały blade światło na piszącego Mr. Jaggersa, dlatego otulono w zatłuszczone papierki, by uczcić zastęp powieszonych klientów tej kancelarii.

Pojechaliśmy potem we trójkę wynajętą dorożką na Gerard Street do mieszkania Mr. Jaggersa i kiedy tylko przybyliśmy do domu, podano obiad.

Mimo że nie miałem najmniejszego zamiaru robić jakiegokolwiek aluzji do sentymentów Wemmicka z Walworth, wolałbym, aby spojrzenia nasze niekiedy spotykały się w sposób przyjacielski. Ale to nie następowało. Wemmick tylko po to podnosił oczy nad stołu, by spojrzeć na Mr. Jaggersa, i był w stosunku do mnie tak obcy i oschły, jak gdyby istniało dwóch bliźniaczych Wemmicków i obecny okazał się tym gorszym.

- Czy posłał pan Mr. Pipowi ten list od miss Havisham, Mr. Wemmick? - spytał Mr. Jaggers, gdy zasiedliśmy do stołu.

- Nie - odparł Wemmick - przyniesiono go z poczty właśnie w chwili, kiedy wprowadził pan Mr. Pipa do kancelarii. Oto list.

I zamiast mnie wręczył pismo swemu szefowi.

- Jest to właściwie tylko dwuwierszowa kartka, Pip - wyjaśnił Mr. Jaggers podając mi list - miss Havisham pyta mnie o twój adres. Píše, że chce cię zobaczyć w pewnej drobnej sprawie, o której jej wspominałeś ostatnio. Czy pojedziesz do niej?

- Tak - potwierdziłem z oczyma utkwionymi w kartce tej właśnie treści.

- Kiedy zamierzasz tam się wybrać?

- Czeka mnie wkrótce pewna sprawa - powiedziałem - wobec czego wolałbym przedtem pojechać. Najlepiej zaraz.

To mówiąc skierowałem spojrzenie na Wemmicka, który właśnie wrzucał kawałek ryby do swego otworu skrzynki pocztowej.

- Jeżeli Mr. Pip ma zamiar pojechać tam zaraz - zauważył Wemmick - to nie ma potrzeby odpowiadać na list. Prawda, Mr. Jaggers?

Uważając to za zachętę do natychmiastowej podróży ze strony Wemmicka postanowiłem wyruszyć nazajutrz i oznajmiłem to głośno. Wemmick wypił kieliszek wina i spojrzał z zadowoleniem na Mr. Jaggersa, ale nie na mnie.

- A więc, Pip, nasz przyjaciel Pająk postawił na swoją kartę i wygrał - powiedział Mr. Jaggers.

Nie pozostało mi nic innego, jak skinąć w milczeniu głową.

- Ha, ha, to obiecujący chłopak, oczywiście w swoim rodzaju... ale nie wiadomo jeszcze, kto w końcu zwycięży. Zwycięża silniejsza wola, a nie wiadomo, kto tu silniejszy, ona czy on... kto wie, jeżeli ją będzie bił...

- Nie przypuszcza pan chyba, Mr. Jaggers - zawołałem z płonąca twarzą i bijącym sercem - że byłby do tego stopnia łotrem, by się dopuścić takiego czynu?

- Nie mówiłem, że tak będzie, Pip. Zrobiłem po prostu przypuszczenie. Gdyby bił ją, może by zwycięstwo ostatecznie znalazło się po jego stronie. Gdyby jednak chodziło o wykazanie inteligencji, to z pewnością nie on by zwyciężył. Byłoby ryzykowne twierdzić na pewno, jak zachowa się tego rodzaju chłopiec w takim wypadku. W każdym razie są dwie możliwości, jak w orle i reszce.

- Czy wolno mi wiedzieć, jakie to możliwości?

- Chłopiec taki, jak nasz przyjaciel Pająk, albo sam bije” albo się płaszczy. Może się płaszczyć i przy tym wymyślać, i może się płaszczyć bez wymyślania. Ale tak czy inaczej, albo bije, albo się płaszczy. Spytaj zresztą Wemmicka o zdanie.

- Albo bije, albo się płaszczy - powtórzył Wemmick wcale nie zwracając się do mnie.

- Więc wypijmy za zdrowie pani Bentleyowej Drummle - zaproponował Jaggers biorąc z kredensu karafkę i napełniając nam i sobie kieliszki wyborowym winem - bodajby się rozstrzygnęło na jej stronę. Bo że sprawa ta nie będzie nigdy rozstrzygnięta tak, by oboje byli zadowoleni, to pewne. A teraz, Molly, Molly, Molly, jakaś ty dzisiaj powolna!

Kiedy to mówił, była tuż za jego łokciem i stawiała półmisek na stole.

Gdy postawiła, cofnęła się o krok i zaMr.uczwała nerwowo coś w rodzaju przeprosin. Zaciekawiał mnie pewien ruch jej palców.

- Co się stało? - spytał Mr. Jaggers.

- Nic - odparłem - tylko temat, który poruszaliśmy, był dla mnie bardzo przykry.

Ruch jej palców był całkiem taki, jak gdyby robiła robotę na drutach. Stała niezdecydowanie obok swego pana, niepewna, czy już może się oddalić. Patrzyła na niego uparcie. Z pewnością widziałem już takie samo spojrzenie i takie same ręce. I to bardzo niedawno.

Pozwolił jej odejść i wysunęła się z pokoju. Ale miałem ją wciąż przed oczyma, jak gdyby wcale się nie oddalała. Patrzyłem na jej ręce, patrzyłem na jej oczy, patrzyłem na jej powiewające włosy i widziałem inne ręce, inne oczy i inne włosy, które znałem, i myślałem o tym, co się z nimi stanie po dwudziestu latach burzliwego życia z mężem brutalem. I znowu przyglądałem się rękom i bezom gospodyni i myślałem o owym nie wytłumaczonym uczuciu, jakie ogarnęło mnie, gdym się przechadzał ostatnio - nie samotnie - po zdziczałym ogrodzie i opuszczonym browarze. Myślałem, że to samo uczucie zawładnęło mną pewnego dnia na widok twarzy wyglądającej z okna dylizansu i dłoni ku mnie kiwającej i że raz jeszcze oświeciło mnie, jak błyskawica, kiedy jechałem - nie sam - ciemną ulicą powozem, mijając zapaloną latarnię. I pomyślałem jeszcze, że tak samo jak zjawie nie się w teatrze galernika dopełniło jednego brakującego ogniwa łańcucha faktów, tak i widok tej gospodyni,

bezpośrednio po rozmowie o Estelli, zamknął inne. I byłem całkiem pewny, że ta kobieta o uważnych oczach i palcach poruszających się, jak przy robocie jest matką Estelli.

Mr Jagers widział mnie w towarzystwie Estelli i nie mógł nie spostrzec moich uczuć, których bynajmniej nie kryłem przed ludźmi. Pokiwał głową, kiedy powiedziałem, że temat ten jest dla mnie przykry, poklepał mnie dłonią po plecach i dolał mi wina. Potem wróciliśmy do obiadu.

Gospodyni zjawiła się jeszcze tylko dwa razy. Za każdym razem przebywała bardzo krótko w jadalni i za każdym razem Mr. Jagers odnosił się do niej bardzo szorstko. Ale oczy jej były oczami Estelli, ręce jej rękami Estelli i gdyby ukazała się jeszcze sto razy i tak nie zmieniłbym mego przypuszczenia, które przemieniło się dla mnie w pewność.

Był to nudny wieczór. Wemmick takim gestem nalewał sobie wina, gdy karafka krążąca wokoło stołu docierała do niego, jakim zapewne brał pensję miesięczną, i z oczyma utkwionymi w szefie robił wrażenie gotowego do poddania się śledztwu. Co się tyczy ilości wypitego tego wieczoru wina, to jego skrzynka do listów była równie obojętnie gotowa na przyjęcie trunku, jak każda inna skrzynka pocztowa na przyjęcie listów. Ja zaś patrzyłem na niego przez cały czas, jak na złego bliźniaka, który tylko z zewnątrz' podobny jest do Wemmicka z Walworth.

Pożegnaliśmy się wcześnie, by razem we dwóch powrócić do domu. Kiedy po omacku szukaliśmy naszych kapeluszy wśród mnóstwa butów Mr. Jagersa, poczułem nagle, że powraca dobry bliźniak, a zaledwie uszliśmy sześć jardów drogą wiodącą do Walworth, wiedziałem już na pewno, że ten, który wzięwszy mnie pod ramię idzie obok mnie, jest dobrym bliźniakiem, a tamten zły rozwiął się w Mr.okach nocy.

- A więc - oświadczył Wemmick - mamy to już za nami! To wspaniały człowiek, nie mający sobie równego na świecie, ale kiedy jem z nim obiad, czuję, że muszę się giąć niby łuk, a jadam chętniej i wygodniej, kiedy jestem nie zgięty.

Uważałem, że to doskonale określanie sytuacji, i poinformowałem go o tym.

- Nikomu bym tego nie powiedział z wyjątkiem pana - odparł Wemmick, ale wiem, że panu można mówić jak samemu sobie. Nie wyjdzie to poza nas dwóch.

Spytałem go, czy widział kiedy przybraną córkę miss Havisham, żonę Bentleya DruMr.nle'a. Oznajmił, że nigdy jej nie widział, żeby nie okazać zbytnej natarczywości, spytałem go teraz o staruszkę i miss Skiffins. Na dźwięk nazwiska owej damy Wemmick przybrał nieco filuterny wyraz twarzy, zatrzymał się, by wytrzeć nos, i zrobił przy tym zamaszysty ruch chusteczką, niepozdebawiony pewnej próżności.

- Wemmick - spytałem - czy pamięta pan, że kiedy odwiedzałem po raz pierwszy Mr. Jaggersa, polecił mi pan zwrócić uwagę na jego gospodynię?

- Tak? - zdziwił się. - Możliwe. Niech mnie diabli porwą. - Nagle dodał: - Oczywiście. Widzę, że jeszcze się nie rozprężyłem całkowicie.

- Nazwał ją pan wtedy dziką z natury a oswojoną istotą.

- A co pan o tym teraz myśli?

- To samo. Jak Mr. Jaggers zdołał ją oswoić, Mr. Wemmick?

- To jego tajemnica. Ta kobieta jest u niego od wielu lat.

- Chciałbym, aby pan opowiedział mi jej historię. Mam szczególne powody do tego, by znać dzieje tej kobiety. Pan wie, że to, co jest powiedziane między nami, nie wychodzi poza nas dwóch.

- Wie pan - wyznał Wemmick - nie znam właściwie jej historii, to jest znam ją tylko częściowo. Opowiem panu to, co sam wiem. Samo przez się rozumie się, że znajdujemy się teraz na gruncie czysto poufnym.

- Oczywiście.

- Jakieś dwadzieścia lat temu ta kobieta była sądzona w Old Bailey za morderstwo i została uniewinniona. Była wówczas bardzo piękną młodą kobietą i przypuszczam, że w żyłach jej płynie krew cygańska. W każdym razie była to krew dość gorąca, jak się pan domyśla.

- Ale Molly została uniewinniona.

- Tak. Pan Jaggers jej bronił - ciągnął Wemmick z wielce znaczącym spojrzeniem - i robił to w sposób rzeczywiście nadzwyczajny. Sprawa była ciężka. Mr Jaggers, wówczas dopiero początkujący prawnik, poprowadził ją ku ogólnemu zdumieniu wspaniale. Można by śmiało powiedzieć, że ten właśnie proces był początkiem jego kariery. Tygodniami przesiadywał w policji i walczył nawet przeciwko aresztowaniu oskarżonej przed sprawą. Podczas procesu, nie mając jeszcze prawa występować w roli adwokata, tak dzielnie pomagał oficjalnemu obrońcy, że to on właściwie dodał obronie właściwego pieprzyka. Ofiarą oskarżonej była kobieta o dziesięć lat od niej starsza, o wiele cięższa, większa i silniejsza. Było to zabójstwo na tle zazdrości. Obie kobiety prowadziły życie koczownicze, kobieta z Gerard Street, młodzianka wydana za męża, jak w tej sferze jest w zwyczaju, za włóczęgę, stawiała się po prostu furią, gdy w grę wchodziła zazdrość. Ofiarę - o wiele odpowiedniejszą pod względem wieku dla owego mężczyzny - znaleziono zamordowaną w stodole w okolicach Hounslow Heath. Musiała się tam rozegrać zajadła i długotrwała bójka, gdyż ofiara była podrapana, posiniaczona i pokrwawiona; umarła na skutek uduszenia. Otóż nie było w jej

otoczeniu nikogo, kto by mógł ściągnąć na siebie podejrzenia, z wyjątkiem tej właśnie kobiety, która jej nienawidziła. Mr Jagers zbudował obronę na tym, że oskarżona nie była w stanie fizycznie pokonać ofiary. Może pan być pewien - ciągnął Wemmick dotykając mego rękawa - że wówczas pryncypał nigdy nie wspominał o sile rąk tej kobiety, mimo że teraz to niekiedy robi.

Opowiedziałem Wemmickowi, jak Jagers popisował się siłą gospodyni podczas poprzedniej mej u niego wizyty.

- Rozumie pan - opowiadał Wemmick - zdarzyło się tak, że kobieta ta w chwili aresztowania ubrana była w suknię, która czyniła ją o wiele szczuplejszą. Zwłaszcza rękawy tak były uszyte, że stwarzały złudzenie drobnych słabych ramion. Miała na sobie kilka siniaków, co nie było dziwne przy jej włóczęgowskim trybie życia, ale na grzbietach jej dłoni widniało parę zadrapań i sądowi chodziło o to, czy nie uczyniły ich czyjeś paznokcie. Otóż Mr. Jagers oświadczył, że zadrapania pochodziły od gałęzi głogu, przez które torowała sobie drogę w pieszej wędrówce. Gałęzie, według jego słów, rosły nisko, nie sięgając jej twarzy, i musiała odsuwać je dłońmi. Na dowód prawdy pokazał kilka kolców zaczepionych o jej suknię i nawet gdzieś tam kropelki krwi pochodzącej z tegoż źródła. Ale najśmielszy argument, wysunięty przez Mr. Jagersa, był następujący: podejrzewano poważnie kobietę, iż zazdrość, której nie umiała opanować, doprowadziła ją do zamordowania własnego trzyletniego dziecka po to, by ukarać jego ojca. Oto, co Mr. Jagers na to powiedział: „Twierdzimy, że nie są to ślady paznokci, ale kolców, a wy uważacie, że to paznokcie, i jeszcze przypuszczacie, że kobieta ta zamordowała własne dziecko. Musicie jednocześnie przyjąć wszystkie następstwa logiczne tej hipotezy. Oczywiście, mogła zabić własne dziecko i dziecko broniąc się mogło ją podrapać paznokciami. Ale wy nie sądzicie jej za zbrodnię popełnioną na dziecku. Dlaczego tego nie czynicie? Co się tyczy tej sprawy, to znowu chcecie koniecznie dowieść, że są to zadrapania paznokciami, chociaż my wiemy, że podrapały ją gałęzie głogu. I jakież jest to dowód, żeście po prostu nie wymyślili sobie tej całej sprawy z paznokciami?

- Krótko mówiąc, proszę pana - mówił Wemmick - zrozumieli, że nie dadzą rady Mr. Jagersowi i sędziowie przysięgli musieli się poddać.

- Czy od czasu wyroku jest u niego na służbie?

- Tak - odparł Wemmick - wstąpiła na służbę do niego natychmiast po uniewinnieniu, ale najważniejsze jest to, że już wówczas była oswojona. Nauczyła się od tamtych czasów niejednego ze swych obowiązków, ale oswojona była od początku.

- Czy nie pamięta pan, jakiej płci było jej dziecko?

- Mówiono, że to była dziewczynka.

- Czy nic więcej nie ma pan mi już dzisiaj do powiedzenia?

- Nie, nic więcej. Otrzymałem list pański i zniszczyłem go. To wszystko. Życzyliśmy sobie serdecznie dobrej nocy i poszedłem do domu przepełniony nowymi myślami, ale bynajmniej nie uwolniony od dawnych.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Wsunąwszy do kieszeni liścik od miss Havisham, by na wypadek jej zmiennego humoru wytłumaczyć się przy jego pomocy w willi „Satis” ze zbyt częstych mych odwiedzin w’ jej domu, pojechałem nazajutrz dylizanssem w rodzinne strony. Zatrzymałem się jednak w oberży w połowie drogi, zjadłem tam pierwsze śniadanie i powędrowałem dalej piechotą. Chciałem bowiem wejść do miasta spokojnie mało uczęszczanymi drogami i tak samo nie zauważony przez nikogo powrócić.

Zapadał już zmierzch, kiedy szedłem bocznymi cichymi uliczkami miasta, do których z daleka tylko docierały odgłosy Głównej ulicy. Otaczały mnie ruiny, które niegdyś zamykały refektarze i ogrody zakonników, a teraz służyły za stajnie i wozownie i były tak ciche jak groby starych mnichów.

Kiedy szedłem szybko, by uniknąć jakichkolwiek spotkań, dzwony bijące z katedry wydawały mi się smutniejsze i odleglejsze niż kiedykolwiek, a dalekie tony organów w kościele brzmiały jak żałobna muzyka. Gawrony przelatujące nad szarą wieżą kościoła i kołyszące się na czubkach wysokich drzew ogrodu opactwa zdawały się krzyżeć, że wszystko tu się zmieniło i że Estella odeszła już stąd na zawsze.

Starsza kobieta, którą’ znałem dawniej jako jedną ze służby mieszkającej w domku w głębi dziedzińca, otworzyła mi bramę. Zapalona świeca stała w ciemnym korytarzu jak dawniej, wziąłem ją sam do ręki i poszedłem na schody. Miss Havisham nie była w swoim pokoju, tylko w innym, większym, po drugiej stronie schodów. Zapukałem kilkakrotnie do drzwi, a gdy nikt się nie odzywał, otworzyłem je i zastałem ją siedzącą przy wygasłym kominku w obszarpanym fotelu. Patrzyła na tlejący popiół.

Zrobiłem tak jak dawniej: wszedłem i stanąłem tuż przy kominku tak, by podnosząc oczy mogła mnie zobaczyć. Na twarzy jej malowało się tak smutne osamotnienie, że budziła we mnie współczucie, mimo że wyrządziła mi tak straszną, niewypowiedzianą krzywdę. Kiedy tak patrzyłem na nią i myślałem, że oto i ja już należę do ludzi skrzywdzonych i zawiedzionych w tym domu, spojrzała na mnie. Przyjrzała mi się uważnie i spytała cichym głosem:

- Więc naprawdę?
- Tak, to ja, Pip. Mr Jagers oddał mi wczoraj pani liścik i nie zwlekałem ani chwili.
- Dziękuję ci, dziękuję.

Gdy przysunąłem sobie do kominka drugi obdarty fotel i usiadłem obok niej, spostrzegłem w jej twarzy jakiś nowy wyraz: jak gdyby się mnie lękała.

- Chciałam - oświadczyła - poruszyć z tobą temat, o którym mówiłeś ostatnio, i dowieść ci, że nie jestem z kamienia. Ale być może nigdy już teraz nie uwierzysz, że w sercu moim jest coś ludzkiego?

Powiedziałem kilka pocieszających słów. Wyciągnęła ku mnie drżącą prawą rękę, ale zanim zrozumiałem jej ruch czy zorientowałem się, jak mam go przyjąć, cofnęła ją z powrotem.

- Mówiłeś mi o twoim przyjacielu i twierdziłeś, że mogłabym dla niego uczynić coś dobrego. Czy chcesz, bym coś dla niego zrobiła?

- Bardzo, bardzo bym tego pragnął.

- A co?

Zacząłem jej opowiadać historię opłacania jego współnika w tajemnicy przed nim samym, lecz wkrótce już spostrzegłem, że miss Havisham przygląda mi się, ale robi wrażenie, jak gdyby nie chwytiała sensu mych słów. Kiedy przerwałem opowiadanie, przeszła długa chwila, zanim to zauważyła.

- Przerwałeś - zapytała wreszcie z tym samym zalęknionym wyrazem twarzy - by mi pokazać, jak bardzo mocno mnie nienawidzisz?

- Nie, skądże, miss Havisham! Jak pani może tak przypuszczać? Przerwałem, bo zdawało mi się, że pani nie śledzi uważnie tego, co mówię.

- Może i nie śledziłam - zgodziła się dotykając swej głowy - zacznij raz jeszcze od początku. Czekaaj, niech na coś przy tym patrzę. Teraz opowiadaj!

Oparła dłoń na lasce, jak wówczas gdy coś postanawiała, i spoglądała uparcie w ogień, najwidoczniej zmuszając się do słuchania mych słów.

Opowiadałem więc wszystko raz jeszcze i tłumaczyłem jej, że zrazu byłem pewien, iż własnymi środkami doprowadzę sprawę do końca, ale teraz warunki mi na to nie pozwalają. Zaznaczyłem, że nie mogę podać więcej szczegółów, gdyż wchodzi tu w grę czyjaś tajemnica.

- Tak - odparła kiwając głową, ale nie patrząc na mnie - a ile trzeba pieniędzy, by doprowadzić sprawę do końca?

Bałem się wymówić sumę, która wydała mi się bardzo wysoka.

- Dziewięćset funtów.

- Jeżeli dam ci tę sumę, to czy dotrzymasz mojej tajemnicy, tak jak dotrzymałeś własnej?

- Tak, wiernie dotrzymam.
- I odtąd będziesz spokojniejszy?
- O wiele spokojniejszy.
- Czy teraz jesteś bardzo nieszczęśliwy?

Zadając mi to pytanie wciąż jeszcze nie patrzyła na mnie, ale w tonie jej wyczułem współczucie. Nie mogłem odpowiedzieć, gdyż głos odmówił mi posłuszeństwa. Oparła lewe ramię o laskę, a na niej złożyła łagodnie czoło.

- Daleki jestem od tego, by czuć się szczęśliwy, miss Havisham. Ale prócz przyczyn mego nieszczęścia, które pani są wiadome, mam jeszcze i inne; tę właśnie tajemnicę, o której pani wspomniałem.

Po krótkiej chwili podniosła głowę i znowu spojrzała w ogień.

- To bardzo szlachetne z twojej strony, że mówisz o innych twoich zmartwieniach. Czy to prawda?

- Aż nadto prawda.

- Czy mogę ci pomóc, Pip, jedynie pomagając twemu przyjacielowi? Czy doprawdy nie mogę zrobić nic dla ciebie samego?

- Nie, nic. Dziękuję pani za to pytanie, a jeszcze bardziej dziękuję za ton, jakim było zadane. Ale nic.

Wstała ze swego miejsca i rozglądała się po opuszczonym pokoju jak gdyby szukając przyborów do pisania. Nie znalazła ich, więc wyjęła z kieszeni pęk pożółkłych tabliczek z kości słoniowej, oprawnych w ściemniałe złoto, i zaczęła na nich pisać ołówkiem, który miała zawieszony na szyi.

- Czy wciąż jesteś w dobrych stosunkach z Mr. Jaggersem?

- Tak, byłem wczoraj u niego na obiedzie.

- Piszę tu do Mr. Jaggersa, by dał do twojej dyspozycji sumę potrzebną ci dla przyjaciela. Będziesz mógł nią rozporządzać, jak zechcesz. Jeżeli jednak wolisz, by Mr. Jaggers nic o tym nie wiedział, mogę tak urządzić, by wprost przysyłać ci pieniądze, chociaż ich tutaj w domu nie trzymam.

- Dziękuję, miss Havisham, nie widzę żadnych przeszkód, by wypłacił mi je Mr. Jaggers.

Przeczytała mi, co napisała do niego. Brzmiało to zwięźle, jasno i uwalniało mnie od podejrzeń, że to ja będę używał tych pieniędzy.

Wręczyła mi tabliczki, a ręka jej drżała przy tym mocno. Trzęsła się jeszcze bardziej w chwili, gdy miss Havisham odczepiała łańcuszek, na którym wisiał ołówek, i wkładała go do mojej dłoni. Nie patrzyła przy tym w moją stronę.

- Na pierwszej tabliczce jest moje imię - powiedziała - jeżeli kiedykolwiek będziesz mógł napisać pod tym imieniem własną ręką „Wybaczam jej, napisz to, proszę, nawet wówczas, gdy moje złamane serce rozpadnie się już w proch.

- O, miss Havisham - zawołałem - mogę to zaraz uczynić. Popeliłem bolesne pomyłki i życie moje potoczyło się ślepo i pełne jest niewdzięczności. I zbyt mocno trzeba mi przebaczenia i dobrej rady, abym mógł czuć goręcość wobec pani.

Po raz pierwszy tego dnia zwróciła ku mnie twarz i ku memu zdumieniu, a nawet zgrozie padła przede mną na kolana z splecionymi rękami wzniesionymi w górę całkiem tak, jak musiała często klękać u boku matki wznosząc dłonie ku niebu w czasach, gdy biedne jej serce było jeszcze młode i świeże.

Zadrzałem widząc ją siwowłosą o steranej twarzy, klęczącą u mych stóp. Objąłem ją ramieniem, by dźwignąć z podłogi, ale ona kurczowo uczepliła się tej mojej dłoni, którą miała bliżej, pochyliliła nad nią głowę i płakała. Nigdy przedtem nie widziałem u niej ani jednej łzy i sądząc, że płacz sprawi jej ulgę, stałem w milczeniu, pochylony nad jej postacią. Już nie klęczała, ale leżała rozpostarta na podłodze.

- Och - łkała rozpaczliwie - co ja zrobiłam! Co zrobiłam!

- Jeżeli myśli pani o tym, jak mnie skrzywdziła, miss Havisham, to sądzę, że tak znowu nie było. Pokochałbym ją w każdym wypadku. Czy jest już po ślubie?

- Tak.

Pytanie to było całkiem zbyteczne, gdyż pustka i opuszczenie tego domu i tak już mi na nie odpowiedziały.

- Co ja zrobiłam! Co zrobiłam! - Rwała teraz swe siwe włosy, łamała ręce i wciąż powtarzała rozpaczliwie: - Co zrobiłam!

Nie umiałem jej odpowiadać ani jej pocieszać. Wiedziałem doskonale, że zrobiła rzecz straszną, czyniąc z wrażliwego dziecka narzędzie, przy pomocy którego chciała się zemścić za swe zawiedzione nadzieje, za stargane życie, za zranioną dumę. Ale wiedziałem także, że gasząc światło dnia gasiła znacznie więcej, że zaszywając się w swej Mr.ocznej kryjówce odgradzała się od tysięcy naturalnych i pocieszających wpływów, że jej umysł oddając się samotnym rozmyśleniom uległ schorzeniom związanym z samotnością, choćby dlatego, że chciał odwrócić porządek świata ustalony przez Stwórcę.

Czyż mogłem patrzeć na nią bez współczucia, ja, który widziałem jej karę w jej opuszczeniu, w jej zupełnym niedostosowaniu się do życia, w jej próżności bólu, która przeszła w manię, jej próżności pokuty, wyrzutów sumienia, we wszystkich tych potwornych próżnościach, które są przekleństwem tej ziemi?

- Nie wiedziałam, com uczyniła aż do chwili, kiedy tu ostatnio rozmawiałeś z nią w mojej obecności i kiedy jak w zwierciadle ujrzałam w tobie wszystkie me dawne bóle i rozpacz. Co ja zrobiłam! Co zrobiłam! Co zrobiłam!

I tak powtarzała to dwadzieścia, pięćdziesiąt razy w kółko.

- Co ja zrobiłam!

- Miss Havisham - przemówiłem, gdy na chwilę krzyk jej umilkł - odciążam pani sumienie co do mojej osoby. Ale nie mogę tego samego zrobić, gdy chodzi o Estellę. To inna sprawa. I jeżeli może pani naprawić choć część zła, jeżeli może pani zwrócić jej cząstkę jej własnej natury, to będzie to słuszniejsze niż płacz i jęk w ciągu stu lat.

- Tak, tak, ja wiem to, Pip. Mój drogi Pip. Ale... - w geście jej brzmiało prawdziwe, szczerze kobiece uczucie dla mnie. - Mój drogi, musisz mi uwierzyć. Kiedy zjawiła się u mnie po raz pierwszy, chciałam tylko ustrzec ją przed podobnym mojemu nieszczęściem. Zrazu nic innego nie miałam na myśli.

- Dobrze, dobrze - powiedziałem - spodziewam się, że tak było.

- Ale gdy rosła i stawała się coraz piękniejsza, zaczęłam czynić źle. Moje pochwały, moje klejnoty, moje nauki, moja twarz, która jak ostrzeżenie wciąż przed nią tkwiła - to wszystko sprawiło, że ukradłam jej serce i na jego miejsce umieściłam kawałek lodu.

Nie mogłem się powstrzymać, by nie zauważyć:

- Lepiej było pozostawić jej własne serce, nawet wówczas gdyby miało się kiedyś strzaskać czy złamać.

Miss Havisham na te słowa spojrzała na mnie z roztargnieniem i znowu wybuchła narzekaniami, co ona zrobiła!

- Gdybyś znał całą moją historię - oświadczyła - miałbyś dla mnie więcej współczucia i lepiej byś mnie zrozumiał.

- Miss Havisham - odpowiedziałem najdelikatniej, jak mogłem - wydaje mi się, że znam dobrze pani historię. Poznałem ją zaraz potem, jak się wyniosłem z tych stron. Jestem pełen współczucia dla pani i zrozumienia, jaki ona mogła wywrzeć na panią wpływ. Czy to, co między nami zaszło, daje mi prawo do zadania pani pytania o Estellę? Nie o taką, jaką jest teraz, ale taką, jaką była, gdy się tu dostała?

Miss Havisham siedziała na podłodze z rękami złożonymi na obszarpanym fotelu i z głową opartą na rękach. Spojrzała mi prosto w twarz po tych słowach i szepnęła:

- Mów dalej.

- Czym dzieckiem jest Estella? Potrząsnęła głową.

- Nie wie pani? Znowu potrząsnęła głową.

- Czy Mr. Jaggers ją sam przywiózł, czy przysłał?

- Przywiózł ją sam.

- Czy może mi pani opowiedzieć, jak to było? Odparła cichym szeptem, ostrożnie wymawiając wyrazy:

- Byłam już od wielu lat zamknięta w tych pokojach (nie wiem, jak długo, bo wiadomo ci przecież, że zegary są tu zatrzymane), gdy poprosiłam go o małą dziewczynkę, którą mogłabym kochać, pieścić i uchronić przed moim własnym losem. Poznałam go wówczas, kiedy mu poleciłam wygnać całe życie z tego domu. Przeczytałam jego nazwisko w gazecie, jeszcze zanim rozstałam się z tym światem. Obiecał, że wyszuka mi taką sierotkę. Pewnej nocy przywiózł mi ją śpiącą. Nazwałam ją Estella.

- Czy mogę wiedzieć, w jakim była wieku?

- Mogła mieć dwa lub trzy lata. Sama nic o sobie nie wiedziała, była sierotą i adoptowałam ją.

Czułam tak głębokie przekonanie, że tamta kobieta jest jej matką, że nie trzeba mi było żadnych innych dowodów. Wydawało mi się to całkiem jasne.

Nie miałem już powodu przedłużać tej rozmowy. Udało mi się załatwić sprawę Herberta, miss Havisham opowiedziała mi wszystko, co sama wiedziała o Estelli, ja zrobiłem, com mógł, by uspokoić jej sumienie. Mniejsza o to, jakimi słowami pożegnaliśmy się. Dość, żeśmy się pożegnali.

Wieczór już zapadał, gdy zeszedłem po schodach i znalazłem się na dworze. Zawołałem do kobiety, która otworzyła mi przedtem bramę, że jeszcze teraz nie będę jej trudził, bo chcę się przejść wokoło po dziedzińcu. Miałem przecucie, że jestem tu po raz ostatni i że blaski konającego dnia pomogą mi pożegnać się z tym miejscem.

Minąłem stopy starych pustych beczek, które pamiętałem z dawnych czasów. Z biegiem lat zaczęły w wielu miejscach butwieć od deszczu, a na stojących do góry dnem potworzyły się kałuże. Skierowałem się do zapuszczonego ogrodu. Obszedłem go wokoło. Udałem się tam, gdzie toczyłem walkę z Herbertem, i tam, gdzie przechadzałem się ostatnio z Estellą. Jakże tu było zimno, smutno i samotnie!

Na koniec zostawiłem sobie stary browar. Podniosłem zardzewiały skobel furtki i znalazłem się w browarze. Miałem go opuścić przez drewnianą bramę, którą trudno było otworzyć, gdyż na skutek deszczu spaczyła się i nabrzmiała, zawiasy się nie trzymały, a próg zarosły grzyby, gdy nagle odwróciłem głowę. Ten ruch przypomniał mi coś z dzieciństwa, dziecinne skojarzenie sprawiło, że ujrzałem wyraźnie, jak niegdyś, wytwór mej wyobraźni: miss Havisham wiszącą na belce pod sufitem. Wrażenie było tak silne, że stałem pod belką drżąc od stóp do głów, mimo że wiedziałem, iż to wszystko tylko złudzenie.

Smutek tych miejsc i tej wieczornej pory, bezrozumny strach, który mną wstrząsnął na widok strasznej złudy, napełniły mnie niewytłumaczonym lękiem. Lęk nie opuszczał mnie, gdy przechodziłem przez drewnianą bramę w tym miejscu, w którym niegdyś szarpałem sobie włosy, gdy Estella poszarpała mi serce.

Gdy znalazłem się na frontowym dziedzińcu, namyślałem się przez chwilę, czy zawezwać kobietę, by mnie wypuściła przez bramę na ulicę, czy też pójść na górę i przekonać się, że miss Havisham jest na swym zwykłym miejscu. Wybrałem to ostatnie i pobiegłem na górę.

Zajrzałem do pokoju, gdzie ją zostawił, i zobaczyłem, że siedzi w tym samym obszarpanym fotelu przy kominku tyłem do mnie. Już chciałem się wycofać, gdy nagle ogień z paleniska wystrzelił wysoko i ujrzałem miss Havisham biegnącą ku mnie z krzykiem. Otaczały ją płomienie i wzbijały się nad jej głową na wysokość jej postaci.

Miałem na sobie płaszcz o podwójnej pelerynie, a na rękę drugie ciepłe okrycie. Rzuciłem na nią oba palta, otuliłem ją z całych sił, potem zdarłem ze stołu obrus, by owinąć ją jeszcze jedną warstwą. Przy tym ruchu wszystkie zmurszałe przedmioty i całe robactwo rojące się na stole spadło na podłogę. Tarzaliśmy się po podłodze jak dwoje wrogów w zacieklej walce. Im silniej ją przyciskałem i otulałem, tym głośniejsze krzyczała i mocniej mi się wrywała, ale ja, nieledwie nieprzytomny, robiłem swoje i dopiero gdy ujrzałem rezultaty, pojąłem w całej pełni, co uczyniłem.

Przyszedłem do siebie dopiero wtedy, gdy znalazłem się wraz z miss Havisham na podłodze przy strasznym weselnym stole, podczas gdy w zadymionym powietrzu fruwały mi nad głową jeszcze płonące łachmany, które były przed chwilą ślubną szatą.

Kiedy się rozejrzałem wokół, ujrzałem pająki i karaluchy rozbiegające się pośpiesznie po podłodze, a w drzwiach przerażone twarze służby, która zbiegła się ze wszystkich stron.

Trzymałem wciąż w mocnym uścisku miss Havisham niby jeńca, który gotów ująć, i straciłem świadomość, dlaczego z nią walczyłem. Nie pamiętałem, że ogarnęły ją płomienie,

że ja je zagasiłem. Przypomni mi wszystko dopiero widok zwęglonych szmat, które już się nie paliły, tylko opadały dokoła nas czarnym deszczem. Miss Havisham była nieprzytomna. Zabroniłem jej przenosić, a nawet jej dotykać. Posłano po pomoc, a ja trzymałem ją tymczasem w ramionach i wyobrażałem sobie nierozsądnie, że gdybym ją puścił przed nadejściem lekarza, znowu wybuchnąłby pożar, który by ją strawił. Kiedy zjawił się lekarz z asystentem i kiedy podniosłem się z podłogi, oddając ją ich pieczy, ujrzałem ze zdumieniem, że obie moje dłonie są poparzone. Nie czułem tego przedtem wcale.

Badanie stwierdziło, że miss Havisham doznała kilku głębokich poparzeń, ale że rany same przez się nie są niebezpieczne dla jej życia. Groźny był tylko wstrząs nerwowy. Na zlecenie lekarza przeniesiono jej pościel z sypialni i położono na stole, który był najdogodniejszy do zrobienia jej opatrunków. Kiedy w godzinę później zajrzałem do niej znowu, leżała na dużym stole, na tym samym stole, który niegdyś pokazywała mi laseczką, mówiąc, że na nim położą ją martwą.

Mimo że weselna jej szata spaliła się całkowicie, wciąż jeszcze otaczała miss Havisham atmosfera owego upiornego wesela. Przykryto ją aż pod brodę białym prześcieradłem, pod którym obłożona była watą, i wyglądała jak widmo czegoś, co było i już minęło.

Dowiedziałem się od służby, że Estella jest w Paryżu, i wymogłem na lekarzu, by napisał do niej najbliższą pocztą. Rodzinę miss Havisham wziąłem na siebie, postanowiwszy, że zawiadomię pana Mateusza Pocketa, a on sam zadecyduje, czy przekazać wiadomość reszcie krewnych. Uczyniłem to nazajutrz, natychmiast po powrocie do Londynu, za pośrednictwem Herberta.

Wieczorem miss Havisham zaczęła szybko i chaotycznie mówić o tym, co się stało. Rozmawiała ze straszliwą żywością. Potem rozpoczęło się bredzenie, a około północy uspokoiła się i cichym uroczystym głosem powtarzała tylko nieskończoną ilość razy: „Co ja zrobiłam?, a potem: „Kiedy przyszła do mnie po raz pierwszy, chciałam ją tylko uchronić od takiego nieszczęścia jak moje... a wreszcie: „Weź ołówek i napisz - przebaczam jej! Nie zmieniała kolejności tych zdań, a kiedy zapomniiała jakiegoś słowa, nie zastępowała go innymi, tylko po prostu zostawiała puste miejsce i mówiła dalej.

Ponieważ nie mogłem się tu już na nic przydać i wobec tego, że mimo nieszczęścia miss Havisham nie zapominałem ani chwili o niepokojącej mnie sprawie, postanowiłem wracać do domu najbliższym dyliżansem. Chciałem znowu przejść z milę piechotą i wsiąść, nie zauważony przez nikogo, na szosie do karetki pocztowej.

Toteż koło szóstej rano pochyliłem się nad miss Havisham i dotknąłem ustami jej warg, które nie zatrzymały się i właśnie wymawiały słowa: „Weź ołówek i napisz pod moim imieniem: - przebaczam jej”.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Dłonie bandażowano mi dwukrotnie czy też trzykrotnie w ciągu nocy i raz jeszcze rankiem. Lewe ramię miałem mocno poparzone aż do łokcia i nieco lżej do ramienia. Było to bardzo bolesne, ale ponieważ płomienie buchnęły właśnie w moim kierunku, cieszyłem się, że nie stało się gorzej. Prawa moja dłoń odniosła lżejsze poparzenia i chociaż również obandażowana, miała luźniejszy opatrunek, tak że mogłem od biedy poruszać palcami. Za to lewa ręka i lewe ramię były unieruchomione i nosiłem je na temblaku. Płaszcz mogłem tylko narzucić luźno ‘ na ramiona i zapiąć pod szyję. Włosy miałem opalone, ale skóra na głowie i twarzy pozostała nietknięta. Herbert udał się do ojca do Hammersmith, by zawiadomić go o wszystkim, ale powrócił natychmiast do naszego mieszkania, aby mnie pielęgnować. Nie potrafiłaby mu dorównać najczulsza pielęgniarka. Nieustannie zdejmował bandaż, zanurzał je w płynie, który mi sprawiał ulgę, i zakładał na nowo opatrunek z cierpliwą dobrocią, za którą byłem mu bardzo wdzięczny.

Leżąc spokojnie na kanapie miałem uczucie, że nie zdołam wypędzić z mej pamięci wspomnienia żaru płomieni, trzasku pożaru i wstrętnego odoru spalenizny. Kiedy zdrzemnąłem się na chwilę, budził mnie straszny krzyk miss Havisham i widziałem ją biegnącą ku mnie ze słupem płomieni nad głową. Owo bolesne wspomnienie paliło mnie stokroć bardziej niż fizyczne rany. Herbert spostrzegłszy to postanowił odciągnąć moją uwagę w inną stronę. Żaden z nas nie mówił o łódce, ale już z samego unikania przez nas tego tematu można było sądzić, jak nas obu zajmował i jak nam obu zależało, by ręce moje goiły się w kilka godzin zamiast kilku tygodni.

Moje pierwsze pytanie, kiedym zobaczył Herberta, brzmiało oczywiście, czy wszystko w porządku nad rzeką. Kiedy wesoło i stanowczo odpowiedział twierdząco, porzuciliśmy ten temat aż do wieczora. Ale wtedy to Herbert, zmieniając mi opatrunek przy blasku ognia kominka, nagle sam do niego powrócił.

- Spędziłem wczoraj z Provisem dwie godziny na rozmowie, Haendel.

- Gdzież była Klara?

- Ach, kochane maleństwo - odparł Herbert. - Zręda kazał jej biegać po schodach przez cały wieczór. Kiedy tylko tracił ją z oczu, zaraz walił laską w podłogę. Wątpię, czy długo pociągnie z takim trybem życia: rum i pieprz, rum i pieprz... musi się to skończyć!

- I wtedy ożenisz się, Herbercie?

- Jakże inaczej mógłbym się opiekować moim kochanym maleństwem? Wyciągnij ramię, Haendel, oprzyj je o kanapę, a zdejmę ci bandażę tak delikatnie, że nawet nie poczujesz. Więc rozmawiałem z Provisem. Czy wiesz, Haendel, że on się zmienia na lepsze?

- Mówiłem ci, że ostatnio znalazłem go jak gdyby łagodniejszym.

- Mówiłeś. I tak jest naprawdę. - Ostatnio był bardzo rozmowny i opowiedział mi wiele ze swego życia. Pamiętasz, jak tu kiedyś wybuchnął wspominając kobietę, z którą miał wielkie przejścia? Czy cię uraziłem?

Drgnąłem, ale nie na skutek jego dotknięcia. Słowa jego wzburzyły mnie.

- Nie pamiętałem tego, Herbercie, ale teraz sobie przypominam.

- Więc opowiadał mi właśnie o tej części swego życia. A wierz mi, że to historia smutna i dzika. Czy ci opowiedzieć? Czy też może za bardzo cię teraz poruszy?

- Opowiedz mi, proszę cię. Co do słowa.

Herbert pochylił się ku mnie troskliwie, jak gdyby ton moich słów zaniepokoił go, i spytał dotykając mojego czoła:

- Czy nie masz rozpalonej głowy?

- Nie, nie - powiedziałem szybko - opowiadaj, co ci Provis mówił, mój kochany Herbercie.

- O, ten bandaż zeszedł doskonale, bez bólu. Teraz nałożę ci drugi, chłodniejszy. Z początku przejmie cię chłód, ale potem sprawi ci ulgę, zobaczysz, stary, mój biedaku... O, teraz będzie dobrze. Zdaje się, że ta kobieta była młoda, zazdrosna i mściwa, tak, mściwa, Haendel, do najwyższego stopnia.

- Co to znaczy do najwyższego stopnia?

- Aż do zbrodni... Czy na bójącym miejscu nie za bardzo cię chłodzi?

- Nie, nie czuję. Kogo i jak ta kobieta zamordowała? Jaką zbrodnię popełniła?

- Może to, co zrobiła, nie zasługuje na tak surową nazwę - zauważył Herbert - ale w każdym razie sądzono ją za popełnienie zbrodni. Bronił jej Mr. Jagers i Provis na tej sprawie po raz pierwszy zapoznał się z nim jako z obrońcą. Ofiarą jej była kobieta, ale kobieta o wiele starsza i silniejsza od oskarżonej. Biły się w jakiejś stodole na wsi. Która z nich zaczęła i czy bójka prowadzona była lojalnie, tego nikt nie mógł wiedzieć. Za to, jak się skończyła, wiedzieli wszyscy, bo ofiarę znaleziono uduszoną.

- Czy tamtą kobietę uznano za winną zbrodni?

- Nie. Sąd ją uniewinnił. Mój biedny, Haendel, czy uraziłem cię?

- Nie mogłeś być delikatniejszy, Herbercie. Co dalej?

- Ta uniewinniona kobieta miała z Provisem dziecko - ciągnął Herbert - dziecko, które twój opiekun ogromnie kochał. Tego samego dnia, kiedy wieczorem znaleziono uduszoną kobietę, o którą była zazdrosna, matka dziecka Provisa zjawiała się u niego i zagroziła, że zamorduje maleństwo (dziecko było u niej) i że ojciec nigdy go już nie zobaczy. Potem zniknęła. Nareszcie twoje zranione ramię jest przyzwoicie opatrzone i umieszczone na temblaku, pozostaje mi tylko prawa dłoń, a to już jest drobiazg. Łatwiej mi robić opatrunki przy tym słabym świetle, bo nie widzę wtedy tych okropnych ran. Czy nie masz czasem gorączki, Haendel? Oddychasz tak gwałtownie!

- Możliwe - odparł Pip. - I co, ta kobieta spełniła swą, groźbę?

- Tu właśnie następuje najsmutniejsza część życia Provisa Spełniła ją.

- To znaczy, że tak on twierdzi.

- No, oczywiście, mój kochany chłopcze - oświadczył Herbert tonem pełnym najwyższego zdumienia i nachylając się znowu, by bliżej mi się przyjrzeć - przecież to wszystko on mi właśnie mówił. Innych informacji, prócz pochodzących od niego, nie posiadam.

- No nie, oczywiście.

- Provis nie mówił mi, czy traktował matkę swego dziecka dobrze czy źle - ciągnął Herbert - ale w każdym razie była w ciągu czterech czy pięciu lat towarzyszką jego nędznego życia, tego, o którym nam opowiadał wówczas przy kominku, i najwidoczniej czuł dla niej litość i przebaczył jej. Bojąc się, by nie wezwano go na świadka w jej sprawie, gdyż wtedy musiałby powiedzieć o dziecku i zgubić ją, ukrywał się w czasie procesu (mimo że rozpacział po stracie dziecka), pozostawał w cieniu, jak to mi sam mówił. Na procesie mówiono o nim jako o mężczyźnie imieniem Abel, który był przedmiotem zazdrości oskarżonej. Po wyroku uniewinniającym kobieta zniknęła i w ten sposób stracił jednocześnie dziecko i matkę dziecka.

- Chciałbym spytać...

- Chwileczkę, mój kochany chłopcze - przerwał mi Herbert - zaraz skończę. Ten zły duch, Compeyson, ta największa kanalia wśród kanalii, wiedząc doskonale, dlaczego Provis w czasie procesu się ukrywa, wyzyskał to, by kazać mu jeszcze ciężiej dla siebie pracować, i utrzymywał go dalej w nędzy. Wczoraj przekonałem się, że to właśnie sprawiło, iż wstręt Provisa do tego człowieka zamienił się w nienawiść.

- Herbercie - poprosiłem - chciałbym koniecznie wiedzieć, czy powiedział ci, kiedy się to wszystko działo.

- Koniecznie? Daj, niechże sobie przypomnę, co on o tym mówił. Zaraz, jego własne słowa na ten temat brzmiały: „Jakieś dwadzieścia lat temu, właśnie wtedy zacząłem harówkę z Compeysonem... Ile miałaś lat, gdy spotkałeś go na cmentarzyku wiejskim?

- Zdaje się, że siedem.

- Więc mówił mi, że to się stało na cztery lub trzy lata przed spotkaniem z tobą i że przypomniałeś mu jego małą, tak tragicznie zaginioną dziewczynkę, bo była mniej więcej w twoim wieku.

- Herbert - odezwałem się po krótkim milczeniu - jak lepiej mnie widzisz teraz: przy świetle padającym z okna, czy. przy ogniu kominka?

- Przy blasku kominka - odparł Herbert zbliżając się do mnie.

- Spójrz na mnie.

- Patrzę na ciebie, kochany mój chłopcze.

- Dotknij mnie.

- Dotykam ciebie.

- Nie sądzisz chyba, że mówię w gorączce albo że umysł mój został wstrząśnięty wypadkami ostatniej nocy?

- Nie, mój drogi - odpowiedział Herbert przyjrzawszy mi się chwilę badawczo. - Wydajesz się trochę podniecony, ale jesteś sobą.

- Wiem, że jestem sobą. A człowiek, którego ukrywani w domu nad rzeką, to ojciec Estelli.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego z tak z gorącym zapałem doszukiwałem się pochodzenia Estelli. Okaze się też za chwilę, że sam nie zastanawiałem się nad tym zagadnieniem, dopóki mi nie nasunął go ktoś ode mnie mądrzejszy.

W każdym razie, kiedy skończyłem rozmowę z Herbertem, ogarnęła mnie gorączkowa chęć śledzenia tej tajemnicy do końca, bez straty jednej chociażby minuty, i natychmiast chciałem zobaczyć się z Mr. Jaggersem, by dowiedzieć się prawdy. Sam nawet nie wiem, czy w owej chwili zdawało mi się, że muszę to zrobić dla dobra Estelli, czy też zależało mi, aby rzucić na człowieka, którego bezpieczeństwo leżało w mojej dłoni, kilka promieni romantycznego blasku, jaki od dawna dla mnie otaczał wychowaną miss Havisham. Mam wrażenie, że to ostatnie przypuszczenie bliższe jest prawdy.

Siłą powstrzymałem się, by nie pobiec zaraz na Gerard Street do Mr. Jaggersa. Herbert wytłumaczył mi, że jeżeli teraz wyjdę z domu, położę się potem na długo do łóżka i zostanę unieruchomiony w momencie, gdy moja obecność będzie konieczna dla ratowania naszego zbiega. Zgodziłem się więc na pozostanie w domu i obiecałem, że pozwolę zmieniać sobie opatrunki, ale tylko pod tym warunkiem, że nazajutrz rano pójdę do Jaggersa. Następnego dnia wczesnym rankiem udaliśmy się więc razem w drogę. Na rogu Giltspur Street koło Smithfield zostawiłem Herberta, który udał się do swego biura w City, a sam wyruszyłem do Małej Brytanii.

W określone dni w miesiącu Mr. Jaggers i Wemmick przeglądali akta, sprawdzali rachunki i porządkowali wszystkie papiery. W te dni Wemmick prznosił swoje księgi do gabinetu Mr. Jaggersa, a jeden z urzędników z góry zajmował przez ten czas jego miejsce przy biurku. Toteż gdy zastałem na krześle Wemmicka innego urzędnika, zrozumiałem od razu, co się tu odbywa. Nie byłem z tego powodu niezadowolony, przeciwnie, fakt, że zastanę Wemmicka razem z Mr. Jaggersem, ułatwiał mi rozmowę. Mogłem od razu dowieść Wemmickowi, że nie mówię nic, co by go mogło skompromitować.

Widok mojej osoby z zabandażowanymi rękami i ramieniem na temblaku usposobił ich do mnie przychylnie. Natychmiast po powrocie do miasta napisałem panu Jaggersemu o tym, co się stało, ale nie znał on żadnych szczegółów. Ta okoliczność sprawiła, że rozmowa nasza nie była tak sucha i oficjalna ani tak ściśle podporządkowana przepisom prawnym jak wszystkie dotychczasowe. Mr Jaggers w czasie mojego opowiadania o katastrofie stał jak zwykle przed kominkiem. Mr Wemmick rozparł się w fotelu z rękami w kieszeniach i z

piórem tkwiącym w otworze skrzynki pocztowej. Dwie okropne rzeźby o zwierzęcych napuchłych twarzach, nieodłącznie dla mnie związane ze wszelkimi formalnościami prawnymi, wyglądały tak, jak gdyby uważały, że i tutaj pachnie spalenizną.

Gdy skończyłem opowiadanie i wyczerpały się wszystkie pytania, oznajmiłem o tym, że miss Havisham ofiarowała dziewięćset funtów Herbertowi, i natychmiast przedstawiłem dowód. Kiedy wręczałem Mr. Jaggersowi tabliczki, oczy jego zapadły jak gdyby w głąb czaszki, ale bez słowa oddał tabliczki Wemmickowi i po chwili dopiero polecił mu wypisać czek i przedstawić sobie do podpisu. Przyglądałem się piszącemu Wemmickowi, a przez ten czas Mr. Jaggers, kołysząc się na dobrze wyczyszczonych, butach, patrzył na mnie.

- Bardzo mi przykro, Pip - powiedział, gdy wsuwałem do kieszeni podpisany przez niego czek - że nic nie robimy dla ciebie.

- Miss Havisham - odparłem - była tak dobra, iż pytała mnie, co mogłaby zrobić dla mnie, ale ja odpowiedziałem: „Nic.

- Każdy sam wie najlepiej, jak stoją jego interesy - oświadczył Mr. Jaggers, a po ruchu warg Wemmicka poznałem, że wymawia wyraz „ruchomości.

- Gdybym' był na pańskim miejscu - zauważył jego pryncypał - nie powiedziałbym „nic. Ale każdy zna najlepiej własne potrzeby.

- W interesie każdego człowieka - zwrócił się do mnie Wemmick tonem wyrzutu - są ruchomości.

Uważałem, że czas już poruszyć temat, który leżał mi na sercu, więc wyjaśniłem Mr. Jaggersowi:

- A jednak prosiłem o coś miss Havisham. Prosiłem ją, aby mi powiedziała wszystko, co wie o swej przybranej córce. I uczyniła to.

- Doprawdy, uczyniła to? - powtórzył Mr. Jaggers przechylając się ku przodowi, by spojrzeć na własne obuwie, a potem wyprostowując się na nowo. - Ha, nie mogę twierdzić, że uczyniłbym to będąc na miejscu miss Havisham. Ale ona powinna znać lepiej własny interes.

- Ja sam wiem więcej o przybranej córce miss Havisham niż ona, proszę pana. Znam jej matkę.

Pan Jaggers spojrział na mnie pytająco i powtórzył:

- Matkę?

- Tak, widziałem jej matkę przed trzema dniami.

- Tak? - spytał Mr. Jaggers.

- I pan także ją widział. I widuje ją pan częściej niż ja.

- Tak? - powtórzył adwokat.

- Być może znam lepiej historię Estelli nawet niż pan - oznajmiłem. - Znam także i jej ojca.

Mr Jagers zatrzymał się w swym ruchu na mgnienie oka (był zbyt opanowany, by okazać żywsze zainteresowanie, ale przez jedną chwilę nie potrafił się zamaskować) i w ten sposób zdradził się, że nie wie, kto jest ojcem Estelli.

Podejrzywałem to już przedtem na podstawie opowiadania Provisa (powtózonego mi przez Herberta), który mówił, że w całej tej sprawie był ukryty w cieniu i że klientem Mr. Jagersa został dopiero w cztery lata później, nie mając żadnej potrzeby dawać mu się poznać. Nie byłem jednak przedtem pewien, do jakiego stopnia Mr. Jagers jest o wszystkim poinformowany, i teraz dopiero jego ruch zdradził jego nieświadomość.

- Więc znasz ojca tej młodej osoby, Pip? - spytał adwokat.

- Tak - odparłem. - To Provis z Nowej Południowej Walii.

Nawet Mr. Jagers zdrzął na te słowa. Było to najbardziej opanowane i najkrócej trwające drżenie, zamaskowane wyjęciem chusteczki z kieszeni, ale nie uszło mojej uwagi. Nie mogłem zaobserwować, jakie wrażenie zrobiła ta wiadomość na Wemmicku, obawiałem się spojrzeć na niego w tej chwili, aby bystry pryncypał nie doszukał się między nami jakiegoś na ten temat porozumienia.

- A na jakim to dowodzie, jeżeli wolno spytać, Pip - zagadnął Mr. Jagers chłodno, zatrzymując dłoń z chusteczką w połowie drogi do nosa - opiera Mr. Provis swe pretensje?

- Nigdy nie wnosił żadnych pretensji - odpowiedziałem - i nie ma sam pojęcia, że córka jego istnieje na świecie.

Raz przynajmniej wszechmocna chusteczka zawiodła. Odpowiedź moja była tak nieoczekiwana, że Mr. Jagers schował chusteczkę z powrotem do kieszeni, nie doniósłszy jej do nosa, skrzyżował ramiona i spojrzał na mnie surowo i badawczo z nieruchomą twarzą.

Opowiedziałem mu wówczas wszystko, co o tej sprawie wiem i w jaki sposób się tego dowiedziałem, z tym zastrzeżeniem, że to, co ujawnił mi Wemmick, przypisałem miss Havisham, by nie skompromitować przyjaciela. Przez cały czas mego opowiadania nie spojrzałem ani razu w stronę Wemmicka, a gdy skończyłem, unikałem przez chwilę wzroku Mr. Jagersa. Kiedy wreszcie rzuciłem spojrzenie na Wemmicka, ujrzałem, iż wyjął pióro pomiędzy warg i zamyślony patrzy w stół.

- Ha - odezwał się wreszcie Mr. Jagers zbliżając się do stołu z papierami - na czym to przerwaliśmy, Mr. Wemmick, gdy wszedł Mr. Pip?

Takiego odtrącenia mojej osoby nie mogłem znieść i zwróciłem się z namiętym i pełnym oburzenia apelem do Mr. Jagersa, błagając go nieledwie, aby był względem mnie

szczerzy i bardziej ludzki. Przypomniałem mu złudne nadzieje, które tak długo żywiłem, i moje okropne rozczarowanie, i zrobiłem aluzję da niebezpieczeństwa, jakie grozi mojej postawie wewnętrznej. Powiedziałem też, że jestem chyba godny odrobiny jego zaufania, chociaż za to, że ja również mu zaufałem. Zapewniłem go, że nie mam zamiaru go potępiać ani o nic podejrzewać, ani mu nie dowierzać, ale chcę z ust jego usłyszeć potwierdzenie prawdy. A jeżeli pragnie wiedzieć, po co mi te wiadomości potrzebne i jakie mam do nich prawo, to niech się dowie, mimo że ma pogardę dla takich biednych marzeń, że kochałem Estellę gorąco i długo, a chociaż ją straciłem i muszę pędzić nieszczęsne samotne życie, to wszystko, co się jej tyczy, jest dla mnie droższe i bliższe niż inne rzeczy na świecie.

Widząc, że Mr. Jagers wysłuchuje mnie w całkowitym milczeniu, bynajmniej nie wzruszony moimi słowami, zwróciłem się do Wemmicka i powiedziałem:

- Wemmick, wiem, że jest pan człowiekiem o dobrym sercu. Widziałem przecież pana miły dom, ojcastaruszka i poznałem, w jaki czarujący i zajmujący, pełen prostoty sposób organizuje sobie pan życie poza pracą biurową. Błagam pana, niechże pan wstawi się za mną do Mr. Jagersa i wytłumaczy mu, że uwzględnivszy wszystkie okoliczności powinien być wobec mnie szczerzy niż dotychczas.

Nigdy dotychczas nie zdarzyło mi się widzieć dwóch ludzi spoglądających na siebie w dziwniejszy sposób, niż Mr. Jagers. i Wemmick uczynili to po moim wykrzykniku. Zrazu przeszło mi przez głowę, że Wemmick zostanie z miejsca usunięty z posady, ale myśl ta rozwiąła się natychmiast, gdy ujrzałem, jak wyraz twarzy Mr. Jagersa zmienił się w coś w rodzaju uśmiechu i jak; Wemmick nagle nabrał otuchy.

- Co to ma znaczyć? - spytał adwokat - pan ma starszkaojca i zajmujące, przyjemne życie?

- A gdyby tak było - odparł Wemmick - i gdybym nie odradzał się z tym tutaj, to jakież mogłoby to mieć znaczenie?

- Pip - powiedział Mr. Jagers kładąc mi dłoń na ramieniu i uśmiechając się wesoło - ten człowiek jest chyba najsprytniejszym oszustem z całego Londynu.

- Nic podobnego - zaprotestował ośmielony Wemmick - pan jest sprytniejszy.

Znowu zamienili owo dziwne spojrzenie, jak gdyby bali się wzajemnie, by jeden nie zwiódł drugiego.

- Pan ma przyjemne mieszkanie? - badał Mr. Jagers.

- Czemuż by nie? - odpowiedział Wemmick - skoro to nie przeszkadza interesom. Nie dziwiłbym się, gdyby i pan zechciał pewnego dnia urządzić sobie przyjemne mieszkanie, w którym odpoczywałby pan po pracy.

- Pip - oświadczył Mr. Jagers wydawszy szczere westchnienie - nie będziemy mówili o „biednych marzeniach”, ty wiesz o nich więcej ode mnie, bo masz je świeżo w pamięci. Jeżeli chodzi o tę drugą sprawę, pozwól, że zrobię pewne przypuszczenie. Ale zapamiętaj sobie, że ja nic nie twierdzę, tylko przypuszczam.

Począł, aż potwierdziłem uroczyście, że on nic nie twierdził i że rozumiem jego słowa.

- Więc, Pip - zaczął po chwili - przypuśćmy, że kobieta znajdująca się w warunkach podobnych do tych, o których tu opowiadałeś, ma rzeczywiście dziecko w ukryciu i. że czuje się zmuszona wyznać to swemu obrońcy prawnemu, gdyż ten oświadczył jej, że dla dobra sprawy musi wiedzieć prawdę, co się stało z maleństwem. Przypuśćmy dalej, że w tymże czasie jedna z klientek owego prawnika, dama ekscentryczna i bogata, prosi go, by jej znalazł dziecko, które chciałyby adoptować i wychować.

- Śledzę pańską myśl.

- Przypuśćmy dalej, że prawnik ten żył w atmosferze nieustającego zła i na wszystkie dzieci patrzył jak na skazane na zagładę. Przypuśćmy, że bywał na procesach, na których sąd kryminalny skazywał dzieci tak małe, że trzeba je było podnosić na ławę oskarżonych, by były widziane. Przypuśćmy dalej, że człowiek ten uważał za rzecz zwykłą, że dzieci więziono, bito, wywożono, zanedbywano, wypędzano, przeznaczano z góry na wisielców, chowano niejako po to, by je w przyszłości powiesić. Przypuśćmy dalej, że nauczył się on w końcu patrzeć na dzieci jako na ryby, które prędzej czy później wpadną w jego sieci, jako nieszczęsne istoty pozbawione rodziców, które prędzej czy później zostaną uwięzione i będą potrzebowały jego obrony, których wszyscy się wyprą, które czeka los sierocy i taka czy inna zagłada.

- Śledzę pańską myśl - powtórzyłem.

- I wyobraź sobie, Pip, że wśród tych wszystkich nieszczęsnych dzieci można było uratować jedną małą, śliczną dziewczuszkę, dziecko, które ojciec jego uważał za nie żyjące i o które w żadnym razie nie śmiałyby się upomnieć.

Wyobraź sobie, że wówczas prawnik powiedział do swojej klientki: „Wiem, co pani zrobiła i jak pani popełniła ten czyn. Jak pani atakowała, jak się broniła. Zrobiła pani potem to i to, aby odwrócić od siebie podejrzenia. Mógłbym pani opowiedzieć każdy najmniejszy ruch pani od początku do końca. Niech pani się rozłączy z dzieckiem, a nie zrobię z tego użytku i powiem tylko tyle, ile jest konieczne dla pani obrony. Niech pani odda dziecko w moje ręce, a zrobię wszystko, by panią ocalić. Jeżeli pani się uratuje, dziecko zostanie również uratowane.

Jeżeli zaś pani zginie, przynajmniej dziecko będzie bezpieczne. Teraz wyobraź sobie, że tak się stało, że i kobieta się uratowała, że ją uniewinniono.

- Rozumiem pana doskonale.

- Ale pamięta pan i o tym, że ja nic z tego nie twierdzę na pewno?

- Tak, że pan nic nie twierdzi na pewno - zawtórowałem. A Wemmick dodał: - Nie twierdzi na pewno.

- Wyobraź sobie dalej, Pip, że namiętność i strach z lekka wstrząsnęły umysłem tej kobiety i że uwolniona z więzienia lękała się świata i zjawiała się u swego obrońcy, by dał jej u siebie przytułek, że wziął ją do siebie i potrafił okiełzać jej gwałtowną nieopanowaną naturę, korzystając z władzy, jaką nad nią posiadał. Czy możesz sobie wyobrazić ten zmyślony wypadek?

- Doskonale.

- Wyobraź sobie dalej, że dziewczynka dorosła i wyszła za mąż dla pieniędzy. Że matka wciąż jeszcze żyje. Że ojciec wciąż jest przy życiu, że matka i ojciec nie wiedzą o sobie wzajemnie i rozdzieleni są od siebie wieloma milami czy wieloma metrami przestrzeni, jak wolisz. Że tajemnica wciąż pozostaje tajemnicą dla wszystkich, prócz ciebie, który przypadkiem ją zwietrzyłeś. Rozważ dobrze to ostatnie przypuszczenie.

- Rozważyłem.

- Proszę też Wemmicka, by dobrze tę sprawę rozważył. I Wemmick odparł również: - Rozważyłem ją.

- Dla kogóż to chcesz odsłaniać tę tajemnicę? Dla ojca? Nie sądzę, aby był rad z odnalezienia matki dziecka. Dla matki? Myślę, że po tym, co uczyniła, jest bezpieczniejsza w swym obecnym ukryciu. Dla córki? Przypuszczam, że oddałoby jej się wątpliwą przysługę odsłaniając przed jej mężem jej prawdziwe położenie i wtrącając ją z powrotem w hańbę, z której uszła przed dwudziestu laty, i do której może nie powracać do końca życia. Jeśli teraz dodasz do tego, Pip, żeś ją kochał i że łączyłeś z nią owe „biedne marzenia, które żywi więcej mężczyzn, niż to sam przypuszczasz, to powiadam ci, Pip,. zamiast odsłaniać tę tajemnicę, lepiej twą zabandażowaną prawą dłonią odrąb sobie lewą rękę a potem oddaj Wemmickowi tasak, by ci też tę prawą zabandażowaną odrąbał.

Spojrzałem na Wemmicka. Miał bardzo poważny wyraz twarzy. Poważnie położył sobie wskazujący palec na ustach. Zrobiłem to samo co i on. I Mr. Jagers również wykonał ten sam gest.

- A teraz - powiedział Jagers - na czym to przerwaliśmy Mr. Wemmick, gdy wszedł Mr. Pip?

Stałem jeszcze przez chwilę, obserwując, jak obaj pracowali i widziałem, że kilkakrotnie jeszcze wymienili między sobą owe dziwne spojrzenia z tą różnicą, że teraz wyglądali tak, jak gdyby obaj obawiali się, że przedstawili się w niedość poważnym i niedość zawodowym świetle.

Dlatego też zapewne byli w tej chwili dla siebie wzajemnie bezlitośni: Mr. Jagers używał tonu dyktatora, a Mr. Wemmick bronił zaciekle swego punktu widzenia przy każdym szczególe rachunków. Nigdy jeszcze nie widziałem ich w tak złych wzajemnych stosunkach.

Najwidoczniej ulżyło im ogromnie zjawienie się klienta, owego Mike'a, w futrzanej czapie, mającego zwyczaj wycierać nos rękawem. Tego samego, którego widziałem, kiedy po raz pierwszy byłem w kancelarii. Ten osobnik, który niemal stale znajdował się w kłopotach (co tu oznaczało więzienie Newgate), albo sam, albo w związku ze swoją rodziną, i teraz oznajmił, że córka jego najstarsza została uwięziona pod zarzutem kradzieży w sklepie. Gdy przedstawiał ten melancholijny fakt Mr. Wemmickowi (Mr. Jagers stał przy kominku, pozornie nie mając z tym nic wspólnego), w oku Mike'a zabłysła łza.

- Co to znaczy? - spytał Wemmick z najgłębszym oburzeniem - przyszedł pan tu do nas beczeć?

- Nie, nie po to tu przyszedłem, Mr. Wemmick.

- Właśnie, że po to - powiedział Wemmick. - Jak pan się ośmiela zjawiać tutaj i kapać mi pod nosem niby stare pióro? Co pan chce przez to osiągnąć?

- Człowiek nie panuje nad swoimi uczuciami, Mr. Wemmick - tłumaczył się Mike.

- Nad czym nie panuje? - ryknął Wemmick - powtórz pan to!

- Dość tego - zdecydował Jagers odchodząc od kominka i wskazując drzwi - wyjdź pan stąd natychmiast! Nie potrzeba nam tu w kancelarii uczuć! Wyjść!

- Zasłużył pan sobie na to! - powiedział Wemmick - Niech pan się zabiera!

Nieszczęsny Mike pokornie się wyniósł, a pan Jagers i Wemmick zabrali się na nowo do roboty, odzyskawszy dobry humor i wzajemną życzliwość, w takim usposobieniu, jak gdyby właśnie zjedli dobre śniadanie.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Prosto z Małej Brytanii udałem się z czekiem w kieszeni do brata miss Skiffins, buchaltera. Brat miss Skiffins poszedł natychmiast do Clarrikera, przyprowadził go do mnie i wówczas z wielką satysfakcją dokonałem transakcji. Był to pierwszy dobry uczynek, który spełniłem od chwili, kiedy dowiedziałem się o oczekujących mnie wielkich nadziejach.

Clarriker oznajmił mi przy tej sposobności, że na skutek doskonałego rozwoju jego firmy będzie mógł założyć niewielką filię na Wschodzie, bardzo potrzebną dla dalszej rozbudowy interesów, i że Herbert, jako nowy jego wspólnik, obejmie kierownictwo tej placówki. Zrozumiałem, że będę musiał rozstać się z przyjacielem, jeszcze zanim moje własne sprawy zostaną załatwione. Nagle ogarnęło mnie takie uczucie, jak gdyby zrywała się ostatnia moja kotwica i jakbym miał stać się zaraz igraszką fal i wichru.

Pociechą dla mnie była radość, z jaką jednego z najbliższych wieczorów Herbert oznajmił mi o zmianach w jego życiu, nie podejrzewając ani na chwilę, że nie są one dla mnie żadną nowiną. Z uniesieniem mówił, jak to zawiezie swą Klarę Barley do krainy baśni z tysiąca i jednej nocy, jak ja przybędę do niego w odwiedzinie (zdaje się z karawaną wielbłądów) i jak wszyscy razem udamy się nad brzegi Nilu, by oglądać tam cuda. Nie całkiem wierząc w mój udział w tej radosnej wyprawie, byłem przekonany, że droga Herberta jest już wytknięta i że na wypadek, gdyby stary Barley nie odzwyczaił się od rumu z pieprzem, los jego córki jest już zabezpieczony.

Był początek marca. Moje lewe ramię, chociaż nie przedstawiało żadnego niebezpieczeństwa, goiło się tak powoli, że wciąż jeszcze nie mogłem wkładać płaszcza. Prawe natomiast wygoiło się i mogłem nim swobodnie poruszać, choć wygląd jego był jeszcze bardzo nieprzyjemny.

Pewnego poniedziałku rano, gdy siedzieliśmy z Herbertem przy pierwszym śniadaniu, wręczono mi list z poczty od Wemmicka.

Walworth. Niech pan spali to natychmiast po przeczytaniu. Z początkiem tego tygodnia, powiedzmy w środę, może pan, o ile to panu odpowiada, urzeczywistnić swój zamiar. A teraz Miech pan spali kartkę.

Pokazałem Herbertowi list i wrzuciłem go do ognia uprzednio razem z przyjacielem nauczywszy się tekstu na pamięć. Zaczęliśmy się naradzać, co czynić. Oczywiście było, że dłużej nie mogę się już zasłaniać chorobą.

- Zastanawiałem się nad tą sprawą setki razy - powiedział Herbert - i znalazłem lepsze wyjście niż wynajęcie wiosłarza z Tamizy. Weźmy Startopa. To dobry chłop, zręczny wiosłarz, uczciwy i oddany nam całą duszą.

I ja również już o nim myślałem.

- Ale co mu powiem, Herbercie?

- Jak najmniej. Zrazu powiedz mu, że chodzi o kaprys, który trzeba utrzymać w tajemnicy, a kiedy nadejdzie ów ranek, wytłumacz mu, że są przyczyny, dla których musisz wywieźć Provisa za granicę. Czy jedziesz z nim?

- Bez wątpienia.

- Dokąd?

Za każdym razem, gdy myśli moje niespokojnie błądziły wokół tej sprawy, dochodziłem do wniosku, że wybór portu jest obojętny; Hamburg, Rotterdam, Antwerpia - byleby za granicami Anglii. Każdy zagraniczny parowiec, który by zechciał nas przyjąć na pokład, byłby odpowiedni. Planowałem zawsze, że będę towarzyszył Provisowi na rzece dość daleko aż za Gravesand, krytyczne miejsce, gdzie mogliby zadać nam kłopotliwe pytania. Ponieważ cudzoziemskie parowce miały zwyczaj opuszczać port podczas przypływu, zamierzaliśmy przedtem przepłynąć rzekę i w jakimś spokojnym zakątku czekać chwili, gdy będziemy mogli wsiąść na któryś z nich. Dowiedziawszy się z góry szczegółów mogliśmy z łatwością wiedzieć, o której należy wyruszyć.

Herbert zgodził się na wszystko i zaraz po śniadaniu udaliśmy się na zwiady. Stwierdziliśmy, że najbardziej odpowiada nam parowiec zdążający do Hamburga, i na ten zdecydowaliśmy się, ale jednocześnie dowiedzieliśmy się i o inne statki, opuszczające port podczas tego samego przypływu, i zapamiętaliśmy sobie dobrze ich budowę i barwę. Potem rozstaliśmy się na kilka godzin: ja poszedłem wystarać się o odpowiednie paszporty, Herbert rozmówić się ze Startopem. O pierwszej spotkaliśmy się wypełniwszy bez przeszkód nasze zadania. Ja miałem gotowe paszporty, Herbert obietnicę Startopa.

Postanowiliśmy, że Herbert i Startop będą wiosłowali, a ja zasiądę przy sterze. Nasz pasażer miał tylko cicho siedzieć. Nie mieliśmy powodu szybko się posuwać, bo czasu było dość. Postanowiliśmy jeszcze, że Herbert tego wieczora nie przyjdzie na obiad do Tempie przed pójściem do Mill Pond Bank, że nie będzie tam wcale we wtorek i że uprzedzi Provisa, aby w chwili kiedy ujrzy nas na rzece, zeszedł kamiennymi schodami na wybrzeże, ale żeby nie czynił tego pod żadnym pozorem wcześniej. Wszelkie porozumiewanie się z Provisem mieliśmy zakończyć w poniedziałek wieczorem i zobaczyć się z nim dopiero na łodzi.

Obaj rozumieliśmy w całej pełni konieczność tych ostrożności.

Otwierając drzwi do naszego mieszkania kluczem, znalazłem w skrzynce list adresowany do mnie. Był dość dobrze pisany, ale okropnie wybrukany. Nie nadszedł pocztą, ale widocznie przyniesiono go po moim wyjściu. Zawierał następujące słowa:

Jeżeli nie obawia się pan, niech się pan zjawi dziś wieczorem lub jutro koło godziny dziewiątej na starym bagnisku, przy małym domku, na służbie obok wapniami. Radzę przybyć tam w sprawie pańskiego wuja Provisa. Proszę nie tracić czasu, nie mówić o tym nikomu i przybyć sam. Tę kartkę przywieźć ze sobą.

Byłem i tak już obciążony straszliwą troską, zanim jeszcze otrzymałem ten list, a teraz nie wiedziałem po prostu, co mam począć. Najgorsze było to, że musiałem zdecydować się natychmiast, by nie spóźnić się na dylizans, który pozwoliłby mi się stawić na wyznaczoną godzinę. Nie mogłem odkładać tego do jutra, był to bowiem termin zbyt bliski planowanej ucieczki, a obawiałem się, że spotkanie tyczy się właśnie tej sprawy.

Sądzę, że mając więcej czasu do namysłu, zdecydowałbym to samo. W każdym razie, spojrzawszy na zegarek i stwierdziwszy, że pozostaje pół godziny do odjazdu dylizansu, ruszyłem w drogę. Nie pojechałbym tam, ale wzmianka o wuju Provisie, która nastąpiła natychmiast po liście Wemmicka i po ranku pełnym gorączkowych przygotowań, przeważała szalę. Tak trudno jest uświadomić sobie treść jakiegokolwiek listu przeczytanego w gwałtownym pośpiechu, że przebiegłem wzrokiem tajemnicze pismo jeszcze dwukrotnie, zanim zwróciłem uwagę na rozkaz trzymania tej sprawy w tajemnicy. Całkiem mechanicznie posłuchałem owego zalecenia i pisząc ołówkiem kartkę do Herberta, zawiadomiłem, że wobec mojej nagłej podróży i niepewnego terminu powrotu, postanowiłem wpaść na kilka godzin do miss Havisham, by dowiedzieć się, jak się czuje. Potem pośpiesznie włożyłem ciepły płaszcz, zamknąłem mieszkanie i ruszyłem bocznymi uliczkami na stację dylizansów. Gdybym wziął dorożkę i jechał głównymi zatłoczonymi ulicami, byłbym się na pewno spóźnił, ale w ten sposób zdążyłem. Wpadłem na stację w chwili, gdy dylizans opuszczał dziedziniec. Kiedy oprzytomniałem, spostrzegłem, że jestem jedynym pasażerem, który jedzie z nogami po kolana w słomie w trzęsącym omnibusie.

Nie ochłonąłem jeszcze od chwili, kiedym odebrał ów tajemniczy list. Był on dla mnie tym bardziej wstrząsający, że nastąpił po pełnym wzruszeń poranku. Oczekiwałem bowiem od dawna znaku od Wemmicka, ale gdy przyszedł, zrobił na mnie wrażenie pioruna. Teraz dopiero zacząłem się zastanawiać nad tym, że jadę dylizansem, i obudziły się we mnie wątpliwości, czy powinienem się tu znajdować, czy należało usłuchać anonimowego wezwania i czy raczej nie trzeba natychmiast wysiąść i powrócić do domu. Słowem targnęła mną rozterka i niepokoje, tak dobrze znane wszystkim działającym w pośpiechu ludziom.

Ale o wszystkim rozstrzygała wzmianka o Provisie. Myślałem, że gdyby zdarzyło mu się jakieś nieszczęście tylko dlatego, że mnie nie chciało się udać na wyznaczone spotkanie, nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

Noc zapadła, zanim dotarliśmy na miejsce, a mnie dzień dłużył się ogromnie, bo nie widziałem już nic przez okno dylizansu, a na górne siedzenia na zewnątrz nie pozwalały mi wyjść świeżo zgojone rany. Przez czas, gdy go przygotowywano, zaszedłem do willi „Satis”, by dowiedzieć się o zdrowie miss Havisham. Była jeszcze bardzo chora, chociaż nastąpiła pewna poprawa.

Oberża, w której się znajdowałem, stanowiła niegdyś część budynku klasztornego; podano mi do stołu w małym ośmiokątnym pokoju podobnym do chrzcielnicy. Stary oberżysta z błyszczącą łysiną sam krajał mi mięso, gdyż nie władałem jeszcze dłonią. To doprowadziło nas do rozmowy, w czasie której bawił mnie własną moją historią z nieodzownym dodatkiem, że Pumblehook był moim dobroczyńcą i przyczynił się do mojej fortuny.

- Czy zna pan tego młodego człowieka osobiście? - spytałem.

- Czy go znam? Ależ od czasu, gdy ledwie odrósł od ziemi.

- Czy przyjeżdża niekiedy w sąsiedztwo?

- Owszem, przyjeżdża, odwiedza swych bogatych przyjaciół, a bardzo chłodno traktuje swego dobroczyńcę.

- Kogo pan ma na myśli? - badałem.

- No, tego, o którym już mówiłem - objaśnił oberżysta - Mr. Pumblehooka.

- A czy ten młody człowiek nie okazuje niewdzięczności względem innych?

- Na pewno by okazywał, gdyby miał ku temu sposobność. Ale nie ma żadnych innych dobroczyńców prócz Pumblehooka, który wszystko dla niego w życiu zrobił.

- Czy to Pumblehook tak opowiada?

- Opowiada? Nie ma potrzeby nawet opowiadać!

- Ale czy opowiada?

- I jak jeszcze! Gdyby go pan słyszał opowiadającego, krew zamieniłaby się panu w ocet winny! Tak opowiada!

Pomyślałem sobie:

„Joe, drogi Joe, ty nigdy nic takiego nie opowiadasz. Cierpisz i kochasz mocno, mój Joe miły i nigdy się nie skarżysz. Ani ty, dobra, łagodna Bidy”.

- Pański wypadek musiał panu zaszkodzić na apetyt - zauważył oberżysta rzucając spojrzenie na zabandażowane ramię - może pan skosztuje ten miękki kawałek?

- Nie, dziękuję - odparłem siadając przy kominku - nie będę już więcej jadł. Proszę to sprzątnąć.

Bezczelne kłamstwa Pumblechooka sprawiły, że jak obuchem uderzyło mnie poczucie mojej niewdzięczności względem Joego. Im bardziej fałszywy był tamten człowiek, tym bardziej szczerzy Joe, im podlejszy Pumblehook, tym szlachetniejszy Joe.

Przez przeszło godzinę rozmyślałem przed kominkiem o mojej własnej podłości. Bicie zegara przerwało moje rozmyślanie, ale nie rozproszyło mego nastroju i moich wyrzutów sumienia. Wstałem, zapiąłem sobie pod brodę płaszcz i wyszedłem. Szukałem w kieszeni listu, który mnie tu wezwał, by go raz jeszcze odczytać, ale nie mogłem go znaleźć: musiał wypaść w dyliżansie i zagrzebać się w słomie. Mimo to wiedziałem na pamięć, że miejscem spotkania jest mały domek na służbie przy wapniarni na bagniskach, a godzina spotkania dziesiąta. Ruszyłem więc przed siebie ku bagnom, nie mając ani chwili do stracenia.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Noc była ciemna, mimo że księżyc wschodził w pełni, kiedy przeszedłszy obok uprawionych pól, znalazłem, się na bagniskach. Za ich ciemną płaszczyzną widniał pas jaśniejszego nieba, którego szerokość wypełniała wielka, czerwona tarcza księżyca. Nie upłynęło więcej niż parę minut, gdy księżyc opuścił jasną smugę i skrył się w zwałach gęstych chmur.

Z daleka wiał melancholijny wiatr i bagniska miały wygląd, ponury. Ktoś obcy nie zniósłby smutku tego widoku, a i ja nawet miałem przez chwilę ochotę zawrócić i uciekać z tych stron. Ale znałem przecież dobrze okolicę i trafiłbym tu wszędzie nawet w Mr.oczniejszą niż ta noc, nie miałem więc żadnego powodu da ucieczki. Przyszedłem tu z przykrością i z przykrością pozostałem.

Kierunek, który obrałem, nie wiódł mnie do mego dawnego domu ani też nie był szlakiem, którym niegdyś ścigaliśmy galerników. Za moimi plecami znajdowały się odległe galery, a po to, by ujrzeć światła płonące z dala na brzegu rzeki, musiałem oglądać się poprzez ramię za siebie.

Wiedziałem doskonale, gdzie jest wapniarnia, a równie dobrze, gdzie znajduje się stara forteczka, ale były one oddalone od siebie o wiele mil, toteż pomiędzy dwoma światłami tych budynków ciągnął się długi pas całkowitych ciemności. Przebyłem kilka zagród dla bydła otwierając i zamykając za sobą drewniane bariery; chwilami musiałem się zatrzymać, by przepuścić spłoszone zwierzęta kryjące się w zaroślach i trawie. Ale wkrótce potem miałem już uczucie, że cała równina należy tylko do mnie.

Dopiero po upływie pół godziny zbliżyłem się do wapniarni. Wapno wypalało się w piecach rozsiewając ciężki i duszący odór, ale robotników już nie było: odeszli rozpaliwszy ogniska. Niedaleko stamtąd natknąłem się na mały kamieniołom, wokół którego pozostawiono taczki i narzędzia. Posuwając się dalej ścieżką wśród głazów ujrzałem w oknie chatki, stojącej przy śluzie, światło. Przyśpieszyłem kroku i zastukałem do drzwi. Czekać na odpowiedź rozejrzałem się raz jeszcze wokół siebie i spostrzegłem, jak opuszczona jest ta śluza. Pomyślałem, że drewniana chatka z naderwanymi dachówkami nie wytrzyma już długo walki z deszczami i wichrem, że z błot wokoło unosi się beznadziejny smutek, a duszący zapach oparów wapna dociera aż tutaj niczym straszliwe widma. Nikt nie odzywał się z wnętrza. Zapukałem znowu i nie otrzymawszy i tym razem odpowiedzi spróbowałem zasuwki. Ustąpiła natychmiast i drzwi się otwarły przede mną. Na stole w izbie płonęła

świeca, na składanym łóżku leżał materac, obok stała ława. Ponieważ nad izbą było coś w rodzaju poddasza, więc krzyknąłem:

- Jest tam kto?

Nikt nie odpowiedział. Spojrzałem na zegarek, stwierdziłem, że jest już po dziewiątej, więc zawołałem znowu:

- Czy jest tam kto?

Odpowiedziała mi znowu cisza. Niezdecydowany zrobiłem kilka kroków ku drzwiom, nie wiedząc, co począć.

Zaczął padać gęsty deszcz. Wyjrzałem za drzwi, nie zobaczyłem nikogo, więc wróciłem pod dach przebijając wzrokiem ciemności nocne. Ktoś musiał tu być przed chwilą i oddalić się na krótko, ktoś, kto zapalił świecę. Przyszło mi do głowy sprawdzić, czy knot jest długi, i zawróciłem do izby. Zaledwie jednak wziąłem świecę do ręki, jakiś okropny podmuch zgasił ją, a mnie zarzucono na szyję od tyłu pętlę.

- Mam cię nareszcie! - powiedział głuchy głos męski i dodał przekleństwo.

- Co to? - krzyknąłem szamocząc się. - Kto tu jest? Na pomoc! Na pomoc!

Przyciśnięto mi ramiona do boków, a nie wyleczone ramię Sprawiało mi nieznośny ból. Usta zatykała mi kolejno to czyjaś ręka, to czyjaś przyciśnięta do mnie pierś. Walczyłem bezskutecznie w ciemnościach, czując na twarzy czyjś gorący oddech, i zrozumiałem, że przywiązują mnie ciasno do belki izby.

- No, teraz - odezwał się ten sam męski głos z nowym przekleństwem - krzyż ratunku, a załatwię się z tobą prędko.

Osłabły i bliski omdlenia z powodu bólu ramienia, zaskoczony tym, co się stało, miałem jednak świadomość, że człowiek ten może z łatwością wykonać swą groźbę do końca. Przestałem więc się wrywać i usiłowałem tylko choć trochę wyswobodzić bolące ramię z uścisku. Ale byłem zbyt mocno związany i miałem uczucie, że ramię moje, najpierw poparzone, teraz zaczyna się gotować.

Całkowite ciemności zastąpiły nagle ponury blask nocnego nieba: zrozumiałem, że mój prześladowca zamknął okiennice. Przez chwilę błakając się po omacku po pokoju, znalazł widocznie krzesiwo, gdyż zaczął krzesać ogień. Widziałem migające od czasu do czasu iskierki, wargi człowieka, który bezskutecznie usiłował je rozdmuchać, i ciemną główkę zapałki. Ale krzesiwo musiało być wilgotne i iskierki gasły jedna po drugiej.

Człowiek najwidoczniej się śpieszył i niestrudzenie krzesał dalej. Kiedy iskier przybywało, w blasku ich mogłem zobaczyć jego ręce i to, że siedział pochylony nad stołem;

nic więcej. Po chwili ujrzałem znowu jego wargi dmuchające na iskry i nagle błysk światła ukazał mi jego twarz. Poznałem Orlicka.

Nie wiem, kogo oczekiwałem w tym miejscu, ale w żadnym razie nie jego. Teraz dopiero poczułem, że jestem w prawdziwym niebezpieczeństwie i nie spuszczałem z Orlicka oczu.

Płonącą teraz zapalką zapalił ostrożnie świecę na stole, zapalkę rzucił na podłogę i przydeptał nogą. Potem odsunął dalej od siebie świecę, by lepiej mi się przyjrzeć, i skrzyżował ramiona na stole. Spostrzegłem, że jestem przywiązany do pionowo ustawionej drabiny przytwierdzonej do belki. Tędy wychodziło się na stryszek. Kiedy przyjrzelśmy się sobie dobrze, powtórzył:

- Mam cię nareszcie!

- Rozwiąż mnie! Puść mnie!

- Puszczę cię, puszczę, na księżyc, do gwiazd! - odparł - przyjdzie i na to czas!

- Po coś mnie tu zwabił?

- Nie wiesz tego? - szydził patrząc na mnie ponuro.

- Czemuś na mnie napadł w ciemnościach?

- Bo chciałem sam załatwić sprawę. Jeden człowiek lepiej dotrzymuje tajemnicy niż dwóch. O, ty wrogu mój, ty wrogu!

Podstępna radość, z jaką mi się przyglądał Siedząc ze skrzyżowanymi na stole ramionami naprzeciw mnie i potrząsając głową, przepęłniała mnie lękiem. Patrzyłem na niego w milczeniu, gdy wyciągnął rękę i wydobyl z Mr.oku strzelbę z miedzianym zamkiem.

- Wiesz, co to jest? - spytał robiąc taki ruch, jak gdyby we mnie celował - pamiętasz, gdzieś ją widział? No, gadaj, ty wilku!

- Tak - potwierdziłem.

- Ty pozbawiłeś mnie posady, co? Gadaj!

- Co mogłem innego zrobić?

- Tak, zrobiłeś to i to jedno już by wystarczyło. Ale to jeszcze nie wszystko: jak mogłeś się wtrącać między mnie a dziewczynę, którą kochałem?

- Kiedy to było?

- Kiedy było? Spytaj, kiedy nie było: nie przestawałeś przed nią obgadywać starego Orlicka.

- Źle o tobie mówiono. Gdybyś sam nie popsuł sobie opinii i ja bym nic złego nie powiedział.

- Kłamiesz. Wiem, że zadałbyś sobie nie wiem jaki trud i wydałbyś nie wiadomo ile pieniędzy, bylebym opuścił tę okolicę - oświadczył powtarzając słowa, które wypowiedziałem do Biddy owego wieczora, kiedy ją widział po raz ostatni. - A teraz powiem ci więcej! Dopiero dzisiejszego wieczora czujesz naprawdę, że oddałbyś wszystko za to, by mnie tu nie było. Że oddałbyś dwadzieścia majątków, jakie posiadasz, do ostatniego miedziaka, by mnie stąd wypędzono!

Mówiąc to machał mi przed oczyma zaciśniętą pięścią i sapał jak rozjuszony tygrys, a ja czułem, że ma w tej chwili słuszność.

- Co zamierzasz zrobić ze mną?

- Mam zamiar - tu huknął pięścią w stół, wstał i powtórzył to raz jeszcze z wysoka - mam zamiar cię zabić.

Pochylił się ku przodowi, wbił we mnie spojrzenie, potem wyprostował się i otarł dłonią wargi, jak gdyby śliska mu napływała do ust na mój widok.

- Zawsze stał na drodze starego Orlicka, jeszcze kiedy byłeś dzieckiem. Ale dzisiejszej nocy ustąpisz mu z drogi raz na zawsze. Już się ciebie pozbędzie. Bo już jesteś trupem.

Poczułem, że znajduję się na krawędzi mogiły. Rozejrzałem się wokół po mej pułapce: nie było żadnej nadziei na wydostanie się stąd.

- Powiem ci jeszcze więcej - ciągnął - nie zostanie z ciebie na ziemi ani jedna nawet kosteczka. Wrzucę twoje ciało do dołu z wapnem. Mógłbym dwóch takich, jak ty, unieść na ramionach z łatwością. Wrzucę i ludzie nie dowiedzą się nigdy, co się z tobą stało.

Myśl moja z nieprawdopodobną szybkością ogarnęła wszystkie następstwa tego, czym groził Orlick. Ojciec Estelli byłby przekonany, że go opuścił, uwięziono by go i umarłby oskarżając mnie przed śmiercią. Nawet Herbert zwątpiłby o mnie, gdyby porównał tekst pozostawionej przeze mnie w domu kartki z faktem, że byłem u miss Havisham jedynie na chwilę przy bramie. Joe i Biddy nigdy by się nie dowiedzieli, jak bardzo przykro było mi z ich powodu tej ostatniej nocy, nikt nigdy by się nie dowiedział, jak bardzo cierpiałem, jakie miałem dobre postanowienia na przyszłość i przez jakie męki przeszedłem. Tak bliska śmierć była rzeczą straszną, ale stokroć straszniejszą wydawała mi się świadomość, że umrę niezrozumiany. Myśli moje biegły tak szybko, że już wyobrażałem sobie pogardę, jaką otoczą mnie nie narodzone jeszcze pokolenia: dzieci Estelli i ich dzieci. Myślałem tak już w chwili, gdy słowa nie zamarły jeszcze na ustach grożącego mi łotra.

- A teraz, wilku - powiedział - zanim cię zatłukę, ja k zwierzę, bo po to przywiązałem cię do tej drabiny, jeszcze ci się dobrze przyjrzę i pobawię się tobą, ty mój wrogu!

Przeleciało mi przez głowę, by raz jeszcze wezwać ratunku, chociaż nikt lepiej ode mnie nie znał tej okolicy i nie wiedział, jak bardzo jest bezludna i jak beznadziejne byłoby to wezwanie. Ale gdy mierzył mnie badawczym spojrzeniem, poczułem taki wstręt i taką nienawiść, że zapieczętowały mi one usta. Postanowiłem nie odezwać się do niego już ani słowem i uMr.zeć okazując mu opór. Wzruszyłem się teraz na myśl o moich bliskich, modliłem się błagając niebiosa o przebaczenie, rozczulałem nad sobą na myśl, że nie pożegnałem się i nigdy już nie pożegnam z tymi, co mi byli drodzy, że nigdy nie będę ich błagał o przebaczenie mi moich błędów. A jednocześnie, gdybym mógł przed śmiercią zabić tego człowieka, uczyniłbym to z radością. Najwidoczniej pił dużo i oczy nabiegły mu krwią. Na szyi zawieszoną miał blaszaną manierkę; znałem ją dobrze z dawnych czasów. Przechylił ją do ust i pił chciwie, a zapach spirytusu bił od niego mocno. Po twarzy jego przeleciał płomień.

- Ty wilku - zaczął znowu krzyżując ramiona - stary Orlick powie ci coś teraz. To ty zamordowałaś twoją megierę siostrę.

I znowu myśli przeleciały mi jak wichur przez głowę. Ujrzałem straszną napaść na moją siostrę, jej chorobę, jej śmierć i wszystko to wspomniałem, zanim jeszcze Orlick dokończył swych powolnych słów.

- To ty, podły! - zawołałem.

- Nie, to ty, powiadam ci, to przez ciebie stała się ta zbrodnia - krzyknął chwytając strzelbę i wywijając mi kolbą przed nosem. - Zaszedłem ją od tyłu owej nocy, jak teraz zaszedłem ciebie! Uderzyłem! Myślałem, że zabiłem. Gdyby obok była wapniarnia, już by twoja siostra nie powróciła do życia. Ale to nie stary Orlick wymierzył ten cios śmiertelny, to tyś zrobił. Skakali koło ciebie, a mnie traktowali jak psa. Orlicka traktowali jak psa? Ale teraz zapłacisz za to! Zapłacisz za to, coś zrobił!

Jeszcze raz się napił i stał się okrutniejszy. Po dźwięku przelewającej się w butelce wódki poznałem, że niewiele już trunku pozostało. Rozumiałem, że postanowił po wypiciu całej wódki zamordować mnie, i czułem, że każda kropla płynu jest kroplą mego życia. Wiedziałem, że wówczas gdy zamienię się już w gryzący dym wydobywający się z wapniarni, Orlick pobiegnie, tak jak po zamordowaniu mej siostry, do miasta i tam będzie się wałęsał po szynkach, aby być przez wszystkich widziany. Myśl moja ścigała go chodzącego po gwarnych i ludnych ulicach i odczuwała okropny kontrast pomiędzy tym jasno oświetlonym miastem a ponurymi bagniskami, nad którymi unosi się biały dym, w jaki mam się zamienić.

Podczas gdy mówił, słowa jego nie tylko nasuwały mi wspomnienia, ale rodziły przed oczyma obraz za obrazem. W podnieceniu, które mnie ogarnęło, nie mogłem usłyszeć ani

jednego zdania, by nie połączyć go z żywą wizją. Jednocześnie nie spuszczałem z oczu mówiącego (któż by odwrócił spojrzenie od tygrysa gotującego się do skoku?) i widziałem każdy najdrobniejszy ruch jego palców.

Kiedy napił się po raz drugi, zerwał się z ławy i jednym ruchem odsunął stół, za którym siedział. Potem chwycił świecę w morderczą dłoń i oświetlał nią z bliska moją twarz, jak gdyby chcąc mi się baczniej przyjrzeć.

- Wilku! Jeszcze ci coś powiem. To stary Orlick był człowiekiem, na którego natknąłeś się w nocy na schodach.

Ujrzałem natychmiast Mr.oczną klatkę schodową ze zgaszonymi lampami, ujrzałem cienie grubych poręczy, rzucane na ścianę przez latarnię stróża nocnego, i zobaczyłem uchylone drzwi mego mieszkania, którego już nigdy nie miałem zobaczyć. I samo moje mieszkanie: jedne drzwi uchylone, drugie zamknięte, moje meble i przedmioty.

- A po co stary Orlick tam przyszedł? Powiem ci jeszcze więcej, wilku. Ty razem z nią wygnaliście mnie z tej okolicy, pozbawiliście pracy i zarobku. Związałem się więc z innymi kompanami i innymi panami. Jest między nimi jeden, słuchaj mnie uważnie, jeden, który pisze dla mnie listy. Potrafi je pisać pięćdziesięcioma charakterami pisma, nie tak jak ty tylko jednym. Wbiłem sobie w głowę, że muszę cię dostać w ręce. Postanowiłem to w dniu, kiedyś przyjechał na pogrzeb twojej siostry. Ale nie wiedziałem, jak cię zwabić, więc zacząłem śledzić twoje kroki i twoje przyzwyczajenia. Bo stary Orlick obiecał sobie: „Tak czy inaczej, a będę go miał! I w czasie kiedyś cię szukał, natrafiłem na twego wuja Provisa.

Mill Pond Bank, Chink's Basin, Old Green Copper Rope Walk zatańczyły mi przed oczyma tak jasno i wyraźnie! Provis w swoim pokoju, sygnał, już teraz zbyt cichy, w oknie, śliczna Klara, pocziwa macierzyńska gospodyni, stary Bill Barley leżący na grzbiecie - wszystko to przepłynęło przede mną jak wartki strumień mego życia, szybko wpadający w morze.

- Ty i wujaszek! Pamiętam cię z czasów, gdyś mieszkał u Gargerych i był tak małym wilczkiem, że z łatwością mogłem cię udusić tymi oto dwoma palcami (miałem prawdę mówiąc na to wielką ochotę i chciałem to zrobić któreś niedzieli, gdyś przechadzał się między żywopłotami) i wtedy nie miałeś żadnych wujaszków. Ale kiedy stary Orlick dowiedział się, że twój nowy wuj dźwigał kiedyś na nodze to samo żelazo, które znalazłem w swoim czasie na moczarach i którym zatłukłem twoją siostrę, jak się tłucze wołu, tym samym, którym i ciebie teraz zamorduję... kiedy więc stary Orlick dowiedział się o tym... to...

W przystępie nienawiści zbliżał tak bardzo do mej twarzy świecę, że musiałem wykręcać głowę, by się nie poparzyć.

- Ach - wrzasnął wybuchając śmiechem - kto się raz poparzy, unika ognia! Stary Orlick wiedział, żeś się poparzył! Stary Orlick wiedział, że zamierzasz wywieźć swego wujaszka! Stary Orlick jest taki sam sprytny jak ty i był pewien, że tutaj się zjawisz! A teraz jeszcze ci coś powiem, wilku, i na tym będzie koniec! Są tacy, których tak samo interesuje twój wuj Provis, jak ty interesowałeś mnie! Niechże wezmą się do dzieła teraz, gdy z jego siostrzeńca nie pozostanie ani jedna kosteczka! Ani jeden łachman ubrania jego kochanego siostrzeńca! Są ludzie, którzy nie mogą znieść tego, że Magwitch - tak, tak, znam jego prawdziwe nazwisko! - że Magwitch żyje i mieszka w tym samym, co oni, kraju. Ci ludzie mieli kogoś, kto go śledził tam na obczyźnie i zawiadomił, skoro tylko zniknął. Może jednym z tych ludzi jest ten, co umie pisać pięćdziesięcioma charakterami pisma, kiedy ty potrafisz pisać tylko jednym! Strzeż się Compeysona, Magwitch, i myśl o stryczku!

Znowu zbliżył do mnie świecę owiewając dymem moją twarz i włosy. Potem odwrócił się do mnie szerokimi plecami i postawił lichtarz na stole.

W myślach zmówiłem modlitwę i żegnałem się z Joem, Bidy i Herbertem.

Pomiędzy stołem a przeciwległą ścianą było kilka stóp przestrzeni. Orlick wszedł tam i powłócząc po swoim nogami, z ramionami ciężko zwieszonymi na boki przechadzał się, nie odrywając oczu ode mnie. Nie miałem już nawet cienia nadziei. Po mimo mego podniecenia i mimo obrazów, jakie przepływały mi przed oczyma, nie ulegało dla mnie wątpliwości, że nie powiedziałyby nic z tego, co mi wyznał, gdyby nie miał całkowitej pewności, że za chwilę zginę.

Teraz zatrzymał się, wyrwał korek ze swej manierki i odrzucił go od siebie. Upadł tak lekko jak piórko. Orlick łykał powoli, lubując się każdą kroplą, i nie patrzył na mnie więcej. Ostatnie krople wysączył z butelki na dłoń i wylizał je starannie. Potem z nagłym pośpiechem i gwałtownością cisnął manierkę na podłogę, rzucił okropne przekleństwo i pochylił się.

W dłoni jego ujrzałem ciężki kamienny młot z długim trzonkiem.

Nie opuściło mnie postanowienie, które przed chwilą powziąłem: nie prosiłem Orlicka ani słowem o litość. Krzyknąłem z całych sił i z całych sił rzuciłem się do walki. Mogłem poruszać tylko głową i nogami, ale nie ustawałem w gwałtownym oporze z energią, jakiej w sobie nawet nie podejrzewałem. W tej samej chwili usłyszałem jakieś krzyki odpowiadające moim. We drzwiach ukazał się błysk światła, zjawyły się postacie ludzkie. Widziałem, jak wśród zgiełku i hałasu Orlick odepchnął od siebie ludzi, otrząsnął się z nich jak z wody, przeskoczył jednym susem stół i zniknął w Mr.okach nocy.

Gdy odzyskałem przytomność, poczułem, że jestem rozwiązany i że leżę z głową opartą o czyjeś kolana. Wzrok mój padł na drabinę przytwierdzoną do ściany i wówczas zrozumiałem, że odzyskałem przytomność w tym samym miejscu, gdzie ją straciłem.

Zbyt obojętny nawet na to, by rozejrzeć się i przekonać, kto mi przyszedł z pomocą, leżałem przez chwilę jeszcze z wzrokiem utkwionym nieruchomo w drabinę, gdy nagle pomiędzy nią a ścianą zjawiała się jakaś znajoma twarz. Twarz pomocnika Trabba!

- Zdaje się, że nic mu już nie jest - zauważył pomocnik ze sklepu Trabba cichym głosem - ale jaki błąd!

Na owe słowa ten, na czyich kolanach leżałem, nachylił nade mną twarz, i zobaczyłem, że to...

- Herbert! Boże Wielki!

- Spokojnie - powiedział Herbert - tylko spokojnie, Haendel, nie bądź za żywy.

- I nasz stary przyjaciel Startop! - krzyknąłem, gdy i ten się nade mną pochylił.

- Pamiętaj, że ma on nam jutro pomóc - upomniał mnie Herbert - i leż spokojnie.

To zdanie sprawiło, że zerwałem się na równe nogi, mimo dotkliwego bólu w ramieniu.

- Czy termin jeszcze nie minął, Herbercie? Jaką to dzisiaj mamy noc? Jak długo tu jestem? Mam takie przykre uczucie, jak gdybym był tutaj już od dawna: noc i dzień, i jeszcze noc, dwie noce, dwa dni... więcej...

- Termin jeszcze nie upłynął! Jest poniedziałek wieczór.

- Dzięki Bogu.

- I przez cały jutrzejszy dzień wtorkowy jeszcze możesz odpoczywać - oświadczył Herbert - ale nie potrafisz wstrzymać jęku, Haendel. Powiedz, co cię boli? Gdzie jesteś ranny! Czy możesz stać?

- Tak, tak, mogę chodzić. Nic mnie nie boli prócz tego pulsującego ramienia.

Odsłonili je i zrobili, co mogli. Było napuchnięte i gorące i zaledwie mogłem znieść dotyk czyichś palców. Tymczasem podarli swoje chusteczki i zabandażowali mi ramię umieszczając je na temblaku, abym mógł dotrzeć do miasta, gdzie dostanę jakiś przynoszący ulgę lek. Po chwili zatrzasnęliśmy za sobą drzwi ciemnego i pustego domku na słuzie i mijaliśmy kamieniołomy w drodze powrotnej. Chłopiec ze sklepu Trabba (nie był to już chłopiec, ale dorastający młody człowiek) świecił nam na przedzie latarnią. Było to to samo światło, które ujrzałem w szparze drzwi domku. Księżyc stał już o wiele wyżej niż wówczas, gdy ujrzałem go po raz pierwszy tego wieczora, i noc, mimo że dżdżysta, znacznie się

rozjaśniła. Biały opar z wapniami wionął obok nas i tym razem zamiast modlitwy szeptałem w myśli słowa dziękczynne.

Pytałem Herberta, w jaki sposób zdołał się zjawić na mój ratunek. Herbert zrazu nie chciał odpowiadać, prosząc mnie, bym się zachował spokojnie i nic nie mówił, ale na moje nalegania wyjaśnił mi wszystko. Okazało się, że w zdenerwowaniu zgubiłem otwarty list Orlicka u nas w pokoju i kiedy Herbert po moim wyjeździe powrócił do domu, przyprawiając ze sobą napotkanego na ulicy Startopa, znaleźli ten papier. Przyjaciela mego zaniepokoił ton listu, zwłaszcza że treść jego była sprzeczna z tym, co napisałem mu przed wyjazdem. Niepokój nie zmalął po kwadransie namysłu. Wobec tego Herbert ze Startopem, który ofiarował się z pomocą, poszli na stację dylizansów, by dowiedzieć się, kiedy odchodzi najbliższy. Popołudniowy dylizans już odszedł, a niepokój Herberta zamienił się w panikę. Postanowił wynająć powóz. Tak też uczynił. Przybyli ze Startopem do oberży „Pod

Błękitnym Dzikim, spodziewając się znaleźć tam mój ślad. Kiedy się zawiedli, poszli do miss Havisham, gdzie ślad urwał się całkowicie. Powrócili więc do miasta i zjedli obiad (zapewne w tym czasie, gdy słuchałem mojej własnej historii w wersji lokalnej) oraz zasięgnęli informacji, kto mógłby być ich przewodnikiem na moczarach. Trafili na chłopca ze sklepu Trabba, który przechadzał się pod filarami oberży „Pod Błękitnym Dzikim”, wierny swemu przyzwyczajeniu znajdowania się wszędzie tam, gdzie go się najmniej spodziewają. Oświadczył on, że widział mnie w drodze od miss Havisham do hotelu, w którym jadłem obiad. Ten to chłopiec zgodził się być ich przewodnikiem i on zaprowadził ich do domku na służbie, wybierając drogę przez miasto, której unikałem.

W drodze przyszło Herbertowi do głowy, że może wezwano’ mnie na spotkanie w związku z bezpieczeństwem Provisa i że wtargnięcie trzech ludzi będzie w takim razie niepożądane. Wobec tego zostawił chłopca od Trabba i Startopa na skraju kamieniołomu, a sam zakradł się pod domek i okrążył go trzykrotnie, podsłuchując, co się dzieje w środku. Nie słysząc nic, prócz zachryplego, męskiego głosu, sądził zrazu, że mnie tam wcale nie ma i dopiero na mój głośny krzyk rzucił się na pomoc wraz ze swymi dwoma towarzyszami.

Gdy opowiedziałem Herbertowi przebieg rozmowy w domku, chciał natychmiast, mimo późnej pory, zawiadomić policję. Ale ja namyśliłem się już przedtem, że tego rodzaju krok, zatrzymujący nas w mieście i zmuszający do powrotu tutaj, mógłby zaszkodzić sprawie Provisa. Postanowiliśmy więc na razie pozostawić Orlicka na wolności i udawać, zwłaszcza wobec pomocnika ze sklepu Trabba, że nie stało się nic ważnego.

Byłem zresztą przekonany, że chłopak ten czułby wielkie rozczarowanie, gdyby dowiedział się, iż uratował mnie od wrzucenia do dołu z wapnem: nie dlatego, by był

zbrodniarzem, ale po prostu dla tej przyczyny, że lubił różnorodność i lubił się nieustannie podniecać, mniejsza o to, czym kosztem. Przy rozstaniu wręczyłem mu dwie gwinee (co przyjął tak, jak gdyby się tego spodziewał) i wyraziłem mu żal, iż miałem o nim dotychczas złą opinię (co nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia).

Ponieważ środa była już blisko, postanowiliśmy jeszcze tego wieczora wrócić do Londynu wynajawszy sobie we trójkę powóz. Zależało nam też na tym, by w chwili gdy po mieście zaczęły się rozchodzić wieści o mojej przygodzie, być już daleko. Herbert kupił dużą butelkę lekarstwa na moje bolące ramię i dzięki opatrunkom, przykładanym mi przez całą noc, byłem w stanie znieść podróż. Gdy przybyliśmy do Tempie, świtało. Natychmiast położyłem się do łóżka, w którym pozostałem cały następny dzień.

Mój lęk, by się nie rozchorować i nie stać się niezdolnym do drogi, był tak silny, że aż dziw, iż sam przez się nie wywołał choroby. Nie rozchorowałem się jednak, mimo straszliwych mych przeżyć, mimo zmęczenia i wstrząsu tylko dzięki temu, że uczyniłem największy wysiłek, by być zdolnym do przeżycia wypadków następnego dnia. Tego dnia tak niespokojnie oczekiwanego, tak bogatego w następstwa i tak tajemniczego, chociaż tak już bliskiego.

Oczywiste było, że w imię ostrożności nie mogliśmy się w owym dniu skomunikować z Provisem, ale to jeszcze tylko powiększyło mój niepokój. Każdy szmer lub kroki na schodach sprawiały, że zrywałem się z łóżka przekonany, że już go wzięto i że ktoś przychodzi mi to oznajmić. Wmawiałem sobie, iż wiem przecież na pewno, że go nie uwięziono, że to nie niepokój ani przecucie tak mnie nęka, tylko najokropniejsza pewność. Kiedy dzień mijał bez żadnej złej wieści, kiedy zapadła noc, znowu ogarnął mnie lęk, by choroba nie przeszkodziła mi w naszych planach. Poparzone ramię dokuczało mi coraz bardziej, głowa pękała mi z bólu, miałem uczucie, że zaczynam bredzić. Dla sprawdzenia własnej przytomności liczyłem, powtarzałem znane mi na pamięć wiersze i urywki prozy. Chwilami po prostu na skutek zmęczenia zasypiałem na kilka minut, budziłem się ze strasznym uczuciem i szeptałem do siebie: „Zaczyna się, tracę przytomność...”

Pielęgnowano mnie starannie, miałem świeże opatrunki na ramieniu i dostawałem chłodzące napoje. Ale za każdym razem, gdym się budził z krótkiego snu, doznawałem tego samego uczucia, co przy ocknięciu w domku na służbie: zdawało mi się, że przeszło bardzo wiele czasu i że sposobność ocalenia Provisa już przepadła. Około północy wstałem z łóżka i udałem się do pokoju Herberta całkiem pewien, że przespałem dwadzieścia cztery godziny i że minęła już środa. Był to jednak ostatni wysiłek, do jakiego popchnął mnie niepokój: zaraz potem zasnąłem głębokim snem.

Obudziłem się w środę o świcie i spojrzałem przez okno. Bładły już chwiejne światła latarni na mostach, a na horyzoncie paliło się, jak morze ognia, wschodzące słońce. Rzeka, wciąż Mr.oczna, płynęła skuta mostami, które ciemniały coraz bardziej, gdzieniegdzie tylko dotknięte odblaskiem płonącego nieba. Kiedy spoglądałem na szczyty dachów, wieżyczki i dzwonnice wystrzelające w przezroczyste poranne powietrze, słońce weszło. I nagle stało się tak, jak gdyby zdarto zasłonę spowijającą smutną rzekę: woda zaiskrzyła się światełkami, których miliony pokazały się na powierzchni. I ja wówczas doznałem uczucia, jak gdyby zdarto ze mnie zasłonę, gdyż poczułem się zdrów i silny.

Herbert spał na swoim łóżku, a nasz kolega na kanapie. Nie mogłem się jeszcze ubrać bez pomocy, ale podsyciłem ogień, który przez noc nie zagaśł na kominku, i przyrządziłem dla nich kawę. Obudzili się pełni sił i ochoty i razem już podziwialiśmy przez okno śliczną pogodę i przypływ zbliżający się ku nam z każdą chwilą.

- O dziewiątej - powiedział Herbert wesoło - gdy zacznie się odpływ, czekajcie tam na nas w Mill Pond Bank!

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Był jeden z tych dni marcowych, kiedy słońce mocno już grzeje, a wiatr dmie chłodny i kiedy to w słońcu ma się uczucie lata, a w cieniu zimy.

Każdy z nas miał na sobie płaszcz nieprzemakalny, a ja zabrałem ze sobą podręczną walizkę z najpotrzebniejszymi rzeczami. Nie rozwiązywałem jeszcze zagadnienia, dokąd się udam, co będę robił i kiedy powrócę. Nie rozmyślałem nawet nad tym, gdyż cały mój wysiłek skupiał się tylko na sprawie zapewnienia bezpieczeństwa Provisowi. Odchodząc zatrzymałem się na chwilę na progu mego mieszkania i pomyślałem, że ujrzę je zapewne w zmienionych okolicznościach albo też nie zobaczę go już nigdy.

Powoli podeszliśmy ku schodom Tempie i zatrzymaliśmy się, jak gdyby jeszcze niezdecydowani, czy w ogóle ruszyć na wodę.

Przedtem już zatroszczyliśmy się, rzecz prosta, o to, by łódź zatrzymała się w pobliżu schodów. Po chwili namysłu, udając niezdecydowanie i widząc przy schodach jedynie dwie lub trzy nieruchome, te same co zawsze postacie, wsiedliśmy do łódki i odbiliśmy od brzegu. Herbert wziął przednie wiosła, ja siedziałem przy sterze. Był przypływ, godzina wpół do dziewiątej.

Oto jak wyglądał nasz plan: ponieważ odpływ miał się rozpocząć o dziewiątej i trwać do trzeciej, zamierzaliśmy płynąć z prądem aż do zapadnięcia nocy. W ten sposób znajdziemy się w chwili zmierzchu poniżej Gravesandu pomiędzy Kentem a Essex, w okolicy, gdzie rzeka jest szeroka i pusta, ludność nadbrzeżna bardzo rzadka i gdzie moglibyśmy wybrać sobie spokojnie jedną z oberż nadrzecznych na odpoczynek. Tam mieliśmy przenocować. Wiedzieliśmy, że parowiec zdążający do Hamburga oraz parowiec do Rotterdamu wyruszają z Londynu w czwartek o dziesiątej rano. Postanowiliśmy więc czekać na ich nadejście i dać znak pierwszemu z nich, a gdyby dla jakichkolwiek względów nie chciał nas zabrać na pokład, zaczepić drugi ze statków. Parowce mieliśmy poznać po ich znakach, których nauczyliśmy się na pamięć.

Z chwilą gdy zacząłem brać udział w wykonywaniu naszego planu, poczułem wielką ulgę i wprost nie mogłem pojąć, dlaczego byłem tak bardzo niespokojny jeszcze poprzedniego dnia.

Nową, świeżą nadzieją nappełniło mnie czyste, orzeźwiające powietrze, blask słońca na rzece, woda płynąca wraz z nami, rzeka, która zdawała się nam pomagać, kochać nas i zachęcać. Przykro mi było, że jestem tak mało pomocny w tej drodze, ale za to moi koledzy

okazali się znakomitymi wiosłarzami i mogli z łatwością równie dobrze wiosłować przez cały dzień do wieczora.

W owym czasie ruch na Tamizie był całkiem inny niż obecnie: widziało się znacznie mniej niż teraz parowców, a za to więcej łodzi. Barki rybackie, węglarki, tratwy i żagłówki napępniały rzekę, ale statków parowych było dziesięć, a może dwadzieścia razy mniej niż obecnie.

O tej wczesnej porze porannej rzeka roiła się od czółen, które płynęły to w tę, to w przeciwną stronę, i od wielu galarów, które pływały wraz z odpływem. W owych czasach żegluga małymi czółnami po rzece, od mostu do mostu, była znacznie łatwiejsza i częściej uprawiana niż dziś. Płynęliśmy więc żwawo naprzód, mijając co chwila inną łódkę lub barkę.

Minęliśmy w ten sposób prędko Most Londyński, przepłynęliśmy obok targu w Old Billigate z jego łodziami do połowu ostryg i Holendrami, minęliśmy Białą Wieżę i Wrota Zdrajcy i znaleźliśmy się pomiędzy dwoma rzędami statków. Stały tu na kotwicy parowce z Leith, z Aberdeenu i z Glasgow zajęte ładunkiem i wyładunkiem towarów. Wydawały nam się niebotycznymi budowłami, kiedy przesuwaliliśmy się koło ich wysokich kadłubów. Stały tam węglarki z żelaznymi, wystającymi z pokładów ramionami dźwigów, które stanowiły przeciwwagę dla potężnych ładunków węgla piętrzących się na pokładach, zanim zwalono je na barki. Tutaj też stał na kotwicy parowiec, który miał się udać nazajutrz do Rotterdamu i któremu dobrześmy się przyjrzeni, a nie opodał ten, który następnego dnia wyruszał do Hamburga i przed którego przednim masztem przesunęliśmy się naszą łodzią. I nagle, siedząc przy sterze, ujrzałem z bijącym sercem Mill Pond Bank i schody prowadzące do Mili Pond.

- Jest tam? - spytał Herbert.

- Jeszcze nie.

- Prawda! Przecież miał nie schodzić na wybrzeże, dopóki nie przyjedziemy. Czy sygnał na miejscu?

- Nie widzę go stąd dobrze... ale zdaje się, że już go dostrzegam. Tak, teraz już widzę na pewno i jego! Wiosłujcie obaj razem! Wolniej, Herbercie! Wiosła!

Na jedną tylko małą chwilę dotknęliśmy łodzią schodów. Provis wskoczył do czółna i popłynęliśmy dalej. Ubrany w marynarski płaszcz z czarną, płócienną torbą w ręku wyglądał ku memu zadowoleniu na pilota rzeczego.

- Kochany mój chłopcze - powiedział dotykając dłonią mego ramienia, gdy zajął już swe miejsce - wierny, drogi chłopcze, dobrze to zrobione. Dziękuję, dziękuję ci!

I znowu płynęliśmy pomiędzy dwoma rzędami statków, omijając zardzewiałe żelazne łańcuchy porzucone w wodzie, postrzępione konopne liny holownicze, kołyszące się boje,

tonące to znowu wychylające się na powierzchnię połamane koszyki, kawałki drzewa i wióry. Pruliśmy unoszący się na wodzie miał węglowy. Przepełnęliśmy pod figurą „Johna” z Sunderlandu, który gadał sobie z wiatrami (jak tylu innych Johnów) i pod postacią „Betsy” z Yarmouth, która odznaczała się pięknymi piersiami i oczyma wystającymi na parę cali z głowy. Mijaliśmy doki i warsztaty okrętowe, gdzie były młotki i zgrzytały piły, przesuwaliśmy się obok maszyn niewiadomego dla nas przeznaczenia, pomp wyciągających wodę z dziurawych okrętów, pływających dźwigów, statków idących w morze. Mijaliśmy marynarzy ciskających ze swych pokładów ryki przekleństw do stojących na nadmorskim bulwarze ludzi, aż wypłynęliśmy na puste wody, gdzie chłopcy okrętowi mogli wyciągnąć na pokład swe wędkę i przestać łowić w mętnej wodzie i gdzie żaglowce mogły płynąć już spokojnie z wydętymi przez wiatr festonami żagli.

Od chwili gdy przyjęliśmy do łodzi Provisa, nie przestawałem ani na chwilę rozglądać się podejrzliwie wokoło, czy aby nas nie śledzą. Ale widziałem z całą pewnością, że nikt na nas nie zwraca uwagi i że nie płynie za nami w ślad żadna inna łódź. Gdybym spostrzegł coś takiego, przybiliśmy natychmiast do brzegu, by podejrzane czółno puścić naprzód lub pozwolić mu odsłonić swe zamiary. Ale płynęliśmy przed siebie bez przeszkód.

Provis w swym marynarskim stroju, jak to już wspomniałem, znakomicie harmonizował z całą sceną. On też (prawdopodobnie dzięki swym okropnym przeżyciom) okazał się z nas wszystkich najspokojniejszy. Nie był bynajmniej obojętny na to, co się działo, bo jak to nam sam powiedział, chciałby jeszcze żyć, by własnymi oczyma patrzeć na życie swego pana wśród największych panów w którymś z krajów za granicą, nie miał skłonności do bierności czy rezygnacji, ale nie należał do tych, którzy wyolbrzymiają własną fantazją grożące niebezpieczeństwo. Umiał się wobec niego znaleźć, ale myślał o nim dopiero wówczas, gdy było już obecne.

- Gdybyś wiedział, mój chłopcze, co to dla mnie znaczy, że mogę tak sobie palić fajkę przy twoim boku po tych wielu tygodniach spędzonych samotnie w czterech ścianach, zazdrościłbyś mi szczęścia. Ale ty nie wiesz, co to dla mnie znaczy.

- Zdaje mi się, że znam rozkosz wolności - zauważyłem.

- Ach - odparł trzęsąc głową - nie możesz jej znać tak jak ja. Do tego, by rozkoszować się wolnością, trzeba przebywać przedtem pod kluczem. Ale zaczynam być ordynarny.

Nie mogłem pojąć całkowicie dla jakiego to celu, który miał go w swym władaniu, narażał nieustannie wolność i nawet życie. Ale wytłumaczyłem sobie, że może dla jego typu ludzi wolność bez ryzyka nie ma takiego czaru jak dla innych. Widocznie nie byłem daleki od prawdy, gdyż wypaliwszy fajkę przemówił:

- Widzisz, mój kochany chłopcze, kiedy byłem w tamtej części świata, tęskniłem do tej i chciałem jak najprędzej wracać, choć się tam bogaciłem. Wszyscy tam znali Magwitcha i Magwitch. znał każdego, i Magwitch mógł się swobodnie poruszać, gdzie mu się podobało. Nie tak jak tutaj, drogi chłopcze, gdzie na pewno nie daliby mi spokoju, gdyby wiedzieli, gdzie się znajduję.

- Jak wszystko dobrze pójdzie - oświadczyłem - będzie pan znowu wolny za kilka godzin.

Odetchnął głęboko i zgodził się:

- Ach, mam nadzieję, że tak będzie.

- I wierzy pan w to?

Wyciągniętą poza burtę łodzi dłonią głaskał powierzchnię wody i odpowiedział z owym łagodnym uśmiechem, który już znałem:

- Tak, wydaje mi się, że wierzę, drogi chłopcze. Czy można sobie wyobrazić większy od tego spokój? Ale właśnie dlatego, że tak cicho i spokojnie płyniemy po wodzie, to przed chwilą z dymem mojej fajki przyszedł do mnie myśl. I myślałem sobie, że tak jak nie mogę wzrokiem przeniknąć do dna tej rzeczki, tak samo nie mogę przewidzieć tego, co stanie się za kilka godzin. I tak samo jak niesposób zatrzymać wody, tak nie zatrzymamy i czasu. Widzisz, jak woda przecieka mi przez palce!

I podniósł do góry ociekającą wodą dłoń.

- Sądząc z pańskiej twarzy można by przypuścić, że jednak jest pan niespokojny.

- Mc podobnego, drogi chłopcze. To tylko dlatego, że płyniemy tak spokojnie, że woda szeMr.ze tak, jak gdyby śpiewała niedzielne piosenki, i że po prostu zestarzałem się ostatnio odrobinę.

Znowu włożył do ust fajkę z miną tak spokojną, jak gdybyśmy się już znajdowali poza granicami Anglii. Mimo to był nam posłuszny na skinienie, jak człowiek w obliczu wielkiego strachu, gdyż w chwili kiedy dobiliśmy do brzegu, by nabyć kilka butelek piwa, wystarczyło mi powiedzieć, żeby z nami nie wysiadał lepiej na brzeg, a zaraz spokojnie usiadł na swym miejscu powiedziawszy tylko:

- Tak uważasz, drogi chłopcze?

Powietrze na rzece tchnęło chłodem, ale dzień był pogodny i słońce świeciło wesoło. Odpyw zabierał nas z wielką siłą, staraliśmy się wykorzystać go jak najlepiej i płynęliśmy wciąż z równą szybkością naprzód. W miarę jak odpyw słabł, posuwaliśmy się wolniej. Teraz już nie widzieliśmy na brzegach lasów ani wzgórz, ale błotniste przestrzenie, aż wreszcie fala przygnała nas do Gravesand. Ponieważ Provis otulony był w płaszcz, więc

zblżywszy się do pływającego po rzece statku celnego, umyślnie trzymaliśmy się o jakieś dwie długości naszej łodzi ód owego okrętu. Po chwili, pragnąc natrafić na prąd, przepłynęliśmy obok dwóch statków z emigrantami i pod dziobem wielkiego transportowca, z którego górnego pokładu przyglądali nam się żołnierze. Zaraz potem odpływ osłabł, statki na kotwicy zakreśliły się w miejscu, okręty, które chciały skorzystać z nadchodzącego nowego przyływu, skupiły się wokół naszej łodzi, a my wypłynęliśmy jak najbliżej wybrzeża, unikając prądu i omijając mielizny.

Naszym wioślarzom, którzy niekiedy odpoczywali, puszczając łódź z prądem, teraz wystarczał kwadrans, aby całkowicie odpocząć. Wylądowaliśmy więc wśród nadbrzeżnych kamieni i zjedliśmy przywieziony posiłek rozglądając się wokoło. Wyglądało tu jak w moich rodzinnych stronach: mglisty horyzont nad płaskimi dalekimi bagniskami. Wszystko zdawało się tu być nieruchome, tylko rzeka wiła się w licznych skrętach, a wraz z nią kręciły się wielkie boje po niej płynące. Kiedy ostatnia flotylla zniknęła nam z oczu za zakrętem rzeki, ukazał się jeszcze zielony statek naładowany słomą, z powiewającym brunatnym żaglem, a potem i on się oddalił. Teraz uwięzły w mule niezdarne, jakby wyciosane ręką dziecka, kadłuby boj świetlnych. Przykucnięta, mała, płytkowodna latarnia morska na palach ugrzęzła w błocie i wyglądała jak kulawy, który opiera się szczudłami o dno wody. Z mułu sterczały oślizłe pale, wychylały się kamienie oblepione szlamem, czerwone znaki mierzące odpływ. Stary pomost i stary dom bez dachu zanurzały się w mule i wszystko wokół nas, jak okiem sięgnąć, zdawało mi się bezruchem i mułem.

Ruszyliśmy naprzód, co nie było bynajmniej łatwą sprawą, ale Herbert i Startop z natężeniem wiosłowali, wiosłowali i wiosłowali aż do zachodu słońca. Fala trochę się podniosła, tak że mogliśmy teraz patrzeć ponad wybrzeżem. Słońce zachodziło w jakiejś purpurowej mgle, która szybko nasycala się Mr.okiem, a wokół rozciągały się błotniste płaskie przestrzenie. W oddali wznosiły się wzgórza, a między nimi a nami rozpościerała się całkowita pustka, w której jedynymi istotami żyjącymi były zabłąkane to tu, to tam melancholijne mewy.

Noc zapadała gwałtownie, księżyc był na nowiu i miał wzejść późno, wobec tego odbyliśmy małą naradę nie trwała długo, gdyż wydawało się oczywiste, że najlepiej będzie przenocować w pierwszej napotkanej po drodze pustej gospodzie. Wioślarze zasiedli znowu do pracy, a ja szukałem oczyma odpowiedniego domu. Posuwaliśmy się w ten sposób, niemal w milczeniu, cztery lub pięć mil naprzód. Było bardzo zimno i gdy mijaliśmy węglarkę, na której dymiła kuchnia, ogarnęła nas zazdrość wobec tych, którzy podróżują w ciepłym wnętrzu statku. Wokół zrobiło się teraz tak ciemno, jak bywa przed świtem; blask zdawał się

płynąć raczej z rzeki niż z nieba, wiosła uderzały co pewien czas w gwiazdy odbijające się w powierzchni wody.

W tej smutnej wędrówce wszystkich nas nękała myśl, że możemy być ścigani. Wzrastająca fala biła ciężko i nieregularnie o brzeg. Gdy dolatywał odgłos takiego uderzenia, któryś z nas zawsze się wzdrygał i spoglądał w tamtym kierunku. Gdzeniegdzie prąd rzeki wyłobił w wybrzeżu zaciszne zagłębienia, nie lubiliśmy mijać takich miejsc i oglądaliśmy je z podejrzliwym lękiem. Niekiedy padały szeptem pytania: „Co to za szmer? Albo też: „Czy to jakiś statek się zbliża? Potem znowu zapadła śmiertelna cisza, a ja myślałem z rozdrażnieniem: „Czemu to wiosła, poruszane w dulkach, tyle robią hałasu?

Nareszcie ujrzeliśmy światło i jakiś dach i zajechaliśmy do małej, ogrodzonej kamieniami przystani przy brzegu. Pozostawiwszy wszystkich w łodzi wysiadłem i stwierdziłem, że światło padało z okna gospody nadbrzeżnej. Wnętrze było dostatecznie brudne i ośmielałem się powiedzieć, dość dobrze znane przemytnikom, ale na kominku płonął ogień, można było dostać sadzone jajka na boczku i różne napoje. Znajdowały się tam też dwa pokoje z dwuosobowymi łóżkami („Innych nie ma, oświadczył gospodarz). W gospodzie nie było nikogo oprócz gospodarza, jego żony oraz osobnika płci męskiej Jacka, z małej przystani, który był tak zamulony i oszlamiony, jak gdyby sam służył do markowania wysokości wody.

Wraz z nim powróciłem do łodzi, moi towarzysze wylądowali, przenieśliśmy na ląd ster, wiosła i kotwicę, po czym przyholowaliśmy całą łódkę na suche miejsce. Spożyliśmy doskonałą kolację przy kominie w kuchni, po czym zajęliśmy sypialnie: Herbert i Startop jedną, ja z Provisem drugą. Zarówno z jednej, jak i z drugiej sypialni tak starannie usunięto powietrze, jak gdyby było ono niebezpieczne dla życia, a poza tym pod łóżkami znajdowało się tyle brudnej odzieży i wszelkiego rodzaju pudełek, że nie podejrzewałem, żeby jedna rodzina mogła tyle posiadać. Ale mimo to uważaliśmy, że to doskonałe miejsce ze względu na odludzie.

Gdy po wieczery odpoczywaliśmy przy kominie, marynarz, który siedział w kącie, wyciągnąwszy przed siebie nogi w olbrzymich jakby spuchniętych butach (podczas gdy jedliśmy jajka na boczku, opowiadał nam, że ściągnął owe buciska przed kilkoma dniami z nóg topielca, którego wyrzuciło morze na brzeg), spytał nas, czyśmy widzieli łódź o czterech wiosłach, płynącą wraz z odpływem rzeki. Ponieważ odpowiedziałem mu, że nie, oświadczył, że wobec tego musiała zmienić kurs, bo widział ją wyraźnie.

- Musieli z tych czy innych względów zmienić zamiar - powiedział Jack - i zawrócili.

- Łódź o czterech wiosłach? - spytałem raz jeszcze.

- Tak, cztery wiosła i dwu ludzi - powtórzył Jack.

- Czy lądowali tutaj? - badałem.

- Przyjechali tutaj z dużym kamiennym dzbanem, by wlać im tam dwa galony piwa. Najchętniej wlałbym im tam trucizny - oświadczył Jack - albo przynajmniej dosypałbym jakiegoś szkaradnego lekarstwa.

- Dlaczego?

- Już ja wiem dlaczego - oznajmił Jack, a głos jego brzmiał tak, jak gdyby młodzieniec w gardle miał muł.

- Bierze ich - objaśnił gospodarz, mały słabowity człowieczek o bladych oczach, w których widniała sympatia dla Jacka - bierze ich za kogoś zupełnie innego.

- Już ja wiem, kto oni są - powtórzył Jack.

- Myślisz, że to celnicy?

- Tak - odparł Jack.

- No, to się mylisz, Jack.

- Ja się mylę?

W tonie tego pytania było wiele wiary we własną nieomylność i przenikliwość. Jack zdjął teraz z nogi jeden ze swych spuchniętych butów, zajrzał do jego wnętrza, wyjął stamtąd kilka kamyków, wyrzucił je z hałasem na podłogę w kuchni i włożył but z powrotem na nogę. Wszystko to uczynił z miną człowieka, który na wszystko może sobie pozwolić.

- A co, według ciebie, ci ludzie zrobili ze swoimi urzędowymi guzikami? - spytał oberżysta słabym głosem.

- Co zrobili z guzikami? - powtórzył Jack - wyrzucili za burtę do wody! Połknęli je! Posiali je w ziemi, żeby wyrosła z nich sałata! Oto co zrobili z guzikami!

- Nie bądź taki bezczelny, Jack! - zgromił go gospodarz melancholijnym i patetycznym tonem.

- Urzędnik celny wie dobrze, co ma zrobić z guzikami, kiedy mu przeszkadzają w pracy - oświadczył Jack wymawiając zniechęcony tytuł z najwyższą pogardą. - Taka łódź nie włóczy się bez powodu po rzece, płynąc po jednym przypiływie i wracając po drugim; musi w tym być jakaś celna sprawa.

To powiedziawszy oddalił się z godnością, a gospodarz, nie mając z kim na ten temat się sprzeczać, umilkł.

Rozmowa ta nappełniła nas wszystkich, a szczególnie mnie, niepokojem. Wicher wstrząsał ścianami domu, fale biły o brzeg, a ja miałem uczucie, że jesteśmy w straszliwej pułapce.

Nie mogłem odpędzić od siebie niepokojącej myśli o tajemniczej czterowiosłowej łodzi, która w niewiadomym celu pływała tam i z powrotem po rzece.

Skłoniwszy Provisa, by udał się na spoczynek, wyszedłem na dwór z moimi obydwoma towarzyszami (Startop przez ten czas dowiedział się już całej prawdy), aby naradzić się wspólnie. Należało zdecydować, czy lepiej pozostać w tym domu aż do chwili przepływu cudzoziemskich statków, to jest do następnego dnia po południu, czy też wyruszyć stąd o świcie. Postanowiliśmy, że pozostaniemy tutaj, a na godzinę przed porą, gdy statki będą przepływały koło brzegu, wsiądziemy do łodzi i popłyniemy z prądem. Powziąwszy to postanowienie, udaliśmy się do łóżek.

Całkowicie niemal ubrany położyłem się i przespałem mocna kilka godzin. Gdym się obudził, podniósł się wicher i stukał monotonicznie sztyldem oberży (na którym wymalowana była łódź). Skrzyp sztyldu sprawił, że ocknąłem się pełen lęku. Wstałem po cichu, by nie obudzić śpiącego głęboko Provisa i wyjrzałem przez okno. Wychodziło ono na małą przystań, do której przyholowaliśmy naszą łódź, i gdy wzrok mój przyzwyczaił się do słabego blasku zasnutego chmurami księżyca, ujrzałem, że ogląda ją dwu mężczyzn. Przeszli obok naszego okna i zamiast udać się do pobliskiego portu, skierowali się ku równinom w kierunku północnym.

Pierwszą moją myślą było zawołać Herberta i pokazać mu dwie oddalające się postacie. Już zerwałem się z miejsca, ale zanim dotarłem do pokoiku, w którym spał po drugiej stronie domu, pomyślałem, że on i Startop mieli za sobą cięższy dzień niż ja, i zmieniłem postanowienie. Powróciwszy do okna, widziałem, jak dwaj nieznajomi szli wśród bagnisk. Ciemności skryły ich wkrótce przed moimi oczyma. Poczulem chłód, położyłem się więc do łóżka, by zastanowić się nad tymi wypadkami, i zasnąłem na nowo.

Zerwaliśmy się bardzo wcześnie. Podczas gdy przechadzaliśmy się we czterech przed śniadaniem, uważałem za stosowne opowiedzieć, com widział w nocy. I znowu najmniej obawy okazał z nas wszystkich Provis. Powiedział, że ludzie ci mogli pracować w Komorze Celnej i wcale się nami nie interesować. Usiłowałem przekonać sam siebie, że tak jest istotnie, bo przecież mogło tak być, ale mimo to proponowałem mu, by udał się na wybrzeże na miejsce, które widzieliśmy z domu, i czekał tam do południa, aż zjawimy się z łodzią. Uważając to za konieczną ostrożność, wyruszyliśmy z nim we dwóch zaraz po śniadaniu, nie mówiąc o tym nic nikomu w gospodzie.

W drodze palił fajkę w milczeniu, tylko niekiedy zatrzymując się, by poklepać mnie po ramieniu. Mógłby ktoś przypuszczać, że to nie on, ale ja znajduję się w niebezpieczeństwie i że on dodaje mi w ten sposób odwagi. Zamieniliśmy w drodze zaledwie

kilka słów. Kiedy doszliśmy na wybrzeże, prosiłem go, by pozostał w ukryciu, a sam poszedłem na zwiady w tym kierunku, w którym w nocy udali się owi dwaj nieznajomi. Zgodził się na rozstanie ze mną, więc w dalszą drogę wzdłuż wybrzeża puściłem się sam. Na rzece nie widać było żadnych łodzi ani statków, nie natrafiłem też na ślady stóp owych ludzi, którzy zapewne odpłynęli już jakimś czółnem. Ale przypyływ był w tej chwili już w całej pełni, więc ślady mogły się skryć pod wodą.

Provis wyjrzał ze swego ukrycia, a widząc, że macham ku niemu kapeluszem na znak, że może przyjść, podszedł do mnie i razem rozpoczęliśmy czekanie. Chwilami kładliśmy się na brzegu, otuleni w płaszcze, chwilami biegaliśmy dla rozgrzewki. Wreszcie zjawiała się nasza łódź. Wsiedliśmy i wiosłowaliśmy w kierunku szlaku parowca. Było w tej chwili dziesięć minut przed pierwszą. Pilnie wypatrywaliśmy dymu parowca, ale dopiero o wpół do drugiej ujrzeliśmy pióropusz dymu, a za nim zaraz następny, oznajmiający drugi statek. Oba zbliżały się szybko. Przygotowaliśmy obie walizki i pożegnaliśmy się z Herbertem i Startopem. Potrząsnęliśmy sobie serdecznie dłonie, a oczy Herberta i moje jednakowo zwilgotniały. Nagle ujrziałem wychylającą się zza kadłuba statku płynącą ku nam dużą szalupę o czterech parach wiosł.

Do tej chwili pomiędzy nami a dymem statku znajdował się pas ziemi wybrzeża na skutek zakrętu rzeki w tym miejscu, ale teraz widzieliśmy już wyraźnie, jak łódź płynie prosto ku nam. Krzyknąłem głośno do Herberta, i Startopa, żeby nie odchylali się od linii prądu, by ze statku widziano, że na nich czekamy, i poprosiłem Provisa, by siedział spokojnie, otulony w płaszcz. Odpowiedział mi serdecznie:

- Ufaj mi, drogi chłopcze.

Siedział teraz sztywny jak posąg, gdy barka, która była bardzo zręcznie kierowana, prześcignęła nas i zatrzymała się, czekając, aż ją dogonimy, by płynąć równolegle z nami. Trzymając się nas tak blisko, że tylko zostawiała miejsce na swoje i nasze wiosła, naśladowała nas we wszystkim: kiedy wiosłowaliśmy dotrzymywała nam kroku, kiedy wciągaliśmy wiosła, zatrzymywała się i ona. Jeden z mężczyzn siedzących w łodzi trzymał liny steru i nie spuszczał nas z oka podobnie jak wszyscy wiosłarze barki. Drugi, otulony w płaszcz tak jak Provis, zdawał się szeptem wydawać sternikowi jakieś rozkazy. Ani w tamtej, ani w naszej łodzi nikt nie wyrzekł głośno ani słowa.

Startop poznał po chwili, jaki to parowiec mamy przed sobą, i powiedział do mnie cicho: - Hamburg!

Statek był już teraz tak blisko nas, że hałas śruby rozlegał się nad naszymi głowami i że mieliśmy uczucie, jak gdyby padał na nas jego cień. I w tej właśnie chwili zawołano nas z tamtej łodzi. Odpowiedziałem.

- Macie na waszej łodzi zbiegłego galernika - oświadczył człowiek przy sterze. - To tamten człowiek otulony w płaszcz. Nazywa się Abel Magwitch, inaczej Provis. Aresztuję tego człowieka, polecam mu się poddać, a wam towarzyszyć mu.

W tejże chwili, nie wydawszy żadnych rozporządzeń swojej załodze, ruszył wprost na nas swą barką. Jego ludzie wciągnęli wiosła i błyskawicznie, zanim się spostrzegli, wskoczyli na pokład naszej łodzi. Obudziło to wielkie poruszenie na statku, rozległy się krzyki i nawoływania, by zatrzymać śrubę, która istotnie stanęła. Natychmiast potem ujrzałem, jak sternik barki kładzie dłoń na ramieniu więźnia, jak obie łodzie, nasza i ich, zakręciwszy się w miejscu, płyną z prądem rzeki i jak na pokładzie parowca wszyscy biegają ku przodowi statku, by zobaczyć, co się dzieje. Ujrzałem też, jak Provis wyprostował się i szybkim ruchem zdarł z trzymającego go człowieka płaszcz, którego kołnierz zasłaniał mu twarz. Twarz odsłoniła się: poznałem drugiego galernika z moczarów. Twarz ta podniosła się ku górze z wyrazem zgrozy i w tej samej chwili więzień rzucił się na tamtego. Usłyszałem krzyk na pokładzie parowca i plusk ciała padającego do wody i poczułem, że łódź wysuwa się spode mnie. Przez chwilę walczyłem, mając uczucie, że dostałem się pomiędzy tysiące kół młyńskich i tysiące błyskawic, gdy wciągnięto mnie na pokład barki. Siedzieli tam już Herbert i Startop, ale nasza łódź zniknęła i zniknęli też obaj galernicy.

Zrazu nie mogłem odróżnić wody od nieba, ogłuszony krzykami na pokładzie statku, wściekłym gwizdem pary i podwójnym ruchem okrętu i barki, ale już po chwili wioślarze zaczęli energicznie pracować wiosłami, nieledwie kładąc się na plecach w łodzi i jednocześnie oglądając się co chwila za siebie na wodę. Ujrzelśmy wkrótce potem na powierzchni fal jakiś ciemny przedmiot. Wioślarze na ten widok zwolnili i zatrzymali się całkiem; nikt nie powiedział przy tym ani słowa. Ciemny przedmiot okazał się Magwitchem, który płynął ku nam z wielkim trudem. Wyciągnęli go z wody, założyli mu kajdanki na ręce i nogi.

Łódź stała teraz jeszcze na wodzie nieruchomo, a jej wioślarze wpatrywali się z uwagą w fale.

Tymczasem nie uprzedzony o niczym nadchodził z wielką szybkością drugi parowiec w drodze do Rotterdamu. Zawołano ku niemu, by się zatrzymał, ale już po chwili oba statki prześcignęły naszą łódź zostawiając ją na rozkołysanej fali. Poszukiwania trwały jeszcze

długo po uspokojeniu się wody, skłóconej przejściem statków, ale wiedzieliśmy doskonale, że są one daremne.

Zaniechano więc ich. Łódź przybiła do brzegu i udaliśmy się wszyscy do tej samej gospody, gdzie spędziliśmy noc i gdzie teraz przyjęto nas nie bez pewnego zdziwienia. Teraz mogłem opatrzeć Magwitcha (nie było już mowy o Provisie). Ranny był ciężko w pierś i głowę.

Powiedział mi, że podpłynął pod dziób parowca i podnosząc głowę zranił ją głęboko. Ranę w piersi (która utrudniała mu oddychanie) otrzymał uderzywszy się, jak sądził, o burtę barki. Dodał, że nie ma zamiaru tłumaczyć się, co chciał zrobić Compeysonowi, ale że zdzierając mu z twarzy płaszcz, został odepchnięty silnie przez tego łotra, zachwiali się wówczas obaj i wpadli do wody, a sternik, który chciał przytrzymać Magwitcha, sprawił swym gwałtownym ruchem, że łódź się przewróciła. Dopowiedział mi potem szeptem, że trzymając się w wzajemnym uścisku pogrążyli się w wodę i na dnie rzeki stoczyli zaciekłą walkę, po czym Magwitch wydostał się z objęć Compeysona i wypłynął na powierzchnię.

Nie miałem powodu wątpić o prawdziwości jego słów, zwłaszcza, że sternik barki potwierdził przyczynę utracenia równowagi przez łódź.

Sternik okazał się oficerem policji. Poprosiłem go o pozwolenie przebrania Magwitcha z mokrej odzieży w ubranie, które mogłem nabyć w oberży. Zgodził się pod warunkiem, że oddam mu zawartość kieszeni. W ten sposób portfel, który niegdyś był w moim ręku, przeszedł do niego. Pozwolono mi nadto towarzyszyć więźniowi do Londynu, ale zabroniono tego moim dwu towarzyszom.

Marynarz z gospody, Jack, otrzymał polecenie przeprowadzenia poszukiwań zaginionego galernika w tym miejscu rzeki, gdzie nastąpiła bójka owych dwu ludzi. Miał też przeszukać miejsca nadbrzeżne, gdzie prąd mógł wyrzucić ciało. Zapał chłopca do poszukiwania ciała wzrósł, gdy marynarz dowiedział się, że zaginiony ma na sobie pończochy. Najwyraźniej do skompletowania wyprawy Jacka trzeba było z tuzina topielców. Różnorodność jego odzieży wskazywała na jej pochodzenie.

Pozostaliśmy w gospodzie aż do odpływu, a wówczas zaprowadzono Magwitcha do barki. Herbert i Startop mieli wrócić do Londynu lądem w najszybszym terminie. Rozstałem się z nimi z wielkim bólem, a gdym się znalazł w łodzi u boku Magwitcha, poczułem, że dopóki on żyje, przy nim jest mój obowiązek.

Odraza, jaką czułem przedtem do tego człowieka, zniknęła zupełnie. Teraz ten tropiony, ranny, zakuty w kajdany więzień, trzymający moją rękę w swojej, był już tylko człowiekiem, który chciał być moim dobroczyńcą i który w ciągu długich lat czuł dla mnie

miłość, wdzięczność i obdarzał mnie hojnością. Widziałem w nim teraz tylko tę dobroć, której sam nie umiałem dać Joemu.

W miarę jak noc zapadała, oddech jego stawał się coraz trudniejszy, a bywały chwile, że nie mógł powstrzymać jęku. Staralem się, by odpoczął na moim zdrowym ramieniu, ale smutną była dla mnie myśl, że choroba tego człowieka nie powinna mnie martwić, bo lepiej dla niego, by umarł. Nie mogłem wątpić, że są jeszcze i inni, którzy nie zawahają się go zidentyfikować. Wiedziałem, że nie będą go łagodnie traktowali, że sprawa jego bardzo źle stoi, gdyż raz już uciekł, potem był na nowo sądzony, wreszcie skazany na dożywotnie zesłanie, znowu samowolnie zjawił się w Anglii, a na zakończenie spowodował śmierć człowieka, który go wskazał.

Gdy tak płynęliśmy w kierunku zachodzącego słońca, które dnia poprzedniego mieliśmy za plecami, jak gdyby wszystkie nasze nadzieje obrały nagle odwrotny kierunek, powiedziałem Magwitchowi, jak bardzo mi przykro, że to z mojego powodu powrócił do Anglii.

- Kochany mój chłopcze - odpowiedział - jestem szczęśliwy, że to uczynił. Widziałem mego chłopca, a teraz będzie on i beze mnie panem.

Zdawałem sobie doskonale sprawę, że nie będę korzystał z jego bogactwa. Niezależnie od moich osobistych zastrzeżeń, wiedziałem od Wemmicka, że w razie skazania Magwichta cały jego majątek zostanie skonfiskowany na rzecz państwa i teraz dopiero w całej pełni zrozumiałem ostrzeżenie sekretarza Jaggersa.

- Widzisz - ciągnął dalej - dla takiego, jak ty, wielkiego pana lepiej jest, by nikt nie wiedział o twojej zależności ode mnie. Możesz odwiedzać mnie w więzieniu jedynie towarzysząc Wemmickowi. A kiedy będą mnie sądzili, przyjdź na proces i usiądź tak, bym cię mógł dobrze z mego miejsca widzieć. Więcej mi nie trzeba.

- Nigdy pana nie opuszczę - oświadczyłem - będę przy panu dopóty, dopóki mi pozwolą, i pozostanę do końca panu tak wierny jak pan mnie.

Poczułem, że ręka jego, spoczywająca w mej dłoni, zadrżała, odwrócił twarz nie zmieniając pozycji na dnie łodzi i usłyszałem znajomy mi odgłos szlochu w jego gardle, cichszy niż zwykle” gdyż wszystko u niego było teraz przyciszone. Dobrze się stało, że w tej chwili poruszył tę sprawę, bo w ten sposób byłem pewien, że nigdy się nie dowie prawdy, że jego nadzieje wzbogacenia mnie rozwiały się na zawsze.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Postawiono go zaraz nazajutrz przed śledczym Sądem Policyjnym i proces w trybunale odbyłby się natychmiast potem, gdyby nie trzeba było sprowadzać z galer, gdzie niegdyś odbywał karę, starego oficera straży więziennej dla sprawdzenia jego tożsamości. Nikt o niej nie wątpił, ale Compeyson, który miał oficjalnie złożyć zeznanie w tej sprawie, utonął podczas bójk, a w Londynie nie można było natrafić na żadnego policjanta ani strażnika, który mógłby dopełnić owej formalności. Natychmiast po przyjeździe do Londynu udałem się do Mr. Jagersa prosząc go o pomoc, a adwokat oświadczył mi, że dla dobra więźnia nie będzie składał żadnych deklaracji. Zapewnił mnie, że w pięć minut po zjawieniu się potrzebnego świadka proces się odbędzie i że nie ma takiej siły, która by mogła zmienić jego rezultat dla nas niepomyślny.

Zawiadomiłem Mr. Jagersa o moim postanowieniu utrzymywania Magwitcha w złudzeniu, iż będę korzystał z jego majątku. Adwokat rozgniewał się na mnie, że „przepuściłem fortunę przez palce, i oświadczył, że trzeba podać prośbę, by choć część dała się dla mnie uratować. Nie krył jednak przede mną prawdy, iż istnieje bardzo małe prawdopodobieństwo, by zgodzono się na pozostawienie części majątku Magwitcha. Rozumiałem to doskonale. Nie byłem krewnym Magwitcha, nie wiązały mnie z nim żadne oficjalne więzy, nie istniał też żaden dokument, w którym opiekun mój zapisywałby mi swój majątek, a sporządzanie takiego aktu było już teraz niemożliwe. Postanowiłem więc ostatecznie, że nie poniżę się do tego stopnia, by pretendować do nienależnej mi schedy.

Było całkiem prawdopodobne, że ten, który wydał Magwitcha, spodziewał się za swój ohydny czyn wynagrodzenia w postaci części jego majątku. Kiedy po pewnym czasie znaleziono jego ciało o kilka mil od miejsca, gdzie utonął, był tak zniekształcony, że poznano go tylko po zawartości kieszeni. Znajdowały się tam szczegółowe dane o majątku Magwitcha: wyciąg z jakiegoś banku z Nowej Południowej Walii, gdzie były zdeponowane duże sumy, oraz opis posiadanych przez niego majątków ziemskich wielkiej wartości. Obie te pozycje znajdowały się także na liście, którą Magwitch, przebywając w swoim czasie w więzieniu, przesłał Mr. Jagersowi z uwagą, że to właśnie mam po nim dziedziczyć. W swej nieświadomości prawnej był pewien, że w ten sposób dziedzictwo mi przeznaczone jest w ręku Mr. Jagersa na zawsze zabezpieczone.

Po upływie trzech dni świadek z galer przybył. Natychmiast przerwano śledztwo i wyznaczono termin procesu. Miał on nastąpić po upływie miesiąca.

W tym smutnym okresie mego życia Herbert powrócił pewnego wieczora do domu nieco przygnębiony i powiedział:

- Drogi Haendel, obawiam się, że będę cię musiał wkrótce opuścić.

Byłem przygotowany na ten fakt przez jego współnika, więc zdziwiłem się mniej, niż przypuszczałem.

- Straciłbym doskonałą okazję, gdybym odkładał mój wyjazd do Kairu. I tak mi przykro, że cię opuszczę w chwili, gdy mnie najbardziej potrzebujesz.

- Herbercie, zawsze jesteś mi potrzebny, bo zawsze cię kocham, ale nie potrzebuję ciebie w tej chwili bardziej niż kiedy indziej.

- Będziesz tak bardzo samotny.

- Nie mam nawet czasu o tym myśleć - odparłem. - Wiesz doskonale, że każdą chwilę zużywam, aby być przy jego boku, i że gdybym mógł, byłbym przy nim nieustannie. A nawet w chwilach, gdy nie jestem przy nim, myśli moje tam pozostają.

Okropny los, jaki spotkał tego człowieka, nie pozwolił nam dłużej nawet rozmawiać na ten temat.

- Drogi mój przyjacielu - oświadczył Herbert - niechże bliska chwila naszego rozstania (bo, niestety, jest bardzo bliska) pozwoli mi powiedzieć ci coś o tobie. Czyś pomyślał o twojej przyszłości?

- Nie. Boję się myśleć o jakiegokolwiek przyszłości.

- Nie wolno ci zaniedbywać własnej przyszłości, doprawdy nie wolno, kochany mój Haendlu. Pozwól, że porozmawiamy o niej teraz, jak przyjaciel z przyjacielem.

- Dobrze - zgodziłem się.

- W naszej filii poszukują...

Spostrzegłem, że przez delikatność nie chciał dokończyć, więc sam poddałem:

- Urzędnika?

- Tak. Urzędnika. Ale nie jest wykluczone, że urzędnik ten stanie się z czasem (jak pewien znajomy ci urzędnik) współnikiem firmy. Więc, krótko mówiąc, Haendel, czy chcesz ze mną pracować?

Było coś niesłychanie serdecznego w słowach, jakimi do mnie przemówił, i w ruchu, jakim wyciągnął ku mnie swą uczciwą rękę, przechodząc nagle od poważnego tonu do niemal uczniowskiego.

- Rozmawialiśmy o tym wiele, wiele razy z Klarą - ciągnął Herbert - i to kochane moje małeństwo prosiło mnie jeszcze dzisiaj ze łzami w oczach, bym cię namówił do

zamieszkania z nami, a ona postara się dowieść ci, że przyjaciel jej męża jest i jej przyjacielem. Byłoby nam razem tak dobrze, Haendel.

Podziękowałem mu z całego serca za dobroć, ale oświadczyłem, że w tej chwili nie mogę jeszcze nic obiecać. Po pierwsze, myśl moja była zbyt zaprzętnięta innymi sprawami, abym mógł jasno o czymś decydować. Po drugie... tak, po drugie, wokół mych myśli unosiła się jakaś nieokreślona nadzieja, o której czytelnik dowie się w końcu tego biednego mego opowiadania.

- A jeżeli bez szkody dla twych interesów możesz, Herbercie, pozostawić tę sprawę jeszcze jakiś czas w zawieszeniu...

- Jak długo zechcesz, pół roku, rok...

- Nie, nie tak długo. Dwa, najwyżej trzy miesiące.

Herbert był zachwycony, że doszliśmy w ten sposób do porozumienia, i ściskając mi rękę powiedział, iż teraz dopiero ma odwagę przyznać się, że wyjeżdża już w końcu tego tygodnia.

- A Klara? - spytałem.

- Drogie moje maleństwo musi pozostać przy ojcu, dopóki staruszek żyje. Ale nie pożyje już długo. Mrs Whimple jest pewna, że on długo nie pociągnie.

- Nie chcę być okrutny, ale sądzę, że nic lepszego nie może zrobić, jak uMr.zeć.

- Obawiam się, że to prawda - mówił dalej Herbert. - Wówczas przyjadę tu po nią i moje kochane maleństwo wraz ze mną wejdzie do pierwszego lepszego kościoła. Pamiętaj, Haendel, że moje maleństwo nie ma żadnej rodziny, nigdy nie zaglądała do czerwonego herbarza i nie ma pojęcia, kto był jej przodkiem. Czy to nie szczęście dla syna mej matki?

W sobotę tegoż tygodnia pożegnałem się z Herbertem. Wsiadł do dylizansu idącego do portu pełen promiennych nadziei na przyszłość, ale zasmucony rozstaniem ze mną. Wracając ze stacji dylizansów wstąpiłem do małej kawiarenki i napisałem stamtąd liścik do Klary, donoszący, że Herbert wyjechał pozostawiając dla niej tysiące, tysiące słów pełnych miłości. Potem wróciłem do mego samotnego domu. Nie był to właściwie mój dom, bo nigdzie na świecie już domu nie miałem.

Na schodach natknąłem się na schodzącego z góry Wemmicka; odchodził nie mogąc się dostać do mego mieszkania. Nie widziałem się z nim sam na sam od chwili nieszczęsnej nieudanej ucieczki i oto zjawił się w ściśle prywatnym charakterze, by udzielić mi kilku wyjaśnień dotyczących się katastrofy.

- Nieboszczyk Compeyson - mówił Wemmick - stopniowo przenikał wszystkie sprawy związane z Magwitchem. Z ust pewnych jego towarzyszków, będących w danym

momencie w kłopotcie (a nie było takiej chwili, by ktoś z jego towarzyszków nie znajdował się w kłopotcie), dowiedziałem się różnych szczegółów o Compeysonie. Miałem otwarte uszy, jednocześnie nie dając tego po sobie poznać. I oto, kiedym się dowiedział, że Compeyson wyjechał, uważałem, że nadeszła odpowiednia chwila do ucieczki. Nie przypuszczałem tego, co teraz podejrzewam: że była to część jego podstępu i że on wprowadzał umyślnie i mądrze w błąd swoich kompanów. Chyba nie ma mi pan tego za złe, Mr. Pip? Z całego serca chciałem się panu przysłużyć.

- Jestem tego tak samo pewien, Wemmick, jak pan, i dziękuję panu najpoważniej za przyjaźń i serdeczność.

- Dziękuję, dziękuję - powiedział Wemmick i drapiąc się w głowę dodał. - Zła to sprawa. A najwięcej mi żal tego, że zmarnował się taki majątek. Mój Boże!

- A mnie, Wemmick, żal biednego właściciela tego majątku.

- No, oczywiście - zgodził się Wemmick - nie ulega wątpliwości, że pan go żałuje. A ja i sam dałbym pięć funtów za jego uratowanie. Ale ot, co myślę o tej sprawie: Magwitcha nie dałoby się uratować, wobec tego, że nieboszczyk Compeyson był świetnie poinformowany o jego powrocie i zdecydował wydać go policji. Ale majątek można było uratować. Taka jest różnica pomiędzy majątkiem a jego właścicielem, rozumie pan?

Zaprosiłem Wemmicka do siebie na górę, by wypił ze mną szklankę grogu przed powrotem do Walworth. Kiedy się zgodził i siedząc u mnie sączył słabo zaprawiony alkoholem napój, oświadczył nagle, pokręciwszy się na krześle:

- A co by pan powiedział o tym, gdybym w poniedziałek zwolnił się od pracy, Mr. Pip?

- Że chyba byłoby to po raz pierwszy od dwunastu miesięcy.

- Raczej od dwunastu lat - odpowiedział Wemmick - tak, i jeszcze coś panu powiem: wezmę dzień wolny i udam się na przechadzkę. I pana proszę, by mi towarzyszył.

Już chciałem mu odmówić tłumacząc się tym, że kiepski ze mnie teraz towarzysz, gdy Wemmick uprzedził me słowa, mówiąc:

- Wiem, jakie pan ma teraz obowiązki, i wiem, że nie jest pan w humorze, Mr. Pip, ale mimo to byłbym panu bardzo obowiązany, gdyby pan mi towarzyszył. Spacer nie będzie długi, potrwa, powiedzmy, od ósmej rano do dwunastej w południe, licząc w tym czas na pierwsze śniadanie. Czy może pan to dla mnie uczynić?

On sam tak wiele robił mi dobrego w różnych okolicznościach, że była to mała okazja odwdziczenia mu się za wszystko. Odparłem więc, że jakoś się urządzę; był bardzo

zadowolony, a ja rad z jego zadowolenia. Rozstaliśmy się z tym, że zjawię się w Zameczku punktualnie o wpół do dziewiątej rano w poniedziałek.

Z biciem tej godziny dzwoniłem do bramy w Walworth. Otworzył mi Wemmick. Był jak gdyby staranniej niż zwykle ubrany, a kapelusz jego błyszczał jaśniej. Na stole przygotowano dwie szklanki mleka z rumem i dwa herbatniki. Staruszek wstał zapewne ze skowronkami, gdyż zajrzawszy do jego sypialni przekonałem się, że była pusta. Kiedy pokrzepiliśmy się mlekiem z rumem i herbatnikami, wyszliśmy na dwór. Byłem zdumiony widząc, że Wemmick bierze z domu wędkę.

- Nie idziemy przecież na ryby? - spytałem.

- Nie - odparł Wemmick - ale lubię spacerować z wędką na ramieniu.

Wydawało mi się to bardzo dziwne, ale nic nie powiedziałem. Minęliśmy Camberwell i wówczas Wemmick zawołał:

- Oto kościół.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nagle nie zaproponował, jak gdyby uderzony świetnym pomysłem:

- Wejdźmy do środka!

Weszliśmy. Wemmick zostawił w przedsionku wędkę i wchodząc do wnętrza rozglądał się bacznie wokoło. Po chwili wyjął z kieszeni owiniętą w papier paczuszkę, rozwinął ją i oznajmił:

- Oto dwie pary rękawiczek! Niech pan jedną włoży!

Rękawiczki były białe z kozłej skórki, a otwór pocztowej skrzynki, stanowiący usta Wemmicka, rozwarł się niezwykle szeroko. Te dwie okoliczności sprawiły, że nabrałem pewnego podejrzenia. Zamieniło się ono niemal w pewność, gdy ujrzałem staruszkę prowadzącego pod rękę damę.

- A oto miss Skiffins - zawołał Wemmick - może weźmiemy ślub?

Skromna panna ubrana była tak samo jak zwykle, tylko zamieniła zielone skórkowe rękawiczki na białe z kozłej skórki. Staruszek przygotowywał się właśnie do takiej samej ofiary na ołtarzu hymenu. Ale sprawiało mu to tak wielką trudność, że Wemmick uważał za stosowne oprzeć go plecami o filar kościelny, zajść z tyłu i ciągnąć rękawiczki na jego rękach, gdy ja trzymałem staruszkę wpół, by nie stracił równowagi. Dzięki tej pomysłowości rękawiczki znalazły się na jego dłoniach.

Zjawili się kościelny z duchownym i uklękliśmy wszyscy przed fatalną barierą kościelną. Wierny swemu zamiarowi, że wszystko ma się dzieć bez żadnego przygotowania, Wemmick sięgnął jak gdyby z roztargnieniem do kieszonki kamizelki i szepnął do siebie:

- A oto i obrączki!

Byłem drużbą pana młodego, a mizerna posługaczka kościelna w dziecięcym czepeczku udawała przyjaciółkę panny młodej i odgrywała rolę druchny. Odpowiedzialność za oddanie panny młodej w ręce pana młodego spoczywała na staruszku, który niechcący wywoływał oburzenie kapłana; gdy ten spytał przy ołtarzu: „Któż oddaje tę niewiastę temu oto mającemu ją zaślubić mężowi?”, stary pan, nie mając pojęcia, do jakiego punktu ceremonii ślubnej doszliśmy, stał Mr.uczając pod nosem dziesięcioro przykazań. Wówczas duchowny raz jeszcze spytał:

- Kto oddaje tę niewiastę temu oto mającemu zaślubić ją mężowi?

Stary pan jeszcze wciąż nie był świadom tego, co ma odpowiedzieć, więc pan młody przemówił do niego takim jak zwykle, perswadującym głosem:

- No cóż, Wiekowy Ojczulku, wiesz przecież, kto oddaje? Staruszek, zanim przyznał, że on to czyni, powiedział:

- Już dobrze John, mój chłopcze, już dobrze!

Kapłan na te słowa zrobił tak długą, ponurą przerwę w ceremoniale, że zacząłem wątpić, czy aby weźmiemy dzisiaj ślub.

Mimo przeszkód ceremoniał ślubny został dopełniony. Kiedy opuszczaliśmy kościół, Wemmick uniósł wieko chrzcielnicy, zdjął białe rękawiczki i wrzuciwszy je tam, spuścił przykrywą. Mrs Wemmick, bardziej przewidująca na przyszłość, schowała białe rękawiczki do kieszeni i włożyła zielone. W przedśionku Wemmick zabrał wędkę, a gdy znaleźliśmy się na dworze, zauważył:

- No i co, Mr. Pip, kto by to powiedział, patrząc na nas, że stanowimy orszak ślubny? Śniadanie zostało zamówione w ślicznej, małej oberży na zboczu wzgórza o milę za Green. Miło było patrzeć, jak Mr.s Wemmick przestała już odtrącać ramię Mr. Wemmicka obejmujące jej talię. Siedziała sztywno, oparta plecami o wysoką poręcz krzesła, i wyglądała jak wiolonczela w pudle, przygotowana, że zaraz znajdzie się w objęciu. Śniadanie było doskonałe i gdy ktoś z nas odmawiał jakiegoś dania, Wemmick mówił:

- Nic się nie bójcie! To już zapłacone!

Pilem za zdrowie młodej pary, za zdrowie staruszka, za Zameczek, odchodząc pożegnałem pięknie młodą małżonkę i starałem się być jak najmilszy. Wemmick odprowadził mnie do drzwi, uściśnąłem mu raz jeszcze dłonie i życzyłem wszystkiego dobrego.

- Dziękuję - powiedział Wemmick zacierając ręce - nie ma pan pojęcia, jak ona wspaniale hoduje drób. Dostanie pan kilka jaj, Mr. Pip, i sam pan osądzi.

Potem przywołał mnie z powrotem i dodał szeptem:

- Oczywiście to są sentymenty prywatne, z Walworth. Bardzo o to proszę.

Zrozumiałem i uspokoiłem go natychmiast:

- Nie wspomnę o tym w Małej Brytanii. Wemmick potaknął głową:

- Mimo że wówczas wymknęło się panu niejedno wobec Mr. Jagersa, wolałbym, żeby nic nie wiedział. Mógłby podejrzewać, że staję się słabszy na umyśle czy też coś w tym rodzaju.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Magwitch leżał w więzieniu złożony ciężką chorobą. Skończyło się śledztwo i miał nastąpić proces sądowy, a on wciąż cierpiał: dwa złamane żebra zraniły mu płuco, oddychał z wielkim trudem, a bóle wzrastały codziennie. Rana zmuszała go do mówienia tak cicho i niewyraźnie, że z trudem go można było zrozumieć. Był natomiast w każdej chwili gotów słuchać tego, co mówiłem, więc uważałem za swój obowiązek czytać mu i opowiadać to, co przez ten czas usłyszałem.

Na skutek ciężkiej choroby nie mógł przebywać w wspólnej celi więziennej i zaraz na początku aresztu przewieziono go do szpitala więziennego. Dawało mi to możliwość częstszego przebywania w jego towarzystwie. Gdyby nie choroba, niewątpliwie zakuto by go w kajdany, gdyż uchodził za niebezpiecznego recydywistę, gotowego zawsze do ucieczki. Widywałem go codziennie, chociaż na krótko, i nie przypominam sobie, bym choć raz widział poprawę w jego wyglądzie: przeciwnie, słabł najwyraźniej z dnia na dzień od chwili, gdy zamknęły się za nim wrota więzienne.

Robił też wrażenie człowieka, który bardzo się już zmęczył i dlatego jest zniechęcony i zrezygnowany. Niekiedy wyrywało mu się jakieś słówko, wskazujące, że rozmyśla, czy nie byłby lepszy w lepszych warunkach, ale nigdy ani słówkiem nie usprawiedliwiał się z win przeszłości, ani też nie robił do nich żadnej najmniejszej aluzji. Zdarzyło się kilkakrotnie podczas moich u niego odwiedzin, że któryś z jego strażników wypomniał mu jego okropne przestępstwa. Wówczas odwracał oczy ku mnie z porozumiewawczym uśmiechem, jak gdyby chciał przypomnieć, że ja jeszcze przed laty, jako dziecko, poznałem się na lepszej części jego istoty.

Poza tym zachowywał się pokornie, łagodnie i nie skarżył się na nic.

Gdy nadszedł termin sprawy, Mr. Jagers starał się o odroczenie procesu do następnej sesji sądu. Chodziło mu zapewne o to, aby oskarżony w ten sposób nie dożył rozprawy. Ale sąd odmówił.

Odbył się więc proces, Magwitch zasiadł w fotelu, a mnie pozwolono siedzieć przy nim tak blisko, że mogłem go trzymać za rękę.

Sprawa była krótka i jasna. Powiedziano wszystko, co można było powiedzieć na jego usprawiedliwienie: że ostatnio żył uczciwie i pracował legalnie. Ale nic nie mogło przekreślić faktu, że nielegalnie powrócił do Anglii i że oto stał przed przysięgłymi i przed sądem. Należało go za to sądzić i należało uznać winnym przestępstwa.

Panował w owym czasie zwyczaj (przekonałem się o tym podczas tego okropnego procesu), że jeden dzień poświęcano na zbiorowe ogłaszanie werdyktów przysięgłych, na sam koniec pozostawiając wyroki śmierci, ale nawet teraz, pisząc te słowa, z trudem wierzę sobie samemu, że byłem świadkiem sceny, kiedy ten okrutny wyrok przeczytano zbiorowo trzydziestu dwu kobietom i mężczyznom. A przecież wśród tych trzydziestu dwojga skazańców znajdował się i on. Pozwolono mu wysłuchać wyroku w pozycji siedzącej, by jeszcze utrzymać w nim resztki życia.

Cała ta scena ożywa przede mną w jaskrawych barwach do najmniejszego szczegółu; widzę ją poprzez krople kwietniowego deszczu, spływające po szybach sali sądowej, poprzez promienie kwietniowego słońca, zaglądające przez okna do sali. Trzydzieści dwoje skazańców tłoczyło się w ławie oskarżonych, gdy ja stałem obok, trzymając dłoń siedzącego Magwitcha. Jedni mieli wygląd otepiały, inni wyglądali jak rażeni gromem przerażenia, jeszcze inni jęczeli, płakali, kryli twarze w dłoniach, rzucali wokół siebie zaskoczone spojrzenia. Kilka skazanych kobiet krzyknęło przeraźliwie, ale je szybko uciszono. Nastąpiła cisza.

Szeryfowie ozdobieni łańcuchami i medalami, woźni sądowi, gawiedz i potwory oficjalne, wypełniający salę i galerię, byli widzami (jak w wielkim teatrze) przemówienia sędziego do nieszczęśliwych skazańców.

Wśród nich znajdował się jeden, do którego specjalnie sędzia kierował swe głowa. Był to człowiek, który od wczesnego dzieciństwa wykraczał przeciw prawu, który po wielu powtarzających się zbrodniach i wyrokach został wreszcie skazany na długoletnie wygnanie, który mimo to, nie doczekawszy terminu, uciekł z zesłania i powrócił do kraju. Schwytany, skazany został tym razem na dożywotnie zesłanie. Tam, z dala od miejsca swych zbrodni, zaczął wreszcie prowadzić uczciwe i pracowite życie, przekonany, jak się zdawało, o swych winach. Ale w jakiejś fatalnej chwili, dając się na nowo opanować namiętnościom i złym skłonnościom, które przez tyle lat robiły z niego wyrzutka społeczeństwa, opuścił swą przystań odpoczynku i pokuty i wrócił do kraju, do którego wstęp został mu wzbroniony. Zadenuncjowany, potrafił czas jakiś jeszcze ukrywać się przed okiem policji, ale zatrzymany w chwili, gdy już uciekał za granicę, jeszcze się opierał i (czy to w jakimś specjalnym celu, czy na skutek zaślepienia swej zbrodniczej duszy) zamordował tego, który go wydał i który znał jego tajemnicę. Ponieważ karą przewidzianą za samowolny powrót do kraju jest kara śmierci i ponieważ wchodzi tu w grę okoliczności obciążające, wyżej wymienione, oskarżony winien przygotować się, że musi uMr.zeć.

Słońce, które zabłysło w kroplach deszczu na szybach sali sądowej, utworzyło świetlistą drogę pomiędzy sędzią a trzydziestu dwojgiem oskarżonych i ten promienny szlak przypominał może widzom, że pomiędzy sędzią a skazańcami nie ma tak wielkiej różnicy, gdyż wszyscy oni staną przed Sądem Ostatecznym, który nigdy nie błądzi.

Oskarżony wstał na krótką chwilę. Głowa jego zajaśniała na tle promiennej słonecznej drogi, gdy powiedział:

- Panie sędzio, otrzymałem już mój wyrok śmierci od Boga, ale przyjmuję go i z rąk pańskich.

Usiadł. Rozległy się szepty, a sędzia zwrócił się teraz do innych skazańców. Zakomunikowano im wszystkim oficjalnie wyrok i wyprowadzono ich z sali. Wyszli, jedni obojętnie, inni przerażeni, jeszcze inni, robiąc jakieś znaki do ludzi na galerii, troje czy czworo uściśnęło sobie dłonie, a niektórzy żuli w zębach żdźbła siana znalezione na sali.

Magwitch szedł z powodu osłabienia ostatni. Wciąż jeszcze trzymał moją dłoń, której nie puszczał, podczas gdy przysięgli wstawali ze swych miejsc (poprawiając ubrania takim ruchem, jak się to czyni w kościele czy gdzie indziej) i wskazywali przy tym palcami poszczególnych skazańców, a najczęściej Magwitcha i mnie.

Wciąż jeszcze nie traciłem nadziei i modliłem się, aby umarł, zanim nadejdzie termin wyroku śmierci, ale obawiając się, że tak się jednak nie stanie, tegoż wieczora napisałem prośbę do Ministra Spraw Wewnętrznych, gdzie opisywałem, co wiem o Magwitchu, i zaznaczałem, że powrócił tylko dla mnie z zesłania. Napisałem to z takim patosem i takim uczuciem, jak tylko potrafiłem, i natychmiast wysłałem. A zaraz potem wystosowałem podania do jeszcze kilku wpływowych osobistości, które wydawały mi się najlitościwsze. Jedno z podań skierowałem do samej osoby królewskiej.

Od chwili gdy zapadł wyrok śmierci na Magwitcha, nie położyłem się ani jednej nocy, zasypiając tylko dorywczo w fotelu, zajęty moimi prośbami. A kiedy je wszystkie wysłał, zdawało mi się, że lepiej będzie, gdy znajdę się w pobliżu miejsc ich przeznaczenia. Pełen bolesnej i nierozumnej rozpaczki błąkałem się wieczorami po ulicach nieopodal biur, w których spoczywały moje petycje, bo tej jeszcze chwili ponure ulice zachodniego Londynu w dżdżyste wiosenne wieczory, z ich rzędami na głucho zamkniętych okien pałacików i dwoma szeregami latarni, napełniają mnie smutkiem wspomnień tamtych wieczorów.

Moje codzienne odwiedziny u Magwitcha musiały być teraz krótsze, pilnowano go o wiele ostrzej. Widząc czy też wyobrażając sobie, że podejrzewają mnie o chęć przyniesienia mu trucizny, sam zażądałem, by mnie rewidowano, zanim zasiadałem przy jego łóżku, i oświadczyłem jego strażnikowi, że uczynię wszystko, czego zażąda, dla przekonania go o

uczciwości moich zamiarów. Nikt nie był przykry dla niego ani dla mnie. Po prostu wypełniano obowiązek, ale nic więcej. Dozorca za każdym razem witał mnie wiadomością, że stan Magwitcha się pogorszył, a inni chorzy więźniowie na sali oraz ci spośród przestępców, którzy pracowali tu jako pielęgniarze (i mimo swej przestępczości potrafili, chwała Bogu, być dobrzy) potwierdzali to zgodnie.

W miarę jak dni płynęły, spostrzegalem, że chory leży teraz zawsze nieruchomo, spoglądając w biały sufit, i że z obojętności budzi go tylko na krótko moja obecność, która zapala jak gdyby blask na jego nieruchomej twarzy. Niekiedy nie był już w stanie rozmawiać i porozumiewał się ze mną tylko przy pomocy słabego, uścisku dłoni., który rozumiałem doskonale

Upłynęło dziesięć dni od procesu, kiedy wszedłszy do niego, spostrzegłem większą niż dotychczas zmianę w jego twarzy. Oczy miał zwrócone ku drzwiom; zapłonęły na mój widok.

- Kochany mój chłopcze - szepnął - bałem się, że przyjdiesz za późno. Ale wierzyłem, że to niemożliwe.

- Byłem punktualny - odparłem - czekałem jeszcze na otwarcie bramy.

- Zawsze czekasz na otwarcie bramy, mój chłopcze?

- Tak, nie chcę tracić ani chwili czasu z mych odwiedzin.

- Dziękuję ci, mój drogi chłopcze, dziękuję. Nie opuszczasz mnie do końca. Niech Bóg ci błogosławi, mój chłopcze.

Uścisnąłem jego dłoń w milczeniu, gdyż nie mogłem zapomnieć, że raz miałem zamiar go opuścić.

- Ale najpiękniejsze ze wszystkiego wydaje mi się to, że jesteś mi bliższy teraz, gdy nasza na mnie ciemna chmura, niż wówczas, gdy świeciło mi jasne słońce. To jest najlepsze ze wszystkiego.

Leżał na wznak i oddychał z wielkim trudem. Chociaż mówił do mnie słowa miłości, cień coraz bardziej spowijał jego twarz, a wzrok skierowany ku białemu sufitowi był nieruchomy.

- Czy bardzo dzisiaj boli?

- Nie skarzę się na nic, drogi mój chłopcze.

- Pan nigdy się nie skarży.

Były to ostatnie jego słowa. Uśmiechnął się i po dotyku jego dłoni pojąłem, że pragnie, bym mu położył rękę na piersi. Uczyniłem to. Uśmiechnął się znowu i obie ręce położył na mojej.

Tymczasem upłynął przepisowy czas widzenia, ale obejrzawszy się wokoło, ujrzałem stojącego przy mnie naczelnika więzienia, który szepnął:

- Może pan pozostać. Podziękowałem mu i spytałem:

- Czy wolno mi do niego mówić, jeżeli mnie jeszcze dosłyszysz?

Naczelnik usunął się i odwołał strażnika. Mimo że uczynili to cicho, zwrócili uwagę chorego. Oderwał wzrok od sufitu i spojrzał z czułością na mnie.

- Drogi Magwitch, muszę panu jeszcze coś powiedzieć. Czy mnie pan słyszy? I rozumie?

Delikatny uścisk dłoni.

- Miał pan niegdyś dziecko, które pan kochał i utracił? Mocniejszy uścisk dłoni.

- Dziewczynka znalazła możnych opiekunów, żyje dotychczas, jest damą. Piękną. I ja ją kocham!

Ostatnim wysiłkiem, w którym musiałem mu pomóc, podniósł moją rękę do warg. Potem opuścił ją powoli sobie na pierś i przykrył obiema dłońmi. Odwrócił na krótką chwilę nieruchomy wzrok, utkwiony w biały sufit. Wreszcie głowa opadła mu spokojnie na piersi.

Pamiętny na słowa, któreśmy razem z nim czytali, pomyślałem o dwu ludziach, którzy wstąpili do świątyni, by się pomodlić, i przyszło mi do głowy, że przy tym łożu mogę powiedzieć tylko te oto wyrazy:

- O Panie, bądź miłościw temu grzesznikowi!

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Teraz gdy całkowicie pozostawiono mnie samemu sobie, postanowiłem po wygaśnięciu umowy najmu wyprowadzić się z mego mieszkania w Tempie, a do tego czasu wziąć sobie współlokatora. Wystawiłem więc w oknach ogłoszenia. Byłem w okropnych długach i zacząłem poważnie niepokoić się stanem mych interesów. Powinienem właściwie powiedzieć, że zacząłbym się naprawdę niepokoić, gdyby starczyło mi sił, gdyż w istocie czułem tylko jedno: że zaczynam poważnie chorować. Ostatnie napięcie pozwoliło mi zahamować na czas jakiś chorobę, ale nie usunęło jej całkowicie i teraz czułem, że chwytam mnie na nowo i witałem to z całkowitą obojętnością.

Przez dzień czy dwa kładłem się na łóżku, na kanapie lub na podłodze, gdziekolwiek chwyciły mnie bóle, z ociężałą głową, obolałymi członkami i całkowitym brakiem sił. Następnie przyszła jedna bardzo długa i bolesna noc, noc pełna strachów i niepokojów, a rano, kiedy chciałem usiąść na łóżku, by sobie przypomnieć jej wypadki, okazało się, że nie mogę się dźwignąć.

Czy istotnie w ciemną noc schodziłem w Garden Court po schodach ku rzece, szukając tam łodzi, która według mego przy puszczeniu powinna była się tam znajdować? Czy ocknąłem się na schodach pełen przerażenia, dlaczego nie jestem w łóżku? Czy zapalałem lampę w pośpiechu, bo zdawało mi się, że idzie do mnie Provis, a światła na schodach są zdmuchnięte? Czy dręczyły mnie czyjeś głośnie słowa, śmiechy i jęki po to, bym się za chwilę przekonał, że to ja sam mówię, śmieję się i jęczę? Czy widziałem w kącie ciemnego pokoju piec do wypalania wapna i słyszałem głos wołający, że miss Havisham się tam pali?

Oto, jakie pytania usiłowałem uporządkować sobie w głowie, leżąc tego ranka w łóżku. Ale w odpowiedziach przeszkadzał mi zapach wapna, a unoszący się wokół mnie biały dym wapienny kładł się pomiędzy mną a przedmiotami. W jego oparach ujrzałem niewyraźnie dwu ludzi pochylonych nade mną.

- Czego tu chcecie? - spytałem - nie znam was.

- To proszę pana - odparł jeden z nich dotykając mego ramienia - drobnostka, którą pan na pewno ureguluje. Ale na razie jest pan aresztowany.

- Ile wynosi dług?

- Sto dwadzieścia trzy funty, piętnaście szylingów, sześć pensów, rachunek jubilera, zdaje się.

- Co mam zrobić?

- Przeprowadzić się do mojego domu - zaproponował jeden z nich - mam przyzwoity dom.

Zrobiłem wysiłek, by wstać i ubrać się. Gdy znowu się ku nim zwróciłem, przyglądali mi się z boku. Nie zdołałem się podnieść i położyłem się na nowo.

- Panowie widzą, w jakim jestem stanie - powiedziałem - poszedłbym, gdybym mógł. Ale tak, mogę uMr.zeć wam w drodze.

Nie wiem, czy mnie jeszcze potem namawiali, czy w ogóle coś mi odpowiadali, czy próbowali mnie przekonać, że czuję się lepiej, niż mi się zdaje. Nic pamięci, która wiąże mnie z tą chwilą, jest zbyt wątła, bym to pamiętał. Nie mam pojęcia, jak się zachowali. Zdaję sobie tylko sprawę, że ostatecznie przestali mnie nagabywać, że bym wstał.

Wiem teraz z całą pewnością i wiedziałem to chyba i wówczas, że miałem wysoką gorączkę, że cierpiałem silnie, że chwilami traciłem przytomność, że zespałem własne istnienie z istnieniem rozmaitych przedmiotów, że byłem cegłą w murze i usiłowałem opuścić zawrotne miejsce, w które mnie murarze wprawili, że byłem stalowym kółkiem w olbrzymiej maszynie, kręciłem się z hałasem nad przepaścią i błagałem, by zatrzymano maszynę i wyłączono mnie z niej że dalej chwilami walczyłem z rzeczywistymi ludźmi biorąc ich za zbrodniarzy, a jednocześnie czując, że nie mają zamiaru zrobić mi nic złego i że kończyłem walkę padając wyczerpany na łóżko. Ale jednego byłem pewien: oto tego, że te wszystkie pochylone nade mną istoty, które przybierały nieraz olbrzymie rozmiary i najrozmaitsze twarze, zawsze w końcu wyglądały jak Joe.

Pewnego dnia nabrałem odwagi i spytałem:

- Czy to Joe?

A swój, dobry głos Joego odpowiedział mi:

- Ależ tak, mój staruchu.

- Och, Joe, serce mi pęka, gdy patrzę na ciebie. Rozgniewaj się na mnie, Joe! Uderz mnie, Joe! Mów mi, że byłem niewdzięczny. Nie bądź tak dobry dla mnie.

Bo Joe właśnie położył głowę na mojej poduszce, tuż przy mojej głowie, i objął mnie ramieniem za szyję, szczęśliwy, że go poznał.

- Tak, tak, to ja, mój kochany, drogi Pip - mówił Joe - byliśmy przecież z tobą zawsze przyjaciółmi, prawda? A kiedy już będziesz na tyle zdrow, że pojedziemy razem na spacer, co to będzie za gratka...

Zaraz potem Joe stanął przy oknie plecami do mnie i ocierał sobie oczy.

Byłem zbyt słaby, aby wstać i podejść do niego, więc tylko leżałem szepcząc do siebie:

- Niech go Bóg błogosławi! Niechże go błogosławi za jego dobroć!

Oczy Joego były zaczerwienione, kiedy znowu przysiadł na moim łóżku. Wziąłem go za rękę i obaj czuliśmy się szczęśliwi.

- Od jak dawna już, Joe?

- Chcesz przez to powiedzieć, Pip, od jak dawna jesteś taki chory, staruchu?

- Tak, Joe.

- Teraz jest koniec maja, Pip. Jutro pierwszy czerwiec.

- I przez cały czas byłeś przy mnie, kochany mój Joe?

- Tak, cały czas, staruszk. Bo kiedyś powiedział Biddy, że przyniesiono mi wiadomość o twojej chorobie... ta wiadomość przysła listownie, list przyniósł listonosz, który niedawno się ożenił (przedtem był w kawalerskim stanie). Nie dbał o to, że źle mu płacą i że nie zwracają mu za zelówki, które zdziera, i ożenił się, bo nie troszczył się o pieniądze, a małżeństwo było potrzebą jego serca.

- Ach, jak dobrze jest znowu cię słyszeć, Joe! Ale przerwałem ci. Więc powiedziałeś do Biddy...

- Tak było - ciągnął Joe - powiedziałem, że jesteś wśród obcych i że przecież zawsze byliśmy z tobą przyjaciółmi i że w takiej chwili może moja wizyta przydałaby ci się, powiadam do Biddy. A Biddy na to: „Trzeba zaraz jechać do niego, nie tracąc czasu! - Takie były jej słowa, słowa Biddy - dodał z poważną miną. - „Nie tracąc czasu, powiedziała.

Joe zamyślił się z powagą na chwilę i dorzucił:

- Nie chcę ciebie oszukiwać, ale mam wrażenie, że powiedziała: „Nie tracąc ani chwili czasu. Tak powiedziała.

Tu Joe przerwał i oznajmił mi, że ma do mnie mówić bardzo umiarkowanie, że muszę często, choćby niewiele, jadać, czy mam ochotę czy nie mam, i być posłuszny jego rozkazom. Pocałowałem go więc w rękę i leżałem spokojnie, gdy on zasiadł do pisania listu do Biddy z pozdrowieniami ode mnie.

Biddy najwidoczniej nauczyła Joego pisać. Mimo mego osłabienia sprawiało mi wielką przyjemność przyglądanie się z łóżka Joemu i obserwowanie dumy, z jaką stawia litery na papierze. Łóżko moje, odarte z firanek, przeniesiono do najprzewiewniejszego pokoju, do bawialni, skąd zabrano dywan i gdzie sprzątano niezwykle starannie. Joe zasiadł przy moim biurku, które przesunięto w kąt i zastawiono buteleczkami. Swą wielką pracę zaczął od wybierania pióra z takim namaszczeniem, jak gdyby wyszukiwał narzędzie w swojej skrzynce, potem zakasał rękawy, jak gdyby miał podnieść za chwilę drąg żelazny czy ciężki młot. Uznał za konieczne oprzeć solidnie lewy łokieć o biurko, odstawił prawą nogę w

tył, żeby nabrać rozmachu, a gdy zaczął pisać, każdą kreskę z góry na dół wyciągał tak długo, jak gdyby miała sześć stóp wysokości, a z dołu do góry tak silnie przyciskał pióro, że słyszałem skrzyp jego na papierze. W dziwny sposób wydawało mu się co chwila, że kałamarz znajduje się z tej strony, gdzie go wcale nie było, i zanurzał pióro w pustce, co mu zresztą wcale nie odbierało humoru. Chwilami nawiedzały go trudności ortograficznej natury, ale i nimi się nie przejmował, i wszystko było dobrze. Wreszcie podpisał swe nazwisko, przeniósł końcowy kleks z papieru przy pomocy dwu palców we własne włosy, wstał, odsunął się nieco od stołu, podziwiając z przekrzywioną głową ze wszystkich stron swoje dzieło. Najwyraźniej był zachwycony.

Nie chcąc niepokoić Joego zbyt wielu pytaniami (sam nie mogłem jeszcze dużo mówić) czekałem do następnego dnia, by spytać go o stan zdrowia miss Havisham. Potrząsała przecząco głową, gdym spytał, czy wyzdrowiała.

- Umarła, Joe?

- Widzisz, Pip - odparł żalonym tonem Joe - tych rzeczy nie można tak od razu powiedzieć, tu trzeba powoli. Nie posunąłbym się tak dalece, by mówić „tak, to zbyt wielkie słowo, ale z drugiej strony nie mogę ukryć, że...

- Nie żyje, Joe?

- O, to byłoby już bliższe prawdy - potwierdził Joe - nie żyje.

- Czy długo się męczyła, Joe?

- Jeszcze przez tydzień, od chwili gdyś zachorował, można by powiedzieć (gdyby chciało się być dokładnym) - wyjaśnił powoli Joe nie odstępując widocznie od swej zasady stopniowego opowiadania wypadków.

- Kochany Joe, czyś słyszał może, co się stanie z jej majątkiem?

- Zdaje się, mój staruchu, tak opowiadają przynajmniej, że największą jego część przeznaczyła dla panny Estelli. Ale na dzień czy dwa przed wypadkiem własnoręcznie na maleńkim karteluszkę zapisała cztery zimne tysiączki panu Mateuszowi Pocketowi. A dlaczego myślisz, Pip, dlaczego przede wszystkim zapisała mu te zimne cztery tysiączki? „Ze względu na raport Pipa o tymże Mateuszu” tak dopisała własnoręcznie na karteczce, jak mi mówiła Biddy.

„Raport o tymże Mateuszu” - powtórzył raz jeszcze, lubując się tymi oficjalnymi słowami. - I to cztery zimne tysiączki, Pip!

Nigdy nie dowiedziałem się, dlaczego Joe przypisywał tysiącom niską temperaturę, ale najwyraźniej zdawało się to powiększać w jego oczach sumę.

Szczegół ten zrobił mi wielką przyjemność, gdyż nabrałem pewności, że mój jedyny dobry uczynek został istotnie spełniony. Spytałem Joego, czy inni krewni nie otrzymali żadnych legatów.

- Pannie Sarze zapisała dwadzieścia pięć funtów rocznie na lekarstwa, gdyż chora jest na wątrobę. Panna Georgiana dostała dwadzieścia funtów. Pani... jak nazywają się te dzikie zwierzęta z garbami na grzbiecie?

- Wielbłądy - odparłem zdumiony, czemu nagle chce się tego dowiedzieć.

Joe pokiwał głową.

- Pani Wielbłąd... (zrozumiałem, że ma na myśli panią Kamillę) - dostała pięć funtów na zakup lampek nocnych, żeby się nie bała, budząc tak często w nocy.

Dokładność podawanych przez Joego wiadomości była zbyt wielka, abym mógł nie uwierzyć w ich autentyczność.

- A teraz - ciągnął Joe opowiadanie - za słaby jeszcze jesteś, aby wysłuchać wszystkich nowin. Jedno muszę ci jeszcze jednak powiedzieć. Stary Orlick popełnił włamanie do pewnego domu.

- Czyjego domu? - spytałem.

- Dom każdego Anglika to twierdza - odpowiedział Joe cytując przysłowie - i nie wolno wylaamywać drzwi twierdzy bezkarnie, chyba w czasie wojny. A właściciel tego domu był, pamiętaj to czytelniku, mimo swych słabości, w swym sercu kupcem zbożowym.

- Więc to do domu Pumblechooka nastąpiło włamanie?

- Tak, Pip - odparł Joe. - Zrabowali mu jego skarbonkę i jego kasę, wypili jego wino, zjedli jego zapasy, bili go po twarzy, ciągnęli go za nos i przywiązali go do nogi od łóżka, wsypali mu porządne baty, a usta zapchali mu nasionami kwiatów jednosezonowych, aby nie krzyczał. Ale on poznał w napastniku Orlicka i Orlick siedzi w miejscowym więzieniu.

Stopniowo przyzwyczailiśmy się do rozmów bez przeszkód. Zdrowie powracało mi powoli, ale stale. Joe nie opuszczał mnie, a ja wyobrażałem sobie, że znowu jestem małym Pipem. Czułość Joego była bowiem tak sharmonizowana z moimi potrzebami, że stałem się jak dziecko w jego dłoniach.

Siedział przy mnie i mówił do mnie z dawną ufnością i dawną prostotą, dawnym opiekuńczym tonem dorosłego wobec dziecka i wówczas miałem wrażenie, że nie mam za sobą całego tego okresu życia, który upłynął od czasu wieczorów w starej kuchni, że to wszystko, co za mną pozostało, było wytworem mojej choroby. Joe robił dla mnie i przy mnie wszystko, z wyjątkiem kobiecych robót gospodarskich, do których zaangażował bardzo

przyzwoitą kobietę. Praczkę, która mi usługiwała, oddalił pierwszego dnia po swym przybyciu.

- Wierz mi, Pip - tłumaczył się z tego swego zuchwalstwa - zastałem ją w sąsiednim pokoju, jak stawiała pionowo łóżko, niczym beczkę z piwem, i wytrząsała z pościeli pierze do wiadra, by je wynieść na sprzedaż. Obawiałem się, aby z kolei nie postawiła tak samo twojego łóżka, nawet z tobą w środku, a potem, by nie zaczęła wynosić w półmiskach i wazach węgla po kawałeczku, a w wysokich butach dobrego wina na sprzedaż.

Liczyliśmy dni do czasu, gdy będę mógł wyjść po raz pierwszy na spacer, tak samo jak niegdyś liczyliśmy dni do początku mego terminu. A gdy dzień ten nadszedł i otwarty powóz zajechał po mnie przed dom, Joe zawinął mnie w koc, wziął na ręce, zniósł na dół po schodach i posadził w powozie, jak gdybym istotnie był wciąż jeszcze tym samym małym, bezbronnym stworzeniem, które tak hojnie obsypywał skarbami swej bogatej natury.

Joe siadł przy mnie i wyjechaliśmy za miasto na wieś, gdzie trawa i kwiaty wskazywały na dary lata i gdzie pełne słodczy zapachy letnie unosiły się w powietrzu. Była niedziela. Rozglądałem się wokół siebie i nagle uderzyła mnie przykra myśl, że podczas gdy te dzikie kwiatki wyrastały z ziemi, liście na drzewach rosły, ptaszkom przybywało piórek i głosu i wszystko rozwijało się dniem i nocą pod słońcem i pod gwiazdami, ja leżałem płonąc gorączką w chorobie. Ale gdy rozległy się dzwony niedzielne, gdy rozejrzałem się jeszcze uważniej po pięknym świecie, pomyślałem, że nie dość jestem wdzięczny za powrót do zdrowia, (byłem widocznie jeszcze zbyt słaby nawet na uczucie wdzięczności) i złożyłem głowę na ramieniu Joego, zupełnie jak niegdyś, gdy zabierał mnie na jarmark lub widowisko, a ja byłem za mały, by to w pełni pojąć.

Po chwili nadszedł mnie spokój i rozmawialiśmy tak jak niegdyś, gdyśmy spoczywali na trawie przy starej forteczce. Joe nie zmieniał się wcale. Był taki sam, jakim pozostał w moim wspomnieniu: tak samo prosty, szczery i wierny.

Gdy po powrocie wziął mnie znowu z powozu przed domem i poniósł z taką łatwością przez podwórze na schody, do mieszkania, przypomniałem sobie ową noc wigilijną, kiedy niósł mnie przez bagniska. Nie mówiliśmy dotychczas jeszcze ani słowa na temat zmiany mego losu i nawet nie wiedziałem, co Joe wie o moim życiu.

Miałem w owej chwili tak małą wiarę w siebie i tak bardzo ufałem Joemu, że wahałem się, czy zacząć o tym rozmowę, skoro on nic na ten temat nie mówi.

- Czyś słyszał, Joe - spytałem po dłuższym namyśle wieczorem kowala palącego fajkę przy oknie - o moim dobroczyńcy?

- Słyszałem - odparł Joe - że nie była to miss Havisham, mój stary Pipie.

- Czy wiesz, kto to był?

- Słyszałem, że to był ten człowiek, który przysłał tamtego jegomościa, co dał ci wtedy banknot „Pod Trzema Przewoźnikami”, Pip.

- Tak było.

- Zdumiewające - oświadczył Joe najspokojniej w świecie.

- Czyś słyszał o tym, że nie żyje? - badałem z wzrastającym niepokojem.

- Który? Ten, co przysłał banknoty, Pip?

- Tak.

- Zdaje mi się - powiedział Joe, patrząc uparcie w ramę okienną, tonem wymijającym - zdaje mi się jakbym coś w tym rodzaju właśnie słyszał.

- Czyś dowiedział się też, w jakich okolicznościach umarł, Joe?

- Nie specjalnie, Pip.

- Jeżeli chcesz posłuchać... - zacząłem, ale Joe wstał i podszedł do mojej kanapy.

- Spójrz na mnie - wezwał mnie Joe pochylając się nade mną - zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Czy tak, Pip?

Wstyd mi było odpowiedzieć.

- Bardzo dobrze - ciągnął Joe, jak gdybym mu już odpowiedział - bardzo dobrze, że zgadzamy się na tym punkcie. Więc po co zabierać się do wyjaśnień całkiem zbytecznych pomiędzy dobrymi przyjaciółmi? Małoż to tematów do rozmowy oprócz nieprzyjemnych? Mój Boże, jak sobie przypomnę twoją siostrę, twoją biedną siostrę i jej awantury. A pamiętasz Łaskota?

- Pamiętam, Joe.

- Posłuchaj mnie, staruchu - mówił Joe - pragnąłem zawsze ochronić cię od niego. Żeby kij był z jednej strony, a ty z drugiej. Ale cóż, nie zawsze mogłem, co chciałem. I nie o to chodziło, że kiedym się jej sprzeciwiał, to i mnie dostawało się kijem - wywodził ulubionym przekonywającym tonem - ale o to, że wtedy ciebie biła mocniej niż wówczas, gdym ciebie nie bronił. Spozregłem to. Takiej kobiety, jak twoja siostra, fakt, że wyrwała mężczyźnie kępę włosów z faworytów, nie wstrzymał od wymierzenia mimo to dziecku ciosu za karę. I gdyby po wyrwaniu faworytów mężczyźnie słabiej biła dziecko, ale nie! biła je o wiele jeszcze mocniej. Więc mężczyzna powiedział sobie: „Co ty robisz najlepszego? Bo co złego z tego wynika, to widzisz własnymi oczyma, ale dobrego jakoś nie widać. Tak mówił...

- Tak mówił ten mężczyzna? - spytałem, bo widziałem, że Joe chciał, bym dokończył zdania.

- Tak, tak mówił ten mężczyzna - zgodził się Joe. - Czy miał słuszość?

- Drogi Joe, ten mężczyzna ma zawsze słusność - zawyrokowałem.

- Więc zapamiętaj sobie, coś powiedział (choć ja uważam, że ten mężczyzna często błądzi). Jeżeli mówi prawdę, posłuchaj, co teraz powie: kiedy byłeś mały, zatrzymywałeś przy sobie pewne sprawy, bo wiedziałeś, że J. Gargery nie zawsze może zrobić to, co chce, mam na myśli sprawę kija, więc nie warto o tym ani mówić, ani nawet myśleć. Bidy dobrze się namęczyła ze mną przed moim tu przyjazdem, by mi wyjaśnić (jestem okrutnie tępy), że powinienem pewne sprawy widzieć właśnie w tym świetle, i kiedy je wreszcie tak zobaczyłem, rozumiem, że nie warto do nich powracać. Więc teraz - zakończył Joe zachwycony swą logiką - posłuchaj, co ci powie prawdziwy przyjaciel: na dzisiaj już dość. Zjesz teraz kolację, napijesz się wody z winem i wsuniesz się pod kołderkę.

Głębokie wrażenie wywarł na mnie delikatny sposób, w jaki Joe zamknął na zawsze temat, do którego nie chciał powracać, rozczulił mnie pełen słodyczy i dobroci takt Bidy, która kobiecym sercem zrozumiała mnie z daleka i przygotowała Joego do wizyty u mnie. Ale nie wiedziałem, czy Joemu wiadome jest moje obecne ubóstwo i ów fakt, że moje wielkie nadzieje rozwiały się jak mgły nad naszymi bagniskami pod wpływem promieni słońca.

Jednego jeszcze nie mogłem pojąć w zachowaniu się Joego: oto w miarę jak powracały mi zdrowie i siły, stawał się coraz mniej swobodny w stosunku do mnie. Gdy byłem słaby i bezbronny, kochany ten człowiek wziął mnie pod swoją opiekę i nazywał dawnymi imionami z dzieciństwa: „mój staruchu, „stary Pip, które brzmiały w mych uszach jak muzyka. Chętnie dawałem się przez niego wprowadzać w owe dawne wspomnienia i byłem szczęśliwy. Ale teraz, mimo moich wysiłków, Joe porzucał coraz bardziej ten poufaly ton i ku wielkiemu memu zmartwieniu pojąłem, że wina jest tu po mojej stronie.

Czyż nie dałem Joemu powodu do wątpienia o mojej przyjaźni? Czyż nie miał prawa przypuszczać, że gdy wszystko będzie dobrze, stanę się chłodny i odepchnę go od siebie? Czyż nie dawałem niewinnemu sercu Joego nigdy odczuć, że w miarę jak staję się zdrowszy, jego władza nade mną słabnie, i czy nie robił przezornie, wypuszczając mnie ze swych objęć, jeszcze zanim się z nich sam wyrwę?

Zmianę w nim spostrzegłem najwyraźniej po raz pierwszy podczas przechadzki po ogrodach Tempie. Usiedliśmy w ciepłych promieniach słońca, spoglądając na rzekę, i gdy wstawaliśmy, powiedziałem:

- Patrz, Joe, jak mocno trzymam się już na nogach. Mogę chodzić bez twojej pomocy.

- Nie męcz się, Pip - prosił Joe - chociaż będę bardzo rad, jeżeli pan będzie już silny.

Ostatni ceremonialny zwrot przykro mnie uderzył, ale nie wyrzekłem ani słowa na ten temat, tylko doszedłszy do furtki udałem, że już osłabłem, i poprosiłem Joego, by mnie podparł swym ramieniem. Uczynił to natychmiast, ale był głęboko zamyślony.

I ja również pogrążyłem się w zamyśleniu: zastanawiałem się nad tym, w jaki sposób mam przełamać usposobienie Joego, i nękały mnie wyrzuty sumienia. Nie będę ukrywał, że wstyd mi było przyznać się Joemu do mej zmienionej sytuacji pieniężnej, ale wstyd ten nie był bynajmniej natury małostkowej. Wiedziałem, że zechce mi natychmiast pomóc swymi drobnymi oszczędnościami i wiedziałem, że nie wolno mi przyjąć tej pomocy od niego.

Obaj więc byliśmy zamyśleni tego wieczora, ale kładąc się wieczorem spać powziąłem decyzję, że przeczekam dzień jutrzejszy (nazajutrz była niedziela) i zacznę wraz z następnym tygodniem nowy sposób postępowania.

Postanowiłem w poniedziałek z rana powiedzieć Joemu wszystko: co kryję w głębi duszy, dlaczego nie pojechałem z Herbertem, i miałem nadzieję, że tymi wyznaniem przełamie upór Joego. W miarę jak moje myśli przybierały jaśniejsze kształty, to samo działo się widocznie z myślami Joego, który robił wrażenie człowieka już zdecydowanego.

Niedziela była spokojnym dniem. Wyjechaliśmy powozem na przechadzkę za miasto i spacerowaliśmy pieszo po polach.

- Szczęśliwy jestem, że byłem chory, Joe - powiedziałem.
- Drogi, kochany Pip, mój staruszek. Miewa się pan przecież coraz lepiej.
- Nie zapomnę nigdy czasu mojej choroby, Joe.
- I ja także tego czasu nie zapomnę, proszę pana - odparł Joe.
- Wiem, że zapomniałem na krótką chwilę o naszych dawnych wspólnych przeżyciach
- wyznałem - ale o tych nie zapomnę nigdy.
- Pip - powiedział Joe, jak gdyby nieco zdyszany i zmieszany - były dobre czasy, były. I to, co się stało, nie odstanie się, drogi panie.

Wieczorem, gdym już leżał w łóżku, Joe przyszedł do mego pokoju, jak to czynił codziennie. Spytał mnie, czy aby na pewno czuję się tak samo dobrze jak dzisiaj rana.

- Tak, mój drogi Joe, tak samo.
- I będziesz codziennie silniejszy, staruchu?
- Tak, drogi Joe, stale coraz to silniejszy.

Joe pogłaskał koldrę otulającą moje ramię i powiedział głosem, który wydał mi się nieco ochrypły:

- Dobranoc!

Kiedy nazajutrz rano wstałem z nowymi siłami, byłem całkiem gotów na rozmowę z Joem bez żadnej już zwłoki. Opowiem mu wszystko jeszcze przed śniadaniem. Ubiorę się zaraz, pójdę do jego pokoju i zrobię mu niespodziankę. Po raz pierwszy od czasu choroby wstałem tak wcześnie. Wszedłem do jego pokoju, nie zastałem go tam. Nie było też jego kufierka.

Wpadłem więc do jadalni i na stole ze śniadaniem znalazłem list. Oto jego krótka zawartość.

Nie chcę przeszkadzać, więc wyjechałem, bo i tak już masz się dobrze, drogi Pip, i będzie coraz lepiej bez

Jo

P. S. Zawsze najlepsi z nas przyjaciele.

W liście znajdował się kwit za opłacony dług, za który miano mnie aresztować. Do tej chwili przypuszczałem błędnie, że mój wierzyciel odłożył sprawę aż do mego powrotu do zdrowia. Nie przyszło mi nigdy do głowy, że Joe zapłacił tę sumę, ale zrobił to, a kwit był na jego nazwisko.

Cóż mi innego pozostawało, jak pojechać za nim natychmiast do starej kuźni, tam otworzyć przed nim serce, tam wyznać mu moje winy względem niego i tam opowiedzieć o tym, co nazywałem drugim bolesnym punktem, a co teraz stało się powziętym już mocno zamiarem.

Zamiar ten polegał na postanowieniu, że odnajdę Biddy, że wyjaśnię jej, jak pokornie przyjechałem ją przeproszać, że opowiem jej, w jaki sposób straciłem to wszystko, co było moją nadzieją, że przypomnę jej nasze wspólne zwierzenia w dawnych czasach. Potem jej powiem: „Biddy, moje zbłąkane serce odwróciło się niegdyś od ciebie, a mimo to zdaje mi się, że wtedy lubiłaś mnie bardzo. Jeżeli teraz możesz choć w połowie tak mnie lubić jak wtedy, jeżeli możesz mnie wziąć ze wszystkimi moimi błędami i wadami, jeżeli możesz mnie uważać za zbłąkane dziecko, któremu się przebacza (bo doprawdy w moim zmartwieniu trzeba mi, jak dziecku, dobrej, łagodnej i pełnej wybaczenia ręki), to mam wrażenie, że teraz jestem już trochę więcej ciębie wart niż wówczas. Jeszcze nie całkiem wart, ale trochę więcej. I Biddy, od ciebie jednej będzie zależało, czy będę pracować w kuźni Joego, czy zajmę się inną pracą w ojczyźnie, czy też razem wyjedziemy do dalekiego kraju, gdzie czeka na mnie inny zawód, który odrzuciłem, nie wiedząc, jaką dasz mi odpowiedź. A teraz, Biddy, jeżeli powiesz, że chcesz jechać ze mną w świat, to z pewnością uczynisz go lepszym, ze mnie zrobisz lepszego człowieka, a ja będę się starał ze wszystkich sił, aby świat uczynić z kolei lepszym dla ciebie”.

Taki był mój zamiar. Po upływie trzech jeszcze dni odpoczynku wyjechałem w rodzinne strony, aby wykonać to, co sobie zamierzyłem.

Jak się to stało, opowiem, i będzie to już wszystko, co mam do opowiedzenia.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Wiadomość o zmienności mojej fortuny i katastrofie, jaka mnie spotkała, dotarła w moje rodzinne strony, jeszcze zanim tam przybyłem.

Spostrzegłem od razu, że pod „Błękitnym Dzikim” wiedzą o wszystkim, i to także, że „Błękitny Dzik” zmienił swój stosunek do mojej osoby. O ile w czasie gdy obdarzano mnie majątkiem, byłem tu otoczony szacunkiem, o tyle teraz, gdy straciłem wszystko, wiało ku mnie chłodem.

Był już wieczór, kiedy przyjechałem bardzo zmęczony podróżą, która dawniej przychodziła mi z taką łatwością. „Dzik nie mógł mnie umieścić w mojej zwykłej sypialni, gdyż pokój okazał się zajęty (zapewne przez kogoś, kto miał nadzieje) i oberża mogła mi służyć tylko bardzo marnym pokoikiem w głębi podwórka pomiędzy gołębnikami, nad wozownią. Mimo to spałem tam równie głęboko jak w najwspanialszych apartamentach „Błękitnego Dzika, a sny moje także z tego powodu nie ucierpiały.

Wczesnym rankiem, w czasie gdy przyrządzano mi śniadanie, poszedłem przejść się w stronę willi „Satis”. Tu ujrzałem przytwierdzone do ogrodzenia i do dywaników wywieszonych w oknach ogłoszenia o licytacji ruchomości znajdujących się w domu. Sam dom miał być także sprzedany na rozbiórkę jako stare materiały budowlane. Zabudowania podzielone zostały na części, a na każdej z nich wypisano wapnem numer. Numer pierwszy widniał na starym browarze, numer drugi na środkowym skrzydle domu, zamkniętym na głucho od tak dawna. Inne numery widać było na innych częściach domu, z którego murów dla ułatwienia zdarto pnącze bluszczu; zwisały żałośnie na pół już uwiędłe w kurzu przydrożnym.

Wszedłem na chwilę przez otwartą bramę i gdy się rozglądałem niepewnie, jak przygodny nieznajomy, zobaczyłem komornika licytacyjnego, który liczył beczki i dyktował liczby drugiemu. Tamten zapisywał je do notatnika, używając przy tym zamiast biurka, wyrzuconego na podwórze, fotela na kółkach, tego samego, który tyle razy popychałem śpiewając przy tym „Starego Klema.

Powróciwszy na śniadanie do gospody zastałem tam Mr. Pumblechooka w rozmowie z gospodarzem. Mr Pumblechook (nie wyglądał lepiej od czasu swej ostatniej przygody) widząc mnie, przemówił tymi słowami:

- Młody człowieku, przykro mi, że upadł pan tak nisko. Ale czy można było spodziewać się czegoś innego? Czy można było spodziewać się czegoś innego?

Wyciągnął ku mnie dłoń gestem, który wybacza, a ja byłem zbyt jeszcze osłabiony chorobą, by móc zaprotestować. Podałem mu rękę.

- William - powiedział Mr. Pumblehook do kelnera - podaj bułki na stół. Do tego doszło! Do tego doszło!

Zasiadłem do śniadania ze ściągniętymi brwiami. Mr Pumblehook stał nade mną i nalewał mi herbatę (zanim zdążyłem dotknąć imbryczka) z miną człowieka, który zdecydował się być wiernym do końca.

- William - przemówił teraz Mr. Pumblehook żalobnym tonem - podaj sól.

I zwrócił się do mnie:

- W szczęśliwszych czasach lubił pan, zdaje się, cukier? I dolewał pan sobie mleka? Tak, dolewał pan. Cukier i mleko, proszę, William, przynieś też sałatę.

- Dziękuję - urwałem krótko - nie jadam sałaty.

- Nie jada pan - powtórzył smutnie Mr. Pumblehook kiwając głową, jak gdyby chciał tym gestem wyrazić, że tego można się spodziewać po człowieku, który tak nisko upadł. - To prawda, to tylko prosty produkt ziemi. William, nie potrzeba sałaty.

Jadłem dalej śniadanie, a Pumblehook stał nade mną świdrując mnie rybimi oczkami i dysząc mi głośno nad uchem.

- Co z niego zostało? - Mr.uczał Pumblehook - skóra i kości. A przecież, gdy opuszczał to miasto (mogę powiedzieć, że z mym błogosławieństwem) i kiedy częstowałem go moimi skromnymi zapasami, niczym pszczołka, to był pulchny jak dojrzała brzoskwinia.

Tu uprzytomniłem sobie różnicę, jaka zachodzi pomiędzy jego pokornym zachowaniem się w czasach, gdy mi się szczęściło, i jego natrętnym „Czy wolno mi...?”, a obecną pogardliwą łagodnością, z jaką rozpościerał przede mną swe tłuste pięć palców.

- Ha! - powiedział podając mi chleb z masłem - a teraz idzie pan do Józefa?

- Na miłość boską! - wybuchnąłem nie mogąc się już dłużej powstrzymać. - Co pana to obchodzi, dokąd ja idę? Niech pan zostawi w spokoju ten imbryk z herbatą!

Popełniłem okropny błąd wybuchając, gdyż w ten sposób dałem Pumblehookowi okazję, na którą czyhał.

- Tak, młody człowieku - oświadczył puszczając ucho wspomnianego naczynia, cofając się o krok od stołu i mówiąc wyraźnie na użytek oberżysty i kelnera, stojących przy drzwiach. - Zostawię w spokoju ten imbryk. Masz słusność, młody człowieku. Raz przynajmniej masz słusność. Zapomniałem się, gdym się interesowałem twym śniadaniem w zbożnej chęci odżywienia twego wyczerpanego rozpusztą ciała zdrowymi produktami twoich przodków. A mimo to - mówił Pumblehook, zwracając się do oberżysty i kelnera i

wskazując mnie ramieniem wyciągniętym na całą długość - z nim to przecież igrałem w chwilach jego szczęsnego dzieciństwa. Nie mówcie mi, że to niemożliwe. Powiadam wam, to był on.

Odpowiedział mu cichy poMr.uk tych dwóch. Zwłaszcza kelner zdawał się być poruszony.

- To jego woziłem w mym powoziku - mówił Pumblehook. - Widziałem na własne oczy, jak go sztucznie karmiono. To on, którego siostra była moją siostrzenicą przez powinowactwo i nazywała się Georgiana Maria po rodzonej matce! Niech on zaprzeczy, jeżeli może temu zaprzeczyć!

Kelner był zdania, że nie mogę zaprzeczyć i że sprawa przybrałaby wówczas brzydki obrót.

- Młody człowieku - nakazał mi Pumblehook wykręcając po swojemu głowę w moją stronę - pójdziesz teraz do Józefa. Pytasz mnie się, co mnie to obchodzi, dokąd idziesz? A ja ci powiadam, pójdziesz do Józefa, mój panie.

Kelner chrząknął znacząco, jak gdyby namawiał mnie do nie zwracania uwagi na te słowa.

- A teraz - ciągnął niewzruszony Pumblehook z miną człowieka przemawiającego, wbrew przeszkodom, w imię cnoty - powiem ci, co masz powiedzieć Józefowi. Oto widzisz przed sobą gospodarza „Błękitnego Dzika, znanego i szanowanego w tym mieście, a oto William, którego nazwisko rodzinne brzmi, o ile się nie mylę, Potkins.

- Nie myli się szanowny pan - potwierdził William.

- W ich to obecności, młody człowieku, wyjaśnię panu, ca ma pan powiedzieć Józefowi. Powie mu pan: „Józefie, widziałem dzisiaj mego pierwszego dobroczyńcę i twórcę mojej fortuny. Nie wymienię ci jego nazwiska, Józefie, ale wystarczy ci, że tak nazywają go w miasteczku. Widziałem tego człowieka.

- Przysięgam, że nie widzę go tutaj - powiedziałem.

- Niech pan tak powie - ciągnął niewzruszenie Pumblehook - a nawet Józef nie oprze się zdumieniu.

- Nie zna go pan widać - zawołałem - ja wiem lepiej.

- Powie mu pan: „Józefie, widziałem tego człowieka i powiadam ci, nie ma on żalu do ciebie ani nie ma żalu do mnie. Zna on doskonale twój charakter, Józefie, i wie świetnie, co myśleć o twojej tępcie i nieuctwie. Zna i mój charakter i wie, co myśleć o moim braku wdzięczności. Tak, Józefie - tu Pumblehook zamachał w moim kierunku rękami i nieledwie krzyczał: - on wie, jak bardzo, jak nie ludzko potrafię być niewdzięczny. Wie to, jak nikt

chyba inny. Ty, Józefie, nie wiesz, że jestem niewdzięczny, bo nie miałeś okazji poznać tej mojej cechy, ale on wie dobrze.

Znałem doskonale tego próżnego osła, ale byłem zdumiony, że ośmiela się tak do mnie otwarcie mówić.

- Powiesz tak, młodzieńcze: „Józefie, ten człowiek dał mi pewne polecenie, powtórzę ci je. Powiedział, że w moim niskim postępku widzi palec Opatrzności. Poznaję ten palec, gdy go dostrzeżę, a widzi go dobrze. Ten to palec, Józefie, nakreślił następujące zdanie: «Odpłacił czarną niewdzięcznością swemu pierwszemu dobroczyńcy i sprawcy fortuny. Ale ów człowiek nie żałuje bynajmniej tego, co uczynił, Józefie. Wcale nie. To było piękne, to było sprawiedliwe, to było wspaniałomyślne i chętnie uczyniłby to raz jeszcze».

- Szkoda - zauważyłem dokończywszy śniadania - że ów człowiek nie powiedział, co też takiego zrobił i co by jeszcze uczynił.

- Właścicielu „Dzika - krzyknął teraz Pumblechook do gospodarza - i ty, Winiarnie, nie widzę przeszkód ku temu, byście obaj rozgłosili w całym mieście, że to, co uczyniłem, było piękne i że chętnie uczyniłbym to raz jeszcze!

Z tymi słowami na ustach oszust ucisnął im obu dłonie i opuścił gospodę pozostawiając mnie bardziej zdumionego niż zachwyconego tym, co mówił.

Wyszedłem wkrótce potem i przechodząc ulicą Główną ujrzałem go przed sklepem, jak wyjaśniał coś, zapewne na ten sam temat, gromadce otaczających go ludzi, którzy zmierzyli mnie spojrzeniami, gdy przechodziłem na przeciwległym chodniku.

Po przemówieniu tego bezwstydnego oszusta tym przyjemniej było mi powrócić do Bidy i Joego, których wielka pobłażliwość wydawała mi się w porównaniu do tego jeszcze bardziej uderzająca. Szedłem ku nim powoli na słabnących nogach, ale każdy krok sprawiał mi radość, że zbliżam się ku nim i pozostawiam coraz dalej za sobą fałsz i arogancję.

Była piękna czerwcową pogodą. Skowronki śpiewały wysoko pod pięknym błękitnym niebem nad zieleniejącym zbożem i myślałem sobie, że moje strony rodzinne są piękniejsze niż kiedykolwiek. Rozmyślałem też o tym, że mieszkając tutaj stanę się o wiele lepszy. Zwłaszcza że będę miał u boku dobrą, wierną istotę, której prosta wiara i domowa mądrość będzie mnie prowadziła. Zbudziła się we mnie gorąca czułość: serce moje złagodniało pod wpływem powrotu do domu i czułem się jak ów człowiek, który po latach wędrówek po obcych ziemiach powraca boso do ojczyzny.

Nie widziałem nigdy szkoły, w której Bidy była nauczycielką. Zaprowadziła mnie do niej kręta ścieżyna, którą szedłem wśród pól. Byłem rozczarowany przypomniawszy sobie, że

to święto, i widząc, że szkoła i mieszkanie Biddy są zamknięte i puste. Musiałem pożegnać się z nadzieją, że ujrzę Biddy przy jej codziennej pracy, zanim jeszcze ona mnie spostrzeże.

Ale kuźnia znajdowała się o kilka kroków stamtąd, więc szedłem w jej kierunku pod młodymi zielonymi lipami, nasłuchując odgłosu młota Joego. Zdawało mi się, że dźwięczy ten głos, ale po chwili wiedziałem już, że panuje zupełna cisza. Lipy stały na swoim miejscu. Rosły też tarniny, osypane białym kwieciem, i kasztany, których listki szeMr.wały harmonijnie, gdym się zatrzymywałem nasłuchując, ale panowała cisza: nie słyhać było młotu Joego w wietrzyku letnim.

Lękałem się, sam nie wiedząc czemu, widoku kuźni, ale oto już ją ujrzałem. I kuźnia okazała się zamknięta. Nie było w niej blasku ognia, ani deszczu iskier, ani odgłosu miechów. Wszystko zastygło w bezruchu.

Dom jednak nie był opuszczony, a nawet w odświętnej bawialni musiało pulsować życie, gdyż białe firanki fruwały przy otwartych oknach i widać było kwiaty w doniczkach. Podeszedłem ostrożnie, by zajrzeć między doniczkami do wnętrza, gdy zjawili się przede mną Joe i Biddy. Szli pod rękę.

Biddy wydała okrzyk na mój widok i zaraz znalazła się w moim objęciu. Płakałem widząc ją i ona płakała patrząc na mnie. Ja, bo wyglądała tak świeżo i ślicznie, ona, bo wyglądałem tak blado i mizernie.

- Ależ kochana Biddy, jakaś ty wytworna!

- Tak, kochany Pipie!

- I Joe, jakiś ty wytworny!

- Tak, kochany mój Pipie, staruchu drogi. Patrzyłem to na jedno, to na drugie, gdy...

- To dzień mojego ślubu! - zawołała Biddy w wybuchu radości - jestem żoną Joego!

Zabrali mnie do kuchni, tam położyłem głowę na starym stole. Biddy przyciskała moją rękę do warg, a Joe położył swą krzepiącą dłoń na moim ramieniu.

- Jeszcze jest za słaby na takie niespodzianki - powiedział Joe.

A Biddy odparła:

- Powinna być o tym pamiętać, ale taka jestem szczęśliwa... Byli oboje tak uradowani tym, że mnie widzą, tak dumni ze mnie, tak wzruszeni tym, że ich odwiedziłem, tak zachwyceni tym, że właśnie zjawiłem się u nich tego dnia, by nic nie brakło do ich szczęścia!

Moją pierwszą myślą była ulga, że słowa nie pisałem Joemu o tej mojej ostatniej zawiedzionej nadziei. Ileż to razy, gdy był przy mnie w czasie mej choroby, zwierzenie to

cisnęło mi się na wargi. Gdyby został przy mnie jeszcze bodaj godzinę dłużej, byłbym mu powiedział i byłoby to już nie do odwołania!

- Droga Biddy - oświadczyłem - masz najlepszego męża na świecie. Gdybyś go była widziała czuwającego przy moim łóżku, to może... nie, nie mogłabyś go chyba kochać bardziej niż teraz.

- Nie mogłabym, istotnie - potwierdziła Biddy.

- I kochany mój Joe, masz najlepszą żonę na świecie, uszczęśliwi cię ona tak, jak na to zasługujesz, ty dobry, szlachetny, drogi mój Joe!

Joe spojrział na mnie, wargi mu zadrżały i rękawem otarł oczy.

- Joe i Biddy, byliście dzisiaj w kościele, jesteście pełni miłości, przebaczenia i dobroci dla ludzi, przyjmijcie więc moje pokorne dzięki za to, coście dla mnie uczynili, i co wam odplaciłem taką niewdzięcznością! Za godzinę was opuszczę, wyjeżdżam za granicę, będę tam ciężko pracował i odeślę wam te pieniądze, którymi Joe wykupił mnie od więzienia za długi podczas mej choroby. Ale nie myśl, kochana Biddy, i nie myśl, drogi Joe, że zwracając wam te grosze, odkupię choć w części dług, jaki mam wobec was. Bo gdybym oddał go nawet tysiąckrotnie, jeszcze nie spłaciłbym grosika z tamtego wobec was zobowiązania.

Rozczuliły ich te moje słowa i błagali mnie, bym przestał już mówić w ten sposób.

- Ależ muszę jeszcze mówić. Kochany Joe, spodziewam się, że będziecie mieli dzieci, które będziecie kochali i że w tym oto kąciuku przy kominku zasiądzie pewnego wieczora chłopiec, który przypomni ci innego chłopca: tego, co opuścił na zawsze ten dom. Nie mów mu, Joe, że byłem niewdzięcznikiem. Nie mów mu, Biddy, że byłem niesprawiedliwy i że nie umiałem okazać hojności. Powiedzcie mu tylko, że czciłem was za waszą dobroć i za waszą wierność i że on, jako wasze dziecko, powinien być lepszy ode mnie.

- Nikt nie powie mu nic złego o tobie - oznajmił Joe z swego rękawa - ani ja, ani Biddy, ani nikt...

- A teraz chociaż jestem pewien, że w dobroci swych serc jużście to uczynili, powiedzcie mi, że mi wybaczacie! Powiedzcie to głośno, abym mógł dźwięk tych słów zabrać ze sobą, abym uwierzył, że mi ufacie i że będziecie odtąd lepiej o mnie myśleli.

- Kochany stary mój Pipie, staruchu najdroższy - powiedział Joe - Bóg wie, że ci wybaczam z całego serca, jeżeli w ogóle mam ci cośkolwiek do wybaczenia.

- Amen! Bóg świadkiem, że i ja to czynię - zawtórowała Biddy.

- A teraz pozwólcie mi wstąpić na górę do mego małego pokoiku i pozostać tam samemu przez kilka chwil. Potem zejść na dół, zjem i wypiję z wami, i pójdę, a wy odprowadzicie mnie do drogowskazu. Tam się pożegnamy, drogi Joe i kochana moja Biddy!

Sprzedalem wszystko, co do mnie należało, zebrałem, ile mogłem pieniędzy i ułożyłem się z moimi wierzycielami, którzy wyznaczyli mi dalekie terminy na spłacanie reszty długów. Zaraz potem wyjechałem do Herberta. Upłynął miesiąc od mej wizyty u Joego, a już znajdowałem się za granicami Anglii, upłynęły dwa, a byłem już urzędnikiem w firmie Clarriker i Ska, a w cztery miesiące później objąłem odpowiedzialne stanowisko. Belka nad sufitem w salonie domu w Mill Pond Bank przestała drzeć pod wpływem wrzasków i ryków Billa Barleya i Herbert pojechał do Anglii, by poślubić Klarę, a przez ten czas ja pozostałem jako jedyny odpowiedzialny pracownik filii firmy na Wschodzie.

Upłynęło jeszcze wiele lat, zanim zostałem wspólnikiem firmy, ale mieszkałem spokojnie i szczęśliwie z Herbertem i Klarą, spłacałem długi i utrzymywałem stałą korespondencję z Joem i Biddy. Dopiero gdy nazwisko moje jako trzeciego wspólnika zjawilo się na szyldzie firmy, stary Clarriker powiedział Herbertowi całą prawdę o jego wspólnictwie. Mówił, że tajemnica ta od dawna mu ciążyła na sumieniu i że musi wreszcie ją wyznać. Ujawnił więc wszystko, a Herbert był równie wzruszony jak zdumiony i kochany chłopak stał się jeszcze lepszym, niż dotychczas, moim przyjacielem.

Nie mogę twierdzić, żeby firma nasza była potężna i żebyśmy ciągnęli z niej majątek. Nie robiliśmy wielkich interesów, ale przedsiębiorstwo nasze odznaczało się uczciwością i zarabialiśmy dość na utrzymanie.

Zawdzięczaliśmy tak wiele rozumowi i pilności Herberta, że wierzyć mi się nie chciało, iż niegdyś wątpiłem o jego zdolnościach, i przyszło mi do głowy, że to raczej ja sam byłem niezdolny, a nie on.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Od jedenastu lat nie widziałem już Joego ani Biddy cielesnymi oczyma, choć wiele razy oglądałem ich na Wschodzie w wyobraźni - i oto pewnego grudniowego wieczora, w godzinę lub dwie po zapadnięciu ciemności, położyłem dłoń na klamce starych drzwi kuchennych. Otworzyłem je tak cicho, by nie być usłyszanym, i zajrzałem do wnętrza.

Tuż przy kuchennym kominie na swym dawnym miejscu siedział Joe paląc fajeczkę. Był tak samo czerstwy, tak samo barczysty chociaż już posiwiiał. Tuż obok niego, oddzielony jego wyciągniętą nogą od reszty pokoju, na moim małym starym taburecie, patrząc w płomienie ogniska... siedziałem ja sam!

- Nazwaliśmy go imieniem Pip na twoją pamiątkę, staruchu - powiedział Joe zachwycony, gdy zasiadłem na drugim taburecie obok chłopca (nie wicherzyłem mu czupryny!) - nazwaliśmy go tak w nadziei, że będzie do ciebie podobny. I zdaje się, jest podobny.

I mnie się tak wydawało, i nazajutrz rano zabrałem go na przechadzkę, przeprowadziłem z nim długą rozmowę i rozumieliśmy się doskonale. Zaprowadziłem go na cmentarz, posadziłem na pewnym nagrobku, a on spoglądał na mnie z wysokości płyty kamiennej, poświęconej pamięci „Filipa Pirripa, nieboszczyka z tej parafii, a także Georgiany, małżonki powyższego.

- Biddy - zwróciłem się do niej podczas poobiedniej rozmowy, gdy jej mała dziewczynka spała na jej kolanach - musisz mi oddać Pipa albo przynajmniej wypożyczyć go na czas jakiś.

- Nie, nie - odparła łagodnie Biddy - powinieneś się ożenić.

- Herbert i Klara też tak mówią, ale ja nie sądzę, by to nastąpiło, Biddy. Przywykłem do ich domu niczym prawdziwy stary kawaler.

Biddy spojrzała na swoje maleństwo, wzięła jego rączkę, podniosła do swych warg, a potem tą samą macierzyńską dłonią, dotknęła mojej. Było coś w tym ruchu, w dotknięciu obrączki Biddy, co miało wielką wymowę.

- Kochany Pipie - szepnęła Biddy - czy jesteś pewien, że nie cierpisz już z jej powodu?

- Och, nie, nie sądzę, Biddy.

- Powiedz mi, jak starej przyjaciółce: nie myślisz już o niej nigdy?

- Moja kochana Biddy, nie zapominałem nic z tego, co mi się wydarzyło w życiu ważnego, a prawie nic z tego, co w ogóle przeżyłem. Ale tamto moje biedne marzenie, o którym mówisz, rozwiało się już zupełnie. Bez śladu, Biddy.

A mimo to, w chwili gdy wymawiałem te wyrazy, układałem sobie, że tegoż wieczora odwiedzę sam starą willę tylko po to, by odświeżyć sobie wspomnienie o Estelli. Tak, pójdę tam tylko dla Estelli.

Słyszałem o niej, że żyła bardzo nieszczęśliwie z mężem, że rozeszła się z nim, gdyż traktował ją brutalnie, że człowiek ten miał opinię niegodziwca, brutala, skąpca i obłudnika w jednej osobie. Słyszałem potem o śmierci jej męża, który zginął w wypadku z koniem na skutek brutalnego potraktowania zwierzęcia. Śmierć męża wyzwoliła od niego ostatecznie Estellę przed dwoma laty. Nie wiedziałem, czy nie wyszła już drugi raz za mąż.

Obiad był w domu Joego tak wczesny, że bez skracania rozmowy z Biddy mogłem dotrzeć do starej willi jeszcze przed zmierzchem. Ale drogę przebywałem bardzo powoli, rozglądając się na wszystkie strony, poznając dawne okolice i oddając się wspomnieniom. Dotarłem tam więc, gdy się już ściemniało.

Nie było już domu, ani browaru, ani żadnego budynku, wszystko rozebrano, prócz muru okalającego ogród. Opustoszałe po rozbiórce budynków miejsce otoczone było wysokim parkanem; przez szczeliny w nim mogłem dojrzeć, że stary bluszcz, który niegdyś oplatał willę, i teraz pnie się zielenią po ruinach. Furtka w parkanie była uchylona. Wszedłem.

Księżyc jeszcze nie wzeszedł, by rozproszyć zimną srebrną mgłę, która tego popołudnia otuliła okolicę, ale już świtało. Gwiazdy Mrugały przez mglistą zasłonę i wieczór nie był ciemny. Mógłbym nakreślić dokładnie miejsce, na którym wznosiła się niegdyś willa i miejsce starego browaru, parkanu i stosu beczek. Uczyniłem to w myśli i patrzyłem teraz w opuszczony ogród, gdy nagle ujrzałem tam jakąś postać.

Postać ta zdawała się mnie spostrzegać, gdym podchodził, poruszyła się w moim kierunku i zatrzymała w miejscu. Gdym się zbliżył, odróżniłem, że to kobieta. Zawahała się, jak gdyby chcąc uniknąć spotkania, i nagle zadrzała, jakby zdumiona, i zawołała moje imię. Krzyknąłem:

- Estella!

- Zmieniłam się ogromnie. Dziwne też, żeś mnie poznał.

Istotnie, świeżość jej urody uleciała, ale pozostał jej nieopisany urok i nieopisany wdzięk. Było w niej także coś, czego nie znałem: smutny i jak gdyby przyćmiony i złagodniały blask jej niegdyś tak dumnie spoglądających oczu. Po raz też pierwszy po przyjacielsku dotknęła mnie dłonią, która dawniej była tak nieczuła.

Usiedliśmy na pobliskiej ławce i wówczas powiedziałem:

- Jakie to dziwne, że po tylu latach spotkaliśmy się znowu w tym samym miejscu, gdzieśmy się poznali. Czy często tu bywasz, Estello?

- Nie byłam tu jeszcze nigdy od tamtego czasu.

- Ani ja.

Księżyc zaczął wschodzić, a ja ujrzałem nagle przed sobą oczy utkwione nieruchomo w białym suficie szpitalnym, oczy zagasłe na zawsze.

Księżyc zaczął wschodzić, a ja poczułem na mej ręce uścisk tamtej dłoni w chwili, gdy wymówiłem ostatnie słowa, jakie usłyszał umierający na ziemi.

Estella pierwsza przerwała to milczenie.

- Od dawna chciałam tu przyjechać i odwiedzić te biedne miejsca, ale zawsze stało mi coś na przeszkodzie.

Srebrzystą mgłą musnęły teraz pierwsze promienie księżycy i te same promienie zabłysły w łzach, które kapały jej z oczu. Nie spostrzegłszy, że widzę jej płacz, powiedziała spokojnie:

- Pewnie się dziwiłeś, przechadzając się po tych miejscach, dlaczego są tak bardzo opuszczone?

- Tak, Estello.

- Ten grunt jest moją własnością. Obecnie jedyną, gdyż wszystko inne przepadło w ciągu tych lat. Nie mogłam obronić reszty, ale tego kawałka ziemi broniłam zaciekle.

- Czy będą tu coś budowali?

- Tak, wreszcie będą budowali i właśnie przybyłam tu, by pożegnać przedtem te miejsca. A ty? - spytała głosem, który mnie, samotnego wędrowca, zadziwił serdecznością - czy wciąż mieszkasz za granicą?

- Tak, wciąż jeszcze.

- Powodzi ci się dobrze, spodziewam się?

- Pracuję bardzo ciężko na własne utrzymanie... więc mogę powiedzieć, że powodzi mi się dobrze.

- Często myślałam o tobie - wyznała Estella.

- Doprawdy?

- Ostatnio bardzo często. Był długi czas, kiedy odsuwałam od siebie myśl o tym wszystkim, co było i co odrzuciłam nie doceniając wartości. Ale od chwili, kiedy nie mam obowiązku zapominania o tamtych sprawach, przywróciłam im miejsce w moim sercu.

- W moim sercu zawsze było miejsce dla ciebie - odpowiedziałem i po tych słowach nastąpiła między nami znowu cisza.

Wreszcie Estella przemówiła:

- Nie przypuszczałam, że żegnając ten zakątek pożegnam jednocześnie i ciebie; jestem szczęśliwa, że tak się zdarzyło.

- Szczęśliwa, że znowu się rozstajemy, Estello? Dla mnie rozstanie jest bolesne zawsze, a wspomnienie naszego ostatniego pożegnania wciąż tkwi we mnie pełne smutku i bólu.

- Ale powiedziałeś mi wówczas: „Niech cię Bóg błogosławi i niech ci wybaczy” - odparła z powagą Estella - a jeżeli wówczas mogłeś się na to zdobyć, to teraz tym bardziej możesz mi to powtórzyć. Teraz, kiedy ból, który przeżyłam, stał mi się najlepszym nauczycielem i nauczył mnie rozumieć, czym było twoje serce. Życie złamało mnie, powaliło, ale, mam nadzieję, po to, by uczynić mnie lepszą. Bądź więc dla mnie tak samo wyrozumiały i pobłażliwy, jak byłeś dawniej, i powiedz, że pozostajemy przyjaciółmi.

- Jesteśmy przyjaciółmi - zawołałem zrywając się z miejsca i pochylając nad nią, gdy wstała z ławki.

- I będziemy nadal przyjaciółmi, każde z osobna - odpowiedziała Estella.

Zamknąłem jej dłoń w mej ręce i wyszliśmy razem z tego miejsca ruin. I tak jak niegdyś mgły poranne unosiły się w górę, kiedy opuszczałem kuźnię, tak teraz rozproszyły się mgły wieczorne i w szerokiej drodze świetlnej, jaką mi ukazały, zamajaczyła nadzieja, że nie będzie między nami cienia rozstania.